

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

4767/116

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1869.

— 
Tom czwarty.

WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA,

—
1869.

4620. 1869, 4

II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 17 (29) września 1869 r.

Cenzor, J. Bieszczynski.

X-14215
4620 / 1869



30.000r

DZIEJE IDEAŁU.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dokończenie).

LIV.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Koniec sierpnia.

Drogi przyjacielu! Dwa listy twoje leżą przedemną, na które dotąd ci nie odpowiedziałem. Pojmuję twoją ciekawość, która płynie z przywiązania. Byłbym téj ciekawości dawno zadość uczynił, gdyby nie szkaradny przypadek który na sześć tygodni położył mnie do łóżka...

Pisałem ci w ostatnim liście, że gotuję się na ważny krok... Otóż krok uczyniłem, ale krok który mnie przywiązał do łóżka na długie sześć tygodni, a o którym dzisiaj nie wiem, czy był szczęśliwy dla mnie czy nie, pomimo, że mnie o mało życia nie pozbawił!

Dzisiaj po raz pierwszy dopiero mogę wziąć z wielką biedą pióro do ręki, chociaż z pokoju wcale jeszcze wychodzić nie mogę. I tak zakazał mi lekarz wszelkiej żywszój alteracyi. Powoli więc opiszę ci rzecz całą.

Bóg widzi, nie wiem od czego zacząć. Tyle myśli, tyle rzeczy ciśnie mi się naraz do głowy. A przecież dla ciebie muszę się trzymać porządku chronologicznego, bo inaczej nie zrozumiesz mnie.

Mówiłem ci już, że często robiliśmy wycieczki w okolicy miasta. Obejrzawszy już wszystkie wdzięki saskiej sto-

licy, chcieliśmy się zapoznać z dalszemi okolicami, o których wiesz że słyną w Europie ze swoich nadzwyczajnych piękności.

Otóż zwiedziliśmy już kolejną różną punkta tej okolicy. Wreszcie zamierziliśmy zwiedzić okolice Kenigsteinu, najznakomitszej fortecy saskiej, która w czasach wojennych kryje w swoich murach skarby królewskie. Jestto okolica dosyć dzika i ponuro-romantyczna.

Podróż naszą ułożyliśmy w ten sposób, aby nie odrazu zdążyć do celu. Podzieliliśmy tę drogę na różne stacje, wcale jednak nie odpowiednie owym urzędowym stacyom, wytkniętym z góry dla turystów. Chcieliśmy po prostu sami sobie szukać drogi do naszego celu. W ten sposób stała się podróż nasza więcej romantyczna i rozmaitemi przepełniona przygodami. Często bowiem straciliśmy kierunek, często potrzeba było się wracać, rekognoskować drogi i wioski, starać się o żywność i t. p. konieczne akcesorya życia. Było więc ciągłe natężenie uwagi, była niepewność najbliższego zagięcia drogi, słowem była nader przyjemna, urozmaicona, romantyczna wycieczka.

Wszystkich naszych przygód nie będę ci opisywał, bo te nie wyświecają rzeczy do której dążę; dotknę tylko niektórych szczegółów, które są koniecznie potrzebne.

Towarzystwo nasze składało się z trzynastu osób, liczby zawsze fatalnej. Aby tę liczbę zamaskować, a więcej dla miłego spokoju pani marszałkowej, namówiliśmy zaraz za miastem wracającego do domu górnika, aby razem z nami tę promenadę odbył. Górnik zgodził się chętnie, widząc nas wszystkich wesołych i w zapasy żywności i kordyałów dosyć dobrze zaopatrzonych. Wyszczególniał on się tem jeszcze, że oprócz podziemnego jakiegoś lochu za Tarendt'em w którym pracował, nic a nic swojej błogosławionej ojczyzny nie znał. Człowiek ten podziemny bawił nas wielce swoją naiwnością. Wiele, wcale nowych rzeczy opowiadaliśmy mu o jego ziemi.

W towarzystwie naszym byli prawie wszyscy nasi znajomi. Naturalnie był i pan Alfred, który od niejakiego czasu stara się ustawicznie być w pobliżu Jowity, chociaż ona mu nie okazuje bynajmniej wiele sympatyi. Była i panna Natalia jak zawsze, wesoła, szczebiotliwa i nadzwyczaj przyjacielska.

Otóż gdy kalwakata nasza długim parowem postępowała, a niektórzy piechotą za furgonami dążyli, zbliżyła się do mnie panna Natalia i zawiązała ze mną jakąś zwyczajną rozmowę. Powoli zaczęła nieco w tyle zostawać tak, żeśmy się odłączyli od naszego towarzystwa: wtedy zmieniła nagle przedmiot naszej rozmowy.

— Czy pan nie pomyślałeś — ozwała się — o fatalnej naszej liczbie?

— O jakiej liczbie? — zapytałem prawie bez myśli.

— Że nas jest trzyście! — odparła krótko.

Rozśmieszył mnie ten przesąd. Przypomniałem sobie, że pani marszałkowa miała z sobą pieska, o którym nieraz mawiała, że go więcej ceni niżeli człowieka, bo jest i pocziwszy i mędrszy od lokaja Onufrego. Powiedziałem więc panie Natalii, że „*Lami*” może według wyobrażeń pani marszałkowej tworzyć czternastą osobę, dodawszy jeszcze do niego górnika, o którym i tak powiedział pan Nereusz, że jakkolwiek mądrym może być pod ziemią, na ziemi jednak jest strasznie głupim!

— Pan obracasz w żart moje słowa — rzekła na to panna Natalia — a ja chciałam z panem na seryo mówić.

Słowa te i niezwykła powaga w jej rysach uderzyła mnie. Zwróciłem się do niej i z równą powagą odpowiedziałem:

— Jeżeli pani poza tą fatalną liczbą chcesz mi o czémś mówić, to słucham z jak największą uwagą!

— Daruj pan — odparła — ale ja nie mogę jakoś oderwać się od tej liczby!

— Dobrze — niechże więc i ta liczba będzie między nami!

— Pan z takim lekceważeniem mówisz o tej liczbie, a przecież opowiada pani marszałkowa, że ś. p. jej mąż...

— Słyszałem już tę wyborną historią: opowiadała ją nam razu jednego sama pani marszałkowa.

— Więc sam pan przyznaj, że jeśli się jest w takim towarzystwie, gdzie ta liczba dominuje, to mimowoli czyni człowiek rachunek z swoim sumieniem...

— Czy pani stosujesz do mnie te słowa, jako do zatwardziałego grzesznika?

— Niekoniecznie... wyjąwszy jeśli się pan do czego poczuwasz.

— A cóż nam wreszcie ta „dominująca liczba” uczynić może, gdyby nawet ktoś miał co na sumieniu swoim?

— Ta liczba w każdym razie oznacza, że jeden jest za wiele!

— Cóż pani rozumie pod tém słowem „za wiele”?

— Różnie można rozumieć. Gdy naprzykład dwóch idzie przez wązką kładkę i w środku spotkają się. Oczywiście, że na tak wązką przestrzeń dwóch jest za wiele. Jeden z nich musi się cofnąć, albo w przepaść skoczyć.

Spojrzałem z uwagą w twarz panny Natalii, bo téj ciemnej nieco alluzji zacząłem się domyślać. Twarz jednak panny Natalii była tak obojętna i nic nie mówiąca, jak twarz najwytrawniejszego dyplomaty. Udałem również obojętność i rzekłem bez wszelkiego domysłu napozór:

— A więc dobrze, to niech jeden w przepaść skacze, jeżeli mu tam pilno!

— Czy innego sposobu na to pan nie wie? Czyż nie można, aby ci ludzie spotkawszy się na środku kładki podali sobie ręce i porozumieli się po przyjacielsku, który z nich ma większe prawo i większe prawdopodobieństwo przejścia na drugą stronę. A tak jedenby ustąpił drugiemu, i żaden nie potrzebowałby w przepaść skakać!

— Nie, pani, na tobym się nie zgodził nigdy. W takim razie nie ma kompromisu!.. Zresztą, jeśli jeden widział drugiego już na kładce, po cóż wchodził na nią?

— Nie zawsze ludzie rządzą się rozumem i roztropnością. Ale na środku kładki trzeba koniecznie zapukać do roztropności!..

Przerwałem jój z uśmiechem żartobliwym:

— Nie, pani! Na środku kładki do roztropności pukać za późno... A zresztą, gdyby ktoś nie chciał w przepaść skoczyć, to liczba „trzydzieści” straciłaby całą fatalność swoją!..

Nie wiedziałem, że właśnie w téj chwili wymówiłem słowa, które za kilka godzin okropnie sprawdzić się miały!.. Panna Natalia patrzyła na mnie jak dyplomata, któremu misya nie powiodła się.

Rozmowę dalszą przerwano nam.

Odbywaliśmy dalszą podróż naszą z różnemi drobnemi przygodami! Tu nastraszyliśmy stadko baranów, tam znowu barany nas przestraszyły. W jednej wsi uciekaliśmy od psów odważnych, w innéj psy od nas uciekały. I tak z odmienném szczęściem walczyliśmy z przeszkodami naszej romantycznej wędrówki.

Już sporo po południu dotarliśmy do jednego z owych olbrzymich kamieniołomów, z których powstają olbrzymie budowle stolicy saskiej. Kamieniołomy te są nadzwyczaj praktycznie urządzone. Najczęściej wybiera się na to spadzisty brzeg Elby. Olbrzymie bryły kamienia, oderwane sztuką i pracą od żeber brzeżnych rzeki, zsuwają się lekko po pochyłości aż na sam statek. Tym sposobem nader małym kosztem pracy i kapitału płyną te ogromne masy wodą do miasta i tam ustawiają się w pyszne gmachy!

Otóż w takim kamieniołomie rozbiliśmy nasz obóz. Ponieważ słońce dobrze już przypiekało, wybraliśmy na to miejsce pod kilkoma świerkami, które wydawały się jakby strącone z lasu nad nami górującego.

Nadzwyczaj romantycznie wyglądała nasza zielona oaza wśród szarego tła kamienistego pokładu. Jeden z tych świerków wtłoczył po wilgoć korzenie swoje w rozpadlinę skały, a nie znalazłszy jej przebił w kierunku poziomym bryłę kamienia trzysążniową i tam na świat się wydobył. Spalone skwarem słońca sterczały z téj rozpadliny daleko korzenie jego i tworzyły poniżej samego pnia, jakby drugie ale bezlistne drzewo.

Konary te wisały nad głęboką przepaścią, z której prawdopodobnie kilkadziesiąt kamienic wyszło i uszykowało się na jedną z ulic stolicy.

Uradziliśmy przyrzędzić sobie herbatę; porzeba więc było ogień rozniecić. Rzuciliśmy się wszyscy za połowem i zbieraliśmy to suche gałęzie, to kawałki zostawionych tu drzazek z jakiejś roboty ciesielskiej.

Kilka razy tentowały nas te suche, sterczące konary; ale każdy podszedłszy blisko, wracał się z pewną rezygnacją: w samą rzecz przepaść była zastraszająca.

Wreszcie przyrządzono herbatę, rozdano kubki i zakąszano czém było.

Po herbacie, przy cygarze rozpoczęła się nadzwyczaj ożywiona rozmowa.

Zaczęto między innymi mówić o kobietach w dawniejszych wiekach.

— Dziwna rzecz—mówił pan Nereusz— że serce kobiece miało zawsze coś tygrysięgo. Weźmy na przykład czasy Rzymu. Kapłanki pielęgnujące wieczny ogień, symbol miłości, patrzyły z kamiennych ławek swoich w cyrku z najwyższém zadowoleniem na walkę ludzi z dzikimi zwierzętami! Ich białe rączki, wysunięte z pod białej tuniki, przyklaskiwały radośnie na widok krwi, z którą upływało życie zwyciężonego gladyatora!..

— Ależ to były poganki—zauważyła Natalia.

Jowita nie na to nie odpowiadała. Patrzyła przed siebie zamyślona, jakby udziału w rozmowie brać nie chciała. Czasami tylko uśmiechnęła się, jakby do przyjemnych myśli swoich.

— Ja myślę—odparł pan Nereusz— że wieki nie zmieniły charakteru tego dziwnego serca. Tylko igrzyska cyrkowe zamieniono na igrzyska buduaru! Tam odbywają się walki, morderstwa... przy których jednak nie widać ani krwi ani miecza gladyatorskiego!..

— Mój Boże!—zawołała żywo panna Natalia—co też pan mówisz za okropności! Panie Alfredzie, niech pan nas broni!

Pan Alfred spojrział na zamyśloną Jowitę, podkręcił z uśmiechem swój wąsik i rzekł:

— Zaiste, obrona tu nader trudna. I w wiekach chrześcijańskich powtarzają się podobne igrzyska. Czemże były owe turnieje rycerskie, na których godzono na śmierć lub życie pod okiem księżniczki o białém licu, aby z jęj rąk otrzymać szarfę błękitną, zdobiącą jęj piękne łono?

Jowita ocknęła się z zamyślenia i podniosła na pana Alfreda szafirowe oczy swoje.

Pan Alfred spojrział z pewnym, niezwykłym wyrazem w te oczy, ożywił twarz i rzekł:

— Ale ja zazdroszczę tym wiekom i tym rycerzom: była przynajmniej sposobność działać na serca.

Czasami serce kobiece potrzebuje jakiegoś gwałtownego wstrząśnienia, aby miłość w sobie poczuło.

Walka na śmierć lub życie pod okiem kobiety wstrząsa patrzących i wywołuje w sercu wzajemność! Żałuję bardzo tych czasów rycerskich, osobliwie w tej chwili!

Jowita uśmiechnęła się na to jak dziecię, które nie wie o co rzecz idzie. Była dziwnie roztargnioną.

Podjęła rozmowę panna Natalia i z uśmiechem żartobliwym, wskazując na konary wiszące nad przepaścią niedaleko nas, rzekła zwrócona do pana Alfreda:

— Oto po tym konarze pnie się mały, polny kwiateczek; możesz pan pójść i urwać go dla Jowity!

Na te słowa wymówione żartem nikt z razu nie zważał; ale pan Alfred zerwał się szybko na nogi, pobiegł do konarów, wiszących nad przepaścią i w jednym oka mgnieniu stał między niebem a istnieniem piekłem...

Pani marszałkowa zemdląła, ciocia Jowity przyłożyła chustkę do oczu aby nie patrzeć, Natalia krzyknęła przeraźliwie, a Jowita siedziała spokojna, blada jak posąg z marmuru...

Za chwilę grobowego milczenia... wrócił pan Alfred z kwiatkiem w ręku, z pewną pogardą życia na bladych ustach, z jaką zazwyczaj wraca się z śmiertelnego pojedynku.

— Brawo! — krzyknęli wszyscy mężczyźni, podczas gdy kobiety do zmysłów wracać zaczęły.

Twarz Jowity ożywiła się także, ale nie było na niej radości. Zmarszczyła czoło, jakby to co zaszło, sprawiło jej wielką nieprzyjemność. Twarz Natalii była rozjaśnioną.

Dziwnie w tej chwili pojąłem moją sytuację. Zdawało mi się, że mnie ktoś ubiegł i grozi wszystko mi odebrać. Nie namyślałem się wcale. Szał ośwładnął mnie.

— Na tym drugim konarze — zawołałem — tam dalej nad tą przepaścią jest także kwiatek!

I w mgnieniu oka zbiegłem do konarów...

Słyszałem tylko jakby przez sen jakiś jęk głuchy... posunąłem się po konarze ponad przepaść, poszedłem dalej od mego rywala... wtém zatrzeszczał konar... uchwyciłem się bryły kamienia... i z nią razem stoczyłem się w przepaść!..

Co dalej ze mną się stało, nie wiem. Gdym przyszedł do przytomności, leżałem obwiniony szalami, a nademną ujrzałem pochyloną twarz Jowity, której łzy gorące padały na

moje skronie... Chustką swoją obwiązywała mi zdruzgotaną lewą rękę...

Chwili tej nigdy w życiu nie zapomnę!...

Oto był krok, którym cię w ostatnim liście straszylem. Był on zapytaniem i odpowiedzią!...

Reszta faktów jest mało znacząca. Przywieziono mnie do miasta, położono do łóżka, w którym sześć tygodni się wyleżałem. Poczciwy muzyk, na wyraźny rozkaz Jowity, odwiedzał mnie trzy razy dziennie. Nawet pan Alfred, jako wspaniałomyślny adwersarz, był u mnie kilka razy.

Muzyk powiada mi, że w domu ciotki Jowity dzieją się jakieś dziwne rzeczy. Jowita ma często oczy zapłakane, a nawet przed muzykiem nie może się od łez wstrzymać. Ciotka wygląda o dziesięć lat starszą i widać, że z Jowitą jest na stopie wojennej.

Jeszcze inne rzeczy opowiada mi muzyk, które wskazują, że coś strasznego dzieje się w tym domu! Nie chcę ci wszystkiego tego powtarzać. Spodziewam się, że za dwa tygodnie będę mógł wyjść, a wtedy sam obaczę, co się zrobiło, i co mi robić wypadnie!

Dotąd bądź cierpliwy!

LV.

MATKA SALOMEI DO JOWITY.

Horynin — sierpień.

Droga córko moja! Mam prawo tak cię nazwać, bo od lat kilkunastu byłam prawdziwą matką twoją. Spodziewam się, że tego prawa zaprzeczać mi nie będziesz.

Pisze mi ciotka twoja listy, które wszystkich nas mogą przywieść do najwyższej rozpaczki.

Nie chcę jednak wierzyć, aby to wszystko było smutną, nieuniknioną prawdą. Kładę wiele na karb drażliwości, jaka panuje między wami. Gdyby nawet to wszystko prawdą było, nie mogę w nią uwierzyć. Niech ci to służy za miarę nieszczęścia, którebyśmy w tej prawdzie widzieć musieli!..

Wierzę przedewszystkiem w miłosierdzie Boga. Wierzę że On nie zsyła na nas takich nieszczęść, któreby nasze siły przewyższały. Jedno wielkie nieszczęście, zawód Salomei, już nas spotkało. Rzuciło mnie ono na łożę, z którego nie wiem, czy tak prędko wstanę. Czuję że siły moje z każdym dniem słabną. Drugie takie nieszczęście, które mi od ciebie zagraża, byłoby już nad siły moje i zabiłoby mnie!

Bóg miłosierny nie zsyła na raz tyle na biednego człowieka. Wierzę, że to drugie nieszczęście ominie nas.

Mimoto, pozwól kochana córko, że się szerzej rozpiszę o niektórych rzeczach, które poczęści są ci znane, a które przy wstępie w nowe życie, nie będą dla ciebie bez korzyści.

Lat temu dwadzieścia kilka, gdy ojciec twój wyjechał do Warszawy, aby się obejrzeć za dozgonną towarzyszką życia. Był to człowiek prawy i wysokich zdolności. Lubiony i kochany od wszystkich, a szczęście, w całym znaczeniu tego słowa przesładowało go. Być może, że właśnie dla tego nie cenił go, przechodził pomimo niego goniąc za jakimś swemi urojeniami.

Zbytek szczęścia psuje człowieka i odbiera mu zmysł, gdzie tego szczęścia szukać potrzeba. Daremnie starsi z rodziny reflektowali go, poddawali mu goniące za nim szczęście na rękach, ale on nic przyjąć nie chciał. Panna Hortensya, dzisiaj hrabina*** miała dla niego afekt niepowściągniony, sama ofiarowała mu rękę i dwa najbogatsze klucze w naszej okolicy, ale to napróżno. Ojciec twój cierpiał na dziwne jakieś fantazyje i uganiał za nimi po szerokim świecie.

W Warszawie gdzieś na koncercie ujrzał matkę twoją po raz pierwszy. Była to kobieta nadzwyczajnej piękności. Matka jój, z rodu Włoszka, mieszkała w Warszawie z małego kapitaliku. Dziadek jój był, jeśli się nie mylę rzeźbiarzem, którego Stanisław August, do przyozdobienia pałaców swoich z Rzymu sprowadził.

Matka twoja była osoba wielkiej zacności, znakomitego wykształcenia, nieposzlakowanego charakteru, ale według wyobrażeń całej familii ze strony ojca, nie była stosowną dla niego partją.

Niech cię nie dotykają te słowa moje, droga córko, bo one nie wychodziły nigdy odemnie, jak tego dałam ci

dowody przez całe dotychczasowe życie twoje; ale wychodziły one od familii, której przekazano pewne świetne tradycje, aby nad nimi czuwała na korzyść otaczającego ją społeczeństwa. Nazwiska, jakie i ty dzisiaj nosisz, były zawsze w dziejach naszych jakoby drogowskazy, zaznaczające przebieg historii. Społeczeństwo nasze winne jest im cześć zasłużoną. Czas i ludzie chcą nas wprowadzić dzisiaj z całym gminem porównać, ale do nas należy stawić opór i kojarzyć się równymi nam w tabor niezwalczony. Inaczej odbiorą nam z ręki panowanie nad niższymi, które się nam z bożej łaski i zasługi przodków naszych słusznie należy!

Otóż według tych wyobrażeń sprzeciwiała się familia ojca twego jego zamysłom. Ojciec twój okazał wielką stałość charakteru, godną nazwiska, które nosił. Niemogąc zamiarów swoich spokojnie w kraju skutecznicić, wyjechał zagranicę i tam ożenił się z twoją matką.

Byli członkowie familii, którzy prawowitość tego małżeństwa podejrzewali. Nawet znalazł się ktoś, który po śmierci ojca twego zaprzeczył matce posiadania fortuny ojcowskiéj; ja jednak z mężem moim, który jako opiekun wywiązał się zaszczytnie z obowiązku swego, stanęliśmy po twojej stronie, a cała rzecz zakończyła się korzystnie dla ciebie i dla pamięci zacnej matki twojej.

Krok twego ojca, jakkolwiek świadczył o szlachetnym sercu, nie przyniósł mu jednak tego szczęścia, o jakim marzył. Wprowadzić matka twoja była ideałem kobiety i żony. Kochała go do śmierci i po śmierci jego całą duszą, całą namiętnością południowego swego pochodzenia. On był dla niej bożyszczem, od którego nigdy oczu odwrócić nie mogła! Żyła biciem jego serca, patrzyła na świat tylko jego oczyma!

Gdyby prócz kochających się dwojga serc nie było na świecie ludzi, nie było żadnego społeczeństwa, ani żadnych stosunków towarzyskich i potrzeb rzeczywistego życia: ojciec twój w związku z matką byłby najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi!

Ale zważ droga córko, że życie nasze nie da się zasklepić w jakiejś wymarzonej abstrakcyi. Musi się ono połączyć z potokiem społeczeństwa, z wyrobioną przez długie wieki tradycją form i wyobrażeń towarzyskich. Od

tęj wspólności nie może się żaden człowiek wyłamać, a najmniej ten, kto do tej wspólności ma prawo niezaprzeczone, tradycyjne.

Otóż po dwuletniej podróży zagranicą zatęsknił ojciec twój do wspólnego życia między swymi.

Teraz dopiero zaczął mu ten krok jego zamiast dotychczasowych róż, przynosić same ciernie.

Człowiek rad sobie marzy ideały, ale z wymarzonym tym ideałem niech nie wchodzi między rzeczywiste stosunki życia i niech nie żąda od otaczającego go świata, aby tenże również wysoko cenił jego ideał!

Stosunki życia rzeczywistego są straszne i nieubłagane. Nic się tam nie sędzi według wewnętrznych pobudek które mogą być najszlachetniejsze, ale według ostatecznych rezultatów. Nic się tam nie mierzy miarą wyższych uczuć, tylko miarą uświęconych długami wiekami form i tradycyj.

Kto przeciw temu dążyć zapragnie, tego zdruzgoczą żelazne koła odwiecznej maszyny społeczeństwa.

Ojciec twój przyjechał do kraju i wszedł w stosunki towarzyskie.

Ludzie naszego towarzystwa należą do najbardziej ugrzecznionych. Umieją w stosunki z drugimi wlać słodycz niewyczerpaną i zaprawić ją całą wonnością wysokiego ukształcenia; ale z drugiej strony, żadna sfera towarzyska niema tyle środków do swego rozporządzenia, jeśli wypada komuś dokuczyć a nawet mu ubliżyć jak najgrzeczniej: pod tym względem sztuka tu stoi bardzo wysoko.

Ojca twego przyjęli znajomi i przyjaciele z otwartymi rękami; matka zaś natrafiała w każdym kroku na owe śpilki, któremi z nadzwyczajną grzecznością kłuto ją w samo serce.

Ojciec kochał matkę, a od stosunków życia rzeczywistego oderwać się nie mógł. Powstał więc w nim pewien rozstrój, który go podzielił na dwóch ludzi. Jeden z nich żył w stosunkach towarzyskich, drugi zasklepiony w sobie wraz z swoim ideałem. Jeden nie zgadzał się z drugim, jeden stawał drugiemu w drodze. Rozpoczęła się walka między tymi dwoma ludźmi, walka, która często matkę twoją wiele łez kosztowała!...

Walka ta jednak ustawiczna musiała w końcu zniszczyć wszelkie siły duszy. Ojciec stawał się smutny i szukał czegoś w życiu, co by go upoiło, aby już nie rzeczywistych stosunków życia, ale błędnych coraz więcej barw swego ideału nie widział!

Taki rozstrój z zewnętrznym i z wewnętrznym światem zaprowadził go na dziwne drogi. Gonił excentryczności, chciał często śmiać się z samego siebie. Matka twoja widziała to i wiedziała, że ona jest tego powodem. Zalewała się łzami, a nawet, nie chciała gorącą miłością swoją drażnić i powiększać nieukontentowanie męża.

Ojciec twój umarł tknięty apopleksją.... a za rok poszła za nim szlachetna, kochająca go kobieta, której jedynem przewinieniem było, że nie była mu równą pozycją towarzyską!..

Widzisz dziecię moje, jak srogo i okrutnie mści się ten świat rzeczywisty, ten starzec zimny o kilkunastu wiekach, w którego kościstych, wyschłych rękach więdną najpiękniejsze kwiaty naszój rozigranej wyobraźni!... W godzinach, gdy nami serce najgoręcej bije, on przychodzi błądy i od zimna drżący, i przykłada nam na pierś naszą swoją skostniałą, lodowatą rękę!..

Dziecię moje, ten starzec rządzi nami!

Z tym starcem trzeba się rachować!....

Przy każdym ważnym kroku życia trzeba o tém pamiętać, że on przyjdzie, ten zimny, lodowaty starzec, i położy nam zimną rękę na sercu naszym!....

Gdyś została sierotą, przyszedłś w dom nasz i znalazłaś we mnie matkę, a w opiece twoim prawdziwego ojca. Otoczyliśmy cię pieśczętami rodzicielskimi i rosłaś z dziećmi memi bez żadnej różnicy.

Przedewszystkiém miałam na względzie, w przyszłym twojém stanowisku naprawić to, co niezasłużenie się popsusło. Dałam ci wykwintne wychowanie, umysł twój wzbogaciłam nauką niepospolitą. Otoczyłam cię całym urokiem kobiety wyższego towarzystwa, w którym błyszczyć i królować możesz!....

Wypieściłam i wygrzałam w głębi duszy przy tobie dwa marzenia. Jedno, że łącząc nasze imię z drugiem, niepospolitój świetności imieniem, unikniesz tego połowicznie-

go stanowiska, na jakie skazał rodziców twoich ten zimny, zgrzybiały starzec.

Drugie marzenie odnosi się do mnie saméj. Majątek nasz nie odpowiada widokom, do jakich słuszną moglibyśmy mieć fantazyą. Do tego pięć córek rozdrobnią ten majątek na bardzo ubogie posagi. Jedyny więc ratunek byłby dla nich aby przez świetną koligacyą weszły w szersze koła, i tam szczęścia swego szukały. Mam przekonanie, że go znajdą, jeśli tylko przez zawiązanie nowych stosunków otworzy się dla nich sposobność do popisu w wyższych kołach towarzystwa.

Tém ogniwem, ciągnącém je w tę sferę, miałas być ty, drogie dziecię moje!

Wypadek szczęśliwy zdarzył, że cię poznał znakomitego nazwiska młody człowiek. Pan Alfred może cię zaprowadzić tam, gdzie ci się miejsce słuszenie należy!

Do ciebie przywiązane są teraz losy pięciu moich córek. Ty jedna możesz teraz stworzyć dla nich odpowiednią sytuacyą, bez której będą musiały zakopać się w klasztorze, lub pójść na łaskę krewnych, która nie zawsze jest tém dla sierot, czém była dla ciebie!....

Majątek twój wzrósł w dwójnasób w rękach opiekuna twego; jeżeli później świat rzeczywisty lepiej poznasz, policzysz to do osobliwości.

A teraz do tych słów nie dodaję nic więcej. Zostawiam twemu szlachetnemu sercu poczucie się do pewnych obowiązków, których się nigdy pismem nie oznacza. Wdzięczność jest przymiotem dusz wyższych, bez niej nie ma żadnej wyższości: jest tylko brudny, poziomy egoizm.

Siły moje słabną coraz więcej. Gdyby Bogu podobało się powołać mnie przed siebie, z pod Jego podnóża wyciągnę z błogosławieństwem ręce nad tobą, aby w twe serce dla moich sierot wlał taką miłość, jaką ja miałam i mam dotąd dla ciebie!

To co zrobisz, nie zrobisz dla siebie saméj, ale dla nas wszystkich!.....

LVI.

OJCIEC SALOMEI DO JOWITY.

Horynin, — sierpień.

Z listu do ciotki dowiesz się o naszym nieszczęściu. Druga matka twoja, która cię na rękach swoich wypiastrawała, już nie żyje! Odwołał ją Bóg do lepszego życia, a nas zostawił w smutku nieutulonych.

Od Salomei nie oczekuj tak prędko listu. Biedne dziecko nie jest w stanie określić ci w tej chwili bólu swego. Gdyby łzy, które z jej oczu płyną, mogły oraz być pismem, miałybyś co po całych dniach czytać.

Ale nie tentujmy Boga rozpaczą naszą. Zostawmy Jego niezgłębionej mądrości bolesne wyroki, które nas w życiu doczesnym tak srodze ranią!...

Jeżeli grom niespodziany jeden z głównych konarów drzewa odłamie, to ratujmy resztę drzewa. Zawiążmy ranę i obéjrzymy się za podporą, któraby pozostałemu nie dała upaść.

Nieboszka stygnącym już piórem pisała do ciebie, jakby przeczuwała, że przed grobem powinna jeszcze żywe słowo swoje rzucić na szalę roztropności, która cię w życiu nigdy opuszczać nie powinna.

Do tych słów już mało mam co dodać. Najważniejszy fakt, który sam te słowa dopełnił, jest, że ta, która te słowa do ciebie pisała, już nie żyje! Jest to więc niejako jej spowiedź ostatnia przed tobą, jej testament. Polecam go pamięci twego szlachetnego serca.

Mimoto pozwolisz mi jeszcze, że zwrócę tutaj uwagę twoją na dzisiejszą sytuację naszą.

Śmierć matki odebrała córkom wszystko. Nadeszła ona w chwili, gdy matki najwięcej potrzebowały. Jakiegokolwiek mogą być wyobrażenia o szczęściu ludzkim, zawisło ono wiele od sposobności, jaka się ludziom do tego szczęścia nastęrcza. Gdybyśmy mieli w kieszeni patent na najwyższe szczęście, nicby on nam nie pomógł, jeżelibyśmy nie stworzyli sobie sposobności uchwycenia tego szczęścia. Gdyby kobiéta była aniołem i jaśniała wszelkiemi wdziękami du-

szy i umysłu, zmarnieje w ukryciu, jeśli nikt jój na szerszą arenę życia nie wyprowadzi!...

To właśnie jest zadaniem matki. Najlepszy ojciec nie w tym względzie uczynić nie może: na nim ciążyą inne obowiązki, a chociażby od nich się uwolnił, nie ma do tego ani talentu ani zręczności.

Tu trzeba przede wszystkim oka i rozsądku kobiety. Trzeba aby kobieta podała rękę młodym jój towarzyszkom i z kobiecym rozsądkiem prowadziła je przez kręte ścieżki świata.

Tój opieki córki moje dzisiaj już nie mają!

Droga córko nasza! Kiedym dla ciebie pracował, aby twój majątek kiedyś zwiększony w dwójnasób w ręce twoje oddać, kiedy nieboszka jako własne dziecko przytuliła cię do serca swego i dnie i nocy nad twojém ukształceniem pracowała, ożywiała nas w tych trudach naszych błoga nadzieja, że kiedyś w braku nas, oddasz dzieciom naszym, a swoim siostróm te same uczucia, jakimi my dla ciebie hojnie szafowali, i rozciągniesz nad nimi tę opiekę, jakąśmy ciebie otoczyli!...

Wierzę w twoje dobre chęci. Wierzę nawet że byłabyś w tój mierze zdolną do ofiary i poświęcenia się. Ale to wszystko nie dosyć; chcąc coś dobrego zdziałać, trzeba piérwój samemu zająć odpowiednie stanowisko: bez takiego stanowiska pomoc nasza skończy się na słowach i dobrych chęciach.

Otóż przede wszystkim, droga córko nasza chciój wielką wagę przywiązać do takiego stanowiska. Kto stanie na silnym łądzie, ten może z większém powodzeniem podawać rękę tonącym, niżeli stałby w grzązkiém błocie!

Pisze mi siostra, że właśnie Opatrzność Boga nadarzyła ci sposobność zajęcia nader pięknego stanowiska w rodzinie naszój. Młody człowiek, pięknego nazwiska daje ci tę zaszczytną pozycyą. Ojca pana Alfreda znałem osobiście jako człowieka wielkich wpływów; familia jego zajmuje wysokie stanowisko, które można nader korzystnie spożytkować.

Tym jednym krokiem twoim możesz stworzyć sobie sytuacyą, jakiej tysiące kobiet zazdrościć ci będą, a zarazem otworzysz przy sobie pole dla biednych sierot a siostr

twoich, na którym mogą się z przeznaczoném szczęściem spotkać.

Nie przeczę temu, że do tego potrzebna jest koncessya twojego serca. Nie odmawiam ci nawet prawa do pobawienia się obrazami imaginacyi, które w twoim wieku więcej mają powabu nad najrozkoszniejszą rzeczywistość; mimoto jednak, w głębi powinien zawsze na straży stać rozsądek, aby starannie oddzielać to, co do zabawy, a co do życia należy.

Wolno ci używać jednego i drugiego, ale nie wolno ci bezkarnie brać jednego za drugie!...

Fantazyą możesz sobie nie jedną chwilę życia uprzyjemnić, ale jeżeli chcesz nią zapełnić całe życie, to się srogo oszukasz!

W życiu to jest jedynie wyprobowane, co się przez kilkanaście wieków utworzyło i co dotąd mimo nawoływań nowego ducha czasu, ciągle istnieje. Niechaj dzisiejsi ludzie nazywają to przesądem lub zacofaniem się, ale to jest, rośnie i smaczne wydaje owoce!

Gdybyś więc dla rzeczywistych stosunków życia miała się rozstać z jakim wypieszczoném marzeniem, nie żałuj go! Przyjdzie chwila, w której śmiać się będziesz z tych wszystkich marnych ideałów!...

Życie nasze powinno być jak stawka w grze. Stawiamy ją, aby w dwójnasób do nas wróciła; stawiać zaś życie na jakieś ideały, to znaczy grać z bankierem, który ani grosza nie ma!...

Najważniejszym jednak reflektorem we wszystkich zamysłach twoich niech ci będzie wspomnienie o pięciu osierociałych siostrach twoich, które jedynie od ciebie opieki macierzyńskiej wyglądają!

LVII.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Sierpień.

Od kilku dni trapi mnie niepokój. W miarę powrotu sił moich nachodzą mnie smutne myśli. Nie mogę się ich pozbyć, a samotność moja wcale temu nie sprzyja.

Ponieważ prawą ręką dobrze władać mogę, zatrudniam się jak mogę; ale gdy szara godzina nadejdzie, albo noc ciemne swoje szaty rozwinie, wtedy ciśnie jakiś dziwny smutek serce moje.

Muzyk przychodzi do mnie kilka razy na dzień. Przynosi mi wiadomości od Jowity. Wprawdzie nie widzi jej nigdy saméj, tylko zawsze w towarzystwie ciotki. Mimo to pyta zawsze Jowita o stan mego zdrowia i pilnie o wszystkie szczegóły dowiaduje się. Ciotka nie rada to słucha, ale jej nie przerywa.

Opowiadał mi także muzyk, że przed kilkoma dniami weszła do niego Jowita z listem w ręku, mocno zapłakana. Mówiła że w familii ktoś umarł i że to bardzo boleśnie ją trafia; a kiedy zaraz potém o mnie się zapytała, puściły się łzy z jej oczu, których w żaden sposób powstrzymać nie mogła.

Pocziwy muzyk wietrzy w tym domu jakieś dziwne rzeczy. Na twarzach maluje się niewidziane dotąd rozstrojenie. Jowita po całych dniach jest w neglizju, jakby nigdzie wyjść nie chciała, albo chorą była.

Gdyby nasz muzyk był młody, to może więcej wiadomości przyniosłby mi z tego miejsca; ale przy jego wieku i troskach zaledwie dziesiąte słowo zostanie mu w jedyném, posłuszném mu uchu.

Niecierpliwość napada mnie wielka. Obawiam się, że słabość moja za długo już trwa...

Powiada poeta: że dla każdego człowieka bije raz w życiu godzina szczęścia, tylko że nie każdy ją słyszy, i nie każdy z niej korzysta!

Obawiam się, abym godziny szczęścia mego nie przechorował.

Żegnam cię!

LVIII.

ALFRED DO STEFANA.

Sierpień.

Mój Panie! Przyjaźń jaką mam dla Wacława, każe mi w równie przyjazny sposób i do pana przemawiać. Niech to

panu bynajmniej nie ubliża, bo dawniejsze stosunki powinny zawsze iść przed świeżą, choćby nawet wysoce zaszczytną znajomością!

Dziwne igrzysko losu postawiło nas przeciw sobie. Luźny przypadek, ten sam, który skałom w Szwajcaryi nadał profil Wielkiego Napoleona, sprzągnął nas obu, abyśmy w jednym dramacie odegrali role swoje.

Zastanowiwszy się nad tém, przyszedłem do przekonania, czyby nie lepiej było, aby występujący w tym dramacie aktorowie, między sobą role swoje wygadali nie spraszając do tego widowiska chciwój publiki?

Ten wzgląd podał mi pióro do ręki. Chciój pan to pismo moje, z tym samym roztropnym spokojem przeczytać, z jakim ja je ułożyć usiłowałem.

W drodze artystowskiego swego zawodu spotkałeś pan kobietę, która sprawiła na panu niezwykle wrażenie. Wierzę że goniący za plastyczném uosobieniem piękna, artysta mógł się przed nią na chwilę zatrzymać i należyty hołd jój oddać.

Dotąd jesteśmy w zupełnej zgodzie. Pochlebia mi to nawet, że przy tój kobiecie zeszedłem się z człowiekiem tak wytwornego gustu, jakim pan, jako artysta być musisz.

Z mojej strony hołd ten chwilowy przeszedł w poważne, dalej sięgające zamiary. Ze strony pana nie obawiałem się żadnego niebezpieczeństwa, bo miałem niezłomne przekonanie, że pan tam nie idziesz, gdzie ja dążę!

Przekonanie to wypływało z różnicy naszego stanowiska. Niech to pana bynajmniej nie drażni, że się tak odzywam. Mówię z całą otwartością i używam argumentów bez obwijania w bawełnę.

Dążności pana cenię wysoko, jak to pan z mego zachowania się widzisz. Chciój pan jednak zważyć, że to są dopiero dążności, które mogą pana z czasem zaprowadzić do pewnego, niepodleglejszego stanowiska.

Otóż ta jest różnica między nami. Możesz się pan nie zgadzać z zasadą, ale przyznać pan musisz, że ja mam już to gotowe, do czego pan dopiero dążysz. Moje stanowisko w obec świata rzeczywistego nadaje mi przewagę nad panem, przeciw której pan skutecznie walczyć nie możesz.

Mimo to przypuszczam, że pan ze mną tę bezskuteczną walkę rozpocząć zamýślasz. Może pana zachęci do tego usposobienie kobiety, która również jak pan, z zapalem oddaje się czci piękna. Pokrewność zapatrywania się na objawy życia, pewna zdolność unoszenia się ponad granice życia rzeczywistego, i pewna zgoda działających w nerwach naszych prądów, mogą wielką być pokusą do podjęcia téj walki.

Czynię jednak pana uważnym na pewne niebezpieczeństwo, którego pan nie widzisz. Pan jesteś szlachetny, działasz jako taki, i z podobnego stanowiska sądzisz o świecie i o ludziach. Żyjesz na seryo, i myślisz, że i inni to samo czynią. Objawy życia towarzyskiego bierzesz tak, jak one się poważnemu człowiekowi przedstawiają.... Tymczasem dowiesz się pan po niewczasie, że to coś pan brał za prawdę, był żart... a coś pan wziął na seryo, było tylko zabawką....

Rozczarowań takich odniosło w naszych sferach bardzo wielu ludzi, którzy tajemnic tych sfer nie znali!..

Rzucam jednak luźnie te myśli bez zastosowania ich do naszego sporu.

Przeciwnie, przypuszczam, że pan masz ugruntowany powód do wytrwania na polu walki.

Przypuśćmy, że pan masz wzajemność.....

W takim razie, jako człowiek prawy i uczciwy ma na sobie obowiązek postarania się o szczęście dla ukochanej i kochającej kobiety.

Czy masz pan warunki tego szczęścia?

Nie mówię tutaj o warunkach materyalnych, o których również niegodzi się zapominać, ale o warunkach moralnych.

Kobieta, o której pan marzysz, należy do sfery, do której trzeba mieć inny patent, jak medal zasługi otrzymany na wystawie londyńskiej. Może to pana gniewać, ale przeto rzeczy nie zmieni. Może to być przesąd spróchniałego (jak niektórzy nazywają) towarzystwa, ale tak jest. Téj kobiety nie wprowadzisz pan tam za swoim paszportem!

Czy sądzisz pan, że dla takiej kobiety możesz pan inne szczęście stworzyć?

Wierzę, że w chwili szafu wszystko jest możliwe. Wierzę, że pan w téj chwili możesz mieć to przekonanie, że

dla téj kobiety dosyć jest chatki w lesie i śpiewających na gałązkach ptaszków!...

Ale zważ pan, że szła chwilowy przemija a za nim rozciąga się długie życie!... A to długie życie wyrobiło już sobie pewne potrzeby, pewne formy, pewne nawet, jeżeli pan chcesz, przesady i uprzedzenia, a wszystkim tym materyałom życia, trzeba zadość uczynić?

Cóż pan uczynisz, jeśli po niejakiem czasie obaczysz tę kobietę znudzoną samotnością, płaczącą skrycie za tém co goniąc błyskotne ideały, rzeczywiście utraciła!...

Czy jestże to prawdziwa miłość, która w chwili szalu poświęcającą się kobietę skazuje na taką przyszłość?...

Nie, tego o szlachetnym człowieku przypuścić nie mogę. Serce które kocha, patrzy w przyszłość, a nie rzuca się na oślep na przypadkową zdobycz! O wyrachowanie zaś tylko na dzisiaj nie posądzam pana!

Prócz tego, muszę przed panem jeszcze jeden obraz roztoczyć:

Wiesz pan dobrze, że ta kobieta jest sierotą. Przyjęli ją krewni i z poświęceniem się własnych interesów swoich zajęli się jój wychowaniem, wykształceniem i sumienną administracją majątku. Jak się wywiązali z swoich obowiązków, to pan wiesz. Przed kilkoma tygodniami trafia wielkie nieszczęście tych krewnych: matka umiera, konkurent najstarszój córki w wigilią zaręczyn odstępuje (jestto wielka przyjaciółka i siostra mleczna téj, o której mówimy), majątek okazuje się zrujnowany, a pięć córek bez perspektywy znalezienia mężów!...

Matka w testamencie poleca jój swoje sieroty, szlachetny opiekun puka do wdzięczności jój serca, i wszystko teraz spoczęło w jój ręku!

Nie myśl pan jednak aby tu chodziło o wspomnienie podupadłych krewnych jaką jałmużną; nie, prosby téj familii są inne:

„W twojem ręku — wołają do niej — jest dzisiaj nasza przyszłość. Stwórz dla siebie tém, cośmy dla ciebie zrobiły, należyta pozycję w świecie, abyśmy korzystając z tego, znalazły przy tobie opiekę matki, któraby nas w świat wprowadziła i dała nam sposobność znalezienia odpowiedniego szczęścia!...”

Od kroku więc, jaki ta kobieta uczyni, zawisło nie tylko jój szczęście, ale szczęście zrujnowanej rodziny jój jedynych dobrodziejów!...

A teraz pytam pana trzeźwo i spokojnie: czy możesz pan w świecie rzeczywistym nadać téj kobiecie taką pozycyę, na którejby ona żądanej słusznie od niéj wdzięczności zadość uczynić mogła?

I to zapytanie może pana chwilowo gniewać, ale gdy spokojniéj nad tém się zastanowisz, to sam uznasz, że uczucie, o jakim miałeś wysokie wyobrażenie, nie było niczem inném, jak tylko wypływem wyrafinowanego, ale zawsze poziomego egoizmu.

Czysta, wielka miłość nie czyni z kobiety ofiary; nie wiąże jój rąk tam, gdzie pewna czynność jest potrzebą jój życia i obowiązkiem zaciągniętego długu wdzięczności!

LIX.

STEFAN DO ALFREDA.

List pana odsonił mi zamiary, jakich się domniemywałem.

Wierzę, że każdemu człowiekowi wolno powziąć sobie pewne zamiary. Wierzę, że te zamiary mogą nawet zaszczyt uczynić jego sercu i odwadze, ale chciałbym bez żadnej alteracyi zważyć, że te *zamiary* nie nadają mu jeszcze żadnego stanowiska, z którego walkę skutecznie rozpocząć można.

Ale przyjmuję i tak pana za adwersarza, choćby tylko dlatego, aby odpowiedzieć na niektóre zdania, w sposób nader zręczny wyłuszczone, a hynajmniej nie zgadzające się z prawdą rzeczywistą.

Wyobrażenia pana o miłości i o szczęściu kobiety ukochanej są tak piękne i wzniosłe, że mogą w danym razie przejednać mnie z panem. Gdyby okoliczności zrzędziły, że ta ukochana nielegalnie przezemnie kobieta weszłaby na pańskiemi ramieniu w szerszy zakres swoich zaszczytnych czynności, miałbym natenczas tę jedyną pociechę, że ją

wprowadził zacny człowiek, mający o jój szczęściu i obowiązkach tak zaszczytne pojęcia!...

Ale od słów do rzeczywiistości, mój panie, jest jeszcze daleka droga. Jakkolwiek dzisiaj nie mam żadnego prawa słowa pańskie podejrzywać, nie będziesz się pan jednak gniewał, jeżeli powiem, że dla nadania słowom podobnym prawdziwej wagi, potrzeba pewnych, rzeczywistój natury warunków życia.

Pan do nich dopiero dążysz, a *dążność* nie jest jeszcze stanowiskiem, z którego wydawać można z góry sądy o sobie i o drugich.

To co pan mówisz o bawieniu się w pewnych sferach rzeczami świętymi, nie wchodzi w zakres naszego sporu. Tak sam pan mówisz, ale tém coś nie dopowiedział a myślał, ubliżyłeś w wysokim stopniu kobiecie, której prokuratorem się obrałeś, i ubliżyłeś samemu sobie.

Miłość, nazywasz pan błędnie szałem chwilowym. Być może, że w otoczeniu swoim nie widziałeś pan innej miłości. Być może, że w pewnych warunkach życia nie może być miłość czémś więcej jak szałem chwilowym, tak samo jak zapalona lampa może tylko raz wyblysnąć i zgasnąć, jeśli w wnętrzu swém nie znajdzie materiału palnego. Ale tego wyobrażenia nie możesz pan rozszerzyć na ogół, który nie zwykł w takim razie zapalać pozostałych po różnych ofiarach niedopałków...

Miłość nie jest szałem jednej chwili, ale jest żywiołem całego życia. To co pan widzisz, jest tylko jedną jój przemianą, tak samo jak kwiat na drzewie, który dla pospolitych oczu niby marnie ginie, jest tylko jedną przemianą w całym życiu drzewa.

Nie przeczę temu bynajmniej, że są w społeczeństwie ludzie, dla których czas kilkunastowiekowy wyrobił pewne formy, przyzwyczajenia, odrębne pojęcia i je niejako w pewien zakon skryształizował.

Wierzę, że tym ludziom smutno jest wyjść poza granice tego zakonu, ale tylko wtedy, jeżeli się lękają zmierzyć z żywym prądem społeczeństwa, jeżeli zgniłym w ostojach siłom swoim nie ufają, a wreszcie jeżeli wprost do niedołęstwa się przyznają, ochraniając się od innych wałem nieprzebytym, jak mieszkanie niebieskiego państwa!

Nie mogę jednak z tém się z panem zgodzić, aby legowisko za tym wałem należało koniecznie do szczęścia.

Życie ludzkie ma wiele dróg do szczęścia, a najuboższy tak samo między niemi wybierać może, jak i ten który się blisko tronu rodzi.

Zależy tu tylko o pojęcie obowiązków życia. Kto za cel życia położył sobie próżnowanie i zabawę, a znudzony taką jednostajnością nie wie w końcu co z życiem zrobić: ten oczywiście chciwie przywiązuje się do stereotypowych form i drobnych fraszek, które jako tako czas mu wypełniają.

Wielce ubliżasz pan kobiecie, o której sądzisz że podobne fraszki staną się potrzebą jój życia. Odziedziczone stosunki wybrańszego towarzystwa są to niejako ze składu wzięte patrony, przez które każdy terminator malarski może na ścianach mazać różne ładne arabeski. Człowiek czynny w społeczeństwie stwarza sobie sam stosunki, według tego jak daleko praca jego dosięże! Takie stosunki są odpowiednie i godności człowieka i czynią zadość wymaganiom, jakie ma społeczność do niego.

Wielce ubliżasz pan kobiecie, o której mowa, podejrzewając ją o nieudolność stworzenia sobie takich, swemu usposobieniu odpowiednich stosunków!

A nawet jestem tego zdania, że stanowisko takie w żywym prądzie społeczeństwa, daleko większą korzyść mogłoby przynieść nieszczęśliwej, podupadłej rodzinie, niżeli z ostatkami mienia garnienie się tam, gdzie jak pan sam twierdzisz: „miłość jest szafem jednej chwili” a na następujące „długie życie” nie będzie dostatecznych posagów!...

Dajesz mi pan do poznania, że tę kobietę chciałbyś zaprowadzić przed ołtarz.

Przypuścmy, że ona jest!... albo że będzie panu wspaniałą do téj chwili.

Miłość wielka i szlachetna nie wypływa nigdy z egoizmu. Nie podejrzewam pana, że dla własnych widoków rzucasz się jakby na zdobycz jaką.... Wierzę, że pragniesz szczęścia téj kobiety.

Czy masz pan warunki tego szczęścia?

Kobieta, o której pan marzysz, należy do sfery kobiet wybrańszych, które nie poprzestają na martwych formach

i fraszkach życia, jakimi je jak mumje owinąć usiłują. Może ona kiedyś zapukać do sumienia męża i zapytać: kto jesteś i czém jesteś?... Atmosfera świata, w którą ją pan wprowadzisz, może się jój wkrótce wydać za duszną. Może od pana zażądać żywego prądu życia, zapragnąć, abyś dla jój wyobrażeń i usposobienia inne stworzył sobie stanowisko!

Czy będziesz pan miał na to warunki?

Nie, tego lekceważenia ze strony pana przypuścić nie mogę. Serce które kocha patrzy w przyszłość, a o wyrachowanie zaś tylko na dzisiaj, nie posądzam pana!

Zresztą spór nasz prowadzimy w ten sposób, jakbyśmy trzeciej osobie odmawiali wszelkiej wolnej woli i samodzielności. Na tém też koncentruje się cała moja odpowiedź!

Osoba trzecia najlepiej nam obu odpowie.

LX.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

1 września.

Zaledwie list do ciebie z wiadomością o dziwnej między mną a pana Alfredem korespondencji wysłałem, przyszedł do mnie zadyszany muzyk i doniósł mi, że Jowity już w mieście niema!

Wyjazd ciotki z Jowitą nastąpił nagle, niespodzianie. Nie było najmniejszych przygotowań. Nikt o tém nie wspominał ani słowem, a dzisiaj rano zaproszono jeszcze muzyka na wieczorną herbatę.

Co się stało? Nie wiem. Nie mogę nawet nic wymyślić, coby mogło to wszystko spowodować!

Wysyłam muzyka na zwiady i przerywam list aż do jego powrotu.

Muzyk wrócił, ale nic szczególnego nie przyniósł z sobą. Pomieszkanie jest zapłacone jeszcze na pięć miesięcy. Powiedziano przy odjeździe gospodyni, że jadą do wód. Do jakich? Nie wiem.

Smutek ciężki opanował serce moje. Ciemno zrobiło się nagle wkoło mnie. Czuję się nagle tak samotnym, jakbym sam jeden był na świecie!...

Jakież mogła mieć powody Jowita tak nagłego odjazdu? Jeżeli o nim naprzód wiedziała, czyż nie mogła przesłać mi przez muzyka choć jedno słowo pożegnania? Wszak codziennie miałem od niej słowa przyjaźni, czyż nagle zmieniło się jój serce?...

Czyż to ma być ta odpowiedź osoby trzeciej, o której niedawno do p. Alfreda pisałem?

Nie umiem z tego wszystkiego nic związać. Wszystkie domysły moje mącą się i motają, a nigdzie nie widać żadnego końca, aby go uchwycić i do pasma się dostać!...

Może jutro więcój się dowiem. Noc jednak dzisiejsza będzie dla mnie straszną nocą!..

LXI.

2 września.

Dowiaduję się dzisiaj, że pani marszałkowa także nagle miasto opuściła. Miała ona temi dniami mieć atak apoplektyczny. Lekarze nakazali jój spiesźnie udać się do wód. Do których? Nie wiem.

Prawdopodobnie więc ciotka Jowity, jako nieodstępna przyjaciółka marszałkowej, pojechała z nią wzięwszy z sobą Jowitę; pan Alfred zaś wybrał się na kilka miesięcy do Paryża.

Tyle tylko zebrałem wiadomości. Zdaje mi się jednak, że to wystarczy może do małego zarysu całej téj, jak ją nazwę, intrygi.

Po liście pana Alfreda sędzę, że sprawa jego względem ręki Jowity nie szła najlepiej, jeżeli do mnie niejako po cessay się udawał. Odpowiedź moja pogorszyła zapewne jeszcze tę sprawę. Uradzono więc chwycić się ostatecznego środka, to jest, wyrwać Jowitę z miejsca, do którego przywiązują się niektóre jój wspomnienia i nawałem świeżych wrażeń zmasać to wszystko, co w jój duszy mogło się przez ten czas zapisać. Środek to dla młodych panien, nader pospolity i często ze skutkiem używany.

Zdaje się, że taki był plan. Aby Jowitę niejako niespodzianie zaskoczyć zmyślono słabość marszałkowej i urządzono naprędce nagły wyjazd dla jej ratunku. Stara kobieta potrzebowała jakiejś opieki kobiecej, którą wzięła na siebie jej przyjaciółka. Jowita sama w mieście pozostać nie mogła i musiała chcąc nie chcąc razem się zabrać. Pan Alfred według wszelkiego prawdopodobieństwa także razem pojedzie, tylko dla zmylenia opinii wymyślił podróż do Paryża. Towarzystwo Jowity w tej podróży, będzie polem różnych jego usiłowań, aby dojść do zamierzonego celu.

Taki mniej więcej może być plan najbliższej p. Alfreda kampanii.

Cóż ja przeciw temu postawić mogę?

Gdybym był zdrow, gdybym miał środki po temu, puściłbym się w pogoń za nimi, jak król Faraon za żydami, unoszącymi z sobą złote naczynia Egipcyan... starałbym się krzyżować ich drogi, stawać im na wszystkich rozstajnych ścieżkach i walczyć, walczyć do ostatniego oddechu..

Ale dzisiaj, cóż mogę uczynić?..

Porwano, uwieziono ją! A ja nie mogę nawet jej bronić!

Czy w ten sposób porywa nam świat rzeczywisty najpiękniejsze nasze ideały?

17 września.

Kilka tygodni upłynęło w ciężkim smutku moim. Jedyną moją pociechą jest, że mogę już wyjść z mego więzienia.

Wczoraj wyszedłem po raz pierwszy. Wyszedłem o zmierzchu, jakbym wychodził w tajemnych zamiarach...

Serce mi drżało w piersi, powietrze nie starczyło do oddechu. Dziwny dreszcz przebiegał po moim ciele, jakbym szedł na spotkanie upragnionej istoty, która osłonięta mgłą nocy, miała mi się ukazać na miejscu umówioném...

Wreszcie przyszedłem...

Otóż i ona!..

Tam w oknie na pierwszym piętrze miga jej biała sukienka!... Swawolny wiatr porusza nią zalotnie i odsłania

białe ramie!... Jój twarz płonie dziwnym wyrazem, a ciemnoszafirowe oczy palą się jasnym, przejrzystém światłem!... W głębi pokoju cisza, głucha cisza... usłużny wietrzyk przyniesie do mego ucha każdy jój szept, każde słowo miłosne!

Ach, nie! To biała firanka chwieje się w pustém, opuszczoném oknie... to pokrzywiona szyba odbija w połamanych liniach gazowe światła ulicy... a pod oknem stojąca lipa karłowata szepcze do mnie szeptem powiędłych latem liści!

Widziadło znika, a ja stoję przed próżnymi oknami domu, w którym mieszkała Jowita!..

I odszedłem smutny, smutniejszy niżeli byłem przed chwilą!..

Mimo to pójdę jutro, pójdę pojutrze... codzienie pójdę pod te okna!..

Być może, że wyobraźnia moja stworzy mi jeden z tych cudów, nad którym mozolą się dotąd uczeni, a który lud prosto objawieniem nazywa!

Może kiedyś z wyobraźni mojej wyjdzie ta upragniona postać i stanie przedemną tam w tém oknie, na pierwszym piętrze, gdzie ta biała firanka, gdzie ta szyba z połamaném światłem?.. Może tak, jak niegdyś gorącym wyznawcom objawiali się święci, objawi mi się Jowita?..

10 października.

Znowu kilka tygodni upłynęło. Ani śladu po nich, gdzie są i co robią! Zdaje mi się, że z umysłu poprzerywano wszelką korespondencją. Jest tylko wieść, że odbywają różne podróże. Niejakiś czas byli w Ostendzie, ztamtąd wyjechali prawdopodobnie do Włoch.

Ja siedzę jak trapiśta w pracowni mojej i pracuję. Praca dosyć mi sporo idzie. Jakkolwiek ból wielki nurtuje w mojem sercu, mam jednak pewien spokój duszy, jakiego dawniej nie miałem.

Dawniej oglądałem się z niepokojem ciągle wkoło siebie, szukając tego co mi świat dać może. Dziś wiem, co on dać może, choć mi to wziął napowrót. Nie pragnę od niego nic więcej, bo więcej nad to, co mi wziął, nic dać mi nie może!..

Jestem podobny do żołnierza, który zraniony krzyczał z bólu w niebogłosey; potem stał się ten ból chronicznym, a żołnierz przyzwyczał się do niego!...

Są jednak chwile jakiejś dziwniej gorączki. Zdaje mi się, że ją obaczyć muszę, że na jej twarzy ujrzę ten sam uśmiech czarodziejski, jakim mnie po raz pierwszy powitała!

Wtedy idę znowu pod to okno z białą firanką.. patrzę znowu w te szyby z połamaném światłem latarni gazowych!..

LXII.

JOWITA DO SALOMEI.

30 października.

Od czasu wyjazdu z Drezna, nie pisałam do ciebie kochana siostrzo moja!

W tych słowach wiele, bardzo wiele się mieści! Gdybyś je umiała dobrze odczytać, wiedziałabyś daleko więcej, niżeli ci napisać chcę i mogę!

Pierwój miałam do czynienia tylko z własnymi marzeniami, dzisiaj nie mogę się opędzić od natłoku różnych wrażeń zewnętrznych, które wszystkie moje siły wyczerpują!

Bawiłyśmy, źle mówię, bawiliśmy (bo i pan Alfred jest z nami) czas krótki w Ostendzie. Ztamtąd przejechaliśmy wzdłuż całą Francję, wysiedziawszy się w Paryżu przez cały miesiąc, i zdążyliśmy z końcem października do Bajonne, gdzie marszałkowa miała kontynuować kąpiele morskie. Lekarze kazali jej szukać łagodniejszego klimatu, a tu wiatr zachodni jest daleko przyjemniejszy i wilgotniejszy od północnego w Ostendzie. Od kilku dni jednak bawimy w Pau, gdzie jest pyszny zamek cesarza z widokiem na rozkoszne pasma Pyreneów! Lekarze kazali marszałkowej zaniechać kąpiei morskich.

Wyobrazisz sobie, ile wrażeń, ile dziwnych wzruszeń, przebiegnie przez duszę na takiej przestrzeni!..

Czytałam wiele opisów podróży, czytałam wiele romanów, które podobne koczownicze życie traktują; nie znalazłam jednak w nich nic z tego, czego sama doznaję.

Weź np. jaki instrument, który pod twoją ręką wydaje ci pewne tony, akordy i melodye. Słuchasz je czas niejaki, a potem cofasz rękę, a one milkną. Wyobraź teraz sobie, że ten instrument porusza ustawicznie jakaś ręka niewidoma, że wibracya strun nie ustaje ani na chwilę, że z tój wibracyi rodzą się coraz to nowe jakieś tony, niepochwycone akordy, niedosięgnięte melodye, które w oka mgnieniu giną, aby innym miejsca ustąpić... wyobraź sobie to wszystko dźwięczące ci w uszach twoich nieustannie i dniem i nocą: to będziesz miała wrażenia podróży naszój!

Mytologia mówi z zachwyceniem o harfie Eola, która poruszana podmuchem powietrza miała ustawicznie wydawać dziwnie rozkoszne tony, które upajały słuchających i wprawiały ich w sen jak najgłębszy!

Wrażenia podróży, w którój widzi się za każdym krokiem arcydzieła ludzkiego geniuszu, mają coś podobnego do tój harfy eolskiej!..

Zaprawdę, zaczynam wierzyć, że zapadam w jakiś sen dziwny, sen twardy, w którym nic się nie śni, nic nie marzy!... Rzeczywistość sama jest tak wielka i rozkoszna, że zużywa wszystkie siły duszy. Gdy się z przed oka usunie, wtedy użycza tylko czasu na wypoczynek. Dla marzeń nie ma ani chwili!..

W takim stanie duszy trudno mi było wziąć pióro do ręki; a nawet wstydziłam się sama siebie gdyby mi przyszło zdać sprawę z tego, o czém dawniej tak szeroko i z takim zapałem pisałam!..

Nie myśl jednak, aby to wszystko we mnie umilkło. Jest ono w głębi duszy, schowane jak relikwia, tylko nie dobywam go ztamtąd codziennie, aby się widokiem jego poić. Świat zewnętrzny zanadto ciśnie mi się przed oczy. Nie mam czasu odetchnąć pełniejszą pierśią.

Gdy się w ten świat rzeczywisty, najczęściej piękny, a zawsze tak rozmaity wpatruję, zaczynam zwolna pojmować, że można się nim zupełnie zadowolnić, a przynajmniej wierzę, że może wszystkie nasze siły spotrzebować w ten sposób, że nam żadnej próżni nie zostawi!

LXIII.

Listopad.

Tu w tém rozkoszném miejscu odetchnęłam trochę swobodniéj. Zdaje się, że zatrzymamy się tutaj jeszcze czas niejaki, bo zdrowie marszałkowej nie pozwala na rychłą podróż.

Biédna staruszka patrzy dosyć z rezygnacją na zbliżający się kres życia. Ma dosyć spokojne sumienie i opowiada nam wieczorami z życia swego wiele rzeczy, które świadczą o jéj zacnej duszy. Słowa jéj odsłaniają mi nowy świat i nowych ludzi, których dotąd nie znałam, albo miałam o nich zupełnie inne wyobrażenie.

Pan Alfred jest bardzo troskliwy o nią. Siedzi przy niéj po całych wieczorach nie uważając na powaby życia, które poza widokiem staruszki, roztaczają się przed nim w barwach nader ponętnych. Świadczy to o dobrém jego sercu, bo o interes nie można go tutaj posądzić. Wprawdzie marszałkowa zostawi dosyć ładny majątek, a nawet ciocia sama wspomniała o tém, że nicby nie zawadziło, aby notaryusz za dobrych zmysłów staruszki sporządził testament: ale pan Alfred oparł się temu, utrzymując że wolalby zrzec się wszelkiéj nadziei spadkobierstwa, niżeli takim aktem zatrużyć ukochaną stryjenkę.

Przyznasz droga Salciu, że to dzisiaj u młodych ludzi, chciwych świata, jest dosyć rzadkim wyjątkiem!

Mimoto marszałkowa ma się coraz gorzej. Pan Alfred mówił, że wraze niebezpieczeństwa wystarczy ustne jéj rozporządzenie przy świadkach.

Przy tak smutnym obrazie, który mimowoli nasunął mi się pod pióro, nie chcę dłużej pozostać, i wołę raczêj list na tém zakończyć. Myśl ta smutna zbudziła we mnie jakieś dziwnie piękne uczucie!..

Myślę w téj chwili o was osieroconych!..

LXIV.

Listopad.

W liście twoim ostatnim każesz mi sobie zdać sprawę z tego, czém dusza moja obecnie, bez żadnych wrażeń zewnętrznych żyje. Zaiste nie małe to zadanie!

Jestem podobną do ucznia, który po skończonym kursie udał się do domu rodzicielskiego na dwumiesięczne ferye. Po feryach skończonych przywożą go do szkoły, a professor zadaje mu pytanie, na czém to właśnie w zeszłym kursie stanął!...

Otoż i ty tak samo zapytujesz mnie!

Jak uczeń ów, naukę całego kursu szkolnego porzucił częściowo gdzieś na pięknych błoniach stron rodzinnych, pozostawił pod rozkoszami drzewami ogrodów owocowych a wreszcie zatopił z niéj wiele w kryształowych falach płynącej poza dworem rzeki: tak samo wiele z moich skarbów wewnętrznych popozostawało po różnych drogach i stacyach malowniczej podróży mojej!... Niektóre utonęły w morzu, inne wziął wiatr północny i poniósł gdzieś ponad fale oceanu; wiele z nich uczepiło się jak jesienna pajęczyna do monumentów Paryża, i zostały na zawsze za mną!...

Nie uwierzysz droga siostró, jakie to dziwne, elektryzujące wrażenie sprawia widok nieustannie pulsującego wielkiego życia. Najsroźszy ból, najboleśniejsza rana musi tu zaciernąć, bo na ból nie staje się ni czasu!...

Bywało nieraz, po całych dniach patrzyłam z okna mego na bulwary w Paryżu. Dziwny jest tu widok. Tysięczne tłumy tłoczą się nieustannie. Wszystkie twarze, oczy, są rozgorączkowane. Jeden ciśnie drugiego, odtrąca na bok, zostawia w tyle, aby tylko sam jak najprędzej stanął u jakiegoś celu!...

Jakiż cel mają ci wszyscy ludzie? pytałam nieraz siebie. Cóż ich tak na przód popycha, coż tak przyspiesza ich kroki, rozognia ich twarze i oczy? ..

Droga siostró! Odpowiedź na to wypada zawsze dla mnie nader smutna.

Oto ludzie ci dążą naprzód, aby wziąć to, co im świat rzeczywiście dać może! Ręczę ci, że żaden z nich nie pędzi

za jakąś mrzonką, którą dziś w nocy w duszy swojej wykołysał, że goni za jakimś wielkiem szlachetnym uczuciem, któreby mu na resztę życia wielką, jasną gwiazdą przyświecało.... prosto, on goni za czémś nadzwyczaj realnym i korzystnym dla siebie!

Może być, że gdzieś tam zdala od tego tłoku, od tej głównej arteryi świata, gdzieś w jakiś ubocznej, zapomnianej żyłce, bije inne, słabo pulsujące życie, które się żywi bladym światłem gwiazd nocnych i pije chłodny prąd powietrza!.... Być może, że tam gdzieś za temi kolosalnymi murami, albo tam na poddaszu w tych otworach gołębic żyją inni ludzie, są inne warunki i potrzeby życia.... ale to wszystko w obec tej głównej arteryi świata i życia ludzkiego wygląda jakby blade, wątłe, chorobliwe!....

Lepiej, stokroć lepiej, kochana siostrzo, żyć na brzegach Horyni, i tam prócz siebie, prócz złotych marzeń swoich nic więcej nie widzieć, nic nie znać!..

Zaiste patrząc na te tłumy z twarzą pogodną, uśmiechniętą, które nie pragną nic, coby im świat rzeczywisty dać nie mógł, i które wykwinłemi jego darami zupełnie się zadawalniają.... wrywa się z piersi pytanie: kto lepiej świat i życie pojmuje? Czy oni z pełną, rumianą twarzą z mnóstwem wykwinnych fraszek pod pachą, czy ci zwiędli, blade i wychudli, którzy drżąc od zimna i głodu krocą za tym bladym ognikiem, który Bóg w ich piersi rozdmuchał, krocą co raz słabszym krokiem aż do zimnych progów historyi, która nie mniej zimnym rylcem za całą nagrodę, zapisze na swych kartach ich nazwiska!....

Wierzaj mi droga siostrzo, nie ma nic boleśniejszego jak los, jakiego doznają na świecie wszelkie ideały! Czasami pod wpływem rzeczywistości tak się zmarszczą i skurczą, że je radzi odrzucamy od siebie, aby tak bolesnego nie mieć wspomnienia!....

Uczą nas, że narody na Północy mieszkające zabijali z litości i pietyzmu starców niedołącznych, którzy sami sobie i społeczności stawiali się ciężarem. Inni znowu tracili z miłości rodzicielskiej nowonarodzone, brakiem sił albo kalectwem dotknięte dzieci, z tego samego względu.

Czyby nie lepiej było, abyśmy sami w chwilach zachwycenia, powzięte ideały własną ręką zatracali, zaimby

je świat oziębił i pokurczył? Cóż i tak stanie się z nimi, jeżeli im żyć pozwolimy?

Takie dziwne myśli, droga siostró, nachodzą mnie w ci-
chój, bezwietrznej nocy, gdy wszystko wkoło mnie głębokim
snem spoczywa, a nademną tylko milczące świecą gwiazdy,
rozwieszane nad granitowymi olbrzymami Pyreneów!....

W tych myślach szukaj, tylko ostrożnie, odpowiedzi dla
siebie!....

LXV.

Listopad.

Marszałkowa ma się coraz gorzej. Nic jój nie dolega,
nie się nie skarży, tylko siły żywotne słabną zwolna coraz
więcej, pierś coraz wolniej oddycha!

Pan Alfred robi co może aby ostatnie dni jój osłodzić.
Robimy wycieczki w pobliżkie Pyrenee. Marszałkowa od-
bywa te wycieczki w lektyce. My około niój jedziemy na
mułach, albo pieszo idziemy.

Jest to cudny, czarodziejski kraj ta Hiszpania. Może
jeszcze piękniejszym wydaje się dla nas, że na niego tylko
z wyżyn pyrenejskich patrzymy!

Przychodzi mi przytém dziwna myśl do głowy: czyby
nie lepiej było w życiu naszém, gdybyśmy wymarzywszy
sobie jakie szczęście, nie sięgali śmiałą ręką po to szczęście,
ale tak jak my tutaj na wyżynach pyrenejskich, zatrzymali
się, i tylko zdaleka na to szczęście spojrzeli?....

Gdy Mojżesz powątpiewaniem w moc Bożą zgrzeszył,
nie pozwolił mu Bóg wejść do ziemi obiecanej, tylko dał mu
ją widzieć z dalekiej góry.... Czy Mojżesz nie był może
szczęśliwszym, że tylko zdala ją widział w barwach rozko-
sznych, niżeliby wszedł w sam jój środek i ujrzał bryły ka-
mieni i zgniłe jeziora?...

Gdy wczoraj stałam na najwyższym szczycie, dokąd
tylko z panem Alfredem dostaliśmy się, napawałam się dłu-
go czarodziejskim widokiem, aż mi w końcu łzy się puściły
z oczu i serdecznie płakać zaczęłam.

Pan Alfred zdziwił się i zapytał czy przypadkiem ten widok nie przypominał mi co z wymarzonych ideałów, ja-kiemi karmi się nieustannie serce kobiece.

Otarłam łzy i z uśmiechem odpowiedziałam mu:

— Gdybym kiedykolwiek ideały moje do grobu złożyć miała, tobym je tutaj pochowała!

— A jabym im wystawił pyszny nagrobek z białego marmuru!—odparł z uśmiechem pan Alfred i podał mi ramię do odwrotu, bo ciotka właśnie wołała na nas z doliny.

LXVI.

30 listopada.

Dzień wczorajszy był ważną epoką w życiu mojem. Widziałam jak śmierć wygląda.... jak w obec niej wygląda-ją wszystkie nasze marzenia!...

Zaraz z południa widocznie słabła na siłach marszałkowa. Na naleganie ciotki zdecydował się wreszcie pan Alfred, aby zawołać notaryusza.

Smutny jest to epizod w życiu, gdy około łóżka staną ludzie obcy z miną urzędową, aby zapisać ostatnie słowa człowieka, który żyje jeszcze, myśli, czuje, a może nawet i marzy, a już przemawiać musi tak, jakby nigdy nie miał mówić.... Na szczęście trwało to krótko, bo pan Alfred już naprzód wygotował potrzebne w takim razie formularze, aby biednej stryjence nie zabierać przed zgonem kilka dro-gich chwil ulatającego życia!...

Zmierch zastał już nas samych, siedzących przy staruszce....

Powoli gasły promienie słońca, które po raz ostatni zeszło nad sędziwą kobietą.... Gwiazdy wytryskiwały je-dna po drugiej z szafirowego nieba, a migocąca lampa roz-lewała w komnacie coraz jaśniej czerwone światło swoje...

Ciotka modliła się z książki. Był także i ksiądz miej-scowy i pomocnik jego Gaskończyk, który opowiadał nam różne swoje przygody przy umarłych...

Po spowiedzi i położeniu oleju św. odetchnęła wolniej staruszka i zażądała spokoju.... Ksiądz odszedł i zostaliśmy tylko sami swoi prócz usługującej kobiety.

Nie chcieliśmy przeszkadzać śpiącej staruszce. Siedzieliśmy w głębokim milczeniu.

Okolo północy westchnęła staruszka, otworzyła oczy i wyschłą rękę do mnie wyciągnęła. Zbliżyłam się do niej.

— Dziecko moje—ozwała się urywanym głosem—błogosławię ci. Zważ że życie jest tylko jedno, nie odrzucaj tego co ono ci daje i nie odkładaj w niem nic na jutro. Jutro nie nasze, jutro może być już zapóźno! Każda chwila która ubiegnie bez celu, jest stracona!... Alfred....

Tu głos jój ustał. Ruszały się jeszcze usta, ale już słowa żadnego nie usłyszałam!

Zaraz po północy ustał jój oddech, pierś się zapadła, a lewa ręka zawisła bezwładnie....

.....
Ciotka odprawiła służącą, a myśmy jeszcze wszyscy troje zostali przy nieboszce.

Nikt do nikogo nie mówił ani słowa.

Sama, wielka chwila była wymówna!...

Ciotka czytała modlitwy z książki, pan Alfred siedział opodal z głową ręką podpartą. Ja siedziałam w nogach łóżka, a oparłam się o poręcz fotelu, bo mnie w tój chwili siły fizyczne opuściły.

Umysł mój za to był czynnym w dwójnasób. Tłoczyły mi się dziwne myśli, jakieś, niewidziane dotąd rzeczy stawały mi szeregiem przed oczyma!..

Dziwne wrażenia sprawia śmierć człowieka! Ale my zazwyczaj widzimy ją w szatach i akcesoryach straszliwego jój majestatu! Widzimy trumnę, świece palące się, widzimy kłęby kadzidła jako symbol ulatującej duszy... wreszcie widzimy żałobny pochód, słyszymy płacz lub śpiew żałosny i słyszymy w końcu jak grudki rzucanej ziemi uderzają o wieko spuszczonej do grobu trumny!..

I wtedy powiadamy: nieboszczyk!

Z takimi przyborami zazwyczaj staje śmierć przed nami! Po nich poznajemy ją, widzimy w duchu owinioną czarnym całunem i wystawiającą do nas trupie oblicze!..

Ta śmierć, na którą w tój chwili patrzyłam, była zupełnie inną. Tamta straszy nas i trwoży, ta patrzy na nas z twarzą uśmiechniętą, uspokojoną...

Nie jest to śmierć właściwa, jest to dopiero, że tak powiem, przejście z życia do śmierci!...

Patrz na tę staruszkę, leżącą przed nami!... Niema tu jeszcze trumny, ani świec jarzących, niema kadzidła ani pieśni pogrzebowej... a jednak tu już była śmierć...

Tak jest, była... dopiero co wyszła. Jeszcze nie wycisnęła śladów swoich okrutnych, nie zostawiła po sobie tego strasznego napisu, który poeta odczytał w tych dwóch słowach: *Ei fu* (1).

Oto wkoło staruszki są jeszcze wszystkie akcesorya życia. Pod głową leży poduszka ułożona dla wygody śpiącej, głowa pochylona na bok, jakby czegoś przed sobą dojrzeć chciała; jedna ręka na przykryciu rzucona niedbale, druga więcej ku ziemi zwieszona... Twarz biała, czoło jasne, na którym zdają się przebiegać jeszcze myśli albo marzenia śpiącej...

To nie jest jeszcze śmierć... to tylko życie w tej chwili ustało i zrobiła się jakaś pauza dziwna, nieodgadniona, tęsknotą przejmująca!...

Długo wpatrywałam się w ten dziwny obraz między życiem a śmiercią, a powieki moje powoli przymykały się, jakby jakaś niewidzialna siła ciężyla na nich.

I zbudziły się całą potęgą wszystkie marzenia mego życia!.. I przechodziły kolejną około mnie jedne ubrane jak muszki złotoskrzydłe, inne jak bratki i jaskier polny!... I widziałam smutne, jednostajne brzegi Horyni, słyszałam głuchy jęk stepów i oczeretów, tęskną dumę mogił ukraińskich!.. Słyszałam gwary pomówek kozackich i dziwny, straszny brzęk stali...

Wszystko to przesunęło się przed memi oczyma i mieszało się razem w jakiś chaos nierozwikłany.

Jasno tylko i wyraźnie stał przedemną obraz leżącej staruszki, obraz śmierci!

I znowu otworzyłam oczy i wpatrywałam się w ten obraz. Cóż ten obraz mówił do mnie?

Ta twarz zmarszczkami okryta mówiła mi, że była kiedyś również jak ja młodą, pełną marzeń i rojeń dziewi-

(1) Był! Początek znaniej ody Manzoni'ego na śmierć Napoleona.

czych! Ta twarz była kiedyś podziwiana, adorowana!.. Cóż się teraz z wszystkiego zostało? Gdzie są ci, którzy niegdyś przepadali za temi błękitnymi oczyma, za temi złotymi puklami włosów?..

Oto staruszka sama na obcej ziemi usnęła snem wiecznym, otoczona przyjaciółkami, o których gdy była młoda, nawet nie marzyła! Jedyny, najmłodszy jej krewny przyknął jej powieki?

Czémże jest ta marna przestrzeń czasu, która nas dzieli od dnia pierwszego marzenia naszego do pierwszego zimnego uścisku śmierci?

Czyż godzi się dręczyć po nocach bezsennych, czém tę marną przestrzeń czasu wypełnić? Czyż nie jest to nasz egoizm, że chcemy ją zapełnić najwonnejszymi kwiatami?

Kwiaty zwiędną w uścisku śmierci, zostaną tylko dobre owoce życia!

Czyż nie mniejsza o kwiaty, byle tylko owoc był dobry? A sposobności do dobrych owoców nie braknie żadnemu życiu, choćby było najniezszczęśliwsze!..

Takie myśli nachodziły mnie na widok śmierci, który przedemną się roztaczał.

Powoli cichły te myśli, a dawne, w głębi duszy złożone marzenia, wydobywały się jedne po drugich!

Stały mi przed oczy pierwsze moje pragnienia! Były one czyste i jasne jak fala zdrojowa! Widziałam przez nie aż na dno duszy i cieszyłam się, że tam nie było żadnych mętów!..

I odżył we mnie jeden z najrozkoszniejszych snów moich! Sen, do którego często i zawsze wracam, bo on jedynie karmił dotąd spragnione serce moje!..

A wiesz ty, kochana siostró, który to sen?

Jest to ta sama wizya, która przed rokiem prawie odbiła się w nocy miesięcznej na białych arabeskach franki!.. Jest to ta sama postać, którą wtedy widziałam, postać idąca pod jakąś górę z szatą w tył rozwianą!..

Mój Boże! Rumieniec okrył w tej chwili twarz moje gdy to piszę. Słyszę głos pytający: Cóżes uczyniła z tą wizją, z tym snem złotym?..

Nic nie uczyniłam, kochana siostró. Pozostał tém, czém był: snem, wizją!.

Straszna, okrutna jest ta rzeczywistość! Przy zetknięciu się z nią bledną, niktą wszystkie sny nasze!..

I mój sen zbladł, mocno zbladł!..

Gdym właśnie o nim marzyła, zdawało mi się nagle że widzę tę samą wizję, która wtedy na białych szybach okna narysowała się...

Przypominam sobie dobrze, że miałam oczy otwarte. Widziałam w głębi twarz pomarszczoną nieboszki, widziałam jęj rękę ku ziemi spuszczoną...

Mimoto jednak postać owęj wizyi zbliżała się do mnie coraz więcéj. Teraz nawet mogłam lepiéj widzieć twarz jego, niżeli owęj nocy przed rokiem!.. Widziałam twarz dobrze mi znajomą...

Był smutny i blady, jakby wstał po długiej chorobie.

Nieugaszoném pragnieniem serca przyciągałam go z wolna do siebie... pozwoliłam mu oprzeć się o moje ramiona... i uczułam na ustach gorący, rozkoszny pocałunek!

Kochana siostró! To był pożegnalny pocałunek mego ideału!

Otworzyłam oczy. Przedemną stał pan Alfred i trzymał mnie za rękę.

— Może się uda pani na spoczynek?— rzekł do mnie — zostawmy śmierci, co się jęj należy!

— Zostawmy za sobą co już żyć przestało— dodałam bez myśli, i wzięłam podane ramię pana Alfreda!

LXVII.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

10 grudnia.

Dziwne rzeczy mam dzisiaj dla ciebie, drogi przyjacielu! Piérwszy śnieg, który dzisiaj upadł odżywił we mnie rozkoszny sen mego życia. Na takim tle ujrzałem ją przecież po raz piérwszy!..

Wspomnienie to skierowało mimowoli kroki moje pod to okno, do którego odbywam najmilsze pielgrzymki moje, jak muzułmanin do Mekki!

Zastałem dzisiaj w tych oknach jakiś ruch nadzwyczajny.
Dowiaduję się, że przyjadą!

Wiadomość ta, zamiast mnie ucieszyć, nabawiła mnie dziwnym smutkiem.

Czy to jest zwykła trwoga przed każdą chwilą stanowczą, czy jakie złowrogie przecucie, które widzi w najbliższej przyszłości coś bardzo smutnego!..

Czuję obawę i smutek i gotuję się na najgorsze. Zre-sztą, jakikolwiek cios mnie trafi, trafi w ranę już tak obola-łą, że jój boleści więcej nie doda!

Przyzwyczailem się w ciągu czasu do największej bole-ści któraby mnie trafić mogła. Podobny jestem do skazańca, który widzi przed sobą kata i wierzy w śmierć swoją, a je-dnak gdzieś tam w głębi duszy tli jakaś mała iskierka nadziei!..

Otóż ta mała iskierka tylko niepokoi i trwoży mnie w téj chwili, bo po tém, com dotąd słyszał i mógł się domyślić, jestem pewny smutnego wyroku!..

12 grudnia.

Bóg czuwał nademną, że mi zwolna, choć boleśnie, od-bierał nadzieję. Tak jest, drogi przyjacielu, moje nadzieje są dzisiaj ostatecznie pogrzebane!

Dowiedziałem się od Nereusza, że rzecz trzeba uważać za dokonaną. Jowita zgadza się z życzeniem familii i oddaje rękę panu Alfredowi, spadkobiercy nieboszki marszałkowej.

Więc koniec!

Przyznam ci się, że jest w tém słowie rodzaj jakiegóś rozkoszy cichéj, spokojnéj!

Koniec, to strzał, który za sobą zaraz ma kulę... to za-padnięcie kurtyny przy łzawym dramacie... to ostatni kozio-łek spadłego z liny pajaca... to ostatni oddech umierającego na polu żołnierza!..

Zawsze jednak jest to coś dobrego, bo ludzie mówią: „dobrze, że się już skończyło!“...

Nie czuję żalu do nikogo, chyba tylko do téj biednej abstrakcyi, na którą wszyscy się uskarżają, do tego brzydkie-go świata, który ugrząsłszy zaraz po potopie w pozostałym błocie, dotąd w nié m grzęźnie!.. Cóż bowiem w obec téj

zbiorowej potęgi poradzi jeden człowiek, chociażby miał duszę najszlachetniejszą, serce najwznioślejsze?..

Jeżeli więc rzeczywiście jest koniec, to przyjmuję go z rezygnacją...

Ale do końca brakuje mi jeszcze jednej rzeczy.

Muszę ją obaczyć!

15 grudnia.

Dzisiaj w południe siedziałem przed moją sztalugą i szkicowałem na płótnie nowy pomysł do obrazu. Boleść mojej duszy jakoś dziwnie jest produkcyjną. Cisną mi się do głowy najrozmaitsze plany

Otóż wchodzi do mnie... zgadnij kto!.. pan Alfred!

W pierwszej chwili nie umiałem dla siebie wybrać żadnej roli. Adwersarz mój, który całe szczęście moje wziął mi z przed oczu moich, przychodzi do mnie, z grzecznym, gładkim uśmiechem...

Gdybym zamiast palety miał broń nabitą w rękę, mógłbym bez żadnej myśli, tylko prostym wiedziony instynktem, w łeb mu palnąć!

— Spodziewam się—rzekł do mnie—że po wojnie nie ma już nieprzyjaciół!

Zmierzyłem go wzrokiem pogardy, chociaż téj pogardy nie mogłem niczem umotywować. Bo cóż on właściwie zawinił, że był szczęśliwszym odemnie, że urodził się w lepszych odemnie warunkach, aby temu szkaradnemu światu zadość uczynić?...

— Nie wiem — odpowiedziałem z chmurą na czole — jakiej broni używałeś pan w téj wojnie!

Jest broń i są pociski wzbronione nawet w wojnie, prawami narodów...

— Najlepiej na to odpowię panu ta osoba, w której imieniu przychodzi!—odpowiedział spokojnie.

— Nie rozumiem pana — rzekłem zadziwiony.

— Panna Jowita przysyła mnie z bardzo gorącą prośbą!

— Z jaką prośbą?

— Abyś pan temi dniami chciał wymalować jój portret!

— Portret?—powtórzyłem machinalnie, bo z zadziwienia nie mogłem przyjść do siebie.

— Tak jest, portret—odparł spokojnie pan Alfred—chce mieć tę pamiątkę od pana!....

Stałem długi czas w najwyższém zadziwieniu.

— I ja do jój próśby dołączam moją!—dodał pan Alfred z grzecznością człowieka światowego.

— Portret?—powtarzałem raz po raz bezmyślnie.

— I jeżeli łaska—zakończył pan Alfred—ciotka i Jowita zapraszają pana dzisiaj na herbatę!

Jeszcze dobrze myśli moich pozbierać nie mogłem, gdy pan Alfred wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

— Wypełniwszy rozkazy nie zabieram panu drogiego czasu! Człowiek wyższego talentu odpowiedzialny jest za każdą marnie straconą chwilę....

Bez myśli, machinalnie podałem mu rękę. Po dłuższej chwili poznałem dopiero, że sam jestem....

Rzuciłem się na krzesło i zacząłem powoli rozmyślać nad tém dziwném zdarzeniem.

Co to wszystko znaczy? Dlaczego mówił pan Alfred, że ona sama mi odpowie? Cóż znaczy ten portret? Dlaczego zaproszono mnie dzisiaj na herbatę?

Były to pytania, na które odpowiedzieć nie umiałem! Najbardziej tentujące było ostatnie. Obaczyć dzisiaj Jowitę, sama myśl jest już rozkoszą!

Ale jakże stanąć przed nią? Czy raczej jakże ona przedemną stanie? Czy w samém spojrzeniu mojem nie wyczyta bolesnego zapytania, nie uczuje srogiego wyrzutu?....

Bądź cobądź, pójdę. Nie zamieniliśmy między sobą pierścionków, ani nawet żadne oficjalne słowo nie stoi między nami!.... A to, co serca sobie mówiły..... czyż to obowiązuje?

Możemy rozmawiać grzecznie, a nawet dowcipnie, jakbyśmy byli sobie najobojętniejszymi!

Czyż to nie dzieje się często w świecie nawet między tymi, którzy oficjalnie sformułowali sobie uczucia swoje?....

Godzina 1 po północy.

Kończę list przerwany. Byłem na herbacie u ciotki Jowity.

Jowita wygląda cudownie!...

Zbladła, przychudła, spoważniała....

W jej twarzy jest rys nowy, którego dawniej nie było: jest to rys bólu i przebytych cierpień....

Mówiła ze mną wiele, ale dosyć zimno i obojętnie. Mówiła zawsze przy świadkach. Była nadzwyczaj grzeczną i uprzedzającą jak dawna, wypróbowana przyjaciółka, która już inną być nie może; ale nie była ową czujną, wiecznie trwożliwą dziewczicą, która zakrywa rumieniec i maskuje szybsze uderzenia serca....

O portret koniecznie nalega, czekam ją jutro w mojej pracowni z ciotką!

Koniec grudnia.

Przed kilkoma dniami o godzinie jedenastej weszła do mnie Jowita z ciotką.

Zrzuciła płaszczyk swój, zadziwiłem się!

Była dziwnie ubrana. Miała ubiór długi, fałdzisty, lekko na biodrach ściągnięty, podobny do ubioru z okolic Rzymu. Włosy również podobnie miała utrefione z małym, białym, prawie zwiedłym kwiatkiem niedbale zwieszonym nad uchem.... Na twarzy miała wyraz dziwny, chorobliwy. Usta przybladłe ścisnęła jakby z bólu, którego zdradzać nie chciała, a na czole błyszczał majestat nieugiętej woli i rezygnacyi.

Uśmiechnęła się smutno widząc moje zadziwienie, a korzystając z zatrudnienia ciotki rzekła do mnie:

— Czy tak dobrze będzie?

Po tych słowach spojrzała z uśmiechem na szkic mój „przed sądem” i zaczęła pozować na sposób postawy owiej Rzymianki...

Teraz dopiero odgadłem ją!.... Ona chciała pozować jako model!...

Opuściłem pędzle i paletę i spojrzałem rozrzuwniony w te cudowne, szafirowe oczy, tak jak dawniej patrzałem...

Zrozumiała to spojrzenie. Trzymała w ręku kwiatek. Teraz oskubała z niego listki a okazując mi nagą łodygę wyszpepnęła niby do siebie:

— Tyle mam tylko dzisiaj!

I westchnęła.

— Może lepiej będzie żebyś usiadła—ozwała się ciocia.

— Nie, ciociu, ja tak stać będę—odparła smutno i stanęła w pozie Rzymianki w moim szkicu!...

Dwa dni malowałem. Ciotka była zawsze przy nas. Nie wyobrazasz sobie ile bogactwa miałem w tej twarzy!...

Gdy ciotka przeglądaniem drobnych studyów zajęta była rzekłem do niej:

— Chciój mi pani wytłumaczyć ten dziwny wyraz na swojej twarzy, którego dawniej nie było...

— Czyś pan nie kontent z swego modelu?—zapytała z smutnym uśmiechem. Jakiż inny wyraz może mieć Rzymianka w przededniu strasznego wyroku, co ją czeka?...

Obaczyłem łzy w jej oczach.

— Czy ten wyrok jest rzeczywiście tak straszny?—zapytałem.

— Jeżeli przychodzi rozstać się z tém, czém się serce karmi!

— Gdybym wiedział, że ten wyrok narzucony—podjąłem skwapliwie!

— Nie, panie—szybko przerwała—to dobrowolny wybór!

Po tych słowach spoważniała i przybrała wyraz tak spokojny jakby była z marmuru.

Rzeczywiście, tylko tak mogła stać Rzymianka „przed sądem Nerona“!..

Malowałem dalej...

Byłem w tej chwili tylko artystą...

Poświęciłem sztuce wszystko, co miałem najdroższego!..

W kilka dni, gdy właśnie z wykończonego już portretu kopję dla mego obrazu zdejmowałem, wszedł do mnie mój brat Wacław. Był wykwiśnie ubrany i miał twarz rozpromienioną.

Po przywitaniu się rzekł do mnie:

— Cóż! czy ożenisz się z szwajcarką? Czterykroć stotysięcy franków, to nie fraszka!

— Wziąłem to za żart z twojej strony — odpowiedziałem smutno.

— A ja myślałem, że wyprawimy dwa wesela równocześnie!

— Dwa wesela? Jakie dwa wesela?

— Bo ja się żenię! Patrz, oto pierścionek mojej narzeczonej a to portret jej!

Na pierścionku były litery i data. Dalej „memu Wacławowi“. Fotografia okazywała młodą, piękną, z nadzwyczajną elegancją ubraną kobietę.

Zdziwiłem się mocno. Wacław patrzył na mnie rozpromieniony jak zwycięzca.

— Któż jest ta osoba?—zapytałem po chwili.

— Podolanka, z bardzo dobrego domu: ma dwakroć.

— Zlituj się! Gdzieś ją poznał? Jakim sposobem ją uchwyciłeś?

— Poznałem ją w kąpielach zagranicznych, a uchwyciłem moją własną filozofią, moim często przez ciebie wyśmianym systemem filozoficznym!...

— Jakaż to filozofia?

— Nic nie robić na świecie, zaciągać długi gdzie można, starać się o zewnętrzny blichtr, nie gardzić żadnym środkiem, którym fortuna do nas uśmiechać się może, a na wędkę wydawać pieniądze, jakbyśmy mieli szkatułę nie wyczerpaną!... *Mundus vult decipi*, mawiał dawny nasz ksiądz proboszcz!...

Zadumałem się głęboko: bolesne uczucie ścisnęło mi serce.

— Ale ty mi nic nie mówisz o sobie—podjął po chwili Wacław. Ja jednak o wszystkim słyszałem! Szkoda, wielka szkoda, że ci się nie poszczęściło! Ma być bardzo ładna i bogata! Szkoda!

Wskazałem na jej portret. Wacław wpatrywał się długo i nie mógł słów znaleźć unosząc się nad pięknością portretu. Potem zamyślił się, i zaczął chodzić po pokoju.

— Żle, bardzo źle zrobiłeś!—mówił do mnie z politowaniem—mówiłem ci, nie trzeba się chwytać żadnej roboty!

Kto tylko co robi i to za pieniądze, ten już przepadł w tej mierze u nas w oczach pewnej warstwy!.. Po co ci było malować obrazy?.. Mogłeś się podobać i tak, i szczęście zrobić!.. Najgorzejś sobie zaszkodził, żeś kilka obrazów swoich tu sprzedawał!..

— Pieniądze za nie posłałem tobie, gdyś był w niebezpieczeństwie życia!— odrzekłem z boleścią.

— Toś źle zrobił! Lepiej było te kilkaset franków pożyczyć u jakiego głupca, który jeszcze wierzy, że pożyczone pieniądze oddają się, jak za dobrych, patryarchalnych czasów!..

Zamyśliłem się głęboko nad tą dziwną filozofią życia, której jednak lepiej powodzi się od mojej..

Ale po chwili wyprostowałem się i zdawało mi się, że w całym nieszczęściu mojem jestem wyższy od tych szczęśliwców o całe niebo!..

A nawet w sercu w tej chwili nie zazdrościłem im tego szczęścia!..

Brat mój chodził ciągle po pokoju jakby nad czémś przemyśliwał. Wreszcie stanął i ozwał się:

— Sądzę, że sprawy nie powinieneś uważać za przegraną. Ładna i bogata. To rzadko się trafia. Trzeba o nią jeszcze walczyć!.. Mogę ci nawet podać broń wyborną!

Więcej z ciekawości niżeli w rzeczywistym zamiarze podjęcia walki spojrzałem na Wacława z zapytaniem.

— Z Alfredem—mówił tenże—byliśmy w różnych stosunkach. W pewnym względzie postąpił on sobie, między nami dosyć hazardownie. Mam na to list jego jako dokument. List ten kosztował go wiele. Mogę dla ciebie zrobić ofiarę. Masz go tutaj. Idź i okaż go pannie, a rzecz może się rozerwać....

Z ciekawości wzięłem list i zacząłem czytać.

Smutno, bardzo smutno mi było. List ten traktował nader brzydką, brudną sprawę. Rzucała one haniebne światło na charakter narzeczonego Jowity. Odślaniał go z tej strony, o jakiej nawet wyobrażenia nie mogła mieć biedna narzeczoną!.. List ten mógł rzeczywiście wszystko rozerwać!..

Nie umiem opisać, jakie uczucie owładnęło mnie w tej chwili. Czy to była czysta, beziinteresowna obawa o los niewinnej kobiety, która o szczęściu marzyła, czy wrodzone sercu naszemu pragnienie, aby odebrać to, co niejako już jego własnością było; czy wreszcie ukryta żąda zemsty i piekielnej zazdrości, aby wśród gotującego się wesela z szyderskim krzykiem wpaść między biesiadników i roztluc im przytknięte do ust puhary?... Nie wiem! Dosyć, że postanowiłem w tej chwili zrobić użytek z tego listu i natychmiast udałem się do Jowity...

Na korytarzu zastałem różne paki. Przedpokój był otworzony. Leżały tam także paki. Wnosiłem ztąd, że mieszkańcy gotują się do odjazdu....

Z przedpokoju prowadziły do salonu drzwi szklanne. Dawniej były osłonięte białą firanką. Dzisiaj już tej firanki nie było. Zajrzałem przez szyby do salonu...

W głębi salonu obaczyłem dwie postacie: była to Jowita i Alfred.

Alfred siedział i przewracał w jakimś albumie a Jowita stała przy nim i ręką jedną dotykała się jego ramienia....

Był to cudowny obraz. Zdawało mi się że widzę anioła-stróża około grzesznego człowieka....

I dziwne uczucie owładnęło mnie. Zapytałem sam siebie:

W jakim celu przyszedłem tutaj? Czy broń, jakiej chcę użyć jest szlachetna? Jakiż będzie jej skutek? Czy Jowita weźmie to za przysługę przyjaciela, czy za poziomą zemstę? Na cóżby jej ta przysługa się przydała? Wszak wybrała sama, miała zapewne ważne do tego powody. Może nie chciała widzieć ciemniejszej strony, może widziała i pobłażyła?... A gdyby nawet list ten rozerwał wszystko, czyż niemożnaby mnie wtedy posądzić o pobudki egoistyczne?...

Stałem niejakiś czas w ciemnym przedpokoju i zdawało mi się, że już żywym nie wyjdę, że skamienieję w posąg kamienny!...

Wreszcie odetchnąłem głęboko, a myśl jaśniejsza była mi przed oczyma. Rzekłem do siebie:

— Nie, tych dwojga ludzi nie mogę rozerwać w ten sposób. Byłby to sposób nieszlachetny. A zresztą, któż może odgadnąć, dlaczego właśnie takimi drogami prowadzi Bóg ludzi z idealniejszym pragnieniem duszy? Może właśnie ten brzydki człowiek potrzebował tak idealnej kobiety, aby go choć trochę z jego błota podniosła?.....

.....Czy go podniesie do swoich wyżyn, czy razem z nim upadnie?... to właśnie należy do dalszej historii jej życia!...

.....W najlepszym razie, będzie to zawsze piękna, wzniosła—tragedya!...

.....Będzie to walka dobrego ze złem..

.....Świat zły to *fatum* starożytne dla każdego ideału!

.....Upadający pod brzemieniem walki bohater upada, ale z wieńcem na głowie!

.....
Odszedłem z przedpokoju, list podarłem i rzuciłem na schody!

Za dwa dni wyjechała ciotka z Jowitą do Horynina. Tam ma się odbyć wesele.

Pan Alfred dla różnych sprawunków wyjechał do Paryża.

Na drugi dzień otrzymałem pocztą list z pieniędzmi. Było paraset talarów. Otworzyłem i przeczytałem podpis ciotki Jowity. List był grzeczny, pieniądze za portret!

Nie było w tém nic dziwnego, jednak był to dla mnie cios najboleśniejszy!...

Pojąłem, czém właściwie dla świata poziomego jestem! Czy może być inaczej?...

.....
Pieniądze za portret Jowity paliły mnie. Był to cios wymierzony w drogi mój ideał!...

Lecz któż w tém winien?... Nie, tu nikt nie winien, winę weźmie chyba na siebie znowu ta okrzyczana tyle razy abstrakcja, którą „światem” nazywamy!...

Wyszedłem na ulicę. Chciałem rozerwać umysł mój zachmurzony.

Spotyka mnie jakiś biedny człowiek. Ręce drżą mu od zimna, w oczach ma łzy.

— Panie—woła na mnie zdaleka—pan znasz zapewne pana Alfreda,*** widziałem go z panem!

— Na cóż panu téj wiadomości?—zapytałem.

— Odjechał, uciekł po prostu, a ja mu dałem jedyne moje pieniądze! Mam pięcioro dzieci, jestem nieszczęśliwy!... Stałem na chwilę przy biednym niemcu a myśl dziwna przyszła mi do głowy.

— Masz skrypt?—zapytałem.

— Nie, panie, list tylko!—odpowiedział z rozpaczą.

Wstąpiłem do cukierni, przeczytałem list, sprawdziłem podpis, wypłaciłem niemcowi i kazałem na liście zakwitować.

Teraz odetchnąłem swobodnie. Pozbyłem się pieniędzy, które mnie piekły. Pochodziły one z tego samego źródła, na którym ciążył także ten dług listowy!...

Za dwa tygodnie porzucę to miasto, w którym odbył się mój pierwszy i ostatni romans w sposób tak dziwny!... Wyjadę do Paryża.

LXVIII.

Paryż, 20 stycznia.

Za list twój i za pociechę przyjacielską serdecznie ci dziękuję. Uspokoilem się, tylko czasem mi przykro, gdy się ludzie około mnie za wiele śmieją... Czuję, że w głębi duszy tkwi jakiś cierń, ale nie przeszkadza mi w codziennéj pracy mojej. Pracuję wiele. Obraz mój „Przed Sądem” bardzo mi się podoba!...

Słusznie mówisz, że boleść życia wydaje dobre owoce. Być może, że każdy talent potrzebuje takiej boleści życia, jaką przejmowali się pierwsi wyznawcy Chrystusa, tworząc dzieła wiekopomne...

Nie rozumiem pod tém ascetyzmu, który tylko duszę ziębi i serce wysusza, ale pewną rozsądną powściągliwość od świata zewnętrznego, która nam siły nasze wykrada!...

Otóż ten spokój, tak potrzebny do tworzenia, mam dzisiaj. Do świata nie przychodzę z żadną gorączką, nie pragnę od niego tego, co mi odebrał, a jedyném szczęściem mojem będzie, jeśli z mojej zranionéj duszy wysnuję i dam mu to, czego on nie ma!...

Wczoraj byłem w *bois de Bulogne*. Dzień był piękny. Mnóstwo ekwipażów przesuwało się przedemną.

Jeden ekwipażyk zwrócił uwagę moich towarzyszy. Młody człowiek siedział w nim z jakąś damą, dosyć excentrycznie ubraną.

— Ach! — zawołał mój towarzysz — pan Alfred i Mlle Caelestine!

— Czy wiesz gdzie mieszka pan Alfred — zapytałem skwapliwie.

— *Hôtel de Louvre!*

Nazajutrz zapukałem do drzwi pana Alfreda.

— Mam panu to oddać — rzekłem podając mu list jego z pokwitowaniem kilkustu talarów.

Pan Alfred przeczytał i zaczerwienił się.

— Czy mogę zapytać — ozwał się nieśmiało — z jakiego źródła były te oddane pieniądze?

— Z tego samego co i posag panny Jowity. Miałem je od ciotki.

Pan Alfred zarumienił się jeszcze więcej. Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Nie objął jeszcze myślą tego faktu, a lękał się czegoś, co mogło być poza tém...

— Kiedy pan odjeżdżasz do Horynina — zapytałem chłodno.

Patrzył na mnie chwilę i odrzekł:

— Jutro!

Nazajutrz przechodząc około hotelu zapytałem o pana Alfreda:

Wyjechał rzeczywiście.

Listopad. 1868.



HISTORIA O PANI CO PANA ZABIŁA.

OFIAROWANA

Kazimierzowi Władysławowi Wójciokiemu.

Nieszczęśliwa godzina
Bogdaj nigdy nie była,
Stała nam się nowina:
Pani Pana zabiła.

Z miłym gachem we zgodzie
Chowała go w ogrodzie,
Lilii, rutki nasiąta,
A siejący, śpiewała:
„Rośnij rutko, lilia,
Jeszcze wyższa niżli ja.
Okryj lilio te ślady,
Lilio, rutko nadobna,
Niech nie myślą sąsiady,
Że ja na to sposobna.”

Przyjdzie deszczyk we wiośnie,
Drobna rutka porośnie;
Przyjdzie rosa, posieje,
Biała lilia bieleje.
A wysoka, a cienka,
Srebrna na niéj sukienka.
Przed wiatrem się ostoi
Sam ją Pan Bóg tak stroi,
I Marya cudowna,
Lilia kwiatów Królowna.

Rozpędziła zła żona,
 Wszystkie sługi od domu;
 „Fora! sługi, hej! fora,
 Nie bywać tu nikomu.”
 Ile było godnych sług,
 Opuściło pański próg.

Podziwią się sąsiedzi:
 Z kim tu człeku rozmowa;
 Tylko ślepy tam siedzi,
 Tylko niemy, niemowa.

Jadą goście od pola,
 Od samego Podola;
 A koniki bułane
 Bije piana na pianę.
 Od dalekiej, od drogi
 Srebrne, złote ostrogi.

Wietrzyk z pola zalata
 Czaplą kitką zamiata,
 Futra na nich a rysie,
 Złota zbroja świeci się;
 Jadą, jadą od Turka,
 Skrzydeł szumią im piórka.

Najmłodszy się wysunie
 Na koniku biegunie,
 Puści konia by ptaka,
 Za nim bracia poskaka.

Jadą, jadą we dworzec,
 Na ramieniu toporzec...
 Huczno, szumno, bogato,
 Z dywdykami, z makatą;
 Ze zdobyczą daleką,
 I do siebie tak rzeką:

„Jak zajedziem w bracki dwór,
 Ma tam sąsiad cztery cór.
 Cztery córki, my czterzy,
 Zgodzimy się na brata,
 Niech za nami kołata
 O żony dla rycerzy...”

Zgoda, zgoda na swaty,
 Zabrzękneły bułaty,
 Konie igrzą pod nimi,
 A grzywy aż do ziemi.

Zajechali przed wroty,
 Chwast się wieszca na płoty;
 Chwycili się za głowy,
 Czy to dworzec bratowój? ..

Obejrzą się dokoła,
 Nie ma charta, sokoła;
 Chart nie bieży z daleka,
 Ni im sokół zaskrzeka.

Toż się bracia zabiedzi
 Z kim tu człeku rozmowa?...
 Jeno ślepy tam siedzi,
 Jeno niemy, niemowa.
 Zajechali we dworzec,
 Na ramieniu toporzec.
 —Któż tam z gości tak rano?
 Przede zorzą rumianą....
 —Otwórz, otwórz bratowa,
 Szczęśliwa ci godzina;
 Nabierz się złoto-głowa
 Z poganina, Turczyzna.

Otworzyłać wierzeje,
 A śmieje się nie śmieje.
 I coś prawi ze sromem:
 „Gospodarz ci za domem....
 Sam król pisał dwa listy,
 I królowa dwa wtóre,
 I do Litwy lesistój,
 Odjechał ci nie w porę.
 Goni sarny, jelenie,
 K'temu ja tu pół wdowa,
 Ani wyjrzyć wprzedsienie,
 Ni ja panna, ni wdowa:
 Jeno ludzka obmowa.

„Lecz przy boskiej nadziei
 Przecie wróci ze kniei,
 Po swojemu z hałasem
 Z kordelasem za pasem;
 Ze sobolem u troka,
 Ze sokołem u boka.
 Ze krzaczystym jeleniem,
 Z dobrym wiatru powieniem.
 Pijcież wino z szklenicy,
 Aż mój wróci najmilszy.”

Siedzą bracia panowie,
 Piją, gwarzą, czekają,
 Czapki sute na głowie,
 Pod bokiem szable mają.
 Siedzą, gwarzą jak w raję,
 Piją wino Tokaju.

Ubieżało dość czasu,
 Pan nie wraca od lasu.
 Wyjrzą bracia wieczorem,
 Tuman stoi nad borem;
 Wyjrzą bracia nad ranem,
 Igrzą wiatry z tumanem.

Wilcy wyją, las chmurzy,
 Czas się dłuży, oj dłuży.

— Pijcież bracia a jeszcze.
 — Lecz coś bratu nie sporo.
 — A to burza, to jeszcze
 To u króla komorą.’
 Tak ich pięknie zagada,
 A radaż im, nie rada....

Czekać dłużej nad siłę,
 Już i wino nie miłe,
 Małmazya, maślaki,
 Same pańskie przysmaki.

Raz po nocy brat młody,
 Okrutnie się zatroska,
 Wedle onęj przygody,
 Aż tu patrzeć moc boska.

W głuchój sadu ustroni,
 Lilia w lilią zadzwoni,
 Jeden w drugi dzwoni kwiat,
 Głucha nocka, cichy świat.
 By po zmarłym podzwonne,
 Dzwonią lilie postronne;
 Aż te dzwonki, aż głosy,
 Osiadają na rosy....

— „Nieszczęśliwa godzina,
 Bogdaj nigdy nie była,
 Stała nam się nowina:
 Pani Pana zabiła.

Zabiła go w noc ciemną,
 Chowała go podemną;
 Rość mi w górę kazała:
 Roczek temu bez mała.

Onój ręka krwią ścieka,
 Nie splucze ją łez rzeka;
 A ja biała ja srebrna,
 Matki Boskiej służebna.
 Dzwonię w kwiaty, nie dzwonię
 Po dalekim zagonie,
 Czyli świtem czy zmrokiem
 I po lesie głębokim.
 Gdy się zorza zabieli
 Trzęsą we mnie anieli.
 Jak w lilią zadzwonią,
 Działki łezki uronią
 I ptaszyna się żali
 Z kalinowych korali.
 Nikt nie widział po nocy
 Oprócz Boskiej wszechmocy.

Pięć lilii, trzy ruty,
 Dzwonim Panu na nuty;
 Nikt za dzwonek nie płaci
 Bo my kwiatki bogaci.
 Kołyszem się w kolebie,
 Co mgły nosi po niebie.
 Matka rosa nas myje,
 Anioł stroi lilie,
 I Marya cudowna,
 Lilia kwiatów Królowna.
 Piastuje nas noc głucha,
 Prostuje nas posucha."

Na te głosy liliowe
 Brat się chwyci za głowę,
 Białe lilie i rutki
 Odział miesiąc cichutki.
 Stoją rosy obfite,
 Kłosa łzami pobite.
 Lilia kwili po chwili:
 — „A kto boski wzrok zmyli?
 Na nic złość się nie przyda,
 Święta ziemia ją wyda.
 Ani noc jój okryje,
 Nie zagają lilie.
 Ni jój słońce nie spali,

Ni ją ziemia ocali;
Ni się z wodą przeleje,
Ni się z wiatrem przewieje..."

Zabiadałże brat młody,
Otarł blade jagody;
Pożałował się bratu,
Podziwował się światu...

Ranek świta, huczno, gwar,
Jadą bracia w ciemny jar.
I bratowa w orszaku,
We złocistym kołpaku:
Na niej futra, manele,
Patrzy śmieie, nie śmieie.

Jadąż, jadą na łowy,
Gdyby głusi niemowy.
Ni to sokół podfruwa,
Ni podkowa pokuwa.
Nie załają ogary,
Trąbka nie grzmi na jary.
Szumią jodły a buki,
Wrony kraczą, a kruki.

Zajechali w gęsty las,
Opadł ci ją złoty pas.
„Nie chylaj się bratowa,
Nieboszczyka katowa.
Szumnym lasem mgły będą,
Mgły cię pasem oprzędą.”

Zajechali w las mglisty,
Spadł jój kołpak złocisty.
„Nie chylaj się daremno,
Brat ci kupił na gody,
Nie byłaś mu wzajemną:
Nie zdał ci się brat młody.

Cóż po czaplím, po piórze;
Czapłę zabił dla ciebie,
Gdy leciała we chmurze,
Siwym ranem po niebie.”

Przejechali gościeniec,
Spadł jój złoty pierścieniec.
„Nie chylaj się bratowa,
Boś się z bratem rozwiódła.”

Rzeką bracia dwa słowa,
Rażno z skoczą ze siodła.

Darmo klnie się, przeklina,
Choć nie rychło, już ci czas;
Jest tam sucha buczyna,
Jest tam brata długi pas.

O bratowój o szyję,
Złoty pas się owije.

Powiesili na buku,
Jako głuszca u troku.
Lećże wrono i kruku
Szukaj, pukaj po boku,
Niechaj szuka, niech puka,
Czy się serca doszuka

Jadą bracia, hej! jadą,
Lecą kruki gromadą.

Florenoya, 1869 r.

Teofil Lenartowicz.

MOJA KOCHANKA.

Do J. B.

Kto ty jesteś? piękna pani,
Piękna a taka uboga?
Dawnośmy już sobie znani,
Ciebie ze wszystkich najraniem,
U chaty witałem proga.

Gdy dobra matka nademną
Płoszyła muchy natrętne,
Albo gdy było już ciemno
Pieśni śpiewała pamiętne,
Zapomnieć trudno, daremno.

Piérwszy ja witałem ciebie
Na chaty patrząc okienka,
Gdzie po kratkowaném niebie
Szła moja ranna jutrzenska,
Ku dziecka świecąc kolebie.

Ciebie szukałem, królowo!
 Gdy słońce gaśło za lasem,
 Gdy w sercu było tak rzewno,
 A zorza drżąco, niepewno,
 Złocistym świeciła pasem.

Ciebie w przyjaciół orszaku,
 I w jedném widział niewieście....
 Równie na kwiecistym szlaku,
 Jak w zwiędłych liści szeleście,
 Witalem cię, złoty ptaku!

Ciebie poznałem w niedoli,
 W pustyniach pełnych tęsknoty
 I w tém, co najwięcej boli:
 We wzgardzonych łzach sieroty,
 W zapoznanéj życia roli.

Dziś kiedy stopy pielgrzymie
 Ciągnąć już dalej nie mogą,
 Powiedz mi piękna! twe imie
 I czemuś taką ubogą,
 Ty moja w wieśniaczym dymie?

Czemu? odpowie mi na to:
 Perły me oddałam kłosom,
 Góry okryłam swą szatą,
 Brylantów skrzynię bogatą
 Na płaszczy oddałam niebiosom.

Morzu, wzorzyste korale,
 Śniegom srebrzystą bieliznę,
 Srebro na lecące fale,
 Złoto rozsiałam wspaniale
 Na szumiące łany żyzne.

A dla mnie? piękna bogini!
 Nic nie przypadło z twéj skrzyni,
 Gdyś obdarzała, sownie
 Na świat rzucając twe stroje?

Z tobą szłam przez całe życie,
 Tobiem oddała łzy moje.

T. Lenartowicz.

MACLEOD I BANKI ANGIELSKIE.

PRZEZ

Felixa Zielińskiego.

Ekonomista (rok 1867, półrocze 1. str. 49-64) zamieścił artykuł p. Obiezińskiego pod tytułem: Teorya kredytu podług H. D. Macleoda. Artykuł ten dokładnie i treściwie napisany, po raz pierwszy, ile mi wiadomo, zwrócił u nas uwagę na teoryę Mac Leoda. Jeżeli mniej niżby życzyć należało przyczynił się do jej rozpowszechnienia i pozostał bez odgłosu, pochodzi to może stąd, że p. Obieziński biorąc za podstawę swego sprawozdania, jedno tylko z dzieł Macleoda, jego początki ekonomii politycznej (1), streścił teoryę Macleoda w szeregu oderwanych pojęć, uczynił ją więc dostępną tylko dla niewielu wybranych, rozumiejących język abstrakcyi i dobrze już obeznanych z naczelnymi zasadami nauki.

W piśmie niniejszém chcemy dać poznać Mac Leoda z innęj, więcéj praktycznéj strony.

Na dnie każdego systematu, powiedział Goethe, leży zwykle pewne spostrzeżenie (aperçu) z rzeczywistego życia wzięte. Uznając stosowność tej uwagi, będziemy się starali wykazać, wśród jakich okoliczności powstał system Macleoda, jakie zasadnicze spostrzeżenie stało się powodem jego utworzenia.

(1) Dzieła Mac Leoda wyszły w następującym porządku:

1. Teorya i praktyka banków (The theory and practice of banking) Tomów II, 1855 i 6.
2. Początki ekonomii politycznej (Elements etc.) T. I. 1858.
3. Słownik ekonomii politycznej (Dictionary etc.) Wyszedł tylko T. I. w 7 zeszytach obejmujących litery A. B. i C. 1859—1863.
4. Teorya i praktyka banków w drugim przerobioném wydaniu. Tomów II. 1866.

Rozczytawszy się w dziełach Macleoda, nie trudno to zasadnicze spostrzeżenie wysledzić. Jak temat w kompozycji muzycznej, w najrozmaitszy sposób przerabiany, ustawicznie jednak powraca narzucając się, że się tak wyrazimy, pamięci słuchacza; tak i w dziełach Macleoda, zwłaszcza w jego słowniku, tylekroć jeden i ten sam fakt jest przedstawiany, tak dotkliwie wyrzuty spotykają dawniejszych ekonomistów za to, że fakt przez Macleoda podniesiony przeoczyli lub nie zwrócili nań dostatecznie uwagi, że i pobieżnego nawet czytelnika uderzyć musi niezwykła ważność jaką MacLeod do tego faktu przywiązuje. Wejrząwszy w rzecz bliżej, przypatrując się rozwojowi myśli autora, znajdziemy że pierwotny jej związek tkwi w owym fakcie, który tak mocny wpływ wywarł na kierunek prac Macleoda. Nie dość przecież wykazać fakt będący punktem wyjścia autora. Ażeby ten fakt wyrozumieć, jego doniosłość ocenić, należy zbadać okoliczności wśród jakich fakt się pojawił. Oznaczyć położenia punktu nie można inaczej jak w odniesieniu do płaszczyzny na której punkt leży. Płaszczyzną na której się znajduje punkt wyjścia Macleoda, są stosunki kredytowe angielskie, wywołane monopolem banku angielskiego.

Przedstawienie teorii Macleoda musimy zatem połączyć z podaniem zarysu stosunków kredytowych angielskich, poczynając od założenia banku angielskiego.

Cheąc głębiej w tę rzecz wniknąć, napotyka się trudności, które zupełnie przewyciężyć nie jest możliwem. Wszystko co się odnosi do kredytu, było w Anglii długo okryte osłoną nieprzejrzanej tajemnicy, która dopiero w ostatnich kilku dziesiątkach lat stopniowo uchylać się zaczęła i dziś jeszcze w zupełności uchyloną nie jest. Do roku 1833 bank angielski nie ogłaszał żadnych sprawozdań. Tooke w swoich uwagach o stanie cyrkulacji (1826 wydanie drugie str. 33) powiada: „Dyrektorowie banku angielskiego starają się, ze szkodą publiczności a żadnym dla banku pożytkiem, okryć osłoną tajemnicy wszystkie swoje działania. Wezwani przez parlament w ciągu ostatniej kadencji o udzielenie wykazu wypuszczonych przez siebie biletów, uznali za stosowne odmówić temu żądaniu.” „Wysokość dyskontów, stan kassy banku starannie były dotąd ukrywane przed okiem publiczności. Zniwolonoy do udzielenia w tym przedmiocie wiadomości komitetom parlamentu z lat 1797, 1810, 1819, bank podał ją w sposób tajemniczy, wykazując w procentach stopień fluktuacji” (tamże str. 78).

P. Wołowski w dziele swoim o Banku Angielskim i Bankach Szkockich, wydanem w r. 1867, pisze: „Nasi sąsiedzi (Anglicy) nie lubią sprawozdań i nie mają na nie czasu. Nic treściwszego nad raporty przedstawiane zebraniom akcyonaryuszów, zwłaszcza przez zakłady finansowe. Wielką oględność panuje w tych powiadomieniach”. „Nie można wiedzieć”, mówi tenże autor, „jaki jest w bankach angielskich stosunek summ przekazowych i złożonych na rachunek bieżący, do summ depozytowych, z terminem wypłaty za 1. 3. 6. i 12 miesięcy. Jest to tajemnica religijnie strzeżona

przez banki. Akcyonaryusze o niej nie wiedzą, drukowane sprawozdania nie rzucają żadnego światła na przedmiot, obejmując w jednej pozycji wysokość wszystkich summ zdeponowanych." W takich okolicznościach nie może zadziwić że zapytany przez pana Wołowskiego dyrektor jednego z głównych banków edynburskich o wskazanie dobrego specjalnego dzieła o bankach szkockich, odpisał mu: „Z żalem wyznać muszę, że nie ma dobrego dzieła o bankach szkockich (1).”

Nauka potrzebuje dostatecznych danych, na którychby mogła sąd swój oprzeć i zasady swoje ustalić. Skutkiem braku tych danych w Anglii jest, że dotąd między ekonomistami angielskimi panuje największa sprzeczność zdań w przedmiotach kredytu i cyrkulacji. Nietylko istnieją różne szkoły i zasady jak bankowa (banking principle), monetarna (currency principle), Birminghamska (2), zasada Alisona, ale pisarze jednej nawet szkoły inaczej zasady jej pojmują i wręcz sobie przeciwne wnioski z nich wyciągają (3). Wszyscy uskarżają się na tę różnicę w zdaniach, parlament unika ile możności kwestyi z cyrkulacją związek mających, gdy te do nieskończonych rozpraw dają powód; finansieści i mężowie stanu jak Baring i Lord John Russel przyznają, że rzecz jest dla nich nie wyjaśnioną (p. Tooke History of prices V 539), a pan d'Israeli wyrzekł nawet, że prócz miłości, nie ma nic coby tak wiele ludzi o utratę rozumu przyprawiło jak kwestya cyrkulacji.

Brak źródeł informacji doprowadził Mac Leoda, jak zobaczymy niżej, do mylnych twierdzeń co do rozciągłości zastosowania niektórych form kredytu, o czém przed rokiem 1865 nie było żadnych pewnych danych. Nie chcąc zstępować na grunt tak chwiejny, przedstawimy w ogólnym zarysie dzieje kredytu angielskiego, odróżniając dane pewne od niepewnych i przedstawiając nieco obszerniej samo tylko zawieszenie wymiany biletów przez bank angielski w latach od 1797 do 1821, jako ważny a dokładniej niż inne wyswiecony szczegół tych dziejów.

(1) Wołowski. La banque d'Angleterre et les banques d'Ecosse str. 489. 117. X.

(2) W pracowitym i w ogóle dokładnym artykule p. Załęskiego p. t. Cztery szkice ekonomiczne, zamieszczonym w *Ekonomiście* rok 1866, półrocze 2. str. 30—100 niewłaściwie Szkoła monetarna ciągle jest brana za jedno ze Szkoła Birminghamską. Szkoły te opierają się na zupełnie sprzecznych zasadach.

(3) Jaka np. różnica zdań zachodzi pomiędzy przeciwnikami bilu z r. 1844 jak Wilson, Tooke i Macleod. Wilson przemawiał za biletami drobnymi (na 1 funt ster.). Tooke jest przeciwnikiem tych biletów. Tooke jako główną wadę bilu z r. 1844 wskazywał, spowodowaną skutkiem przepisów tegoż bilu zbytnią zmienność w stopie eskonty. Macleod (*Theory*. wyd. 2-gie II. s. 226) uważa tę zmienność za konieczną i mówi że częste i wielkie zmiany w stopie eskonty od r. 1844 przynoszą świadectwo na korzyść bilu.

Bank angielski powstał w r. 1694 na podobieństwo włoskich Monti, jako upoważnione przez parlament stowarzyszenie wierzycieli rządowych. Po raz pierwszy wprowadzono wówczas do Anglii sposób zaciągania długu rządowego w formie renty wieczystej. Od pożyczonej summy 1,200,000 funt. ster. rząd obowiązał się płacić stowarzyszeniu rocznie 100,000 funt. ster. a nadto dał mu przywilej wypuszczania biletów obiegowych do wysokości pożyczonego rządowi kapitału, pozwolił handlować wexlami, złotem i srebrem, pożyczać na zastaw towarów z możliwością ich sprzedania we trzy miesiące po uchybionym terminie wypłaty, a nawet nabywać nieruchomości.

Bank założony przez Wigów w widokach pomocy finansom, wzbudził od razu opozycję przeciwników króla Wilhelma III. Twierdzili oni że bank osiągnie szkodliwy dla kraju monopol (1). Przewidywania te niebawem jak zobaczymy ziścić się miały.

Wprawdzie ani pierwotna ustawa, ani akt nadawczy banku nie zawierały żadnej wzmianki o wyłączności przywileju udzielonego bankowi. Spółzawodniczący w radach Wilhelma III z Wigami Torysi zamierzeli owszem w r. 1696 utworzyć bank ziemski (Land Bank), projektowany przez Chamberlaina na większą skalę niż bank angielski, bo z kapitałem wypożyczyć się mającym rządowi ft. st. 2,564,000. Bank ten miał wypuszczać bilety obiegowe i pożyczać je właścicielom ziemskim na 3^o/. Jakkolwiek projekt banku ziemskiego zatwierdzony został przez parlament, kapitał zakładowy w małej nawet części zebrany być nie mógł (2) i projekt wcale w wykonanie nie wszedł.

Ta okoliczność a może i inne powstające równocześnie projekta, na których wówczas nie schodziko, stała się powodem, iż bank angielski, którego kredyt po krótko trwałem powodzeniu mocno w r. 1696 zachwiany został a nawet wymiana biletów wstrzymaną być musiała, przy okoliczności powiększenia kapitału zakładowego, żądał od parlamentu upewnienia, że w ciągu trwania jego przywileju żadne inne stowarzyszenie bankowe nie będzie przez akt parlamentu upoważnione ani tolerowane. Takie zastrzeżenie weszło do ustawy banku z r. 1697. Akt z r. 1697 nie nadał jeszcze bankowi monopolu; bronił go wprawdzie przeciwko stowarzyszeniom uprzywilejowanym, ale nie wyłączał banków założonemi być mogących przez osoby pojedyncze lub przez spółki prywatne, przywilejem korporacji nie nadane.

Około r. 1708 spółka pod nazwą: „The mine adventurers of England” której naczelnikiem był Sir Humphry Mackworth, zaczęła robić interesa bankowe a mianowicie wypuszczać bilety obiegowe.

(1) P. Burnet, History of his own times. Ustęp przywiedziony w Gilbert'a the history and principles of banking. Wydanie 2-gie s. 27.

(2) Zebrano podpisów tylko na 2100 L. oprócz 5000 które dał król.

Wypuszczanie biletów było wówczas uważane za cechę charakterystyczną przedsięwzięć bankowych. Istotny założyciel banku angielskiego, Michał Godfrey, który przywiódł do skutku projekt podany przez Pattersona, domniemany autor broszury wydanej w r. 1694 p. t. „Krótka relacya o zamierzonym banku angielskim” (1) mówi wyraźnie:

„Jeżeli właściciele banku będą mogli utrzymać w obiegu swój kapitał zakładowy 1,200,000 L., nie mając jednocześnie jak 2 lub 300,000 leżących w zapasie, bank przyczyni krajowi 900,000 do miliona gotowizny, i takąż summa która musiałaby być użyta na to co bank załatwiać będzie, zostanie zwróconą do innych przedsięwzięć.”

Drugi z dwóch głównych środków przysposobienia bankowego kapitału, depozyta, wówczas i znacznie później jeszcze mniejszego był znaczenia. Wprawdzie w Londynie mieście handlowcóm i bogatém, jeszcze przed założeniem banku angielskiego był zwyczaj składania pieniędzy u złotników, którzy powierzonych im depozytów do obrotów na czas krótki używali. Bank angielski od początku swego istnienia miewał sobie powierzane depozyta; ilość ich wszakże w pierwszych czasach nie była znaczna. Do roku 1807 bank angielski nie kontrolował nawet depozytów prywatnych oddzielnie od rządowych. Z wykazu zamieszczonego w powołaném dziele Gilberta od 1778—1839 (s. 74, 75), przekonać się można że przed rokiem 1781 ogół depozytów obu rodzajów nie dochodził pięciu milionów funtów szter., a dopiero w latach 1805—1817 stale prawie przenosić począł 10 milionów. Zamieszczone przez tegoż autora wykazy oddzielne publicznych i prywatnych depozytów, w przecięciu roczném za lata 1807—1831, świadczą że depozyta w owym czasie były przeważnie publiczne; prywatne z wyjątkiem 1814 r. wynosiły w przecięciu roczném przed r. 1823 od jednego do dwóch milionów, a dopiero w roku 1828 przeszły sumę pięciu milionów. Przy rozprawach o stanie cyrkulacji do r. 1832 nie zwracano wcale uwagi na depozyta prywatne jako przedmiot małego znaczenia (2). W nowszych dopiero czasach depozyta prywatne w banku angielskim wzrosły znacznie. Wilson (Capital, Currency and banking str. 34) oblicza je w r. 1845 na około 10 milionów, z których wszakże przeszło 2 miliony było składem obowiązkowym konkurentów o nadania dróg żelaznych, a znaczną część pozostałości stanowiła rezerwa bankierów londyńskich. Obecnie depozyta prywatne w banku angielskim często przenoszą 20 milionów, t. j. równoważą się z takiej mniej więcej wysokości summą biletów będących w obiegu.

(1) A brief account of the intended Bank of England. Przywieziony w Słowniku Mao Leoda s. 82 i 83.

(2) Tooke. History of prices V, s. 524.

Bank szkocki założony w rok później od angielskiego, z początku wcale nie miał powierzanych sobie depozytów (1). Wynikało to z położenia kraju wówczas bardzo ubogiego. Depozyta zaczynają napływać do banków dopiero przy wzrastającej zamożności. „Banki depozytowe”—mówi Gilbert, piszący w r. 1835, str. 34—„służą raczej dla bogatych, niż dla ubogich. Młody kupiec poczynający prowadzić interesa z małym kapitałem, rzadko zapewne uzna że warto jest otworzyć sobie rachunek u bankiera, z wyjątkiem jeśli zmuszony jest trzymać część swego kapitału bez obrotu.” Od tego czasu zwyczaj utrzymywania depozytów i rachunków w bankach rozpowszechnił się w Anglii. Wilson (w r. 1845) poświadcza, że ten zwyczaj ogarnia coraz głębsze warstwy klasy średniej. Hildebrandt (w r. 1867) (2) mówi, że w Anglii każdy kto ma więcej nad paręset funtów rocznego dochodu, utrzymuje rachunek u bankiera, i to należy w kołach handlowych do dobrego tonu.

Warunkiem upowszechnienia banków depozytowych jest wielka zamożność krajowa. W krajach ubogich, małe stosunkowo kwotki składane w bankach i kassach oszczędności mogą tworzyć summy znaczniejsze; lecz opierać w takich okolicznościach rozwinięcie systematu bankowego na samych tylko depozytach nie jest zasadnym. Takie zdanie wynurzył i znany tygodnik angielski „The Economist” (Nr. z d. 28 stycznia 1865 r). Oświadczając się za wielością banków emisyjnych „z powodu że przy ich rozpowszechnieniu systemat depozytowy cały kraj ogarnia.” Tygodnik dodaje: „przed laty 50 nie byłoby się opłacito bankowi angielskiemu zakładanie kantorów w każdym małym miasteczku.... Człowiek miejscowy mający wziętość i kredyt zaczął wypuszczać bilety, potem ściażał do siebie małe oszczędności, wreszcie został wielkim bankierem.”

Odróżniając co do rozmaitych epok czasu należy, uznać musimy, że w początkach XVIII-go wieku przywilej emisji biletów był osią około której obracał się systemat bankowy. Bank angielski skierował swoje usiłowania ku temu, ażeby zapewnić sobie, jeśli nie zupełną wyłączność takiego przywileju, to przynajmniej ażeby pozbyć się wszelkiego groźniejszego spółzawodnictwa. Korzystając z trudności finansowych w jakich się znalazł skarb publiczny, bank angielski przy odnowieniu swego przywileju w r. 1709 wyjednał dla siebie zastrzeżenie:

„Że w ciągu trwania korporacji banku angielskiego, nie będzie dozwolonem żadnemu innemu ciału politycznemu lub zbiorowemu (corporate) już założonemu lub założyć się mogącemu, ani

(1) Macleod słownik s. 125. The Bank at first received no deposits from the public...

(2) Artykuł: Das Chequesystem und das Clearinghouse in London, w Jahrbücher für National Oekonomie und Statistik 1867 s. 132.

tęż żadnym jakim bądź innym osobom połączonym lub połączeniemi być mogącym w spółki przechodzące liczbę sześciu osób, w części Wielkiej Brytanii zwanój Anglią, zapożyczyć, być dłużnemi lub zaciągnąć jakąkolwiek kwotę lub kwoty pieniężne na wexle lub obligi (bills or notes) płatne za okazaniem lub w terminie krótszym niż sześć miesięcy od daty wystawienia" (Macleod Słownik s. 70).

Był to drugi i najważniejszy krok na drodze do monopolu. W roku 1697 bank angielski zyskał przywilej czyniący go wyłączną korporacją bankową; w roku 1709 wyjednał zakaz spółek bankowych, w ówczesnemi rozumieniu, złożonych więcej niż z sześciu osób, ziszczając w ten sposób przepowiednie swoich przeciwników, przy założeniu banku wygłaszane.

Zakaz w prawie 1709 r. wypuszczania biletów płatnych za okazaniem, powtórzony i obostrzony jeszcze został przy odnowieniu przywileju banku angielskiego w r. 1742. Z dosadnością właściwą redakcyi aktów prawodawczych angielskich, powtarzając dosłownie zakaz prawa z r. 1709, dodano, że to następuje „dla przecięcia wszelkiej wątpliwości co do przywileju wyłącznego prowadzenia interesów bankowych, udzielonego bankowi przez poprzednie akta parlamentu, dla zapobieżenia aby inne banki nie były zakładane, i aby żadne inne osoby nie prowadziły interesów bankowych;” wypowiedziano w końcu „że bank jest i pozostaje ciałem zbiorowém (korporacją) mającém przywilej wyłącznego prowadzenia interesów bankowych”.

Akt z r. 1742 nie stanowił nowego zakazu, lecz utrzymując zakaz istniejący, określał cel onego obszerniej niż to z rozporządzeń zakazu wynikało. Taki stan prawny trwał przeszło lat sto i uległ zmianie dopiero w skutek rozporządzeń prawodawczych wydanych w latach 1826 i dalszych.

Skutki monopolu bankowego w okresie pomienionym uwydatniły się w odmienny sposób w początkach (do r. 1772) i w czasie późniejszym, w Londynie i na prowincyi.

Do roku 1772 ruch przemysłowy w Angli był uśpiony; potrzeba banków mniej się czuć dawała; prawodawstwo odejmowało lub przynajmniej ścieśniało do ich rozwinięcia sposobność. Na prowincyi bankierów nie było prawie wcale; w Londynie prowadzili swoje interesa wypuszczając bilety, które jako podtrzymywane kredytem pojedynczych osób lub spółek małowalcznych, nie mogły znaleźć obszerniejszego pola obiegów. Niebezpiecznie było nawet dla prywatnych bankierów wypuszczać znaczniejszą ilość biletów pod bokiern takim potężnego spółzawodnika jakim był bank angielski. Bank w każdej chwili mógł zgromadzić w swoim ręku znaczną ilość biletów słabych swoich spółzawodników, mógł przedstawić je naraz do wymiany i spowodować zawieszenie wypłat. Takich fortelów, dopuszczalnych przy niskim podówczas stanie moralności handlowej, używali przeciw bankowi przeciwnicy tegoż w początkach jego istnienia; lecz bankowi mniej szkodzić one mogły. Że bank angielski z swój strony nie cofał się przed użyciem podobnych środków,

tego ślad znajdujemy w współczesnych broszurach (Macleod Słownik str. 85).

Jakaż więc w takich okolicznościach pozostawała droga do rozprzestrzenienia systemu bankowego, którego nowe potrzeby społeczne wymagać zaczęły? O bankach z kapitałem zbiorowym, obok ścieśniających przepisów prawodawczych, nikt nie myślał. Dla prywatnych bankierów wypuszczanie biletów było niebezpiecznym (Macleod Theory. T. I. wyd. 1-sze str. 254, wydanie 2-gie str. 133). Depozytów publicznych nie mieli, prywatne nie napływały, jak wnosić możemy, do ich kass w większej ilości, skoro sam bank angielski podówczas i znacznie później nie wiele ich posiadał. Tymczasem Watt wziął w r. 1769 patent na swoją maszynę parową, Arkwright w tymże roku wynalazł maszynę do przędzenia; Brindley już w roku 1762 otworzył kanał z Worsley do Manchester; za jego przykładem rzucono się powszechnie do budowania dróg i kanałów, przemysł szybko wzrastać począł. Wszystko to wymagało zwiększenia kapitału i nowych środków obiegu.

Objawiające się w łonie społeczeństwa potrzeby wywołują zwykle odpowiednie środki dla ich zaspokojenia. Tak się stało i w razie obecnym.

Bankierowie londyńscy zaniechali wypuszczania biletów a natomiast przyjęli nowy sposób prowadzenia interesów. Ważna ta zmiana, jak wiele innych, przeszła niezaznaczona przez współczesnych, i nie można dziś z pewnością wskazać czasu jej powstania. Macleod (Słownik s. 71 i na wielu innych miejscach) mówi tylko, iż zaprowadzoną została około r. 1772 nie popierając jednak swego twierdzenia, żadnym społecznym świadectwem (1).

Zmiana podówczas wprowadzona daje się uwidatnić w następujący sposób:

Systemat bankowy polegał przedtem na dwóch głównych środkach, na wypuszczaniu biletów obiegowych i na przyjmowaniu depozytów. Oba te środki służyły do jednego celu, t. j. kapitał przysposobiony temi środkami, znajdował umieszczenie w operacji jednego rodzaju, w skupie wexli. Gdy oba środki okazały się w części niewystarczające, w części zawodne, postawiono kwestę na odwrót, skup wexli użyto za środek zwiększenia depozytów.

Przedtem bankier mając powierzone sobie pieniądze i licząc na to że zwrot depozytów jednocześnie od niego żądany nie będzie, używał część ich na skupowanie wexli, płacąc za nie gotowizną. Gdy depozyta okazały się na ten cel niedostateczne, bankier zaczął skupować wexle już nie na gotowiznę lecz na kredyt, t. j. przed-

(1) Rok 1772 był w Anglii epoką przesilenia handlowego. W Szkocji w tym roku upadł głośny w dziejach kredytu Bank Ayrshire'ski. W r. 1775 założony został w Londynie dom kompensat (Clearing house) co do wodzi upowszechnienia się już w owym czasie nowego systematu.

stawiony sobie do skupu wexel nabywał, zapisując w swoich księgach odpowiednią sumę na dobro rachunku sprzedawcy wexlu i dawał sprzedawcy prawo podnoszenia bądź samemu, bądź przez przekaz dla osób trzecich, na ciężar swojego rachunku, takich kwot jakich potrzebować będzie, aż do wysokości summy na jaką został zakredytowany.

Assygnacye do bankiera nazywają się po angielsku czeki (cheque), wyraz który wszystkie niemal europejskie języki już sobie przyswoiły. Czeki są płatne za okazaniem, nie mają one podpisu bankiera, który wypłacić je zostaje w obowiązku o tyle tylko, o ile posiada w swym ręku fundusz ich wystawcy. Za fundusz zaś uważa się nietylko gotowizna jaką wystawca ma w depozycie u bankiera, lecz także wszystko co bankier jest wystawcy winien z tytułu nabycia od niego wexlu: dług taki zapisany zostaje jako depozyt.

Czek ma na sobie podpis wystawcy którym nie jest bankier, lecz ten kto do niego assygnuje. Bankier daje tylko swoje drukowane blankiety na czeki; według praw angielskich nie może nawet położyć na nich swego podpisu na dowód że je przyjmuje. Ztąd zdarza się że na czek czyli assygnacyą bankier odmawia wypłaty nie posiadając funduszu wystawcy (1).

Ażebym przyjąć czek z bezpieczeństwem nie dosyć jest znać z odpowiedzialności bankiera na którego czek jest wystawiony, trzeba jeszcze znać osobę która czek wystawia i mieć moralną pewność że ta osoba posiada u bankiera dostateczny fundusz rozporządzalny. Rękojmia wypłaty czeku polega na zbiegu przywiezionych okoliczności, podczas gdy rękojmia wypłaty biletu bankowego, zwykle odnosi się wyłącznie do banku lub bankiera który bilet wypuścił. Wynika ztąd że czek jest środkiem obiegu w szerszym zakresie niż bilet bankowy; służy do wypłat tylko pomiędzy osobami którym znane są stosunki tak bankiera jak i wystawcy czeku.

Natomiast czek przedstawia dla klientów banku i dla bankierów dogodności jakich nie ma bilet bankowy. Wystawiony być może na taką kwotę jaka przypada do wypłaty, czyni więc niepotrzebną dopłatę w monecie kwot końcowych; czyni zbytecznymi oddzielne pokwitowania, bo te zastępuje rachunek bankiera, unika niebezpieczeństwa straty wrazie pożaru i t. d. Bankierom systemat czeków daje możność eskontowania na kredyt, i większe bezpieczeństwo przeciwko nagromadzeniu ich zobowiązań w jednym ręku i przedstawieniu ich na raz do wypłaty.

(1) W dzienniku *The Times* z d. 1 marca 1861 r. s. 10 znajduje się wiadomość, że 28 lutego t. r. wnoszoną była sprawa przeciwko panu North, który kupił za 10,000 ft. st. łoju od pp. Hubbard i dał im za to czeki na bank londyński, mając w tym banku zapisane na dobro swoje mniej niż 10 ft. st. Sprzedawcy odzyskali łoż sprzedany, lecz North ukarany nie został.

Zastanawiając się nad naturą zobowiązań powstających w skutek prowadzenia w ten sposób interesów bankowych, Mac Leod podaje jako różnicę między biletami i czekami, iż bankier wystawiający bilety, według ich osnowy, zaciąga zobowiązanie względem pierwszego i względem każdego następnego posiadacza. Dwa te zobowiązania występują oddzielnie w systemacie czeków. Zobowiązanie pierwotne względem pewnej osoby bankier zaciąga akredytując ją czyli zapisując na jej dobro w swoich księgach sumę oznaczoną; względem trzecich zaś bankier jest obowiązany na mocy upoważnienia które dał osobie zakredytowanej do ciągnięcia na niego czeków. Z tą różnicą w formie, zobowiązanie w obu razach jest jedne i te same; чеки są rzeczywiście tylko podstawieniem (surrogatem) biletów bankowych.

Przypuśćmy że bankier ma złożonych u siebie 10,000 L. w depozycie. Jeżeli skupuje wexle na gotowiznę, będzie mógł tylko część zdeponowanej summy użyć na skup wexli; część bowiem drugą musi mieć w zapasie na wypłaty, jakich deponenti od niego żądać mogą. Dajmy na to że skupi wexli za 5000; po dopełnieniu skupu będzie miał w gotowiznie 5000, w wexlach 5000 (eskonty dla okrągłości cyfr pomijamy) winien zaś będzie za depozyta 10,000.

Do tego samego cyfrowego rezultatu przyjdzie bankier który ma tylko 5000 depozytów, jeżeli skupuje wexle nie na gotowiznę lecz na kredyt, to jest akredytując w swoich księgach indossantów. Zakupiwszy bowiem 5000 wexli na kredyt będzie miał w gotowiznie zdeponowanej 5000, w wexlach 5000; winien zaś będzie deponentom 5000, a 5000 jako cenę nabycia wexli, którą to sumę jako jeszcze nie podniesioną zapisze także na rachunek depozytów, czyli winien będzie tak jak w pierwszym razie, deponentom 10,000.

Cyfry w obu razach będą jednakowe, ale rodzaj depozytów będzie odmienny. Jeżeli u bankiera złożoną została gotowizna, oznacza to już pewien stopień zamożności deponentów. Z wyjątkiem nadzwyczajnych przypadków bankier liczyć może na to że te depozyta w całości nagle wycofane nie będą. Przeciwnie depozyta powstające z udzielonego kredytu, za który klient zapłacił z góry przez potrącenie mu eskonty, przed upływem terminu sprzedanych wexli podniesione zostaną, bo gdyby klient ich nie potrzebował, nie podawałby wexli do skupu.

Drugą jeszcze różnicę między temi dwoma systematami stanowi, że eskontujący na gotowiznę może eskontować w granicach wysokości depozytów. Kto ma np. 10.000 depozytów, może, co najwyżej, kupić na gotowiznę wexli za 10 000. Lecz jeśli eskontuje otwierając kredyty, może kupić wexli nie tylko za dziesięć ale za dwadzieścia tysięcy i więcej nawet, jeśli nie jest ostrożny.

Pomimo zastosowania od dawnego czasu tej formy kredytu bankowego, nie zwróciła ona na siebie dostatecznie uwagi ekonomistów piszących w materji kredytowej. Głośny Mill np. w swoich Zasadach ekonom. polit. poświęca tej formie kredytu, krótki tyl-

ko przypisek (Księga III rozdział 24 § 3 w tłumaczeniu polskiem, bardzo lichém, Tom II s. 246), w którym wzmiankując że kredyt w tej formie udzielany być może, twierdzi iż takie zastąpienie biletów bankowych dotąd uorganizowane nie zostało. Macleod przytaczając słowa Milla (1) dziwi się jego nieznanomości stosunków kredytowych mówiąc (Słownik s. 76) że to co Mill uważa za nieorganizowane dotąd a może za podpadające pod zakaz prawa, jest właśnie przyjętym w Londynie od lat kilkudziesiąt sposobem prowadzenia interesów bankowych!

Tę niewiadomość podzielało z Millem wielu innych ekonomistów których wszystkich ostro za to karcł Macleod. Jakkolwiek nie on pierwszy o rozwinięciu w tej formie kredytu bankowego wzmiankuje, należy mu się niezaprzeczenie zasługa iż bliższą na tę rzecz zwrócił uwagę i wykazał istotne jęj znaczenie.

Spostrzeżenie Macleoda stało się punktem wyjścia jego systematu. Im więcej Macleod swój sytemat rozwijał, tęp większe znaczenie do faktu zasadniczego przywiązywać począł, aż nareszcie fakt tyle razy w dziełach jego obrabiany przybrał rozmiary daleko przechodzące rzeczywistość. W początkach swego pisarskiego zawodu Macleod wyraża się dość ostrożnie. W pierwszym wydaniu teoryi i praktyki bankowej (Tom II s. 409) Macleod mówi:

„Jeżeli w sprawozdaniach wielkich banków londyńskich o kapitale zbiorowym czytamy że te banki mają 9 milionów L. depozytów, byłoby wielkim błędem mniemać że ta cyfra oznacza wysokość złożonej u nich gotowizny, gdy bardzo znaczną część (a very large proportion) owego saldo rachunków summ przekazowych (drawing accounts) składa się z kredytów udzielonych klientom za skupione od nich wexle, kredytów zastępujących bilety bankowe. Przy największej przenikliwości niepodobna wykryć, jaka część depozytów składa się z gotowizny złożonej przez klientów a jaka część powstała z udzielenia kredytu (2).”

(1) Mill pisze: Niesłuszny byłby zarzut że można ominąć tę przeszkodę przez udzielanie zwiększonych zaliczeń w formie otwartych kredytów, które przekazywanoby za pomocą czeków, bez pośrednictwa biletów bankowych. Jestto istotnie możliwém, jak zauważył p. Fullarton i jak sam o tęp w jednym z poprzednich rozdziałów nadmienilem. Lecz pewną jest rzeczą (certainly) że takie zastąpienie biletów bankowych dotąd uorganizowane nie zostało, a gdy wyraźnym zamiarem prawa jest, iżby w danym razie zwiększenie kredytu nie miało miejsca, pozostaje do rozwiązania (it is yet a problem) czyli przepisy prawa nie mogłyby osiągnąć tego co dałoby się uważać za obejście zamieszczonego w prawie zakazu, lub czyli uszanowanie dla prawa nie sprawi i nadal tego skutku, jaki sprawiło dotąd, że Banki stosować się będą zarówno do ducha i celu prawa, jak do jego litery.

(2) Nor it is possible for any ingenuity to discover what proportion consists of actual cash lodged by customers, and what proportion consists merely of credit s. 410.

W kilka lat później Macleod w swoim Słowniku (s. 72) tak się w tym samym przedmiocie wyraża:

„Co pół roku czytamy w gazetach bilanse wykazujące że banki londyńskie o kapitale zbiorowym posiadają depozyta w ilości np. 40 milionów L.; jest powszechne mniemanie że ta cyfra przedstawia ilość złożonych w bankach pieniędzy. Nigdy nie było większego ani zupełniejszego nad to omamienia. Te czterdzieści milionów depozytów nie są czterdziestu milionami gotowizny, lecz wyrażają tylko sumę, która w dawniejszym systemacie byłaby wypuszczoną w biletach bankowych. Te czterdzieści milionów nie są niczem więcej jak tylko wytworem kredytu opartym na podstawie małego stosunkowo zapasu gotowizny, tak samo jak bilety obiegowe.”

W tej drugiej redakcyi swojego spostrzeżenia Macleod za daleko się posunął; nie jest prawdą ażeby całkowita summa wykazywana w sprawozdaniach bankowych jako depozyta, była wytworem kredytu; w zasobnych bankach część i to znaczniejsza summ depozytowych przedstawia istotnie złożoną u nich gotowiznę. Mamy na to autentyczne dowody.

Do roku 1833, w Londynie obok banku angielskiego były tylko banki prywatne. Te ostatnie nie ogłaszają swoich sprawozdań, nie można więc nic pewnego wyrzec o środkach jakich używają do powiększenia swoich obrotów. Lecz od r. 1833 pod wpływem zmienionego prawodawstwa, o czém niżej powiemy, zaczęły powstawać w Londynie banki o kapitale zbiorowym. Pierwszym z nich był i dotąd najważniejszym pozostał Bank Londyński i Westminster (London and Westminster Bank); z kolei powstały inne. Banki te z mocy ustawy która założenia ich dozwoliła, obowiązane są ogłaszać półroczne sprawozdania. Z początku w tych sprawozdaniach depozyta wykazywane były w summie ogólnej, bez odróżnienia złożonej przez klientów gotowizny a udzielonych im kredytów. Z postępowaniem czasu uległo to zmianie. Pierwszy przykład w tej mierze dał Bank Londyński i Westminster w r. 1865. Tygodnik „The Economist” w Nrze z d. 28 stycznia t. r. tak o tém mówi:

„Bank Londyński i Westminster dał w tym roku wyborny przykład innym wielkim bankom londyńskim o kapitale zbiorowym. Po największej części nie można powiedzieć ile w sprawozdaniach bankowych z ogółowej (vague) rubryki depozytów, stanowią istotne depozyta, a ile wynoszą wexle przez bank przyjęte. Niema środków odróżnienia o ile passiva oznaczają pieniądze które publiczność złożyła w banku, o ile zaś papiery które bank wydał.... Bank Londyński i Westminster nie obawia się ujawnienia tego szczegółu, ma on 18,649,214 L. rzeczywistych pieniędzy, pieniędzy które mu złożyła publiczność... jest to ilość, jakiej nie dorównał, ile wiemy żaden inny bank w świecie nie mający u siebie rachunku skarbowego wielkiego narodu.”

„Drugi bank zbiorowy londyński Alliance”—mówi dalej przywiedziony tygodnik—„dał nam również po raz pierwszy zupełną sposobność ocenienia jego położenia, oddzielił pieniądze które ma u siebie złożone od akceptów (acceptances). Wynikł ztąd bilans:

Rachunki bieżące i depozytowe	2,331,325
Wexle do wypłaty.	3,716,750
Ogół środków operacyjnych.	6,048,075.”

Za temi przykładami poszły w postępie czasu i inne banki zbiorowe. W sprawozdaniach za lata 1867 i 1868, z siedmiu głównych banków zbiorowych londyńskich tylko jeden, Bank Londyński (London Joint-stock bank) nie odróżnił depozytów od akceptów. Inne sześć banków miały:

	depozytów	akceptów
1867	40,996,418	7,955,512
1868	37,856,364	10,659,320.

Ogólna summa depozytów i akceptów wszystkich siedmiu głównych banków w Londynie wyniosła:

1867	60,929,272
1868	63,294,194 (1).

Widzimy z przytoczonego zestawienia że udzielane przez wielkie banki o kapitale zbiorowym kredyty, jakkolwiek znaczne, nie doszły w r. 1867 piątej części istotnych depozytów a w r. 1868 przeszły cokolwiek część czwartą. W pojedynczych razach wytworzony kredyt przenosi wysokość depozytów, jak to np. wykazuje się ze sprawozdania Banku Alliance za rok 1864, ale w ogóle nie można rubryki depozytów uważać z Macleodem za wytworzoną w całości przez udzielanie kredytów, zdanie które Macleod lubiący siebie przepisywać, jeszcze w ogłoszonym w r. 1866 drugim wydaniu Teorii bankowej (I. s. 123) dosłownie ze Słownika przedrukował, podwyższając tylko cyfrę za przykład wziętą ze 40 do 100 milionów.

Sprawdzając twierdzenia Macleoda do skromniejszych ale więcej zgodnych z rzeczywistością rozmiarów, daliśmy sposobność ocenienia istotnej ich ważności. Zanim przystąpimy do skreślenia systemu jaki na wykazanej podstawie wzniesiony został, musimy doprowadzić dzieje stosunków kredytowych w Anglii aż do chwili obecnej.

Wdzieliśmy jak sobie poradzili z monopolem banku angielskiego, bankierowie londyńscy. Na prowincyi do roku 1826 bank angielski nie miał kantorów: bilety jego nie były tam w powszechnym obiegu; środki banku szkodzenia współzawodnikom były mniejsze lub żadne. Ztąd bankierowie prowincjonalni używali tak

(1) Cyfry powyższe podaje dziennik Daily News w artykule: Trade and Finance przedrukowanym w Galignanis Messenger Nr. z d. 28 stycznia 1869 r.

jak i sam bank angielski za główny środek rozszerzenia swoich obrotów emisji biletów. Ponieważ monopol banku rozciągał się na całą właściwą Anglią, więc i na prowincyi nie mogły być zakładane banki przez spółki więcej niż z sześciu osób złożone a ten zakaz prawa nie dozwolił bankom prowincjonalnym oprzeć się i rozwinąć na podstawie znaczniejszych kapitałów.

W połowie XVIII-tego wieku było zaledwie kilkunastu bankierów po za obrębem Londynu. Po zawarciu pokoju z Ameryką w r. 1784, banki na prowincyi mnożyć się zaczęły. Te z nich które wypuszczały bilety, obłożone zostały podatkiem patentowym w 1808 roku; już w 1804 r. zaczęto stemplować ich bilety (Gilbart s. 49).

Od tych dopiero czasów mamy nieco pewniejsze lubo zawsze niedostateczne wiadomości o liczbie banków prowincjonalnych i ilości wypuszczanych przez nie biletów. Współcześnie i bank angielski, jak nadmieniliśmy, nie ogłaszał swoich sprawozdań. Wysokość dawniejszej jego emisji wiadomą się stała dopiero skutkiem udzielonego w tej mierze przez bank wykazu Komitetowi Izby niższej z r. 1832 (Gilbart. s. 71—75).

Opierając się na źródłach najpoważniejszych, możemy dać następujący rys cyrkulacji biletów banku angielskiego i banków prowincjonalnych.

Bank angielski do r. 1711 mógł wypuszczać bilety tylko do wysokości swojego kapitału zakładowego (1). Kapitał ten wynosił w r. 1696, 1,200,000 L.; wzrastając z postępem czasu doszedł w r. 1782 summy 11,642,400. W tej wysokości utrzymał się do roku 1816. Uzyskawszy w tym roku upoważnienie powiększenia swego Kapitału do 14,553,000 L., bank angielski dotąd ma taki kapitał zakładowy. Od roku 1711 do 1844 bank nie był ograniczony żadnym przepisem prawa co do wysokości swęj cyrkulacji. Wszakże jeszcze w latach 1782—1792 cyrkulacya ta nie przechodziła wysokości kapitału zakładowego. Przed rokiem 1759 bank nie wypuszczał biletów w sztukach mniejszych od 20 L. W roku 1789 zaczął wypuszczać bilety na 10 i 15 L.; w r. 1794 bilety na 5 L.; w marcu 1797 po zawieszeniu wyplat w monecie brzęczącej na d. 27 lutego t. r. bilety na 1. i 2. L. W roku 1826 zakazano wypuszczać bilety wartości niższej od 5 L. naznaczając termin wycofania z obiegu takich biletów na d. 5 kwietnia 1829. Zakaz ten trwa dotąd.

Wysokość cyrkulacji banku angielskiego wynosiła:

w latach: 1780—1790 od 6 do 10 millionów L.

1790—1800 od 10 do 15 —

1800—1810 od 15 do 20 —

1810—1821 od 20 do 30 —

Po przywróceniu wymiany biletów na złoto w r. 1821, wysokość cyrkulacji zniżyła się; wyjątkowo tylko jak w latach 1826,

(1) Macleod Theory 2-gie wydanie T. II. s. 205.

1864 przeszła 25 milionów; najczęściej oscylluje około 20 milionów (Gilbart s. 74. 75. Hildebrand s. 128). Dla uzupełnienia rysu cyrkulacyi banku angielskiego nadmienić należy, że do r. 1833 bilety banku nie były uznane za monetę legalną t. j. nikt nie był obowiązany do przyjęcia zaofiarowanej zapłaty w biletach banku. Wszakże w czasie zawieszenia wypłat w monecie brzęczącej od 1797 do 1821, w razie odmowy przyjęcia biletów, wierzyciel nie mógł przedsięwziąć środków zabezpieczających wypłatę swęj należności (special bail), np. aresztować osobę dłużnika. Od roku 1812 stanowienie różnicy kursu między biletami banku i monetą brzęzącą było nadto uznane za przestępstwo i karą obłożone.

W roku 1833 uznano bilety banku za monetę legalną tak w Anglii właściwej jak w Szkocyi i Irlandyi. Wniosek w tym przedmiocie przeszedł w Izbie niższej większością 214 przeciw 156 głosów, pomimo opozycyi Roberta Peel. W r. 1844 przymiot monety legalnej odjęty został biletom banku w Szkocyi i Irlandyi; pozostał im w samej Anglii. Wszakże ten przymiot mają bilety banku dopóty tylko, dopóki uskutecznią się ich wymiana na monetę brzęzącą. Filie banku angielskiego których jest 11, wymieniają tylko bilety przez siebie wypuszczone.

Liczba banków prowincjonalnych i wysokość ich cyrkulacyi w dawniejszych czasach nie są z dokładnością wiadome. Rozmnożyły się one po roku 1784, a głównie w czasie zawieszenia wypłat w monecie; liczba ich dochodziła wówczas do 800; później, szczególnie po zakazie w r. 1826 wypuszczania biletów niższych od 5 L. zmniejszała się stopniowo.

W roku 1844 było 205 banków prywatnych i 72 banki o kapitale zbiorowym; 1 czerwca 1864, 140 banków prywatnych i 61 banków o kapitale zbiorowym.

Banki prowincjonalne przed rokiem 1844 nie były ograniczone co do wysokości wypuszczanych przez nie biletów.

Wszakże w roku 1775 zakazano wypuszczania sztuk mniejszych od 20 szylingów, a w roku 1777 sztuk mniejszych od 5 L. Ostatni ten zakaz zawieszony został w roku 1797; według prawa z roku 1819, moc obowiązująca zakazu przywróconą być miała w roku 1825; wszakże bankierowie zdołali w r. 1822 uzyskać przedłużenie możności wypuszczania biletów niższych od 5 L. do roku 1833. Gdy w roku 1825 wynikło przesilenie które w części przypisywano zbytnej emissyi banków prowincjonalnych, wyszedł w roku 1826 zakaz wypuszczania biletów niższych od 5 L. a istniejące w obiegu wycofać nakazano z dniem 5 kwietnia 1829 r.

Wysokość cyrkulacyi banków prowincjonalnych w dawniejszych czasach różnie jest podawaną; według niektórych dochodzić miała czasami do 30 milionów; samych biletów w drobnych sztukach (niżej 5 L.) bywało 7 do 8 millionów. Po zakazie tych biletów, ogólna ilość cyrkulacyi prowincjonalnej zmniejszyła się: w połowie 1844 r. wynosiła około 8 1/2 milionów; w r. 1865 mniej niż 6 milionów.

W ogólnym rezultacie rzec można, że obieg biletów bankowych w Anglii nie przenosił nigdy 60 milionów L., obecnie nie dochodzi zwykle nawet połowy tej summy czyli 30 milionów; a w całej, Wielkiej Brytanii t. j. Anglii, Szkocji i Irlandji wynosi 38 do 40 milionów. Dla porównania dodamy że czeki przedstawiane do kompensacyi w tak zwanym domu kompensat, wynosiły w r. 1810 w przecięciu dzienném 4,700,000; w r. 1839 maximum ich dziennego obrotu było przeszło 12 mil., ogół obrotu roczny był 954,401,600; w r. 1865 minimum dziennie 15 mil., maximum 50 mil. (Hildebrand s. 152), co stanowiłoby w średniej cyfrze przeszło 30 milionów dziennego obrotu. P. Wołowski, (Le Change s. 235) podaje jako summę rocznego obrotu w domu kompensat pięć tysięcy milionów L., co zbliża się do przywiedzonego z r. 1865 dziennego minimum.

Dodając do tej cyfry czeki nie przedstawiane do kompensacyi w Londynie, przyjdziemy do wniosku, że czeki są dla Anglii ważniejszym środkiem zamiany niż bilety bankowe.

Cyrkulację metaliczną angielską obliczano dawniej na 40, dziś na 60 milionów; produkcją roczną na 800 milionów, a ogół majątku krajowego na 8000 milionów (Wołowski Le Change str. 417).

Wywołany potrzebami społeczeństwa angielskiego wzrost systematu bankowego, stał się nader potężną dźwignią postępu rolnictwa, przemysłu i handlu. Lecz banki obok dobrych mają także i złe strony. Niedogodności wypływające z systematu bankowego angielskiego, albo przynajmniej temu systematowi przypisywane, były następujące:

Wydarzały się liczne upadłości banków i liczniejsze jeszcze zawieszenia wypłat.

Wartość biletów obiegowych ulegała obniżeniu i stawała się powodem chwiejności kursów wexlowych.

Przytrafiały się częste przesilenia niszczące chwilowo kredyt; ofiarą tych przesileni padali winni i niewinni, bogaci i ubodzy.

Prawodawstwo w rozmaity sposób starało się zaradzić tym niedogodnościom; ekonomiści wzięli je za przedmiot swoich roztrząsań. Zanim przystąpimy do skreślenia usiłowań prawodawczych i badań naukowych, winniśmy przedstawić obraz skutków wadliwości systematu bankowego w Anglii.

Byłoby zbyt cennym podawać tu cyfry bankructw, jakim w różnych czasach uległy banki w Anglii; powiemy tylko że te cyfry są wysokie: były lata w których zdarzało się po kilkadziesiąt upadłości. Bank angielski nigdy wprawdzie nie upadł, lecz zawiesił wypłaty w monecie brzęczącej raz w 1696, drugi raz w 1797 roku. Powróciwszy częściowo do wypłat w monecie w r. 1816, musiał je znowu zawiesić w r. 1819. Odtąd lubo do zawieszenia wypłat nie przyszło, bank angielski kilkakrotnie był zagrożony tą katastrofą. W r. 1839 uniknął jęj tylko z pomocą banku francuzkiego, co wielce ubodło miłość własną Anglików i stało się jednym z głównych

powodów wydania bilu z roku 1844 ograniczającego bank w możności wypuszczania biletów.

Kłeski których systemat bankowy angielski stał się powodem, przedstawiają się w więcj jeszcze rażącym świetle, jeśli zwrócimy uwagę na to, że w Szkocji gdzie przed rokiem 1845 nie istniały ograniczenia wysokości emisji biletów, lecz gdzie nie było monopolu bankowego, od roku 1772, w którym upadł głośny w dziejach kredytowych Bank Ayr-shireski, nie było przykładu żadnej znaczniejszej upadłości bankowej—wydarzyły się tylko 3 lub 4 upadłości pomniejsze—do roku 1857, daty upadku banku Western-bank. Należmieni przytém należy, że upadek Banku Ayr założonego przez ludzi bogatych, naraził na straty właścicieli, ale wierzyciele odzyskali swoją należność; że oba upadłe banki były nowatorami, chcącemi inaczej interesa prowadzić jak wszyscy inni. Postępowanie Western banku wywołało nawet ze strony innych banków szkockich w 1838 roku protestacyą przeciwko żądaniu nadania temu bankowi praw korporacyi (MacLeod Theory, wydanie drugie, T. I. s. 319).

Drugi zarzut przeciwko bankom emisyjnym a w szczególności przeciwko bankowi angielskiemu był: że przez zbytnią emisją biletów obiegowych obniżały ich wartość, co uwydatniało się w podroźeniu ceny drogich metali i w kursie wexli zagranicznych.

Moneta jak każdy towar spada w cenie:

- 1) albo jeśli jest w złym gatunku;
- 2) albo gdy jój za wiele na targu.

Moneta jest w złym gatunku, kiedy sztuki w obiegu będące nie trzymają wagi lub są wybijane w niskiej próbie.

Znaki kredytowe zastępujące monetę w obiegu są w złym gatunku, gdy wypłata ich następuje w monecie złego gatunku, lub gdy znikło lub zachwiało się zaufanie, że w każdym czasie, lub przynajmniej że w przyszłości, wymiana ich na monetę nastąpi.

Moneta tak metaliczna jak kredytowa spada w cenie nie tylko w razach gdy napływ jój jest nadmierny, lecz i w razach gdy potrzebowanie jój się zmniejszy, a ilość zostaje ta sama.

Spadek cen dotyka częściój i w daleko większym stosunku gatunki towaru poślednie niż gatunki wyborowe.

Bilety banków prowincjonalnych angielskich jako w ogóle mało zasobnych, były towarem w złym gatunku, nie miały ustalonego zaufania, a w razach przesilen traciły je w zupełności.

Bilety banku angielskiego były towarem w dobrym gatunku, bo bank angielski był zamożnym i dawał swoje bilety za wexle pierwszorządne. Bilety banku angielskiego nie traciły więc tak łatwo zaufania jak cyrkulacya prowincjonalna. Po zawieszeniu wyplat w monecie brzęczącej bank mniemał, że jego biletów, byleby były towarem dobrego gatunku t. j. byle za bezpieczeństwo miały oprócz kapitału banku, wexle niezachwianej pewności, nie może być za wiele na targu, że nie spadną w cenie przy powiększeniu emisji. Doświadczenie przekonało, że rzecz się ma przeciwnie,

że targ może być przesycony biletami banku angielskiego, tak jak wszelkim innym towarem, chociażby najlepszego gatunku. Okoliczność tę jako szczególnie ważną dla teorii cyrkulacji przedstawimy więcęć szczegółowo.

W lutym 1797 roku wylądowanie 1200 Francuzów na ziemię angielską, sprawiło taki popłoch, że bank którego zapas gotówki zmniejszył się przez żądania wymiany prawie do miliona L, wyjednat (na dniu 26 lutego w niedzielę!) zakaz dla siebie płacenia w monecie brzęczącej, co lubo miało być tylko chwilowe, dotrwało przecięż do roku 1821.

Zapas monety brzęczącej zmniejszył się w roku 1797 w kasie banku, lecz się nie zmniejszył w kraju. Kurs wexlowy był podówczas korzystny dla Anglii; złoto nie wychodziło zagranicę, tylko każdy chował je na zapas. Pomimo zawieszenia wymiany, kurs wexlowy nie spadł, ani cena drogich kruszców nie zwiększyła się. Złoto w ciągu roku 1798 napływało coraz więcęć do kass banku, którego bilety niewiele co do ilości podówczas pomnożone nie straciły wartości. W latach 1799 i 1800 dotknęły Anglię dwa lata niepamiętnego nieurodzaju. Cena pszenicy doszła w marcu 1801 r. do 156 szyllingów za kwarter (142 złp. za korzec). Nieurodzaj spowodował wywóz monety kruszcowej na zapłatę sprzedawanego zboża. Pod wpływem zwiększonych wypłat za granicą, kurs wexlowy w końcu sierpnia 1799 r. zeszedł do *pari* i coraz więcęć obniżać się począł; w czerwcu 1800 ceny kruszcu poszły w górę; w styczniu 1801 wexle na Hamburg były 14% niżej *pari*.

Następne po 1800 lata były pomyślniejsze. Wraz z przyczyną która wywołała spadek kursów ustał i skutek, na czas przestano zajmować się tym przedmiotem. Skutki nieurodzaju wydarzającego się od czasu do czasu są z natury swęj przemijające. Lecz w owych czasach inne okoliczności prawie bez przerwy wpływały nienormalnie na zwiększenie wypłat zagranicznych, a skutkiem tego na potrzebowanie drogich kruszców. Od roku 1793 Anglia hojnie udzielała subsidia sprzymierzonym w wojnie przeciw Francji, czyniła nawet wyprawy na ląd stały. Systemat kontynentalny zamknął porty stałego lądu; nie łatwo było wywozem towarów pokryć wyłaty tam przypadające.

Okoliczności te nie wstrzymały wzrostu przemysłu angielskiego. Anglia zamknięta miała sobie porty stałego lądu, lecz natomiast otworzył się dla nięć handel z południową Ameryką, która wyzwoliła się z pod hiszpańskiego panowania; kolonie angielskie otwierały coraz więcęć pole odbytu. Bank angielski uwolniony od obowiązku wymiany swoich biletów, nie potrzebując się obawiać o swęć zapas metaliczny, mniemał że jeżeli tylko zachowa należną przezorność przy skupie wexli, niema powodu w zwiększaniu swęćj emisyi miarkować się względami na kurs wexli zagranicznych, jak to czynił dawnięć, gdy przy obowiązku wymiany, niekorzystny kurs wexli, miał za skutek więcęć żądanie złota.

Bank rozszerzył eskontę, ze trzech milionów w r. 1795 do 15 milionów w roku 1809. Jednocześnie zwiększył swoją cyrkulację; za jego przykładem poszły banki prowincjonalne. Wśród takich okoliczności kurs wexli stawał się od roku 1809 coraz niekorzystniejszym dla Anglii, ceny złota szły w górę, a moneta kruszcowa w końcu 1809 roku znikła z obiegu.

Zachwianie się wartości monety powoli i stopniowo wywiera swój wpływ na cenę innych przedmiotów. Mylném byłoby mniemać że podrożenie tych ostatnich, następuje w skutek zwichnięcia cyrkulacji jednocześnie i w równej mierze. Zwyżką objawia się najprzód w stosunkach zależnych od handlu zagranicznego, w kursie wexlowym, w cenie złota i srebra, przechodzi później do handlu wewnętrznego, na ostatku dosięga najmu pracy i powszednich obrotów. Dopiero znaczne i dłuższy czas trwające obniżenie wartości środków obiegowych, sprawia ogólne i równomierne podskoczenie cen.

Taki skutek nie nastąpił jeszcze w Anglii w roku 1810. Ceny niektórych przedmiotów były wysokie, innych albo się nie zmieniły albo nawet obniżyły w ostatnich latach. Ztąd gdy Izba niższa w lutym 1810 r. wyznaczyła na wniosek p. Horner komisję dla zbadania przyczyni niepomysłnego kursu wexli i stanu cyrkulacji, słuchani przez tę komisję znaczniejsi bankierowie, kupcy i dyrektorowie banku angielskiego dość powszechnie twierdzili: że bilety bankowe wcale nie spadły, lecz tylko złoto podniosło się w cenie;

podrożenie złota świadkowie przypisywali: potrzebowaniu złota dla armii francuzkiej; rozbudzonej skutkiem niepokoju dążności chowania drogich kruszców w zapasie; niekorzystny kurs wexli zagranicznych zeznający objaśniali: przewyżką przywozu nad wywóz, okolicznością że zapłata za przywiezione towary następowała w gotowiznie, dłuższe zaś kredyty udzielane były przy sprzedaży angielskich wyrobów, i płaceniem subsydiów za granicą.

Były to argumenta rutynistów, którzy zwykli siebie wyjątkownie uważać za ludzi praktycznych. Umiejąc wskazać najbliższe przyczyny nie są oni w stanie wykazać odleglejszych i za drzewami, jak się wyraża niemieckie przysłowie, nie widzą lasu.

Że wytrafiający się od czasu do czasu nieuradzaj, że płacenie subsydiów i t. d. wyradzają potrzebę wywozu drogich kruszców i wpływają niekorzystnie na kurs wexlowy, temu nikt nie zaprzeczy. Lecz czyliż te okoliczności były główném źródłem złego w r. 1810? Czyliż Anglia nie prowadziła wojen na stałym lądzie przez cały prawie wiek XVIII, czyliż nie płaciła subsydiów Fryderykowi II? czyliż nie wytrafiały się i dawniej nieurodzaje? dlaczegoż jednak bilety bankowe podówczas nie spadły w kursie, dlaczegoż nawet po zawieszeniu wymiany w r. 1797, aż prawie do końca 1808 r. ceny złota lub stały w mierze lub mało się podniosły, a nawet dwa po sobie następujące lata niepamiętnych nieurodzajów 1799 i 1800

tylko przemijający wpływ na nie wywarły? dlaczego moneta kruszcowa znikła z obiegu dopiero w końcu 1809 roku? Tych faktów na podstawie odpowiedzi zeznających nie można było objaśnić.

Komitet nie dał się zbić z toru przywiedzeniami rutynistów i uznał: że gdy złoto nie podróżowało na targach zagranicznych, o podwyższeniu się jego ceny mowy być nie może; że podwyższenie to gdyby nawet miało miejsce, nie mogłoby nastąpić w stosunku do monety, która pewną stałą ilość kruszcu zawierać w sobie powinna; że spadek kursów wexlowych, wrazie niepokrytych wywozem wyplat za granicą, nie może przy otwartej wymianie biletów bankowych na złoto, przewyższać kosztu przesyłki drogich kruszców za granicę; że jeśli spadek kursów tę wysokość przechodzi, jest to obok podrózenia złota drugą niewątpliwą oznaką zniżenia się wartości biletów bankowych, których ilość uznać należy za przechodzącą potrzeby cyrkulacji jak tylko złoto drożeje a wexle spadają w cenie. Ztąd komitet uważał że bank angielski nienależnie pominął względ na kurs wexlowy pomnażając swoje bilety w miarę żądań publiczności; że nie było innego środka dla przywrócenia równowagi monetarnej jak powrót do wyplat w monecie brzęczącej, co w ciągu lat dwóch komitet do skutku przywieść zalecał.

Takie były zasady i wnioski sławnego w dziejach finansowych sprawozdania komitetu z r. 1810 (Bullion report). Komitet nie pominął starań o zebranie faktycznych danych wówczas tak mało dostępnych, na którychby sąd swój mógł oprzeć; główną przecież podstawą tego sądu były zasady naukowe. Ztąd otworzyło się szerokie pole do sporów.

Dyrektorowie banku angielskiego w roku 1811 znali tylko wysokość swojej emisyi, a nie posiadali wiadomości o wysokości emisyi prowincjonalnej. Widząc że kurs wexlowy nie podnosi się odpowiednio do zmniejszenia się ich własnej emisyi, i nie zniża się przy jej powiększeniu, dyrektorowie banku przeczyli zasadzie przyjętej przez komitet, że zmniejszenie emisyi jest środkiem podniesienia kursu wexlowego. Jeszcze w roku 1819 rada dyrektorów w publicznej rezolucyi oświadczyła się przeciw tej zasadzie. Skoro przecież od tegoż roku wysokość emisyi banków prowincjonalnych wzięta została pod rachunek, rada dyrektorów z postępem czasu przekonała się że kurs wexlowy wznosi się i spada w stosunku odwrotnym do ogółu emisyi, to jest tak biletów banku angielskiego jak biletów prowincjonalnych. W roku 1827 rada dyrektorów postanowiła wykreślić z ksiąg swoich posiedzeń rezolucyę z roku 1819, a w roku 1832 nie było już ani jednego członka dyrekcji, któryby przeczył wpływowi emisyi na kurs wexlowy. „Pamiętny przykład” mówi Macleod (Słownik s. 106) „że nie zawsze ci co się dotyczą przedmiotu najlepiej sądzą o jego naukowych zasadach.”

Lecz w roku 1811 rutyniści mieli przewagę w opinii i kiedy wnioski komitetu przysły pod dyskusyą Izby niższej, ogromną większością odrzucone zostały. Niedługa przyszłość zapewnita im powszechnie uznanie; na razie rzeczy poszły dalej swoim trybem: parlament uznał nawet stanowienie różnicy kursu między monetą brzęczącą i biletami bankowemi za przestępstwo ulegające karze. Powodem do tej ustawy stała się zapowiedź lorda King swoim dzierżawcom, że wymagać od nich będzie wypłaty ceny dzierżawnej w monecie złotój, chociażby obcej, lub papierami w takiej ilości za jaką zakupićby można ilość złota zawartą w odpowiedniej liczbie gwinei.

Pomimo tej ustawy, pomimo obfitego urodzaju w roku 1813, nigdy bilety bankowe tak nisko nie stały jak w listopadzie 1813 r. (traciły do 30%).

Po przywróceniu pokoju, cena złota w październiku 1816 r. spadła prawie do *pari*, lecz pożyczki zaciągane w Anglii przez rządy stałego lądu w roku 1817, i nieurodzaj przypadły w tym roku obok pomnożenia znacznego cyrkulacji prowincjonalnej, sprawiły tak znaczny upływ monety brzęczącej w roku 1818, iż w kwietniu 1819 roku akt parlamentu zakazał bankowi wypłat w monecie brzęczącej nawet w tym zakresie, jak to od roku 1816 miało miejsce.

Wszakże nabyto już przekonanie że leżało w mocy banku przy zachowaniu należytej ostrożności w swoim postępowaniu podnieść i utrzymać na równi wartość swoich biletów. Dlatego w tymże jeszcze roku, parlament pomimo opozycji banku, wydał pamiętny akt (bill Peel'a) znoszący w zupełności zakaz płacenia w monecie brzęczącej z d. 1 maja 1823 roku. Przed tą epoką w trzech okresach czasu od 1 lutego do 1 października 1820 roku, od 1 października 1820 roku do 1 maja 1821 roku, i od tej ostatniej daty do naznaczonej chwili zupełnego powrotu do wypłat w gotowiznie, bank zobowiązany został do wymiany przedstawionych mu biletów w ilościach znaczniejszych (nie mniejszych od 60 uncji złota to jest około 240 l.) po cenie stopniowo zbliżającej się do *pari*, lecz nie w monecie brzęczącej, ale w sztabach odcinanych w mennicy. Dozwolono przytém bankowi płacić jeżeli zechce, w okresie pierwszym po cenach okresu drugiego, a w okresie drugim po cenach okresu trzeciego. Jednocześnie zabroniono bankowi udzielać zaliczeń skarbowych bez upoważnienia parlamentu. Bank przy sprzyjających okolicznościach (wielki urodzaj w roku 1820) wkrótce zebrał tyle zasobów, iż na jego żądanie termin powrotu do wypłat w gotowiznie skrócony został o całe dwa lata. Z dniem 1 maja 1821 roku moneta brzęcząca stała się jedynym legalnym środkiem obiegu.

Odtąd zmiany kursu wexlowego zawarły się, jak to utrzymywał komitet z r. 1810, w granicach kosztu przesyłki drogich kruszców. Przy ułatwieniu komunikacji koszt przesyłki 1 L = frcs 25,20 z Londynu do Paryża nie dochodzi 10 c., a z Paryża do

Londynu 17 $\frac{1}{7}$ c. Ztąd spadek lub zwyżka kursu między temi dwoma miastami zamyka się obecnie między frcs 25,10 i 25,37 $\frac{1}{2}$ (Wołowski: Le change s. 230,231) czyli nie przechodzi w ogóle 1 $\frac{1}{10}$ $\frac{0}{0}$.

Taki stan rzeczy wywołał nowe zjawiska na targu pieniężnym, o których niżej powiemy.

Od roku 1844 emissa biletów bankowych w Anglii została w ścisłe karby ujętą. Ztąd zarzut czyniony bankom tego kraju że przyczyniają się do zachwiania wartości środków obiegowych pomnażając zbytecznie ich ilość, niema obecnie znaczenia. Natomiast bank angielski spotyka się czasami z zarzutem który niżej rozberzemy, że naznaczając zbyt niską stopę eskonty zmniejsza tём samém wartość środków obiegowych.

Trzeci zarzut przeciwko systematowi bankowemu angielskiemu odnosi się do przypisywanego bankom wpływu na przesilenia handlowe i kredytowe. Przesileniom tym ulegała Anglia w czasach dawniejszych, tyle co w dzisiejszych. Dzieje handlu i kredytu zaznaczyły ważniejsze przesilenia, w ciągu ubiegłego stulecia w latach: 1763, 1772, 1783, 1793, 1797, 1808, 1825, 1836, 1839, 1847, 1857, 1866 (Macleod Theory 2gie wydanie, II s. 219).

Ich przebieg poczyna być lepiej znany dopiero od roku 1793. Gdy w owym właśnie czasie wypuszczanie biletów bankowych zaczęło przybierać większe rozmiary, było rzeczą naturalną że w nadmiernej emisji upatrywano dotykálną że tak rzeczem przyczynę złego.

Atoli bliższe zbadanie rzeczy wykazało że przesilenia mają swe źródło w rozbujającej i nieoglednej spekulacji, którą podsyca kredyt zbyt łatwo udzielany.

Pomnażanie środków obiegowych jest jednym ze srodków zwiększenia kredytu, ztąd przyczynić się może w tój samej mierze co inne środki kredyt ułatwiające do podniesienia spekulacji. Ale niezasadném jest potępiac środek rozszerzonej działalności, dlatego że ta działalność zły kierunek obrać może. Zarzut czyniony bankom powodowania przesileni kredytowych przez zbytecznie wypuszczanie biletów jeszcze przed bilem 1844 r. w Anglii słabnąć począł. O przesileniu z r. 1825 mówi np. Wilson (Capital Currency and banking s. 243): „Zwiększony znacznie obieg biletów niezasobnych bankierów prowincjonalnych, stanowił jedną, jakkolwiek niezbyt znaczną, z odległych przyczyn (one, though not a very important one of the remote causes) które stały się powodem popłochu w r. 1825.”

Bil z r. 1844 ograniczył wysokość emisji biletów bankowych. Zaraz przecie po wydaniu bilu, spekulacya doszła nieznanym dawniej rozmiarów. Przesilenia wydarzone w latach: 1847, 1857, 1866, pod żadnym względem przypisane być nie mogą zwiększeniu emisji biletów bankowych, dowodząc tём samém płonności zarzutu. Dziś ten zarzut, tak jak zarzut drugi odnosi się do naznaczania zbyt niskiej stopy eskonty.

Nie można w rozszerzonym obiegu biletów upatrywać głównego źródła przesileni kredytowych, ale systemat bankowy angielski stał się istotnie powodem pewnego chorobliwego fenomenu, który do właściwości tego systemu należy. Monopol banku angielskiego stanął na przeszkodzie utworzeniu się w tym kraju banków emisyjnych na podstawie znaczniejszego kapitału opartych. Zład charakterystyczną cechą przesileni w Anglii w latach 1793 do 1844 a zwłaszcza do 1826. stanowiło: że te przesilenia jakikolwiek był ich powód, przechodziły w swoim przebiegu w przesilenia kredytowo-cyrkulacyjne, t. j. że bilety banków prowincjonalnych traciły kredyt i nie odzyskiwały go jeszcze wówczas, kiedy paroksyzm przesilenia już przeszedł i przyczyna jego ustała.

Natura choroby wskazywała bankowi angielskiemu, który do jój leczenia ze względu na stanowisko swoje regulatora kredytu był powołany, właściwy tryb postępowania. Bank powinien był, ile możliwości zapobiegać rozwinięciu się choroby, a kiedy paroksyzm jój minął, dopomagać powrotowi do zdrowia, t. j. powinien był ścieśniać kredyt, gdy się na kryzys zabierało, a udzielać go jak najobszerniej gdy już przechodzić zaczynała.

Kiedy spekulacya handlowa się rozbuja, nie należy jój podniecać zbyt niemię ułatwianiem kredytu; gdy zaś paroksyzm spekulacyi już minie, lecz skutkiem jój nastąpiło zatamowanie kredytu które dotyka i nie mających w niój udziału, należy przychodzić im w pomoc w najobszerniejszym ile można zakresie.

W taki, prosty i najważniejszy sposób, bank angielski pojął swoje zadanie w czasie przesilenia 1783 r. (Macleod Słownik s. 628). Odtąd nie jednokrotnie zmieniał swoje postępowanie wywołując liczne przeciwko sobie zażalenia. W roku 1793 bank uląkł się o swoje bezpieczeństwo, odmówił handlowi obszerniejszej pomocy, tak iż rząd, co jak wiadomo rzadkiem jest w Anglii wydarzeniem, ujrzał się spowodowanym wypuścić bony skarbowe dla pożyczania ich potrzebującym kredytu. Na operacyi téj rząd nie stracił a przesilenie krydtowe ustało.

Przesilenie z r. 1793 wywołało po raz pierwszy usiłowania teoretyczne co do wydarzeń tego rodzaju. Sławny kupiec Franciszek Baring wydał w r. 1797 Uwagi nad bankiem angielskim i cyrkulacją papierową, w których odróżnia trzy powody większego niż zwykle potrzebowania złota: wywóz za granicę, nieufność mającą swe źródło w stosunkach politycznych, wreszcie zachwianie się banków prowincjonalnych. Baring uważa że w dwóch pierwszych przypadkach bank angielski powinien starać się o zachowanie zapasu gotowizny; że w trzecim razie winien wydać nieledwie ostatnią sztukę złota dla podtrzymania kredytu.

Zasady wyrzeczone przez Baringa stały się w Anglii podstawą zapatrywania się na przesilenia handlowe; podzielił je komitet Izby niższej z r. 1810, przemawia za niemi i Macleod.

Orzeczenia Baringa nie mówią w gruncie nic więcej nad to: że kiedy złoto wychodzi za granicę, lub się chowa, znika zaufanie

do biletów bankowych prowincjonalnych. Nie można stawiać obok siebie w jednym rzędzie trzech faktów, z których ostatni jest zwykle następstwem jednego z dwóch pierwszych; symptomatem objawiającym się w dalszym przebiegu choroby, a czasem jeśli choroba jest nagła i w samym jej początku, lecz nie stanowiącym choroby odmiennéj. Przesilenia kredytowe zaczynały się w Anglii od niekorzystnego kursu wexlowego lub nieufności w stosunki polityczne, zaraz potem następowało dawniej zachwianie się cyrkulacji prowincjonalnej jako najwadliwszej części tamecznego kredytu.

Tak wyjaśniona zasada Baringa zgadza się zupełnie z trybem postępowania przez bank angielski w r. 1783 przyjętym.

Rozebraliśmy główne zarzuty czynione systematowi bankowemu angielskiemu; przedstawiliśmy istotne niedogodności jakie z tego systematu wynikły. Niedogodności odnosiły się do dwóch głównych punktów: do słabego organizmu banków prowincjonalnych, które ze względu na monopol służący bankowi angielskiemu nie mogły być zakładane na podstawie zbiorowego kapitału; do nieostrożnego postępowania tak banków prowincjonalnych jak banku angielskiego, podniecających niejednokrotnie swoim działaniem wybujałość spekulacji. Bank angielski ciążył nadto zarzut, że w krytycznych chwilach nie zawsze, jak to było jego zadaniem, przynosił dostateczną pomoc dla handlu i przemysłu.

Dla zaradzenia niedogodnościom wynikającym ze słabego organizmu banków prowincjonalnych, należało wzmocnić ten organizm przez usunięcie monopolu banku angielskiego i ułatwienie zakładania banków o kapitale zbiorowym. Prawodawstwo miało tu wyraźnie wytknięte dla siebie cel i drogę. Tą drogą postępowano prawodawstwo angielskie z wolna, stopniowo, jak to jest zwyczajem angielskim, w sposób świadczący niezbyt korzystnie o technicznej biegłości prawodawców, którzy nie jednokrotnie w krótkich odstępach czasu wydane ustawy, jako niepraktyczne zmieniać musieli. W ogóle przecież szereg środków prawodawczych, użytych dla dopięcia wskazanego celu w latach od 1826 do 1862 zyskał powszechne uznanie. Skutek zamierzony, utworzenie systematu banków zasobnych i zastugujących na zaufanie, coraz więcej w Anglii się ziszcza.

Drugim źródłem niedogodności było nieogłędne postępowanie banków. Pod tym względem prawodawstwo założyło sobie za cel powściągnąć nadużycia a nawet im zapobiedz. Za główny środek do osiągnięcia tego celu prawodawstwo obrało ścieśnienie działalności banków w kierunku, który najwięcej do nadużyć dawał powód, w emisyi biletów bankowych. Wynikł ztąd drugi odrębny od pierwszego szereg środków prawodawczych. Środki te wywołały żywą opozycję; cel przez nie zamierzony częściowo tylko osiągnięty został; przy ich zastosowaniu okazały się niedogodności, które w ciągu 22 lat, trzykrotnie spowodowały zawieszenie najważniejszych przepisów ustawy.

Niepodobna jest zmusić ludzi do przeczności; jeżeli zagrozi się im droga za zbyt niebezpieczną uznana, wnet znajdą sobie inną, która również do katastrof prowadzi.

Nie wynika ztąd aby w miejscach niebezpiecznych nie dawać poręczy; lecz przedsiębrane środki ostrożności zależą widocznie od okoliczności miejsca i czasu i za ogólne prawidło służyć nie mogą.

Podajemy w krótkości rys środków prawodawczych użytych w obu kierunkach.

Przesilenie z r. 1825 dało prawodawstwu pochop do zajęcia się stanem banków. Naczelnik rządu lord Liverpool wyraził swoje przekonanie, że bank angielski nie wystarcza potrzebom krajowym; że jego przywilej wyłączający spółki bankowe złożone więcej niż z sześciu osób, wywiera skutki nader niekorzystne; nie przeszkadza bowiem założeniu banków przez osoby pojedyncze małej zamożności, a nie dozwala zakładania banków z kapitałem odpowiednim. Rząd uczynił bankowi dwie propozycje: jedną ażeby zakładał filie na prowincyi; drugą ażeby odstąpił od swego wyłącznego przywileju co do liczby osób mogących wejść do spółki bankowej, w pewnym promieniu od Londynu. Bank opierał się póki mógł, w końcu przyjął te propozycje pod naciskiem rządu i opinii.

Ustawa z r. 1826 dozwoliła zakładania banków bez ograniczenia liczby wspólników w promieniu większym niż 14 milowy od Londynu (65 mil angielskich) i przepisała formę zakładania spółek prowincjonalnych banków. Bank angielski tegoż jeszcze roku założył trzy filie: w Gloucester, Manchester i Swansea.

Prawo z r. 1826 nie poprawiło dostatecznie systemu bankowego. Banki o kapitale zbiorowym mogły być zakładane na prowincyi, lecz nie wolno im było mieć swoich agencji w Londynie głównym punkcie handlowym; nie mogły nawet trasować i asygnować na Londyn na mniej niż 50 l. „Zakazaliśmy” mówi Wilson (s. 99) zakładania banków emisyjnych w tym promieniu, w którym jedynie silne i bezpieczne instytucje mogły być powstać i rozszerzyć stopniowo wpływ swój na cały kraj, jak banki szkockie rozszerzyły wpływ swój z Edynburga na Szkocję”.

W pierwszych latach po r. 1826 powstało zaledwie kilka banków o kapitale zbiorowym i to w drugorzędnych miejscowościach (Lancaster, Bradford, Norwich).

W publiczności zaczęto roztrząsać jak daleko rozciąga się monopol banku angielskiego, i nabyto przekonania, że jakkolwiek akt z r. 1742 zapewniał mu w ogólnych wyrazach wyłączność w prowadzeniu interesów bankowych, to przecież rozporządzenia w tym akcie zawarte obejmowały zakaz pewnych tylko ściśle określonych operacji bankowych; wymierzone były przeciw sposobowi prowadzenia interesów bankowych praktykowanemu wyłącznie w roku 1742, t. j. przeciw wypuszczaniu biletów bankowych.

Tak pojmowane przepisy prawa nie czyniły niemożliwem założenie banków o kapitale zbiorowym w Londynie i cztertnasto-

milowym promieniu, byle tylko banki te nie wypuszczały biletów obiegowych. Prawnicy korony oświadczyli się za takim tłumaczeniem prawa. Opinia z coraz większą stanowczością okazywała się przeciwną monopolowi banku angielskiego, nigdy nie używającego popularności. Przy odnowieniu przywileju bankowego w roku 1833 powtórzono wprawdzie przepis, że banki w Londynie i czteremilowym promieniu, nie mogą „zapożyczać, być dłużnemi lub zaciągać jakąkolwiek lub jakiegokolwiek kwoty na wexle lub obligi płatne za okazaniem lub w terminie krótszym niż sześciomiesięczny od wystawienia;” lecz orzeczono przytem wyraźnie, że przywilej banku nie wyłącza banków złożonych z więcej niż sześciu osób, a bankom prowincjonalnym pozwolono mieć ajencye w Londynie, wyłącznie dla wymiany biletów.

Odtąd banki o kapitale zbiorowym mnożyć się zaczęły na prowincyi; na wiosnę 1836 roku założono ich przeszło 40.

W Londynie po roku 1833 zaczęto wprawdzie zakładać banki z więcej niż sześciu osób złożone, lecz banki te nie były i w obec przepisów prawa angielskiego być nie mogły spółkami stanowiącemi osobę moralną. Akt z roku 1826 przepisał formy zakładania spółek bankowych na prowincyi, lecz akt ten nie miał zastosowania w Londynie i 14to milowym promieniu, akt zaś z roku 1833 pozwalający w tym ostatnim okręgu prowadzenia interesów bankowych bez ograniczenia liczby osób, nie zawierał przepisów co do form pod jakimi spółwłaściciele banku w spółkę o kapitale zbiorowym połączyć się mogli. Ztąd banki założone w Londynie na podstawie prawa z roku 1833 miały wprawdzie liczbę współwłaścicieli przechodzącą sześć osób, ale nie były spółkami aż do roku 1844.

Powstałe w tych warunkach banki w Londynie doznały ze strony banku angielskiego wszystkich szykan, jakie tylko przebiegłość prawnicza w usługach zazdrośnego o swój przywilej monopolu wymyślić jest w stanie. Dopiero akt z roku 1844 na wniosek Roberta Peel uchwalony, przepisał formy zakładania spółek bankowych w całej Anglii. Przepisy tego aktu okazały się niedogodne, tak iż akt w roku 1857 nową ustawą zastąpiony został.

Spółki bankowe tak jak wszelkie inne w Anglii opierały się na zasadzie solidarnej odpowiedzialności spółników. Zasada odpowiedzialności ograniczonej wprowadzoną została do prawodawstwa angielskiego w roku 1855, zastosowano ją do spółek bankowych dopiero w roku 1858, utrzymując jednakże solidarną odpowiedzialność co do wymiany biletów.

Nareszcie w roku 1862 wszystkie poprzednie ustawy dotyczące spółek bankowych i innych, zastąpione zostały ogólnym prawem (Companies act), którego artykuł 182 utrzymał zasadę solidarnej odpowiedzialności spółników za wypuszczone bilety obiegowe (1).

(1) P. Martine: *Législation Anglaise sur les Compagnies limitées et non limitées*. Paryż 1867 s. 160.

Pod wpływem zmiany prawodawstwa, systemat banków angielskich przekształcać się zaczął. Lecz skutki błędnych rozporządzeń prawodawczych nie ustają z chwilą ich zniesienia. Im dłużej banki o kapitale zbiorowym były w Anglii niemożliwe, tém raptowniej mnożyć się zaczęły, podczas kiedy w Szkocji, gdzie nie było monopolu, powstawały one i rozwijały się z wolna, w miarę okazującej się potrzeby. Taki popęd, obok istniejących jeszcze ścieśnień prawodawczych, sprawił że banki o kapitale zbiorowym zawiodły z początku w Anglii nadzieje, jakie na nich pokładano. Przesilenie 1836 roku przerodziło się dawniejszym trybem w zachwianie cyrkulacji. W tém przecież była różnica, że jak poświadcza Tooke (*Inquiry etc.* s. 95—101) przy zdarzających się upadłościach banków o kapitale zbiorowym, po największej części, jeśli nie zawsze, bilety ich zostały bezzwłocznie zapłacone, a w każdym razie zapłata ostatecznie nastąpiła, podczas gdy na bankructwie banków prywatnych tracili nietylko ci co im powierzyli swoje fundusze, lecz i posiadacze biletów.

Drugim zadaniem prawodawstwa angielskiego było: przez uregulowanie działalności banków zapobiedz nadużyciom w ich postępowaniu.

W tym celu wprowadzono w roku 1833 i latach dalszych zasadę jawności do działań banków, obowiązując je do składania sprawozdań, które rząd ogłasza.

Ograniczono banki w prawie emisyi biletów:

Nakoniec wiąże się z tym celem zniesienie w latach 1833—1855 praw o lichwie (1) dające bankom możność stosowania stopy eskonty do stanu targu pieniężnego.

Dwa te ostatnie środki prawodawcze wymagają bliższego określenia i przedstawienia ich skutków.

Prawna stopa procentów Anglii była przed rokiem 1833 pięć od sta. O wyższy procent nie było wolno się umawiać, a zakaz ten stosował się i do stopy eskonty, którą wówczas miewano z procentem. Na stopę 5% pobierał eskontę bank angielski od roku 1773—1822, odtąd zniżył ją do czterech od sta i utrzymywał w tej wysokości z wyjątkiem czasu od 13 grudnia 1825 do 5 lipca 1827 roku, przez ciąg którego stopa dyskontu była 5% (Gilbart).

Rzadkie jak widzimy były wówczas zmiany w stopie eskonty.

Odkąd eskonta (naprzód co do wexli nie dłuższych nad trzy miesiące, według prawa z roku 1833) przestała ulegać ograniczeniom prawnym, zmiany w jej stopie stały się środkiem regulowania targu pieniężnego. Działalność tego środka polega na następujących okolicznościach.

Anglia sąsiaduje z krajami równie prawie bogatemi jak ona sama. W handlu z temi krajami sprzedaje im na kredyt, lecz

(1) P. Kirszrót. Prawa o procentach, artykuł w *Ekonomiście* za rok 1867, półrocz. 2 s. 126.

i kupuje od nich na kredyt. Kredyt handlowy stanowią wexle z dłuższym terminem. Te kredyty kompensują się nawzajem. Lecz jeśli z jakichkolwiek powodów należności przez Anglią dłużne przewyższają chwilowo to co się Anglii od drugich należy, następuje niedobór w bilansie wzajemnych wypłat, kurs wexlowy spada i złoto upływać zaczyna.

Ażeby zapobiedz upływowi złota, Anglia usiłuje odroczyć realizację udzielonego jej kredytu, co osiąga przez podwyższenie stopy eskonty.

Dług handlowy zaciągnięty przez Anglią, czyli wexle terminowe mogą być w każdej chwili zrealizowane przez zeskontowanie ich w Londynie. Jeżeli stopa eskonty w Londynie podwyższoną zostaje, ci którzy mają należności do odebrania w Anglii, wołają czekać terminu swoich wexli, niż realizować je wcześniiej z potrąceniem znacznej eskonty.

Co do długu handlowego zagranicznego, skutek podwyższenia stopy eskonty polega zatem na odroczeniu realizacji długu, a ztąd wynika zatamowanie upływu złota. Jest to skutek natychmiastowy.

W stosunkach wewnętrznych podwyższenie stopy eskonty działa pośrednio. Kiedy kredyt jest drogi, każdy używa go najmniej jak może, spekulacya prowadzona zwykle za pomocą kredytu powściąga się, ceny towarów przez nią sztucznie podtrzymywane spadają, co przyczynia się do przyśpieszenia wywozu, który ostatecznie rachunki wzajemnych należności wyrównać musi.

Ten skutek nie jest równie szybki jak pierwszy. Zrobiono nawet uwagę, że spadek cen nie ma zawsze za skutek zwiększenia sprzedaży. Towar najwięcej kupowany bywa wówczas, kiedy ceny idą w górę, bo każdy lub się obawia dalszego podrożenia, lub ma nadzieję na niēm zyskać. Przeciwnie gdy ceny spadają, często właśnie z tego powodu sprzedaż się zatrzymuje. Spodziewany jest większy jeszcze spadek cen (1).

Do wyłożonych powyżej skutków podwyższenia stopy eskonty przybyły nowe bezpośrednio i szybko działające, odkąd przy ułatwionej komunikacyi, koszta przesyłki drogich kruszców a zwłaszcza złota pomiędzy Anglią a sąsiadującymi krajami zmniejszyły się do ułameków jednego procentu, a czas na tę przesyłkę potrzebny nie dochodzi np. między Paryżem i Londynem nawet jednej doby. Przy oznaczeniu w Londynie stopy eskonty wyżej np. nad paryżką, paryżcy kapitaliści mający fundusze rozporządzalne przesyłają wprost pieniądze swoje do Londynu dla korzystania z wysokiej stopy eskonty; wycofują je znowu gdy stopa eskonty się zniży. Ażeby podniesienie stopy eskonty ściągnęło kapitały obce do Londynu, winno nietylko równoważyć ale prze-

(1) Bonnet w artykule p. t. La hausse des prix, w Revue des deux mondes 15 sierpnia 1869, s. 949 przytacza, że obok podniesienia przez bank francuzki stopy eskonty w latach 1853 i 1854, ceny (le prix général des choses) zaczęły iść w górę.

wyższać koszt podwójnej przesyłki złota, tam i napowrót. Dla stosunków Londynu z Paryżem, p. Goschen uważa za skuteczną podwyżkę stopy eskonty w Londynie nad paryżką o 2%, p. Wołowski o 3 lub 4%.

W kraju znowuż podwyższenie stopy eskonty działa na zatanowanie wywozu metalu za granicę. Ta operacja prowadzona na kredyt, jak cały handel, przedstawia czasem zyski kiedy kredyt jest tani; nie opłaca się przy podwyższeniu stopy eskonty.

Z przedstawionego obrazu skutków podwyższenia stopy eskonty wynika: że to podwyższenie jest środkiem wyrównania chwilowego niedoboru w bilansie wypłat między krajami równiej prawie zamożności i ustalonego kredytu, a działa tém skutecznieć, im łatwiejsze i tańsze są komunikacje między temi krajami.

Określone warunki wskazują zarazem granicę skuteczności podwyższenia stopy eskonty. Nienależy tego środka uważać za lekarstwo uniwersalne na choroby kredytu.

Można w ten sposób wyrównać chwilowy niedobór w bilansie wzajemnych wypłat, lecz stały niedobór tym środkiem pokryć się nie daje. Nadto nieodzownym warunkiem skuteczności pomienionego środka jest ustalony kredyt. Jeżeli znikło zaufanie w stosunki kredytowe jakiego kraju, każdy mający tam należność śpieszyć się będzie z jej realizacją, a nikt nie prześle tam swego kapitału.

Okazało się to w Anglii w roku 1866. Po upadku wielkiego banku londyńskiego Overend, Gurney Co, w maju t. r. tak zachwiające zostało zaufanie w stosunki kredytowe Anglii, że chociaż bank angielski podniósł stopę dyskonta do 10%, a bank francuzki utrzymywał ją tylko na 4%, pieniądź napływał do banku francuzkiego a wychodził z Anglii. Z powodu wzbudzonej obawy spieniężano dług od Anglii należny po jakiejś bądź cenie, powstał *nabieg* na Anglię (a run upon England), a nikt nie śpieszył z przesyłką pieniędzy do kraju, którego stosunki kredytowe uważane były za niepewne.

Skreśliliśmy skutki jakie wywarło na systemat bankowy zniesienie ograniczeń prawnych co do stopy eskonty, trafiające na czas ułatwionej komunikacji.

Znając te skutki można ocenić środki prawodawcze użyte w celu ograniczenia emisji biletów bankowych.

Przesilenie z r. 1825 przypisywano na razie zbytnej emisji biletów przez banki prowincjonalne. Emisją tę ułatwiał przedłużone (prawem z r. 1822) aż do roku 1833 dozwoleńie wypuszczania biletów w sztukach niższej wartości od 5 L. Przerażony gwałtownością przesilenia, rząd zakazał wydawania stempli na takie bilety, a w roku 1826 wyszło prawo zabraniające wypuszczania ich nadal i rozporządzające wycofać z obiegu już wypuszczone, z d. 5 maja 1829 r.

Pomimo to wydarzyły się przesilenia w latach 1836 i 1839. Te przesilenia przypisano nadużyciom emisji, chociaż po zakazie drobnych biletów papier znikł z cyrkulacji powszednieć.

Wyobrażenia utworzone wśród pewnych okoliczności wywierają wpływ na umysły wówczas jeszcze, kiedy te okoliczności przemijają. Nie uniknęli tego prawodawcy angielscy. Pod wpływem obaw jakie miało w latach 1836 i 1839 o wypłacalność banku angielskiego, zamierzali użyć energicznych środków dla zapobieżenia nadal katastrofom kredytu, a mniemając że głównym tego kredytu organem jest cyrkulacja papierowa, postanowili ilość jej ograniczyć i wymianę biletów na monetę brzęczącą na wszelki przypadek zabezpieczyć.

Uznając, że pewna ilość biletów jest dla publiczności niezbędną, że cyrkulacja nigdy po za to minimum nie schodzi, mniemano że bezpieczeństwo tej ilości biletów może być oparte na kapitale zakładowym banku umieszczonym w pożyczce rządowej. Całkowita przewyżka biletów nad tę ilość winna była być pokryta złotem (najmniej w $\frac{3}{4}$) i srebrem (najwyżej $\frac{1}{4}$) w kasie złożonej. Ażeby zastrzeżenie to osiągnęło skutek, należało odjąć bankowi możność rozporządzenia tą częścią jego kassy, która służyć miała wyłącznie za rękojmię biletów. Ztąd podzielono bank na dwa oddziały od siebie niezależne: oddział emisyjny czyli biletów bankowych (Issue department) i oddział bankowy czyli operacyjny (banking Department).

Zakazano przeto na przyszłość zakładać banki emisyjne a istniejące w roku 1844 pozostawiono przy prawie emisyjnym w takich rozmiarach, jakich emisyja ich doszła w przecięciu ostatnich dwunastu tygodni przed d. 27 kwietnia 1844. W razie jeżeliby który z banków pozostawionych przy prawie emisyjnym istnieć przestał lub zawiesił wypuszczanie biletów, dano bankowi angielskiemu prawo powiększenia swęj emisyji nie pokrytej metalem o $\frac{2}{3}$ części tej ilości, jaką emitować miał prawo bank zaprzestający emisyji.

Takie są główne rozporządzenia sławnego billu Roberta Peela z r. 1844, rozporządzenia zastosowane w roku następnym z pewnemi zmianami do banków szkockich i irlandzkich.

Bil Peela podzielił Anglię na dwa obozy: stronników i przeciwników billu. Aby czytelnikom ułatwić zrozumienie polemiki jaka się w przedmiocie bilu r. 1844 wywiązała (szczególniej między P. Tooke i półkownikiem Torrens) pozwolę sobie użyć następującego porównania:

Wystawmy sobie bank angielski jako człowieka delikatnej kompleksji, który uie dość baczny na zmiany temperatury często ulega zaziębieniu.

Człowiek ten posiadał pleć dość obszerny (kassa banku), którym okrywał piersi i żołądek (wymieniał bilety i wypłacał depozyty) co zastaniało go, lecz tylko do pewnego stopnia od zimna i niepogody. W razie znacniejszego oziębienia temperatury, przypadłości chorobliwe zaraz się objawiały.

Zjawił się doktor, który chcąc od kataru zabezpieczyć pacjenta polecił mu zwiniętym pleciem okryć szyję i piersi, co te części ciała zupełnie na przyszłość od zaziębienia bronić miało.

A żołądek, oznał się ktoś z boku (Tooke), zapominacie o żołądku (depozytach). Z waszego systematu to wyniknie, że pacjent stanie się jeszcze wrażliwszy na zmiany powietrza niż był dotąd. Będzie miał spoconą szyję i piersi okrywшы je zwiniętym pledem a zaziębi żołądek nawet przy takich zmianach temperatury, które, gdybyście mu pozwolili okryć pledem obie części ciała, mógłby znieść bez szwanku.

My go właśnie skłonimy do większej ostrożności, odpowiadali stronnicy billu (Torrens). Dawniej właśnie dlatego że miał okryte pledem piersi i żołądek, nie był dość baczny na zmiany powietrza, lecz teraz piersi będą doskonale zakryte, a pacjent najmniejszy chłód tak zaraz w żołądku poczuje, że będzie musiał się, starać o cieplejsze odzienie (bank będzie musiał podwyższać stopę eskonty i spieniężać aktywa).

Lecz jeśli pacjent nie stanie się przezorniejszym jak dotąd, czyż łatwiej nie ulegnie chorobie? czyż skutki zaziębnienia źle okrytego żołądka nie będą gorsze od dotychczasowych katarów; czyliż pacjent zaskoczony nagle zmianą temperatury znajdzie zawsze okrycie, które przy waszym systemacie nieodzownym dla niego się stało; czyliż broniąc siebie nie będzie musiał wziąć tego okrycia (pieniędzy) od drugich w chwili, kiedy oni go najwięcej potrzebować będą? Uniknąłby tego gdybyście mu pozwolili okryć pledem piersi i żołądek, na co poniewoli przystać będziecie musieli, a przytem gdyby chciał być ostrożnym!

Takie były w wierném lubo paraboliczném streszczeniu (1) argumenta za i przeciw bilowi przywodzone. Streszczając polemikę w przedmiocie bilu z r. 1844 prowadzoną, pozostawiliśmy ostatnie słowo przeciwnikom bilu, dlatego, że ostatnie słowo dały im wypadki.

W istocie jakież były przewidywania stronników i przeciwników bilu, w chwili jego wniesienia?

Autor bilu, Sir Robert Peel, zamierzał, jak to oświadczył w moim swój z r. 1848 (Macleod Słownik s. 116. 117) zapobiedz przewrotom jakie dotąd miały miejsce przez brak ostrożności banku angielskiego w strzeżeniu dostatecznego zapasu gotowizny w swojej kassie. „Zmuszony jestem wyznać, mówił Peel, że zamiar billu 1844 r. polegający na tém ażeby przez dość wczesne użycie środków ostrożności zapobiedz uciekaniu się w ostatku do środków nadzwyczajnych, nie został osiągnięty. Lecz obok pierwszego celu (first object) bil miał jeszcze dwa inne zadania, równej, co najmniej, doniosłości; zapewnić wymianę biletów na złoto i zapobiedz ażeby zamięszanie powstające ze zbytniej spekulacji, nie zwiększało się przez nadużycie kredytu w formie biletów obiegowych. Spełnienie obu tych zadań bilu powiodło się zupełnie.”

Cóż natomiast mówili przeciwnicy bilu? Przywiedziemy tu również własne ich słowa.

(1) Patrz dzieło Took'a. An inquiry etc. s. 105 — 109. Argumenta Torrensa są tam dosłownie przywiedzione.

„Należy do zadań prawodawstwa, mówi Tooke, i winno być jego staraniem zabezpieczyć jak najtroskliwiej wymianę biletów i wypłacalność banków; nie w tém zachodzi różnica między dwoma systematami bankowemi (t. j. szkołą bankową i szkołą monetarną); lecz różnica głównie polega na większem lub mniejszem usposobieniu kredytu do nagłych zmian w stopie procentu... wynurzyłem już poprzednio zdanie, że przy zupełnem oddzieleniu emisji od innych czynności banków, zmiany w stopie procentu będą więcej nagłe i gwałtowne, niż to się w dotychczasowym systemacie zdarzało” (Tooke s. 105).

„Jeżeli wypadki silnie i nagle działające spowodują wycofanie depozytów z banku, zdarzyć się może że choć oddział emisyjny będzie miał pełną kasę, oddział operacyjny musi zawiesić wypłaty. Będzie to niedorzecznem (absurd) i w kłeski płodnem (disastrous). Lecz byłoby więcej jeszcze niedorzecznem i więcej płodnem w kłeski dopuścić takiego przebiegu rzeczy. Rząd byłby z konieczności spowodowany (imperatively called upon) wdać się w tę sprawę i przeszkodzić katastrofie równie śmiesznej jak żalostnej. Jedy- nym skutecznym środkiem, będzie upoważnienie do czasowego przeniesienia pieniędzy z oddziału emisyjnego do oddziału operacyjnego” (tamże s. 109).

Oba przewidziane przez Tooka skutki ziściły się jak najzupełniej. Wielkie i nagłe zmiany w stopie eskonty banku angielskiego są od roku 1844 na porządku dziennym, a rząd już trzykrotnie w latach 1847, 1857 i 1866 widział się w konieczności zwolnić emisją bankową od ścieśniających przepisów, co za każdym razem działało jak dotknięcie różżką czarodziejską na zażegnanie popłochu i przywrócenie kredytu.

Stronnicy bilu nie mogąc zaprzeczyć tym jego skutkom twierdzą że niedogodności wynikające z raptownych zmian w stopie eskonty nie są zbyt znaczne; że jest to środek z natury rzeczy wynikający i w każdym systemacie konieczny.

Te twierdzenia są tylko w części zasadne. Niedogodnościom wynikającym z raptownych zmian w stopie eskonty trudno zaprzeczyć. Ze podwyższenie stopy eskonty jest koniecznem w celu wstrzymania upływu złota z kasy banku, na to wszyscy się zgadzają. Lecz zatamować upływ złota tylko wówczas zachodzi istota potrzeba, kiedy ten upływ przybiera rozmiary zagrażające wyczerpaniem kasy. Gdyby bank miał jedną tylko kasę, mógłby nie troszczyć się o upływ kilku milionów; że ich ma dwie nie mogące wspierać się nawzajem, musi podwyższać stopę eskonty nawet przy niezbyt znacznem żądaniu złota, które, postępując z wszelką należną ostrożnością, przy zjednoczeniu kass mógłby przetrzymać nie uciekając się do środka zawsze bardzo przykrego dla handlu.

Co do trzykrotnego zawieszania prawa, stronnicy billu przytaczają, że bank jakkolwiek trzykrotnie do przekroczenia prawa upoważniony, raz tylko w r. 1857, i to w niezbyt wielkich rozmiarach, z tego upoważnienia zrobił użytek. Anglik Price które-

go zdanie przywodzi p. Wołowski (La Banque d'Angleterre s. 93), przyrównał upoważnienie udzielone bankowi, do flaszki czystej wody przyniesionej z renomowanej apteki, która uspokoiła atak nerwowy.

To porównanie jest więcej dowcipne niż gruntowne. Kassa oddziału emisyjnego banku angielskiego ma w skrzyni swojej złoto a nie wodę. Otwarcie tej kassy na potrzeby oddziału operacyjnego, jest zupełnie czém innym jak podaniem choremu na urojenie wody z apteki. Zwykle bywa natłok do kassy bankiera, gdy publiczność się lęka że w niej pieniędzy zabraknie. Kiedy bankier pokaże że jego kassa pełna, zdarza się, że ci co przyszedli odbierać od niego pieniądze, sami go proszą żeby je u siebie zatrzymał i jeszcze więcej dopóżyczają. Lecz czyliż bankier znalazłby kredyt, gdyby kassa jego była pusta?

Tak się stało w roku 1866 z bankiem angielskim.

Po katastrofie spowodowanej bankructwem firmy Overend, depozyta w banku angielskim zwiększyły się, lecz nie pierwój aż rząd dał możność bankowi czerpać z kassy emisyjnej.

Przed tém rozporządzeniem rządu depozyta były stosunkowo nie wielkie, a nawet według twierdzenia p. Chevalier bankierowie londyńscy grozili ich odebraniem. P. Wołowski temu faktowi przeczy. Trudno sprawdzić który z tych ekonomistów lepiej w tym razie został poinformowany. Że przecież częściowe wycofanie depozytów z banku angielskiego w razie przesilenia, jest uważane za wypadek możliwy przez zarząd samego banku angielskiego, na to mamy dowód w badaniu wyprowadzonym co do przesilenia z r. 1857. W kwestyi Nr. 140, zapytany prezes banku (Governer) „czy w razie gdyby bil z r. 1844 nie został zawieszony w d. 13 listopada 1857 r., żądanie wypłat nie byłoby się zwiększyło u bankierów i czy ci nie byłiby zmuszeni wycofać część swoich depozytów z banku angielskiego,” odpowiedział: „Sądzę istotnie że to w części byłoby nastąpiło” (Macleod Theory etc. wyd. 2gie, T. II, s. 153). Macleod mówi o tém (tamże): „W końcu prywatni nie mogąc otrzymać eskonty zaczęli domagać się swoich saldów (began to make a run for their balances).

Przewidywania przeciwników billu r. 1844 ziściły się w zupełności; przeciwnie przewidywania jego stronników, według własnych słów Peela, ziściły się tylko w części, mianowicie co do zabezpieczenia wymiany biletów i zapobieżenia aby emisyja tychże nie dopomagała spekulacyi.

Przyznać należy że wymiana biletów, jakkolwiek nie bezwarunkowo, zabezpieczoną została, i to jest świetna strona billu; lecz nie wypada zapominać że stało się to kosztem zmniejszenia bezpieczeństwa wszystkich innych zobowiązań banku. Do czynienia takiej różnicy między posiadaczami biletów a innymi wierzycielami banku, powód z każdym dniem się zmniejsza. Dawniej, kiedy przy dozwolonej cyrkulacyi drobnych biletów wchodziły one do rąk ludzi ubogich i nieświadomych, kiedy wyższe tylko klasy składały w bankach swoje fundusze, był powód słuszny przenieść

bezpieczeństwo posiadaczy biletów nad bezpieczeństwo deponentów. Ale gdy drobniejsze od 5 L. bilety zakazane zostały, a z drugiej strony gdy systemat depozytowy coraz głębiej przenika do średnich warstw społecznych (1), różnica promienia którym zakreślone są koła posiadaczy biletów i deponentów zmalała.

Jednakże ta różnica nie znikła i może nigdy nie zniknie wzupełności. Opinia publiczna w Anglii dotąd jeszcze podziela dążność prawodawstwa do większego zabezpieczenia biletów niż depozytów, skoro w r. 1862 w wydaném prawie o spółkach zastrzeżoną została solidarna odpowiedzialność uczestników spółek bankowych za wypuszczane przez te spółki bilety.

Co do zalety przyzwananej billowi z r. 1844 w zapobieżeniu aby emissya biletów nie dopomagała nagannój spekulacyi, nie można wielkiej do niej przywiązywać wagi. Zatkano jedną szparę w naczyniu, z którego woda ciecze na wszystkie strony. Spekulacya po roku 1844 nie zmniejszyła się; czy jest podtrzymywana kredytem w biletach obiegowych, czy kredytem udzielanym w innej formie, to za dość obojętne uważać można.

Rozebraliśmy zarzuty czynione billowi co do rozdzielenia banku angielskiego na dwa oddziały. To rozporządzenie billu wywołało najżywszą polemikę. Zarzutom uległy przecież i przepisy billu ograniczające emisyję banków prywatnych, o czém tém więcej wspomnieć nam wypada, że ta okoliczność dała powód do sprzecznych twierdzeń w głośnym sporze wiedzionym przed kilkoma laty między Michałem Chevalier i Ludwikiem Wołowskim. Obydwa powoływali się na zdanie Took'a, którego p. Chevalier uważa za stronnika wielości banków emisyjnych (p. *La banque d'Angleterre etc.* s. 237—9), p. Wołowski zaś za przeciwnika wolnej emisysy. P. Wołowski (tamże, s. 167. *Le change* s. 21) przywiódł że Tooke lubo przeciwny billowi z r. 1844 przemawiał tylko ko systematemu banku francuzkiego, a pod wolną emisyją rozumiał zniesienie ograniczenia wysokości cyrkulacyi, w której nie dopuszczają wolnego współubiegania. Na udowodnienie swego twierdzenia p. Wołowski (*La banque d'Angl.* s. 156. *Le change* s. 21) przytacza słowa Tooka, z tomu III jego historyi, gdzie Tooke mówi między innemi, że wolność banków jest wolnością *szwindlu*.

Sprzeczność ta co do opinii Took'a między pp. Chevalier i Wołowskim przy wziętości wszystkich trzech ekonomistów zasługuje na wyjaśnienie.

Zdania autorów angielskich rzadko są bezwzględne, stosują się do okoliczności w jakich się kraj znajduje. Kiedy Tooke zaczął pisać, była w Anglii wielka ilość banków prywatnych, nie przedsta-

(1) Anglicy w podróży za granicą zachowują zwyczaje swego kraju. Systemat czeków przenieśli z sobą do Włoch. W Rzymie Anglicy uskuteczniają swoje wypłaty w hotelach czekami na bankierów miejscowych. Będąc w Rzymie zimową porą r. b. widziałem w Hôtel de Rôme, wywieszoną w przedsiönku tablicę z wymienieniem firm bankowych rzymskich, na które biuro hotelu przyjmuje czeki.

wiających dostatecznej odpowiedzialności, które wypuszczały bilety w sztukach drobnych. Takie bilety wchodziły w obieg powszedni i przy zdarzających się licznie upadłościach bankowych narażały na straty ludzi ubogich i nieświadomych rzeczy; Tooke uznając potrzebę dania opieki klasom niższym, był przeciwnikiem drobnych biletów wypuszczanych przez banki nie dające pewności wymiany. Z tego względu pisząc w r. 1826 swoje uwagi nad stanem cyrkulacji (s. 127) oświadczył się przeciw wolności emisji i to zdanie wypowiedział jeszcze w wydanym w roku 1840 tomie III historii cen.

Ztoli bilety drobne wycofane zostały w r. 1829, banki o kapitale zbiorowym zaczęły być licznie zakładane po r. 1833 i stopniowo nabywały zaufania. Uwzględniając ten nowy stan rzeczy, Tooke w roku 1844 w dziele *An inquiry into the nature and consequences of the paper currency* (s. 95—101) chciał aby dozwolono na przyszłość wypuszczać bilety bankom o kapitale zbiorowym a zakazano emisji bankierom prywatnym, oświadczając się przeciw wyłącznemu uprzywilejowaniu jednego banku emisyjnego. W dalszym czasie przy wzrastającej coraz więcej liczbie banków o kapitale zbiorowym, banki prywatne nie mogły z nimi wytrzymać współzawodnictwa i liczba ich stopniowo się zmniejszała. Tooke, w piątym tomie swojej historii cen wydanym w r. 1857, w przypisku na str. 615, 616, oświadczył, że jakkolwiek zarzuty swoje przeciw billowi z r. 1844 skierował do rozporządzeń dotyczących cyrkulacji banku angielskiego, to przecież nie mniejszą wagę przywiązuje (I by no means undervalue) i do przepisów billu o cyrkulacji prywatnej, i że „byłby skłonny (I should be disposed) uchylić zupełnie ograniczenia, którym w latach 1844 i 1845 przez Roberta Peel poddaną została cyrkulacja banków prowincjonalnych w trzech częściach królestwa” (Anglii, Szkocji i Irlandyi). Mniemał on że w obecnym stanie systematu bankowego w Anglii (in the present state of banking in this country) przy obowiązku wymiany, nie ma niebezpieczeństwa zbytnej emisji. W tych wszystkich swoich orzeczeniach Tooke nie zamierzał określać zasad naukowych, lecz wskazywał prawidłą postępowania. Prawidła te, stosowane do okoliczności, ulegały w raz z niemi zmianom, a ztąd pp. Chevalier i Wołowski z równem niemal prawem, orzeczenia Tooka na poparcie swoich opinii przywozić mogli.

Ale dyskusja między pp. Chevalier i Wołowskim, jakkolwiek na dnie jej leżała praktyczna kwestya zniesienia lub utrzymania wyłącznej emisji banku francuzkiego, przeniosła się, obyczajem francuzkim, na pole ogólnych zasad. Na tém polu okolicznościowe orzeczenia Tooka nie mogą, jak sądzę, być przywozione na poparcie jednej lub drugiej strony. Jeżeli po za temi orzeczeniami szukać będziemy zasadniczych podstaw opinii Tooka, jeżeli weźmiemy na uwagę jego pojęcia o cyrkulacji, Tooke jako przedstawiciel zasady bankowej (banking principle), jako główny przeciwnik zasady monetarnej (currency principle) znajdzie się w przeciwnym obojze z p. Wołowskim, najgorliwszym we Francyi stronnikiem szkoły

monetarnéj, do której w Anglii należą pp. Torens, Norman, Lloyd, pod której wpływem Peel ułożył swój bil 1844.

Szkoła monetarna uważa monetę brzęczącą za najdoskonalszy środek obiegu; biletów bankowych, nie stawia wprawdzie z monetą na równi, lecz twierdzi, że one jedne zastępują monetę i przez to wyróżniają się gatunkowo od wszelkich innych znaków kredytowych, ztąd szkoła monetarna wnosi że wypuszczanie biletów nie jest prostą operacją handlową, lecz wkracza w zakres działania publicznego i ulegać winna oddzielnym prawidłom, z których najważniejszym jest, iż cyrkulacya mieszana to jest złożona z monety brzęczącej i biletów bankowych, co do swéj ilości zwiększać się lub zmniejszać winna, tak samo jakby to w danych okolicznościach miało miejsce z cyrkulacją wyłącznie opartą na mocnecie brzęczącej, albo innemi słowami: ilość biletów bankowych nie powinna przenosić zdaniem szkoły monetarnéj, ilości monety brzęczącej usuniętej przez nie z obiegu. Ostatniem słowem téj szkoły jest: monopol rządowy w wypuszczaniu monety papierowej z otwartą kasą wymiany na monetę brzęczącą.

W systemacie bankowym bilet bankowy nie jest uważany za gatunkowo różny od innych środków zastępujących monetę w obiegu, ztąd ilość biletów wypuszczonemi być mogących nie jest zależną od ilości monety brzęczącej nią zastąpionéj, idzie tylko o dostateczny zapas téj ostatniéj dla zapewnienia wymiany: ostatniem słowem téj szkoły jest wolność emisyi.

Nie mam zamiaru roztrząsać w tém miejscu kwestyi cyrkulacyi; oznaczę tylko główne punkta mojego zapatrywania się na przedmiot do tylu sporów dający powód. Wszelka wartość może służyć do zamiany, tak jak może służyć do produkcji; w pierwszym razie jest środkiem zamiany, w drugim nazywa się kapitałem. Ani kapitał ani środki cyrkulacyi nie są oddzielnym gatunkiem wartości: wyrażenia te wskazują przeznaczenie nadane wartościom, w pierwszym razie do produkcji, w drugim do cyrkulacyi. Ale jak nie każda wartość jest równie do produkcji przydatną i używaną, tak nie każda wartość jest równie przydatną i używaną do cyrkulacyi. Najdogodniejszym i powszechnie używanym środkiem cyrkulacyi są drogie metale, złoto i srebro. Ponieważ w cyrkulacyi idzie zwykle o ocenienie wartości a nie o użytek z metalu, więc moneta daje się uważać za assygnację do ogółu mienia społecznego, assygnację której wartość uiszczoną zostaje w chwili zapłaty w monecie.

Monetę w tym zakresie jéj użyteczności zastąpić może z pełnym skutkiem tylko dług w monecie wymagalny, to jest dług którego termin już nadszedł, który w każdej chwili zapłacony być może i powinien. Taki dług przedstawiają bilety bankowe, kupony ubiegłe, czek, wexle płatne za okazaniem lub których termin już nadszedł i t. d. Te są środki zastępcze monety w różnych krajach więcéj lub mniej upowszechnione. W Anglii np. obok biletów bankowych ułatwiają zamianę głównie czek, u nas wchodzą

dość licznie do cyrkulacji kupony ubiegłe od papierów przez rząd gwarantowanych.

Widzimy jednak że np. kupony wchodzą w obieg już na kilka tygodni przed terminem ich płatności, dług krótko terminowy (tu należy większa część wexli, bony skarbowe będące w obiegu w Szkocji i t. d.) zbliża się w przymocie zastępowania monety do długu wymagalnego i drugie po nim jako środek cyrkulacyjny miejsce zajmuje. Inne środki zastępcze monety są zwykle podrzędnego w cyrkulacji znaczenia.

Nie ma widocznie powodu oddzielać biletów bankowych od innych rodzajów długu wymagalnego, nie ma nawet powodu stanowić gatunkowej różnicy między długiem wymagalnym a długiem krótko terminowym. Za podstawę gatunkowego odróżnienia nie może służyć, jak chce p. Wołowski, eskonta, bo ta oznacza różnicę ceny albo między dwoma długami handlowymi z różnym terminem, albo między długiem terminowym i długiem wymagalnym. Pobieraną bywa przy zamianie pierwszego na drugi nawet w razach gdy wypłata nie następuje w monecie ani w biletach bankowych, lecz uzyskujący eskontę akredytowany jest w rachunku bankiera (1).

(1) Cena wexli z jakim bądź terminem odnosi się w każdym mieście do ceny wexli z terminem zwyczajowo przyjętym. W Warszawie np. termin dla wexli płatnych w Berlinie jest dwumiesięczny; cena wexli z takim terminem jest podawaną w cenniku giełdowym (Cours-zettel). Kto w Warszawie kupuje wexel na Berlin z terminem dłuższym od dwóch miesięcy, np. trzymiesięcznym, potrąca sobie od ceny wexlu dwumiesięcznego eskontę za jeden miesiąc, według takiej stopy, jaka w chwili kupna wexlu oznaczona jest w Berlinie przez bank pruski. Kto kupuje wexel na Berlin z terminem krótszym od dwóch miesięcy, dodaje do ceny wexlu dwumiesięcznego eskontę berlińską za czas do terminu dwumiesięcznego brakujący. Wexle płatne w Berlinie kupowane są i zbywane w Warszawie z doliczeniem lub potrąceniem eskonty, jeżeli termin ich upływu jest inny niż dwumiesięczny.

Podobnie rzecz się ma w całym świecie handlowym. Paryż dolicza lub potrąca eskontę przy nabywaniu i zbywaniu wexli płatnych w Londynie, na stopę banku angielskiego, Londyn liczy eskontę wexli paryżkich na stopę banku francuzkiego i t. d.

W nowszych czasach stopa eskonty oznaczona przez główne banki krajowe, nie zawsze odpowiada stopie eskonty pobieranej przez bankierów prywatnych. Ci ostatni eskontują często na stopę niższą od naznaczonej przez bank. Ponieważ przy sprzedaży wexli dodaje się lub potrąca eskonta według stopy bankowej, wynika z takiego sposobu obliczania się, że gdy stopa eskonty u bankierów jest niższa od stopy urzędowej, ta różnica odbija się w cenie wexli krótko terminowych, która wówczas bywa niższą od ceny wexli dłuższych i dlatego jest oddzielnie w cenie giełdowej podawana. Wszakże do ceny wexli krótkich w cenniku podanej dodać trzeba eskontę za czas do upływu terminu zwyczajowego, podług stopy urzędowej oznaczonej w miejscu wypłaty wexlu.

P. Wołowski przytacza jeszcze jako dowód różnicy gatunkowej biletów i wexli, że wypłata biletami bankowemi umarza dług, kiedy przyjmujący na zapłatę wexel, ma regres do indossanta. Ale wexle cyrkulują (w Anglii, w Niemczech) i z indosem in blanko a bilety bankowe dawniej zwykle bywały (prawo angielskie z roku 1705 Gilbert s. 100) a dziś jeszcze być mogą indossowane; w takim zaś razie regres służy (Macleod Słownik s. 266—267).

Okoliczność nakoniec że prawodawstwo poddało wszędzie bilety bankowe pewnym ograniczeniom, urządzeniom, nawet w Szkocyi (p. La banque d'Angleterre s. 499) nic na ich naturę nie wpływa. Dawniej nie wolno było w Anglii wystawiać czeków niższych od 1 l.; w roku 1854 zakaz ten zniesiony został. Nikt zapewne nie zechce twierdzić że zniesienie zakazu zmieniło naturę czeków.

Stosunki zachodzące między ludźmi tém więcej ulegają urządzeniom prawodawczym, im więcej noszą na sobie znamiona stosunków publicznych. Prawodawstwo rzadziej wkracza w sferę stosunków prywatnych. Jeżeli w różnych czasach więcej wydano przepisów urządzających wypuszczanie biletów bankowych niż co do czeków lub wexli, lubo i tych ostatnich nie brakuje, to dla tego samego powodu, dla którego więcej urzędzeń istnieje co do dyliżansów, omnibusów i fiaków niż co do prywatnych powozów.

Różnica między publicznym i prywatnym powozem odnosi się do ich przeznaczenia, ale nie polega na ich kształcie i materiale budowy i naprózno byśmy jedno od drugich co do istoty odróżniać chcieli. O biletach bankowych można powiedzieć że są środkiem obiegu powszechniej używanym niż inne formy długu wymagalnego, ale nie należy ich uważać za środek obiegu gatunkowo różny od innych.

Wydane w roku 1844 i później prawa o spółkach przyczyniły się do wzrostu banków o kapitale zbiorowym, i do nadania im większej łączności przez ułatwienie koncentracji głównych kantorów w Londynie (1). Niektóre z tych banków ogromem swych obrotów dosięgają prawie rozmiarów banku angielskiego,

Zwyczajowy termin wystawiania wexli zowie się *pari wexlowém* co do czasu; *pari* oznacza czas przez ciąg którego biorący wexel pozostawia swoje pieniądze bezpłatnie w rękę wystawcy wexlu, co stanowi zwyczajem przyjęte wynagrodzenie tego ostatniego. Przy ułatwieniu komunikacyi czas ten powinienby być krótszym niż dawniej. W Edyburgu np. termin zwyczajowy wexli na Londyn był dawniej dwumiesięczny, zeszedł kolejno na dni 40, 20, obecnie na dni 4, czyli 1 shilling od 100 L. (Macleod. Theory. wyd. pierwsze I, s. 330; wyd. drugie I, s. 253).

(1) Banki prowincjonalne nie wypuszczające biletów uzyskały w r. 1844 pełne prawo otwierania kantorów w Londynie; ograniczenia w tym względzie banków wypuszczających bilety utrzymane zostały.

który coraz więcej traci swoją przewagę. Naturalnym biegiem wypadków systemat bankowy angielski, po ustaniu w wielu wzglę-
dach monopolu banku angielskiego, zbliża się do systematu szkockiego. Macleod (Słownik s. 123) mówi o tém: „Gdyby monopol banku angielskiego nie był istniał, jakież byłby obecnie stan systematu bankowego w Anglii? Mielibyśmy 30—40 banków w stolicy, każdy z nich tak wielki jak dzisiaj bank angielski, a wszystkie miałyby swoje odgałęzienia w kraju. Były to systemat szkocki na daleko większą skalę, odpowiednio do wielkości kraju... Do takiego rezultatu systemat bankowy angielski powoli zmierza i ostatecznie przyjdzie.”

Powróciliśmy do Macleoda podawszy w skróceniu zarys stosunków, pod wpływem których systemat jego się rozwijał. Możemy teraz bliżej przyjrzyć się samemu systematowi, którego punkt wyjścia wykazaliśmy poprzednio. Systemat ten nie jest całością wykończoną. Jest to gmach budujący się, którego plan w ciągu budowania nie w jednym szczególe zmieniony został i jeszcze w przyszłości nie jednej zmianie ulegnie. Ztąd trudność w przedstawieniu rozrastającego się systematu. Staraliśmy się rozczynu-
jąc się w dziełach Macleoda śledzić za postępem jego myśli a nawet o ile się dało, nakreślić plan całej utworzonej przez niego dotąd budowy.

Zasadniczym spostrzeżeniem Macleoda było to: że bankierowie londyńscy nie mogąc pod boki banku angielskiego z bezpieczeństwem dla siebie wypuszczać biletów, zmienili tryb działania i wypuszczanie biletów zastąpili otwieraniem u siebie kredytów. Na tém spostrzeżeniu którego doniosłość, jak wykazaliśmy posunięta została przez Macleoda po za granicę rzeczywistych faktów, oparł on twierdzenie że dotychczasowe pojęcia o działaniu systematu bankowego, według których banki są tylko pośrednikami w umieszczeniu kapitału, zgromadzają w swoich kassach fundusze na czas krótki rozporządzalne, które w ręku ich posiadaczy leżałyby bezużyteczne, a przez banki są wypożyczane, że mówimy te pojęcia są mylne i że istotnym znamieniem działania systematu bankowego jest wytwarzanie kredytu (The creation of credit). Pośrednictwa banków w umieszczeniu kapitału Macleod nie zaprzecza, ale uważa że funkcya przeniesienia kapitału już istniejącego jest tylko pierwszym szczeblem w rozwoju systematu bankowego, że ograniczać na tém zadanie banków jest stanowiskiem zacofaném.

Uznawszy wytwarzanie kredytu za istotną cechę systematu bankowego, Macleod poszedł dalej, zamierzył zgłębić czém jest właściwie kredyt i jakie wywiera skutki. Spostrzeżenia do których doprowadziło go rozważanie téj kwestyi stanowią najważniejszą i najoryginalniejszą część jego systematu.

Skoro kredyt bankowy nie jest tylko przeniesieniem z rąk do rąk kapitału już istniejącego, jak mniemano dotąd, czémże jest właściwie? Posiadanie kredytu w banku równa się posiadaniu

summy w gotowiznie, kredyt zastępuje kapitał, musi więc być jedną z nim natury. Macleod przychodzi ztąd do uderzającego śmiałością swoją twierdzenia, które może najwięcej rozgłosu dało jego imieniowi, że kredyt jest kapitałem.

Przyjrząwszy się temu twierdzeniu bliżej, łatwo poznać że śmiałość leży więcej w wystowieniu niż w samym pomysle. Czemże bowiem jest kapitał w tém zrównaniu z kredytem?

Macleod uważa, że wyraz kapitał używa się w dwojakim znaczeniu (Theory etc. wydanie pierwsze s. 55 i 260). Kiedy np. mówimy o kim że jest kapitalistą, czyli że posiada kapitał, rozumiemy przez to człowieka który ma pieniądze na zawołanie, bądź że posiada summy w gotowiznie, bądź że posiada tytuły długu czyli zobowiązania pieniężne, wexle, obligi (securities for money), bądź nareszcie że ma w swych ręku tytuły nie obejmujące wprawdzie zobowiązania wypłaty gotowizny w oznaczonym terminie, lecz dające się łatwo spieniężyć: rentę, akcye, obligacye (convertible securities, wartości giełdowe).

W pierwotném znaczeniu kapitał oznacza sumnę pieniężną: w tém znaczeniu użyty jest wyraz kapitał, kiedy czytamy w ogłoszeniach: kapitał 100,000 jest do wypożyczenia.

Inne, pochodne znaczenie przywiązujemy do wyrazu kapitał, mówiąc o kapitale stałym, o kapitale obrotowym użytych w jakimś przedsięwzięciu. Kapitał nie oznacza tu summy pieniężnej, lecz wartość przedmiotów skierowanych do produkcyi, oznaczoną w gotowiznie.

W pierwotném swoim znaczeniu kapitał jest według Macleoda jedną z trzech części składających zasób społeczny (resources) przyjmując ten wyraz który u nas wprowadził do ekonomii politycznej p. Supiński w odmienném niż u niego znaczeniu, bo z włączeniem tego co p. Supiński zwie zapasem przyrodzonym, a z wyłączeniem wytworzonych wyrobów (commodities u Macleoda).

Macleod odroźnia zasób społeczny od bogactwa: w pierwszym oddziale zasobu społecznego, umieszcza ziemię urodzajną, kopaliny, lasy; w drugim siły przemysłowe, które ten materiał mają zastosować do użytku ludzkiego; w trzecim kapitał wprawiający w ruch siły przemysłowe czyli pracę.

W takim rozumieniu kapitał składa się z pieniędzy i wszystkiego tego co je zastępuje w funkcji przenoszenia wartości (currency).

Pieniądz, moneta brzęcząca, jest wartością jak każda inna: ma wartość zawartego w nim metalu. Zgodzono się powszechnie uważać tę wartość za miarę wszelkich innych wartości. Pieniądz służy zwykle za miarę wartości, czyli jest środkiem zamiany; wyjątkowo wchodzi w działanie drugi jego przymiot, wartość metalu w nim zawartego. Drogi metal zawarty w monecie nie każdemu jest potrzebny, ale moneta dlatego tylko ma wartość że metal jest drogi. Gdy z jakichkolwiek powodów wartość metalu spadnie, spa-

da i wartość pieniędzy, jak to miało miejsce po odkryciu Ameryki. O ile przecież pieniądź służy do zamian wewnątrz kraju, można go uważać za assygnację, że się tak wyrazimy do całego mienia społecznego, do wszystkich wartości jakie społeczeństwo posiada, do wszystkich usług jakie członkowie społeczeństwa oddać są w stanie. Otóż pod tym względem, w tej sferze działalności, moneta kruszcowa może być aż do pewnego stopnia zastąpioną znakiem kredytowym. Znak kredytowy jest także assygnacją, ale w ciśniejszym zakresie. Pieniądź kruszcowy jest assygnacją mającą ważność nie tylko w kraju w którym wystawioną została (pod którego stemplem pieniądź był wybity), ale i w ogóle społeczeństw ucywilizowanych, dla których metal ma wartość. Assygnacja kredytowa (bilet bankowy) jest ważną tylko wewnątrz kraju. Inne znaki kredytowe pochodzące od prywatnych są assygnacjami w ciśniejszej jeszcze sferze. We Włoszech gdzie brak zdawkowej monety zastępują obecnie drobne bilety wypuszczane przez miejscowe banki, papierowa moneta zdawkowa kursuje tylko w mieście będącym siedziskiem banku wypuszczającego i w najbliższej okolicy. W odmienny nieco sposób rzecz się ma z innymi znakami obiegowymi.

Wexle znakomitego bankiera przyjmowane są chętnie przez bankierów całego niemal świata, lecz odmówi ich przyjęcia ten, komu stosunki handlowe są obce.

Moneta kruszcowa i znaki kredytowe są zarówno assygnacjami do mienia społecznego; różnica między nimi polega na zakresie w którym assygnacja jest ważna i na tej okoliczności, że kto płaci monetą, nietylko assygnuje lecz uiszcza wartość assygnacji; kto wypuszcza znaki kredytowe, assygnuje, lecz wartość assygnacji pozostaje dłużnym; assygnacja więc jego o tyle przyjętą będzie, o ile wzbudził zaufanie że wartość assygnacji uiszczy.

Wartością assygnacji jest summa, którą za tę assygnację zapłacić przyrzeczono. Assygnacja poświęca prawo do wypłaty summy nią objętej. Ztąd Macleod określa kredyt, jako prawo obecne do wypłaty przyszłej.

Tak objaśnione twierdzenie Macleoda że kredyt jest kapitałem, przestaje być paradoxalnym; jest tylko jaskrawym wyrażeniem bardzo znanej prawdy, że pieniądź i znaki kredytowe są zarówno środkiem cyrkulacji i służą do przeniesienia wartości: towar kupuje się za gotowiznę albo na kredyt.

Prawda ta jest niezaprzeczoną. Tylko cyrkulacją wartości możnaby porównać do biegu pociągów na drodze żelaznej. Pociąg składa się z lokomotywy i wagonów. Lokomotywa ma przyczynę ruchu w sobie samą; wagony otrzymują ruch od lokomotywy: stają w miejscu jak tylko się od niej odcepią. Pomimo to wagony i lokomotywy liczą się zarówno do taboru, czyli ogółu środków transportowych.

To porównanie wyjaśnia stosunek pieniędzy do znaków kredytowych. Pieniądże mają wartość t. j. siłę ruch nadającą w sa-

mych sobie; znaki kredytowe otrzymują tę wartość od pieniędzy i mają ją o tyle tylko, o ile wypłata czyli związek ich z pieniędzmi nie zostanie przerwana. Pozbawione tego związku mogą chwilowo biegnąć siłą ruchu nabytą, lecz wkrótce staną w miejscu, bo o własnej sile biedz nie są zdolne.

Pieniądze i znaki kredytowe stanowią ogół środków cyrkulacyi a jeśli środki cyrkulacyi (currency) nazwiemy kapitałem, jak to czyni w powołanych ustępach Macleod (1), oczywiście iż kredyt będzie kapitałem, będzie objęty w definicyi tego ostatniego jak szczegół w ogóle. W tém znaczeniu kredyt jest kapitałem, tak jak jabłko jest owocem. Ale jak nie można powiedzieć naodwrot: owoc jest jabłkiem, tak nie możnaby powiedzieć: kapitał jest kredytem. Podciągnięcie szczegółu pod ogół nie jest równaniem matematyczném, o czém Macleod czasami zapominać się zdaje.

Objaśniając działanie cyrkulacyi czyli kapitału, Macleod porównywa ją do paliwa, które wprawia w ruch machinę. Paliwo wywiera swój skutek kiedy jest ogniem zajętę; kapitał kiedy jest w ruchu. Kapitał leżący i paliwo nie rozżalone nie wydają żadnego skutku. Użyteczne działanie kapitału polega na zbliżeniu, zetknięciu z sobą innych czynników produkcyi, których kapitał zastąpić nie jest w stanie. Kapitał w tém pojęciu to ogień, przy którym obiad ugotować można, ale przytém pamiętać jeszcze trzeba o mięsiwach i kucharzu.

Jeżeli kapitał jest w ruchu, lecz nie zbliża do siebie innych czynników produkcyi, jest to ogień, przy którym nic się nie gotuje i tylko z komina próżno się dymi. Przy stole gry, kupy złota przechodzą z rąk do rąk: dla produkcyi, nie ma ztąd skutku żadnego.

Ogień służy nie tylko do zgotowania obiadu; wytwarza on siłę, składa i rozkłada pierwiastki. Taka również jest działalność kapitału i kredytu i to nam tłumaczy wielkie ich zadanie w ekonomii politycznej i cudowne prawie skutki.

Skutki te sprawiają środki cyrkulacyi nie przez to że się same poruszają; widzieliśmy że ruch ich może być zupełnie daremny, ale przez to że w ruch wprawiają pracę i jój materiał, dwie pierwsze części zasobu społecznego. Za podobieństwo niech tu służy machina ogniowa, która może ruch sprawić albo poruszając się sama, jak lokomotywa, albo przytwierdzona do miejsca. Ostatnie jój zastosowanie jest nawet dla jój działania korzystniejsze. Taką rolę machin ogniowych stałych odgrywają w cyrkulacyi wartości, banki przekazowe. Pieniądz pozostaje w ich kassie, ognisku stałym, a jednak za jego pośrednictwem ułatwia się cyrkulacya.

(1) "Theory etc. wydanie pierwsze s. 260. When we use the word „capital” simply without any qualification, we mean currency, or what is classed under the third head of the term resources in Chap. I, § 50. By the word „capital” then we mean the moving power of commerce. In short capital is to commerce very much, what fuel is to the engine.

Wszystko cośmy dotąd powiedzieli odnosi się do kapitału i kredytu w pierwotném ich znaczeniu, t. j. do kapitału jako rzeczywistej summy pieniężnej i do kredytu jako prawa do wypłaty summy pieniężnej.

Ale kapitał, jak już nadmieniliśmy, ma jeszcze inne pochodne, obszerniejsze od pierwszego znaczenia, Oznacza on ogół wartości przedmiotów ocenionych na monetę, a skierowanych do produkcji. W tém znaczeniu odróżniamy dwa rodzaje kapitału: kapitał stały i kapitał obrotowy. Pieniądze, środki cyrkulacyi stanowią według Smitha, którego zdanie przyjmuje i Macleod, (Słownik s. 360) część kapitału obrotowego. Macleod w późniejszych swoich pracach, w Słowniku i w drugiem wydaniu Teoryi Bankowej po największej części używa wyrazu kapitał w tém drugiem znaczeniu. Przyjąwszy takie znaczenie kapitału, oczywista iż kredyt określony jako prawo obecne do wypłaty przyszłej, odpowiadać będzie tylko pewnej części kapitału obrotowego. Cóż się stanie w tym razie z równaniem, kredyt=kapitał?

Macleod, w części może dla uratowania tego sławnego axiomu, usiłował rozszerzyć pojęcie kredytu w sposób odpowiedni rozszerzonemu pojęciu kapitału.

Kapitałem w znaczeniu pierwotném jest summa pieniężna, w znaczeniu pochodném, wszystko co mając cenę pieniężną, służy do produkcji, a zatem co zysk przynosi. Odpowiednio tym dwóm znaczeniom kapitału, Macleod uważał kredyt naprzód jako prawo do summy pieniężnej, określał kredyt jako prawo obecne do wypłaty przyszłej. W postępie prac swoich Macleod rozszerzył pojęcie kredytu, obejmując pod tém wyrażeniem nie tylko prawo do przyszłej wypłaty ale i prawo do przyszłego zysku (Słownik s. 580) i w ogóle prawo do przedmiotów w przyszłości istniejących (Theory drugie wydanie I s. 5), lubo częściej jeszcze ogół praw do przedmiotów przyszłych nazywa własnością niezmysłową (incorporeal property). Ponieważ wartość praw do przedmiotów jeszcze nie istniejących zależy od zaufania czyli kredytu, wszystkie te prawa możnaby z tego względu nazwać wartościami kredytowymi. W takim pojęciu np. wartość firmy (good will) jest wartością kredytową.

Lecz wyrazów używać należy w znaczeniu jakie im zwyczaj nadaje. Tak rozszerzonego znaczenia jakie mu chce nadać Macleod, wyraz kredyt w powszechném użyciu nie ma, i wątpić można iż kiedy je mieć będzie. Kto zamawia buty u szewca, nabywa, mówiąc językiem Macleoda, prawo niezmysłowe do przedmiotu jeszcze nieistniejącego, wykonywa więc, zawsze według Macleoda, operacyę kredytową. Nie mniemam iżby taki sposób mówienia się upowszechnił, iżby kiedykolwiek obstalunek butów uważany był za operacyę kredytową. Lecz jeśli zamawiający nie zapłaci za buty gotowizną, wówczas powiemy że wziął buty na kredyt t. j. zobowiązał się do wypłaty przyszłej

Wyraz kredyt więcéj niż wyraz kapitał zachowuje w potoczném użyciu swoje pierwotne znaczenie.

Macleod w dziełach swoich nie dość zwraca uwagę czytelnika a może i sam nie zawsze dostatecznie zdaje sobie sprawę z tego, czy wyrażenia „kapitał” i „kredyt” bierze w ich pierwotnym, czyli też w ich pochodnym znaczeniu.

Z rozszerzonego pojęcia wyrażen kapitał i kredyt wychodzi Macleod w ważnych artykułach swego Słownika, Kapitał i Kredyt, i w rozdziale pierwszym drugiego wydania Teorii Banków; z tego punktu rzecz uważając nic już nie mówi o zasobie społecznym (resources); za przedmiot ekonomii politycznej jako nauki o zamiarach uważa bogactwo, ogół praw do rzeczy zamiennych czyli własność, mówi nawet że ekonomia polityczna jest teorią własności. Tę własność czyli bogactwo dzieli na trzy rodzaje. Bogactwo składa się według niego z wartości materialnych, już utworzonych, z wartości niematerialnych (usługi, praca) i z praw niezmysłowych do rzeczy przyszłych. Porównyując ten podział z podziałem zasobu społecznego w pierwszym wydaniu Teorii, dostrzeżemy znaczne różnice. Zasób społeczny był zbiorem przedmiotów. Bogactwo składa się z wartości a wartością nie jest przedmiot sam w sobie ale prawo własności przedmiotu. Ztąd nowy podział ściągą się nie do przedmiotów ale do praw własności przedmiotów. Dział trzeci został w części rozszerzony, w części ścięziony. Zamiast środków obiegu mamy teraz w dziale trzecim wszelkie prawa do rzeczy przyszłych, co wstawia w zakres tego działu wartości przed tēm do niego nie należące, a natomiast przeniesieby kazało monetę brzeżącą, jako wartość już utworzoną, do działu pierwszego.

W drugim wydaniu Teorii etc. Macleod wykładając w streszczeniu to co o podziale bogactw powiedział w Słowniku, dodaje że przedmioty składające trzy działy bogactwa mogą być zamieniane albo między sobą, albo jedne z drugimi. Ztąd powstaje sześć rodzajów zamian. Teoria bankowa, a do tēj się odnoszą głównie wszystkie dotychczasowe prace Macleoda, jest częścią ekonomii politycznej odnoszącą się do zamian jednego tylko rodzaju t. j. do zamiany długów czyli praw do wartości przyszłych między sobą (Teoria I s. 5). We wstępie znowu mówi (tamże s. XXXI) że przedmiotem teorii bankowej są dwa rodzaje zamian, pieniędzy z długami i długów między sobą. Pierwsze twierdzenie kazałoby wnosić że Macleod monetę umieszcza w trzecim dziale wartości; drugie że ją umieszcza w dziale pierwszym. Jeżeli jednego z tych dwóch twierdzeń nie zechcemy uważać za pośpiech pióra, wypadnie przyjąć że Macleod sam jeszcze się waha, gdzie w nowym podziale umieścić monetę.

Lecz w żadnym razie ten podział, zdaniem mojem, nie będzie wzorem loicznego porządku. Warunkiem dobrego podziału jest, aby jedna zasada zastosowaną została w całym ciągu dzielenia. Tymczasem w podziale wartości Macleoda, dział pierwszy i drugi rozróżnione zostały ze względem na materialność lub nie materialność przedmiotów, a dział trzeci ustanowiony został w przeciwstawieniu z działami poprzednimi, ze względem na istnienie lub nie-

istnienie przedmiotu w danej chwili. Dla tej przyczyny nie można przyznać podziałowi Macleoda, w obecnym kształcie, naukowej wartości.

Wnowym podziale bogactwa na trzy, a właściwie na dwie części:

na prawa do wartości istniejących (materyalnych lub nie materyalnych);

i na prawa do wartości przyszłych;

wszystkie części składowe bogactwa, mogą być kapitałem, bo wszystkie mogą służyć za środek osiągnięcia zysku.

Kapitał nie różni się od bogactwa co do istoty, lecz kapitałem nazywa się bogactwo, jeżeli otrzymuje przeznaczenie produkcyjne. Otóż zamiana jest według Macleoda rodzajem produkcji, takiego jej znaczenia licznymi cytacjami dowodzi. Wartością jest co zamienione być może. Kredyt, prawo do przedmiotów przyszłych o ile ulega przeniesieniu na osoby trzecie (transferable debts) może służyć za przedmiot zamiany, ztąd ma wartość, daje zysk, jest więc kapitałem.

Targiem na tytuły kredytowe jest giełda. Macleod objaśnia obroty giełdowe, o ile ściągają się do tytułów długu handlowego czyli wexli. Cena wexli płatnych w kraju podawana bywa przez oznaczenie stopy dyskontu. Jeżeli dyskonto idzie w górę, giełda mówi że pieniądze zdrożały, jeżeli dyskonto się zniża, giełda mówi że pieniądz staniał. Wyrażenia te Macleod uważa za zupełnie właściwe, twierdzi że stopa dyskontu oznacza wartość pieniędzy t j. stosunek ich zamienny względnie do wexli, a nie jak chciano rozumieć cenę uiszczaną za pożyczenie pieniędzy.

Wyrażenie giełdowe nie jest niewłaściwe, lecz uważać je należy za skrócone. „Pieniądz staniał” uzupełnić trzeba domyślnym „w stosunku do wexli.” Przy niżeniu stopy dyskontu podwyższa się cena wexli; przy podwyższeniu stopy, zniża się ta cena.

Cena wexli jak każdego innego towaru ulega zmianie. Niepodobna utrzymać ceny stałej, ztąd wymagania niezmienności stopy dyskontu są sprzeczne z naturą rzeczy; Macleod zmiany w stopie dyskontu za tak konieczne uważa, że oświadczając się przeciw bilowi z r. 1844, mniemał iż przepisy w nim zawarte zastąpione byćby mogły oznaczeniem stopy eskonty dla banku angielskiego według każdorazowego zapasu monety brzęczącej w jego kasie i podał nawet skalę tych zmian stopy eskonty (Teorya etc, wydanie pierwsze). Ten dziwaczny pomysł, jak łatwo pojąć można, nie znalazł poparcia, i sam autor w drugim wydaniu teorii cofnął go, zasłaniając swój odwrót przytoczeniem że bank angielski pod prawem z r. 1844, nabył już dostatecznej ostrożności, działa zgodnie ze wskazaniem podanym przez Macleoda, a ztąd ograniczenia narzucone bankowi bilem z r. 1844 mogą być uchylone. (T II s. 224. 225).

Bank angielski jest w położeniu wielkiego kupca, który może do pewnego stopnia naznaczać ceny; lecz którego dowolność ma swoje granice w położeniu targu. Ceny przez takiego kupca przy-

jęte będą normą dla drugich, jeżeli naznacza je ze względem na położenie targu, które może lepiej znać od innych i ma tę o sobie opinią że je trafnie ocenia. Lecz jeżeli chciałby mieć na głównym względzie osobiste swoje stosunki, lub kierował się swoim widzim się, wpływ jego na ceny rychło upadnie.

Bank angielski może podnosić lub zniżać stopę dyskontu tylko w granicach naznaczonych przez położenie targu pieniężnego. Panem tego targu jest bank angielski jedynie w czasach przesileni, kiedy prawie sam jeden dyskontuje.

Zwykle minimum stopy eskonty przez bank naznaczone stanowi, jak mówi Goschen, maximum stopy pobieranej na targu; zmiany stopy eskonty naznaczonej przez bank angielski mają rzeczywistą ważność nie przez wpływ swój bezpośredni, ale jako oznaka położenia targu.

Te uwagi wykazują całą niepraktyczność wniosku Macleoda. Posuwając do ostatniego kresu wynikłości swoich wywodów, Macleod zmienność stopy dyskontu porównał z prawami natury. Pisząc o tym przedmiocie uderza w struny lirycznego zachwytu. „Dopóki księżyc, mówi on, podnosić będzie fale morskie i sprawiać fenomena przyływu i odpływu, dopóty podwyższenie stopy eskonty będzie przyciągało kapitał.” Że od tego prawa natury zachodzą wyjątki, o tém Macleod przeświadczył się w r. 1866. Wczasy przesilenia w tym roku wydarzonego podwyższenie stopy eskonty nie przyciągnęło kapitału do Anglii. W początkach czerwca t. r. bank angielski miał w monecie brzęczącej 11,878,775 L. Bank francuzki prawie w dwójnasób tyle (1). Przesilenie 1866 wprawiło cokolwiek w kłopot Macleoda, ale nie ostudziło jego zapału do podwyższenia eskonty.

Macleod uznawszy tytuły kredytowe za wartość samoistną, odpiera zarzut że dochód posiadaczy tytułów długu publicznego zmniejsza o całą swoją wysokość dochód krajowy, przywiedzeniem że wszelki dochód żelazny jest z dochodu drugich. Zkądże np. płynie dochód dróg żelaznych? z dochodu tych którzy po drogach jeżdżą. Jednakże dochód dróg żelaznych stanowi osobne źródło

(1) Macleod Theory. Wydanie drugie II, s. 160—161. „While these high rates in England have been unable to prevent a severe foreign drain, the Bank of France has been rapidly gaining large quantities of bullion, while discount was only 4 per cent”. Patterson w rozprawie p. t. Wojna banków (tłumaczenie niemieckie Berlin, 1867 s. 6) twierdzi że w r. 1864 pomimo podwyższenia dyskontu w Anglii do 9 od sta, znikąd do Anglii pieniędzy nie przysłało z wyjątkiem małej summy w monecie francuzkiej. Patterson dla wyrównania wytrafiających się niedoborów czasowych w bilansie wypłat, projektuje założenie banku europejskiego z kapitałem w papierach rządowych różnych krajów. Bank ten byłby domem kompensat (Clearing house) dla Europy a nawet dla całego świata handlowego.

dochodu i wchodzi jako takie do ogółu dochodu społeczeństwa, a dlatego z dochodu tych co jeżdżą po drogach żelaznych nie strąca się koszt tej jazdy.

Samoistność tytułów kredytowych Macleod stara się wykazać matematycznie. Dług jest ilością ze znakiem ujemnym ($-$). Cóż właściwie oznacza cyfra ze znakiem ujemnym np. -2 ? Ilość nieskończenie małą wyrażamy przez 0 ; może być coś mniejszego od ilości nieskończenie małej? Ztąd -2 uważano dawniej za ilość urojoną. Atoli w matematyce rzecz się wyjaśniła przez odróżnienie, że znaki $+$ i $-$ oznaczają albo działanie, dodawanie lub odejmowanie, albo kierunek. W tym ostatnim razie 0 jest punktem, od którego odległość liczyć się zaczyna.

Na termometrze 0 oznacza temperaturę wody marznącej: $+2^{\circ}$ i -2° są ilościami odnośnemi do przyjętego zera, tylko w przeciwnym kierunku; -2° nie jest ilością urojoną, wyraża coś bardzo rzeczywistego, pewien stopień temperatury niższy od zera.

Podobnie rzecz się ma mierząc odległość od pewnego punktu w przestrzeni. Jeśli np. za punkt od którego liczy się odległość weźmiemy Warszawę, to

odległość w Warszawie (odległość Warszawy od Warszawy) będzie 0 .

Kto z Warszawy dąży na wschód, ten każdą przebieżoną w tym kierunku milę będzie znaczył $+1 + 2$ i t. d. Miejsca położone na zachód od Warszawy będą w tym razie $-1 -2$ i t. d. Miejscowości ze znakiem ujemnym istnieją rzeczywiście w przestrzeni, tak jak miejscowości ze znakiem dodatnim, tylko w odmiennym względem obranego punktu kierunku.

Punkt od którego liczyć się zaczyna w ekonomii politycznej leży nie w przestrzeni ale w czasie. Jest nim terażniejszość czyli chwila bieżąca. Wartości utworzone aż do tej chwili, wartości już istniejące oznaczamy znakiem $+$; wartości utworzyć się mające, istnieć mające w czasie przyszłym, kredyt, są wartościami ze znakiem $-$; lecz nie mniej przeto są rzeczywiste. Nie można znaku przy nich położonego uważać za znak odejmowania, lecz trzeba ten znak brać za oznaczający kierunek w przyszłość.

Kto ma tysiąc, a winien tysiąc płatnych za rok, nie jest w tym samym położeniu jak ten kto nie ma nic, chociaż $1000 - 1000 = 0$. Różnica zachodzi w tym, że tysiąc posiadany jest wartością obecną, już istniejącą; tysiąc dłużny jest wartością przyszłą, która dopiero z upływem terminu istnieć zacznie, i znak ujemny zmieni na dodatni.

Ogół wartości pierwszego rodzaju, o ile są skierowane do produkcji, jest kapitałem ze znakiem $+$; ogół wartości drugiego rodzaju skierowanych do produkcji, kredyt, jest kapitałem ze znakiem $-$.

Jeżeli dawniej Macleod utrzymywał, że kredyt jest kapitałem, to w obecnym stanie jego teoryi, frazes ten brzmi: kredyt jest kapitałem ze znakiem $-$.

Drugie to wyrażenie mniej paradoxalne niż pierwsze, łatwiej utrzymać się może w ekonomii politycznej.

Nauka ta, według Macleoda jest nauką o zamianach (Science of exchanges), jak ją już Condillac określał (1), albo jak na innych miejscach wyraża się Macleod używając więcej oderwanego lecz pełniejszego wyrażenia; przedmiotem ekonomii politycznej są prawa rządzące stosunkami zamiennymi ilości (the laws that regulate the exchangeable relations of quantities).

Z pojęcia wartości Macleod wyłącza wszystkie inne znamiona; zostawia jedną tylko zamiennność. Nie praca, nie koszt utworzenia, są według niego powodem dla którego przedmiot ma wartość, ale wartość przedmiotu jest powodem, dla którego na jego utworzenie łoży się praca.

Zastanawiając się nad stanowiskiem Macleoda, możnaby powiedzieć że ekonomia polityczna pod jego piórem trzeci raz kształt swój odmienia. Fizyokraci którzy ją utworzyli, źródło wartości widzieli w ziemi, w własnościach przyrodzonych. Tylko ziemia według nich daje czysty dochód.

Smith oparł swój systemat ekonomii na pracy. Zaczyna od twierdzenia że praca roczna społeczeństwa stanowi jego czysty dochód; zastanawia się naprzód nad podziałem pracy jako przyczyniającym się do jęj produktyjności. W szkole jego, ekonomia polityczna z rolniczęj, stała się przemysłową.

Gdy tak dwa pierwsze działy zasobu społecznego, zostały kolejno przyjęte za podstawę ekonomii politycznej, Macleod kładzie główny nacisk na dział trzeci. Za istotę wartości podając zamien-

(1) Condillac, Le commerce et le gouvernement. Dzieło Condillac'a wyszło w r. 1776 współcześnie z dziełem Adama Smitha, O bogactwie narodów. Ostatnie to dzieło zyskało natychmiast rozgłos i wziętość. U nas dało je poznać dopiero tłumaczenie francuzkie, w r. 1791. Wolski s. 118 mówi o tém: rozdawano hojnie exemplarze księgi z angielskiego na francuzki język przełożonej, pana Smitha o bogactwie narodów, które przez księgarzy Warszawskich sprowadzone na komorze celnej X. Ossowski zakupywał., Starano się ile możności aby dzieło to nie było znane przynajmniej przed zdecydowaniem projektu przedaży starostw, tylko tym którym go udzieli X. Ossowski". Trzy są tłumaczenia Smitha na język francuzki, X. Blavet, Rouchér'a i G. Garniera. Tłumaczenie pierwsze drukowane było trzykrotnie w latach 1781, 1788, 1801. Tłumaczenie drugie dwukrotnie w latach 1790—1791 i 1795. Tłumaczenie trzecie czterokrotnie w latach 1802, 1822, 1843, 1859. Do Warszawy w r. 1791 najpodobniej dojść mógł Smith w wydaniu pierwszym tłumaczenia Roucher, jako świeżo z druku wyszłem. Dzieło Smitha wywołało takie wrażenie, że jak mówi niechętny Smithowi przywiedziony powyżęj pisarz, zaszczepiało nową sektę, której najgorliwszym prozelitą był Pius Kiciński.

Dzieło Condillaca, w którym Macleod widzi istotną i niepożyłą podstawę ekonomii politycznej, poszło w zaniebanie.

ność, bada głównie fenomena zamian, a widząc że w zamianach pośredniczy pieniądź albo kredyt, stawia na równi kredyt z kapitałem i tworzy teorię kredytu. Macleod na ekonomię polityczną, zapatruje się wyłącznie z handlowego stanowiska. Rzucone z tego punktu światło na przedmiot uwydatnia w mocnym, czasem rażącym blasku jedną jego stronę, lecz nie dozwala objąć przedmiotu w całości.

W kole zamiany, w którym Macleod usiłował zamknąć ekonomię polityczną, jemu samemu stało się za ciasno. Ostatnia jego praca, drugie wydanie teorii banków, wyraźnie zapowiada że to koło przestąpić lub przynajmniej rozszerzyć je zamierza. Rozróżniwszy trzy rodzaje bogactwa, przyjmuje Macleod pomiędzy niemi sześć rodzajów zamian. Teoria banków jest częścią ekonomii politycznej odnoszącą się do jednego lub co najwięcej do dwóch z tych sześciu rodzajów zamian. Pozostaje jeszcze cztery lub pięć innych rodzajów zamiany, nie objętych dotychczasowymi pracami Macleoda.

Atoli i bez tego otworu nie trudno byłoby rozbić szranki. Wartość według Macleoda mierzy się przez zamianę. Lecz zamiana oznacza samą tylko ilość. Jeżeli trzy łokcie sukna kosztują trzy dukaty, mamy w tym fakcie równanie dwóch ilości. Cóż te ilości stawia na równi? Dlaczego taka a nie inna jest ich wartość? Macleod odpowiada, że wartości przyczyną nie jest ani praca, ani użyteczność, że źródło jój tkwi w umyśle ludzkim, w woli ludzkiej. Brzmi to filozoficznie, ale stajemy z tém wyrażeniem tylko u progu filozofii. Wola nie działa bez pobudek. Jeżeli Macleod nie uważa woli za zupełnie arbitralną, jeżeli wolności woli nie bierze za jedno z arbitralnością, winien wskazać pobudki jakimi się wola kieruje przy oznaczeniu wartości. Temi pobudkami będą zapewne użyteczność, praca i t. d. Teoria wartości w ten sposób rozwinięta wyprowadza nas poza ciasne koło systematu. Systemat ten, jeśli tak prace Macleoda nazwać można, nie przemiuje bez śladu, ale pod jego wpływem ekonomia polityczna nie zamieni się jak chciał z początku autor, w teorię handlu.

W dotychczasowym zakresie prac swoich Macleod nawiasowo tylko dotyka innych prócz handlu działań ekonomicznych. Co do rolnictwa mianowicie, widzimy z pism jego, że z powodu pówolnego w nióm obrotu kapitału uważa je za mniej dzielny niż inne zajęcia, środek powiększenia bogactwa. Na rolnictwie rzadko kto, według Macleoda, robi majątek w Anglii, a kraje przeważnie rolnicze są krajami ubogimi. W kwestyi podziału własności gruntowej, Macleod zgodnie z Burtonem, a sprzecznie z Millem oświadcza się za wielką własnością. To co mówi o instytucjach kredytu gruntowego nie okazuje bliższego obeznania się z przedmiotem, do czego w Anglii Macleod nie znalazł sposobności.

Jedna jego uwaga przecież, ściągająca się do stosunków tej sfery dotyczących i u nas przydać się może.

Macleod wskazując w małym odbycie powód wysokich cen pobieranych przez prowincjonalnych handlarzy, dodaje:

„Zdarzało się czasem że zamożniejsi właściciele ziemscy zakładali sklepy dla zniżenia cen miasteczkowych. Następstwem tego było, że kupcy żyjący tylko z zysku na swoim interesie, upadli, a panowie, gdy im się sprzykrzyła fantazya albo z innych powodów, zamknęli sklepy i tak zarodek handlu w okręgu został stłumiony; dobitne zastosowanie przysłowia: „Piekło jest brukowane dobrami zamiarami” (Theory. wydanie pierwsze, I, s. 84).

Trafna ta uwaga Macleoda powinna nas odwieść od wstępowania na drogę która do celu nie prowadzi. Dążenie do rozkrzewienia handlu zasługuje na uznanie powszechne i poparcie ze strony prasy peryodycznej będącej organem powszechności. Lecz jeśli przesady wiejskie, spotykając się w zdaniu, jak wszelkie ostateczności, z socjalizmem francuzkim, uważają pośrednictwo między producentem i konsumentem za niepotrzebne, i pod pozorem krzewienia handlu, pragną się obejść bez niego, jestto usiłowanie, które, z natury rzeczy, nie dopnie celu i tylko opóźni wzrost handlu, będącego, obok rolnictwa i przemysłu, jedną z trzech wielkich i równorzędnych gałęzi działalności ekonomicznej.



WYKŁAD
LITERATURY I ESTETYKI.

PRZEZ

Kazimierza Brodzińskiego,

czytany w b. Uniwersytecie Warszawskim od r. 1823 do 1830.

W zbiorze pism Kazimierza Brodzińskiego wydanym w Wilnie, od 1842—1844 (tomów dziesięć średniej objętości) nakładem księgarza Teofila Glücksberga, a pod kierunkiem Dominika Chodźki, nie ma wykładu literatury i estetyki czytanego w b. Uniwersytecie Warszawskim od 1823—1830. W wyliczeniu pism Brodzińskiego zamieszczonem na końcu życiorysu tego pisarza, powiada p. Chodźko, że rękopism tego wykładu we dwóch sporych tomach in 4to, zaginął i nigdzie go odszukać nie można. Jest to wielka strata dla piśmiennictwa naszego. Rozprawy o klasycyzmie i romantyczności, o krytyce, o satyrze, o elegii, o Birkowskim, o życiu i pismach Karpińskiego, listy o literaturze polskiej, wskazują nam jaki był pogląd Brodzińskiego na literaturę powszechną i własnego narodu. One otworzyły mu drogę do katedry uniwersyteckiej i do miejsca w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Prelekcye uniwersyteckie były treścią tych pojedynczych rozpraw, a razem obejmowały rys piśmiennictwa naszego od najdawniejszych czasów aż do roku 1795.

Uczniowie b. Uniwersytetu Warszawskiego, którzy uczyli się na prelekcye Brodzińskiego, zapisywali za mówiącym profesorem treść jego wykładu. Po długich staraniach otrzymałem dwa takie zapisy: jedno z roku 1825 a drugie z 1828, 1829 i 1830. Pierwszy obejmuje część estetyki, uwagi nad stylem i zarys literatury naszej od epoki Zygmuntów. Drugie są zupełniejsze, gdyż zaczynają się od pierwszych naszych kronikarzy, Galla, Matusza Cholewy i Kadłubka. Nareszcie, dostałem kilka

ułamków własnoręcznych prelekcji Brodzińskiego, obejmujących, z wykładu literatury, rzecz o wymowie z epoki Zygmunatów o Krasickim, o Książninie, o Molskim, o stylu z estetyk. Ideał w życiu i sztuce, charakter sztuk u Greków. Porównywając te ułamki oryginalnego tekstu z notatami dawnych uczniów, postrzegłem że główne myśli utrzymały się w nich po większej części, ale wdzięk wysłowienia i obrazowania zginąć musiał.

Z tych odszukanych zapisów, ułożyłem zarys prelekcji Brodzińskiego, a w nim zamieściłem ważniejsze jego zdania o dawnych i późniejszych pisarzach. Ułamki tekstu zamieszczone są w miejscach właściwych. Brodziński nie miał wzorów do wykładu swojego. W ówczesnych szkołach, przed otwarciem uniwersytetu nie było szczególnego wykładu literatury polskiej; lecz tylko dawano uczniom klas wyższych wyobrażenie o każdym rodzaju prozy i poezji, wymieniano celujących pisarzy obcych i krajowych, czytano celniejsze z nich wyjątki. W poezji trzymano się zasad klasycyzmu francuzki; w prozie przepisów Domerona. Jedno tylko dzieło „Historia literatury polskiej” Felixa Bentkowskiego, mogło mu służyć za skazówkę nie do krytycznego ocenienia autorów, lecz do ogólnego rysu cywilizacji i oświaty kraju, ze względu na jej historią, którą tenże autor zamieścił na wstępie do każdego działu piśmiennictwa.

Historią literatury polskiej podzielił Brodziński na pięć epok; odpowiadają one co jest rzeczą prostą i naturalną, dziejowym kolejom kraju, bo nauki zawsze i wszędzie są z nimi ściśle związane.

Cały zarys wykładów Brodzińskiego z tych zapisów wydobyty, uzupełniony odszukaniem ułamkami tekstu, może być zamieszczony w zupełnym wydaniu tego autora. Mniemam że wiadomość o nim i kilka wyjątków z tekstu, właściwe znajdują miejsce w Bibliotece Warszawskiej.

F. S. D.

I.

Dochował się obszerny własnoręczny ułomek prelekcji Brodzińskiego o Krasickim. Połączony z zapisami dwóch jego słuchaczy, tworzy ważne i piękne ocenienie tego najznakomitszego pisarza, z epoki Stanisławowskiej.

„W mowie Dmochowskiego tłumacza Iliady mianej w Towarzystwie Przyjaciół Nauk na uczenie pamięci Krasickiego, znanej powszechnie, jest szczegółowa wiadomość o jego życiu, mówi Brodziński, ograniczymy się więc na krótkim wspomnieniu, a przystąpimy do rozbioru dzieł jego.

Ignacy Krasicki urodził się w roku 1734 w b. województwie Ruskiem; ukończywszy szkoły we Lwowie, zwiedził Francją, Włochy i Niemcy. W 1768 został biskupem warmin-

skim w Prusach królewskich. Kraj ten przeszedł w r. 1773 pod panowanie pruskie. Nie mogąc mieć bezpośredniego udziału w sprawach kraju, oddał się piśmiennictwu i w tym zawodzie chciał dla niego pracować. W 1793 mianowany arcy-biskupem gnieźnieńskim, umarł w Berlinie mając lat 67, 14 marca 1801 r.

Wszystkie pisma Krasickiego mają na celu albo poprawę obyczajów, albo rozszerzenie oświaty, która wówczas stała jeszcze na niskim stopniu. Do osiągnięcia pierwszego celu służyła mu jego łatwość, wesołość i dowcip. Wszystkie jego pisma, zaczynając od bajek dla młodocianego wieku, aż do poważnego obrazu obywatela ziemskiego, tętną łagodną satyrycznością, która nie razi i nie odstręcza, lecz mimowoli zwraca uwagę na usterki i błędy, czyto w prywatnym, czy w politycznym życiu i do poprawy zniewala.

Dla rozszerzenia oświaty między ziomkami, najpierwszy zapoznał ich z wzorami literatury zagranicznej, z życiorysami sławnych mężów krajowych i obcych, z powieściami wschodniami, z pismami greckiego filozofa Lucjana, nareszcie wydał zbiór potrzebnych wiadomości, pierwszą encyklopedyą w piśmiennictwie naszym.

Krasicki nie był geniuszem pierwszego rzędu, lecz obywatel, który wszelkimi siłami chciał służyć krajowi. Jego dowcipu, smaku i taktu trzeba było na zwalczenie zastarzałych przesądów; on dowiódł, że chcąc skutecznie błędy wytykać, trzeba ludziom pobłażać i uważać ich nie za zepsutych lecz za zbłąkanych braci. Wszystkie jego pisma są popularne, zajmują i uczonych i prostych ludzi. Był on tém dla Polaków, czém Wolter dla Francuzów, lecz szanowniejszy od Woltera, bo talentu swego nie nadużył.

Bajki.

Czém był Ezop dla Greków, Fedr dla Rzymian, dla Francji la Fontaine, tém był razem dla Polaków Krasicki. Ma on zwięzłość i prostotę Ezopa, ma dobitność i poprawność Fedra i razem najprzyjemniejszy dar opowiadania la Fontaina. Czytając pierwsze księgi jego bajek, nikt nie pozazdrości Grekom Ezopa, a Fedra Rzymianom, a kto przebiega ostatnie księgi, to jest nowe bajki Krasickiego, znajdzie w nich nowego la Fontaina, któremu dotąd żaden inny naród nie zrównał.

Miała Polska do czasów Krasickiego, pisarzy znakomych w każdym rodzaju poezji, lecz w bajkach była ubogą. Z XVII wieku jednego tylko mamy pisarza bajek w Bartłomiejju Paprockim, który w rzadkióm dziś bardzo dziele: „*Koło rycerskie*” kilkadziesiąt bajek umieścił; lecz te, dla rozwlekłości opowiadania, dla słabej budowy wierza, a szczególnieij dla zbyt naciąganych i pospolitych morałów, nie mogą go w rządzie do-

brych bajkopisarzów pomieścić. Z późniejszych przekładali bajki Fedra i Ezopa: Jabłonowski, Jakubowski i ksiądz Epifani Minasowicz, lecz te wszystkie nie mają przyjemności opowiadania, na którym cała sztuka bajki polega. Krasieki więc pierwszy zwrócił uwagę Polaków na ten rodzaj poezyi, który jest razem zabawą dzieci i mędrców, który najgłębsze prawdy moralności, najostrejsze groty satyry, pod najpowabniejszą zasłoną ukrywa. Jak nie masz Francuza, któryby la Fontaina bajek nie przytoczył z pamięci, tak nie ma Polaka, któryby, od lat dzieciennych, do późnej starości, bajek Krasieckiego z rozkoszą sobie nie przypominał. Zdaje się, że Krasieki sam, bajki swoje więcej niż inne pisma cenił, i jeżeli w innych dziełach słusznie zarzucić mu można zaniedbanie i niepoprawność wiersza, bajki jego szczególniej pierwsze, w smaku Fedra pisane, noszą cechę pracy i usilnej poprawności. Porównywając Krasieckiego z Fedrem i la Fontainem, nie mówię żeby ich zupełnie naśladował. Ma on swój styl osobny, zupełnie narodowy: w pierwszych bajkach jest więcej epigramatycznym niżli Fedro, większą od niego zdaje się mieć łatwość; w drugich zwięźlejszym jest od la Fontaina, więcej jest wesołym i prostym, mniej ma owej naiwnej gadatliwości Francuza, która może się surowemu krytykowi nie podobać, ale każdego czytelnika mile zabawi. Zarzucają niektórzy Krasiekiemu, że pierwsze jego bajki więcej się do epigrammatów niż do satyr zbliżają, że w nich często nie ma żadnej akcyi dramatycznej; lecz nie sędzę aby to wszędzie potrzebne było, zwłaszcza tam, gdzie autorowi więcej zależy na powiedzeniu prawdy i na dowcipie wynalazku, niżeli na przyjemności dykcyi. Następująca np. bajka nie ma formy dramatycznej, jest tylko prostym opowiadaniem; lecz któż w niej ten brak uczuje, gdy się zastanowi nad trafnością i wynalazku i zastosowania?

Małe złego początki wzrastają z uporu,
 Zawsze ludzi omamia płochy punkt honoru.
 Miasto jedno w ustawnej zostawało trwodze:
 Jędrzej, Piotr, nocni stróże, zawzięli się srodze;
 Więc rozruch w domach, w karczmach, na każdej ulicy,
 Piotra wójt utrzymywał, Jędrzeja ławnicy;
 Za mężami szły żony, za starszemi dzieci;
 Przeniósł się wreszcie rozruch od mieszczan do kmieci;
 Wojna zatém i o to, przez lat kilkanaście:
 Piotr krzyczał gaście ogień, Jędrzej ogień gaście.

Prawda iż bajka ta ma tok zupełnie epigramatyczny, lecz czyliż pierwszy bajkopis Ezop, nie miał podobnych? czyż w znanej każdemu bajce „Góra w połogu” nie jest równie do samego końca zawieszona ciekawość i równie trafne jak komiczne jej rozwiązanie? Do bajek równie, jak do wszelkiej poezyi, potrzeba znać okoliczności, w których poeta pisze. Ta bajka zastosowana

jest widocznie do narodu naszego. Nie można było trafniejszego wynaleźć obrazu stronnictw, tu pod postacią stróżów będących, to jest strony króla i możnowładców.

Piotra wójt utrzymywał, Jędrzeja ławnicy.
wyraz „utrzymywał” jest tu najdowcipniej położony; za temi stróżami idą mniejsi, nawet kobiety i dzieci. Przecież o cóż tak zawzięte spory, o jedno wysłowanie: *ten krzyczał gascie ogień, a ten, ogień gascie.*

Gdy zniknęły czasowe okoliczności do téj bajki należące, będzie ona na zawsze, trafną satyrą na tych filologów i mówców, którym nie idzie o rzecz, ale o słowa.

Nad wszystkie bajki Krasickiego, najwięcej te oceniam, w których poeta daje czytelnikowi sposobność do myślenia. W tychto bajkach ukrywa Krasicki najskromniej filozofią, i chce tylko, aby czytelnik sam jak filozof myślał; w tych nie dodaje on zwykłych moralnych sentencyj, gdyż prawda w nich ukryta, zanadto jest wzniosłą, zanadto ogólną, i taką, że ją każdy sam do wszelkich prawd zastosować jest zdolny.

Może być doskonalszy obraz słabości rozumu ludzkiego, a razem chlubniejszy obraz prawdziwego filozofa, jak w bajce następującej:

Zartował, a od śmiechu trzymał się za doki,
Na ślepego kompana patrząc jednooki;
Nadszedł co krzywo patrzył, śmiał się; nadszedł stary,
I ten się śmiał, włożywszy na nos okulary;
Przyszedł nakoniec jeden z dobrze patrzających:
Żałował i wyśmiauchy i wyśmiewających.

Nie potrzebuję rozierać trafności téj bajki, która sama uczuć się daje, zwracam tylko uwagę na wyraz *żałował*; gdyby był Krasicki zamiast tego wyrazu położył: „naśmiał się” to byłby tylko dowcipnym poetą; przez wyraz *żałował*, dał nam swój obraz, obraz filozofa.

Zwięzłość jest jedną z najpierwszych zalet bajki, lecz gdy ta jest zawsze prawie owocem pracowitości i pewnego przymusu, dziwić się potrzeba, jak swobodny geniusz Krasickiego, mógł tę zaletę z naturalnością połączyć.

W pierwszej części bajek jego, żadne podobno nie znajdzie się słowo, któreby wypuszczone być mogło; weźmy np. którąkolwiek bajkę w tym względzie.

Pies szczekał na złodzieja, całą noc się trudził,
Obili go nazajutrz, że pana obudził;
Spał smaczno drugiej nocy, złodzieja nie czekał,
Ten dom skradł, psa obili za to że nie szczekał.

Sens moralny jest tu wcale nie potrzebny, a zwięzłość opowiadania najstarsza zachowana.

W drugiej części, w której Krasicki już nie Fedra, ale la Fontaina stylu się trzymał, więcej jest komiczności w opowiadaniu; tam tylko naucza i ciekawość zaostrza, tu razem bawi, i tu więcej jest satyrycznym niżeli uczącym. Jakże np. wyborne zaczęcie bajki „Chłop i ciełeł:”

 Nie sztuka zabić, dobrze zabić sztuka:
 Z bajki nauka.

Jakże to trafne przysłowie przeciw nieumiejętnym lekarzom:

Szedł chłop na jarmark ciągnąc ciełeł na powrozie.

 W lesie w wąwozie

W nocy burza napadła; a gdy wiatry świszczą,
W ciemności spostrzegł wilka po oczach, co błyszczą.

Więc do pałki, jął machać: nie myślawszy wiele,
Zamiast wilka co uciekł, zabił swoje ciełeł.

Trafia się to niekiedy, panowie doktorzy,
Lek pałka, wilk choroba, a ciełełta chorzy.

Nie można dowcipniejszej powiedzieć satyry przeciw miłości własnej, jak w bajce Puchacze.

Puchacze z wojażu przybywszy, opowiadają matce swoje zdarzenia:

..... Kiedy najmłodszy faworyt jejmości

Ozwał się: jakeśmy tylko wyleciały

Wszystkie ptaki zaniemiały,

My tylko same bujały.

Coś tam w krzaczkach ptaszek mały,

Co go to zowią słowikiem,

Odzywał się smutnym krzykiem,

Ale i ten nie śmiał mruzczyć,

Skoro my zaczęły huczyc.—

Po sercu jak to mówią matkę pogłaskało,

Że się tak i pięknie udało,

Najbardziej, iż piścioszek tak dzielnie wymowny.

Dośbey było na tém zakończyć, a już mielibyśmy wszystko co po bajce wymagać można; lecz jakże trafną łączy do tego Krasicki satyrę na udaną cnotę i skromność, na fałszywe nauki, któremi niebaczni rodzice dzieci napawając, myślą, że im najlepsze dają zasady.

Matka myśląc, iż trzeba dać obrok duchowny,

Rzekła: choć wasz głos piękny, chociaż tak wymowny,

Uzcie się miłe dziatki i z tego pokory;

Dobrze to jest, iż cudzą ułomność przebaczem,

Nie każdemu dał Pan Bóg rodzić się puchaczem.

Wiersz ten ostatni, tak jak wszystkie maxymy Krasickiego przejść powinien w przysłówie.

Zakończę tą tylko uwagą, że bajki Krasickiego mają w sobie coś tak oryginalnego, że ich nikt naśladować nie zdoła. W tym rodzaju poezyi można powiedzieć, że literatura nasza bardzo jest bogatą. Któż nie zna bajek Niemcewicza zastosowanych najwięcej do przemieniających losów narodu, bajek Góreckiego zalecających się dziwną łatwością, bajek Morawskiego, który pod względem dykcyi wszystkich innych przewyższa. Mimo tylu zalet tych poetów, jako też dawniejszego Książnina, Krasicki dotąd ani był naśladowany, ani przez kogokolwiek przewyższony.

W lekkich drobnych poezyach Krasickiego, których jest nie wielka liczba, widać oprócz dowcipu właściwego temu pisarzowi, zacne, a miejscami i wzniosłe myśli. Takimi są: Pszczoły, Laur, Do matki własnej, Marzenia dworaka, Czerwony Złoty, Do Boga, Gderania Starego Bartłomieja.

Poemata.

Myszejda poemat w dziesięciu pieśniach, jeden z najpiękniejszych utworów Krasickiego jest wesołą allegoryczną satyrą. Maluje w niej pod postacią szczurów i myszy, kłótnie mniejszej szlachty z możnowładzcami, niedołążność narad sejmowych i liczne wady narodu. Postać Stanisława Poniatowskiego znajdujemy po części w obrazie króla Popiela, po części w Gryzomirze królu myszy i szczurów. Jak w Satyrach tak i w Myszejdzie unikał autor kreślenia obrazów, któreby ze tak rzekę palcem wytknąć i wymienić można. Lekkość stylu, dowcip, wesoła imaginacya, są znakami tego poematu; każdy obraz, każdy wstęp jest wiązany z całością i tworzy zajmującą harmonią.

O poematach Monachomachii i Anti monachomachii, odwołał się Brodziński do zdania Dmochowskiego tłumacza Iliady, i Stanisława Potockiego, wyrażonych w pochwale tego autora.

Satyry.

Ludzie albo wznoszą się ku najwyższej doskonałości, albo wpadają w wady i występki. Dlatego też poeci albo malują charaktery godne uwielbienia i współczucia naszego, albo warte śmiechu. Pierwszemi zajmuje się epepeja, tragedia i poezya liryczna, drugimi satyra i komedia. Jan Paweł Rychter najtrafniej określił satyrę mówiąc: „że jest wyobrażeniem uczuć, jakie wzbudza w nas zastanowienie się nad niedokładnością natury człowieka”. Wady i śmieszności ludzkie mogą nas częstokroć zabawić, i dlatego są przedmiotem satyry. W oświeconém społeczeństwie, chociaż kto przestępuje zasady moralności, jednakże przybiera jój maskę, a za tę obłudę staje się celem satyry. Satyra albo karci występki,

albo wyszydza wady, albo prostuje błędne wyobrażenie o dobrym smaku. Poeta może do niej użyć formy jaką za najwłaściwszą uzna do swego przedmiotu i zdolności.

Ścisłe biorąc, zwiemy satyrą ten rodzaj poezji dydaktycznej, jaki nam zostawili Rzymianie. Jestto utwór małego rozmiaru, mający na celu wyszydzenie obyczajów lub smaku. Najlepszą jej formą jest rozmowa przeplatana myślami autora, bo żywiej rzeczy przedstawia; lecz jest trudniejsza, bo wymaga malowania dwóch różnych charakterów. Satyryk albo gromi zepsucie, jak Juwenalis i Naruszewicz, albo lekko wyszydza jak Horacyusz i Krasicki. Satyryk jako mądry filozof, śmieje się ze świata, wszystkich chce pobudzić do śmiechu, a dowcipem i rozrywką, leczyc wady społeczne. Celowi temu najlepiej zadosyć uczynił Krasicki.

Dosyć będzie odczytać i zastanowić się nad jego satyrą „Żona modna”, żeby uznać tę prawdę. Posiada Krasicki tę ważną zaletę, że jest doskonałym malarzem wieku swojego, że wyszydza i karci wady, lecz ich wprost do nikogo nie stosuje, i że wystawia nie obraz czyjsiś, ale zwierciadło. Każdy, kto w niem, chociaż część wad swoich postrzeże, przyzna że nie żółć, albo osobista niechęć, ale przekonanie i wzgląd na dobro powszechne kierowały piórem poety. Łagodna ironia jest jego cechą. W satyrze do króla, udaje prostaka, który właśnie to za winę poczytuje królowi, co było w początkach jego najważniejszą zaletą. Nie jest gwałtownym jak Naruszewicz, lecz wystawiając osoby działające błędnie lub śmiesznie, ukrywa nagane, a ta sama nasuwa się przed umysł czytelnika. Jeżeli zamieszcza morały, czyni to bardzo zręcznie i dowcipnie. W satyrze *Pijaństwo*, pochwała wstrzemięźliwości byłaby oziębłą deklamacją, gdyby nie doprowadzała do owego zakończenia.

Autor.

Te są wstrzemięźliwości zaszczytne pobudki;
Te są.

Pijak.

Bądź zdrów.

Autor.

Gdzie idziesz?

Pijak.

Napij się wódki.

W tych dwóch ostatnich słowach, widzimy całą moc nie-szczęśliwego nałogu, przeciw któremu nie poradzą żadne morały.

W dramatycznej formie satyry, nikt Krasickiemu nie dorównał. Część druga jego satyr wydana już po zgonie autora, w ogólnym zbiorze dzieł jego, nie tchnie wesołością lecz oburzeniem i goryczą: widać że pisane były pod wpływem smutnych ówczesnych wypadków. Zamknięcie satyr jest ostatnią najdobitniejszą satyrą, w której przepraszając wyszydzonych chwali to, co ganił wprzód, chce ogłaszać nazwiska chwalonych.

Listy wierszem.

W zbiorze dzieł Krasickiego po satyrach następują listy wierszem pisane: jest ich jedenaście, z tych dwa p. t. Podróż Pańska, do księcia St. Poniatowskiego i Pochwałę miodu, można policzyć do satyr; w dziewięciu wystawia lepszą stronę człowieka, wynurza szlachetne uczucia i myśli, łatwym wierszem oddane.

Listy wierszem i prozą.

Nie tak szczęśliwym był Krasicki w swoich listach pół prozą a pół wierszem pisanych. Utwory takie sprzeciwiają się zarazem naturalności i sztuce, i jednej i drugiej nie mogą zadość uczynić. W takim przeskakiwaniu od prozy do wiersza, łatwo się przywiązuje mierność i nienaturalność. Również i Krasickiego listy podobno zajmują ostatnie miejsce w jego utworach poetycznych. Ledwie wyłączyć można podróż do Biłgoraja. A przytem te listy nie będąc dydaktycznymi, ale należąc do zwykłych w lekkim rodzaju, powiunęby zawierać coś indywidualnego; lecz nie mają tej cechy i są tylko ułamkami prozy i wiersza. Wiele wierszy tam zamieszczonych, zaleca się dowcipem i drukowane bez prozy niby na tém nie straciły.

Wojna Chocimska.

Okazawszy w trzech poematach komicznych talent niepospolity, chciał Krasicki bohaterskim poematem literaturę naszą obdarzyć. Jestto przysługa największa jaką poeta współziomkom uczynić zdoła. Lecz nie do tego rodzaju chwały był powołany Krasicki. Wojna Chocimska, nawet tém dla nas być nie może, czém Henryjada dla Francyi. Oceniamy Krasickiego podobnie jak Woltera, z tego czém im sama natura być rozkazała, ale dalecy są od chwały bohaterskiej poezyi. Krasicki, równie jak Wolter nie przejął się wcale duchem tego rodzaju poezyi. Przez takie jednakże zdanie o wojnie Chocimskiej, nie rozumiem, jakoby dzieło to dlatego tylko niedoskonałem było, iż obszernym przepisem tego rodzaju poezyi nie odpowiada. Przeznaczenie mojej lekcyi, którem jest tylko historia literatury, nie dozwala mi czynić obszernych uwag nad przepisami wiersza bohaterskiego; nadmienię jednak o nich tyle, ile do rzeczy niniejszej potrzebnie sądzę. Wiem, że to małą liczbę słuchaczy obchodzić może, ale jeżeli kto był tyle szczęśliwy, iż w prostocie serca czuł prawdę poezyi czytając Homera i Wirgiliusza, temu nie nadaremne będą następujące uwagi.

Zdaje się że krytycy przepisami jakie z Iliady Homera wyciągnęli, chcieli zagrozić drogę wszystkim pisarzom, ażeby Epopei napisać nie mogli i dlatego też po Homerze, Wirgiliuszu i Tassie; bo Wirgiliusz za szczególnym tylko przywilejem między niemi się mieści, dlatego mówię, ten tylko mógł jeszcze dobrą Epopeję napisać, kto od tych dziwacznych i mordujących przepisów uchronić się umiał.

Homer w szczęśliwych dziejach swoich i mitologii swego narodu wprowadza bogów na scenę, czyni bogów ludźmi, a ludzi bogami; ztąd urosł przepis owę cudowności (merveilleux), z której nikt jeszcze szczęśliwie nie wyszedł, kto nie malował wieków Homera. Dla dogodzenia tym przepisom, wynaleziono w naszej Epopei zimne allegoryczne osoby, a jeżeli ośmielono się wprowadzać wyższe istoty, to nie mogły nigdy mieć takiej wiary, jaką w nie miano za czasów Homera. Iliada Homera trwa pewien przeciąg czasu, dlatego przepisano ilość dni, ile ma trwać Epopeja i t. p. Zgoła, że bez względu na różność religii, obyczajów i wieku, chciano z Homera zrobić formę, według których Epopeje odlewać potrzeba. Między temi tak dowolnemi przepisami, najgorszym jest ten, iż Epopeja powinna być ciągle szczytną, zadziwiającą, przeciw czemu sam Homer jest widocznym dowodem. Odrzucając te niewolnicze i na nic nieprzydatne przepisy Epopei, uważajmy ją ogólniej, a lepij i piękności Homera ocenimy i inne wyobrazenie o tym rodzaju powziemy. Epopeja jest poetycznym wystawieniem czynności, przez takie opowiadanie, które ją najżywiej umysłowi naszemu wyobraża. Ona opowiada zwykle czasy dawno upłynione, nie wystawia, jak dramat jednego czynu i tylko tego co z nim najściślejszy ma związek, ale oraz zdarzenia z tego czynu wynikające. To jest ogólne stanowisko, z którego całą przestrzeń Epopei rozpoznać można. To co się opowiada, nie działa tak silnie na nasze uczucie jak dramat, który rzeczy obecnie wystawia, i dlatego otwiera obszerniejsze pole spokojnej rozważki. Przeto pisarz Epopei jest, jak Homer przez cały ciąg opowiadania, spokojnym widzem; ten stan jego duszy objawia się w poemacie, który nie porusza jak dramat, ale spokojnie do umysłu przemawia. Ale żeby wrażenie słabem nie było, potrzeba umieć zainteresować w najdrobniejszych szczegółach i rzecz pięknie rozwijać. Gdy wszelka teoria jest ciemną dla mniej cierpliwj rozważki, jaśniej to nam porównanie okaże. Epopeja nie jest podróżą, w której tylko niecierpliwie do przedsięwziętego celu dążymy, ale jest dowolną, spokojną przechadzką, wśród której podczas pięknego dnia zajmujemy się oglądaniem przedmiotów i chętnie przy każdym zostajemy, o tyle ile nas bawi i przyjemnym uczuciem napełnia. Tak w Epopei wszelkie drobne szczegóły są potrzebne i piękne, chociażby od szczytności były dalekie. Dlatego ten jest przymiot Epopei od wszystkich rodzajów ją różniący, że może być obszerną, że jeżeli tylko głównego punktu z oka nie straci, wolno jej bujać od nieba

do ziemi i od szczegółu do szczegółu przechodzić, a wszystko co zmysły, co wyobraźnia przedstawia jest na jej rozkazy. Jakże długo w Iliadzie trwa gniew Achillesa, ileż do tego głównego punktu drobnych się ściąga okoliczności? Ztądto wolność spokojnego malowania tarczy Achillesa, ztądto dozwolone epizody. To różni Epopeję nie tylko od dramatów, ale od tych romansów, w których spieszny ciąg zdarzeń następuje, w których czytelnik niecierpliwie dąży do końca, aby rozwiązanie rzeczy zobaczyć. Jedność poematu epicznego, nie może być tak surowo ograniczona jak w dramacie; przecież i tu powinna być miara i cel. Epopeja utrzymuje czytelnika w spokojnym rozpatrywaniu się. Niech walki wkoło się toczą, niech namiętności i siły ludzkie stoją na najwyższym stopniu natężenia, poeta równie jak słuchacz, unosi się nad poruszonym światem, bez własnej namiętności. Spokojnie wystawia wszelkie charaktery i zdarzenia, bez udziału, bez nienawiści lub przywiązania ku temu lub owemu. Proste i spokojne jest jego opowiadanie, proste i spokojne wyrazy; zgoła, nie jest podobny do wzburzonego morza, ale do cichej rzeki, która z wolna, wspaniale płynąc, dąży do swego celu, a wszędzie wystawia w zwierciadle swoim niebo i wszelkie szczegóły, około których przepływa.

Najlepszym niezawodnie poematem epicznym jest ten, który maluje odległe, bajeczne czasy narodu; ta starożytność wzbudza uszanowanie, bo dozwala poecie wszelkich fikcyj opartych na podaniach mitologii i dziejów. Tam więc może mieć miejsce owa bajka czyli cudowność, którą wielu chce za niezbędną do Epopei uważać. Ale jeżeli poeta maluje czasy późniejsze, głównym jego obowiązkiem jest, aby wystawić czytelnikowi najwidoczniej świetne czyny, charaktery osób, a najbardziej obyczaje wieku. Jak w pierwszym przypadku Iliada najwyższym jest wzorem, tak w drugim Odyseja Homera, która nie wystawia jednego głównego przedsięwzięcia, ale zbiór zdarzeń, w których obyczaje wieku najjaśniej poznać się dają.

Wojna Chocimska, która w wypadkach krajowych stanowi jedną z najgłośniejszych epok, była powodem dla wielu pisarzy do doświadczenia talentu. Najznamienitszym między niemi jest Twardowski, lubo rzecz ta jest tylko częścią w obszernym jego poemacie p. t. Władysław IV. Na cześć Twardowskiemu zbywa, to chciał Krasicki dodać. Niestety, że poszedł za niedokładnym wzorem Henryady Woltera, i zapewne więcej go rozprawa tego autora o poemacie epicznym, niżeli sam wzór, zajęła. Twardowskiemu brak jedności akcji, idzie zbyt historycznie, niepomijając szczegółów takich, które do poezji wcale należeć nie mogą; jest często zbyt napuszczonym, obok wzniosłości płaskim. Wszystkie te wady zniknęły w Krasickim, ale jakże mu wiele zbywa na tón, co w Twardowskim każdemu podobać się może! Kiedy czytam Twardowskiego, zapominam o przepisach Boala, żyję zupełnie w wieku XVII, widzę pole, na którym się bitwy toczą, widzę

sejmy i narady obozowe, znam każdego rycerza nie tylko z czynów i charakteru, ale z ubioru, zgoła doświadczam tego, co na mnie Epopeja działać powinna; utkwii we mnie na zawsze wyobrażenie o obyczajach i charakterze mego narodu. Przeciwnie, gdy czytam wojnę Chocimską Krasickiego, są mi tylko na pamięci przepisy, któremi poeta więcej się przejął, niż duchem wieku, o którym pisze. Niemasz tu żadnego szczególnie odznaczającego się charakteru, nie masz żywych opisów; jestto prosty ciąg historyczny ozdobny fikcyami, które zaspakajać nie mogą.

Treść wojny Chocimskiej Krasickiego najkrócej zebrana, jest następująca: Osman przedsięwzięcie wyćpić chrześcian. Zły duch w postaci Mahometa zapala go do tego. Skinder wnosi, aby najprzód miecz na Polaków obrócił. Na wieść o zbieraniu się wojska, król Zygmunt III zwołuje sejm, który Chodkiewicza mianuje wodzem. Przygotowania do boju wspiera Bóg, zsyłając ducha opiekuńczego, który wznaga męstwo w rycerstwie i wodzu. Chodkiewicz przeprawiwszy się za Dniestr stacza bitwę za drugim natarciem. Zawisza cudów męstwa dokazawszy, ginie, lecz zwycięstwo odnosi. Zawstydzony Osman przyjmuje podaną od czarnoksiężnika Omara pomoc piekielną. Jakoż w trzeciej walnej bitwie, na którą królewicz Władysław nadszedł, Omar zawiesza zwycięstwo, sprawując przez czary ciemność burzliwą; lecz nazajutrz w bitwie powszechnej, Polacy zupełne zwycięstwo odnoszą. Rozpaczający Osman traktuje o pokój; wśród którego gdy Chodkiewicz umiera, Turcy korzystają z zamieszania, uderzają na obóz, ale zgromieni przez Lubomirskiego proszą o pokój. Ta jest treść poematu napisanego zupełnie według historii. Uważając na wyżej wytknięty główny przymiot Epopei, widzieć można, że i ta mała treść zdadnaby była do poematu, gdyby poeta chciał użyć wszystkiego, co ten rodzaj dopuszcza. I tak malowanie obyczajów wschodnich, sztuki wojennej, obok polskich wojowników, wystawienie w całej mocy charakteru Osmana, Skindera, Omara; z drugiej strony Władysława młodzieńca, Zygmunta III, Chodkiewicza, Lubomirskiego, Zawiszy i innych: dokładne obrazu w duchu wieku, sejmu, poselstw, mów rycerskich i t. p. więcejby zajęły, nizeli słaba i nic nie znacząca machina cudowności. Przy oschłości opowiadania swego, czuł Krasicki potrzebę wprowadzania epizodów, lecz te albo są naśladowane, albo tylko sposobem pospolitych romansów oddane. Epizody takowe są: Pożegnanie Chodkiewicza z nową zaślubioną małżonką, w której miał autor szczęśliwe pole walczyć z Homerem w pożegnaniu Andromaki i Hektora. Sen Chodkiewicza okazujący mu tajemnice budowy świata, naśladowany z Henryady; w którym daleko było stosowniej wskazać wodzowi zasługi dawnych bohaterów narodu i przyszłe jego losy. Na końcu ustęp w domku pustelnika. Ustęp ten, oprócz że nadto zużywany w romansach, mało poetyczny, nie wpływa wcale na dalsze działanie poematu. O charakterach wca-

le zapomniał Krasicki. Skindera jedynie wystawił w charakterze bohaterskim, lecz i to nie w sposób dramatyczny, jak to najlepiej mistrzowie Homer i Wirgiliusz czynili.

Zygmunt jak i Władysław nie nie działa, a lubo ostatni nadeiaga z wojskiem do Chodkiewicza, niemasz o nim dalej w całym poemacie wzmianki. Jakżeż to było piękne pole do odmalowania zapału młodego bohatera, występującego pierwszy raz do bitwy najznamienitszej, obok sędziwego Chodkiewicza.

Zgoła, tak w opisach jak w charakterach wojny chocimskiej, wszędzie panuje owa nieszczęśliwa ogólność od Francuzów przejęta, która równie do każdego narodu i wieku zastosować się daje. Styl przytem wcale poetycznym nazwać się nie może. Jest w Homerze i we wszystkich poetach łacińskich jakowyś urok stylu, który obok prostoty opowiadania zawsze kwitnie, zawsze do wyobraźni przemawia i żywo rzeczy maluje; w Krasickiego Wojnie Chocimskiej jest pewna nudząca oschłość i rozwlekłość, do czego nie pomału pomogło pisanie długimi strofami, po trzy rymy do każdej, co zawsze przymus, nie naturalną rozwlekłość albo zwięzłość w polskim języku sprowadzić musi, gdyż rymowanie polskie daleko jest trudniejsze, niżeli włoskie.

Kiedy najgłówniejszym przedmiotem poematu bohatera jest walka z wyższą siłą i przeciwnymi okolicznościami, wtedy sprowadzona cudowność prędy znowu pomniejsza, niżeli mu świetności dodaje. Homer tylko mógł być w takim prowadzeniu rzeczy szczęśliwy. Tam obiedwie strony Greków i Trojan, mają zarówno wsparcie i przeciwność od bogów; ztąd ich walki są prawdziwie bohaterskie. Czytelnik równie jak śpiewak, obojętnym jest na stronictwa, czei i żałuje równie Greków jak Trojan. Piękne jest w Homerze i zwycięztwo Greków podnosi to, że Trojanie mają najznakomitszego wodza, a że Grecy zamiast mieć w własnym najwyższym wodzu Agamemnonie dzielną pomoc, doznają wielkich strat z powodu jego dumy i pomyłek. W Wojnie Chocimskiej, Bóg najwyższy bezwarunkowo wspiera chrześcian, zatem zwycięztwo ich jest pewne i stają się tylko narzędziem przychylnego wyroku.

Osman przez złe duchy wspierany, już zaraz każe wątpić o sobie, jakoż wprowadzona cudowność sprawieniem burzliwej nocy, nie ma innego wpływu na poema, nad ten, że walka na chwilę przerwana została. Zrazu Zygmunt, Chodkiewicz, Lubomirski i wszyscy wystawieni są jako najlepsi rycerze, gdy dumny Osman, nizekzemny Omar, słabemi są przeciwnikami. Skinder sam tylko jest godnym nieprzyjacielem, ale rad jego nikt nie słucha, a męztwo nadaremne, bo rychło ginie. Tak znika wyobrażenie świetności zwycięztwa, które wojna chocimska sprawić powinna. Wprowadzone niezgody w polskim obozie (o co tak łatwo było), niedopełnienie warunków opieki Najwyższego i ztąd chwilowa kara i t. p., byłyby to poema uczyniły więcej interesownóm i charakterystycznóm.

Kto czuje talent i chęć uwiecznienia pamiętnych czynów, ma do pięknego poematu w Wojnie Chocimskiej bogate materiały. Prócz tylu Dyaryuszów, które każdy światlejszy rycerz w obozie spisywał, prócz zuamienitszych dziejopisów, ma jeszcze piękne obrazy i żywe opisy, jeżeli je wybrać i ukształcić potrafi w obszernych poematach Twardowskiego, który wszystko o czém pisał naocznie widział i doświadczał.

Krasicki lubo w całości porządniejszej, ale równie mało dokładnej, posiada piękne opisy jak np. Pojedynek Skindera z Zawiszą, Mowa Chodkiewicza, Opis burzy przez Omara sprawionej i t. p.

* * *

Krasicki najpierwszy dał poznać ziomkom poemata Ossyana. Pracę tę uskutecznił w ostatnich latach życia swego. Tęsknota i smutek rozlane w poezjach Ossyana zgadzały się z usposobieniem jego umysłu. Tłumaczenie Krasickiego nie jest wierne, lecz duch Ossyana w niem się zachował.

O rymotwórstwie i rymotwórcach.

Pismo Krasickiego o rymotwórstwie w rymotworach, które IIIci tom dzieł jego składa, zawiera przepisy i uwagi zbyt ogólne i powszechnie znane. Lecz on pierwszy u nas podobne dzieło napisał. Największą wartość pisma tego stanowią tłumaczenia mało wierne, ale zawsze dobrym smakiem i właściwością Krasickiego ozdobne. Cechą jest przytem prawdziwego geniuszu, że w sądzie autorów nie przywiązywał się do jednego smaku, że zarówno czuł piękność angielskich, niemieckich, hiszpańskich poetów i ich starożytnych jak i Francuzów. Główniejsze i lepsze tłumaczenia są: Pieśń Homera o Apolinie; Kallimacha o Dyaunie wyjątek z Orlanda Szalonego; Wiadro porwane z włoskiego, Kapelusze Gellerta; Satyra Kabnera i inne.

Komedye.

Napisał Krasicki trzy komedye wydane pod imieniem Mowińskiego jego sekretarza, które niesłusznie w zbiorze dzieł jego przez Dmochowskiego wydanych opuszczone zostały. Nie mają one zalety co do układu i formy dramatycznej, ale malują wszędzie z trafnością i w sposób komiczny, obyczaj narodowe, szczególnie w komedyi pod tytułem: Solenizant.

Doświadczyński.

Krasicki w stylu łatwym, potocznym, tém był dla nas, czém Wolter dla Francuzów. Niekiedy natrafic można na błędy

gramatyczne, lecz ujęci łatwością i dowcipem zapominamy o nich. Często używa cudzoziemskich wyrazów: *alternata*, *prewencya*, lecz one nieraz są konieczne, bo naśladował mowę potoczną, w której tych wyrazów powszechnie wtedy używano.

Doświadczyński i Podstoli mają dotąd największą cechę oryginalności. Może kto przewyższy Krasickiego w wynalezieniu, ale nikt mu nie dorówna w malowaniu obyczajów. W Doświadczyńskim przedstawia błędy rozpowszechnione w owym czasie; w Podstolim stawia wzór pięknej strony ziemianina. W Doświadczyńskim odmalował zbyteczną surowość ówczesnej edukacji szkolnej i nierozważne przyjmowanie cudzoziemców na nauczycieli. Opisy intryg trybunalskich, wady ówczesnego sądownictwa, sejmików i sejmów; dziennik podróży młodego Doświadczyńskiego za granicą, w którym nie godnego uwagi nie zamieścił, prócz zdania o dobroci i cenie piwa, wina, szynek moguncyckich i bóżnicy żydowskiej, jego pobyt w Paryżu i ucieczka przed wierzycielami, są najtrafniejszą satyrą, jakiej może inna literatura nie posiada.

Pobyt Doświadczyńskiego na nieznanym wyspie Nipuanów, przypomina przypadki Guliwera: są tam bardzo dobre uwagi i zwroty lecz naciągnięte.

Pan Podstoli.

Najznamienszém z dzieł prozą pisanych przez Krasickiego, jest *Pan Podstoli*. W poezjach swoich i Doświadczyńskim, wytykał Krasicki to złe, które w nałogach i przesądach narodu upatrył; w Podstolim chciał zachować i wystawić za wzór, co w obyczajach naszych widział dobrego. Każdy czytając Podstolego, zapomina o wadach swych ziomek, przejmuje się częścią dla obyczajów, dla charakteru narodowego. Jest to dzieło najznamiensze, najwięcej ojczyście, ze wszystkich jakie mamy w naszej literaturze. W dążeniu moralnym poszedł Krasicki w dziele tém wcale inną drogą od wszystkich malarzy charakterów, od pisarzy, romansów i moralistów. Jest to w właściwym znaczeniu najpiękniejsza patryarchalna Idylla. W osobie Podstolego nie chciał Krasicki wystawić człowieka szczególniejszemu oryginalnego, ale odmalował prawego w całym znaczeniu wyrazu, obywatela i ziemianina. Niema zapewne mędrca, któryby nie poprzestał na prostym rozsądku Podstolego, któryby chciał więcej być szczęśliwym jak jest Podstoli. Obadwa te dary, rozsądek i szczęście, tak dobrze są w nim połączone, tak się zdają łatwo i naturalnie nabyte, że każdy poznawszy Podstolego, żałuje siebie i bliźnich, którzy tak przykreimi drogami do tych dwóch celów życia ludzkiego dążyć muszą. Podstoli wystawiony jest jako ziemianin, mąż, ojciec, sąsiad, obywatel. Miarą jego rozumu

jest naturalny rozsądek, miarą czucia umiarkowanie. Daleki od stoicyzmu, daleki równie od sentymentalności, mąż ten jest punktem szczęśliwego połączenia dawnych cnót przeszłości i nowego światła terażniejszości. Nie zdaje się w niczem różnić od ziomeków swoich, przecież dla wszystkich najłatwiejszym i najwabniejszym jest wzorem. Zwalcza razem dawne przesady i broni się od nowych; ceni oświatę, która wspiera rozsądek; hojny przy gospodarstwie, wspaniały przy oszczędności, moralista pobłazający, wesoły z dobroci serca, szczerzy przy skromności, zgoła mąż ideał ziemiańskiego obywatela, w umiarkowaniu cnót i skłonności, każe się naśladować, wzbudza w każdym chęć, aby jemu stać się podobnym. Łatwoby było utworzyć wizerunek cnót heroicznych, ale wystawić charakter tak prosty i naturalny, a przecie tyle zajmujący, to jest dzieło mistrzowskiej ręki.

Cały charakter Podstolego przyrównać można do starożytnego posągu, który nie wystawując nic uderzającego, nic namiętnego, w samej prostocie i pokoju swoim coś boskiego objawia. Styl nawet tego pisma, możnaby przyrównać do lekko zarzuconej szaty posągu, która nie będąc ubiorem, bez żadnych piększtydeł, jest tylko skromną i dlatego piękną odzieżą.

Jedną z najpiękniejszych zalet tego dzieła jest: że Krasiecki chciał wystawić nie tylko dobrego obywatela, ale i dobrego ojca rodziny. Szło mu równie o cnoty rodzinne jak i obywatelskie. Dlatego to szczegóły w Podstolim, jak np. o przyjmowaniu gości, o ubiorze, o ucztach, o urządach ziemiańskich i t. p. względem których czyni swoje uwagi, są na swoim miejscu. Nie chce Krasiecki abyśmy dla uchronienia się przywar, ojców naszą cechę stracili jest równie nieprzyjacielem zlej cudzoziemczyzny, jak błędnej narodowości. Kto w tym celu przejrzy kilka rozdziałów w Podstolim o gościnności i wspaniałości, znajdzie że te cnoty w Podstolim jeszcze przesadzone, lecz zgodne z charakterem naszym, które mu chlubę przynoszą. Dla rolniczego narodu pisał to dzieło i nie mógł lepiej szczęścia i godności tego stanu wystawić.

Prócz Podstolego, i jego szanownej rodziny wystawia Krasiecki wiele innych charakterów, które tak są trafnie i naturalnie oddane, że się nam zdaje, jakbyśmy je dawno już znali. Charakter p. sędziego i podwojewodzica w tej części, w drugiej łowczego, w trzeciej pani podkomorzynny są najtrafniejsze. Cóż dopiero mówić o szczerem malowaniu nie tylko obyczajów, zwyczajów, ale nadto ubioru, pomieszkania i zabaw. Pan Podstoli zostanie ich niezatraconym składem; w nim odległe pokolenia poznają życie domowe, uczyty, uroczystości, ich przymioty, ich prostą poczciwość, ich nieokrzesaną ale miłą wiejskość, poznają razem ich wady, przywary i przesady; lecz mimo tego wszystkiego nie będą mieli przyczyny rumienić się że z nich pochodzą.

„Składa się to dzieło z trzech części, pisał je autor w znacznej jedne od drugich czasu odległości. Nie ułożył razem pla-

nu całego dzieła, dla tego nie dał mu dość szykowności w rozkładzie, ale nagromadziwszy nowych uwag, czego nie objął w pierwszej części, umieszczał następnie w drugiej i trzeciej. Z tem wszystkiem brak ogólnego planu tak umiść szczęśliwie nagrodzić Krasicki, w dokładnem opisanu szczegółów, iż tej wady nikt nie spostrzega. Miał autor, według Dmochowskiego, napisać część czwartą i w niej wystawić pułkownika, jego sposób myślenia, własnymi jego usty odpowiedzieć rozmaite przypadki życia i co go uczyniło mizantropem; ale śmierć nie dozwoliła uskutecznić tego zamiaru.

Za wzór opisów w Podstolim, przytaczam z księgi piérwszój następujący wyjątek, w którym maluje przybyłych gości. „Pan Sędzic był to człowiek podeszły, łysy, suchy. Czapka rogata, suknie długie, pikowany żupan i kłapcie u rękawów, oznaczały człowieka, który się dawnych zwyczajów trzymał. Jejmość w długich kornetach, w ozołku i mantoleciku, felpą podszytym, prezentowała postać naszych prababek. Strój skarbnikowej wpół był modny, wpół ziemiański, jeszcze muszki z jej czoła nie zeszyły, na skroniu prawem reprezentowały podobno Plecady, a jedna z lewego boku ust pilaowała. Pan Regent bojąc się podobno ślinogorza, bocianowatą nieco szyję muślinowym halsztuchem obwinął. Wysmukłość jego wydawała się dokładnie w opiętym kontuszu papużowym, różową kitajką podszytym i żupanie tegoż koloru.

Pan Porucznik był w kamizelce mundurowej i fraku angielskim, włosy z przodu miał nisko ostrzyżone, z tyłu zebrane na grzbiecie. Najmłodszy pancerny towarzysz, w skrzypiących czerwonych safianowych butach, opasany pod brzuch, podgolony z wysoka, kuso, buchasto, dźwigał miecz u kolana, ustawicznie ręce zacierał, pluł w bok i po czuprynie się głaskał.” Otóż prawdziwy talent malarskiej poezyi!

Za wzór opowiadania niech posłuży krótka następująca scena:

„Po obiedzie zniknęła młodzież. Panie piły kawę, z niemi ja, ks. pleban, regent, ojcowie reformaci zabawiali się butelką. Już się butelka druga kończyła, gdy trzecią którą niesiono z piwnicy, spostrzegł ze stajni najmłodszy pan sędzic; przybył więc do kompanii i przerywając dyskurs na który trafił, zaczął chwalić człapaka cisowego biało-nózkę, którego w stajni widział. Kazał go wyprowadzić p. podstoli, wyszli wszyscy na podwórze, a gdy go kilka razy przeprowadzono, prosił p. sędzic, aby go po swojemu sprobował i zazył. Pozwolił gospodarz, natychmiast p. sędzic zawinął poły, dosiadł konia, rażno wypuszczał i zwracał, a że kilka kłód na podwórzu leżało, począł przez nie skakać. Udało się dwa razy, za trzecią koń się związał, padł z nim p. sędzic; skoczyliśmy ku niemu, szczęściem ani ręki, ani nogi nie złamał, głowę jednak rozciął. Zatałowano krew, rana nie była

szkodliwa, a gdy mu konia p. podstoli ofiarował, choć z związaną głową duszkiem wielki kielich wina wypił na podziękowanie.”

Ten mały opis zdaje się niezuważającym dla tego samego, że tak jest naturalnym. Ale niech każdy, ktokolwiek zechce tę małą scenę odmienić lub które słówka jako niepotrzebne wyrzucić, pozna, że tu nie ani zmienić, ani ująć nie można.

Lecz zobaczmy także i z drugiej strony własność Podstolego.

Nie jest to ani powieść ani romans. Na powieść mało ma opowiadania, na romans mało akcyi. Jak mało był w stanie Krasicki odpowiedzieć w Doświadczyńskim żądaniom romansu, tak tém mniej jeszcze w Podstolim. Zdaje się, że pojazdy są główną sprężyną zawiązywania akcyi, mają bowiem nudzący zwyczaj zawsze się łamać, co nawet przy zaniedbaniu gościńców łatwo być mogło. Autor poznaje się z Podstolim przez złamanie się pojazdu. Pani staroscina przybywa także ze złamanym pojazdem, a nawet powóz rządowego p. Podstolego, nie jest wolny od tego grzechu; ztąd jednak powstają nowe znajomości i nowe nauki.

Ogniskiem wszelkich zgromadzeń są zwykłe obiady; równie autor, jak sam poważny p. Podstoli zbyt często dają poznać czytelnikowi swój smak wytrawny i znajomość sztuki kucharskiej. Przecież wytworność stołu była raczej zwyczajem uczczenia gości, anizeli prostem zmysłowem użyciem.

Pan Podstoli lubo jest człowiekiem skromnym, wiele baczym na przyzwoitość, zbyt jednak często przy każdej sposobności daje nauki, długie rozprawy, a to najczęściej przy stole, gdzie nie mogły być z zajęciem słuchane (1). Przymtem nie widzimy go w żadnych czynnościach, w żadnych trudnych okolicznościach, w którejbyśmy moc jego charakteru radzi zobaczyć. Chciałbym go widzieć na sejmie, na jakim przynajmniej obywatelskim urzędzie, opierającego się nierządkić wówczas apatyi i zepsuciu szerzonemu przez możne domy; w nim widzę tylko obywatela, szczerze kochającego kraj lecz nazbyt wygodnie (2). Zdaje się że z brzegu spokojnego patrzy na niego jak na statek burzą miotany i losu jego bynajmniej nie przewiduje.

Miłe są w Krasickim walki Podstolego między zachowaniem tego co było dobrém, a przyjęciem tego co z nowości za dobre uznać jest przymuszony. Lubi on wychodzący już z mody ogród staroświecki, lecz podoba mu się nowy angielski; chce ocałić aleje po których biegał w młodości, które rodzice właśnie dla

(1) U dawnych Polaków, było to cechą zwyczajną, we dług świątectwa cudzoziemców, przy obiadach rozprawiać. Francuzka bezczynność nauczyla nas innęj przyjemności, a głównie cichego szeptania między sobą przy stole.

(Pr. Kaz. Br.)

(2) Czy na to nie wpływał po części charakter autora?

(Pr. Kaz. Br.).

dzieci zakładali, a jakże dzieci czule mają je niszczyć i być niejako niewdzięcznymi. Każdy sprzęt domowy choćby z mody wyszły, miłym być powinien dla dzieci, bo on nie jest nietylko wygodą, ale pamiątką, że tych sprzętów ojciec i matka używali, z niemi przechowując się cnoty patryarchalne, tak chcemy żyć między temi sprzętami, jak żyli ojcowie. W dzisiejszych czasach, słabo i delikatnie robione sprzęty, są małą wskazówką obyczajów już nie patryarchalnych, że dzieci pamiątek naszych nie potrzebują.

Pomniejsze pisma Krasickiego.

Historja. W powieści pod nazwaniem *Historja*, wdał się Krasicki w rzecz trudną dla swego dowcipu, a niewdzięczną dla swoich czasów, gdyż wtedy czytelnicy nasi mało lubili się zastanawiać nad krytyką, cóż dopiero nad krytyką dziejów powszechnych. Wystawia tu Krasicki człowieka, który za pomocą cudownego napoju, znalazł sposób odmładzania się. Ten człowiek jako przytomny świadek najważniejszych zdarzeń w dziejach starożytnych i średniego wieku, opisuje co widzi, wytyka błędy wielu historyków, którzy o tychże wypadkach pisali i podaje trafne uwagi nad charakterami ludzi znakomitych. Jestto myśl bardzo szczęśliwa, lecz z natury swojej trudna do zupełnego wykończenia. Gdyby się był autor w pewnym tylko wieku, lub pewnym narodzie ograniczył, byłby dowcipne i uczone to dzieło w zupełności wykończył; lecz gdy w rozległej przestrzeni krajów i wieków, jako w tak małym dziele, niektóre tylko szczegóły wybiera, każdemu czytelnikowi nasuwa się mimochętnie myśl, że autor albo mało miał wiadomości dziejów, albo mu na wytrwałości zbywało. Przytęm dołączam tu następującą myśl moją; bo czemuż nie mam powiedzieć tego co w mojem mniemaniu widzę potrzebne dla naszej literatury. Dzieło w podobnym planie jak ta *Historja* Krasickiego, albo przynajmniej jak *podróże Młodego Anacharsysa po Grecyi, do samej Polski* zastosowane, byłoby jednem z najpożądanych, jakich literaturze naszej życzyć należy. Gdyby Krasicki był wystawił podobnie żyjącego człowieka, we wszystkich epokach od czasów pogańskich, po przyjęciu wiary przez wszystkie wieki narodu polskiego, byłby miał piękne, przyzwoicie ograniczone pole, wytknąć wady i niezgodności naszych historyków, byłby nadto w tém piśmie wystawił w sposób popularny, obyczaje, zwyczaje, stan kultury, świetniejsze zdarzenia i charaktery, aż do naszych czasów: wydałby dzieło, którómby i naród polski i swoje imię unieśmiertelił. Przeciwięstwa w charakterach i obyczajach, stosownie do postępu oświaty i zmian politycznych; wyobrazenie tego, co po wszystkich czasach zostało właściwego charakterowi narodowemu, skreślone z czuciem poety

a z filozofa rozważą, byłyby nie tylko świadectwem ogólnego życia narodu, ale uadto wskazówką dalszego dążenia ku narodowemu udoskonaleniu. Plan podobny, którego z serca życzę naszej literaturze, nie może rozkwitnąć jak w żywym młodocianym umyśle, a nie może wydać dobrego owocu jak przez długą rozważę i pracę; lecz dzieło takie możeby za mozolne i za trudne było dla lekkości talentu Krasickiego.

Żywoty sławnych mężów.

Prócz tego krytycznego dzieła, pracował Krasicki nie bez zalety w historii. Przełożył w dwóch tomach celniejsze żywoty z Plutarcha: nie tłumaczył go słownie, wyrzucał jego genealogie jako samych Greków interesujące; lecz szkoda że opuścił wiele uwag, w których Plutarch tyle jest przyjemnym i nauczającym. Na wzór tegoż, napisał Żywoty sławnych ludzi, w jednym tomie, zajmując osoby bądź w starożytności, bądź w średnich wiekach celniejsze.

Porównania między osobami, które czyni na wzór Plutarcha, są trafne i z bezwzględnością historyczną pisane. Celuje szczególniej porównanie Alfreda króla angielskiego z Kazimierzem W.

Że jednak tak ściśle Plutarcha w tych porównaniach naśladował, nie jest to istotną Krasickiego zaletą, zwłaszcza teraz, gdy podobnemi parallelami przesyleni jesteśmy. Mimo tak wielkich zalet żywotów Plutarcha, w których z prostotą dziwną maluje naturę ludzką, widać w planie dzieła, niejako nałogi fałszywej wymowy w sofistycznych szkołach Grecyi i Rzymu nabyte. Każdy opisany wielki mąż Grecyi, ma przeciw sobie postawione życie Rzymianina, zakończone przez porównanie, gdzie dwaj bohaterowie na jednej wadze są położeni.

Zdaje się to przypominać thezy szkolne i igraszki wymowy, jakie się tak długo doohowały z czasu zepsucia smaku u Greków i Rzymian.

Czyliż bowiem historia może zawsze na każde zawołanie podawać te stosunki, te symetrye, jakie talent czasem wynajduje w losach i przeznaczeniach dwóch wielkich ludzi?

Czyliż nakoniec w takiej metodzie nie widać monotonii, która w dziejach dwóch ludów tak podobne wynajduje stosunki? Aby w tém Plutarcha wymówić, należy sobie przypomnieć, że wśród niewoli swojego kraju, czuł pewną pociechę wając obecną chwałę Rzymian zwycięzców z przeszłością swojego kraju i mogąc przeciw każdemu z nich ziomka swojego postawić.

Lecz co do Krasickiego, nie był on w tém położeniu; gdyby był wybrał mężów swojego kraju z wielkimi charakterami z zastosowaniem, dzieło to nie byłoby próżnem ćwiczeniem historycznym.

Rozprawa o historii. Rozmowy z Lucjana tłumaczone, oraz Rozmowy sławnych ludzi według Fenelona i Monteskiusza, przekład Hezyoda Dni i Robót, są pisane stylem tak naturalnym i z taką łatwością, że nie pozwalają czytelnikowi przypomnieć sobie, że są naśladowane lub tłumaczone.

Ceniąc Krasicki piękności Hezyoda, Plutarcha i Ossyana, umiał czuć odrębne piękności i czystą moralność poezyi wschodniej. *Dwadzieścia takowych powieści*, w właściwym duchu oddane są podobno jedynym zabytkiem jaki mamy wschodniej poezyi w literaturze naszej. Oryginalna powieść Krasickiego *O Kamienicy naroznej* w mieście Kukurowcach, przez Błażeja Bakalarza, zastosowana do dziwnych wypadków narodu polskiego, jest najlepszą ze wszystkich pomniejszych pism jego. Niemożna lepiej prowadzić allegoryi, a razem niepodobna wdzięczniej wydać prostoty kronikarskiego stylu, które tu sobie Krasicki zamierzył.

Uwagi i myśli, którą większą część 6 tomu składają, mają za cel filozoficzne dążenie nie tylko we względzie obyczajów i moralności, ale nadto we względzie zachowania miłej narodowości. Są to trafne a łatwo wydane spostrzeżenia nad sercem ludzkim i społecznością. Z tego pisma, tak jak z licznych maxym Krasickiego w poezyach rozproszonych, możnaby zebrać ducha dzieł Krasickiego, jak to wszędzie za granicą z dzieł znamienitszych autorów czynią.

Nie mogę się oprzeć chęci, abym z urywkowych myśli Krasickiego niektórych nie przytoczył.

„Łatwa jest rzecz lud oszukać; ale gdy pozna że był oszukanym, nie ma już po co wracać ten co go oszukał.

„Często zdarza się w dysputach, iż utrzymujący nie wierzy, a sprzeciwiający się nie rozumie.

„Niedowiarstwem wszyscy grzeszą oprócz chwalonych. Skarżymy się na głupich iż wiele o sobie rozumieją, a jakże inaczej głupim być można.

„Punkt honoru podobny jest do monety idealnej: tam gdzie prawego działania nie znają, zastępuje on quotę, i jak wexel dla tego popłaca iż złota niemasz.

„Wszyscy sobie zazdrościm, a to najjaśnień dowodzi, że nie mamy sobie czego zazdrościć.”

Do ostatniego dnia życia swojego zachował Krasicki dowcip i pracowitość, dowodem tego są ostatnie jego *Listy o ogrodach*. Przyjacieli natury i sztuk pięknych, czuł Krasicki przyjemność w zatrudnieniach. w ogrodach, jako w zabawie najprzyjemniejszej dla starości i chwil samotnych.

Maluje trafnie jak nudny jest czas na wsi, jeżeli jeden drugiego odwiedzi, chodząc po łąkach nudząc i zrzedząc, wszystko złe się im wydaje, za co śludzy odpowiadają wtenczas.

Ogrodu miła praca, zabawą niewinną,
Staje się użyteczną, staje dobroczynną,

A gdy czucia zbyt tkliwe łagodnie rozpędza
 I tego który cierpi i drugich oszczędza.
 Mścimy się nad innemi, żeśmy nudni sami,
 Nie zna troski, kto pracę dzieli zabawami:
 Znajdzie ogrodów sprawca co ując, co sadzić,
 A cóżby go zły skutek mógł niekiedy zdradzić,
 Jak się zwykle przygody nadarzają z wiekiem,
 Lepiej zrządzić nad gruszką, niżli nad człowiekiem.

Maluje Krasicki trafnym pędzlem ogrody różnych narodów.
 Jakże zręcznie wystawia, źle u nas naśladowany stary gust francuzki w ogrodach i nowy angielski.

Bukszpan sztucznie sadzony, za pomocą piasku, cegły, węgla i tłuczonych skorupiek, wydawał na wzór adamaszku kwiaty i floresy.

A czas z kosą na łące wśród kompasu z gliny,
 Nie wiedział czy siać trawę, czy znaczyć godziny,

Do tego przyszło, że w szpalerach nie obyło się bez herbarzów.

Widział z okna Jegomość klejnot rodowity,
 Koroną uwieńczony, laurami okryty
 Na tarczy, którą ledwie mógł nieść olbrzym srogi
 Właściwy domu zaszczyt: dwa ogromne rogi.
 Stał i w prawo i w lewo rycerz wąsem hardy,
 A sążniste trzymając w rękę halabardy,
 Każdy z nich na przechodnie, gdy oczy wytrzeszcza,
 Zastępowały miejsce ogrodów, bożyszczca.

Nie dość było czynić z drzew słupy, obeliski i piramidy; le-
 dwa pojętém wysileniem przeistaczali je w posągi.

Grał na cytrze Apollo z jodły złotowłosy,
 Ceres z szyszek borowych piastowała kłosy;
 Błyszczał Neptun trójzębnym od bżowego lustru,
 Jowisz w zapale rzucał pioruny z ligustru;
 Mars z figi, rozjuszony zabójczem rzemiosłem,
 Bachus na tyce chmielu z Sylenem i osłem:
 Wenus wdzięczna jałowcem z uśmiechem i gestu,
 Gracye pożyczkowe, Kupido z agrestu.
 Więc nowém wysileniem i kształtu i gustu
 Koło chaty ciosowej, piramida z chrustu.
 Wyspy kilkołokciowe zakręty przeplata
 Coś na kształt rzeczki, którą stróż codzien zamiata,
 Ta mając w spadkach gruzem najeżone łoże,
 Chciałaby mruzczyć, ale bez wody nie może.

Obadwa wyjątki dla tego przytaczam, że ten gust dawnych ogrodów i nowych ma wiele podobieństwa do dzisiejszego smaku poezji naszej. Pozbywszy się zbytnich form dawniej szkoły francuzkiej, chcemy niewszędnie naśladować Anglików i Niemców, zamiast stosować się do uczucia i gustu narodowego.

Prócz tych dzieł w 10 tomach edycyi Dmochowskiego umieszczonych, jest jeszcze Krasickiego dzieło w dużych dwóch tomach in 4-to pod tytułem: Wiadomości potrzebniejsze. Praca takowa za wielką jest na jednego człowieka, a dowcipowi i usposobieniu Krasickiego najmniej przystała. Są to rozmaite wiadomości encyklopedyczne, ale bez pewnego wyboru i ograniczenia się. Gdyby się był Krasicki zawarł w obrębach jedyne własnego narodu, gdyby był tym sposobem abecadłowem opisał obrzędy, zwyczaje, ubiory, rządy, tytuły i t. d, mielibyśmy upragnione dzieło dykeyonarza obyczajów narodowych, którego nam i teraz bardzo życzyć należy.

Między małoważnemi, a częściej jeszcze niedokładnemi wiadomościami, są niektóre, gdzie Krasicki swoje uwagi umieszcza ważne i dowcipne, a Dmochowski wypuszczając to dzieło z swęj edycyi, dobrzeby zrobił, gdyby był takowe artykuły między drobniejszymi Krasickiego pismami pomieścił.

KRONIKA PARYŻKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA

Dzieło hrabiego Paryża pod tytułem: „*Les Associations ouvrières en Angleterre.*” — Wystawa sztuk pięknych zastosowanych do przemysłu: wystawa historii sztycharstwa. — Marmurowe rzeźby na gmachu Wielkiej opery. — Hachett'a wydanie klasyków starożytnych z komentarzami. — „*Dzieła Wirgiliusza*” text łaciński z objaśnieniami pana Benoist. — „*Hesioda, Hymnes Orphiques, Theocrite, Tyrteę, Odes Anacréontiques*” przekład nowy pana Leconte de Lisle. — Zbiór fragmentów historycznych z dziejów Wależyzusów, wydał professor Gord. — Wiadomości literackie.

Pprzed dwoma miesiącami zdawaliśmy na tém miejscu sprawę z dzieła syna Ludwika Filipa, księcia d'Aumale „*Historja Konduszów*” dziś mamy mówić o pracy wnuka Ludwika Filipa, hrabi Paryża, który przysłużył się Francji ważną książką pod napisem „*Le associations ouvrières en Angleterre*” (Trades Unions).

Potrzeby i dążności klasy wyrobniczej podyktowały tę książkę królewskiemu wnukowi: skryte usiłowania emancypacji gminu, królewicz opisuje z niekłamaną sympatją... Nie jestże to jeden z dziwniejszych objawów tego ruchu powszechnego, który łamie i odrzuca pojęcia stare, jako z użyte narzędzia i wpycha Europę na nowe tory.

Spółeczność przechodzi przesilenie wzrostu i odrodzenia, przechodzi stacye, podczas których nabyta zasada się rozwija i wyczerpuje. Teraz jesteśmy w pełnym przesileniu wzrostu. Obrot cały wychodzi na korzyść klasy zbyt długo poświęcaniej téj, której istnienie poddane codzienniej wymianie usług za pieniężną zapłatę. Nie widząc jeszcze wyraźnie co stanowić będzie zmianę, czuć że ona się zbliża, bo wszystko do niej wiedzie: przeobrażenie świata politycznego, starcia ambicyi, nowe powiązanie

interesów, rozważa umysłów zdrowych i gorączka umysłów chorych, gwałtowna poządlliwość większości i wyjątkowe ale głębokie poczucie sprawiedliwości w sumieniu możnych. Dla obserwatora, rzecz widoczna że wszystkie interesa związane teraz z kwestyą szczytową, kwestyą postępu na korzyść klasy, na której bezpośrednio ciąży brzemię pracy.

Wyraz *Stowarzyszenie*, od lat trzydziestu brzmi ustawicznie w polityce: demokracja stosuje go do rozmaitych kombinacji; książka o której mowa, bada wyjątkownie *Trades-Unions*. Tak zowią w Anglii stowarzyszenia wyrobników związane celem *wzajemnej pomocy*, a mające przeciwważyć czynność kapitalistów-przedsiębiorców świadomością i czynnością zbiorową robotników tegoż samego rzemiosła. Dotąd była to siła straszna i tajemnicza, uchwalająca prawa w ciemności i ztamtąd wydająca wyroki śmierci na nieposłusznych.

We wrześniu 1866 roku, fabryka pewnego nożownika w mieście Sheffield, została wysadzona w powietrze. Rodzina cudem tylko unikła śmierci, ale całe mienie przepadło. Znalezione w piwnicy resztki baryłki prochu z zetlonym knotem. Miasto odgadło sprawców tej zbrodni, ale nikt nieśmiało wyrzec słowa.

Sheffield jest jednem z ognisk przemysłu, gdzie podlegana nędzą myśl połączenia rzemiosł, najdawniej się zrodziła w ciemności towarzystw tajnych. Barbarzyńskie tradycje pierwotne, żyją tam dotąd. Owóż, wiedziano że nieszczęśliwy nożownik, ofiara wybuchu, chciał trzymać swoją fabrykę w zupełnej niezawisłości; przypomniano sobie rozmaite zamachy nie ukarane, między innymi, niejakiego Linley'a, który dla tego że się upierał trzymać szczęściu terminatorów w brew postanowieniu komitetu tajnego, został zastrzelony z wiatrówki przy obiedzie.

Wiele scen podobnych zdarzyło się w innych rękodzielniach. Zbrodniom tym grozy to dodawało, że winnych uparte osłaniało milczenie. Nie można było w całym mieście Sheffield znaleźć jednego świadka: nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

Ponieważ dobro społeczne wymagało wykrycia prawdy, użyto wyjątkowego sposobu: Parlament osobnym aktem zagwarantował zupełne bezpieczeństwo tym którzy oświecą sprawiedliwość, chociażby sami byli winni, ale było dodane, że jeżeli światło przyjdzie z innej strony, winni będą surowo ukarani.

Obawiając się kary, karczmarz Broadhead sam się oskarżył jako podpalacz nożownika. Inni poszli za jego przykładem. Dowiedziano się, jak były dekretowane zemsty tajemnicze, kto je wykonywał i eo ich wykonanie kosztowało. Zbrodniarze mniemali naiwnie, iż są w prawie karania złych braci, że zresztą, nigdy nie nakazywali ich śmierci, tylko chcieli uczynić ich niezdolnymi do pracy: jeżeli którego zabito, to przez niezręczność.

Zeznania takie sprawiły w Anglii ogromne wrażenie; dotąd, po trzech latach, jeszcze tam nie zupełnie przeminęła trwoga. Nie zbrodnie dokonane w Sheffield straszły Wielką Brytanią, ale

widok miasta oniemiałego z przerażenia, miasta które utraciło zmysł obowiązku obywatelskiego. Czynność sprawiedliwości była spralیزowana przez potęgę tajemną, nie odpowiedzialną.

Jakkolwiek związek rzemieślniczy nieoskarżony przez nikogo, wyparł się wszelkiej solidarności ze zbrodniarzami, zeznanie Broadhead'a ugodziło związek śmiertelnie. Sam uznał potrzebę prawodawstwa jawnego, któreby go uwolniło od dzikiego ducha korporacyi. Reforma sięgająca serca społeczności, zasługiwała żeby ją przygotowano z pomocą śledztwa i głębokich studyów. Komisya królewska złożona z jedynastu członków, pracuje nad tém od początku zeszłego roku. Rozmaite interesa, doktryny i sympatyie dzielące zdania, są sprawiedliwie w tém gronie reprezentowane. Zestawiają świadectwa i dokumenta wszelkiego pochodzenia, a z ich sprzeczności wychodzi światło.

Sprawozdanie z czterdziestu ośmiu długich posiedzeń już dostarczyło przedmiotu na dziesięć grubych tomów *in folio*, zawierających odpowiedzi na dwadzieścia tysięcy pytań. Z tego to śledztwa już ogromnego, choć jeszcze nieskończonego, hrabia Paryża wyciągnął żywioł swojej książki. Daje to miarę jak zajmującą i ważną być musi.

Mało kto, nawet z energicznych obrońców sprawy robotników, zdaje sobie sprawę z postępu uczynionego na téj drodze od lat pięćdziesięciu. Przed półwiekiem w Anglii niedostateczność zapłaty uważano za stan normalny; uznano za rzecz słuszną żeby niedobór pracy ręcznej dokładać z kassy ubogich. Zwyczaj taki stawiał na równi pracujących, tę *najszlachetniejszą* część ludzkości z jej *najpodlejszą* częścią, z żebrakami. Ponieważ zboże było bardzo drogie, najszczerzy przyjaciele ludu, jak Morton Eden, przekładali wyrobnikom że chleb nie jest pożywieniem potrzebném. Wyrobnicy jedli po największej części zupeł z otrąb i sér napół z gliną.

W obec takiej nędzy, społeczność pozostawała bezwładną dla tego, że myśl oddziaływania nie dojrzała jeszcze w umysłach. Nędza jak epidemia grasująca pomiędzy wyrobnikami, przez ofiary była nawet przyjęta jako nieunikniony wyrok Opatrzności. Poziom wychowania ludowego był tak niski, że nie miano pojęcia o innym stanie rzeczy, i rezygnowano się na ten.

Czego nie dokonała inteligencya, czego uczucie chrześcijańskie nie wymogło, to głód przedsięwziął i dokonał. Po zawarciu pokoju 1815 roku, odrodzenie handlu na stałym lądzie rzuciło popłoch w spekulacyą angielską. Rozprężenie rękodzielni doprowadziło wyrobników do rozpacz. Zgłodniałe bandy zaczęły przebiegać kraj... rozbijano maszyny, grożono jawnie, broń nawet kuto po miasteczkach. Zdawało się że Anglia przepadnie w wojnie domowej.

W takich konwulsjach społecznych, Wielka Brytania żyła od 1819 do 1825 roku, w którym genialni ludzie stanu pociągnęli ją na drogę reform.

Prawa zgodnie z przesądami, były wtedy przeciwne koalicjom i zmwom (*gréves*), karano za nie surowo. Ponieważ prawo zabraniało zborów jawnych, były zbory tajemne. Dopiero w 1824 roku przyznano w Anglii urzędowo prawo radzenia o swoich interesach producentom, patronom i wyrobnikom. Wówczas tajemne towarzystwa przemieniły się w te komitety odporne, które się zowią dzisiaj *Trades-Unions*. Pochodzenie związków, tłumaczy istniejącą w nich jeszcze dziczynę, która, jak w Sheffield, popycha do gwałtu i zbrodni.

Trades-Unions znacznie złagodniały od 1855, epoki, której wolność polityczna i reforma ekonomiczna, owocując w pełni, rozpowszechniły w kraju dobry byt i usposobiły do zgody klasy niechętnie. *Połączenie Rzemiosł* jest dziś rodzajem sendykatu urządzanego swobodnie w łonie pewnych cechów, ku obronie wspólnych interesów i przeciwstawienia zbiorowej siły płatnych przeważnemu działaniu kapitałów. Jako towarzystwo wspólnej pomocy, *Trades-Unions* rozdaje zapomogi członkom chorym i grzebie ich swoim kosztem: daje im także fundusz na kupno narzędzi i na podróż, jeżeli mają zmienić miejsce pobytu.

Alo głównym zadaniem związku jest ulepszenie warunków pracy ręcznej; trzyma on poziom pracy jak najwyżej, stara się o pomniejszenie godzin roboty, złagodzenie przepisów pracowni, odwrócenie współzawodnictwa, ograniczenia liczby terminatorów. Sposób najskuteczniejszy ku temu, groźba zawieszenia pracy, kiedy właśnie kapitał jej potrzebuje.

Każde takie towarzystwo wzajemnej pomocy jest rządzone przez radę wykonawczą, obieraną corok przez tajemne głosowanie wszystkich członków. Każda ma prezesa, kassjera i sekretarza. Wszystkie stosunki z patronami załatwia ta rada. Na zebraniach ogólnych uchwalają podatki nadzwyczajne, w czasie zawieszenia pracy. Towarzystwa nie są miejscowe, ale rzemieślowe; zadaniem ich solidarnymi czynić robotników jednego cechu, a skoro grono już dość wielkie w jednym mieście, tworzyć jego *gałęź*, z osobnym biurem.

Przyjmują do związku na przedstawienie dwóch członków, po zaciągnięciu wiadomości co do zdolności i moralności kandydata. Ten musi złożyć opłatę od przyjęcia, która wedle wieku i rzemiosła, zmienia się, od 15 shillingów do czterech funtów szterlingów. Przyjęty, obowiązuje się z każdego tygodnia pracy złożyć do kassy pewną sumę, od 10 centimów do trzech franków. Dając tak znaczną kwotę do wspólnej kassy, robotnik angielski dowodzi jak wielką wagę przywiązuje do Związku Rzemiosł.

Tak zebrany fundusz tworzy dochód roczny dość znaczny: wszystkie razem Towarzystwa rzemieślowe Wielkiej Brytanii mają około 25 milionów franków rocznego dochodu. Połowa tego użyta na pomoce rozdawane rozmaitym tytułom stowarzyszonym; reszta się kapitalizuje i odkłada na bok, jako żołąd wojenny w razie zmywy. Są nawet takie towarzystwa, które nie dają

wcale pomocy w czasie pokoju, tylko w czasie walki. Największe i najmajętniejsze towarzystwo takie, mechaików, zrealizowało w tych ostatnich latach dochód 3,500,000 franków, a posiadało w rezerwie 2,175,000 franków umieszczonych na rozmaitych bankach.

Powyższy bilans daje pojęcie o tej nowej a wielkiej potędze. Ogromna ta summa przedstawia wprawdzie tylko 70 franków rezerwy na głowę... Smutno pomyśleć że jeden miesiąc zawieszenia roboty może połknąć takie zasoby.

Pracująca ludność angielska od lat czterdziestu czyniąc doświadczenia, wie teraz ile kosztują i co przynoszą tak zwane zmony, czyli odmówienie pracy. Robotnicy angielscy są pod tym względem zupełnie rozczarowani. Prawo *niepracowania* uważają oni teraz jako *wydawania wojny*. Używać go trzeba z wielką oględnością i tylko w ostatniej konieczności.

Hrabia Paryża twierdzi że Towarzystwa wzajemnej pomocy (*Trades-Unions*) mają tę niedogodność co wieczyste armie: łatwo wydają wojnę, bo się czują gotowe do walki. Niestety, niema zmony ani wojny, bez ciężkich ciosów zadanych wolnej woli ogółu. Wojna i zмова, ciągną za sobą poświęcenia często bezpłodne, i ubytek mienia który trzeba zapełnić nadmiarem pracy. Zaczawszy od sławnej zmony Prestońskiej w 1853 i 1854 roku, która kosztowała przeszło cztery miliony franków patronów, a sześć robotników, jako strata zapłaty, blisko zaś trzy miliony kassy rzemiosłowe, aż do tej drugiej zmony kowali w 1865 roku, która zostawiła dwanaście tysięcy robotników bez pracy przez pół roku, zmony w Anglii pochłonęły summy bajeczne." Doświadczenie nauczyło—pisze hrabia Paryża—, że nie trzeba przeciągać zmony dłużej nad sześć tygodni; jeżeli w końcu tego czasu robotnicy nie zwyciężyli, w dobrze zrozumianym interesie własnym, powinni ustąpić." Z tego wynika że kapitał górą! Kapitaliści mają rozmaite kombinacje do zyskania czasu, ale żołądek robotnika nie kredytuje.

Wiele rozmyślano nad temi rzecząmi w pracowniach angielskich. Po wielkim pochopie do wojen przemysłowych, nastąpiło tam uczucie takie jak w Europie do wojen międzynarodowych. Zamiast w nich widzieć środek podboju, znoszą je jako klęskę czasami nieuchronną.

Jest pomiędzy naczelnikami związków angielskich wielu ludzi światłych, którzy nie napróżno uczyli się ekonomii politycznej. Ci zanim wydadzą *ultimatum*, badają wszechstronnie warunki targu, żeby niebaczniem żądaniem nie wywołać przesilenia. Skoro zмова nieunikniona, starają się przeprowadzić ją łagodnie. To złagodzenie Towarzystw wzajemnej pomocy, wywrze dobry wpływ na prawo obecnie opracowywane.

Wedle ostatnich obrachunków *Trades-Unions* liczy 800,000 członków, na pięć milionów mężczyzn i dwa miliony kobiet pracujących w kopalniach i rękodzielniach. Dwa najliczniejsze To-

warzystwa takie, tworzą mechanicy i górnicy. Pierwsze liczy 34,000 członków, a gałęziami swemi Ameryki i Australii sięga.

Ostatecznie od początku tego wieku, dola wyrobników angielskich polepszyła się całkiem niespodziewanie. Zestawiwszy życie jakie wyrobnik wiódł przed pięćdziesięciu laty z tém, jakie dziś widzie, widzisz czarne i białe.

Z powodu przemiany prawa obierczego, w tych ostatnich czasach wyrobnicy angielscy złożyli parlamentowi dokumenta, z których wynika, że w dochodzie zbiorowym Królestwa Brytanicznego ocenionego na dwadzieścia jeden miliardów franków, część pracy płatnej stanowi znaczną część mienia narodowego. Skoro z tego powodu wywiązała się sprzeczka w parlamencie i po dziennikach, członek Towarzystwa statystyki londyńskiej pan Leon Levy, ogłosił rachunek, którego treść podajemy.

W Anglii jedenaście milionów ludzi żyje z pracy ręcznej. Całość ta rozkłada się tak: 6,850,000 robotników płci męskiej, których czwarta część użyta do uprawy roli; 2,780,000 kobiet, których szóstą część pracuje w polu. Po kategorii robotników rzemieślniczych, przychodzi służebność osobista, klasa składająca się ze 104,000 mężczyzn, i 126,000 kobiet.

Dochód zbiorowy tych jedenastu milionów płatnych ludzi, dochodzi wedle pana Levy, jedenaście miliardów franków, pochodzących jedynie z zapłaty pracy, nie licząc dochodu od summy, jaką te klasy mogły skapitalizować. Ten dodatek dochodu ma swoją wagę: pan Baines w parlamencie ocenił na 500 milionów funtów (półtrzydziestu miliardów franków) sumę, którą robotnicy angielscy skapitalizowali w meblach, ubiorach, narzędziach i summach złożonych na bankach lub w kassach oszczędności.

Dodać tu jednak trzeba, że podwyżka płacy nie wiele znaczy, bo jeżeli dochód płacy pracy w Wielkiej Brytanii przez lat czterdzieści zdublowany, to nie dowodzi żeby dola wyrobnika dwa razy lepszą być miała: powiększyła się ludność i życie zdrożało.

Hrabia Paryża zapytuje, czy poziom kondycji wyrobniczej we Francyi podniósł się w równej mierze jak w Anglii? i odpowiada że nie. Kontyngens pracy ręcznej w podziale dochodu zbiorowego, nie doszedł we Francyi rozmiarów któreby porównać można z angielskimi. Nadto drogość życia mniej się czuć dała angielskim niż francuzkim wyrobnikom, bo wolna wymiana w Anglii, zniósłszy oddawna monopole okrutne, zniżyła cenę zboża; a druga korzyść Anglików że nie mają cła.

W jakiej mierze *Trades-Unions* przyczyniły się do polepszenia losu wyrobników! Hrabia porównał związek rzemiosł do armii. Wojna dziś potępiona przez sumienie ludów; jednak nikt nie zaprzeczy że oddała w swoim czasie wielkie usługi postępowi ludzkości, i że jeszcze do niej czasem uciec się można. Toż samo *Trades-Unions*: oddały usługi, chociaż wiele złego narobiły.

Działanie ich było mianowicie skuteczne w przedmiocie pomniejszenia dni pracy, higieny, pracy kobiet i dzieci w rękodzielniach. Zmowy ich nie były dobroczynne.

Podwyższenie płacy robotników w Anglii, hrabia uważa za owoc reform konstytucyj narodowej. Wszystkie swobody są solidarne. Wielka reforma elektoralna 1832 otworzyła drogę innym; bez niej nie byłoby parlamentu niepodległego do tyła, że mógł kierować to ważne śledztwo które odkryło rany społeczne i zmusiło samolubów do zajęcia się cierpiącymi. Bez swobodnego parlamentu, przyjść nie mogli wielcy ministrowie uważni na pragnienia ogółu, umarzający pilnie dług publiczny i przemieniający system finansowy, żeby zapewnić ludowi dostatek i taniotę żywności. Bez prawa stowarzyszeń, związek rzemiosł nie mogąc pokazać się jawnie, byłby pozostał w stanie towarzystwa tajemnego kierowanego przez komitet, którego nie kontrolowane uczynki, najczęściej byłyby zgubne. Prawo zboru dozwoliło związkowi radzić i działać wspólnie. Dzienniki uwolnione od stempla, rozpowszechniły światło. Dzięki swobodzie, żywioły wychowawcze płyną źródłem do pracowni i fabryk, unoszą przesady, uprzedzenia, czynią miejsce postępowi. Krótko mówiąc, dzięki swobodzie, Anglia dzisiejsza daleko mniej podobna do Anglii przed czterdziestoletnią, niż dzisiejsza Francja do Francji przed 1789 r.

Śledztwo związków robotniczych nie skończone. Komisarze zdać jeszcze mają treść zebranych wiadomości, i swoje własne konkluzje. To będzie przedmiotem drugiego tomu pracy Hrabiego Paryża, która we Francji doznała jaknajlepszego przyjęcia.

Związek centralny sztuk pięknych zastosowanych do przemysłu, urządził na Polach Elizejskich trzecią z rzędu wystawę swoim kosztem i staraniem. Towarzystwo to pracuje wytrwale i skutecznie od lat dziesięciu nad uszlachetnianiem gustu narodowego. Działanie jego znać już w przemyśle francuzkim: sztuka coraz głębiej wnikając w przemysł, nie dozwala już prawie nikomu fabrykować rzeczy szpetnych. Najtańszy wyrób odznacza się wytwornością, która dawniej tylko drogim towarom była właściwą.

Epoki na które sztukmistrz powoływać się musi, albowiem nic nie umiałby gdyby się do nich nie odnosił, są epokami w których nie było zastosowania sztuki do przemysłu. Michała Anioła zajętego planem gmachu i rzeźbą kolosu, pewien szlachcic neapolitański zatrudnił raz dziwnym interesem: zażądał żeby mu ów mistrz dał rysunek do zrobienia guzika na kapelusz, bo wykradłszy damę znakomitą pragnął mieć na upięciu skrzydła kapeluszowego ryte *Porwanie Europy*. Michał Anioł wysłuchawszy przedstawienia, rzekł: „Słuszném jest ażebym rysunek taki zro-

bił, bo nie powinno mi to być obce, wszelako, mniemam że Benvenuto-Cellini wykonałby rzecz tę lepiej odemnie."

W historycznej anegdocie leży nietylko czysta prawda pojęcia jakie należy mieć o stosunku pomiędzy sztuką a industrią, ale jeszcze więcej, bo proporcya pod jaką pojęcie to jest zdrowo i sprawiedliwie widziane, rzecz nader ważna dzisiaj, gdyż nie było czasu w którymby więcej grzeszono przez niesłuszne prawd pojęcie, jak w czasie obecnym. Rozdwojenie interesu pracy i bezinteresowności żywota, używania dóbr ziemi i używania bogactw ducha, zaszczerpiło dualizm na polu życia i na wszelkiém inném polu. Dzisiejszego realizmu nie znały epoki twórcze i starożytni. Znali oni natomiast wielki cynizm, który jeszcze w porównaniu z realizmem dzisiejszym, ma coś świętego. „Iżesz jest letni, ni zimny ni gorący (mówi Apokaliptyk), tedy cię wyrzucę z ust prawdy."

Tak najprzód rozdwojona sztuka i industria, dawszy chwilowe biegłości specjalne, a po nich przesył, bo wyczerpnięcie, a po nim mechaniczne naśladownictwo, a po oném taniość pozorną, a po onęj nieunikniony szarlatanizm, zmuszona jest teraz przez parallelę szukać pojednania, i jeżeli nie odnosić się do źródeł, to rozmyślać nad odległością źródeł od dróg któreimi poszła.

Wystawy Związku sprzyjają niezmiernie temu płódnemu rozmyślaniu. Nie spekuluje on na ciekawości publicznej bynajmniej, troszczy się jedynie o podniesienie moralne widza, za którym idzie poczucie piękna. „*Ne songer pas à embellir l'homme sans le rendre meilleur.*" Ta zasada Lavatera zdaje się być de-wizą Związku centralnego sztuk zastosowanych do przemysłu.

W dzień otwarcia wystawy nie było w pałacu wcale publiczności płacącej. Zaproszono tylko ludzi intelligentnych, którzy w jakimś określonym pożytecznym celu chcą widzieć rzeczy nowe i nauczające. Dziennikarze paryzcy byli w wielkim komplecie; wystawcy, po największej części znakomici fabrykanci, pokazywali z komentarzami swoje utwory nie licznym ale dobranym gościom.

Cała ta piękna wystawa urządzona prywatném staraniem, dowodzi raz jeden więcej, że przemysł którego ona jest objawem nie potrzebuje organizatorów ani rządzców obcych tam, gdzie o jego własne interesa chodzi.

Wielka nawa pałacu Pól Elizejskich, który posługując ustawicznie czemu innemu, bywa oborą, stajnią, rajtżulą, targowiskiem, świątynią sztuki, oddany w tój chwili swojemu przeznaczeniu, jest aby raz pałacem przemysłu. Szklanny dach jego oświecił wewnątrz gmachu jak pracownią; muzyka rozgłośna, wesolą nutą zdaje się fetować powrót przemysłu do swojego domu; publiczność krążąc swobodnie wśród zieleni i kwiatów, któreimi ozdobione wystawy kupców paryzkich, albo siedząc wygodnie bez tłoku ni wrzawy w tym przybytku pracy pięknie kwitnącej i owocującej, nie żałuje wcale wystawy powszechnej Pól Marsowych,

owego oszałamiającego jarmarku, z którego nikt nie wyniósł nic prócz zmęczenia i bólu głowy, a którego licznych procesów komisya cesarska z 1867 roku, dotąd nie ukończyła.

Wystawy podpisane wielkimi nazwiskami paryzkiego przemysłu, jak Froment-Meurice, Oudry, Christophe, Tahan, Falize, Latry, najpierw bywają oglądane. Wyroby tych królów handlu wyrwują okrzyki podziwu, coraz to miłsze czyniąc niespodzianki. Spacer po wielkiej nawie, to podróż obfita w odkrycia po przez arcydzieła paryzkiego kunsztu. Dawniejsze wyroby postawiono przy nowych, żeby postęp przemysłu francuzkiego uwydatnić. Postęp widać ogromny: to cośmy za piękne uważali na wystawie przed dwoma laty, dziś za ledwie ładne się wydaje, tak siła twórcza rozwija się i dostojnieje we wszystkich gałęziach przemysłu francuzkiej stolicy.

Z wielkiej nawy okoloniej wystawami paryzkich fabrykantów, urządzonymi z tym niezrównanym smakiem jaki tu tylko widzieć można, monumentalne schody wiodą na pierwsze piętro, gdzie *wstecz* oglądna wystawa arcydzieł Wschodu. Na schodach wiążących Wschód z Zachodem, stoją posągi i wazony fantastyczne, które służą przechodniom za inicjacyą, zapowiadając obce narody i cywilizacye. Schody te, na których połowie pod baldachimem umieszczono wystawę Froment-Meurica, są ładną dekoracyą sali.

Taż sama droga wiodzie do galeryi, gdzie widzimy w zarodku przyszły przemysł francuzki. Wszystkie krajowe szkoły rysunku nadesłały prace dokonane przez najlepszych uczni stających do konkursu. Prace te zapełniają sale, które na wiosnę zajmowała Wystawa Sztuk pięknych. Mając na uwadze źródło życia i bogactw jakie ztąd na kraj spłyną, publiczność francuzka najpierw zwiedza galerye zapełnione okazami przyszłych talentów. Błyszcza już one wyraźnie tu i owdzie w tych próbach, dzięki Związkowi który się zajął czynnie kształceniem rysowników.

Już to lat 10 jak Związek centralny walczy ze starą rutyną, popieraną przez zdolniejszych professorów. Uczniowie znacznie postąpili, postąpiły także metody nauczania. Sławne głowy Rzymian w hełmach tradycyjalnych, ustąpiły miejsca dziełom doskonałym sztuki starożytnej. Toż samo ozdoby. Głowa Romulusa, na której tak długo spoczywała nadzieja dawnych nauczycieli rysunku, trwała dłużej niż nie jedno cesarstwo, za ledwie przemoc Związku i grożące niebezpieczeństwa zdołały tę dostojną głowę wrzucić do koszyka.

Nie przestając na wykładzie doktryn artystyczno-przemysłowych, Związek daje liczne zachęty: wyznacza konkursy dla uczniów i dla professorów przyznając znaczne nagrody pieniężne, które laureaci mają używać na korzystne podróże. Program Związku bardzo rozumny, warto go poznać szczegółowo.

Muzeum wschodnie jest bardzo ciekawe. Żaden opis, żadna podróż nie może dać więcej uroczego i prawdziwszego pojęcia Wschodu, jak ten zbiór wystawiony w pałacu przemysłowym a złożony z galeryi prywatnych francuzkich i zagranicznych. Czy go zwiedzisz jak uczony, artysta, jak historyk, literat, czy tylko jak prostak ciekawy, poczujesz tu życie, cały charakter tych dziwnych ludów tak różnych duchem od Europejczyków; ujrzyś ich oświecą dawną i nowszą, ich ubiory, bronic, księgi, ilustracye, zastawy stołowe z porcelany tak drogiej, że tylko na stołach monarszych staje, kiedy orszaki jedzą na złocie lub srebrze, podziwiasz wazony wszelkiego kształtu, w których artysta uwielbia sztukę a uczony uważa jako karty historii religijnej i świeckiej, mówiące o bogach i bohaterach. W wystawionych tu przedmiotach jaśniej wschód tęczy, ta ulubiona kraina słońca, obok której inne mrocznemi się wydają: jestto ilustracya *Tysiaca Nocy*, mogąca dać najprozaiczniejszym pojęcie owych obrazów wymarzonych.

Z muzeum Wschodu szerokie podwoje wiodą do sali, gdzie wystawiono *Historję sztzycharstwa*. Zbiór sztzycharów z którego można było ułożyć dzieje zupełne tej ważnej gałęzi sztuki pięknej, należy do pana Dutuile, mieszczanina z Rouen.

Salon kwadratowy na którego ścianach trzema rzędami rozłożony pochód sztuki sztzycharskiej, znawcy oglądają od początku: początkiem tym, *nielle*.

Jak wszystko prawie, tak sztzych został wynaleziony przypadkiem. Rytowaną blaszkę metalową, ktoś porzucił na stole praczek, pokrytym mokrém płótnem. Leżała tam czas jakiś, a skoro ją zdjęto, zauważono odbicie rysunku na płótnie. Niel zamiast płótna podłożył papier i zrobił piérwszy sztzych, ztąd *nielle*.

Po maleńkich niellach, następują ryciny malarza Finiguerra, który piérwszy studyował sztzycharstwo z wiedzą. Po nim przyszedł Marek Antoniusz, spółczesny Rafaela i Michała Anioła. Zbiór sztzycharów tego artysty, same reprodukcye arcydzieł wszelkich mistrzów odrodzenia, zajmuje znaczną przestrzeń, i jest zapewne najświetniejszym punktem dziejów sztzycharstwa. *Kleopatra* jego, nieźrównana! wizerunek *Rafaela*, mówiący!

W dalszym ciągu uderzył nas *męczennik Inkwizycyi*, przerażający sztzych Goya, który już w malarstwie umiē przeszywać werwą. Cóż dopiéro jeżeli ostrymi sztrychami myśl swoją tendencyjną uwydatni!... Truchlć trzeba, płakać, lub śmiać się sztańskim śmiechem nad ludzką tragi-komedją.

Dalēj Rembrandt roztacza swoje splendory. Rembrandt, to Szekspir ryłca. Taż sama w obydwóch głębia, dziwaczność, taż sama światło-ciemność. Rembrandta arcydzieło znane pod nazwą *ryciny stu florenów*, zajmuje środek jego wystawy. Cud to prawdziwy swego rodzaju. Rozmiar nie większy nad pół arkusza papieru: w pośrodku stoi Chrystus, a około niego chorzy których uzdrawia. Grupa złożona z kilkudziesięciu figur, z których każda

ma swoją odrębną indywidualność wyrażoną w postawie i obliczu, realność najrzeczywistsza, w której jak w powłoce szklanej widzisz dusze. Obrazek ten maleńki, czarny, nieskończony; właściciel obecny pan Dutuile zapłacił za niego *czterdzieści tysięcy franków*. Zdaniem naszym kupił bardzo tanio.

Obok tego brylantu dzieł Rembrandta, umieszczono cztery inne sztychy w tejże ramie: *Lektor, Malarz Crabet, Nagrodziciel, i portret Rembrandta*. Obok, w osobnych ramach, widzimy jego inne przedziwności: *Ukrzyżowanie, Ecce Homo* przedstawiony ludowi przez Piłata, *Anioł Pasterzom mówił, Święty na puszczy* i inne, mniejsze kompozycje wyjęte ze Starego i Nowego Testamentu.

Po Rembrandcie, Ruysdael, po historii, natura. Szeregi krajobrazów przypominających nadwiślańskie okolice, dają miły wypoczynek duchowi natężonemu i ośnionemu wyobrażeniem tyłu szczytności, świętości, zbrodni i rozpaczy. Z Ruysdaelem, wśród cieniu drzew, zarośli strumyków i wodospadów, dochodzisz do myśliciela Dürrera, u którego na wstępie siedzi *Melencolia*. Wabi cię ten sztych tajemniczy, w którym cały duch Dürrera skupiony, uczy jak żyć dobrze w złych warunkach:

... „Brodę na dłoni oparłszy kielichu
By oko suche błyszczowało z pod wianka
A lzy ukradkiem spływały pocichu:
Dürrera myśl to.... stokroć, nad mogiłą!...
Ale to jeszcze giermańska koohanka,
Jeszcze nie smutek ów, co gada z siłą
Sam na sam, rymem gardzący i prozą,
Marmurem wyższy od nich: *Pensieroso!*”

Od Dürrera przejście do sztycharzy francuzkich. Nanteuil zabiera prawie całą jedną ścianę, przy której tłok, bo Francuzi więksi patryoci niż artyści, do swoich sztukmistrzów się garną i na ich uwielbienie, kosztem prawdy, szafują swoje krasomóstwo. My przeciwnie: po Rembrandcie, Ruysdaelu i Dürrerze nie mamy o Nanteuil'u nic do powiedzenia, to chyba jedno że ładnie wysztychował wizerunek Pousin'a. Oblicze malarza myśliciela wydało nam się dyamentem francuzkiego sztycharstwa, któremu zresztą zalet nie ujmujemy.

Przeglądem wystawy *Historji sztzycharstwa* kończymy dziś naszą przechadzkę w Pałacu Przemysłowym. Expozycja otwarta 11 sierpnia, trwać będzie do pierwszego listopada, będziemy więc mieli czas do niej powrócić.

Odśloniono marmurowe rzeźby na gmachu Wielkiej Opery. Są one kolosalne i bardzo bogate, a wyszły z pracowni najświetniejszych dziś rzeźbiarzy francuzkich. Malarze obrazów histo-

rycznych mogą narzekać na ciężkie czasy, ale snycerze muszą przyznać że lepszych nie mieli. W Paryżu przynajmniej nie zbywa im na obstalunkach ani sposobności pokazania talentu. We wszystkich nowych budynkach architekci zostawiają szerokie miejsce rzeźbie. Pan Duc w nowym *Pałacu Sprawiedliwości* za który przyznano mu stutysięczną nagrodę, pan Lefuel w robotach około Luvru, pan Becilly w *Trybunale Handlowym*, pan Ballu w kościołach Św. Trójcy i Św. Ambrożego; Baltard w kościele Ś. Augustyna, mnóstwo rzeźby użyli. Garnier nasadził nią gmach Nowej Opery, ale rzecz słuszna, że ozdoby snycerskie pokrywają budynek będący jedną z najbogatszych budowli stolicy.

Cztery wielkie grupy zdobiące front Opery, zajmują żywo Paryżanów. Od rana do nocy stoją tam ludzie i oceniają po swojemu te nowe dzieła sztuki.

Zaczynając od lewej strony gmachu, pierwsza grupa pana Jouffroy przedstawia *Poezyą Liryczną*; druga, dłuta pana Guittaume, *Muzykę*; trzecia *Taniec* przez pana Carpeaux; czwarta pana Perraud, tego który otrzymał medal honorowy na ostatniej wystawie Sztuk pięknych, wyobraża *Dramat liryczny*. Kompozycje składają się z kilku figur kolosalnych wystających pomiędzy arkadami frontowymi, wiodącemi w głąb gmachu. Figury z białego karrajskiego marmuru, dotykają ściany skrzydłami. Pierwsza, druga i czwarta grupa są klasycznego stylu; trzecia, *Taniec* pana Carpeaux; pojęty w stylu malowniczym rzeźby naturalistycznej XVII wieku. Mistrzami w tym rodzaju, byli: w Rzymie Algarde i Bernin; w Wenecyi Victoria i Campagna, we Florencyi Puget i Coustou.

Zestawienie dwóch stylów jest dla obu szkodliwe: zamiast się uwydatniać wzajemnie, krytykują siebie zbyt szkodliwą sprzecznością. Surowe dzieła panów Perraud, Guillaume i Jouffroy rozwiozłemi czynią figury pana Carpeaux, a nazbyt ruchliwe dzieło romantycznego rzeźbiarza, lodem ścina sąsiedzkie utwory. Jednych ideał wydaje się zbyt sztywny, naturalizm drugiego rozpusztą trąci.

Trzej klasyczni rzeźbiarze dostrojeni do całości, nie wychodzą z ram, nie przecinają linii architektonicznych. Carpeaux z nich się wyzwolił wybiegając poza szerokość swojej ściany. Wyskakująca grupa, chudsza jeszcze czyni sąsiadkę *Dramę Liryczną*, którą, jako najmniej silnie zbudowaną, nie potrzebuje umieszczono na prawém skrzydle, gdzie każda figura szczuplejszą się wydaje. Grecy tak to czuli, że skrajne kolumny zwykle robili nieco grubsze, żeby nie wydawały się cieńszymi w wielkiej massie otaczającego powietrza.

Wskazawszy wady uderzające na pierwszy rzut oka, obejrzymy bliżej te cztery grupy.

Pierwsza, *Poezya Liryczna* nic do życzenia nie pozostawia. Poezya skrzydlata z podniesioniem ku niebu obliczem, pięknie udrapowana, stoi pomiędzy dwiema mniejszemi figurami które ją stroją w wawrzyny.

Muzyka pana Guillaume, jest widocznie dziełem artysty, który wiele się zastanawiał nad swoją sztuką, zna jęj wszystkie warunki i tajemnice. Kompozytorem jest całkowicie architektoniczną, właściwego rozwoju i właściwego ożywienia. Apollo stoi pomiędzy dwiema muzami: jedna dmucha w podwojny flet, druga gra na skrzypcach pierwotnej formy, patrząc na najwyższego rozdawcę natchnień harmonii; on podniesioną ręką i pełną piersią zdaje się prowadzić orkiestrę powszechną, której jest bogiem. U nóg tych trzech figur, dwoje siedzących dzieci na brzegu piedestału, ładnie zakończają całość. Wszystko to pojęte szlachetnie, prowadzone uczucie, wykonane śmiało, może zbyt chłodno.

Perraud nie jest dekoratorem. to snycerz w wysokim znaczeniu tego słowa: mniej dobrze on grupuje niż pojedyncze wykonywa postacie. W tej jego kompozycji znać charakter wyłączny jego zdolności. Przedstawił dramat w postaci kobiety wyjątkowo wzruszonej, pięknej Eumenidy z rozpostartymi skrzydłami. Odziana lacedemońską tuniką, z jedną odsłoniętą nogą; w podniesionych rękach, trzyma topór i pochodnię, to jest ogień i żelazo, nogę postawiła na piersiach obalonej osoby, której tors tylko widać. Obok, dwie mniejsze postaci: mężczyzna i kobieta, które nie wydają się brać udziału w akcji. Utwór pana Perraud jest czysto klasyczny, skulpturalny, bez domieszania malowniczości; ekspresja tu poddana piękności, a robota wykończona. Jeżeli na pierwszy rzut oka grupa wydaje się nieco sztywne, to jedynie przez porównanie z tym *Tancerem* który obok wyskakuje.

Tu, zbyt wiele ruchu, zbyt wiele życia. Rzekłbyś że Carpeaux chciał figla spłatać kolegom: wiedząc iż są wstrzemięźliwi i poważni, nazłość im zerwał z prawami sztuki swojej i pokłócił się z architekturą. Cały ogień swój użył do wyrażenia upojenia duszy, sensualności, szaleństwa, zabawy. Nagie jego tancerki skaczą zapamiętałe, jak wyuzdane bahantki Clodion'a, lub kurtyzanki Boucher'a, co sprawia, że wyglądają raczej rozebrane a nie nagie.

Owóż, grupa ta najwięcej podoba się powszechności. Jest zawsze coś co dziwi, co uwodzi publiczność w rzeźbie, która zdaje się być robiona pędzlem nie dłutem. Ale rzadko bywa żeby to wtargnięcie snycerza na pole malarza, nie było sztuce fatalne. Co wolno malarzowi, nie wolno snycerzowi. Podziwiamy mięso Rubensa, bo czerwone, słońcem przesiąknięte; ale gdyby Rubens był tak dłuto prowadził jak pędzel, byłby powszedni, nieznosny. Rzeźba nie na to, żeby oddawała ciało chorowite, gorące, a to dla tego że oddanie natury indywidualnej, drgającej, przeczy idei nieśmiertelności boskiej, która do marmuru się przywiązuje. Rzeźbiarz może zapewne wyrazić rozkoszność kształtów, ale nie rozkoszność ciała. Ta wyraża to co ma zginąć, a rzeźby zadaniem budzić w nas poczucie wieczności. Bogowie Fidyasza są żywi, ale nie gorączkowi, wyobrażają zdrowie mieszkańców Olympu, którzy są podobni ale wyżsi od natury. Nie żyją już oni życiem organicznym, ale życiem duszy: ciało ich stwardło na zawsze w wieczystości marmuru.

Myli się więc, kto mniema że niemożna ożywić ciała, tylko czyniąc je drgającym. Wielcy mistrze dowiedli że tak być nie powinno.

Rzeźbiarz chwytając naturę na gorącym uczynku, skazuje się koniecznie na powszedniość. Ta zaś nie jest w harmonii z cechą pomnika o którego ozdobę chodzi. Opera nie jest Mabilem, to scena szlachetnego tańca, Taglioni, Ellsler, i Cerito, pewnoby się nie poznały w tém rozkiętnaném kole: Carpeaux źle zużytkował tym razem swój świetny talent. Powiedzieli mu to otwarci znawcy. Pan Blanc zwrócił jego uwagę, że konwencye rządzące rzeźbą nie są przepisami dowolnymi, godnymi wzgardy. Należą one do rzędu rzeczy wzniosłych, te konwencye podnoszące rzeźbę po nad powszednie prawdy. Jeżeli stawiamy posąg na piedestale, to na to żeby jego wysokość podwoić i zabronić nam poufnego doń zbliżenia. Jeżeli rzeźba jest jednostronna, to dlatego żeby zbyt nie była podobną do rzeczywistości, żeby była zarazem boską i dotykalaną, stałą i idealną. A jeżeli te konwencye są święte, to dlatego, że nam ukazują wyobrażenie człowieka nieskończenie dostojniejsze w marmurze niż w naturze, bo rzeczywistość jego jest mamidłem, wymowa milcząca, ruch nieruchomy, a niebędąc już żywym, jest nieśmiertelnym.

Wydawca Hachette przedsięwziął publikacją, która zaszczyt przyniesie erudycyi francuzkiej. Zamierzył on wydać zbiór edycyi klasyków greckich i łacińskich, opatrzonych obszernymi objaśnieniami i komentarzami krytycznemi przez najnowszych filologów. Homer, Sofokles, siedm tragedyj Euripidesa, Kornelius Nepos, już wyszły. *Wirgiliusz* komentowany przez pana Benoist, rozpoczął seryą.

Wirgilego wydanie jest wzorem skrupulatności: pan Benoist filtrował text po kropelce oczyszczając ze wszelkich uszkodzeń, które się doń wcisnęły. Każde tu słowo odważone na ważkach filologii tegoczesnej, które teraz dorównywują dokładnym narzędziom nauk przyrodzonych. Noty historyczne i mytologiczne, gramatyczne i geograficzne idą za każdym wierszem i odpowiadają na wszelkie wątpliwości. Druk okazały, jest niby widzialną pięknoscią słowa. Jestto najpoprawniejszy pomnik jaki we Francyi wzniesiono geniuszowi Wirgiliusza.

Zaprawdę, niema księgi godniejszej tak wielkiej troskliwości. Wirgili, jak Homer, Sofokles, Horacy, jak Dant, jest jednym z brewiarzy ludzkości. Dopóki cześć piękna trwać będzie na ziemi, ludzie czytać będą tego przeczystego poetę. „Ratujcie mojego Kupidyna!” krzyknął Praxiteles zawiadomiony o pożarze swojej pracowni; gdyby biblioteka rzymska płonęła, wszyscyby wołali: ratujcie Wirgilego! Inni są mistrzami, filozofami, myślicielami, on jest bogiem domowym, którego się kocha i szanuje, w uwielbieniu

dla niego, miłość góruje. Dowodem, że studenci którym zwykle pedagoga obrzydzą autorów starożytnych, Wirgiliusza nienawidzić nie mogą, *Eglogi* w świat starożytny najmiliej wprowadzają. Pasterskie fletnie budzą w chłopięciu poezją, w krajobrazie Mantui i Sabiny, spaceruje jak w rodzicielskim ogrodzie; zachwycony słucha owych bogobojnych i melancholicznych pasterzy, kładzie się z Tytrem pod cieniem wiązu, a wiersze poety jak pszczoły Platona, brzęczą mu na ustach.

Wyszedłszy ze szkół, młodzieniec porwany nowym życiem, zapomina starożytnych książek... widzi w nich gryzmoły, które tak długo trzymały go w niewoli... otrząsa ich prochy na progu przekłętą więzienia... z radością by je w ogień rzucił, gdyby pozwolono. Ale później, jeżeli zachował literackie gusła, poczucie piękna, iskrę świętą, z rozczuleniem do Wirgilego powraca.

Najlepszą chwilą spotkania nanowo tego poety, jest ta w której ukazał się Dantemu „*Nel mezzo del camin di nostra vita*” kiedy człowiek przechodzi przez ciemny las rzeczy i ludzi. Wtedy dostojna postać uwieczniona nieśmiertelnym wawrzynem, wychodzi na przeciw ciebie z głębi wieków, odmłodzona i transfigurowana długą nieobecnością: rzekłbyś anioł starożytności. Wtedy zbliżając się doń po długich latach rozstania, wołasz jak woła Dante, kiedy go spotkał na progu piekła:

„Hor se'tu quel Virgilio e quella fonte
 Che spande di parlar si largo fiume?
 Risposi lui con vergognosa fronte.
 O degli altri poeti onore e lume!
 Vaghiami'l lungo studio e'l grande Amore
 Che m'han fatto cercar lo tu volume.
 Tu se' lo mio maestro e'l mio autore!”

(„Ach! odrzekł mu z zarumienionem czołem: tyż jest owym Wirgiliuszem, owym źródłem które wylewa szeroką rzekę poezji? O! zaszczyćcie i świetle innych poetów, niech twa długa nauka i wielka miłość która mi księgi twój szukać kazą, wstawi się za mną do ciebie. Ty jesteś moim mistrzem i moim autorem).

Przed kilką laty, będąc we Włoszech, zbliżaliśmy się do Mantui jedynie zajęci malarstwem: Juliusz Rzymianin był nam na myśli, nie Wirgiliusz! Ale wjechawszy w Kampanię otaczającą miasto, cud jakiś stał się z nami: wszystkie pieśni Wirgilego zagrały w naszej pamięci... Łąki zagarnięte pierwszym cieniem wieczora, zmrok który jeszcze złocił niebo, nieruchome jezioro odbijające jego rumieniec, każde drzewo, każdy strumyk, każdy lot ptaka w wierzbowych szpalerach, przypominał nam jakiś wiersz nieśmiertelny, którego muzykę wszystkie języki ludzkie powtórzyły. Duch Wirgilego unosił się nad krajobrazem... zda-

wało nam się że stąpamy po Polach Elizejskich, gdzie jego piękną cień króluje. Kroat dążący do cytadeli z porcelanową fajką w ustach zbudził nas ze snu... Barbarzyńca czarną plamę czynił w tym obrazie..

Od Wirgilego do Hesioda i Teokryta, przejście łatwe. Z pochyłości gór Hymetu spada źródło oblewające *Eglogi*; z tychto uli wyleciały pszczoły brzęczące w *Georgikach*. Leconte de Lisle wydał nowy przekład tych dwóch poetów; dodał do nich Tyrteusza *Hymny orficzne i Ody anakreontyczne*. Tom ten jest dalszym ciągiem doskonałego przekładu Homera, który pan de Lisle ogłosił przed dwoma laty. Na przyszły rok obiecuje przekład Eschylesa tragedyi, a ziomkowie dopominają się od niego jeszcze Sofoklesa, Eurypidesa i Arystofanesa.

Pan Leconte nie jest zwykłym tłumaczem: przyznają mu tu ogólnie wielką zdolność do przekładów starożytnych, mianowicie Greków; zdaniem akademii, tłumaczy on piękności pierwotne z pokrewieństwem ducha i wyobraźni, jakiego nie mieli jego poprzednicy. Przekłady Leconta są niby gipsowe odciski zdjęte z oryginalnych marmurów. Przed nim Homer jakby nie istniał po francuzku. Przekłady pp. Bitaubé, Dugas-Montbel i Baresté, to ciągła parafraza oszpecona fałszywą elegancją, gdzie ani wielkości linii ani piękności szczegółów niema. Z przekładami dawniej szkoły francuzkiej, można było przejść od *Eneidy* do *Iliady*, od *Sielanek* Teokryta do *Bukolik* Wirgilego, nie spostrzegając wcale zmiany światów. Podobne były do owych starych dekoracyj tragicznych teatru francuzkiego, przedstawiających nieokreślone kolumnady, pomiędzy któremi można było grać zarówno *Fedre*, *Cynne*, *Atalię*, *Semiramis*, *Bajazeta* i *Chińskię Sierotę*.

Le Conte de Lisle pierwszy dał Francuzom prawdziwego starożytnego Homera. Tłumaczenie to jest objawieniem dla tych co nie mogą czytać tekstu greckiego. Ci Homera pierwszy raz widzą w jego majestatycznej prostocie, jego wielkim spokojem przyrywającym nagłymi ruchy, ci pierwszy raz kontemplują jego ideał naturalny, jego purpurowe światło i wypukłości posagowe, które wystają na opowiadaniu pogodnym jak lazur greckiego nieba; ci pierwszy raz podziwiają te wyrażenia i nazwy które jednym słowem malują ziemię, niebo i morze: pierwszy raz oglądają tysiące szczegółów, którymi jego dwa poematy napełnione a które pseudo-klasyczne podmalowanie zasłoniło. Różnobarwne bogi, paradne stroje, oprawy broni, ustrój wozów, sylwetki okrętów, żłobienie trójnogów i czasz, występują w pełni, przez co *Iliada* i *Odyssea*, ukazują się czém są w rzeczywistości: nie nagiemi pomnikami, ale wielkimi świątyniami nakrapianemi possem i lazurem, nasadzane kością słoniową i złotem, które jaśnieje wśród marmuru.

Atoli, to tłumaczenie nowe nie jest bez wady. Dosłowność jego czasami zbyt niewolnicza, posunięta niemal do rabińskiego przesądu. Orientaliści francuzcy mówią, że de Lisle często po gre-

cku mówi francuzkim językiem. Zarzucają mu także iż *najeża* styl homeryczny. W niektórych miejscach powłóczy *Iliadę* barbarzyńską twardością: niektóre bitwy nabrały dzikości pieśni *Niebelungów*. Złota struna wielkiej liry Hellenów, wydaje czasami żelazne brzmienia pod ręką tłumacza... Jiońska rzeka czasami bryły lodu toczy jako północne morze. Ale te drobne usterki znikają w pięknej całości. Dzięki panu de Lisle, Homer przeniesiony nareszcie w język francuzki.

Nowy tom przekładu autorów starożytnych teraz wydany przez pana de Lisle, ma też same zalety: starzy poeci zupełnie nowymi się wydają czytelnikom nie znającym ich osobiście. Hezioda złego przekładu dotąd nie było można czytać po francuzku. W tym przekładzie odzyskał patryarchalną postać i głos potężny, szorstkość swoją i mądrość polnej wyroczeni. Jestto dąb złotego wieku, sączący miód i oliwę.

Teokryt się jawi w swój pasterskiej nagości, udatny i chyży, namiętny a łagodny. Tyrteusz zwrócony pierwotnej potędze przypomina waleczników z płaskorzeźb Eginy, wyżłobionych prosto a dokładnie, co to śmiejąc się rażą i śmiejąc się umierają.

Hymny Orjeczne przynoszą echo wtajemniczeń pierwotnych, pomimo swój względnej nowoczesności cechy podrobienia. Autentyczność *Ód Anakreonta*, także nie dowiedziona: jest mnóstwo naśladowców tego rodzaju, ale zdaje się rzeczą pewną, że Anakreont prawdziwy, szczytny piewca jońskich rozkoszy, nie doszedł do nas. Wielka jego czara bachiczna utonęła, jak puhar króla Thulé, w morzu wieków. Zaledwie kilka okrucich zostało rozpoznalnych po zczernieniu złota i wolnym zarysie ozdób.

W braku oryginału, de Lisle oddał nadobnie kopie podpisane jego imieniem. Chociaż mieszane, ody Anakreonta są jeszcze ozdobą *Anthologii*. Z urywków poetycznych, najwyborniejsze te fragmenta subtelnie skupione: miniatury sielanek, skurcze epopci, igraszki dowcipu, elegie o jedném westchnieniu, tańce dziewic o kilku skokach, grupy erotyczne, przedziwne jak małe brzozy neapolitańskiego muzeum; sceny festynów lub winobrania, któreby można na pierścionkowej pieczęcie umieścić. Jeżeli to nie jest *piękno*, to przynajmniej *nadobność* w kwiecie.

Francuzi szczerze wdzięczni są poecie, który wolne chwile tak szlachetnej pracy poświęca. Przekłady jego, w których starożytna wielkość odżywa, są dobrodziejstwem dla umysłów wyższych, a imię tłumacza tak głęboko wyryte na starożytnym marmurze, nie przepadnie.

Wyszła u Didot'a użyteczna książka pod tytułem „*Recueil de fragment: historiques sur les derniers Valois (1547 do 1580)*” poprzedzone przedmową wydawcy, Armunda du Gord.

Fragmenta z których ten zbiór złożony, nie są ani oryginalne, ani nieznanne, ale wyjęte po prostu z pamiętników, a czasami

z pisarzy społecznych. Jestto kompilacja, sposób pisania będący teraz w użyciu, na Zachodzie przeżywającym stare dzieje a zajętym praktycznie fizycznym przetwarzaniem globu. Co do historii, chodzi o to, żeby ją poznać jak najprędzej, w jak najkrótszém a najwierniejszém streszczeniu: na studyowanie minionych dziejów, nie ma czasu.

Znając to usposobienie ogółu, pan Gord chciał poznać powszeczność z historią francuską za pomocą wyciągów z piśmiennictwa wieku, którego produkcya literacka zajmuje tysiące tomów dziś nieczytanych wcale. Wybierał tedy rzeczy najwyrazistsze: albo jaki jaskrawy ustęp historii, albo opowiadanie dające poznać obyczaje ówczesne, usiłował uczyć i bawić zarazem, który to cel osiągnął.

Panowanie Henryka IIgo, Franciszka IIgo, Karola IXgo i Henryka IIIgo, które pan Gord przebiega, stanowią najwięcej zajmujące epoki francuskich dziejów, gdyż były to czasy najburzliwsze, najpłodniejsze w zbrodnię, wojny, w wielkie rozlewy krwi. Czerwone widmo rzezi św. Bartłomieja większe jęj wytoczyło strugi niż terroryzm rewolucyjny; w imię Chrystusa ludzie mordują siebie społem, rywalizują w nienawiści i mordzie.

Zbrodnie i zabójstwa są na każdój kartce książki pana Gord. Ztąd zbyt wielka monotonia. Wolelibyśmy żeby autor był wziął cały szereg Walezyuszów; tym sposobem, panowanie Franciszka I byłoby weszło w jego kadry i dostarczyło, czy to przez wojnę włoską, czy obraz ruchu artystycznego i literackiego pierwszej połowy XVI stulecia, kilka kart bohaterских lub spokojnych, pozwalających wytchnąć po scenach cmentarnych, zapełniających drugą połowę owego wieku. Blask świetnego odrodzenia geniusza starożytności, następujący po czarnych wiekach średnich, błyskawiczność sztuk i literatury za czasów Franciszka Igo, jest poetyczną aureolą domu Walezyuszów, samego przez się nie bardzo godnego sympatyj i szacunku: nawet Franciszek I, gwiazda swojego rodu, ciemnił druk i palił heretyków.

Wyjawszy tego pominięcia, zbiór pana Gord dobrze ułożony: karty to wydarte z wielkiej historii która zawsze będzie zajmująca jako walka wolności z ciemnictwem, wolnego sumienia z narzuconą wiarą. Ta walka tam się poczęła, a raczej rozpoczęła znowu, we krwi i wojnie. Nauczające pod tym względem, sprzyśiężenia d'Amboise, po którym tyle nastąpiło egzekucyj; kilka scen z rzezi św. Bartłomieja, opowiedzianych przez Małgorzatę de Navarre; podwójne morderstwo Guizów, tak zimno obmyślane i podle spełnione, że następujące po niem zamordowanie Henryka III wydaje się tylko sprawiedliwą karą. Wszystko to relacje czarne ale zajmujące.

— Pan Roulliet wydał tom pod tytułem „*La Palestine au point de vue international.*” Sprawa wschodnia nie może być obojętną Europie, a coraz więcej ją obchodzi, bo solidarność interesów rozmaitych narodów coraz większa. Książka pana Roulliet zna-

lazła mnóstwo czytelników. Autor streszcza rozmaite żywioły rozsiane tu i owdzie, a mogące się przyczynić do rozwiązania tej ważnej sprawy. Klimat, hydrografia, góry, geologia, mineralogia, roślinność, fauna, ludność, nauka, religia, obyczaje, władza polityczna, przemysł, handel, historia, wszystko przechodzi metodycznie. W końcu konkluzya, że Palestyna nie jest wcale krajem zapadłym, ale przeciwnie: przedstawia świetną przeszłość, bogatą terażniejszość i przyszłość mogącą ziścić najpiękniejsze nadzieje.

— Zawiązało się teraz w Paryżu Towarzystwo, pod nazwą *Société internationale de Palestine*, mające na celu odrodzenie Wschodu. Można i uczony orientalista Dussant stoi na czele tego towarzystwa związanego z towarzystwami podobnemiż zagranicą i z Paryżkiem Towarzystwem Hellenistów pracujących nad odrodzeniem moralném Grecyi.

— Wyszedł nowy tom „*Historji ogólnej miasta Paryża*” (*Histoire générale de Paris*) wydawanój przez Haussmana. Tom ten zawiera „*Paryż w 1380 roku.*” Wydanie dzieła tego przepyszne, ale duch jego czysto napoleoński usiłuje dowieść potomności że stara stolica Francyi niczém była za dawnych monarchów, że dopiero Napoleon I rzucił fundamenta wielkiego miasta, a Napoleon III je zbudował.

— Pod tytułem „*Le Peuple et la place publique*” Emil Favre, adwokat, wydał studjum historii *prawa zboru* w starożytności: opowiada, jakie ono było w Grecyi, w Rzymie, we Francyi w wiekach średnich, za rewolucyi francuzkiej 1789 r., za rewolucyi 1848 roku i za drugiego cesarstwa. Są w tym tomie ciekawe rzeczy o klubach za pierwszój i drugiej rzeczpospolitej.

Drugi adwokat z Lyonu, pan Cazenove, wydał bardzo ważną dla postępu książkę pod tytułem „*Wojna i ludzkość w XIX wieku.*” Jestto sprawozdanie z usiłowań poczynionych dotąd na starym i nowym świecie celem niesienia pomocy rannym w czasie wojny.

— Z drukarni cesarskiej wyszedł pierwszy tom francuzkiego przekładu arabskiej *Kroniki Tabarego*. Pracą tą kieruje komitet londyński przekładów wschodnich Towarzystwa Azyatyckiego.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Powieści Zbigniewa.

*Podróż naokoło świata. 1859.—Pamiętniki muchy. 1861.—
Historia kamienia przy drodze. 1866.—Oksana. 1868.*

Ostatnia powieść Zbigniewa przywiodła nam na pamięć inne utwory tego autora, a ponieważ nie są one tak znane, jak na to zasługują, podzielimy się z czytelnikami owocem powtórnego ich odczytania. Istotnie p. Z. pisze już od lat 10, a znany jest od lat dwóch ledwie, wyjąwszy rozumie się ściślejsze kółko znajomych i przyjaciół, którym imię autora od samego początku nie było obce. Przyczyną tego niewielkiego rozgłosu było przedewszystkiem to, że autor drukował pierwsze swe utwory w mieście, jakkolwiek w swoim czasie wielkie ożywienie literackie przedstawiającóm, w którym jednak razie oddaloném od głównego punktu, w którym się skupiały i rozchodziły napowrót promienie oświaty. Drugą przyczyną powyższego zjawiska była nie zbyt popularna i nie dla wszystkich czytających dostępna treść, którą p. Z. w swych pismach rozwijał. Bądź co bądź dopiero *Oksana* imię autora rozgłośniejszém uczyniła i dała powód do rozmaitych sądów o talencie p. Z., jeżeli nie publicznie, to przynajmniej w towarzyskich zebraniach. Jakkolwiek sądy były różne, to wszakże zgadzano się zawsze na jedno, że p. Z. *ma talent*. To już dosyć. Kto *posiada talent*, ten ma już prawo do bliższego zastanowienia się nad nim, do szczegółowszego rozbioru jego objawów i... co najważniejsza, do powszechniejszej uwagi.

Takie kierowały nami myśli, gdyśmy przedsięwzięli pisać o utworach Zbigniewa. Nie wdając się w żadne ogólniki przedwstępne, odrazu przystąpię do rozbioru pojedynczych pism, a ogólne spostrzeżenia co do *rodzaju talentu* autora, jakoteż co do spo-

żytkowania tego talentu zostawiając na koniec, gdzie najwłaściwsze mojem zdaniem, znajdują miejsce, będąc naturalnym wynikiem z tego wszystkiego, co się przy szczegółowym rozbiorze powiedziało.

Pierwszym utworem przez który p. Z. dał się poznać publiczności, jest humoreska p. n. *Podróż naokoło świata odbyta w trzech godzinach*, drukowana w *Piśmie Zbiorowem Wileńskiem* na rok 1859. Pod formą fantastycznej podróży przedstawił autor historią duszy nie jednego młodzieńca, który z płomienistém sercem a płomienistszą jeszcze wyobraźnią, z wielkimi dążeniami a małemi środkami, z ogromną chęcią sławy rzuca się w świat rzeczywisty, widząc w nim tylko wcieloną prawdę, piękno i dobro. I cóż się dzieje? Oto młodzieniec taki zostaje przykro, boleśnie dotknięty rzeczywistym stanem rzeczy, jaki na świecie napotyka. Do tego wyobraźnia jego gorąca, a tkliwość serca, powiększa w tyśiąckroć wszystkie niesprawiedliwości, które go na drodze spotykają; całą prozę życia, która silnie przeciwstawił się jego poetycznemu zapałowi i entuzjastycznym zachwytem. Praktyczna strona życia, która obecnie całą społeczeństwo opanowała, działała na niego jak zimna woda na rozpalone wylana żelazo. Zrazu syczy i pieni się, rzuca wykrzykami boleści na wszystkie strony, nie mogąc przyjść do ładu z własną swą głową i sercem; ale potem gdy strumień zimnej wody działać nie przestanie, rozpalone żelazo entuzjazmu chłodnie powoli i zimném wreszcie się staje. Wówczas gorzki uśmiech ironii osiada na ustach młodego entuzjasty, z bajrońskim na świat wejrzaniem, a z boleścią tłumioną w sercu przechodzi przez ten tłum, który go tak nieprzychylnie przyjął, i... pogardza nim w duszy. Z takim gorzkim uśmiechem ironii, z takim bajrońskim poglądem, z taką boleścią serdeczną i prawie z pogardą dla świata rzeczywistego pisana jest ta humoreska. Szykanie i chłóście podlega to wszystko, co jest społecznego życia objawem, jako to: *przemysł, postęp, duch czasu, autorska działalność, rozważa*; wszystko przedstawione z gryzącą ironią, z potężnym talentem słowa, ze łzami rozpaczy niemal. Oto jest up. opis dzisiejszego usposobienia umysłowości: „Owa kraina, do którejśmy przybili, zowie się *Głowa ludzka*, stolicą jej *Rozum*, a obecnie panujący monarcha nazywa się *Przemysł wielki*. Zaprawdę zdumiony zostałem, ujrawszy z bliska tę piękną krainę, której rys geograficzny najprzód wam odszkicuję. *Głowa ludzka* opasana dokoła górami *wyobraźni, imaginacyi, fantazyi* i t. p. Wszystkie te góry mieszczą w sobie pierwiastek kwasorodny, który z każdym innym pierwiastkiem duchowego ciała się łączy: przeto dla powściągnięcia ich natury palnej, góry te za rozkazem rządu pokryto masą *umiarkowania*, która składa się z saletrorodu, przez to ogniwość powściąga się i miarkuje!... Z tych gór wypływa wielka rzeka *talentu*, a najjaśniejszy monarcha *przemysł wielki*, kazał w niej porobić tunele pod nazwą *zyski* i powiększył podatek. Najwyższą wulkaniczną górą jest *geniusz*; wybuchy jego są nader rzadkie,

stuletnie. Lawa geniuszu wybuchając z krateru, rozlewa się dookoła i twardniejąc przybiera nazwę *praktyczności*; ta lawa jest najważniejszym produktem handlu krajowego, kawałki jój rozrywają jubilerowie-autorzy i tworzą z niej przesliczne cacka dla zabawy ludzi. Zwidziałem ten zakład jubilersko-autorski: jest to gmach ogromny w kształcie dziurawej beczki Danaid, z której jak woda wylewały się myśli, wrażenia i uczucia ludzi, a publiczność pochłaniając jak Harpia to wszystko, jak Tantal wiecznie głodna i spragniona. Ale niestety! wybuchy geniuszu rzadkie, lawa się wybiera, i handel grozi stagnacją! Oprócz gór wyżej wspomnianych Głowa ludzka ma rozległe stepy i ogromne lasy. Kraj cały oblewa ocean „*Interes.*”

Wspomniałem wyżej, że autor pisze prawie z pogardą dla ludzi. Wyda się to dziwném, zwłaszcza gdy się czyta tu i owdzie o miłości chrześcijańskiej, o spółczuciu i t. d. Jednakże tak jest. Oto mały dowód. W dedykacji pamięci Fidla pisze: „Ktoś żyjąc długo na świecie i nie mając żadnego prawdziwego przyjaciela, prócz psa, po skonie jego został całkiem osamotniony!... Pamięci więc tego jedyne go przyjaciela poświęca wrażenia z swoich podróży, *bo ludziom one na nicby się nie zdały.*” Jestto humor beztępienia, ale humor bardzo podejrzanego gatunku. Jeżeli istotnie dla ludzi na nic te wrażenia się nie zdały, to pocóż było drukować?... Jeżeli zaś jest to uwaga tylko na wiatr rzucona, tём gorzej: byłoby to lekceważeniem powołania i ludzi zarazem. Ale mniejsza o takie drobnostki. Jest tu daleko ważniejsza kwestya, którą chciałbym poruszyć, a to z dwóch przyczyn. Najprzód, że wraca się ona przy każdym prawie piśmie autora; a powtóre, że jest bardzo rozpowszechnioną nie tylko w naszym piśmiennictwie, ale nawet i w społeczeństwie. Chcemy mówić o znaczeniu tak zwanych *dusz poetycznych nie mogących znieść prozy życia.* Autor wystawiał kilka razy takie postacie: w *Podróży*, w *osobie podróżnika*, w *Pamiętnikach Muchy* pod imieniem *Karola* i *Emmanuela*, w *Historji kamienia przy drodze* w postaci *orla-entuzjasty*, czyli biorąc rzeczywistość za figurę: *Kochanka Eleulalii.* Zwykle nad takimi ludźmi rozwodzą ogromne żale, płaczą nad nimi jak nad przedwcześnie zgasłymi bohaterami i wszelkimi sposoby chcą ich postawić na piedestale sławy, otoczyć aureolą męczeństwa wobec zimnego, prozaicznego świata. Nie ma żadnej wątpliwości, że ludzie tacy posiadają coś przyciągającego w sobie. Bolesć czy jest rzeczywistą czy wymarzoną tylko, zawsze wzbudza w duszach czułych sympatyę dla siebie. Trudno jednakże nie wyznać, że taki stan umysłu czy raczej wyobraźni, jest objawem chorobliwym, i powinien być nie chwalonym i podnoszonym, ale owszem wszelkimi możliwymi środkami leczonym. Jest to bowiem jeden z najsmutniejszych stanów, w jakim człowiek znajdować się może. Umysł rozdarty sprzecznościami, a serce przepełnione goryczą, nie są zdolne do żadnego działania, do żadnego czynu, a czyn tylko w jakimkolwiek zakresie i na jakimkolwiek polu zasługuje na uznanie

i pochwałę. Ludzie zaś, o których mówimy, nie będąc zdolni do czynnego wystąpienia w życiu, oddają się nie tylko bezpożytecznym ale owszem zgubnym marzeniom, które są dobre jako przyprawa życia, ale nigdy jako jego najistotniejsza treść. Bajronizm miał swoje znaczenie w pewnej epoce, gdzie chorobliwe usposobienie było konsekwencyą poprzednich przewrotów społecznych; ale ciągle trwać on nie może, gdyż byłby anomalią. Nigdy nie możemy dosyć powstawać przeciwko nadużyciu nazwy poetycznego usposobienia, i odpowiedniej temu zbyt pochlebnej oceny dla tych próżniaczych marzycieli, którzy nic nie robiąc i nosząc się tylko zawsze ze *swym bólem serdecznym, ze łzamaniami nadziejami, z przyszłością bez horyzontu*, chcą, ażeby ich uwielbiano, ażeby spólczuto z ich urojonemi cierpieniami. Wzbudzanie też spólczucia dla tych ludzi za pomocą drukowanych apologij, wydaje nam się co najmniej, rzeczą niepotrzebną. Społeczeństwo najlepiej umie ocenić, gdzie jest prawdziwa zasługa, gdzie jest rzetelne cierpienie, i gdzie jego pomoc jest konieczną. Marzycielstwo zaś i bajronizm nic dobrego ani pożytecznego społeczeństwu nie przynoszą.

Tyle mieliśmy do powiedzenia z powodu głównej osoby, a zwłaszcza głównej myśli przewodniczącej *Podróży*. Czuł widać sam autor, że *ironia* nie może być ostatnim wyrazem człowieka, gdy podaje na końcu lekarstwo na kurczowe jej zimno. Lekarstwem tém, ma być powrót do dzieciennych wspomnień, do rodzinnego ogniska. Jednakże zdaje nam się, że to był tylko dodatek dla zaokrąglenia całości, bez bliższego wniknięcia w istotę rzeczy. I zaiste, gdy człowiek wyrwie się już raz z progów domowych, gdy skosztuje z czary doświadczeń życiowych, gdy wiele przeboleje, przewalczy, przecierpi, a zatém gdy się wiele nauczy i wiele się zmieni; wówczas powrót do pierwotnego stanu, do owych wspomnień dziecięcych, do ogniska rodzinnego, będzie nadzwyczaj trudnym, prawie niepodobnym. Albo wymrze dla niego wszystko co niegdyś było jego ideałem, albo téż zmieni się do niepoznania i wtedy jeszcze większe rozczarowanie duszę jego ogarnie. Dla takiego człowieka potrzeba innego lekarstwa. Mojem zdaniem potrzeba *pracy*, potrzeba *działalności*. Jeżeli jest mężny, jeżeli jeszcze ma się do życia dalszego, wówczas powstanie i z odwagą pójdzie przeciw tym przeszkodom, które kiedyś w epoce zniechęcenia, wydały mu się niepodobnemi do przemożenia, zacznie działać w społeczeństwie, i z pewnością o nim nie zwątpi. Jeśli zaś jest słaby, jeśli jego zdolności były tylko fajerwerkowej wartości, które wypaliły się i zgasły w nadaremnych pokuszeniach dłuższego trwania, ha! w takim razie człowiek ten zmarnieje i pamięć o nim zaginie. Nie społeczeństwa w tém wina, ale jego własna. Jego własna, mówimy, bo nie czując w sobie większego talentu, możności spełnienia wyższych dążeń, powinien się być ograniczyć w ciaśniejszej sferze, w której zapewne więcej dobregoby zdziałał, niż tam, gdzie siły jego nie wystarczyły.

Zastanowiliśmy się nieco dłużej nad *Podróżą*, gdyż jest to najbardziej wykończony, dotychczas przynajmniej, z utworów Zbigniewa; a dalej, ponieważ zawarte w niej myśli doniosłością swoją przewyższają wiele innych, w których jest albo powtórzenie pierwszych, albo też zajęcie się mniej ważnymi rzeczami. Przystępujemy do dalszych pism p. Z., które możemy przejść krócej.

Pamiętniki Muchy. Jestto zbiór dziesięciu humoresek, których treścią jest albo skreślenie stanowiska *talentu* względem *społeczeństwa*, albo też przedstawienie rozmaitych odcieni *miłości*. Wszystkie zaś ujęte w ramki *Pamiętnika*, które spisuje niejaki p. *Serwacy*, przemieniony po śmierci w *muchę* i skazany na szukanie po świecie łyzi niedoli lub głupoty, nad którą mógłby zapłakać szczerze. Biedna mucha latała tu i owdzie, znajdowała to głupich, to zarozumiałych, to wreszcie opuszczonych, nieszczęśliwych i już niekiedy miała uronić łyżę nad niedolą, ale zawsze na przeszkodzie stanął jakiś komiczny wypadek, który łyżę tę zatrzymał. Aż nakoniec przybyła do domu pewnego zgodnie żyjącego małżeństwa, w którym mąż (a zarazem autor) p. *Felix Prezompcyon Knociński* przynosił żonie listy od kochanka w swojej ceratowej czapce. (Nawiasem mówiąc bardzo stary koncept). Otóż p. Serwacy nie mógł się wstrzymać od łyzi nad szczęściem tego głupiego męża-autora, który mimowiednie był powiernikiem miłosnym. I zapewne za tę łyżę został uwolniony od latania po świecie i pozwolono mu puścić się w etery.

W szeregu obrazków które nam przedstawia p. Serwacy w swoich pamiętnikach, wielka zachodzi różnica co do wartości wewnętrznej: jedne są bardzo pospolite i nie zasługują na bliższą uwagę; inne znów uderzają pięknnością pomysłu i głęboką prawdą psychologiczną. Do takich należy np. postać *Loci-marmurowej dziewczycy*, która nigdy uwierzyć nie chciała w zdradę kochanka i zawsze wierną pamięci jego została; dalej postać *Karysty*, poetki, która pomimo znacznego majątku nie chciała wieść próżniaczego życia swych siostrzyc po *mamonie*, i wołała poświęcić się całą wspieraniu ubogich, sama ich dobrobytem się zajmując. Albo jaką prawdą nacechowany jest cały obrazek V-ty, w którym występuje miłość arystokratki (Anieli) do „*chłopa*” (Jerzego), jak się rodzice jęj wyrażali. Ta romantyczna istota, chodząca po promieniach księżyca, zdolna do chwilowego wybuchu, ale nie do wytrwałej walki ze światem, jest doskonałym wzorem wielu panien, których powierzchwną duszy czarodziejka-poezya uhaftowała różnobarwnymi kwiaty miłości, zachwyty i poświęcenia, ale jęj grunt i podstawę stanowi zwykle prozaiczny piasek, lub nawet błoto szkaradne. Toż samo powiedzić można o obrazku VII-m, w którym przedstawił autor poetyczne usposobienie w miłości pod postacią *Adolfa*, który zawsze jest zakochany i zdaje mu się, że na wieki; ale za kilka miesięcy najwyżej spostrzeżga, że ta istota wybrana dla której wielką pałał miłością, nie zasługuje na to poetyczne uniesienie, zrywa z nią, i dalej znów w pogoń za ideałem. W jednej

z nich spotkał na cmentarzu marmurowo-błądą, niemą z boleści po ukochanej matce dziewicę i... pokochał się w nią. Trwało to dopóty, póki razu pewnego nie nadszedł, w chwili, gdy *Cesia* (tak zwał się ideał) krajała makaron i zamączoną rękę podała mu do uścisku. Po takiej scenie czyż mogła *Cesia* nadal zostać ideałem? Na żaden sposób. Zwłaszcza kiedy inną razą przy czytaniu najpatetyczniejszego ustępu z *Narzeczonej z Abidos*, *Cesia* przerwała mu prozaicznie:

— Czy pan Adolf woli chleb z masłem czy rogaliki?...

Takich rysów odzwierciedlających w sobie rzeczywistość jest wiele, i one to nadają żywość, zajęcie i cenę temu utworowi, który autor *Pamiętnikami Muchy* przezwiał.

Historya kamienia przy drodze opowiadana kolkowi w płocie (drukowana w *Przeglądzie Tygodniowym* 1866 Nr. 4—9). Jestto historia entuzyasty, zawiedzionego w najczulszym punkcie swego serca, to jest w miłości. Kochał się ten zapaleniec w pięknej *Eleulalii* „jak wicher w chmurze” (wyrażenie p. Z.). Miał jednakże rywala w hr. *Ireneuszu*, prozaicznym ale bogatym człowieku. *Eleulalia* dla rozstrzygnięcia sporu dwóch przeciwników kazała napisać konkursową powieść, którą nagrodzić miała piękna jej rączka. Entuzyasta wszystkie swe siły „wyteżył, wyświecił,” by blaskiem talentu zaćmić tego niegodziwego *Ireneusza*, co małżeństwo pojmował jako wyborny obiad, a miłość jako deser, który jest doskonały po obiedzie, ale nigdy służyć nie może za pokarm przez dzień cały. Napisał więc powieść allegoryczną, w której pod postacią orła zakochanego w łabędzicy odmalował siebie. Mimochodem skreślił także swoje stanowisko orle względem innych ptaków społeczeństwa i wykazał, jakie jest jego znaczenie. „Aż oto orzeł lot swój kieruje ku ziemi; ptastwo spostrzeża i gwar się zaczyna:

— Jaskółki z rozwartemi dziobkami patrzą zdumiałe na śmiały lot potentata przestworów, i dziwią się i kręcą i szare główki wyścibiają z glinianych gniazdeczek i zaleknione pytają siebie: „czy on i do Boga doleci.” Poczciwe domatorki!

— Pozytywne bociany stojąc na jednej nodze i zajądając z apetytem żaby, niedbale patrzą na lecącego ptaka i mówią z zachpanem dziobami: *awanturnik*.

— Pracowite kury, zajęte wiecznie szukaniem ziarn w śmieciach, wiodąc spór z gderliwemi kaczkami, co lepsze: gnój czy kałuża? spostrzegłszy orła, kończą domową kłótnię a poczynają gdać o orle: *jaki to próżniak, wiatropęd!*.. niema nigdzie *kurnika*, to lata w chmurach! można się założyć, że głodny! O miłe gastronomki!

— Gęsi dzikie i jastrzębie złodzieje, okoliczny postrach kur i gołębi, udając zuchów wrzeszczą na całe gardło: *my się jego wcale nie boim, jeszczeby tóż!* A tymczasem chowają się w najciemniejsze zarośla. *Tchórze!* mają tylko odwagę w obec słałości...”

Otóż orzeł żyjący w takim towarzystwie pokochał łabędzicę piękną, łagodną ale prozaiczną, która zaraz po pierwszej dobie spędzonej z orłem, spytała się, co jęj da jeść.

— „Kochanko moja uroczą—odpowiedział orzeł—jam pieszcząc ciebie zapomniał o jadłe, ja przez noc całą układałem pieśni, by niemi ciebie powitać w zaraniu, a potem z pieśnią i z tobą polcicie w chmury po nowe natchnienia do wypowiedzenia mojej miłości dla ciebie.”

Ale łabędzica nie zadowalniała się tēm i koniecznie żądała jada. Z ciężkiēm westchnieniem zgodził się orzeł na tę prozaiczną czynność i odlatując zapytał jęj, o czym marzyć będzie po jego odlocie?—O mojem cichēm jeziorze, o braciach łabędziach ale i o *tobie także*— odrzekła łabędzica. Nie mógł wytrzymać orzeł i wybuchnął całym wulkanem oburzenia. Łabędzica zemdłała, ale... nie umarła. Pociężyła się krwiożerczym sępem, który potrafił jęj zastąpić orła, nie wymagając od nięj zbyt wiele. Orzeł, zobaczywszy miłostki sępa z łabędzią, uniósł się gniewem, zabił sępa pchnięciem nogi, a spojrzawszy ze wzgardą na struchlałą łabędzicę sam sobie śmierć zadał.

Gdy tę powieść entuzjasta odczytał, Eleulalia krzyknęła: to powieść turecka; a hr. Ireneusz z szyderczym uśmiechem na ustach wyjął swoją powieść, której tytuł był: *Bilet bankowy*, a treść: *Trzykroć sto tysięcy*. Eleulalia oddała mu wyższość nad powieścią entuzjasty i jako nagrodę podała mu swą rękę na dozgonną pielgrzymkę. Entuzjasta stał się kamieniem.

Wartość tęg humoreski cała w szczegółach. Znaczenie głównej figury skreśliliśmy już przy rozbiorze *Podróży*. Inne postacie zbyt są znane, zbyt pospolite, aby na bliższe zastanowienie zasługiwały. Ton i znaczenie nadaje temu utworowi powieść entuzjasty. Skreślenie społeczeństwa pod postacią ptaków, jakkolwiek niezupełnie nowego pomysłu, jednakże z talentem przeprowadzone. Niemniej zasługuje na uwagę stopniowanie rozmaitych przejęć duchowych w orle-entuzjaście, który kończy uśmiechem ironii i ostrą tą bronią własną pierś rozdziera.

O dwóch innych jeszcze powieściach drukowanych: *Cztery ideały* i *Stara panna* nic nie mówiąc, ponieważ ich nie poznaliśmy, przystępujemy do bliższego skreślenia najobszerniejszego dotąd utworu p. Z.—*Oksany*.

Oksana jestto już powieść w prawdziwēm słowa tego znaczeniu: z akcją jakkolwiek niezbyt ożywioną; z charakterami jakkolwiek niezbyt konsekwentnie przeprowadzonymi, nieprawdopodobnymi lub skarykaturowanymi. Czy to jest powieść tendencyjna, społeczna, czy też jest po prostu obrazem uczuć i namiętności ludzkich, okraszonych szeregiem filozoficznych rozmyślań, zastanowimy się bliżej poznawszy w krótkości jęj osnowę.

W jednęj z wiosek poleskich, w Oltuszu żyła podupadła rodzina książąt G., których majątek skutkiem różnych katastrof przeszedł w ręce jakiegoś dorobkiewicza p. *Polikarpa* czyli *Polipa*,

jak go żona *pięszczotliwiś* nazywała. Rodzina ta składała się z głowy rodu ks. *Janusza*, postaci poważnej i dumnej, raz budzącej uszanowanie, to znów wstręt niepokonany; nie przebaczył on swemu synowi ks. *Adamowi* mezaliansu i przeklął go; lecz wziął w opiekę syna jego Jerzego, kiedy go ojciec i matka odumarli. Dalej szedł starszy syn ks. *Tyburcy* były seminarzysta, osoba pozbawiona, zdaje się, mózgu, lubiąca tylko smaczne jedzenie i tém pocieszająca swój żywot ślimaczy. Wreszcie wspomniony *Jerzy*, który na początku powieści występuje jako 18-letni młodzieniec, będący w 6 klasie gimnazjalnej, pełen ognia, zapału, szlachetnych dążeń, z płomienną duszą, gotów śmierć ponieść w obronie prawdy i sprawiedliwości. Należał on do tych ludzi—jak mówi autor—„którzy nie idą ubitym gościńcem po wydeptanej drodze, procesją ludzkich pielgrzymek; lecz sami sobie szlak tworzą, nie przez chęć odróżnienia się od ogółu, bynajmniej, bo gardzą wszelkiem udawaniem oryginalności, li tylko przez samodzielność ducha, co dla nich jest żyjącą prawdą, przeczutą a nieokreśloną matematycznie... Ich duch jak rzetelny jeometra, wytknął prostą linię jednym rzutem oka i nie zważając po jakich przepaściach łamać będzie tryb życia, dąży naprzód do celu. A tym celem—prawda!” Takim był co do duchowej swój strony 18-letni Jerzy; że był piękny fizycznie, nie potrzebujemy dodawać. Każdy bohater jest pięknym. Czy takim zostanie zawsze, zaraz się dowiemy. Jerzy kochał *Oksanę*, nadobną *cygankę*. Poznajomienie się ich było romantyczne. Jerzy jak rycerz obronił *cygankę* od napaści chłopców i dziewcząt wiejskich, którzy ją nazywali czarownicą i dokuczali jej tak, jak dokuczają ulicznicy warszawscy biednym potomkom Izraela. Wprawdzie ta pierwsza znajomość nie wywarła na sercu Jerzego żadnego wrażenia, ale za to *Oksana* zachowała jej wspomnienie na zawsze. Potém nastąpiło nowe poznanie się na jeziorze przy blasku księżyca i zaczęło się kochanie na prawdę: ze strony *Oksany* wbrew wszystkim *cygańskim* tradycjom spokojne, ciche, zrezygnowane; ze strony *Jerzego* gorące, namiętne. Jeździli wieczorem po jeziorze, śpiewali miłośne duety. To trwało do czasu poznamienia się *Jerzego* z *Atalią*, mającą wiele pokrewieństwa duchowego z ową *Anielą* w *Pamiętnikach Muchy*, o której mówiliśmy. *Atalia* była córką wyżej wspomnianego *dorobkiewicza* p. *Polikarpa*; miała jednak matkę arystokratkę, która zrobiła mezalians dla brzuchatego worka p. *Polipa*. *Atalia* była—to istota poetyczna, ale tą poezją salonów, nie lubiącą gwałtownych wzruszeń, bujającą nie w sferach niebiańskich zachwyków, ale w sferze elegancyi, woni i... pachnideł. Ta *limfatyczna*—jak ją nazywa autor—istota, chciała wprawdzie, ale nie zrobiła wielkiego wrażenia na *Jerzym*, i gdy ten wyjeżdżał za granicę dla ukończenia swych nauk na uniwersytecie, wsparty pieniężną pomocą *księcia G.*, wtedy, mówimy, *Jerzy* więcej myślał o *Oksanie*, jak zapewnia p. Z. niż o *Atalii*.

Dotąd była sielanka; teraz zaczyna się dramat. Jerzy, powróciwszy z uniwersytetu, gdzie uczył się na wydział prawny, choć w swoich rozumowaniach opiera się na matematyce; staje się zimnym, wyrachowanym, zapomina najzupełniej o Oksanie a lgnie do Atalii, względem której układa projekta matrymonialne. Atalia ze swój strony nie obojętnie nań patrzyła okiem. Autor nie mówi nam nic o wpływach, jakie działały na bohatera przez całe 4 lata uniwersyteckich studyów, i proszę to zauważyć, musimy więc wierzyć na słowo. Dostyć, że przy pierwszym spotkaniu z Oksaną, Jerzy obchodzi się z nią nie jak człowiek obojętny, ale po prostu, powiedzmy otwarcie, jak nikczemnik. Czując w głębi duszy winę w sobie samym, bez najmniejszego nawet powodu, przywała biedną dziewczynę ciężarem pogardy, i z zimnym uśmiechem cieszy się, że znalazła pocieszyciela. Rzecz zaś tak w istocie się miała, że *Rene*, brat Atalii, niemając nic lepszego do roboty, chciał pobawić się, zachęcony przykładem Jerzego, w romansach z piękną cyganką, a widząc nie przełamany upór w dziewczynie, zapalił się naprawdą do niej namiętnością gorącą.

Tak stały rzeczy, gdy zjawia się nowa figura, która jak *deus ex machina* ma oddać kierować losami wszystkich osób. *Moturna*, matka Oksany, żywiła już oddawna zemstę na cały dom książąt G. Przyczyną tej zemsty było uwiedzenie jej a następnie porzucenie przez brata księcia *Janusza*, tudzież pławienie w stawie na rozkaz *szlachetnego* dziadka Jerzego. Ona postanowiła upokorzeniem zabić dumę a tém samym życie ks. *Janusza* i w ten sposób zniszczyć całe szczęście domowe księcia G. Owym krewnym co dawał pieniądze na wyższe wykształcenie Jerzego, była to *Moturna*, która (niewiadomo jakim sposobem) umiała pisać bardzo piękne i z wszelką arystokratyczną formalnością listy do ks. *Janusza* i przekupić posłańca żydka, który się z tą tajemnicą nigdy nie wygadał. Trzeba wiedzieć, że ów krewny nie chciał nigdy dać się poznać. Pozostawiamy zupełnie bez uwagi wszystkie te excentryczne pomysły, mogące znaleźć zastosowanie w operach czarodziejskich, bo one nieprawdopodobieństwem biją w oczy każdego. Dostyć, że *Moturna*, pobudzona jeszcze opuszczeniem Oksany przez Jerzego, postanowiła przyspieszyć dzieło swój zemsty. Gdy już za kilka dni miał się odbyć ślub Jerzego z *Atalią*, zjawiała się *Moturna* w domu ks. *Janusza* i wyrzucając mu jego dawniejsze postępowanie, przedstawiła dowody, że żyje z *jałmużny* i to z *jałmużny cyganki*, prosząc zarazem szydlerzo, czy nie chciałby wziąć Oksany za swoją synową. Cios był dobrze wymierzony. Dumny książę nie przeniósł tej hańby swego imienia i umarł. Rzecz naturalna, że gdy taki skandal rozszedł się w okolicy, o ślubie Jerzego z *Atalią* nie było mowy. Ale nie dosyć na tém. Rola *Moturny* jeszcze nie skończona. PP. Polikarpostwo posiłkowani wydatkami synka tak nie tylko nadszarpnęli ale całkiem podarli swoją fortunę, że pozostawała im tylko nędza. Cóż robić? Pożyczki znikąd. Wprawdzie nowy pretendent do ręki *Atalii* p. *Trojan Bóbr*, zabity gospo-

darz, mówiący tylko o hodowli merynosów, chciał i bez posagu wziąć hrabiankę; ale zbyt dobitnie dał uczuć Renemu, że będzie go trzymał na swoim dworze z łaski, ażeby na tę rolę duma jego pozwoliła. Dlatego słysząc o skarbach Moturny zmusił swemi łzami i błaganiami Oksanę, ażeby mu pokazała skarb ukryty. Pieniędzmi ztąd zdobytemi spłaca swe długi. Tymczasem ślub Atalii i p. Trojana został już zapowiedziany. W chwili uroczystego obrzędu wpada Moturna i śmiejąc się swym przeraźliwym śmiechem dopomina się u Renego pieniądze. Scena okropna. Rene zabija się. Pieniędze znikają. Ślub nie przychodzi do skutku.

A Jerzy?... Jerzy chodził po całych dniach po swym pokoju i myślał... o znikomości rzeczy ludzkich. Wiele wtedy praw nowych odkrył—oczywiście tylko dla siebie, nic sobie w swoim położeniu poradzić nie umiał. I zapewne byłby myślał i dotąd, gdyby nie poczciwy fabrykant zagadek pan *Pokotyłło*, nie zaproponował mu w sposób jak mógł najdelikatniejszy wzięcie w dzierżawę jego wiościny. Jerzy został gospodarzem. W wolnych chwilach przypomniał sobie Oksanę, przypomniał sobie swoje okrutne względem niej postępowanie i chciał to naprawić, chciał wrócić do dawnej miłości. Ale już było zapóźno. Biędna dziewczyna zbyt wiele wycierpiała moralnie, aby mogła żyć dłużej. Życie jój zagasło. Przebaczyła Jerzemu, którego miłość roztopioną w miłości Boga poniosła do grobu. Jerzy często stał pod krzyżem, osłaniającym mogiłę ochrzczonej cyganki.

Paradoksalność, która się przebija w pismach autora, wystąpiła w Oksanie w całej pełni. P. Z. chciał połączyć w jedną idealną równiankę dwie sfery życia: *prostaczą i ukształconą*. Cyganka Oksana, to dziecko natury, obdarzone niewyczerpanym skarbem miłości, szlachetna ale nie rozwinięta dusza, miała stać się ideałem dla wszystkich w ogóle a przynajmniej dla poetycznego, ukształconego, pełnego powabów Jerzego. Nie pierwsze to usiłowanie. Dawne rycerskie romanse często nam przedstawiały podobne zjawisko, że jaki książę lub pan udzielny brał za żonę jaką chłopkę lub cygankę; w rzeczywistości nieraz się to zdarzało. Jednak co było, to nie jest. Nie należy bowiem zapominać, że dawne romanse służyły tylko dla zabawki, dla błęgiego celu ukołysania się do snu; gdy tymczasem romanse dzisiejsze, mają cel wznioślejszy.

Nie idzie tu już o jakieś nagromadzenie nieprawdopodobnych awantur lub bawienie się w coraz to dziwniejsze kombinacje miłosne; ale idzie o przeprowadzenie jakiejś myśli, czy to treści czy sto-psychologicznej, czy też społecznej. Romans nie tylko umysłową rozrywką ale także nauką być powinien. Więć też miara, którą dawniej mierzono wartość romansu, dziś już nie wystarcza. Nie pytamy się już tylko o to, czy pewną treść autor przeprowadza *zrećźnie*, ale czy to przeprowadzenie *zgodne jest z prawdą i psychologią*, czy taki a taki stosunek istnieć może i do jakiego stopnia. Otóż co do myśli p. Z. zestawienia tych dwóch stanów ducha ludzkiego, w jakich się znajduje Oksana i Jerzy i zawyrokowania, że

miłość między nimi istnieć może prawdziwa i wieczna; musimy powiedzieć, że myśl ta jest pomysłem bez istotnej rzeczywistej wartości. Miłość nie jest jakąś ślepą i bezrozumną siłą, która gwałtem ciągnie do siebie dwie istoty, nie mając nic albo bardzo mało wspólnego ze sobą. Jeśli się to zdarzy, a zdarza się dość często—będzie to anomalią a nie stanem normalnym; tak samo jak waryacya jest anormalnym, a nie normalnym stanem umysłu ludzkiego. W każdym innym razie miłość, jak wszystko na świecie, podlega prawom. Zwykle składa się na nią bardzo wiele warunków, między którymi ukształcenie ducha nie małą gra rolę. Stosunek między Oksaną a Jerzym mógł tylko być krótkim i... czysto-zmysłowym. O miłości prawdziwej, o jakiej śpiewają poeci, nie można tu mówić. Oni zbyt daleko stali od siebie umysłowo, aby ich, dajmy na to rozmo- wa, miała jakiś powab dłuższy. Takie zaś przymilenia miłosne jak „sokole mój, gołąbku mój” i t. p. mogły wprędce znużyć umysł nie tylko Jerzego, ale każdego więcej cokolwiek ukształconego człowieka. A przecież bądź co bądź, duchowa wartość człowieka która jedynie może być trwalszą podstawą dla miłości objawia się najczęściej w rozmowie i ma w ten sposób najwięcej powabu. Możemy zachwycać się nad jakimś bohaterskim poświęceniem się, nad uczynkiem, przynoszącym zaszczyt sercu ludzkiemu, dokona- nym przez prostego człowieka; ale nikt nas zmusić nie może do lu- bowania się przez czas długi w chropowatej i bezładnej jego mowie. Toż samo zastosować można i do Oksany. Wzrusza nas jej miłość serdeczna i czysta, którą w sercu przechowywała dla Jerzego; ale musimy wyznać, że miłość ta musiała być bez nadziei; że, jakkol- wiew w ostatnich tygodniach życia Oksany, Jerzy powraca do niej i kocha ją jak dawniej, ale musimy to uznać za koziołek autorski, którym chciano zrehabilitować w oczach czytelnika swojego boha- tera z jego poprzedniej zdrady. Stosunek, w którym duch nie bie- rze udziału, nie trwa długo. Mógłby nam kto zarzucić, że i autor sam uznał niemożność stosunku między Jerzym a Oksaną, ka- żąc umierać tej ostatniej. Odpowiadamy, że nie. Śmierć Oksany była najprostszą konsekwencją nadzwyczajnych wzruszeń moral- nych, którym podlegała, ale nie wyrazem tej niemożności psychicz- nej, która namiętność łamie własną jej bronią. Przynajmniej au- tor nie nam o tém nie mówi. A domyślać się w tak ważnym punkcie i przedstawiać myśli, które autorowi wcale może nie przeszły przez głowę, byłoby to naśladować owych komentatorów Szekspira, którzy między wierszami więcej zawsze wyczytują, aniżeli się w sa- mym tekście znajduje.

A może ta miłość cyganki w połączeniu z zemstą Moturny ma jakiś cel społeczny, np. przeciwstawienie dwóch obozów: upośledzo- nych cyganów i ludzi ukształconych, nieraz nad nimi się pastwią- cych? Myśl taka byłaby śmieszną. Cyganie jako włóczęgi nie mog- ą mieć żadnego stanowiska w społeczeństwie; a zatem i przeci- wieństwa kast być tu nie może. Pozostaje więc tylko sfera czysto ludzka, sercowa, która, podług nas przynajmniej jest zupełnie chy- biona.

Cóż powiemy o Jerzym? Niestety! musimy odpowiedzieć przypuszczeniom: Gdyby autor umotywował nam przemianę Jerzego; gdyby nas w tajemniczył w te wszystkie wpływy, które działały na niego, które z zapaleńca zrobiły zimnego salonowca; gdyby nam pokazał towarzystwo, w którym żył Jerzy, bawiąc przez lat 4 na uniwersytecie; słowem gdyby cały przewrót duchowy, jaki się w bohaterze dokonał, wyjaśnił nam: wówczas policzylibyśmy Jerzego do najpiękniejszych kreacyj, jakie powieściopisarstwo nasze wydało. Tak jednakże nie jest. P. Z. o owych czterech latach nauki milczy. Nie chcemy sądzić, żeby podług zdania autora *prawo*, a w ogóle biorąc *nauka*, miała tak zgubny wpływ wyrzucić na ognistego bohatera. Byłoby to ubliżać umysłowi p. Z. Nauka wprawdzie przytłumia cokolwiek młodzieńca zapala, bo częstokroć tłumaczy mu tajemnice, które go dawniej w siódme niebo przenosiły, jako naturalny wynik pewnych stałych praw; bo zdziera złotą iluzję z zamglonych jego oczu. Ale takie trzeźwiejsze pojęcie rzeczy bynajmniej nie przeszkadza rozwojowi szlachetnych uczuć serca, owszem podnosi je i do wyższego tonu nastraja. Nauka więc sama mogła z Jerzego zrobić trochę zimniejszego, oględniej sądzącego i pobłażliwszego mężczyznę, ale nigdy jakiegoś dandysa, depczącego nogą dawniejsze swe miłostki i sięgającego do salonów Atalii, kobiety bez serca, umiejacą tylko grać rolę zakochanej. Jerzy, który opuszczał Oltusz z myślą o Oksanie, powraca z myślą o Atalii, choć ta ostatnia nie dała mu dowodu gorącego serca a tylko kilka wytartych jak zły szeląg frazesów. Musiały być więc inne powody takiej przemiany; winą w tym autora, że nie dał ich nam poznać. Musimy więc w tej okoliczności uznać jeżeli nie brak konsekwencji, to przynajmniej brak obrobienia jednej z najgłówniejszych figur powieści.

O wiele już lepiej udała się Atalia: postać jakkolwiek nie nowa w naszym powieściopisarstwie, ale nowym i świetnym przedstawiona sposobem. W niej widzimy naturalność i konsekwencję. Czy to w zapoznaniu się z Jerzym; czy w zerwaniu z nim, czy w zalęcankach p. *Chicot*, Francuzika, którego lubiła za dowcip; czy w konkurach pana Trojana Bobra: wszędzie jest sama sobą, wszędzie doskonale przedstawia typ rozmarzonej a wykwintnie wychowanej panny, która chciałaby okazać uczucie, ale boi się pognieść koronki; która chciałaby kochać, ale żeby ta miłość chodziła zawsze w złocie i drogich kamieniach.

O wszystkich innych osobach powiemy tylko tyle, że one przypomniły nam bardzo szczęśliwie, trzeba to wyznać, postacie zkażdą już znane, i dlatego nie nasunęły oddzielnych uwag. Zarzut skarykaturowania musimy odnieść do p. *Tyburcego* i panny (starój) *Scholastyki*, siostry owego fabrykanta zagadek p. Pokotyły, usiłującej podbić dobrze pieczonemi plackami zastygłe serce byłego seminarzysty, co ostatecznie.... nie udaje się jej wcale. Oni tak samo jak i p. Pokotyło wprowadzeni są dla *intermezzo komicznego*.

Śmieje się z nich czytelnik, ale mimo to zawsze zostają tylko... pajacami.

Jak widzimy w utworach p. Z. jest wiele błędów. Cóż więc nadaje im takie znaczenie, że zajmujemy się nimi tak długo. Oto powtarzamy, cośmy powiedzieli na początku: p. *Zbiegniew ma talent*. Talent płaci za wszystko. Talent zaś ten, jak to z powyższego rozbioru pism p. Z. widzieć możemy jest głównie *humorystyczny*. Nie jest to humor dawnych naszych przodków ani nawet *Augusta Wilkońskiego* swobodny, choć często rubaszny, chwytający na uczynku różnorodne ujemne objawy społeczeństwa i w formie komicznej wypowiadający *verba veritatis*, ale jest to głęboko odczuty żal do ludzi za to, że nie umieją się poznać, gdzie jest prawdziwa cnota, gdzie jest prawdziwa piękność; że często biorą marę złudną i szych błyszczący za rzeczywistość i szczerę złotą. Żal ten, jakkolwiek częstokroć nie bardzo słuszny, jak na to zwracaliśmy uwagę, ma jednakże pewną prawdę za sobą; nie jest brany powierzchniowo, ale owszem jak najgłębiej zachodzi w przyczyny moralnego i umysłowego bezładu, jaki w świecie nierzadko napotkać się zdarza. Umysł autora chwytą nadzwyczaj żywo, pokazuje z nową zupełnie strony wiele kwestyj, które w życiu społecznym wielką odgrywa rolę. Z uśmiechem, zaprawionym łzą, zapatruje się na sprawy tego świata, boli go niesprawiedliwość, i boleść tę w sposób nadzwyczaj świetny, obrazowy wypowiada. W jednym z ustępów humoreski: *Historja kamienia przy drodze w śmiechu orła* dostrzegającego miłostek sępa z łabędzią, najlepiej ją sam autor skreślił w rodzaju humoru, jaki posiada: „I prawdę sęp powiedział, mówi, że orły nigdy nie płaczą. Orzeł się rozśmiał... ale od tego śmiechu zdrzął sęp, jakby ujrzał śmierć przed sobą, zasyczał jak woda, kiedy w nią wpadnie działowa ognista kula, a w łabędzicy serce zamarło i gdyby mogła skonać, byłaby najszczęśliwszą, by poraz wtóry nie usłyszeć tego długiego, przeciągłego śmiechu orła. *Był to śmiech krwawej ironii, kiedy serce pęka z bólu i swój ból objawia śmiechem*. Tak się śmieją prawdziwi humorysty.”

Gdy zaś autor chce dać jakiś charakter dodatni, wówczas spostrzegamy pewne wahanie się, pewien brak wprawy, pewne nieustalenie pojęć. A wszędzie prawie zbyt wielkie natężenie nie pozwala spokojnie się rozwinać zwyczajniejszym dodatnim postaciom. *Locia, Karysta, Jerzy*, oto prawie cały zapas tych dodatnich osób, które mają nie tylko spuściznę autora, ale także i spuściznę większej publiczności.

Do tego dodać potrzeba nadzwyczaj świetną wyobraźnię, która pozwala autorowi przebywać szkopyły dla innych nie do przebycia; a potem ten niepotrzebny skarb uwag i refleksyj, częstokroć bardzo głębokich i mających nie jednodniową, ale wieczną wartość. Zdaje się, że te uwagi nic nie kosztują autora, z taką je swobodą rozrzuca i prawie przepelnia swe utwory. Dowodzi to wielkiego zasobu pojęć i umiejętnego ich spożytkowania. Nie umiał wprawdzie dotąd stworzyć autor *całości*, w którejby można widzieć pojęcia jego

o świecie i ludziach w pewien harmonijny ład ustawione; ale za to rozrzucił tysiące uwag, które błyszczą jak perły przy mniej cenném otoczeniu.

I pod względem czysto technicznym możnaby p. Z. zrobić kilka zarzutów, mianowicie też *Oksanie*, jakoto: powtarzanie jednych i tych samych myśli, niezręczne przechodzenie od jednego przedmiotu do drugiego, które zwykle w ten sposób się odbywa: *Ale porzucmy to... a przejdźmy do tamtego* i t. p.; dalej urywanie scen i przenoszenie czytelnika do innych bez żadnej potrzeby, płataninę tychże scen i t. d. i t. d.; ale wszystkie te braki nikną przy blasku stylu. Styl to istotnie brylantowy. Takiej żywości i ruchu, dawno już nie napotykaliliśmy u naszych pisarzy. Żywość umysłu objawia się w tych niedoścignionych frazesach, które nowością i loicznością zarazem zadziwiają. Styl ten lekki i giętki, jak gutaperka, wszystkim, najmniejszym nawet skinieniom woli jest posłuszny i umie porwać, unieść i zachwycić czytelnika. Śmiałe przenośnie, które zawsze mają za podstawę jakąś analogią istotną; porównania nadzwyczaj trafne i dowcipne; wyrażenia pełne energii i życia: oto żywioły, z których się składa styl p. Z. Wprawdzie styl ten prawie zawsze jest jeden i ten sam; rzadko kiedy przybiera rozmaite formy, stosowne do osobistości lub sytuacji; ale ta świeżość, oddychająca wonią kwiatów, i ten wdzięk, który, zdaje się, pożyczył autor z ogrodów Armidy, nie każą nawet żałować tego braku. Wdzięk ten i świeżość wszystkiemu nadają ruch i życie.

Bogactwo i głębokość myśli, znajomość świata i jego stosunków; świeża i bujna fantazja; styl świetny i nowy: oto warunki stanowiące talent humorysty i powieściopisarza. Te warunki p. *Maryja Sadowska* posiada w zupełności.

D. 9 kwietnia.

Piotr Chmielowski.

Miasto Kazimierz i budowle akademickie w tém mieście, przez Eustachego Ekielskiego. Kraków. 1869.

Przytoczony tytuł nie odpowiada treści książki przez p. Ekielskiego napisanej; gdyż głównie spotykamy się w niej z niemikłami zarzutami zwróconemi do osób rządzących Rzeczpospolitą krakowską. Autor pisze bez planu, pisze co mu się nawinie, zaczyna o opatach mogiłskich, a kończy na Bawole; przeplatając opowieść wiadomościami, za wiele kto zjadł ryb, cielęciny, wołowiny, długo inny w wista grywał, jak na spacer wyjeżdżał, ile kto potomkom swoim pieniędzy zostawił i t. d. Nikt z współczesnych autora nie wyszedł cało. Kwas złęgo humoru piszącego, dotyka każdego. Książki takie nikogo nie uczą, nic nie budują, a nie-

smak i rozdrażnienie rodzą. Z pewnością nikt z dotkniętych nie odpowie autorowi. W tonie pisma jego leży ta pewność. Stał tam, z kąd obrażać nie można. Spokojny a sprawiedliwy krytyk spraw ludzkich, nie potrzebuje w sądzie o ludziach uciekać się do argumentów przeciwko nim, opartych na spisie potraw zjedzonych lub win wyszukiwać w tém, że ktoś w wista grywał, a inny nie piechotą ale końmi na spacer wyjeżdżał. Szkoda pracy i druku na książki takim tonem pisane, szkoda włosów siwych na swawole podobne. Nie można też nawet w sprawie studyów nad miejscem gdzie stała akademja krakowska, wchodzić w polemikę z p. Ekielskim; gdy rozprawiając o stylach budownictwa, nie pomysłał o pozyskaniu nawet elementarnych w tym kierunku wiadomości. Dość powiedzieć, że sądzi: iż np. kościół św. Idziego w Krakowie stanął (taki jak go dziś widzimy) w 1102 r. (!), że Św. Krzyż (krakowski) jest zabytkiem budowy z XII wieku (!!)

i t. d. O charakterze stylów architektonicznych nie ma piszący pojęcia. F.

Dra. M. Meiringa Gramatyka łacińska dla średnich i wyższych klas gimnazyalnych, na podstawie języka polskiego opracowana przez Ignacego Znamirowskiego. Lwów. 1869. 8-vo 556.

Autor w przedmowie podaje nam powód, dlaczego właśnie Gramatykę Meiringa wybrał, aby ją przełożyć na język polski i przerobić o ile język polski tego wymaga. Otoż mówi tłumacz raz dlatego, że dotąd w szkołach wykładano podług tej gramatyki a następnie „co ważniejsza, że między *wszystkimi* gramatykami układem, dokładnością, jasnością i zwięzłością celuje bezsprzecznie.” Zaiste zalety to pożądane, tém więcej że rzadko wszystkie razem się mieszczą, szczególnie w książkach szkolnych. Z dobrém więc z góry usposobieniem przystąpiliśmy do przeczytania tejże gramatyki z tém mocnym przekonaniem, że sąd wypowiedziany przez szanownego profesora ostoi się przed krytyką.

Po przeczytaniu i po rozważeniu miejsc celniejszych, które uważałem za kamień probierczy owych wymienionych zalet, w znacznej części zmieniłem moje dobre względem tej pracy usposobienie. Doczytałem się bowiem uchybień i względem układu i względem jasności i dokładności, co wszystko naturalnie zaleconej zwięzłości nie popiera. W całej pracy nie widać przewodniczącej myśli, pojedyncze części należące do jednej gromady mechanicznie tylko ze sobą spojone, t. j. jedna do drugiej dodana bez związku wewnętrznego, słowem braknie gramatyce owę or-

ganicznej jedności, która obmyślonego systematu jest dowodnym wyrazem. Autor właściwy stoi na stanowisku dawniejszej rutyny szkolnej; nie chwaleń tego, ale i ganić nie mam zamiaru. Szanując przekonania osobiste i ceniąc zalety szkoły dawniejszej nie poczytuję tego nikomu za złe niewybaczone; owszem szafarzom nauk, którzy się zaciągnęli pod sztandar szkoły nowszej polecić tylko można, aby się raczyli zapoznać z tym ogromem pracy, zasług i rzetelnych wiadomości, jakimi się odznaczała szkoła dawniejsza. Co się więc tyczy naszej gramatyki, autor tu i owdzie zakosztowawszy wiadomostek z zebranego skarbcu szkoły nowszej, chciał z nich zrobić dla szkół użytek. Ale czy to co czytał niedostatecznie rozważył, czy zgoła nie rozumiał o co rzecz idzie, uczynił to w sposób tak niezręczny i niefortunny, że mu ani jedna ani druga strona nie będzie wdzięczną i lepijby było, gdyby się nie był wcale tego przedmiotu tykał. Ztąd też w tém właśnie miejscu widać wahanie, gdy z jednej strony autor trzymać się pragnie drogi, zgodniejszej z dzisiejszym stanowiskiem nauk, a z drugiej zapada w ulubioną przez siebie rutynę dawniejszą, od której się nawet odczepić nie może. Cóż bowiem rozsądniejszego nad to, aby odmianę imion trzeciej deklinacji przejść podług wygłosu tematów; autor taki podział czyni w rozdziale XIV § 68—72, ale tego bynajmniej nie przeprowadza. Dlaczego? Czy z braku chęci albo możliwości? Mnie się zdaje, że tu sam autor ze sobą nie był w zgodzie, jakimby sposobem rzecz załatwić; widział że podział podług wygłosu jest konieczny, ale jak gdyby mu żal było dawniejszego sposobu wykładu, popada w dawniejszą rutynę i poświęca jej osobny rozdział (XV § 73—106) naturalnie z odpowiedniemi rozwinięciami treści. To jednak i w poprzednim mógł uczynić rozdziale. Wątpię czy przez to książka zyskała na jasności i zwięzłości i czy taki rozkład lub układ pochwalić można. Czuje to dobrze sam autor, ale cóż to nada, kiedy nie idzie za tém poczuciem mówiąc: „Chociaż się gen. w dekl. trzeciej nie od nominativu lecz od źródłosłowu tworzy” (naturalnie bo i nominat. od tegoż źródłosłowu się tworzy XVII § 68) „w praktycznym jednak użyciu jest rzeczą korzystną, umieć takowy wprost od nominativu tworzyć. Dlatego i t. d.” Większego mechanizmu w nauce być nie może.

Albo czy można było wypowiedzieć zdanie fatalniejsze, jak to: „Ablativus łączy w sobie znaczenie greckiego *genitivu* i *dativu* i można go uważać za przypadek z obydwóch zjednoczony.” (§ 540 Uw.). Rzeczywiście jest sztuką w mniej wyrazach błędniejsze wyrzec zdanie i *zwięźle* i *jasniej* udowodnić, że autor nie rozumiał o co idzie. Jeżeli bowiem *ablatus* jest z tych obydwóch przypadków zjednoczony, na cóż więc w ogóle służy *genitivus* i *dativus*? Spadków tych nie byłoby więcej potrzeba. Pomijamy tu greckie, wspomnijmy o tém przy ocenie Gramatyki Curtius'a, łaciński zaś *ablatus* nic nie ma wspólnego z *genitivem* i *dativem*, a tém mniej z greckim *gen.* i *dat.* Otóż nauka wykazała, że ła-

ciński ablativus przejął funkcje i zaginionego *Narzędnika* i *Miejscownika*. Jeżeli więc gram. łac. ma celować „układem,” powinna przy układaniu prawideł łac. ablativu na to zwrócić uwagę i mówić: 1) o właściwej funkcji ablativu 2) o ablat instrumentalis 3) o ablatiwie localis. W takim razie będzie i układ i rozkład rozsądny, a za nim pójdzie pożądana jasność, treściwość i zwiezłość. Tymczasem w gramatyce Meiringa, choćbyśmy tylko sam ablativus mieli na oku, nie widzimy najmniejszego rozkładu, to jest nie widzimy najmniejszej spójni między pojedynczymi ablatiwami, czyli owęj organicznej myśli, któraby wiązała pojedyncze części w większą całość. Przez to mechaniczne przyłączenie jednej części do drugiej powstaje zamieszanie i przynależne do siebie części zostają rozerwane (np. § 550 i 574 i wiele innych jak tu, tak i w innych częściach tejże gramatyki).

Zwróćmy się do § 470; autor mówi że na pytania gdzie? imiona miast singularia pierwszej i drugiej deklinacji (stoją) w genitivie, pluralia zaś i trzeciej deklinacji w ablatiwie. Zgoda na to, gdyby się tylko autor ograniczył na samem podaniu faktu, ale zapuszczając się w wyjaśnienie, czyni to tak niezręcznie, że trudno go zrozumieć. Niezawodnie myślącemu cokolwiek uczniowi dziwnem się wydaje, dlaczego jedne imiona wymagają genitivu inne ablativu; ale jeżeli na zaspokojenie ciekawości odbierze odpowiedź, jaką w objaśnieniu czytamy, nie wiem co sobie pomyśli, ale wiem, że nic nie zrozumie. Uwaga ta brzmi: „Jestto,” ów genitivus, „właściwie ablativus (!) na *i* (locativus) który się potem stał równy genitivowi: *Roma-i* w Rzymie, z tego powstało *Romae*, *Corinthho-i* w Koryncie (porówn. *Ὀλχοι*) po wyrzuceniu o *Corinthi*” i t. d.

Przechodząc do tej części gramatyki, w której mowa o funkcji *słowa* w zdaniu, i tu znajdziemy uchybienia podobnego rodzaju. Przeczytajmy np. § 640, gdzie autor wyjaśnia znaczenie konjunktivu: „Conjunctivus wyraża orzeczenie jako coś w *pomyśleniu* będącego np. *forsitan quaeratis* możebyście się zapytali t. j. czynność pytania wypowiedzianą o drugiej osobie przedstawiam sobie w myśli jako orzeczenie tejże; jest ona orzeczeniem, które tylko jest w mej *myśli* i które łączę z przedmiotem nie wypowiadając jednak przez to, że przy nim rzeczywiście ma miejsce.” Trzeba rzeczywiście się sadzić, aby tak nie jasno pisać po polsku. Czy uczeń zrozumie tę zawisłość? a zresztą jeżeli ją rozumie, wątpię o tem, czy podana definicya jest prawdziwą. Jest ona tylko częściowo prawdą, bo jest abstrakcją z Conj. potentialis; następnie tylko dla łaciny prawdą, bo Conj. potentialis np. w greckim żadną miarą przez Conj. oddanem być nie może. Takie to błędy powstają z niedostatecznego zrozumienia trybowości; bo jeżeli kto tyle tylko pisze, że tryby są „sposoby wypowiedziania” (§ 212) nie daje dosyć jasnego o trybie wyobrażenia. W § 643 czytamy, że conj. potentialis ma także czas przeszły „w wyrażeniach jakiemi

są: *diceres, crederes, putares... videres, cerneres.*" Owe Praeteritum nie ogranicza się bynajmniej na tych kilku słowach ani na jednej drugiej osoby; np. Cic. ad *diversos* II. 13. 3. *quis hoc putaret praeter me?* nam, ita vivam, putavi. Philip XI. 14. 36 An Antonios potius *ornarem*, non modo suarum familiarum sed Romani nominis probra atque dedecora?

Przerzuciemy stronnice: np. do str. 1. „Gramatyka łacińska dzieli się na dwie części: na naukę o formach i na składnię. Nauka o formach zajmuje się 1) *głoskami i zgłoskami* (głosownia) 2) *formami i odmianami form pojedynczych klas wyrazów* czyli części mowy (nauka o wyrazach). Czyż można głoski i t. d. subsumować pod rubrykę: *nauki o formach?* § 3 Uw. 3 „Również przechodzi *v* we flekcyi często na *u* jak *solvo, solutum;*” odwrotnie ma się rzecz na tym przykładzie, bo *v* powstało z *u* t. j. *se-lūo=solvo.* § 4 Uw. 2 „Zresztą przeszło greckie *v* na *i* jak *stilus (στῦλος)* *silva (ὑλή)*; albo na *u* jak *duo (δύο)* *mus (ἡὺς).*” Czyż autor rzeczywiście sądzi że *duo, mus, silva* z greckiego przyjęte?

§ 6. Podział spółgłosek po pracach *Brückégo* i M. Müllera powinien być inny; czyż to oznaką dobrego podziału, kiedy autor zniewolony jest wyrazić się tym sposobem: „Płynne są *l, m, n, r;* do nich przyłącza się także *syczące (sibilans) s.* Takiem samém prawem przyłączyć trzeba *v, f, j, h.* W uwadze czytamy: *Tenuis (mocna)* zamienia się przez przyczepienie *głoski h* na *aspirate;*” co to za mechanizm! § 9. Prawo „*dźwięczności*” ma wpływać na kontrakcyę; wyrzucenie *m* w *animus-adverto=animadverto* odnosi się do § 8. 4. „Przy odmianie i tworzeniu pochodnych wyrazów często się samogłoska na *dwugłoskę* zamienia (!); na to przykłady: *facio, conficio* etc. albo *plaudo=explodo;*” z ostatniego przykładu wnoszę że autor przeciwnie chciał powiedzieć. Dalej czytamy *au* „także na *oe* jak *audio obedio;*” to błędnie; bo *oe* powstało z *o+i* jak to wykazuje szereg: *aus-id-io=os-id-io=oid-io=oedio*, a złożone *oboedio.*

§ 36. Z rodzaju żeńskiego ze znaczenia bezpiecznie imiona, miast opuścić można, albowiem one się stosują w ogóle do rodzaju z zakończenia; jedynie zakończone na *us* (2 dekl.) są rodzaju żeńskiego.

Na tém kończę uwagi jakie mi się nasunęły przy czytaniu powyższej gramatyki; z tém wszystkiem, nie wypada sądzić, jakoby ona nie zasługiwała wcale na uwagę. Owszem znajdujemy w niej bardzo wiele materiału, z którego korzystać można, widać wiele pracy i zamiłowania, a w ręku zręcznego nauczyciela posłużyć może do szkolnego użytku.

Dr. Antoni Mierzyński.

Astronomia ludowa przez Juliana Fontanę. Poznań 1869, 8vo, str. 170.

Autor pomieścił w swojej pracy główne wiadomości z astronomii, przeznaczając takowe, jak pisze w przedmowie „tym właśnie, którym zbywa na wykształceniu naukowém.” Wątpić jednakże należy, czy nie posiadający odpowiedniego przygotowania mogliby odnieść jaką korzyść naukową, gdyby nawet dołożyli cierpliwości do przeczytania téj astronomii ludowej; nie tyle może trudności sprawiłyby im sam przedmiot, ile jego wykład.

Po krótkim historycznym wstępie wyjaśnia autor naukę o słońcu, ale zaraz w § 2 mówiąc o „heliacznym” wschodzie i zachodzie gwiazd, nie podaje nawet określenia tego wschodu, który zresztą dziś ma tylko znaczenie historyczne.

W § 7 mówiąc o parallaxie słońca powiada: „że zwykle obserwacje astronomiczne dla nieomyślności rachunku odnoszą się do środka ziemi, tak jakby postrzegacz znajdował się nie na jej powierzchni lecz w środku, téż samą fikcją przyjmując dla obserwatorów na innych ciałach niebieskich.” Ze spostrzeżenia ciał niebieskich robione na różnych punktach powierzchni ziemi odnoszą się do środka téżże, to zupełna prawda, ale czyni się to dla sprowadzenia wszystkich obserwacji do jednego wspólnego punktu, a nie dla „nieomyślności rachunku,” który jedynie zawisł od dokładności dat, do rachunku wprowadzonych i bieguności rachującego; koniec przytoczonego ustępu niema żadnej myśli, bo zkąd i co autor wie o obserwatorach na innych ciałach niebieskich?

W § 10 powiedziawszy o wirowym ruchu słońca dodaje p. Fontana: „A jeśli się obraca (słońce) około siebie samego, powierzchnia jego musi być kulistą.” Taki wniosek jest niezgodny z prawdą, bo właśnie ciała kuliste w skutek ruchu wirowego tracą swój kształt i ulegają spłaszczeniu pod biegunami, a wzniesieniu powierzchni pod równikiem; dowodem tego jest ziemia. Błędne także daje autor pojęcie ciężkości, nazywając ją w § 11 „spadaniem ciał.”

W § 15 podaje p. F. pobieżne wiadomości o lunecie południkowej, wernierze (noniuszu) i mikrometrze, ale właśnie w głównych punktach wykazuje brak znajomości przedmiotu; i tak powiada między innemi: „służą tu (do mierzenia kątów bardzo małych) lunety, których soczewka przedmiotowa, to jest zewnętrzna, bywa uzbrojona jedną lub kilkoma niciami pajęczyny, lub lepiej jeszcze platyny i na tych nitkach lub w pewnym stosunku obok nich, albo między niemi, oczekuje się chwili przejścia gwiazdy, gdy doskonały zegar astronomiczny wybija sekundy.” Dalej zaś daje takie określenie mikrometru: „Mikrometr jest małą lunetą z nitką do powiększenia rozmiarów bardzo drobnych zarysów podziału łuków. Przyłączony do lunety narzędzia ulega jej ruchom.” Kto-

kolwiek raz przypatrzył się bliżej narzędziom, o których tu mowa, mógł albo sam zauważyć, albo się od drugich dowiedzieć, że nitkami pajęczyny lub platyny nie jest soczewka zewnętrzna uzbrojona, gdyż takowe umieszczone są w jej ognisku, a więc blisko przeciwnego końca lunety, oprócz tego nie „na tych nitkach, lub w pewnym stosunku obok nich i t. d.” oczekuje się chwili przejścia gwiazdy, ale patrząc w lunetę uważa się i notuje chwilę, kiedy obraz gwiazdy przebiega przez pojedyncze nitki. Co do przytoczonego określenia mikrometru nadmienić wypada, że takowe jest zupełnie błędne; istotną bowiem częścią tak mikrometrów jak mikroskopów przy narzędziach astronomicznych, o których autor wspomina, jest śruba mikrometryczna, a nie „mała luneta z nitką;” nitka służy tu tylko do zaznaczenia ruchu tej śruby, a lupa częstokroć w podłużnej rurce, która autorowi wydała się „lunetą małą” pomaga oku do ocenienia, gdzie nitka pada. O ile wnieść można z toku przytoczonego § 15, chciał p. F. w powyższem określeniu mikrometru dać wyobrażenie o mikroskopach służących do dokładnego odczytania małych części podziału kół, za pomocą których oznaczają się zboczenia i wysokości gwiazd; w § 21 albowiem znowu mówi o mikrometrze „do miary średnic słońca” nazywając go także lunetą; narzędzie o którym tu mowa, nazywa się w rzeczy samej mikrometrem, nie jest atoli lunetą, tylko małym przyrządem złożonym z śruby mikrometrycznej i rozpiętych w ognisku lunety nitek pajęczyny lub platyny. Tak mikrometry jak mikroskopy są tylko dodatkowymi częściami narzędzi astronomicznych; bez wątpienia są one bardzo ważne i przy dokładnych obserwacjach niezbędne, ale w żadnym razie nie są lunetami. Już to przyznać potrzeba autorowi, że o narzędziach astronomicznych ma niewielkie wyobrażenie, bo czy to mówi o ich użyciu, czy o ich składzie lub umieszczeniu, wszędzie czyni to w taki sposób, jak gdyby tym narzędziom ani się nie przypatrzył bliżej, ani nie znał ich celu; nigdzie nie odróżnia istotnych części narzędzia od dodatkowych i według potrzeby rozlicznie odmienianych; tak np. w § 71 zalicza do narzędzi astronomicznych „nogi parallaktyczne,” które przecież niczem innem nie są, jak podstawą narzędzia. Każdy zaś przyzna, że nawet dobry opis narzędzia jest dla czytającego nie zawsze wystarczający, a cóż dopiero, gdy ten opis jest błędny albo niedostateczny? W wykładzie popularnym byłoby może lepiej omijać takie przedmioty, gdyż one raczej mieszają, aniżeli wyjaśniają tok opowiadanej rzeczy, albo też jeżeli już kto uważa za potrzebne wspomnieć o jakim narzędziu, mniemam, daleko lepiej postąpi, gdy to uczyni w osobnym przypisku.

W końcu § 21 tłumaczy autor w dowojaki sposób pozorne zwiększenie tarczy słonecznej, lecz takie tłumaczenie może dać tylko fałszywe pojęcie o rzeczy, osobliwie podane w drugim sposobie, gdzie powiada: „Jeśli wychodząc od poziomu wzniesiemy się po łuku prostopadłym aż do zenitu, przebieżemy tym sposobem

łuk 90 stopni. Ten łuk podzielmy na oko na dwie równe części wybierając gwiazdę, któraby zdawała się być równie oddaloną od zenitu i od poziomu. Mierząc potem jakim narzędziem wysokość téj gwiazdy nad poziomem dowiemy się z zadziwieniem, że wysokość ta wynosi zaledwie 23 stopnie zamiast 45. Widzimy więc, że dwa łuki, z których jeden ma 23°, a drugi 67°, zdają się równe, jedynie z powodu, że pierwszy jest blisko poziomu, a drugi dotyka zenitu." Nie wchodząc w ten osobliwy sposób dzielenia łuku na dwie równe części i mierzenia tychże, dającego na wypadek jednéj z tych części 23°, a drugieój 67°, wyrazić możemy wraz z autorem zdziwienie, lecz nie nad zjawiskiem, którego zapewne nietylko żaden astronom, ale nawet nikt zdrowém okiem w niebo się wpatrujący nie dostrzegł, tylko nad zamieszczeniem takiego złudzenia w książce mającej podać czytelnikowi najglówniejsze i z prawdą zgodne wiadomości z astronomii.

W § 68 jest mowa o kometach, ale przy wyjaśnieniu ich ruchu mylnie autor utrzymuje, że planety krążą po płaszczyźnie ekliptyki; bo chociaż koleje planet nie tworzą tak wielkich kątów z płaszczyzną ekliptyki, jak koleje wielu komet, wszelako mają do niej różną nachylenie. Nieco dalej podaje p. Fontana taki sposób wyrachowania powrotu komety: „Trzy obserwacye są konieczne dla astronomów do wyrachowania powrotu komety; ale postrzeżenia te w dawniejszych czasach zrobione były dla bardzo nie wielu komet. Ze zjawieniem się komety trzeba naprzód oznaczyć miejsce niebios gdzie jest widzialne; potem odległość między linią krzywą jaką zakreśla a ogniskiem, to jest słońcem; nareszcie węzły, czyli punkta przecięcia jęj okręgu z ekliptyką. Te dane pozwolą postrzegaczowi ocenić perihelię, t. j. punkt największego zbliżenia komety do słońca, co porównane z trwaniem zjawienia, łatwém robi przepowiedzenie powrotu, z uwagą zawsze na perturbacye od gwiazd innych." Cały ten ustęp miłoścy w sobie tylko gadaniuę niezgodną z prawdą, w której autor wykazuje nieznanąjomość przedmiotu i napróżno zasłania się łatwością przepowiadania powrotu komet; gdyby mu bowiem przyszło samemu zrobić zastosowanie swojego przepisu, zdumiałby się nad jego niedorzecznością. Jak się ma rzecz cała, opowiem: Przy pojawieniu się komety starają się astronomowie o zrobienie dokładnych jęj spozstrzeżeń, na różnych miejscach ziemi i w różnych przedziałach czasu, dopóki kometa widziana być może. W chwili samego pojawienia, kolęj, jaką kometa przebiega w przestrzeni, jest nieznaną i ażeby znaleźć takową, potrzebne są najmniej trzy obserwacye w różnych dniach zrobione. Z tych obserwacyj wyprowadza się przy pomocy rachunku tak zwane pierwiastki kolęj, a mianowicie: najmniejszą odległość od słońca, czas w którym kometa dosięga téj odległości, nachylenie jęj kolęj do płaszczyzny ekliptyki, długość punktu, w którym kolęj komety przecina ekliptykę, czyli tak zwaną długość węzła, wreszcie oddalenie tegoż węzła od punktu najmniejszój odległości komety od słońca. Te pięć ilości stanowią

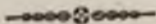
pierwiastki paraboliczne, które przy kometach niepowrotnych w zupełności są wystarczające i znamionują koleje, jakie komety w czasie swojego pojawienia się opisują. O powrocie takich komet już ani myśleć nie potrzeba. Inaczej ma się rzecz, gdy rachunek na podstawie spostrzeżeń wykonany pokaże, że kolej komety jest elipsą z większym lub mniejszym mimośrodem. Wtedy bowiem kometa raz widziana może po pewnym przeciągu czasu znowu powrócić, a kiedy to ma nastąpić wskaże nowy rachunek, w którym względ mieć należy na przeszkodę, jakim uleż musiał ruch komety w skutek działania planet, a nie gwiazd, jak p. F. utrzymuje.

Na str. 134 winien być przy komecie Halley'a rok 1682 zamiast 1862; liczba komet peryodycznych (powrotnych) jest większa, aniżeli ta, którą podaje p. Fontana.

Oprócz wytkniętych tu niedokładności są jeszcze pomniejsze, których trudno wyliczać; nie brak także w całej książce fantastycznych dodatków, przypuszczeń za prawdę głoszonych, a oprócz tego nowych nazwisk, jak „światłosfera” zamiast fotosfera albo światłokrąg, „zwichnięcie” zamiast przeszkoda, „Merkuryusz” za Merkury, „palce” przy wielkości zaćmienia księżycy i słońca zamiast cale; to znowu wcale niestosowne, jak: „Wenus kołysa się z jedną i drugą strony słońca,” albo „planeta kołysa się.”

Zaletą książki jest głównie to, że autor wiadomości potrzebne z geometrii podaje osobno w odsyłaczach, nie przerywając niemi opowiadanej treści, tudzież, że wcale nie złe figury uzmysławiające tu i owdzie opowiadanie są zamieszczone w tekście.

Porównyując w mowie będącą astronomią z podobnemi sobie w polskim języku pisanemi, przyznać potrzeba, że w ścisłości nie wszystkim sprostą, lubo przez swoją krótkość łatwiejszą czytelnikowi wydać się może. Zapewne nie łatwą jest rzeczą dla piszącego popularne dziełko pogodzić ścisłość naukową z przystępnością wykładu, gdyż tu potrzeba może lepiej znać całość przedmiotu, aniżeli nawet w samych teoretycznych wykładach; dlatego też pomiędzy książkami traktującemi o astronomii w sposób popularny największą mają wartość te, które przez ludzi tego zawodu są pisane; z takimi nie wytrzymają porównania prace dyletantów nauki. Na poparcie powyższych słów dosyć porównać Astronomią popularną napisaną przez p. Steczkowskiego i wydaną kilka lat temu w Krakowie z „Astronomią ludową” p. Fontany. W astronomii p. Steczkowskiego wszędzie widać pióro astronoma, który długi czas pracował bardzo czynnie na polu tej nauki; w astronomii p. Fontany zaś wszędzie dostrzega się rękę amatora, gromadzącą materiały do książki z różnych źródeł bez ocenienia ich wartości. P. Steczkowski tłumaczy rzecz jasno, chociażby nawet i dłużej, ale wszędzie odpowiednio stopniowi nauki ściśle i w związku pojedynczych części z całością; na książkę jego każdy czytający śmiało powołać się może, ale nie uczyni tego, jeżeli dobrze odczyta astronomią p. Fontany.



PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Dnia 15 września, p. Bilse, dyrektor królewsko-pruskiej orkiestry, ukończył czteromiesięczny sezon swych letnich koncertów w Warszawie. Ów szereg codziennych w Dolinie Szwajcarskiej uroczystości, to obfita kronika estetycznych dla Warszawian uciech, których każdy kosztować pragnął, aby szlachetnym upodobaniem swym zadość uczynić. W istocie koncert Bilsego, to jedna z tych uroczystości, gdzie sztuka, w całym majestacie powagi się przedstawiająca, otacza się ową czcią publiczną dla piękna, która tu swój tryumf nad zmysłowemi uciechami obchodzi. Umiał Bilse w ciągu siedmioletnich swoich sezonów w Warszawie tę cześć obudzić, owszem, znakomicie się przyłożył do wykształcenia pojęć muzycznych w ogóle, a w niejednej muzycznej duszy artystyczne zarzewie ogniem rozniecił. Takie postępowanie nie jest rzeczą łatwą w obec rozlicznych gustów publicznej melomanii, która nie zawsze chce używać przez kształcenie się i estetyczne smakowanie, która najczęściej występującego artystę w niewolę bierze i do swego poziomu nachylić usiłuje. Ale Bilse jest artystą z przeświadczenia i zamiłowania, a gorącą pracę swoją jedynie sztuce poświęca. To go czyni nietykalnym, a otacza go szacunkiem i głębokiem uznaniem.

Spróbujmy ocenić pracę Bilsego Orkiestra, to szkoła jedności małego muzycznego narodu. Każdy z członków tej kongregacyi przynosi z sobą mniejszy lub większy talent, mniejszy lub większy stopień szkolnego uzdolnienia. I oto wszystko co stanowi naturalny tego stowarzyszenia cement. Ale jednocześnie każdy tu wchodzi jako indywidualność niezależna, psychicznie uposażona a posłuszna przedewszystkiem prawom swęj własnej intuicyi. Każdy uczeń przechodzi szkołę na to, aby umiał swą własną treść wypowiadać, aby swym własnym artystycznym zapalił się płomieniem. To zwyczajna karyera wszystkich sztukmistrzów, a już najbardziej muzycznych, ile że wykonawstwo muzyczne nie ma innej ostoji jak tylko tę, którą samodzielność i osobista wirtuoza wartość stanowią. Ile wirtuozów, tyle sposobów uplastyczniania

piękna muzycznego, bo każdy zakłętemu w notacyi poematowi tylko swe własne życie nadać jest w stanie. Szkoła daje kierunek i ogólne zasadnicze wykształcenie, ale nie może ujarzmiąć ducha, którego natura, nawet w stosunkowo ubogiej organizacyi do wyzwolenia się ciągnie. A przecież sztuka muzyczna jest państwem samych ideałów, samych duchów. Otóż prawa orkiestralnego kolegium, ciężki hamulec tym artystycznym polotom kładą. Trzeba się rzec swęj indywidualności, trzeba ofiarę z siebie uczynić i umrzeć duszą, a to na korzyść ogółu, któremu ma życiem tchnąć dopiero przewodnik. Ledwie że nie jest marzeniem myśl osiągnięcia takiego zaprzania się w kole ludzi, których już samo powołanie na wyższym szczeblu umoralnienia stawia. Ztąd tak trudno o dobre stowarzyszenie muzyczne. Tylko przeważna część dla sztuki, tylko głęboka miłość piękna, powołać artystę może do spełniania roli, którą przesąd urojoném znamieniem niższości napiętnował. A jest to szkopuł o który się właśnie rozbijają wszystkie orkiestry, bo je podkopuje zwykła gra osobistych namiętności ambicyi i zawiści. Temi trudnościami nabrzmiwiają ważne organizatora orkiestry obowiązki. Niezłomną energią i rozumem potrafi on istotnie zaimponować gromadzie muzycznych rzemieślników, ale powinien czémś wyższém być nadto, aby sobie poddać mały świat istotnych artystów. Godłem takiego przewodnika nie jest sława lub uboczne materialne cele, ale apostołstwo dla sztuki, dla której umieć zwolenników zjednać. Wówczas, opierając się na gruntownej nauce i wysokim estetycznym wykształceniu, nieograniczoną budzić będzie ufność, i wszechwładnie temu niezależnemu państwu zapanuje.

Bilse jest bez zaprzeczenia takim przewodnikiem. Ztąd ów militarizm w jego orkiestrze, owo dobrowolne posłuszeństwo odnoszące wszystkie swoje uczucia do wspólnego ogniska, do wspólnej artystycznej ambicyi. Zgodność i doskonała spójnia stanowią tu główną dzielność orkiestralnej podstawę. W istocie też Bilse góruje przede wszystkim znakomitym organizatora talentem.

Ale to dopiero fundament, na którym wzniesić trzeba budowę egzekucyi muzycznej, a każdemu pracownikowi nadać rolę i charakter. Muzyka instrumentalna, to najwyższy objaw poezyi muzycznej, to dramat, w którym każda jednostka ma swoją właściwą sferę akcyi, swój własny organ, którym swoje stanowisko określa. Zanim się całość złoży, potrzeba pierwój pojedyncze wypracować głosy; każdy bowiem instrument ma inną naturę i każdy inną ma przedstawiać rolę. Dzisiejsza orkiestra już jest w istocie nader bogatym organizmem, obfitującym w rozliczne środki ekspresyi. Od najdelikatniejszych uczuć, aż do najgwałtowniejszych wybuchów namiętności, od niewieściej słodyczy i dźwięków miłosnych, aż do męskiej powagi; owszem, wszystkie cienie i kolory owego światła, którem poezya życia świeci, mają tu w intouacyi instrumentu swój idealny wyraz. Trzeba tedy wypracować każdego aktora i nałamać go do rzetelnego pojmovania swęj roli, bo

idzie tu o najdokładniejszą ekspresję, o ów charakter własny, indywidualny, jaki swój orkiestrze ma nadać dyrektor.

Znać na każdym z członków orkiestry Bilsego tę instrukcję przewodnika. Ztąd ta czystość i dokładność tonu, ta jasność w prowadzeniu motywów i w uwydatnieniu koloratury, z pomocą których najzawilsze węzły nowoczesnych kompozycji łatwo słuchacz rozwiązywać może. Nie czuje się tu przykrego pokonywanych trudności wrażenia; owszem, niknie tu i lekko przechodzi techniczna zręczność graczy, w posłudze wyższym, artystycznym pięknościami egzekucji. Ztąd owo złudzenie, w którym już nie poznać szorstkiego dotknięcia instrumentu, w którym słuchacz, miękkością tonu uroczonej, a spokojny ze strony mechanicznej dokładności, całkiem uwagę ku ideałom muzycznym ma zwróconą.

Wszakże i tak przygotowana orkiestra jeszcze dyrektorowi nie daje dostatecznych rękojmni, że potrafi zwycięzko z każdej wyjść walki. Każda wyższa kompozycja muzyczna z innego jest świata, każdy poemat jest z treści i formy odmienną od innych całością. Symfoniczne dzieła mają swoją historią, niby swoją ilustracją. Już słuchacz ukształcony o nią się dopomina; ale obowiązkiem dyrektora jest, dokładną posiadać znajomość onych natchnienia artystycznego źródeł. Trzeba się poznać z mistrzem i jego ducha na wskroś przeniknąć, owszem odgrzebać tradycje epoki i tajemnice żywota jego, aby tem lepiej odgadnąć w symbolach muzycznych zakłętę myśli. Zważmy nadto, że każdy kompozytor samoistny, tworzył swą własną szkołę, a wprowadzał nowe w technice i instrumentacji pomysły. Tu się dopiero rozpoczyna mozolna a nieustanna praca studyowania każdego pojedynczego dzieła i odszukiwania w niem piękności, które tak ze szczegółów, jak i z całości przeglądać mają.

Gorliwie też spełnia Bilse ową wyższego dyrektorstwa misję, a dość jest być symfonicznego koncertu uczestnikiem, aby podziwiać wszechstronne każdego dzieła opracowanie. Każda symfonia, każda uwertura inaczej są traktowane, a umie dyrektor nadać im najwłaściwszy charakter i najpiękniej przedstawić. Wiemy jakie skomplikowane trudności cechują romantyczny styl Schumana, jak nie łatwo poza potężną harmoniczną zasłoną poznać całe nową Wagnera ideę. Wszakże zwycięża pracowity artysta te olbrzymie kryteria muzycznej mądrości, a odsłania słuchaczom skarby piękna i świeżej, rodzimiej naszej sztuki staje się doskonałym tłumaczem. Jakichże nieprzyjaciół tak zwaną *muzyki przyszłości* nie nawrócił Bilse ku temu stylowi szerokiemu a potężnemu, gdzie wśród Goethowskich ideałów poezji, nikną małuczkie kwiaty liryzmu, gdzie słuchacz z uczującą zmysłami Italii, w nieznanne kraje najszczytniejszych marzeń przeniesionym się czuje. W tej niezwykłej Wagnera instrumentacji, w tych ostatecznych krańcach, do jakich skala każdego instrumentu doprowadzona, niknie w istocie pod czarodziejską laszczką Bilsego surowy materiał dźwięków. Niby wśród lazuro-

wego przestworza, prowadzi on myśl słuchacza ku oglądaniu onych cudownych światów, które się marzącej duszy Wagnera odsłoniły.

Ale wszystkie symfoniczne koncerty Bilsego wysoką mają artystyczną wartość, lubo egzekucya dzieł tego rodzaju jest rzeczą nader trudną. Symfonia, to epiozny poemat, to odtworzona w tonach owa pieśń, ogarniająca najszczytniejszą myśl wieku, która niedawno jeszcze areydzielami pięknego słowa jaśniała. Jak one poetyczne prawdy stawiały swych Dantów i Klopstoków na najwyższym piedestale artystycznego twórstwa, kładąc im w usta najpiękniejszą mowę; tak symfoniczne dzieło tą najwyższą jaśniej pięknoscią formy. Mistrz symfonicznej poezyi zgłębiał też same otchłanie prawdy i dlatego wypowiedział je językiem uroczystym, a pełnym głębokiego znaczenia. Tą uroczystością formy muzycznego poematu przejąć się powinien egzekutor. Wszystko tu ma cechę wyższości, więc motyw i styl, pojedyncze części i całość. Ale jak wyśpiewać owe widzenia mistrza, w których od majestatu do najsilniejszych uczuć przechodzi, od czarujących szeregów melody do przestrzennych harmonicznych obrazów; jak sobie począć z tą wszechwładzą dyssonansów, które zwłaszcza w dzisiejszym stylu istotną dla egzekutorów stanowią matnię. To jest zadanie natchnień genialnych, nigdy nieskończone. Któż się szczyć może, że jest doskonałym Beethovenowskich symfonicznych ideałów tłumaczem?

Bilse jest adeptem surowej szkoły klasycznej. Szanuje on przedewszystkiem wolę mistrza. Jest to bez zaprzeczenia wielką zaletą, bo się tym samym unika szkopułów, z zarozumiałości wynikających. Ale Bilse nie posuwa tej uległości aż do niewolnictwa i z tej strony uznajemy w nim artystę samodzielnego, który się potrafił wyłamać z pod dotychczasowych scholastycznych reguł egzekucyi. Zważmy, że zatopieni w swoje ideały kompozytorowie, nie zawsze umieli efektu orkiestralnej egzekucyi praktycznie oceniać. Nie umiał Beethoven prowadzić wykonania dzieł swoich, a jednak szukał w głowie nadzwyczajnych dźwięków, któremi chciał głębokie swe myśli wypowiadać. Toż dlatego cały ciężar i odpowiedzialność na wykonawcę zwał. Ale i znakologia muzyczna nie jest w stanie dokładnie punkta estetyczne określać. Jedyłą realną przewodniczką jest tu właśnie owa scholastyczna rutyna, która wszakże w zbyt ciasnych obwarowywa się granicach, aby być mogła wykształconego artysty prawem. Nadto zważmy, że dwa eufoniczne elementa orkiestralne, to jest instrumenta smyczkowe i instrumenta dęte, mają natury zupełnie sobie przeciwne i odmienne prawa akustyczne. Godzenie ich ze sobą jest rzeczą nader trudną, ile że nie każdy mistrz chciał matematycznie siłami dźwięcznymi rządzić. Obaczymy różnice orkiestry od Haydna. Tam tyle prostoty i wdzięku, bo orkiestra nie znała jeszcze owych niebezpiecznych metalowych głosów, jakimi się dramatyzm dzisiejszej sztuki posłu-

guje. Dlatego odznacza się wśród zawrotnej romantyczności naszej wytworony styl Mendelssohna i estetyczna umiejętność, z jaką środków harmoniczych używa. Jakoż w istocie w dzisiejszej orkiestrze, gdzie wszystkie siły dźwięczne są w ruchu, razi nie jedno wykonanie ściśle pojnowane.

Zważmy, że egzekucya muzyczna jest umiejętnością nieskończoną. Ztąd pod wielką względami wirtuoz wyżej od samego twórcy stoi. Jego posłannictwem nie jest samo bierne wygłaszanie myśli autora, ale nadawanie martwym znakom życia muzycznego. Rozciągłość brzmienia dźwięcznego, stanowi właściwą naturę idealnej sztuki muzycznej. Mistrz nie jest w stanie oznaczyć niezliczonych stopni tego brzmienia. Oddaje więc marmur swój w ręce natchnionego wirtuoza, aby go rumieńcem życia okraślił. Dla tej wysokiej swojej misji powinien być wirtuoz nietylko człowiekiem talentu, ale gruntowną nauką wypracowanym i estetycznie wykształconym sztukmistrzem. Talent nieswiadomy nadyma się pychą i zarozumiałością bez granic, a taki egzekutor nie może mieć tytułów istotnego wirtuozu i musi zostawać niewolnikiem litery. Ale traci na tem mistrz, któremu idzie o piękną duszę dla swych utworów. Ważną więc gra rolę w egzekucyi muzycznej niezależność i subiektywna artysty fantazyja.

Toż znakomity nasz dyrektor nie jednokrotnie tego wyższego artyzmu daje dowody. Każda wyższa kompozycya umiejętnie pod jego dyrekcją obmyślana. Ruch i akcent, niemal każde dotknięcie i cień najlżejszy, stanowią tu o poetycznej plastyce dzieła, które dla tego przesiąka duszą i natchnieniem egzekutora.

Ale najpiękniejszym tytułem sławy Bilsego, to kwartet smyczkowy. Wiemy jak ten rodzaj muzyki zapala amatorów. Grono czworąga zapaleńców tonie w kameraliach z fanatyzmem, godnym w istocie artystycznej miłości dla piękna. Bo też cudowna to muzyka. Już sama rodzina najpiękniejszych instrumentów i ich jednobrzmienną naturą, ujmują sobie najdelikatniejsze struny serca; a owa czterogłosowa harmonia, prosta i wzniosła, na której znać jeszcze tradycję religijną, jakieżże błogosławionem szczęściem przejmuję. Toż artystyczny zapal Bilsego dla piękności kwartetu w mistrzowskiej się uwydatnia egzekucyi, a najbardziej zdumiewa doskonała jedność wielolicznie obsadzonych partyj. Jakaż tu elegancya i wytworność stylu, jaka ekspresya i moc uczucia, a już nieopisanym urokiem wdzięczą się tu cudowne w cieniowaniu i gubieniu tonów efekta. Niezatatartem wrażeniem zostaną nam w pamięci owe wieczory, na których Bilse, niby brylantem stroił swój program jakimś kwartetowym urywkiem.

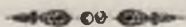
Repertoar Bilsego, zawsze pełen najpiękniejszych utworów, jakie tylko sztuka muzyczna posiada, nieustannie nowemi odświeża się nabytkami, owszem cokolwiek nowego na horyzoncie filharmonicznym się ukazało, nie omieszkał Bilse warszawskiej przedstawić publiczności. To też w ciągu lat siedmiu

obznajmił on nas z temi arcydziełami wielkiej muzyki, które nie łatwo w pięknej egzekucyi słyszeć się dają, chociażby nawet w zagranicznych stolicach.

Nauczył Bilse kochającą muzykę Warszawę, pojmovać najwyższe tej sztuki piękności. Warszawa też go cenić umiała. Każdy piękniejszy jego koncert był zaiste tryumfem artysty wśród uwielbienia słuchaczy. Z przyczyny Bilsego mieliśmy wiele estetycznych przyjemności, wiele chwil istotnej radości. Niechże nam wolno będzie złożyć publicznie hold znakomitemu artyście, w dowód serdecznej wdzięczności i rzetelnego uznania.

Opera nasza używała w lecie spoczynku. Przedstawiono wprawdzie kilka nowych rzeczy, pomiędzy któremi „Pierwszy dzień szczęścia” Auber’a. Ale w lecie publiczność z trudnością dla poważnych rzeczy daje się w murach zamykać. Za to też „Piękna Helena” ściągala tłumy, zawsze ciekawe rozgłośnych teatralnego wandalizmu produkcyj. Offenbachowskie bachanalie, gdzie ani muzyki, ani dowcipu nie ma, przynoszą ze sobą ową zarazliwą atmosferę, która już w zbytkującym Paryżu sztukę na karykaturę wykrzywia. W istocie, estetyczną zasługą byłaby wstrzemięźliwość tego teatru, któryby się dziś od powszechniej zarazy uchronić potrafił.

Bolesław Wilczyński.



WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

Wrzesień 1869 r. — Kiedy na początku XVIII wieku, teatr w Warszawie otwarty był bezpłatny, i opera niemiecka dawała swoje przedstawienia, nikt do niego zajrzeć nawet nie chciał, i tylko dwór go odwiedzał. W pół wieku później, twórca teatru polskiego Wojciech Bogusławski, zamilowanie do szlachetnej sztuki dramatycznej począł rozszerzać: on głównie wpłynął na ustalenie widowisk scenicznych tak w Warszawie, jak Krakowie, i Lwowie. Za dni naszych upodobanie dla teatru, nabrało szerokich rozmiarów: dwa teatry w Warszawie pokazują się że są niedostateczne dla zadowolenia liczniejszych coraz lubowników sceny, którzy wyglądają tęskliwie na teatr trzeci, ale w cenach tańszy. Trafiając w upodobanie ogółu, powstają coraz nowe towarzystwa dramatyczne wędrowne, które po większych miastach prowincjonalnych ściągają niemałą liczbę widzów. Na czele takowych postawić należy truppę aktorów pod dyrekcją Anastazego Trapszy, zdolnego artysty teatrów warszawskich, która czas nie mały bawiła w Kaliszu: inne towarzystwa, aktorów są: pod zarządem pani Aloizy Bucholtzowej, Alexandra Carmantranta, Henryka Modzelewskiego, Jana Okońskiego, Antoniego Raszowskiego, Pawła Ratajewicza, Jana Rusanowskiego, Felixa Stobińskiego, Konstantego Sulikowskiego. Dziesięć więc jest towarzystw, które w Królestwie na przemiany w większych i mniejszych miastach i miasteczkach dają widowiska. Latem kilka z nich osiada w Warszawie, i w ogródkach otwiera scenę. Koleje każdego z tych towarzystw byłyby nie mało zajmujące, gdyby znalazły wiernego kronikarza. Ze w takich wędrownych truppach nabierają niemało doświadczenia scenicznego młodzi aktorzy, i wychodzą z nich wielcy i znakomici artyści, mamy najlepszy dowód, iż z towarzystwa Chelchowskiego wyszli Jan Królikowski, Józef Rychter, Józef Komorowski i dwaj bracia Chomińscy.

— W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego wyszło dzieło p. n. „Dzienniki sejmów walnych koronnych za panowania Zygmunta Augusta króla polskiego, W. X litewskiego 1555 i 1558 r. w Piotrkowie złożonych.” (w 8ce VIII. 324). W przedmowie wydawcy czytamy. „Sejmy z roku 1555 i 1558 nie zostawiły śladów ani w zakresie prawodawczego, ani dziejowego piśmiennictwa: toczące się bowiem na nich rozprawy nie doprowadziły do uchwalenia konstytucyi, któreby do zbioru praw wciągnąć się dały. Próźni tój i dziejopisarze nie zapełniają: Łukasz Górnicki cieka-

wy acz pobieżny historyk, nawiasowo tylko o tych dwóch sejmach wspomina, a Stanisław Orzechowski, pisarz niebezpieczny, bo stronniczy, acz nieoceniony, bo bystry, wątek opowiadania urywa przed rokiem 1555. Dzienniki więc, ogłaszane zapewniają dotykálny brak źródeł. W owych latach w politycznym zakresie zajmowała sejmy egzekucja praw, pod którą ukrywała się dążność do rozbicia systemu możnowładczego, i do ostatecznego oparcia rządów na demokracji szlacheckiej. W zakresie religijnym na sejmie, stronnictwo protestanckie domagając się soboru narodowego, pragnęło przeprowadzić oddzielenie państwa od kościoła, chciało zatem wyjednać równe uprawnienie religijne. Usiłowania w tym kierunku były potężne: większość izby poselskiej stanowili protestanci, wypadek w dziejach naszych jedyny. Większość ta atoli nie przeprowadziła zadania swojego, i protestantyzm który na tych sejmach pokazał się i dzielność jak nigdy przedtem, zaczął odtąd słabnąć. ażeby następnie upadł. Sejmy więc te stanowią jakby znak odgraniczający lata największej siły protestantyzmu u nas. Pierwotwór rękopismu tych dzienników znajduje się w oddziale rękopismów łacińskich Biblioteki Cesaarskiej w Petersburgu, dokąd przeszedł z Biblioteki Żakuskich." Wydanie staranne i ozdobne, ale nie widzimy powodu, dlaczego ze ścisłością dyplomatyczną, wydawca drukował te dzienniki, podług pisowni oryginalnego rękopismu, kiedy pod względem języka nic godnego uwagi nie ma, a sprowadza tylko utrudzenie w czytaniu. Już Mikołaj Malinowski gorąco wystąpił przeciw tej pedanteryi i jasno pokazał, w jakich wypadkach podobna ścisłość uchodzić może.

— Towarzystwo Lekarskie Warszawskie ogłosiło konkurs na opis wybranej dowolnie miejscowości topograficzno-lekarskiej. Program tego konkursu, ułożony przez komitet z łona tegoż Towarzystwa, obejmuje następane szczegóły:

I. Wstęp geograficzno-historyczny. Dokładne oznaczenie granic miejscowości, będącej przedmiotem badań topograficzno-lekarskich. Długość i szerokość geograficzna, krótki rys historyczny miejscowości z uwzględnieniem ruchu zaludnienia w rozmaitych epokach, przebytych epidemii, i tych zmian bądź politycznych, bądź innych (osuszenie błot, założenie nowych fabryk, wytepienie lasów, zmiana w sposobie życia i zajęciach mieszkańców i t. d.), które mogły wpłynąć na ludność miejscowości i na powstanie lub ustanie chorób (szczególniej endemicznych).

II. Opisanie powierzchni danej miejscowości. Góry, wyniosłości i ich wysokość. Niziny, równiny, stopy. Wyniesienie powierzchni nad poziom morza i jej rozległość. Geologiczna budowa kory ziemi w tej miejscowości. Bogactwa mineralne i kopalne. Grunt, urodzajność i uprawa ziemi.

III. Wody stojące. Rzeki, źródła i t. d. Temperatura tych wód w rozmaitych porach roku i ich skład chemiczny. Wody mineralne. Rozlew y wód, czas i rozległość rozlewów. Badania nad

ilością gruntowej wody w rozmaitych porach roku (według Pettenkofera). Błota, trzęsawiska.

IV. Meteorologiczne spostrzeżenia. Średnia temperatura roku i każdego miesiąca z osobna. Średni stan barometru w rozmaitych miesiącach roku. Ilość dni pogodnych, pochmurnych, dżdżystych i śnieżnych. Ilość wody atmosferycznej spadłej w postaci deszczu i śniegu w każdym miesiącu roku. Panujące wiatry. Hygrometryczne i ozonometryczne spostrzeżenia.

V. Flora miejscowa ze szczególnym zwróceniem uwagi na rośliny dające pożywienie, a także rośliny lekarskie i zdrowiu szkodliwe. Choroby roślin i wpływ ich na ludzi i zwierzęta.

VI. Miejscowa fauna, najbardziej zwierzęta oswojone, domowe, tudzież szkodliwe choroby epizootologiczne.

VII. Ludność danej miejscowości. Liczba mieszkańców według płci, wieku, rasy, wyznań i t. d. Stosunek do przestrzeni zamieszkałej. Zajęcia i sposób życia mieszkańców. Stosunek ludności wiejskiej do miejskiej. Stan przemysłu i fabryk. Statystyka ludności według zajęć, oraz wpływ tych zajęć a szczególnie fabryk na zdrowie pracujących. Uszkodzenia od maszyn rolniczych. Pokarmy i napoje. Ilość trunków (spirytusowych) wypitych w ciągu roku. Mieszkania prywatne pod względem higienicznym. Mieszkania i budynki publiczne, jak kościoły wszelkich wyznań, szkoły, łaźnie, szpitale i apteki. Cmentarze. Po miastach ulice, ścieki, kanały, wychodki i t. d. pod względem higienicznym i lekarsko-policyjnym.

VIII. Choroby zdarzające się w ogólności między mieszkańcami. Czy w przebiegu chorób nie dają się zauważyć jakie zmiany zależne od wpływów miejscowych. Choroby częstsze i rzadsze. W jakich porach roku jakie choroby i w jakich punktach miejscowości panują mocniej. Szczepienie ochronne ospy krowiej. Częstość syfilitycznej choroby. Ruch wojsk w danej miejscowości. Przyczyny miejscowe chorób. Choroby endemiczne i epidemiczne. Choroby od których najwięcej umiera ludzi w danej miejscowości z wykazaniem stosunku umierających z tych chorób do pozostających przy życiu. Dokładna statystyka lekarska szpitali i innych dobroczynnych zakładów znajdujących się w danej miejscowości. Uwagi pod względem terapeutycznym. Środki lekarskie, używane przez lud prosty, i przesady lekarskie ludu. Praktyka nielegalna.

IX. Ruch ludności w danej miejscowości w ciągu ostatnich lat. Ilość nowo-narodzonych dzieci płci męskiej i żeńskiej, tak ze ślubów małżeńskich jak i ze związków nieprawnych. Liczba umierających w ciągu ostatnich lat według płci i wieku, w tej liczbie i samobójstwa. W jakich porach roku największa śmiertelność, i w jakiej najwięcej dzieci przychodzi na świat. Z przytoczonych danych obliczyć: 1) średnią roczną cyfrę urodzeń; 2) średnią roczną śmiertelność; i 3) długość życia średnią mieszkańców. Przykłady należyście stwierdzone największej długoletności. Ilość zawartych małżeństw w ciągu roku, i stosunek w ogólności osób w sta-

nie małżeńskim zostających do osób niezamężnych. Przeciętna płodność małżeństw. Czas pokazania się i ustawiania menstruacji u kobiet.

X. Na podstawie wszystkich wyżej przytoczonych poszukiwań, wyprowadzić wnioski co do wpływu miejscowości na stan zdrowia ludności i co do użycia możebnych środków higieniczno-policyjnych, dla zabezpieczenia ludności od szkodliwych czynników, i dla polepszenia stanu ogólnego zdrowia mieszkańców.

— W Poznaniu J. K. Zupański wydaje w pysznej ilustrowanej edycji: „Rok myśliwca przez Wincentego Pola, z rysunkami Juliusza Kossaka;” praca ta śpiewaka *Mohorta* była poprzednio już drukowana w Tygodniku Ilustrowanym. Wychodzi teraz w formacie ćwiartkowym bujnym drukiem, z drzeworytami nabytymi od wydawcy pomienionego tygodnika J. Ungra. Druk już rozpoczęty w zakładzie typograficznym autora „Chaty za wsią” i „Witoloraudy.”

— Piraterya księgarzy poznańskich, coraz zuchwalsze przybiera rozmiary. Już tę kradzież literacką Wincenty Korotyński w Gazecie Warszawskiej obszernie wykazał co do pism ś. p. Ludwika Kondratowicza, teraz czytamy w N-rze 186 Kuryera Warszawskiego:

„Czytelnicy pamiętają zapewne, jak przed półtora rokiem wszystkie pisma peryodyczne idąc za prądem opinii publicznej, jednogłośnie potępiły niegodziwy postęp p. M. Jagielskiego, księgarza poznańskiego, który skrzywdziwszy wdowę i dzieci po nieboszczyku Syrokomli, jak równie właściciele pism jego, ośmielił się przedrukować arbitralnie wszystkie pisma zgasłego poety. Potępienie tak było jednozgoduém, że ani jedno pismo nie wystąpiło w obronie wydawcy, księgarze zaś wszyscy wiedzeni uczuciem sprawiedliwości nie sprowadzają wcale tego nakładu, ujmę przynoszącego naszemu wydawnictwu.

Zdawałoby się, że kara taka dostateczną być powinna dla powstrzymania i tego przywłasciciela i innych jemu podobnych od popełniania nadal nadużyć tego rodzaju. Jako żywo! Ale są ludzie, niepoprawni i niczem niepoprawieni.

Pan Jagielski widocznie do liczby tych ludzi należy.

Niedawno znowu bezprawnie przedrukował skróciwszy o połowę, książkę do nabożeństwa p. t. „Katolickie Nabożeństwo” przez Józefa Żubieńskiego napisaną a będącą własnością H. Natanson'a i znowu jak najspokojniej na niej swą firmę wystawił.

Jakkolwiek podobny sposób postępowania nie jest wcale godnym zazdrości, na tém polu wszakże nie pozostał p. Jagielski bez naśladowców. W samym Poznaniu znalazł on godnego siebie naśladowcę i współzawodnika w osobie niejakiego p. Lissnera, antkwaryusza tamecznego.

Pan Lissner przedrukował obcnie własność Gebethnera i Wolffa, książkę do nabożeństwa p. t. „Cicha iza chrześcijańska.” Nie starał się zgłębić o zachowanie w tym względzie pozorów przy-

zwoitości. Dał ten sam format (in 32), zachował też samą ilość stronnic (611) i na początku umieścił nawet tę samą approbatę kościelną.

To już co się zowie bez subjekeyi, wystąpił w szranki z podniesioną przytłbicą. Nikt nie potrzebuje nawet łamać sobie głowy nad tém, kto się pod nią ukrywa.

Ci panowie tém się zastaniają że konwencya nie istnieje. Święta prawda! Ale zapomnieli, że jest jeszcze opinia publiczna, a to dla nich nie bardzo rzecz wygodna.

Mamy nadzieję, że inne pisma równie też się odezwą w tej sprawie i stosownie do własnych przekonań o niej zawyrokują.

Dodać tu jeszcze musimy, że jakkolwiek wszyscy księgarze warszawscy tym postępkim oburzeni, żadnego z powyższych przedruków nie sprowadzają, jest wszakże jedna firma w Warszawie otwarcie je sprzedająca. Wspominamy o tém na życzenie wszystkich księgarzy, pragnących się usunąć od wszelkiej z tą firmą solidarności."

— W zimowym semestrze 1869/70 są zapowiedziane w niemieckich uniwersytetach następujące kollegia bliżej nas obchodzące: 1) w *Greisswald*: Privatdocent *Pyl*, będzie miał konwersatorium o „Starożytnościach pomorskich.” 2) w *Królewcu*: prof. *Kurschat*: Gramatyka litewska; objaśnienie poematu Donalejtisa Rok; Litewskie Seminarjum. Docent *Pelka* (zapewne Pełka): Polskie Seminarjum. 3) w *Berlinie*: Lektor *Pietraszewski* będzie czytał Gramatykę turecką i tłumaczył Kirk Wezira, tudzież język perski i Zend w polskim lub rossyjskim języku. 4) we *Wrocławiu*: prof. *Nehring*: Słowiańskie starożytności; objaśnienie pomników słowiańskich i staro-polskich. Docent *Krański*: Literaturę słowiańską i Gramatykę polską; Literaturę polską i polską wymowę kościelną. Lektor *Fritz*: Polską Morfologią (Förmenlehre—naukę o odmianie wyrazów); objaśnienie jakiegoś pisarza polskiego. 5) w *Wiedniu*: prof. *Miklosich*: Starosłowiańską gramatykę; porównawczą składnią narzeczy słowiańskich. 6) w *Pradze*: prof. *Hattala*: porównawczą naukę o głoskach główniejszych narzeczy słowiańskich; zarys historii lingwistyki w ogóle, a w szczególności słowiańskiej (oba te kollegia będzie czytał w języku czeskim); o ważności języków słowiańskich dla lingwistyki indo europejskiej i filologii klassycznej (po niemiecku). Lektor *Kolar*: Składnia języka polskiego ze zwróceniem uwagi na pozostałe narzecza słowiańskie (po czesku); Okres III historii literatury polskiej czyli złota epoka Zygmuntońska; *Marya* powieść ukraińska przez A. Malczeskiego (dwa ostatnie kollegia po polsku).

Wykazy z *Jena* nie doszły nas jeszcze, możemy się jednak w nich spodziewać wykładów odnoszących się do rzeczy naszych, a mianowicie professorów: *Caro*, pod względem historii i *Leskiena* pod względem języka. Ten ostatni jeden ze zdolniejszych uczniów ś. p. prof. *Schleichera*, dotychczasowy docent w *Getyndze* świeżo został wezwany na professora porównawczej lingwistyki do *Jena*.

Mamy nadzieję że godnie w przyszłości zastąpi dotkliwą stratę, jaką poniósł lingwistyka porównawcza w ogóle a szczególnie lingwistyka słowiańska, przez zawczesną i niespodziewaną śmierć ś. p. profesora Schleichera.

† Dnia 9 sierpnia r. b. umarł ś. p. Franciszek Radziszewski szef wydziału administracyi i kontrolli w Komisji Rządowej Sprawiedliwości. Nabywszy od p. Netta prawo wydawnictwa *Kalendarzyka Politycznego*, przez lat kilkanaście, bo do roku 1849, zajmował się jego redakcją. Główną treścią tego kalendarzyka był spis władz i imienny spis urzędników Królestwa Polskiego: ale w końcu mieścił ciekawe wiadomości statystyczne i historyczne. Zbiór ich zupełny, dziś rzadkość bibliograficzna, obejmuje nieobojętne dla badacza zasoby.

† Dnia 17 sierpnia r. b. zakończył życie w Wilnie Januarey Filipowicz. W r. 1810 był redaktorem i wydawcą czasopisma „Lud i czas,” prócz tego brał udział w wielu przedsięwzięciach literackich i pisywał do wielu dzienników i gazet. Głośniejszą jego pracą była broszura p. n. *Pomieszanie Jarosza Bejły*, w której wystąpił przeciwko dziełu Henryka Rzewuskiego: „Mięszaniny.”

† W ostatnich dniach sierpnia r. b. zmarła ś. p. Gabryela z Günterów księżna Puzynina we własnym majątku Horodziłowie. Niepospolitego talentu autorka, a wiele jej pism drukiem ogłoszonych, wylicza Encyklopedia Powszechna.

† Dnia 14 września r. b. umarł w Warszawie w 80 roku życia Teodor Heinrich, członek Głównej Rady Opiekuńczej zakładów dobroczynnych i właściciel apteki. Na polu literatury znany z kilku prac ogłoszonych drukiem: 1) *Farmacya*. Dwa tomy. Warszawa, 1834. 2) *O używaniu wód mineralnych naturalnych*. Trzy wydania od r. 1842. 3) *O środkach, za pomocą których można poznać dobroć lekarstw przy rewizyi apteki*. 4) *Zbiór chemiczno-farmaceutycznych wiadomości, w zastosowaniu do teoryi i praktyki*.

† Dnia 23 września r. b. zmarła w 54 roku, Eleonora z Gagatkiewiczów Ziemięcka, znakomita pisarka, wykształcona własną pracą, poświęciła wyłącznie pióro swoje badaniom filozoficznym. Wystudyowawszy utwory Chateaubrianda, pani de Staël, i Beniamina Constant, starała się poznać z filozofami niemieckimi, a głównie z systematem Hegla; pierwsza też ośmieliła się wyrzec w rozprawie swój o filozofii, którą nasze pismo umieściło (Biblioteka Warszawska 1842 r.) że uważa ten systemat za niezgodny z religią chrześcijańską. W dziele: *Mysli o wychowaniu kobiet* (Warszawa 1842

r.) starała się wykazać godne stanowisko kobiety w obecnym wieku. Pragnąc zdobyć swoje naukowe i studia upowszechnić, zaczęła ś. p. Ziemięcka od roku 1841, wydawać pismo peryodyczne p. n. *Pielgrzym*, którego przez lat pięć do roku 1846 była redaktorką. Znakomici współcześni pisarze podpierali to wydawnictwo pracami swemi. W roku 1856 wydała: „Zarysy filozofii katolickiej.” W roku 1860 w Wilnie drukowała *Studya*, obejmujące wiele oddzielnych artykułów, a największy ustęp poświęciła rozbirowi kursów literatury słowiańskiej Mickiewicza, oraz umieściła rozprawę: „Rys piśmiennictwa naszego od roku 1830” napisany w roku 1857. Przetoczyła *Kalistę* powieść księdza Newmana, i ważne dzieło ks. Marena: *O godności rozumu ludzkiego*. Ostatnią jej pracą jest przekład z francuzkiego *Przewodnika filozofii* (Manuel de Philosophie) ułożony przez najznakomitszych myślicieli francuzkich dla użytku młodzieży (Tomów 2, nakład Alexandra Nowoleckiego). Poprzednio w roku 1860, wyszły jej pióra: *Powieści ludowe*, a w roku 1864 pierwszy tom: *Kursa nauk wyższych dla kobiet*. Odtąd ciężka niemoc przykuła ś. p. Ziemięcką do łoża boleści, z którego po pięciu latach cierpień przeniesiono jej zwłoki do trumny. Wszystkie prace tej autorki, odznaczają się pięknym językiem, jasnym wykładem myśli, a nieraz wzniosłymi prawdziwie ustępami. Ś. p. Ziemięcka wpośród liczego grona piszących Polek, zajmuje oddzielne stanowisko, bo poświęciła wyłącznie pióro poważnym badaniom naukowym a głównie filozofii. Pogrzeb jej w dniu 25 września r. b. był wymownym dowodem szacunku jaki zjednała sobie zmarła, nietylko jako literatka podniosłego talentu, ale jako i niewiasta polska. Żałobny korowód otaczający karawan składał się przeważnie z intelligencji krajowej. Zwłoki zgastej pochowane zostały na Cmentarzu Powązkowskim.

—>>><<<—

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Sierpień, 1869.

Średnia wysokość barometru miesięczna	751.119	27	8.967
Najwyżej barometr dochodził d. 27 o g. 6 rano	758.84	28	0.835
Najniżej — — d. 10 o g. 10 rano	735.13	27	1.880
Średnia dzienna zmiana barometru	3.421		1.514
Największa dzienna zmiana barometru d. 9—10 o godz. 6 rano	10.05		4.455
Średnia wysokość barometru jest większą o	1.612		0.713
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	749.507	27	8.254
Średnia temperatura sierpnia wynosi	+ 17 ^o .52 C.	+	14 ^o .02 R
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.24	"	1.79 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 2—3 o godz. 4 po poł.	+ 12.8	"	+ 10.2 "
Średnia temperatura lipca jest niższą o	0.50	"	0.40 "
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	+ 18.02	"	+ 14.42 "
Termometrograf wskazał: Maximum: +32 ^o .9 C. = +26 ^o .3 R d. 1 po poł.			
Minimum: + 6.6 " = + 5.3 " d. 31 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 72.0 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 10,8 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 0.7 setnych od normalnej (72.7).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 90.7 mil. czyli 40.21 lin. par., więj o 17.7 mil. czyli 7.85 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w sierpniu spada (73.0 mil. czyli 32.36 lin. par.).

Dni pogodnych 7, napółpogodnych 3, pochmurnych 16.

— deszczu 18: (d. 2, 3, 6, 7, 8, 10, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 22, 24, 25, 30 i 31).

— mgły 2: (d. 18 i 26).

— gradu 1: (d. 2).

— błyskawic i grzmotów 2: (2 i 6).

— błyskawic bez grzmotów 4: (d. 1).

— wichrów 3: (d. 2, 6 i 10).

Wiatr panujący północny i zachodni.

Sierpień b. r. był napółpogodny, dżdżysty i niezbyt ciepły. Średnia jego temperatura jest 14.0 stop. R. o 0,4 stop. R. niższa jak w stanie normalnym a o 2,0 jak w r. z. Prócz pierwszych dwóch dni miesiąca odznaczających się niezwykłym upałem, temperatura powietrza przez cały miesiąc była mało zmienna i nie wiele odstępowała od stanu normalnego, dopiero d. 31 powietrze nagle się ochłodziło. Największe ciepło było 26.3 stop. R. d. 1 po południu, a najmniejsze 6,3 stop. R. d. 31 rano. Największa zmiana dzienna temperatury 10,2 stop. R. przypadała z d. 2 na 3. Stan barometru, podobnie jak temperatury nie wielkim w ciągu miesiąca ulegał zmianom, w ogólności jednak utrzymywał się nieco wyżej jak zwykle; średnia jego wysokość jest 27 cali 8,97 lin. par. o 0.71 większa jak normalnie. Największa jego zmiana dzienna 4,46 lin. par. przypadała z d. 9 na 10 gdy księżyc znajdował się najbliżej ziemi. Deszcze padały często, lecz nieobficie z wyjątkiem d. 2 t. m., w którym ilość spadłej wody podczas burzy i ulewę przeszło godzinę trwającej była nader znaczna. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny jak zwykle; stosunek bowiem dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 7,2 : 13,1 : 10 : 7, gdy w b. m. tenże stosunek jest jak: 7 : 8 : 16. Wiatry panujące były północny i zachodni.

D. 11 rano spostrzeżono słońce boczne.

W d. 15, 28 i 29 widziano drobne plamy na tarczy słonecznej.

D. 2 sierpnia wieczorem, w całym prawie Królestwie srożyła się burza z błyskawicami, grzmotem, ulewą i gradem, która znaczne w kilku miejscach zrządziła szkody.

D. 6 straszna burza nawiedziła powiat pleszowski (w Poznańskim); grad przez pół godziny padający pokrył ziemię warstwą lodu na kilka cali grubą.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stóp 3 cali 4.2 n.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 28..... stóp 10 " 4 " "

" " najmniejsza " d. 11 i 12... stóp 2 " 10 " "

KILKA SŁÓW
O SATYRYKACH RZYMSKICH

I W PRZEKŁADZIE CZTERNASTA SATYRA JUWENALISA „O WYCHOWANIU.“

NAPISAŁ **J. Wolfram.**

Satyra, jako osobny rodzaj poezji dydaktycznej jest własnością Rzymian. W Rzymie ona powstała, wykształciła się i przeszła do innych narodów. Wyszydzanie, przedrzewianie i krytykowanie przewrotności, błędów i przywar, leżało prawie w charakterze Rzymian; najstarsze ich poezye były dlatego już satyrycznymi, chociaż nie były jeszcze satyrami. Fescenniny, najdawniejsze ich poezye ludowe, będące początkiem dramatu rzymskiego, były satyrycznej treści; pieśni żołnierzy śpiewane przez nich w czasie tryumfu wodza wchodzącego do Rzymu, w których krytykowano jego czyny i charakter, a których ślady mamy już w bardzo dawnych czasach, bo za Cincinnata i Kamilla, były może małemi satyrami; tego jednakże, co się nazywa satyrą w rozumieniu naszym, t. j. poezji dydaktycznej, mającej na celu wytykanie błędów i słabości panujących w narodzie, albo przynajmniej w jakiejś narodzi części, z chęcią poprawienia tego, co złe, jest twórcą Luciliusz. Przed Luciliuszem nazywano w Rzymie satyrami poezye urozmaicone mieszaniną jakąś przedmiotu, formy, wiersza, a nawet języka. Ponieważ zaś ich treścią była zwyczajnie krytyka osób, życia, obyczajów i stosunków, ztąd nazwisko satyry stało się właściwem poezji dydaktycznej, która nie miała już wprawdzie pierwotnego satyry charakte-

ru, t. j. mieszaniny, ale karciała obyczaje i błędy ludzi w celu naprawienia ich.

Enniuszowi, żyjącemu przed Luciliuszem przyznają sześć książek saryr; jakimi one jednakże były, z pewnością powiedzieć nie można; ale zdaje się, że się opierały na dawnych owych ludowych Fescennińskich dyalogach, że dlatego może i miały dyalogi osób rozprawiających ze sobą o jakim przedmiocie i były zarazem obrazkami z życia ówczesnego socjalnego i politycznego, mieszczącemi w sobie zdania moralne, sentencye poważne i prawidła życia. Te satyry Enniusza, ile z bardzo drobnych resztek wnosić można, nie miały jeszcze w sobie pewnego stałego charakteru.

Satyra nie zawsze jest na czasie; zdaje się ona być poezją wymagającą pewnego, odpowiedniego sobie położenia, pewnych jakichś stosunków i nienormalnego życia narodu. Można by prawie twierdzić, że czasy, w których się satyrycy pojawiają i satyra kwitnie, są czasami potrzebującymi ludzi, którzyby błędy społeczeństwa wytykali w chęci naprawy tego, co jest złe, czyli, że pojawiające się satyry mogą być prawie uważane za dowód zepsucia obyczajów w narodzie. Prawdy tego twierdzenia można by gdziekolwiek dowieść z łatwością; potrzebaby się tylko rozpatrzyć w czasach, w których się satyrycy pojawili, a przekonalibyśmy się, że to były czasy potrzebujące naprawy, chłosty i nauczycieli, którzy z miłością szczęścia narodu, widząc złe zgubą narodowi grożące, znając świat i ludzi, mając charakter prawy, występują w dobrej wierze i w dobrej chęci, nie wahają się narażać na przykrości, byle tylko powiedzieć prawdę, spełnić obowiązek obywatelski i to mieć zadowolenie, że ile w ich było mocy, czynili, by odwieść nieszczęście i niedolę zagrażającą narodowi. My tu mówiąc o Rzymie jako o twórcy satyry, rozpatrzymy się pod tym względem w jego historii i czasach.

Chociaż może Enniusza satyry nie były jeszcze prawdziwie dydaktycznymi satyrkami, w rozumieniu naszym, miały one jednakże pod pewnymi przynajmniej względami przymioty satyrze właściwe. Enniusz żył od roku pewnie 240 do 169 prz. Chr., więc w czasach począwszy od końca pierwszej wojny Punickiej, aż mniej więcej do bitwy pod Pydną, w której macedoński król Perseusz pobitym został przez Emiliusza

Pawła, a Macedonia w prowincyję rzymską zamienioną została. W tym czasie przypadła więc druga wojna Punicka, wojny Macedońskie, wojna z królem Antiochem i kilka jeszcze mniej ważnych wojen, czyli są to czasy, w których Rzym jak gdyby poczuwając się do panowania nad światem, podbija wszystko naokoło siebie, zdobywa, zagarnia i zaczyna w sobie gromadzić bogactwa, mające dla niego być w przyszłości źródłem osłabienia i nieszczęścia. Jakkolwiek w życiu i charakterze rzymskim pojawiały się już wtenczas wyraźnie zarody złego, potrzeba było być jednakże człowiekiem bystrym, bardzo doświadczonym i prawym, aby w pozornem szczęściu i powodzeniu widzieć początki osłabienia, aby więc wtenczas już widzieć, co było złem i chcieć to naprawić. Enniusz był w rzeczy samej, jak mu wszyscy współcześni i późniejsi przyznają pisarze, człowiekiem szlachetnym, bystrym, do bardzo wysokiego stopnia wykształconym, kochającym Rzym i jego przyszłość. Miał więc przymioty potrzebne dla satyryka, który chce być nauczycielem narodu i dlatego wystąpił jako satyryk. Że zręszą było już wtenczas co w Rzymie ganić, tego dowodem i to jeszcze, iż oprócz Enniusza pojawiają się równocześnie i inni satyrycy jak: Pakuwiusz, Pomponiusz, Newiusz; o ich satyrach nie można jednakże nic bliższego powiedzieć.

Pomiędzy Enniuszem a Luciliuszem upłynęło czasu dosyć; żył bowiem Luciliusz od roku 148 do mniej więcej 103 prz. Chr., więc od trzeciej wojny Punickiej aż do najścia Cymbrów i Teutonów na państwo Rzymskie. W przeciągu zaś tego czasu przypada: zdobycie i zburzenie Kartaginy, podbicie Grecyi, wojna z Pergamem, wojna z Numancyą, z Jugurtą, a wewnątrz zaburzenia Grachów. Są to zatem wypadki i chwile, w których obyczaje rzymskie mają już wyraźne i bardzo groźne znamiona zgnilizny i zepsucia, chwile, które już bardzo potrzebowały środków na powstrzymanie i wyniszczenie tego, co miało zgubić to potężne i dotąd tak jędrne i zdrowe ciało Rzymu. W takim tedy czasie wystąpił Luciliusz i stworzył rodzaj poezyi odpowiadający potrzebie, za pomocą której przemawiał do narodu dla jego dobra i szczęścia. Jego satyra była dydaktyczno-polityczną poezją, której rzymsko-narodowy charakter polegał na tém, iż była pisaną w celach praktycznych, Rzymianinowi właściwych, dążących do naprawy obyczajów. Każe on bowiem:

«Złych ludzi i zwyczajów być nieprzyjacielem,
 A obrońcą i ludzi dobrych i zwyczajów;
 Na pierwszém stawiać miejscu dobro swój ojczyzny,
 Na drugim s wych rodziców, na ostatniem własne».

I odtąd była satyra niejako t \acute{e} m, cz \acute{e} m byli cenzorowie w państwie; jak bowiem cenzorowie z powinności stróżami byli obyczajów, tak satyra i satyryk czuwał z poczucia obywatelskiego, wytykając Rzymianom to, co było zł \acute{e} m w życiu, w obyczajach, w sztuce, w języku, w poezyi i t. d. Od tego więc czasu miała satyra juź właściwą sobie formę i treść; co było zł \acute{e} , co było głupie, znalazło krytyka w satyrze, która to albo z śmiesznej chwyt \acute{a} ła strony i wyśmiewała, albo t \acute{e} ż wykazując, co zł \acute{e} , lub szkodliwe za pomocą szyderstwa, lub ironii starała się o naprawę obyczajów i tego, co naprawy potrzebowało. I odtąd t \acute{e} ż jest satyra doskonałym obrazem życia i charakteru Rzymian; z ni \acute{e} j wi \acute{e} c \acute{e} j nieraz, niź z historyi możemy poznać ich życie domowe, prywatne, familijne, ich cnoty i niecnoty obywatelskie.

Luciliusz jest pomiędzy poetami Rzymu pierwszym należącym do wyższych sfer społeczeństwa; jako taki mógł on wi \acute{e} c \acute{e} j, niź jego poprzednicy znać naturę, cnoty, przywary i błędy, życie i obyczaje tych ludzi, którzy przodują narodowi, mają w rękach jego losy, którzy więc, dopóki w nich siła, charakter, rozum i uczciwość, mogą być sprawcami szczęścia narodu; ale bez tych przymiotów ciągną za sobą w przepaść miliony; mógł więc, powiadam, z t \acute{e} m wi \acute{e} kszą znajomością i z t \acute{e} m wi \acute{e} kszą pewnością przemawiać do równych sobie, którzy t \acute{e} ż jako od swojego przyjmowali chętniej przestrogi i nauki, jak od ludzi, poetów, jakiemi byli poprzednicy Luciliusza, należący do najniższych warstw ludności rzymskiej. A przyjmowali te przestrogi może i dlatego jeszcze chętniej, iż musieli pojąć i zrozumieć, że Luciliusz, jako człowiek bystry, zdolny, twórczy i genialny a przede wszystkim szanowny i prawy, kochający jako obywatel swój naród i jego przyszłość, widząc, jak bardzo zmieniły się obyczaje tego narodu, jak miejsce dawniej skromności i uczciwości w życiu zajął zbytek i rozpusta, jak rozrzutność, a z nią i chciwość w narodzie, a szczególniej pomiędzy pierwszymi w państwie w zastraszający wzmag \acute{a} ła się sposób: nie co innego miał na celu, tylko dobro ogółu, kiedy współobywatelom te ich wady wykazywał. Luciliusz zaczepiał

w satyrach swoich wszystko i wszystkich, względny będąc, jak mówi Horacyusz, dla samej tylko cnoty i dla jej przyjaciół. A chcąc tém pewniejsze i mocniejsze sprawić wrażenie i tém więcej wpłynąć na swoich współobywateli, stawia on zwykle obok siebie dwa ze sobą sprzeczne obrazy, w świetle jasnym i pięknym wystawiając życie przodków, w cieniu zaś życie współczesnych sobie brzydkie i odstrasające. Oprócz wad i występków wyżej przytoczonych, t. j. oprócz zbytku, rozpusty, rozrzutności, chciwości, lichwiarstwa, siekł on już wtenczas wraz z niemoralnością wkradającą się bezbożność, zaniedbywanie wiary przodków i obrzędów religijnych, malując przytém jasno osoby i charaktery do wyższych stanów należące, które były jakoby reprezentantami tych występków, a zarazem nauczycielami i przewodnikami w złém dla innych, od siebie niższych.

Luciliusz znając drażliwość ludzi, iż niechętnie przyjmują nauki i niechętnie słuchają krytyki na swoje obyczaje i życie, i chcąc być pewniejszym wpływu słów swoich, potrafił tak je układać, że surowość i szorstkość myśli i krytyki łagodził doborem wyrazów, dowcipem i żartem nieobrażającym, unikając zawsze ironii, która rzadko cel swój osiąga. Ponieważ zaś przez cnotę i prawość charakteru potrafił sobie zarobić na imię prawdziwego, zacnego i czcigodnego obywatela: musieli ci, którzy się słowami jego dotkniętymi czuć mogli, a nie zupełnie jeszcze byli zepsutymi, czcić z całym narodem cny jego patryotyzm, zamiłowanie cnoty i gorącą chęć służenia współobywatelom i krajowi. Czczono go więc ogólnie i nie widziano nawet dlatego usterek w jego poezjach pod względem sztuki, albo języka, gdyż dla treści swojej, dla swoich dążności, dla charakteru swojego były one narodowymi poezjami, w których każdy z dobrą wolą widząc obrazki z życia narodu brane, mógł się przegłębiać, a w poczuciu obywatelskiem mógł z nich dla siebie czerpać naukę.

Z kolei wypada nam choć kilku słowy wspomnieć Marka Terrencjusza Warrona; napisał on bowiem podobno aż 96 satyr, których jednak przechowane resztki tak są drobne, iż z nich nie można dokładnie poznać i odgadnąć planu i przeprowadzenia myśli. Tyle tylko jest pewnym, że wierny pierwotnemu o satyrze pojęciu, urozmaicał utwory swoje miesząc prozę z poezją, łacinę z greczyzną i t. d. a treścią

ich były to błędy ludzi, to sceny z życia, to nauki i literatura, to polityka, to wypadki historyczne.

Więcej powiedzieć trzeba o satyrach Horacego. Jak Warro wedle tego, cośmy krótkimi słowy o jego satyrach wspomnieli, zbliżył się do Enniusza, tak Horacyusz idzie w satyrze drogą przez Luciliusza wskazaną, ale pomiędzy Luciliuszem a Horacyuszem taka jest różnica, jaka jest pomiędzy pierwszą a drugą książką satyr Horacyuszowych, albo, jaka jest pomiędzy człowiekiem nieskrępowanym żadnymi względami, położeniem, okolicznościami, który przed sobą nie widzi nic więcej, jak dobro ogółu, w obec którego on sam niknie, a człowiekiem, który ulegając sile losu i okoliczności, uznaje za dobre to, co jest; a chociaż ma jeszcze jakieś z dawniejszych czasów wspomnienia, zachęcające go, aby przemawiał do współobywateli wedle potrzeby: widząc się skrępowanym interesem prywatnym, nie chce się narażać opiekunom swoim i dlatego pisząc, jest oględnym, unika wszystkiego, co drażliwe.

Pierwszą książkę satyr swoich napisał Horacyusz prawdopodobnie pomiędzy 39 a 35 rokiem prz. Chr; drugą zaś pomiędzy 34 a 27 rokiem prz. Chr. Kiedy pisał pierwszą, był jeszcze swobodnym, nieskrępowanym względami; bo chociaż znał już Mecenasa, nie był mu jednak jeszcze jak się zdaje, winien wdzięczności. Kiedy zaś pisał drugą księgę satyr, był już w posiadaniu wioski sabińskiej, darowanej mu przez Mecenasa i był już bliżej znany Augustowi. Pomędzy temi więc dwiema książkami satyr jest dlatego różnica wyraźna, a przyczyną jęj nie są lata autora, ale jego stosunki; nie większa rozumu dojrzałość, ale większa rozważa i ostrożność wywołana przez stosunki.

Horacyusz uważając, że satyra z tego samego wypływa źródła, co starogrecka komedia, przyznaje, że jęj zadaniem jest: występować z całą surowością przeciw zdrożnościom i błędom; powiada on, że Luciliusz tak czynił; ale ponieważ satyra, wedle jego zdania, musi się tak bardzo wielu niepodobać ludziom, dlatego, że się przez nią mogą czuć dotkniętymi: woli być ostrożnym i unika przedewszystkiem tego, coby dotyczyło polityki, życia publicznego Rzymu, zmiany rządu i obywateli. Luciliusz występuje jako republikanin, a widząc nieszczęście zagrażające państwu w politycznym jego urządzeniu, w zepsuciu obywateli i urzędni-

ków, brał przedmioty do satyr swoich z życia politycznego i publicznego. Horacyusz może już w części i nie mógł na tém polu zostać, gdyż musiał uważać na zmianę nie tylko stosunków politycznych państwa, które mu nie dozwalały mówić, coby chciał, ale i na własne położenie swoje i na usposobienie wreszcie i zepsucie narodu, który w miarę właśnie tego zepsucia, mniej chętnie z pewnością gotów był przyjmować prawdę szorstką i otwartą. Zresztą może Horacyusz nie tylko nie chciał i nie mógł stanąć zupełnie obok Luciliusza, ale może i nie widział już złego tak jasno, jak je widział Luciliusz, chociaż to złe było wtenczas o wiele jaskrawsze i wiele więcej było go w Rzymie; a nie widział dla tego, iż należąc do ludzi, których pojęcia i uczucia różniły się już bardzo od pojęć i uczuć dawnych Rzymian, pochwalał w wielkiej części to, co się Luciliuszowi nie podobało, a obojętnie patrzył na to, co było narodu zgubą; nie był on, jedném słowem, już obywatelem, któryby był czuł do żywego położenie narodu i któryby był chciał zniszczyć co złe: za bardzo chciał on i umiał stosować się do okoliczności. Dla tego też przeszedł on w satyrach swoich na pole życia towarzyskiego, a mając w nich wzgląd raczej na rzeczy ogólnie ludzkie, jak na potrzeby narodowe, własne, uczynił on satyrę ogólną, własnością więcej wszystkich czasów i narodów, niż czasu swojego i narodu rzymskiego; uczynił ją kosmopolityczną, kiedy satyra Luciliusza była czysto narodoworzyską.

Horacyusz uważając, że prawdę mówić wśród śmiechu i żartu skuteczniejszém jest często, jak używać siły jakiegóś i być szorstkim, surowym i gwałtownym w słowie; czując, że satyryk powinien mieć i okazywać wszędzie ogładę i delikatność w słowie: opiera wszystko na żarcie, na ironii, której Luciliusz wcale nie zna, i na przeczeniu; dlatego jest mu występki błędem tylko i głupstwem, cnota jest mu rozumem. Jego dowcip jest bystry, a uderza nim rzadko w pojedyncze osoby; jego celem są zwyczajnie stosunki literackie i towarzyskie, których słabości wystawia ze strony przewrotnej i śmiesznej; treść zaś każdej satyry przyczepia do wypadków życia, a w nich do pewnej jakiegóś, zwyczajnie urojonej osoby, ale on sam jest punktem środkowym, naokoło którego obraca

się wszystko i grupują się opowiadane zdarzenia, malujące ogólne stosunki życia.

Horacyusz sam powiada, że jego satyry są owocem studyów, jakie nad człowiekiem robił, że ojciec jego już go dawno zachęcał, aby się przyglądał życiu ludzi i że spostrzeżenia swoje zwykł był spisywać w wolnych chwilach. Ztąd też satyry jego są pod wielu względami, podobnie jak kome-dya, zwierciadłem życia i jakoby księgą mądrości życia.

Od pojawienia się satyr Horacyuszowych upływa lat kilkadziesiąt do wystąpienia równoczesnych sobie satyryków Persiusza i Juwenalisa. Tę przerwę wypełniają ostatnie lata panowania Oktawiana Augusta, lata panowania Tyberyusza, Kaliguli, Klaudyusza i Nerona. Kto zna historią rzymską tych czasów, nie będzie się dziwił, że lubo one bardzo bogaty dawały materiał satyrykowi, boć obyczaje Rzymian były już za Oktawiana Augusta czasów ogromnie zepsute, że jednakże wtenczas nie pojawili się satyrycy; bo to były czasy, które nie bardzo zachęcały do wypowiedania myśli i do krytykowania obyczajów i zwyczajów w kraju. Zdanie Tacyta o tych czasach: iż nie zbywało na mężach wykształconych, którzyby byli chcieli pisać prawdę, ale że ich odstraszało panujące pochlebstwo; że o panowaniu Tyberyusza, Kajusza, Klaudyusza, Nerona podawano fałszywe za ich życia z obawy, a po ich śmierci pisano o nich nie bez nienawiści: to zdanie, powiadam, mogło być zdaniem i wielu innych, którzy przez obawę nie brali się do pisania o tém, co było złe, nie chcąc się narażać na niebezpieczeństwo i dla tego w czasie tym nie pojawiają się satyrycy.

Persyusz który się urodził r. 34 po Chr. a umarł młodzińcem będąc, bo już w 62 r., był od Horacego czasów pierwszym dopięro satyrykiem. Żył on więc jako dziecko w ostatnich latach panowania Tyberyusza, dalej przez czas panowania Kaliguli i Klaudyusza, a umarł za panowania Nerona. W tym więc czasie pisał on satyry swoje; ale na pewne twierdzić można, że za jego życia znali je tylko najbliżsi jego przyjaciele, którzy zebrane później dopięro ogłosili, kiedy czasy i okoliczności mniej już były groźne.

Z Persyuszem i Juwenalitem powraca satyra znów na pole polityczne, z którego ją giętki i ostrożny sprowadził Horacyusz, obierając ją w przeciwstawieniu do Luciliuszowej

satyry z interesu politycznego. Stoicy stanęli w pierwszym wieku po Chrystusie na czele opozycji, a bronią, którą mogli walczyć przeciwko istniejącemu porządkowi, była pomiędzy innymi satyra. Występować jednakże śmiało i otwarcie niebezpieczną było rzeczą; w interesie więc własnym i w interesie sprawy, dla której występowała w szranki, musiała być ostrożną i zachowywać wszelką, możebną oględność, musiała działać jakby z ukrycia.

Tak działał jako satyryk Persyusz. Wykształcony przez stoików i ich przepełniony zasadami i dążeniami, widząc okropność upadku moralności w narodzie, patrząc ze zgrozą i boleścią na złe obyczaje jednych z współobywateli swoich, a na obojętność i zdrętwiałość drugich, chciał tak, jak Luciliusz służyć krajowi, czém mógł, i użył satyry jako środka mającego niszczyć zgniliznę i być jakimś przynajmniej lekarstwem na głębokie narodu rany. A ponieważ był to charakter jakich nie wiele było w tych czasach ogólnego zepsucia i ponieważ charakter prawy, zacny, czysty, otwarty, wszędzie z pewnością poszanowanie znajduje i gdziekolwiek się pokaże, czczonym bywa nawet przez tych, którzy obyczajami, dążeniami, zasadami najzupełniej się różnią; ponieważ wreszcie, co uczciwe nie może nie wywierać dobroczynnego wpływu nawet na najgorsze i najwięcej zepsute dusze: dlatego Persyusz, lubo to taki młody wieszcz, lubo taki niby niedoświadczony nauczyciel, znalazł chętnych sobie, szanujących jego dążenia, pochwalających jego prawość i szlachetność duszy. Ale nietylko współcześni jemu i ci, którzy w najbliższych po nim żyli czasach, znajdowali pociechę, albo naukę dla siebie w Persyusza słowach, bo nawet i wiele jeszcze później były one dla swęj prostoty i prawości podziwiane, a przez Ojców kościoła nawet polecane. Bo téż każdy musi uszanować w Persyuszu wielką nienawiść występków i gorącą miłość cnoty. Ta miłość cnoty zachęca go do gromienia wszystkiego, co złe, a słowa jego oburzenia zaprawione goryczą. Niewinność młodeńczego serca jest u niego źródłem zapału i gorliwości w walce z występkiem i grzechem. Szkoda, że Persyusz umarł tak wcześnie; w latach, które przeżył, nie mógł on, jak się zdaje, poznać jeszcze wszystkiego, co było złem w Rzymie; nie mógł dosyć dotrzeć do źródła zepsucia,

nie mógł zbadać dosyć gruntownie położenia społeczeństwa rzymskiego; dlatego też znał on złe w większej części tylko z opowiadania i przez ludzi starszych, z którymi obcował. Brak gruntownej znajomości serca ludzkiego przebija w słowach Persyusza; mamy w nich raczej rozmyślanie człowieka piszącego, że tak powiem, w celi odciętej od świata, a nie obrazy obyczajowe rzucone na papier jasno, przejrzysto, ze znajomością przedmiotu, ludzi i świata. Podrażniony tęp, co myśli, obrzuony na to, co obraża szlachetne jego uczucie, wyrzuca on w uniesieniu i gniewie gorzkie myśli swoje bez doboru wyrazów. Bo też wcale nie dba o to, aby się słowa jego podobały; przeciwnie może on z umysłu chce pisać strasznie o rzeczach strasznych; nie myśli więc o tęp, aby tak, jak gładki Horacyusz, pobudzać czytających do śmiechu lub wesołości, bo nie chce, aby się kto weselił z upadku moralności współobywateli; chce on raczej wywołać odrazę do tego, co złe; chce obudzić oburzenie i pogardę nikczemności, podłości i upadku, pogardę, jaką sam czuje dla podłości w swoim sercu, jaką kieruje jego piórem. Dlatego też pewnie słowa jego nie wszędzie są nawet zrozumiałe i jasne.

Satyr Persyusza mamy sześć, z których w pierwszej wytyka błędy poetów i mówców; w drugiej wypowiada trafne i głębokie myśli co do życzeń, pragnień i dążeń ludzi; w trzeciej potępia lenistwo młodzieży; w czwartej mówi o urzędnikach, ubiegających się o urzędy, do których nie mają zdolności; w piątej, z którą się zwraca do szanowanego przez się nauczyciela swojego Kornuta, wypowiada myśli, na czém polega prawdziwa człowieka wolność; w szóstej mówi z naganą o cheiwości i tych ludziach cheiwych, którzy gromadzą bogactwa na to tylko, aby je ich spadkobiercy roztrwonili.

Prawie równoczesnym z Persyuszem był Juwenalis. Żył on od 42 albo wedle innych od 47 r. do 120 albo i 130 r. po Chr.; doczekał się więc późnej starości, a żył za panowania cesarzów: Klaudyusza, Nerona, Wespazyana, Tytusa, Domicjana, Nerwy, Trajana, a nawet i przez kilka lat panowania Adryana. Juwenalis pisał satyry jako mąż już dojrzały wiekiem i rozumem. Przez długi bowiem czas był podobno retorem w Rzymie, albo może prawnikiem-obroncą; jako poeta wystąpił zaś pewnie dopiero po śmierci Domic-

cyana, a więc w tych czasach, w których i Tacyt pisać się odważył; gdyż pierwsze jego wystąpienie z małą jakąś satyryczną poezią na pantomima Parysa, ulubieńca Domicyana, jak najogólniej sądzą, miało być przyczyną wygnania wedle jednych do Egiptu, wedle innych do Brytanii, gdzie mu wyjechać kazano jako dowódcy kohorty. Na wygnaniu spędził więc Juwenalis lat kilkanaście; w pierwszych jednak latach panowania Trajana, więc na jakie 20 lat przed śmiercią, był już znowu w Rzymie i wtenczas pewnie dopiero pisał satyry, których my mamy 15; szesnasta bowiem, którą pomiędzy jego satyrami zamieszczają, nie jest pewnie jego satyrą.

Juwenalis pokazuje się w swoich satyrach człowiekiem wytrawnym i doświadczonej, znającym niemoralność Rzymu z życia i brzydzącym się nią. Z Horacyuszem ma Juwenalis wspólność nauki i wiadomości, z Persyuszem wspólność goryczy, z którą mówi o występkach i błędach i wspólność celu t. j. naprawę tego, co złe i przystąpienie się krajowi; ale niższym jest on od Horacyusza pod względem uprzejmości i gładkości, od Persyusza pod względem głębokości uczucia; wyższym jednakże od nich pod względem bujnej fantazyi i ognia namiętności i uniesienia. Persyusz filozofuje, Juwenalis zaś moralizuje przeprowadzając myśl powziętą do końca wedle obmyślanego planu, niekiedy nawet zbyt ją rozprawiając w szczegóły; ale ją wypowiada otwarcie i jasno, nie ukrywa nic, co myśli. Chcąc cel swój osiągnąć t. j. naprawiać złe, ile możności, a wiedząc, że prawda często w oczy kole, opiera on opowiadanie swoje na czasach starożytnego Rzymu, mówi o skromnym życiu przodków, o uczciwych i szanownych obyczajach, przywołuje na pamięć rzeczy z dawniejszych czasów narodu, aby w ten sposób czarne i ciemne strony życia współobywateli w tém posępniejszym wystawić światło, aby tém większą obudzić w czytelniku zgrozę i odstraszyć go od złego, a zachęcić do zatrzymania się na wygodnej, choć brudnej drodze występku i grzechu i do zawrócenia na drogę prowadzącą do cnoty, a tém samém do szczęścia własnego i ogółu.

Juwenalis jest w wyraźnej i zaciętej opozycji do tego, co widzi na około siebie, co go oburza; ale nie jest on, jak Horacyusz, środkowym punktem, na około którego gru-

pują się wypadki i osoby występujące w satyrze, lecz patrzy całkiem obiektywnie na to, co go otacza.

Piętnaście satyr Juwenalisa są jakoby systematycznie zestawionemi obrazkami obyczajów i życia Rzymian; ale są to obrazki, do których nakreślenia maczał autor pióro w sercu goryczą przepełnioném, nie przez nienawiść społeczeństwa, nie przez niechęć do stosunków, ale jedynie przez nienawiść tego złego, tego brudu i kału, w którym zagrzązał naród, z którego wyjść już nie miał, który musiał do rozpacz doprowadzać ludzi dobrej woli i obywateli prawdziwych, nie mogących znaleźć środków na oczyszczenie narodu. Bo środek taki, jakim jest satyra, może być dobry wtenczas, kiedy w narodzie jest jeszcze jakaś siła moralna i żywotnia, kiedy w nim niezupełnie jest wytępioną miłość i pojęcie obowiązków obywatelskich, kiedy w sercach jest jeszcze religia oparta na miłości Boga i bliźniego, kiedy złe nie ma jeszcze zupełnej nad cnotą przewagi. Ale na czasy w których Juwenalis pisał w Rzymie, satyra już nie wystarczała; czuł on to pewnie i dlatego tém więcej zaprawiał słowa swoje goryczą i nienawiścią znikczemnienia, zniewieściałości, brudów, kału, zgorzenia, i niemoralności wszelkiego rodzaju. „Ktoby był chciał Rzym wtenczas ratować i był miał po temu siły, powinienby był starać się o stworzenie nowego narodu, a dokazać tego mógł był jedynie przez zupełną zmianę wychowania. Wychowanie jest podstawą i źródłem szczęścia, albo w ogóle przyszłości każdego narodu, mianowicie wychowanie, jakie się odbiera z domu pod okiem rodziców lub starszych. Rzymianin młody w Juwenalisa czasach nie mógł w domu dobrego wychowania odebrać; gdyż ojciec i matka zgnilizną niemoralności zarażeni nie poczuwając się do obowiązków swoich, zgnilszemi jeszcze i gorszemi od siebie uczynić mogli dzieci swoje. Na wielkie złe trzeba było w Rzymie wielkiego użyć środka, silnego, gwałtownego, ale jedynie skutecznego lekarstwa, t. j. odjąć rodzicom zupełnie wpływ na wychowanie dzieci, oddać wychowanie młodego pokolenia na kilkadziesiąt lat państwu, aby wyrósł naród nowy, zdrowy i silny. Czuł to Juwenalis, czuł i Persyusz, gdyż w goryczy swojej mówią oni często o wadliwych stronach wychowania i o szkodliwym wpływie rodziców na dzieci. Juwenalisa obraży obyczajów i życia

Rzymian są w wielu miejscach oddane z takim doborem kolorów ponurych i ciemnych, odpowiadających ponuręj jego myśli, że kto tylko ma w sobie jakieś uczucie, kto się czuje obywatelem państwa i kocha swój naród, w tym musi zgroza sama obudzić życzenie, aby nigdy nikt takich rzeczy o jego narodzie pisać nie mógł. Oprócz goryczy, w której głównie Juwenalis macza pióro swoje, przebija w jego satyrach żart szorstki i surowy; ironii i humoru w nich nie ma; zdaje się, iż mu się nie wydały odpowiedniami na wyrażenie myśli tak poważnych i w jego rozumieniu tak wielkie mających znaczenie.

Treść satyr Juwenalisowych stanowią błędy wszelkiego rodzaju Rzymian, a szczególnie: zbytek i rozpusta, fałsz i hypokryzja, niemoralność kobiet; przykre położenie tych, którzy się oddają naukom i poezji; duma rodowa, chciwość, wychowanie i t. d.

Do satyryków liczą jeszcze Petroniusza. Czy jednakże dziełko przypisywane Petroniuszowi a znane pod nazwiskiem *Satiricon*, jest w rzeczy samej jego utworem, czy też zbiorem pojedynczych ustępów i opowiadań połączonych w jedną wcale nie organiczną całość, jest rzeczą niepewną. Ci, którzy uważają Petroniasza za autora tego dzieła sądzą, że jest nim Petroniusz, którego wspomina Tacyt w 16-ém ks. Roczników, który był najprzód prokonsulem w Bytynii, potem konsulem, nareszcie na dworze Nerona mistrzem ceremonii, albo raczej mistrzem zabaw. Skazany na śmierć skutkiem podstępów i chytrych nieprzyjaciół, posłał podobno Neronowi pismo zapieczętowane, w którym opowiadał haniebne czyny i sprawy Nerona i jego spółników pod zmyślonemi nazwiskami, a *Satiricon* ma właśnie być tém pismem. Ponieważ jednakże treść tego dzieła nieodpowiada temu przypuszczanemu znaczeniu, dlatego naznaczają mu inni późniejszy czas powstania, nawet przenosząc je w III wiek po Chrystusie.

Nie wchodząc tu bliżej w rozbiór tej kwestyi i zostając tylko przy zadaniu naszym powiemy, że dziełko, o którym tu mowa, w rzeczy samej satyrą nie jest. Przypomina ono wprawdzie najdawniejszą satyrę rzymską, gdyż mamy w niej naprzemian to prozę, to wiersze, mamy obrazki obyczajowe w formie dramatycznój, mamy osoby rozprawiające o rze-

czach z naga, że tak powiem, otwartością; ale zresztą treść sama w całości wzięta, satyryczną nie jest. Autor bowiem wprowadza nas w ustępy życia najpowszedniejszego, często najniższego i najpodlejszego, opowiada z obrzydliwym cynizmem nie bez dowcipu i humoru, ale z widocznym zadowoleniem człowieka piszącego, nie aby odstraszyć od życia, od którego i zwierzę jest dalekie, aby odrazę największą obudzić w czytającym do tego, co go w błocie zanurzyć może i uczynić najpodlejszemu na ziemi stworzeniem, ale jakoby szukającego i znajdującego w tém przyjemność i zadowolenie. Taka treść nie jest satyryczną i dlatego zaliczają zwyczajnie to dziełko do powieści obyczajowej, do romansu.

Oprócz powyższych ma literatura rzymska więcej jeszcze satyryków, których dzieła jednakże nie przechowały się w całości, albo zaginęły zupełnie. I tak za czasów pewnie Wespazyana żył jakiś Turnus, któremu przyznają fragment z kilkudziesięciu wierszy na Nerona; dalej jakiś Julius, Florus, Lenius, Silius, Tucca, Manlius, Vopiscus, Julius Rufus, Cornutus, Rabirius, Sulpicia, Eucheria i kilku jeszcze innych.

Wspomnieliśmy wyżej, jak w rozumieniu naszym ważne jest domowe wychowanie dzieci i za jak ważne uważali je satyrycy Persyusz i Juwenalis. Ostatni napisał całą długą satyrę o wychowaniu; jest to w zbiorze jego satyra czter-nasta. Podajemy ją tu w tłumaczeniu, bo *mutatis mutandis* myśli z niej pewnie wszędzie zastosować się dadzą.

Bardzo wiele jest rzeczy i pogardy godnych,
I hańbę przynoszących choć w największym szczęściu,
Które jednak rodzice pokazują chętnie,
A nawet chętnie uczą własne swoje dzieci.

Jeśli ojciec znajduje w grze upodobanie,
Z pewnością synek jego i godny następcą,
Zaledwie wyjdzie z pieluch, już będzie próbował
Szczęścia gry i zacięcie pracując tąż bronią.
Będzie w małym kubeczku potrząsał kostkami (1).

(1) Azardowną grą w Rzymie była gra w kostki, do której roznamiętnienie znać wielkie było, kiedy nawet prawa surowo zabraniały gry w kostki o pieniądze. Pomimo to grywano w nie namiętnie po domach prywatnych i publicznych skrycie.

Niech się po tym modzieńcu nie wiele spodziewa
 Rodzina, który truflę uczył się obierać,
 Pieczarki marynować, figojadki prażyć
 W ich sosie, od swojego hulaszczego ojca,
 Mającego wytrawną, doświadczoną gardziel.
 A kiedy siódmy roczek przeminie chłopięciu,
 I gdy mu nowe zęby jeszcze nie odrosną,
 Choćbyś mu i tysiące przyjmował brodatych
 Pedagogów — napróżno — zawsze on chcieć będzie
 Wytwornie biesiadować, mieć dobre półmiski,
 Ani się nie odrodzi od wystawnój kuchni.

Powiedz mi, czy ten ojciec uczy chłopca swego
 Łagodności, względności na drobniejsze błędy —
 Czy go uczy, że biednych sług ciała i dusze
 Z téj saméj są materji, z tych samych żywiołów,
 Albo czy go zaprawia do wściekłej srogości
 Ojciec, któremu szelest okrutnych plag, razów,
 Sprawia rozkosz — któremu, choćby syren pienia
 Nie tyle są przyjemne, co poświsty batów;
 Który jest Antifatem (1) dla swych domowników,
 Albo i Polifemem (2) najszczęśliwszym wtenczas,
 Kiedy kat przywołany piecze niewolnika
 Rozpaloném żelazem za to, że zginęły
 Jego pana dwie półki mizernego płótna?
 Czego uczy młodzieńca, któremu brzęk kajdan
 Radość sprawia i miłym nad wszystko jest widok
 Piętnowanych służących i więzienia chłopów?

Czy myślisz, że szanowną będzie kiedy żoną
 Dziewczyną, która nigdy gachów swojej matki
 Nie potrafi wymienić tak prędko w porządku,
 Aby z trzydzieści razy nie odetchnąć sobie?
 Dziewczyną jeszcze będąc znała sprawki matki —
 Teraz ta jój dyktuje liściki miłosne,
 I do gachów posyła przez swoje cynedy (3).

Taka natura ludzka, że łatwiej i prędzej,
 Psują nas błędów wzory spostrzegane w domu,
 A szczególnie u ludzi, których i znaczenie
 I powaga jest wielką w rozumieniu naszém.
 Może się kiedy znajdzie i taki młodzieniec,
 Na którego nie wyrwe złych wpływów wzór błędów,

(1) Antifates, król Lestrygonów, narodu starowłoskiego, wedle podania dzikiego, pożerającego ludzi, zatopił flotę Greków powracających z Ulysesem z pod Troi i pożarł jednego z jego towarzyszków.

(2) Polyfem znany ów jednooki cyklop w Sycylii, który pożerał Ulyssesa towarzyszków i wreszcie przez niego oślepionym został.

(3) Są to ludzie do najpodlejszych używani posług.

Któremu z lepszej gliny dobroczynną sztuką
 Ulepił Prometeusz wnętrzości i serce.
 Ale większa część synów pójdzie w ślady ojców,
 I będą postępować z pewnością po drodze
 Grzechów starych, tak długo im pokazywanych.

A więc strzeż się występków; już ten jeden powód
 Powinien ci wystarczyć: aby dzieci nasze
 Nie uczyły się od nas niegodziwych rzeczy.
 Gdyż my wszyscy najchętniej to naśladowemy,
 I pojmujemy prędko, co złe i haniebne.
 Katylinów z łatwością znajdziesz w każdym kraju,
 I w każdej strefie ziemi; lecz Brutusów nigdzie,
 Ani nigdzie Katonów. Przez próg twego domu
 Niech nigdy nie przekracza, co szpetne, haniebne,
 Czy to w słowie, czy w czynie, jeśli w nim są dzieci;
 Niechaj w nim nie postoi bezwstydną kobieta,
 Niech w nim nie brzmią piosenki podłych pasożytów;
 Młodości należy się największy szacunek!
 Jeśli co hańbiącego uczynić zamierzasz,
 Nie spuszczaże z uwagi wieku twoich dzieci:
 Obecność twego dziecka niech ci będzie stróżem,
 Niech ci będzie przeszkodą do spełnienia grzechu.
 Bo gdyby ono kiedy w przyszłości zrobiło,
 Przez coby gniew cenzora ściągnęło na siebie (1),
 I gdyby się podobnym tobie pokazało,
 Nietylko co do ciała, albo co do twarzy,
 Lecz co do obyczajów—gdyby twemi ślady
 Idąc po drodze grzechów przeszło ciebie w zbrodniach,
 To go z pewnością karać, surowemi słowy
 Lżyć, karcić nie zaniechasz; będziesz się odgrażał,
 Że zmienisz swój testament. Ale powiedz, proszę,
 Z jakim czołem i z jaką rodzica śmiałością
 Będziesz mógł tak wystąpić, kiedy ty sam stary,
 Posiwały, zużyty gorsze czynisz rzeczy,
 A twa głowa bez mózgu, obrana z rozumu
 Już od dawna leżących potrzebuje baniek?

Gdy się gościa spodziewasz, zwijają się wszyscy:
 „Ty wymyjesz podłogi, ty wygładzisz słupy;
 Suchy pajak wraz z siecią niech będzie zmieciony,
 A ty wyczyścisz srebro—ty wytrzesz naczynia.”
 Tak głośno rozkazujesz, kij trzymając w ręce.
 Więc się lękasz, nędzniku, ażeby sień twoja

(1) Wiadomą jest rzeczą, że za dobrych czasów rzeszypospolitej rzymackiej, znaczenie cenzorów jako stróżów obyczajów bardzo było wielkie; a chociaż za cesarstwa urzędników tych już nie było, to jednakże Cezar przyjął na siebie znaczną część dawniejszych ich obowiązków jako naoczelnik obyczajów, Praefectus morum, a August jako Magister morum.

Psim śmieciem zabrudzona źle się nie wydała
 Twemu przyjacielowi, i ażeby błotem
 Portyk nie był skalanym—a przecież pół miary
 Trocin wystarczy na to i jeden parobek,
 Aby wszystko wyczyścić. Ale o to nie dbasz,
 Ażeby syn twój widział dom twój zawsze czystym
 Od skazy i od grzechu, niewinnością świętym.
 Zasługa twoja wielka, jeżeli ojczyźnie,
 Jeżeli narodowi dasz obywatela
 Prawego i zacnego, któryby krajowi
 Zawsze był użytecznym, czy to jako rolnik,
 Albo czy jako żołnierz, czy jako urzędnik.
 Krajowi bo zależy bardzo wiele na tém,
 Jakich nauk i jakich uczysz go zwyczajów.

Wężami żywi bocian małe swoje pisklę,
 I jaszczurkami, które znajduje w gęstwinie.
 A pisklę, skoro tylko piórka mu odrosną,
 Szuka sobie tych samych stworzeń dla pokarmu.
 Od bydłęcia padłego, lub od psiego ścierwa,
 Albo od szubienicy sęp lecąc do młodych,
 Znalezionego żeru część w dziobie im niesie;
 A młode, gdy dorosną żywią się tąż strawą,
 Kiedy już własne gniazda budują na drzewie.
 Jowisza ptak szlachetny (1) poluje na sarny
 Albo łowi zające po kniejach i lasach,
 I składa zdobycz swoją dla orląt do gniazda.
 A orląta dorosłe na skrzydłach się wznosząc,
 Kiedy im głód dokuczy, szukają téj strawy,
 Którą z jaja wyszedłszy, pierwszy raz zjadały.

Centroniusz zawsze lubił bawić się budową,
 Dlatego na zagiętych Kajety wybrzeżach,
 To na wzgórzach Tiburu, albo i Prenesty
 Z kamieni marmurowych sprowadzanych z Grecyi
 Wystawiał sobie wille, wspanialsze, bogatsze
 Od świątyń Herkulesa lub bogini szczęścia;
 A kiedy tak Centroniusz ma pyszne pałace,
 Zmniejszył mu się majątek, bogactwa ubyło.
 Nie mała mu jednakże pozostała reszta,
 Którą prędko rozstrwonił nierozsądny synek
 Nowe budując wille z lepszego marmuru.

Ci, którym los dał ojca święcącego szabas,
 Modlą się do obłoków tylko i do bóstwa
 W niebie mieszkającego, i nie widzą żadnej
 Różnicy między ludzkiem, a wieprzowem mięsem,
 Bo tak, jak ich ojcowie, oni go nie jedzą,

(1) Orzeł.

Nauczeni pogardzać rzymskimi prawami,
 Zachowują najczęściej swój zakon żydowski,
 Uczą go się, szanują i czczą, co im Mojżesz
 Przekazał w tajemniczych swoich przykazaniach.
 Drogi nie pokazują, tylko współwyznawcom,
 Pragnących tylko swoich prowadzą do źródła.
 Tego oni od ojców swych się nauczyli,
 Dla których co siódmy dzień tak bardzo jest świętym,
 Iż się nawet od takich wstrzymują czynności
 Które są jak połową powszedniego życia.

Młodzieńcy naśladowają tak i wszystko inne
 Z własnej woli i chętnie; lecz przeciw swęj woli
 I jakoby przez przymus uczą się chciwości.
 Ten grzech bowiem ludzi nas swym pozorem cnoty
 I jakoby jęj cieniem; z wierzchu jest on smutny,
 Ma surowe wejrzenie, sukienkę poważną,
 Chciwca chwałą z pewnością jako oszczędnego,
 Przewornego na przyszłość, choć on skarbów swoich
 Z większą strzeże czujnością, jakby strzedz potrafił
 Smok Hesperyd lub Pontu (1). Nadto jeszcze dodaj,
 Że ci, o których mówię, są uważanymi
 Przez naród za artystów szanowanych wielce,
 Ponieważ ojcowiznę co dzień powiększają.
 A oni powiększają w jakikolwiek sposób,
 Przez użycie kowadła i ciągły żar pieca (2).

Więc ojciec, który samych tylko chciwych ludzi
 Za szczęśliwych uważa, który same tylko
 Pieniądze i bogactwa podziwia i ceni,
 A sądzi, że szczęśliwym i biędnym zarazem
 Na ziemi być nie można; napomina synów,
 Aby postępowali po tęj samęj drodze,
 I byli wyznawcami tychże samych zasad,
 Których on się przez całe swoje życie trzymał.
 A ponieważ i grzechów jakieś są początki,
 Więć ich uczy zawczasu i daje wskazówki
 W brudném skąpstwie z początku w drobnych tylko rzeczach,
 I rozbudza tak zwolna w duszy chęć niesytą
 Zarobków i korzyści. Swych służących brzuchy
 Dręczy, będąc sam głędnym, oszukana miarą.
 Nie pozwala sam sobie nigdy zjadać wszystkie
 Kawałki spleśniałego i czarnego chleba;
 A z resztek i z okruchów zrobioną potrawę,

(1) Złotyeh jablek Hesperyd i złotego runa w Kolchis strzegły smoki, wedle podań mytologicznych.

(2) Mówi tu Juwenalis przenośnie o środkach zadość uczynienia chciwości.

Przechowuje od wczoraj nawet w środku sierpnia (1).
 Tak samo zachowuje na drugą biesiadę
 Resztki bobu wraz z częstką latowej jaszczurki (2).
 Lub połowę zguilego cuchnącego soina
 Oznaczoną dokładnie (3) i nitki szczypiorku
 Pozostałe, a dobrze przeliczone wszystkie.
 Zaprosz na tę biesiadę żebraka z pod mostu
 A odmówi ci pewnie.

Ale do czego służą bogactwa zbierane
 Z tyłu udęczeniami i z takim mozołem?
 Przecież to niewątpliwie wielka jest głupota
 I wyraźne szaleństwo, żyć w biedzie i w nędzy
 Na to tylko, ażeby umierać bogatym!

Ależ to w miarę tego, jak się brzuszek worka
 Nadyma i pęcznieje, jak się grosz pomnaża,
 Rośnie w nas i powiększa miłowanie grosza.
 Im kto mniej ma pieniędzy, tém mniej jest ich żądnym.
 Więc kiedy ci już jedna nie wystarcza wioska,
 Nabywasz prędko drugą, a granica ziemi
 Posiadanój przez ciebie znacznie się zwiększyła.
 Jednak pole sąsiada zdaje ci się większém
 I więcej urodzajném—więc i to kupujesz,
 Wraz z zagajem i z górą okrytą drzewami,
 Które zdala bieleją oliwnemi kwiaty.
 Lecz jeżeli się nie chce zgodzić na twą cenę,
 To dalejże wśród nocy napędzisz mu w szkodę
 Woły chude i głodne o znużonym karku,
 Któreby mu zniszczyły cały zasiew w polu.
 I nie zagnasz je prędzój do domu swojego,
 Aż żarłoczne ich brzuchy nie pochłoną w sobie
 Zboża z całego pola, które się przedstawi
 Po tém najściu sąsiada, jakby sierpem zżęte.
 Niktby prawie nie wierzył, ile już łez ludzi
 Ta krzywda kosztowała i ilu zmusiła
 Do pozbycia się ziemi.—„Ależ ztąd nagany,
 Ztąd rozgłos między ludźmi wcale niepochlebny!”
 Powiesz: „co mi to szkodzi! Mnie milszą łupina
 Nawet podłego bobu, niż pochwały ludzi
 Mieszkających w sąsiedztwie, jeśli przy tém mały
 Tylko kawałek ziemi uprawiam i orzę.”

Zaiste wolnym będziesz od chorób, słabości,
 Wolnym będziesz od troski i wszelkich kłopotów,
 I będziesz się od losu dłużnióm cieszył życiem,

(1) Wtenczas bowiem upały największe i wszystko łatwo się psuje.

(2) Lacortus—tu właśnie jakaś ryba morska.

(3) Ażeby kto nie podjadł.

Jeśli uprawnój roli tyle będziesz dzierżył,
 Ile w czasach Taciasza (1) orał rzymski naród.
 Wnet latami złamanym, którzy ciężkie wojny
 Przetrwali z Kartaginą i z srogim Pyrrusem,
 Których życia Molossów (2) oszczędziły miecze,
 Dano wreszcie za ledwie po dwie morgi gruntu
 Za tak wiele ran ciężkich. Ta jednak nagroda
 Za krew i wielkie trudy nie zdała się małą,
 I nikt się nie uważał za pokrzywdzonego
 Od niewdzięcznej ojczyzny za swoje usługi.
 Taki kawałek ziemi żywił gospodarza
 I całą jego chatę, w której żona płodna
 Chodziła i igrało czworo zdrowych dzieci;
 Z tych jedno niewolnika, reszta dzieci pana.
 A kiedy starsi bracia wrócili do domu
 Od pług, lub od brony, tedy zastawiano
 Obiad drugi, a lepszy, wtenczas wielkie misy
 Polewki kurzyły się stawione na stole!

Nam taka miara ziemi na ogród nie starczy.
 To źródłem wszystkich zbrodni; nie masz w sercu ludzkim
 Innej dzikszej skłonności, któraby truciznę
 Częściej komu podała, lub dobyła sztylet,
 Jak chciwość i pieniędzy nigdy syta żądza:
 Kto chce zostać bogatym, chce nim prędko zostać.
 Ale czy będzie przy tem uważał na prawa?
 Czy chciwiec, który prędko z bogacim się pragnie
 Lęka się czegokolwiek, czy się wstydzi czego?
 „Żyćcie zadowoleni z tych chatek, z tych wzgórków,
 Chłopcy moje!” tak mawiał niegdyś Mars i Hernik
 I starsuszek Westinus (3) „a chleba szukajmy
 Pługiem tyle, ile nam na nasz stół potrzeba.
 To chwałą pól bogowie, z których łaski ludzie
 Żywią się darem kłosów, odrzuciwszy żołądz (4).
 Ten nie czynić nie będzie przeciw woli prawa,
 Który się zabezpieczać od mrozu nie wstydzi
 Kurpiami i kożuchem na wspak odwróconym,
 Od wiatrów się zasłonić. Do grzechu i zbrodni
 Przewodnikiem purpura (5), obca nam, nieznaną.

(1) Juwenalis mówiąc o skromności w życiu, sięga najdawniejszych czasów państwa rzymskiego t. j. czasów Romula, z którym wedle podania panował w Rzymie Taciasz król Sabinów.

(2) Molossowie naród mieszkający w sąsiedztwie Epiru królestwa Pyrrusa; więc mowa tu o wojnie Tarentyńskiej.

(3) Marsowie, Hernikowie i Westinowie były dawne narody włoskie.

(4) Nim się ludzie nauczyli uprawiać ziemię, żywili się dziką żołądzą wedle zdania poetów starożytnych.

(5) Purpura, t. j. zbytki, stroje.

Takie dawali starzy nauki swym synom.
 A teraz o północy budzi ojciec syna
 Krzykiem wielkim i woła: „Wstawajże! do pióra!
 Tutaj oto masz papier! Rozpatruj procesa,
 Czytaj praw oznaczone rubryką tytuły!
 Albo się téż postaraj choć o stopień w pułku!
 Ale pamiętaj o tém, ażeby wódz Leliusz
 Podziwiał twojej głowy nieczesane włosy
 I wasy zawiesiste i silne ramiona.
 A potem dalej burzyć chaty dawnych Maurów (1)
 I Brygantów (2) warownic, ażebyś miał orła (3)
 Dającego dochody mając lat sześćdziesiąt.
 A jeżeli się lękasz obozowych trudów,
 Lub jeśli z hukiem bębnow zmięszany głos trąby
 Nie dobrzeć na tchórzliwy twój żołądek działa:
 Kupuj, co byś mógł pozbyć o połowę drożej,
 A nie brzydź się towarem, chociażbyś go musiał
 I za Tyber przeprowiać dla wygotowania (4).
 Bo między towarami przebierać nie trzeba:
 Wszystko jedno, czy balsam, czy cuchnące skóry.
 Zysk zawsze dobrze pachnie, zkadkolwiek przychodzi.
 To przysłowie niech zawsze w twoich uściech będzie,
 Godne bogów—ba! nawet samego Jowisza:
 „Zkad masz grosz, nikt nie pyta, ale mieć go musisz.”
 Tego uczą staruszki chłopców jeszcze małych,
 Tego przed abecadtem uczą się dziewczęta.”
 • Ojcu takie nauki synom dającemu,
 Można tak odpowiedzieć: „Powiedz nierozsądny,
 Kto ci się każe spieszyć? Ja ci za to ręczę,
 Ze twój uczeń od mistrza doskonalszym będzie,
 Ze cię prędko zwycięży—tego pewnośc wszelka.
 Jak Ajax Telamona, jak Achill, Peleusa (5),
 Tak ciebie nie zadługo pokona twój synal.
 Ochraniajże lat młodych; nie dotarło jeszcze
 Szelmostwo przyrodzone do głębi ich szpiku.
 Niech tylko sobie zacznie zaczesywać brode,
 Albo brzytwy używać, a zaraz zobaczysz,
 Jak on fałszywy świadek za małą nagrodę
 Będzie krzywoprzysięgał tykając ołtarza

(1) Maurowie czyli mieszkańcy Maurytanii.

(2) Brygantowie, naród najwięcej na północ Brytanii mieszkający, podbity przez Rzymian.

(3) Orzeł t. j. sztandar legionu rzymskiego, którego stróżem był pierwszy z pomiędzy sześćdziesięciu centurionów, czyli oficerów legionu.

(4) Mowa tu o skórach, które wyprawiano w części Rzymu za Tybrem leżącej.

(5) Bohaterowie Homerowi z pod Troi.

I nóg wielkiej Cerery. Synową uważaj
 Już jako pochowaną, skoro przez próg domu
 Przejdzie niosąc ze sobą zgubny dla niej posag.
 Jakiemiż to rękami dotykać ją będę
 Uśpioną snem głębokim (1). Bo co mu radziłeś,
 Aby się nabyć starał na morzu, na lądzie,
 To z łatwością nabędzie inną, krótszą drogą.
 Zbrodnia wielka nie wielkich wymaga zachodów.
 „Ależ ja tego nigdy ani nie radziłem,
 Ani nie zalecałem”—powiesz może kiedyś.
 Duszy jednak skalania powód i początek
 Wyszedł z ciebie samego. Bo kto wpaja miłość
 Wielkich zysków w swe dzieci i łagodnym słowem
 Na chciwców ich wykształca; kto dalej pozwala
 Za pomocą oszustwa podwajając kapitał,
 Ten cugle najzupełniej popuszcza koniowi.
 Wstrzymuj go—on przystanąć nie potrafi nigdy,
 Pędząc dalej, a dalej za cel wystawiony—
 A głos twój jest dla niego, czém jest głos na puszczy.
 Nikt się nie zadawalnia grzeszyć tyle tylko,
 Ile mu się pozwala—grzeszy zaraz więcej;
 Gdy więc mówisz synowi, że to rzecz głupiego:
 Przyjacielowi dawać, ubogim pomagać,
 Krewnym rękę podawać—toć go przez to uczysz
 I kraść i oszukiwać i w każdy zły sposób
 O bogactwa się starać, które ty miłością
 Tak wielką ukochałeś, jaką w swojej piersi
 Uczuli Deciuszowie do miłej ojczyzny,
 Albo jaką ukochał Teby ów Meneceus (2),
 Jeśli prawdziwą Grecya (3). Gdzie z zasianych zębów
 Smoka zbrojne legiony wyrastają z ziemi,
 Tam przychodzi niebawem do straszliwej wojny,
 Jakoby trębacz razem z drugimi był powstał (4).
 Tak więc ogień, którego iskrę rozdmuchałeś,
 Zobaczysz buchający, zajmujący wszystko!
 Ani ty sam, nędzniku, ująć go nie potrafisz!
 Ciebie, mistrza swojego, drżącego ze strachu,
 Porwie do swojej klatki z przeraźliwym rykiem

(1) Aby ją zamordować.

(2) Meneceus, król Teb, ostatni z rodu Kadmosa, poświęcił się za ojczyznę, kiedy w czasie oblężenia Teb przez Argiwów ocalenie Teb, wedle wyroczni, od tego zależało.

(3) T. j. jeśli prawdę mówią Grecy.

(4) Przez znaną w Kadmosie powieść chce Juwenalis wykazać, że złe zasady rzucane w serce chłopca, wydadzą owoc straszny, a obfity, któremu się nie będzie mógł opierać.

Uczeń lew. Znali dobrze lata twego życia
 Mądrzy astrologowie w dniu twoich urodzin.
 Ale jemu zbyt przykro zaczekać tak długo,
 Ażby nic twego życia wyprzedzoną była.
 Więc umrzesz, zanim jeszcze nic przeciętą będzie.
 Już mu teraz zawadzasz i przeszkadzasz planom,
 Już dręczy syna twego twoje życie długie.
 Szukajże Archigena i kupuj od niego
 Co Mitridat sporządził. Jeżeli chcesz jeszcze
 Doczekać się fig świeżych, nacieszyć róż wonią,
 Potrzebne ci lekarstwo, którebyś zażywał
 Mógł przed każdym jedzeniem—jak ów król, ty ojciec (1).

Przepyszne pokażę ci teraz widowisko,
 Z którym ani teatru, ni wspaniałej sceny
 Bogatego pretora nie możesz porównać.
 Patrz, ile to kosztuje niebezpieczeństw groźnych
 Rosnące szczęście domu: w okowanej skrzyni
 Skarb wielki i pieniądze, które pod straż trzeba
 Oddawać Kastorowi, od kiedy Mars Mściciel
 Uronił swą przyłbicę i własności swojej
 Nie potrafił ocalić (2). Więc porzuć igrzyska
 Wszystkie, Flory, Cerery, Cybeli i inne;
 Sprawy ludzkie są bowiem największą komedią.
 Bo czyż mogą zabawić więcej duszę twoją
 Przez obręcze do góry wyrzucane ciała,
 Lub chodzący po linie wyprężonej skoczki,
 Jak ty, co na okręcie Korycyjskim (3) wiecznie
 Zamieszkujesz i bawisz, miotany to wschodnim,
 To południowym wiatrem—podły, który towar
 Już zepsuty w cuchnącym zakupujesz miechu,
 Albo od brzegów staręj przywozisz nam Krety,
 Tłuste wino z suszonych wyrabiane jagód,
 I z ojczyzny Jowisza pochodzące flaszki? (4)
 Ten bowiem, co po linie kroczy śliską nogą,
 Zarabia na swe życie; za pomocą liny
 Oddala głód od siebie i mróz dokuczliwy;
 A ty jesteś zuchwałym dla worków pieniędzy

(1) Środek przeciw truciznie, którą jesteś zagrożony przez syna, kupuj od Archigenesa, sławnego wczasnego lekarza.

(2) W świątyni Marsa Mściciela zbudowanej przez Augusta, przechowywali bogacze skarby swoje, uważając je tam za najpewniejsze, jako stojące pod strażą boga Rzymu; ale kiedy znaczną ich część skradziono wraz ze złotą przyłbicą samego boga, przechowywano je pod mocną strażą w świątyni Kastora.

(3) Corycos przylądek w Cylicyi.

(4) Z Krety.

I dla setek pałaców. Patrz, oto port pełen
 I morze wielkich statków—a więcej ich w drodze.
 Gdzie zabłyśnie nadzieja jakichkolwiek zysków,
 Tam dąży zaraz flota—a popłynie ona
 Nie tylko na Karpackie (1) i Getulskie (2) morze,
 Lecz daleko za sobą zostawiwszy Kalpe (3),
 Styszćć będzie syk słońca na Herkułskiem morzu.
 Zaiste to nagroda godna takich trudów:
 Mózg powracać do domu dumnym z pełnych trzósów
 I wypchanych kieszeni—ba! nadto widziałeś
 Potwory oceanu i Trytonów morskich!

Dusze ludzi nie jedno zaburza szaleństwo:
 Tego straszą Eumenid oblicze i ognie,
 Choć jest w siostry objęciach (4); innemu się zdaje
 Że słyszy Ulissesa i Agamemnona
 Ryczących, ile razy tylko bije wołu (5);
 Ale i temu także potrzebny opiekun (6),
 Który okręt do szczytu napelnia towarem,
 I którego od morza dzieli jedna belka,
 Chociaż nie drze na sobie tuniki i płaszcz (7),
 Kiedy mu takiej biedy i niebezpieczeństwa
 Nie inna jest przyczyna, jak kawałki srebra
 Z wyciśniętém obliczem i jakim napisem.

Ot, chmury się gromadzą i grzmot w dali słyhać,
 A tu jednak pan zboża, kupionego pieprzu
 Woła na swoich majtkow: „Odbijać od lądu!
 W tym zmroku i w tych chmurach nie masz groźby żadnej,
 Jest to tylko grzmot letni.” Biedaczysko nie wie,
 Że może tejsze nocy z rozbitym okrętem,
 Pójdzie do głębi morza przygniecion wodami,
 Trzós swój mocno trzymając zębami i ręką.
 Albo ten, któremuby przed niedawnym czasem

(1) Karpackiem nazywamy morze Egejskie dla wyspy Karpatos nie-daleko Rodu łączący.

(2) Morzem Getulskiem nazywano morze Śródziemne dla Getulii, będącej częścią Afryki.

(3) Kalpe góra w Hiszpanii, gdzie dziś Gibraltar, uważana za koniec ziemi; morze poza nią będące jest morze Herkułskie, w którym zachodzące słońce syczy, kiedy się ogień jego z wodą łączy.

(4) Mowa tu o Orestesie synu Agamemnona, którego dręczyło szaleństwo za zamordowanie matki.

(5) Ajaxowi bohaterowi z pod Troi, który z rozpacz, iż nie jemu przyznano broń Achillesa, oszalał i mordował bydło, sądząc, że morduje swoich nieprzyjaciół, mianowicie Ulissesa i Agamemnona.

(6) Opiekun potrzebny jako szalonemu.

(7) Co często czynią szaleni.

Nie było wystarczyło wszystko złoto Tagu,
I Paktolu (1) toczone w ich czerwonym piasku,
Wystarcza teraz szmata chroniąca od zimna
Zakrywająca nagość, i mizerna strawa,
Na którą żebrze grosza po stracie okrętu
I burzą malowaną miłosierdzia błaga (2).

A skarbów nabywanych z takimi trudami,
Z większą troską i strachem pilnować przychodzi.
Bo to plaga prawdziwa straż wielkich pieniędzy;
Bogacz każe gromadzie swoich niewolników,
Przy sikwach rozstawionych czuwać całe noce,
Lękając się o bursztyn, o swoje posagi,
O frygijskie kolumny i o kość stoniową,
O szyldkretowe sprzęty. Diogenesowej
Beczce pożar nie grozi; jeśli ją dziś zniszczy,
Jutro nową mieć będzie, lub ją zabezpieczy
Od rozbicia mocnemi klamrami żelaza.

Alexander gdy widział owęj nędznej beczki
Mieszkańca tak wielkiego, pojął bardzo dobrze.
O ile ten szczęśliwszy, który nic nie pragnie,
Jak on, który całego chciał być panem świata;
Który po wielu czynach widział zawsze jeszcze
Nowe trudy przed sobą i niebezpieczeństwa.

Szczęścia ci nie potrzeba, jeśli jesteś mądrym,
My sami ciebie bogiem czynimy, o szczęście.

Lecz gdy mnie kto zapyta: „jakiż dochód starczy?”

Odpowiem: by odegnąć głód, pragnienie, zimno,
Ile ci Epikurze (3), starczyło z ogrodu,
Ile Sokratesowi bywało potrzeba.

Nigdy mądrość z naturą w sprzeczności nie była;
Czy sądzisz, żeć przywodzę wzory nazbyt szorstkie,
Albo że cię zanadto ograniczyć myślę?

Więc dodaj co do tego z obyczajów naszych:

Staraj się o majątek, którego wymaga

Dla mężów ław czternastu Othonowe prawo (4).

(1) Rzeki Tajo w Hiszpanii i Paktol w Lidii słynne były ze złota w nich się znajdującego.

(2) Ci, którzy z okrętami się rozbili zwykli byli żebrac miłosierdzia, chodząc z obrazem przedstawiającym rozbicie.

(3) Epikur filozof grecki szukając szczęścia w spokoju duszy i ciała, przez któryby wszelka boleść usunięta być mogła, a ubiegając się raczej za rozkoszami duszy, niż za dogadzaniem ciała, zadawał sobie jarzynami, jakie miał z ogródka swojego.

(4) Roku 67 przed Chr. przeprowadził trybun ludu Luciusz Roscius Otho prawo, aby tym tylko wolno było zasiadać w czternastu ławkach

A jeśli na to jeszcze czoło ci się zmroczy,
 Lub wargi ci owisną, to weź dwóch rycerzy,
 Albo wreszcie i trzecie czterysta tysięcy.
 Lecz jeśli i to jeszcze mało ci się zdaje,
 To cię nie zadowolnią Krezusowe skarby (1),
 Bogactwa królów perskich, ni skarby Narcyza (2),
 Któremu cesarz Klaudiusz we wszystkim pobłażał
 I z którego rozkazu własną zabił żonę.

w teatrze dla rycerstwa przeznaczonych, czyli, aby ci tylko byli zaliczani do stanu rycerskiego, których census roczny wynosił 400,000 sestercyów t. j. mniej więcej 20,000 talarów.

(1) Krezus król Lidyi i królowie perscy uchodzili w starożytności za bardzo bogatych.

(2) Narcyz wyzwolenc Klaudyusza zebrał ogromne bogactwa na rozmaite sposoby. O nim mówi Tacyt Annal. II. 29 i Sweton. życie Klaudyusza 18.



MARINA.

WSPOMNIENIA Z ŻYCIA ARTYSTY W RZYMIE.

PRZEZ

Emila de Laveley.

W roku 1845, korzystając z feryj zwalniających nas od nauki uniwersyteckiej, wybraliśmy się z Bruxelli do Włoch z jednym z moich przyjaciół. Mając jeszcze głowy nabite wspomnieniami starożytności, chcieliśmy przybyć nagle do Rzymu, i odnieść wrażenie jakie wyrzeć były powinny na naszym umyśle pomniki królewskiego ludu. Wsiadliśmy więc na okręt w Marsylii, a vetturino z Civita-Vecchia wysadził nas na bruku miasta o siedmiu wzgórzach, w pierwszej połowie września. Obadwaj mieliśmy listy rekomendacyjne. Mój towarzysz podróży, którego ojciec był przemysłowcem, wiózł list polecający do kanonika św. Maryi i do prałata belgijskiego. Obaj ci duchowni mieli wpływy na dworze Grzegorza XVI, spodziewano się przeto z ich pomocą uzyskać dozwolenie na budowę kolei żelaznych w Państwie Kościelném. Moje zaś listy miały mnie tylko poznać z kilkoma malarzami naszego kraju, kończącymi właśnie swe studia w Rzymie. Ale ani ja nie zapoznałem się z nimi, ani mój towarzysz nie uzyskał koncesyi; odpowiedziano mu bowiem krótko, że Grzegorz XVI póki żyje, nie pozwoli na położenie najmniejszej szyny w swém państwie. Moi zaś malarze, rozpierchli się po okolicach, w Narwi, Subiaco i San Germano.

Pozostawieni samym sobie, musieliśmy spełniać rzetelnie obowiązki turysty.

Mimo słonecznego upału i groźb *aria cattiva* (złego powietrza) zwiedzaliśmy codziennie kościoły, pałace i ruiny, i nie wracaliśmy aż wieczór wycieńczeni lecz i zachwyceni. Zalecono nam kawiarnię *Caffe Greco*, gdyż było to miejsce schadzki artystów, a więc przyjemnego przepędzenia wieczorów. Ponieważ najeliśmy nasze

mieszkanie na *via Condotti*, tuż tuż przy kawiarni, więc chodziliśmy tam co wieczór, lecz czekał nas zawsze zawód, bo w kawiarni nie było nikogo. Rozrywaliśmy naszą samotność czytaniem *Teverone* pani Sand, powieści wychodzącej właśnie naówczas w jednym z dzienników francuskich. O ósmej wieczór wszędzie już było cicho. Z poza dwóch arkad wystających od ulicy, słyszeliśmy tylko melancholijny szmer fontanny wytryskującej w podwórzu sąsiedniego pałacu, a ten przelew jednostajny wody podnosił jeszcze złowieszczą ciszę uroczystą, która ciążyła nad Rzymem, tak wczesnie zdrzemniętym. W kawiarni, w której spodziewaliśmy się posłyszeć wesołą i dowcipną gawędkę, opanował nas snutek, zdawało się nam, że siedzimy na cmentarzu. Zaczęliśmy pojnować że się znajdujemy w mieście umarłych, i nie wiem zkąd przyszło mi na myśl poważne słowo Spinozy: *vita meditatio mortis*.

Jednakże pewnego wieczora, usiadł nieopodal nas jakiś młody człowiek. Czuchaliśmy tak chciwie na jakąkolwiek znajomość z *Cafe Greco*, że wejście to wydało się nam prawie wydarzeniem. Mógł to być przecie artysta.

Gdy wyszedł, zapytaliśmy garsona, czy znał tego młodzieńca. Rzekł nam: że jestto malarz, Niemiec. *Ma*, dodał wzruszając z pogardliwą litością ramionami, *ma e pazzo*. Waryat? Przewisko to zdawało się nam niesprawiedliwe. Żądaliśmy wytłumaczenia, lecz nie mogliśmy wykołatać nic innego prócz tego, że towarzysze malarza żartują sobie z niego często, mówiąc że traci głowę.

Nazajutrz, gdy usiadł przy stoliku obok naszego, dostrzeżliśmy rzeczywiście, iż jest bardzo zamyślony. Chwilami wpadał w głęboką zadumę, to znowu mówił do siebie zeicha. Gdy jednak wydawał mi się dobry i uprzejmy, podszedłem ku niemu zapytując, czyby mi nie powiedział, gdzie moi towarzysze znajdują się na villegiaturze. Znał ich wszystkich, a z kilkoma był nawet dość ściśle zaprzyjaźniony. Rozmawialiśmy o ich talencie, o ich usiłowaniach, poczem poczęliśmy inowić o sztuce w ogólności i o owych abstrakcyjnych ideach, tak ulubionych młodemu wiekowi. Ożywił się trochę rozmową, i oczarował nas nowością swych poglądów i głębokością swych teoryj. Pierwszy to raz zrozumieliliśmy zasady estetyki niemieckiej, podane żywo jego wymową.

Odtąd spotykając się często w kawiarni, weszliśmy w pełną zażyłość. Nasz nowy przyjaciel był Niemcem, ale wiedeńskim. Miał oczy i włosy czarne, ruchy szybkie, umysł entuzjastyczny a leniwy. Płynęło trochę krwi wołoskiej w jego żyłach, ztąd było w nim coś wschodniego. Był napół człowiekiem Północy, a napół Południa. Nie można mu było odmówić dowcipu ani wyobraźni, brakło mu tylko woli.

— Jeszcze panom nie mówił o niej? spytał nas garson pewnego wieczora.

— A o kim to?

— No, o tej kobiecie co jest modelem w jego pracowni.... Przez nią zwaryował. Gada głośno jakby marzył.

— Czyż więc w niej bardzo zakochany?

— *E sicuro* szalenie, i to proszę ja panów w *modelce!* Powiada że ona jest czystą jak święta. no i naturalnie śmieją się z niego koledzy. Zamiast pojechać razem z nimi na wieś, naraża się w Rzymie na złe powietrze i na febrę, byle tylko nie oddalić się od niej. Nie śmieszneż to, jak siebie szanują. Kochać się w *modelce!*... *Povere pazzol!*

Radzibyśmy byli bliższych zasięgnąć szczegółów co do tej kobiety, która tak opanowała serce naszego znajomego, ale garson tyle wiedział co posłyszał od żartujących kolegów. Nie śmieliśmy zaczepiać o to Waltera (naszego wiedeńczyka), ale mieliśmy kogoś który znał Rzym cały. Była to nasza kucharka Barbara, która nam dawała jeść codziennie gołębie białe i różowe jak pаницz, *bianchi e rossi com' il signor*, mówiła patrząc z zachwyceniem na jasne włosy, białą twarz i świeże rumieńce mego towarzysza. Lubiła bardzo artystów, zajmujących często pokoiki nasze.

— Barbaro—zapytałem—znacie wy tutaj modelkę, kobietę bardzo piękną a zarazem bardzo cnotliwą, w której się zakochał młody malarz, Niemiec?

— Najprzód cnoty nie szukać w Rzymie, a przynajmniej nie u kobiety, która pozuje w pracowni artysty. Lubo znam dobrze tę o której panowie mówicie, i to pewna, że trzyma wszystkich zdaleka od siebie. Przeszłego roku, w tym samym tu pokoju mieszkał malarz Francuz, bardzo ładny, wesoly i dowcipny chłopiec. No i cóż? weselość stracił, i swój dowcip i swoją młodość: osowił, zgapił i zniszczył się. Przyjaciołom dowodził, że go trawi febra, ale mnie się przyznał, że nie umiał przypodobać się Marinie. Znienawidził Rzym. i powrócił do Paryża, chcąc zapomnieć o swęj miłości i boleści. Szczegóły te pobudziły naszą ciekawość niemało.

Pewnego wieczora, gdy według zwyczaju siedzieliśmy w *Caffe-Greco*, chcieliśmy doprowadzić Waltera do wydania się z sekretu a to zapytaniem, czy sądzi że artysta zakochany w swym modelu, może zeń stworzyć dobry obraz. Nie wahał się odpowiedzieć twierdząco, i przytaczając z zapalem nazwiska sławnych malarzy na poparcie swego zdania, jako: Rubensa biorącego za model żonę swą Helenę Fourment, Palnę córkę swą Violantę, Rafaela kochankę swą Fornarinę, a wszyscy przecie potworzyli arcydzieła. Mój towarzysz sprzeciwił się mówiąc:

— To wszystko to się kocha, widzi się nie takiem, jak jest w rzeczywistości, ale takiem jak się je marzy. Nie można więc odtworzyć natury, gdy załona entuzjazmu zakrywa kontury, porządkujące się zawsze według praw, których się nie da bezkarnie pominąć. Jeżeli chcesz poprawić, upięknąć, przeistoczyć rzeczywistość. zaraz wpadniesz w usilność, w aflektacyą i w fałsz. A wreszcie wzruszenie zaciemnia wzrok, i zatrzęsie pędzlem.

„Przepadł biedaczysko, rzekł raz Talma na zdolnego aktora, ale zanadto przejętego duchem swęj roli, przepadł stanowczo, bo wie co mówi. Z malarzem tak samo: jeżeli kocha to co chce

malować, nie stworzy nic dobrego. Może dokonać arcydzieła malując rysy téj, którą kochał, ale nigdy téj, którą kocha.

— To co pan mówisz—odrzekł Walter—jest ważne lubo nie zupełnie trafne, gdyż przedewszystkiem, zanim chcesz naprawdę zostać wielkim artystą, zostań człowiekiem. Uderzyło twe serce dla wzniosłych uczuć; piękność, ta potęga tajemnicza opanowała twoją duszę; to pisz, mów lub maluj, a jeśli pędzel ci posłuszny, jeśli nauczyłeś się dobrze wyrażać myśl twoją, nie obawiaj się niczego, bądź pewny, że zostaniesz mówcą, malarzem czy poetą. Miłość jest sprężyną życia, jest źródłem tego, co jest istotnie wielkiem i pięknem. Kochaj co chcesz, ideę abstrakcyjną, obojętną, sprawiedliwość, zwierzę, kobietę, lecz bądź wzruszony, a pęd twój wzniesiesz natychmiast, a w dziele twojem odnajdzie się serce ludzkości. Wierzaj mi, wielcy artyści onego czasu kochali te, których unieśmiertelnili rysy, więc téż pamięć ich przetrwa choćby płótna starły się na proch. Wielcy ci mistrze, kochając się w swych modelach, nie kopiowali ślepo tego, co widziały oczy ich ciała, ale to co wielbiły i odgadywały oczy ich duszy. Zacierali ni dokładności szpecące model, a nadawali mu kształt więcej niż ludzki, przekształcali go bowiem miłością. Zgadzałem się na to, że omijali pobieżnie zewnętrznosci które zowią rzeczywistością, że nie dbali o to co jest osobistością; lecz wszakże Bóg nie wlał w materię téj najwyższej piękności, którą ściga artysta z wzniesionem ramieniem, tego ideału który jest rzeczywistością wieczną i jedyną prawdziwą. Mówią, że Wenus i Milo była odtworzeniem jakiegoś pięknej córki Archipelagu: nic nad to fałszywszego. A żeby upierać się przy podobnym bezsensie potrzeba być ślepym, lub chyba nie być nigdy w możności porównania, nieudatnych zбочeń ludzkiego ciała z harmonijnymi i nieporównanymi liniami posągu. A czyż Rafael widział gdziekolwiek oryginał swych madonn lub swój Galatei? Nie: nigdy, sam to mówi w liście, pisany w chwili gdy malował Farnesinę, gdzie wyraża tak trafnie ideę którą dostrzega, a której ręką oddać nie jest w stanie. Artysta powinien w samym sobie a nie poza sobą znaleźć piękność prawdziwą, ów typ rzeczy tworzonych, lecz nigdy „bez wielkiej miłości nie zdoła się wnieść dość wysoko, a żeby schwycić promień doskonałości świecącej w głębiach jego ducha.”

— *Sesquipedalia verba!* piękne słowa, lecz niechaj żyje natura!—zawołał moj towarzysz. Cały twój ideał, będący marzeniem wyexaltowanej wyobraźni, nie wart miotły malowanej przez Gerard Dowa, albo wieprzka tarzającego się w błocie pędzla Rembrandta.

W taki to sposób ciągnął się późno w noc, wśród kłębow dymu, ten wieczny dyalog zaczęty niegdyś w ogrodach Akademusa, między Platonem, boskim kochankiem rzeczywistości niewidzialnych, a Arystotelesem, przenikliwym dostrzegaczem rzeczywistości ziemskich: ale zapał z jakim mówił nasz artysta, zdradzał jego tajemnicę. Lecz nam to nie wystarczyło, chcieliśmy poznać tę, która natchnęła naszego malarza tak potężną miłością.

Nasz przyjaciel malował wówczas obraz, którego myśl wziął z Getego z *Narzeczonej z Koryntu*, więc przypuszczaliśmy że się obejść nie może bez modelu. Miał pracownię swoją za Santa Marya de'Capuccini. w pustej uliczce, zkąd się widok rozciągał na pyszne cyprysy willi Ludovisi. Chcieliśmy go napaść pewnego poranku w godzinie, w której najwięcej pracował, choćby nam przyszło urazić delikatność jego uczucia. Zdawał się niemiłe tkniętym naszymi odwiedzinami. Zaczerwienił się, zawahał, nie mogąc powstrzymać przykrego wrażenia; lecz wrodzona mu uprzejmość wzięła górę i uściśnął nam rękę serdecznie. Byliśmy niemniej od niego zakłopotani, nieśmieliśmy spojrzeć na modelkę z obawy, ażeby nie zdradzić naszej niepomiernej ciekawości. „Byliśmy u kapucynów—rzekłem, ażeby się przyjrzeć sławnemu *Świątemu Michałowi*, więc nie chcieliśmy przejść koło waszej pracowni bez odwiedzin.”

Ogadaj on doskonale powód jaki nas sprowadził, ale tając zakłopotanie, zaczął nam rozprawiać o obrazie już prawie ukończonym, a stojącym na sztalugach. Powiem w kilku słowach, jak artysta pojął swój przedmiot, ponieważ silnego wrażenia jakie wówczas wywarło na mnie to płótno, nie mogę oddzielić w mym umyśle od wrażenia jeszcze silniejszego, wywartego na mnie przez kobietę, będącą natchnieniem tego dzieła. Znany jest przedmiot *Narzeczonej z Koryntu* Getego. Rzecz się dzieje w chwili, gdy się Chrystyanizm przedziera do Grecyi. Młody człowiek wyjeżdża z Aten, ażeby odwiedzić narzeczoną swą w Koryncie. Jakkolwiek rodzina narzeczonej została chrześcijańską, a młodzieniec był jeszcze poganim, jednakże gdy przybył w nocy, przyjęła go bardzo uprzejmie. Wkrótce znużony drogą, zasypia, lecz nagle otwierają się drzwi, i ukazuje się dziwne zjawisko: piękna dziewczyna blada, osłonięta w długi biały welon. Dowiaduje się od niej że jest jego narzeczoną, lecz że nie może należeć do niego, gdyż matka uczyniwszy ślub, poświęciła ją Bogu chrześcijańskiemu. Rozogniony miłością, oburza się na takie postanowienie okrutne. „Bądź moją, rzecz, zezwolenie twych rodziców, uświęciło już dawno nasz związek. Bachus i Ceres, przewodniczyć będą naszej uczcie, a ty drogie dzieciku, prowadzisz Miłość za sobą.” „Niestety, odpowiada, nie dotykaj mnie. Jestem biała jak śnieg, ale i jak śnieg zimna.” Chce ją rozgrzać w swych ramionach, ale krew nie krąży już w łonie bladej narzeczonej. Gdy nagle weszła matka do pokoju młodego Ateńczyka, zawołała: „Dlaczegoż zazdrościsz mnie, zesłój tak młodo w grób, tej nocy szczęścia? Byłam narzeczoną tego młodziana, wtedy gdy jeszcze świątynia Wenery błyszczała pełną świetnością, i gdy śpiew waszych kapłanów nie zdołał zagasić ognia, płonącego w mém sercu. Teraz, gdy ręka ma dotknęła ręki tego pięknego młodzieńca, musi umrzeć, bom wysała krew z żył jego. Przynajmniej połączą nas na jednym stosie ofiarnym, i wtedy gdy płomień ogarnie nasze kości, pójdziemy złączyć się z świetnym orszakiem naszych dawnych bogów.”

Utwór ten, w którym fantazyja z rzeczywistością zmieszane są z taką podziwienią godną sztuką, zastanowił silnie Waltera. Dowiedzieliśmy się później, że odkrył on pewne podobieństwo uczuć niędyż swym modelem a ideą, którą Gete, ten wielki poganin, chciał wyrazić w tym poemacie, pełnym żalów za starożytną Grecyą.

Malarz wybrał chwilę, w której młodziuńiec podaje swęj narzeczonej puhar wina, pochwycony chciwie przez nią. Przeciwstawieniem efektów światła, wywołał artysta porywający efekt. Podczas gdy na dziewicę, całą białą w swęj pogrzebno-dziewiczej szacie, padało niebieskie światło nocy letniej, przekradające się przez otwarte okienko; piękny atęczyk oświecony był ciepłemi promieniami, wysnuwającemi się z lampy ustawionęj na stole. Dziewica, piękności przezroczystęj, formy lekkięj i eterycznęj, na pół zgubiona w srebrzystych promieniach księżyca, wydawała się uroczeń zjawiskiem, stworzonem przez wyobraźnię mistyczną średnich wieków. On przeciwnie, podobien Apollinowi Pithyjskiemu, przedstawiał obraz starożytnego życia, w całej pogodzie siły i szlachetnęj harmonii.

Zapewne, że wykonanie tego obrazu nie było doskonałem, ale przedmiot był tak dobrze zrozumianym, a pomysł tak dobrze oddanym, że mu wyraził szczere moje uwielbienie. Skorzystałem ze sposobności, ażeby nareszcie spojrzeć na modelkę. Młoda rzymianka nie czuła się bynajmniej zakłopotaną naszą obecnością. Stała przed nami, nieporuszona, otulona w białą swą fałdzistą szatę, z głową okoloną paskiem czarnym i złotym, na znak żałoby. Była to ostatnia narzeczona z Koryntu, taka jak ją wiersze Getego kazały się domyślać.

„Zdaje mi się, że pan już dziś pracować nie będziesz—rzekła do Waltera. Już późno, przyjdę jutro.”

I podnosząc kotarę oddzielającą pracownię od sąsiedniego pokoju, zniknęła.

Odrazu pojąłem czar niezmierny, jakim działała na naszego przyjaciela. Była istotnie piękną, mimo że nie miała cery matowęj ale ciepłęj, właściwęj karnacyi południowęj. Przeciwnie była nadzwyczaj białą, a raczję bladą. Być może że właśnie ta okoliczność, spodobała się artyście. Wreszcie, nie tyle mnie uderzyła pięknością rysów twarzy, ile harmonią ruchów, chodu i całej osoby. Nie ukazała się nam ani wyzywającą zalotnym wdziękiem, ani niezgrabną bojaźliwością: odeszła spokojnie, ze swobodną pewnością. Zdawało się, że płynie jak łabędź po wodzie. Przypominała słowa Wirgilego: *in cessu patuit Dea.*

Widziałem ją jeszcze potem kilka razy, a zawsze zadziwiły mnie prostota i wdzięk jęj ruchów. Czy to wystudyowanie które doprowadziła do naturalności, czy codzienny widok arcydzieł sztuki greckięj, którym się lubiła przypatrywać, tak wpłynęły na nią bezwiednie, dość że za każdym poruszeniem odsłaniała majestatyczne linie rzeźb starożytnych.

Gdysmy chcieli odejść, Walter nam towarzyszył.

— Zgadłem odrazu—rzekł—cel waszych odwiedzin, chcieliście ją zobaczyć. Mówiono wam pewnie o mej szalonej miłości... mówiono wam, że waryat... Nie zaprzeczajcie. Przyjaciele moi powtarzają mi to często, bo artyści prawdę sobie mówią, a moja tajemnica nie jest już nią dla nikogo. A przecież mi bolesno, gdy mam mówić o tém. Kochać miłością wielką i zazdrosną, tak, pojmujecie, zazdrosną, modelkę, którąby lubić można z kaprysu, jest, wiem o tém, śmiesznością. Sam sobie to mówię, a jednak nadarmo. Jakiś niewytłumaczony pociąg, pokonywa moją wolę. Wreszcie dziwna to osobistość ta modelka, wynajmująca się malarzowi za kilka talarów. Gdyby umiała rysować, byłaby wielkim malarzem a raczej wielkim rzeźbiarzem, bo miłsze jój posągi od obrazów. Ma gust wykintny i wytrawny. W dwóch słowach ocenia wartość dzieła sztuki. Nie masz lepszego od niej krytyka. Lubi też, gdy mówią o wielkich czynach dawnych Rzymian i o chwale starożytnego Rzymu, jakby się poczuwała córką Scypionów. Uważam ją za cnotliwą. Uchodzi to za szczyt śmieszności u moich kolegów.

Miłość jój nie jest powszednią...

— Tak—rzekłem—słyszałem o tym francuzie...

— A niedawno bardzo bogaty amerykańin ofiarował jój nadzwyczaj kosztowne dary: odmówiła wręcz. Przysłał jój brylanty: odesłała mu je z pogardą."

Walter wyczytał jakieś niedowierzenie na naszych twarzach.

— Nie chcecie uwierzyć, iżby biédna modelka oparła się pokusom wszelkiego rodzaju, na które naraża ją jój piękność, jój nędzny stan zarobkowania, jój ubóstwo, a ja tłumaczę to sobie. Widzicie, nikt jeszcze nie przemówił do niej szlachetnie, ofiarowano jój złoto, brylanty, łechtano jój próżność, jój zmysły, któreby chciano odurzyć. Nikt nie zbliżył się do niej, jak do kobiety uczciwej. W hołdach, któremi ją chciano oszołomić, nie trudno jój było odgadnąć lekceważenie. Cóż więc dziwnego, że odepchnęła zniewagę, okrytą piękném słówkiem? „Ofiaruję mi brylanty, rzekła raz do mnie, lecz pączek róży zaszczenięty w moich włosach, stokroć błyszczący piękniej niż te drogie świecidla, a przecież na różyczkę tę wykosztowało się słońce jednym tylko promykiem, a ja potrzebowałam ją tylko zerwać. Żadne skarby świata nie dodadzą nic jój wdziękowi. Przyczepcie posągowi pierścień złoty do nosa lub do uszu, czy go przeto uczynicie piękniejszym?" To co mówiła do mnie, zgadzało się z jój myślą, bo życie zgadzało się z jój słowy.

— A przecież—rzekłem—wspomnij pan sobie skrzyneczkę *Gretchen*. Prawda, że nieświadomość wstydliva była tam niebezpieczeństwem, którego tu niema. Być wreszcie może, że dusza z natury dumna i podniesiona uczuciem piękna, wyższą jest ponad pewne pokusy. Pańska rzymiauka widząc rzeczy i ludzi zbliiska, będąc przytem bez złudzeń, wolną być winna od wielu słabostek. W każdym razie trudno mi zrozumieć, jak ta kobieta pochodząca z ludu, wychowana przez ubogą rodzinę i żyjąc zapewne z gminnymi ludźmi, mogła się przejąć tak szlachetnymi poczuciami."

— Sądziś więc pan, że ja, jak każdy zakochany prawdziwie, stworzyłem sobie ideał ażeby go lepiej uwielbiać, i że ją uposażyłem w przyzioty, które tylko istnieją w mojej podbudzonej wyobraźni? Niech i tak będzie, może sam przekonasz się inaczej. Zważ jednak, że coby było nadzwyczajnym w innym kraju, nie jest niem we Włoszech. Ludzie Północy mają może więcej siły, a w każdym razie więcej ciągłości myślenia; lecz ażeby rozwinąć te zdolności, potrzeba na to ustawicznego ćwiczenia. Ludy Południa przeciwnie mają umysł otwarty, ułatwiający im wszystko, zmysły ich żywsze wrażliwą się na duszy szybciej i wyraźniej pojmują, zgadują i wnioskują natychmiastowo. Czy rzeczywiście zdaje się panu, że nic nie znaczy dla mieszkańców tych okolic, nazywać się dziedzicami tyłu cywilizacji! Tutaj naprzykład, wspomnienia wielkich artystów odrodzenia i starożytnego Rzymu, nieobce są pierwszemu lepszemu z gminu. Stąpają oni między pomnikami panów świata, ich przodków, jak się wyrażają, i żyją w ciągłym obcowaniu z cieniami bohaterów. Proszę się przypatrzeć Kolizeum, które przebiegamy w tej chwili. Miałołoby to być napróżno, że lud jaki może sobie powiedzieć: „oto cośmy zdziałali, gdy świat cały leżał u nóg naszych!”

Pomów pan z lada żebrakiem, zanurzonym w kurzu i robactwie, a będzie on panu mówił o swoich przodkach, o Scypionach, Tytusach, Brutusach, bez odróżnienia czasu i ludzi, ale z tępą głębią przeświadczeniem, że po za nim stoi coś wielkiego, co nakazuje jeszcze cześć dzisiejszemu pokoleniu. Zapytaj pan ostatniego *facchini* kto on jest, a z jakąż pychą odpowie: *Jo son romano*.

Kontrast pomiędzy dzisiejszym stanem a pretensjami nowoczesnego Rzymianina, wyda się panu zrazu bardzo śmieszny, lecz czyż to nie jest dziełem owego podmuchu wielkości, któremu ulegają nawet dusze spodłone? Przyznaję, że Marina ze swemi artystycznymi instynktami i swą pychą Rzymianki, nie może istnieć, chyba w podbudzonej wyobraźni dwudziestoletniego kochanka, lecz tu zachodzi pewna różnica, przekonasz się pan, czy się myłę.

Cóż było odpowiedzieć, jeżeli nie to, że nie życzymy sobie czego innego, tylko przekonać się osobiście? Zrobiliśmy tylko uwagę, że cokolwiek to dziwnie wygląda, iż kobieta smaku tak delikatnego i uczuć tak wzniosłych, nie przestaje być modelem.

— Być może że to dziwne— odrzekł— ale cóż może robić dzisiaj, gdy już raz weszła na tę drogę? Praca nie utrzymałaby jęj, a wreszcie przyzwyczajenia delikatne, zbrzydziłyby jęj zatrudnienia ręczne, na któreby się skazać musiała. Żyjąc życiem artysty, pięknieby wyglądała ta narzeczona z Koryntu, jako cerująca koszule, lub sprzedająca lichtarze!”

W owęj epoce, był w modzie typ kobiety upadłej a odrodzonej miłością. Gete, Victor Hugo w *Marion Delorme* odmłodzili ten przedmiot użyty już przez La Fontaina, a dość sobie przypomnieć, z jakim zapałem przyjmowała go publiczność.

Walter mógł znaleźć nie jeden powód, ażeby się upoić tą ułudną i niebezpieczną ideą. Powstawał gwałtownie, przeciw okrutnym przesądom społecznym.

— Jaktó! — zawołał — uginamy z uszanowaniem czoła przed dziełami sztuki, budujemy im pałace gdzie tłumy cisną się aby podziwiać te objawienia boskości, a odpychamy model, bez którego nie byłoby arcydzieła! W taki to sam sposób wielbimy dramat, tragedya, a pogardzamy aktorem, który je ujawnia tłumom. I to się zwie sprawiedliwością świata!

Nie odpowiedzieliśmy nie na te deklamacye zranionego w przedmiocie swęj miłości serca. Bo i jak tu odpowiedzieć, żeby mu nie rzec że są pewne położenia dwójznaczne muszące zepsuć, i że w naturalném tego następstwie przesąd, który na nie napada, nie jest bez podstawy? Nasze uwagi byłyby czémś więcej jak potępieniem jego teoryi ogólnych, dotknęłyby go w najdrażliwszą stronę. Więc nie nie mówiliśmy o naszej niewiarze.

Od czasu gdy Walter chcąc niechcąc, wypowiedział się nam ze swęj szalónęj miłości. stała się ona niewyczerpaném źródłem naszych rozmów. Zaprosił nas nawet do swęj pracowni, przezco mieliśmy sposobność zapoznać się bliżej z jego ukochaną. Mogliśmy też dostrzedz, że jakkolwiek dał nam jęj portret bardzo pochlebny, że jednak była to kobieta wcale niezwyčajna. Oto co uderzało w nięj na wstępie: umysł bystry, charakter silny, wiele szczerości, a zarazem wiele dumy wstydliwęj i trzymającęj się na uboczu, wdzięk dziewiczy połączonej z siłą prawie mężką, czasami wesołość lecz umiarkowana, zakroju poważnéj melancholii, a nadto głębokość poglądów i często tak niezwykły język, jak go niepodobna znaleźć w kobiecie z ludu.

Nabrała ona w pogawędkach z artystami ukształcenia powierzchownego wprawdzie, ale które było dostateczném dla rozwinięcia w nięj smaku bardzo wykwintnego, i jęj prawie wrodzonego. Chępiła się z drwiącą pychą z tego, że ją miano za zimną, co ją podnieść powinno było, jak sądziła nad wiele innych.

— Mówią, żeś biała jak śnieg — rzekła ze śmiechem — Być może, lecz to pewna, żeś zimniejsza od śniegu.

— Tak, ale zdala od słońca, zdala od miłości.

— Oh! słońce to jeszcze nie weszło dla mnie, jeszcze ono daleko.

— Tem lepiej, bo proszę pamiętać, że pod jego promieniem śnieg topnieje, i cóż wtedy zostanie?

Wzruszyła ramionami. Walter dobrze rozumiał, że chcemy zażegnać niebezpieczeństwo, które zagraża jego spokojowi, godności i przyszłości, ale wcale nie był rad z naszych uwag. Pewnego znów razu rzekła nam, że jęj jeden z rzeźbiarzy chcąc dowieść potęgi miłości, opowiedział historya Pigmaliona. „Co się mnie tyczy — dodała — jestem pewną, że gdybym była posągiem, zostałabym nim i nadal.”

Niestety biędna! czemuż się tak nie stało jak przyrzekała, czemuż zstąpiła ze swego piedestału!

Nie mówiła ona tego przez zalotność, owszem, czuła się niezwyčajną. Zdawało się jęj, że zna wszystkie pokusy, wszystkie niebezpieczeństwa, więc czuła w sobie siłę ażeby się im oprzeć.

A jednak słowa jój które martwiły naszego przyjaciela, nie dawały nam zaspokojenia.

Pierwszych dni października, powrócili artyści do Rzymu, jeden po drugim. Poznałem tych do których miałem polecenie. Zrobiliśmy wycieczkę do Tivoli, do której należała Marina. Cały dzień zwiedzaliśmy okolice miasteczka. Mimo złowieszczego przyśłowia włoskiego:

W nieszczęsném Tivoli wiatr wieje, *A Tivoli di mal conforto*
Deszcz pada, lub po umarłym dzwonią. *Tira il vento, piove o suon'a morto.*

pogoda była prześliczna, z której też skorzystano ażeby zrobić klasyczną wycieczkę do willi Adriana, w grotty jój i kaskady. Wieczorem ustawiono stół na tarasie *Hotelu Sybilli*, blisko ruin świątyni Vesty, które to miejsce niezmiernie upiększają. Tu przypominają się wszystkie wspomnienia starożytności, tak jakby się było przeniesionym w czasy, w których Horac i Mecenas zwiedzali z rozkoszą te miejsca. Pamiętając uczyt opiewane przez poetę rzymskiego, przyjaciele nasi splatali umyślnie wieńce kwiatów zerwanych w górach, i wieńczyli niemi czoła i szklanki. Lidye i Chloy naszych młodych artystów śmiały się do rozpuku z tych ozdób, nieszcpecących bynajmniej ich czarnych włosów, ale brzydko odstających od kostiumów męzkich. Jedną tylko Marina, która zrazu wesoło biegła, stała się nagle zamyśloną i smutną, w miarę jak noc zapadała. Nareszcie wstała od stołu. Poszedłem za nią i zastałem ją opartą o balustradę terasy, wzniesioną ponad tajemniczymi grotami, z pod stóp których wytryskuje jeden strumień rzeki. Zbliżając się, zachwycony byłem niezrównanym wdziękiem jój pozy. Owinęła się cała długim swym białym szalem, ażeby się ochronić od wilgoci zdmuchiwanéj wietrzykiem z promieni kaskady; głowę mając opartą na rękę, przypomniała mi posąg Polynnii, który niedawno wzbudził mój podziw w galeryi Luwru. Jój pełna powagi piękność, i skromna harmonia spadających fałdów jój szaty, nakazywały mimowolnie uszanowanie. Podobną téż była do Sybilli Tyburtyńskiej, wyszłej ze swéj świątyni, w której ukryta cieniu radzi się gwiazdzistego nieba. Stałem przed nieporuszoną, nieporuszony. Głęboka zaduma otoczyła jój czoło. W téj chwili, księżyc wychylając się z za wzgórz Teveronu, oświecił twarz jój w pełni, i ujrzałem łzę spływającą z jój oczu.

— Płaczesz pani!—dlaczego?

— Przypatrz się pan nocy, jaka piękna! Ale dla mnie niema szczęścia, nigdy nie będę kochaną, bo dla mnie nikt nigdy nie będzie miał szacunku. Czemuż nie mogę tu żyć i umrzeć sama, zapomniana od wszystkich!

I wskazała ręką na przepyszne widowisko, odsłaniające się przed nami. Ponury, lejkowaty skręt Teveronu zdawał się roztwierać pod naszymi stopami niezgłębione przepaście, z których wydobywały się wilgotne dymy, niby obłoczki, przetykane

niebieskawą jasnością nocy. Z drugiej strony strumienia, nawprost nas, na wzgórzu, na którym niegdyś wznosił się domek Horacego, poruszały drzewka oliwne bladym śwem i lekkim liściem, a znowu daleki odgłos kaskad wznosząc się i spadając kolejno, przygrywał łagodnie piorunnemu trzaskowi największej kaskady.

Kolumny marinurowe małej świątyni, kontury gór, łagodne światło oświetlające krajobraz, delikatny zapach jesiennych kwiatów, cichy szelest liści a głuchy szmer wody, wszystko, co jest dziełem człowieka i pogodnej natury, znalazło się w doskonałej harmonii, w wybornej zgodzie.

— Tak—zawołałem—noc jest cudowna. W obec takiego widoku, poeta który niegdyś zamieszkiwał to piękne ustronie, zawołałby: „Używajcie życia, póki jest w pełni.” Dzisiaj widok wielkości natury i poczucie czasu, który ucieka i nas ze sobą unosi, napawa nas wznioślejszemi i bardziej melancholijnemi ideami!

— Prawda—odrzekła z emfazą, tą właściwością tradycyjną rasy rzymskiej—a jednak dlaczego? Czyż mądrość ówczesna nie warta była dzisiejszej? Zamiast jęzczyć skargą ku tym nieczułym gwiazdom, które się niezmiennie obracają dalej, niezważając na mnie, nie lepiejżebym uczyniła, łącząc głos mój z głosem przyjaciół? Lecz nie mogę, wesołość ich boli mnie, i gdybym miała z nimi śpiewać, wybuchłabym łkaniem.

— Lecz czy niema takiej osoby, której chciałabys podać rękę?

— Nie. Znam ich wszystkich dobrze, wiem, ileby im zaciążyło przeznaczenie takiej kobiety jak ja.

— Widziałam, jak ci weseli amatorzy piękności i zabawy, przysięgali swym przyjaciółkom miłość a zapominali po roku nawet imię tych, które powinni byli kochać zawsze. Widziałam, jak zmieniali miłość, niby gatunek wina. Wiem, na jakie taki związek naraża upokorzenia i gorycze. Czyż jest choć jeden pomiędzy nimi, któryby mi ufał? Walter kocha mnie prawdziwiej, a cóżbym mu przyniosła? Moją nędzę. A on? swoją dobroć, słabość i swoją obrażającą zazdrość. Zazdrość przeszłości, terażniejszości i przyszłości! Bez wzajemnego zaufania, niema przywiązania długotrwałego, a jakąż może mieć ufność w modelce? Niema na to lekarstwa. Iść samąj dalej, to przynajmniej droga mniejszego cierpienia.

— Gdybys pani kiedy pozowała jako Ofelia, chciałbym ci powiedzieć jak Hamlet: „Do klasztoru, do klasztoru” bo teraz duma, szacunek samąj siebie, dają ci siłę do zniesienia braku szacunku u innych, lecz obawiam się, że nie wytrwasz, a gdy upadniesz, będziesz pani wielce pożałowania godną.

— Posyłasz pan narzeczoną z Koryntu do klasztoru? Przypomnijże sobie legendę: umarłabym tam rychło. Więc kocham wolność moją; chcę żyć i nauczyć się umrzeć,—kocham mój kraj, a miałabym tylko kochać klasztor?! Nie, nigdy!

Więc niech się spełni przeznaczenie!

Jak na studenta, zdaje mi się że i tak dosyć dowiodłem rozsądku, lecz wpływ téj pięknej nocy i téj dziwnej kobiety, nastroił mnie poważnie.

Powrót był wesoty i hałaśliwy. Wózki staczały się w galopie po boku Tivoli. Powietrze czyste, szybkość jazdy jeszcze nas bardziej ożywiły, ale gdyśmy dojechali do stóp góry i konie zwolniły w biegu, zmniejszyła się nasza wesołość. Jakto zwykle bywa, pewien odcień melancholii idzie w ślad za przesadną wesołością. Dla rozproszenia niemiłego wrażenia, uproszono Marinę żeby zaśpiewała. Głos jój był pełny i mężki, tak jak wielu włoszek. Zaśpiewała nam smutną piosnkę, której dwa wiersze wspomnę; były takie:

Kocham cię tak mocno,
Kocham cię ze łzami.

T'amo d'intanto
T'amo col pianto.

Śpiew ten nie mógł rozetlić naszego humoru. Gdy skończyła, chciano nadarmo zawiązać rozmowę; urywała się. Było też nam lepiej z tém milczeniem. Anioł śmierci przeleciał, jak mówią w Polsce. Uroczysty widok rzymskiego krajobrazu, ciążył na nas. Wszystko przyczyniało się do pobudzenia w nas obrazów śmierci i nicości: majestatyczne pustkowie, gubiące się w jasności księżycy, nagość przestrzeni bez drzew, bez chaty, bez czegobądź coby zamionowało życie, i przecięło monotonne linie; zamiast zapachu kwiatów, ostra woń sulfataru, którego siarka zdawała się pochodzić z Erebu, nareszcie cisza grobowa, którą tylko przerywał głuchy ryk bawołu, pasącego się zdala w bagnisku. Wiatr nocny, sprószając popioły tylu grobów, zagasił naszą wesołość, tak jak gdyby powiew zimny, wydarty z grobu zagasił lampę.

Szczegóły te, tem bardziej mnie uderzyły, że Marina biada, w białej swój szacie, i w tém straszliwém pustkowiu, wydała mi się widmem pogańskiego Rzymu, przelatującym swoje opuszczone państwo.

W miarę, jak poznawaliśmy lepiej tę dziwną kobietę, pojmovaliśmy także szal Waltera, i grożące mu niebezpieczeństwo. Nazajutrz wieczór, skorośmy się tylko spotkali, usiłowaliśmy zwalczyć miłość jego, mogącą być dla obojga nieszczęściem. Wiedzieliśmy, że analizuje on wszystkie swe uczucia, starając się je przyczepić do jakiejś idei ogólnej w ten sposób, iżby z tego wytworzyć teorię. Potrzeba więc było aż w zakątkach myśli, zwalczać tę namiętność. Pytaliśmy go, jakim sposobem zawładnęła nim tak gwałtownie.

— Jakże wam to wytłumaczyć? Miłość się czuje ale nie opowiada. Marina jest piękną: oto wszystko, co wam mogę powiedzieć.

— Lecz cóż kochasz w niej? Czy jedynie harmonią linii? w takim razie uwielbiaj posąg grecki, forma jego doskonalsza. Przypuść, że zaległa czarna noc lub żeś ociemniał, cóż zostanie z tych linii które cię czarują? Nic. Ten który chce objąć piękność, po-

dobien jest dziecku chcącemu pochwycić księżyc. W tém szukać źródła nienasyconego szaku tych, którym się zdawało że namiętnością zaspokoją pragnienie piękna, rozpromieniające ich serce. Jeżeli zaś w tej modelce kochasz tylko formę zewnętrzną, ciało, czegoż chcesz więcej, skoro możesz codziennie podziwiać jej rysy, i odtwarzać je pędzlem? Nigdy, choćbyś niewiedzieć co uczynił, nie użyjesz piękna, jak tylko widokiem, który przeniesie obraz do twój duszy.

— To co pan mówisz jest prawdą—odrzekł Walter—a jednak zkadże to pochodzi, że iskra spojrzenia zapala naszą krew, i że pewne rysy twarzy, sprawiają bicie serca? zkad pochodzi że dość najmniejszego błędu fizycznego, ażeby przeszkodzić wybuchowi miłości? Czyż Indyanin stepów wie co to jest piękność twarzy, i czy jej wymaga od swój dzikiej towarzyszki? Z pewnością że nie, i dlatego jest człowiekiem natury. Lecz my inni. mamy jeden zmysł więcej, więc my, malarze czy rzeźbiarze pracujemy nad tém, ażeby ten zmysł wzbudzić lub go wyszlachetnić. Prawda że to jest dobre w sztukach, i że nie powinno się tym rządzić przy wybieraniu tej, która zaważyć powinna jedynie przymiotami serca lub umysłu; wiem to dobrze, ale niestety wszystkie te piękne teorye i inne jeszcze których wam oszczędzę, rozproszyło jedno jej spojrzenie; musiałem przeto uznać tajemniczą potęgę jaką wywiera piękność na człowieka, a to choćby dlatego, iż czułem że następuję przed tą potęgą.

Walter więc widział lepiej od nas, a przecież nie chciał się uleczyć.

W kilka dni później widziałem Marinę, i to już po raz ostatni, a to przy takiej sposobności.

Pewnego popołudnia, poszliśmy raz jeszcze zwiedzić muzeum watykańskie. Przeszliśmy pierwszą galeryą, służącą za przedsionek do dalszych, gdzie umieszczone są szczątki grobów chrześcijańskich i pogańskich z licznymi napisami, gdy w głębokiej framudze jednego z okien spostrzegliśmy Marinę, mocno zajętą odczytaniem kilku wierszy, napisanych ołówkiem na murze.

— Przeczytacie mi te wiersze?—zagadnęła. Jest tu łacina, której nie rozumiem, i pewne włoskie wyrazy, których dobrze pojąć nie mogę.

Przeczytaliśmy z natężeniem ośm wierszy poprzedzonych epigramem Horacego. Takie one:

Debemur morti nos nostraque.

Il passati non è, ma se lo pinge

La pura rimembranza.

Il futuro non è, ma se lo finge

La credula speranza.

Il presente solo è, ma fuge sempre

Nulla nel senno.

Così la vita è memoria, speranza

E un punto.

(Przeszłości niema, ale pamięć kreśli sobie jęj niedokładny obraz. Przyszłości niema, ale łatwowierna nadzieja wyobraża ją sobie. Teraźniejszość tylko istnieje, ale ucieka zawsze, niepochwyciona umysłem. Tak więc pomiędzy wspomnieniem a nadzieją, życie jest zaledwie punkcikiem).

Te ośm wierszy nie były czemś nadzwyczajnym, powtarzały bowiem tylko a propos nicości życia, myśl tysiąc już razy równie wyrażoną; ale tu na murach Watykanu, w pośród szczątków wszystkich grobów poczawszy od nieznanych czasów Etruryi aż do Katakumb, pośród relikwii tylu wieków i napisów poświęconych śmierci tylu istot żalowanych długo, a potem zagastych w wieczności, wiersze te chociaż mierne, przeniknęły nas swą jednością. Nikt nie uniknie wpływu miejsca, bo często kilka słów odcyfrowanych na ruinach Kapitolu lub na kamieniach piramid, oddziałają więcej na wyobraźnię, aniżeli znakomita strofa odczytana w drukowanym piosenniku poety.

— Ten co napisał te wiersze—rzekła Marina—miał słuszność. Jestem prostytutką, a jednak często tę samą myśl miałam. Cóż to znaczy żyć? To znaczy: przejść. A przecież i to krótkie przejście, ten „punkcik” jakże często jest bolesnym, jak często jest cierpieniem, konaniem! Lecz chodźmy dalej—pokażę wam posągi i które lubię.”

Zatrzymywała nas kolejno przed ulubionemi marmurami, a my musieliśmy tylko czoła uchylić przed pewnością jęj smaku. Gdyśmy wyszli z Watykanu, zaproponowała nam wejście na jedną z najpiękniejszych ulic Rzymu, której nie widzieliśmy jeszcze. Poprowadziła nas przez ulice puste i ubogie, otwierające się zaraz za kolumnadą św. Piotra. Przeszliśmy wąziutką uliczkę, która się kończyła w rumowisku i krzakach, tuż blisko klasztoru San Onofrio, gdzie umarł Tasso. Stanęliśmy na Janiculum, jednym z siedmiu wzgórz, a Rzym rozciągał się u stóp naszych po obu brzegach Tybru, tocząc swe wody zawsze jasne popod mostami cesarzów i papieży. Widok był rzeczywiście wspaniały. Po prawej, słońce chylące się już ku sąsiednim wodom Śródziemnego morza, oświecało złoconemi swemi promieñmi domy, pomniki i góry. W tém ciepłym świetle, ukazywały się górujące ponad pospolitością mieszkań nowożytnych, potężne resztki starożytnych budowli, jako: Pantheon podobny do tarczy olbrzymiego żołnierza, sklepienia rozwarłe wielkiej bazyliki, któreby zdala wzięść można za olbrzymie podziemia—wielkie ściany muru z Kolosseum wyrwane, niby potrzaskane wzburzeniem geologiczném skały, i kolumny świątyni Jowisza Satora w ich dunném odosobnieniu, dalej więcej na wprost nas, ogrody Pincio i eleganckie linie willi Medycejskiej, okolonój bukietem zielonych dębów. Z jednéj strony Soract, a z drugieej szczyty zbliżone: Tusculum i Rocca di Papa rysowały się fioletowo na niebie coraż bledszém, w miarę jak niebo składało się ku widnokręgowi, tak jak to bywa w obrazach *Francyi* i *Perugina*.

— Prawda że to piękne—rzekła Marina—ale widzieliście Neapol?

— Nie, lecz może będziemy tam niedługo.

— W Neapolu dopiero się żyje. Tam znikają pomniki człowieka, a ziemia i morze proszą was na ucztę, zwłaszcza morze. Dlatego też że tak kocham morze, i że tak często o nim mówię, nazwano mnie Marina.

— Więc wychowałaś się pani w Neapolu?

— Tak—odrzekła—dziecięce moje lata i moja młodość upływały mi nad Pauzylipem, w willi należącej do pana który był podobno moim ojcem, lecz który nie przyznawał się do mnie jak do córki. Po jego nagłej śmierci, krewni rozdrapali dobra, a ja pozostałam sama i pozbawiona wszystkiego. Jedna ze służ zlitowała się nad mym losem, i posłała mnie do swjej siostry do Rzymu, która chciała innie zatrudnić w swjej szwalni, ale ja nie przydałam się na to, sprzykrzyłam się tym ludziom. Ponieważ namiętnie lubiłam obrazy i piękne posągi, więc chciałam przyczynić się do stworzenia dzieła sztuki... na mój sposób—dodała z uśmiechem.

Po chwilce mówiła dalej językiem obrazowym, pełnym poezyi ludowej i emfatycznej razem, której myśl mogę oddać tylko, ale nie oryginalną formę.

— Ojciec mój wcale się o mnie nie troszczył. Żyłam sama. Nauczono mnie bardzo mało. Od pierwszych lat lubiłam przypatrywać się lasom, górcom i morzom. Ci którzy żyli naokoło mnie patrzyli na drzewa pomarańczowe i figowe dlatego, bo byli ciekawi czy już są dobre do jedzenia, ja zaś bo lubiłam w pomarańczach jabłka złote z pięknym metalicznym liściem, a w figach owoc purpurowy, zaciemniony liściem zgrabnie wykrojonym. Najpiękniejsze moje dni i wspomnienia przenoszą mnie w dni, w których przypatrywałam się świetnym kolorom wody jeziora, blaskom słońca przy zachodzie, zapalającym ogniem swym wzgórza Wezuwiuszu i Sant-Angelo, całemu amfiteatralnemu Neapolowi i zielonym dębom Chiaï, rozkładającym się w sine cienie. Czułam się wtedy oczarowaną, tak jak przypatrując się kwiatom lub robaczce, czułam się radosną. Przypominam sobie także między innymi, cały poranek przepędzony nad brzegiem morza, pod wiecznie zielonymi dębami, które tworzyły gęsty las od willi aż do brzegów. Bawiłam się poruszając gołą nogą małe kamyczki w wodzie i różnokolorowe muszelki zapełniające dno, bawiłam się układając dziwną mozaikę, którą połyskująca fala srebrzyła ruchliwym zawsze promieniem.

Z kasztanów dochodziło gruchanie dzikich gołębi. Było to w końcu kwietnia. Upały wielkie łagodziły świeżość cienia i morza, a mimoto znać było potęgę słońca ogrzewającego i oświecającego wszystko. Zdaje mi się że ten poranek był wczoraj, a przecież drugiego takiego już nie zobaczę!

We willi mego ojca znajdowała się galeria wychodząca na jezioro, a w każdej z marmurowych, podtrzymujących ją arkad,

stał posąg. Lubiłam jeden z tych posągów jak przyjaciółka: była to *Diana*, jak się później dowiedziałam. Godzinami przypatrywałam się jej formom tak szlachetnym, tak czystym, a zmieniającym ton i widok stosownie do godziny dnia i do wysokości słońca. Rano, była różową i świeżą jak kwiat wiosenny, w południe odrywała się potężna i rozbluszczona prostopadle do morza, na tle mory niebieskiej, i widzę jeszcze ciepłą białość marmuru, jego cienie jasne i przezroczyste, i łagodne odbicie w głębokich fałdach draperyi. Później promienie złote schyłku dnia, zdawały się wlewać w nią życie. Lazur zachmurzonych fal, wypychał cudowną sylwetkę bogini, a ja uniesiona uwielbieniem krzyknęłam: „Jakżeś jest piękna!” Była ona dla mnie jakby siostrą starszą, do której chciałam być podobną, lecz gdy się zmierzchno, wszystko znikało w cieniach. Posąg mój stawał się białym jak śnieg z promieniami siwymi i bezbarwnymi, przybierał postać śmierci, a w nocy stawał się strasznym widmem. Życie odbiegło wraz ze światłem, wtedy strach mnie porywał i uciekałam.”

Marina wstrzymała opowiadanie, gdy znów zaczęła, błyszczący jej wzrok zdawał się palić sybillijskim ogniem. Zdawało się, że te wielkie postacie o których mówiła, zjawiały się przed nią, i że ten widok przeniknąwszy duszę jej uczuciem starożytnego piękna, wyszlachetnił jej imię i język.

— Od tego czasu lubiłam zawsze statuy, lecz nie poustawiane w porządku, w zimnych sklepieniach murów jak żołnierze podczas przeglądu, ale w ogrodach, pod cieniem platanów, u progów świątyn, szczególnież zaś blisko rzek a zawsze pod niebem. Ich białość dziewczicza, przedstawia mi czystość bogiń, a ich szlachetna pogoda nasuwa na myśl, szczęśliwy byt istot duchowych. Kiedy patrzę na ich nieskazaną piękność, jaśniejącą pod tym samym słońcem, które je widziało wychodzące ze skały w *Paros* dwa tysiące lat temu, to dumam wtedy o wiecznej młodości olimpijskiej. Idea niespożytego życia owłada mną, i mówię sobie że i ja nie umrę. Malarstwo zachwycą na chwilę urokiem magicznym kolorytu, lecz marmur jedynie zdolen oddać ideę w jej dumnej nagości. Obraz przedstawia ludzi pewnej epoki lub kraju, ich kostiumy, mieszkania, charakterystyczne rysy, słowem wszelkie ich stosunki ze światem i przeszłością; posąg jest obrazem człowieka idealnego, którego nic nie wiąże do pewnej rasy lub epoki: jest to typ ludzkości oswobodzonej z przypadkowości, jestto czysta piękność, doskonałość nawet wcielona w kamień.... Lecz szaloną jestem nieprawda? rzekła nagle, przerywając.

Język włoski, naiwny, lubo mniej klassyczny od innych, dodawał słowu jej drgającemu entuzjazmem, siłę, której nie mogliśmy pojąć, ale która nas wzruszyła mimowoli.

Opuściła głowę. Nadszedł wieczór, i ujrzałam pierwszą gwiazdę odbłyskującą w jej wilgotnych oczach. Tak jak w *Tiwoli* z kontemplacyi piękna które ją unosiło ponad jej przeznaczenie, spadała w przypomnienie rzeczystego bolesnego stanu.

— Bywajcie mi zdrowi, chcę odejść sama.

Zbiegła szybko ze wzgórza. Opuściłem Rzym nazajutrz. Myśląc nieraz o tej kobiecie, zdawało mi się zawsze że spotkał jakąś dziewczę Grecyi, zachwyconą w prostocie pięknem w naturze i w sztuce, a obdarzoną szczególném poczuciem formy, któreto poczucie miało najprostsze dziecię Attyki. Wtedy też zrozumiałem, że taki smak oczyszczony, może być półcnotą.

O dalszych kolejach modelki dowiedziałem się z listów mego towarzysza, pozostałego w Rzymie.

Oto kilka wyjątków.

Olevano, d. 8 listopada 1845 r.

...Pisałem ci, że Walter stał się jeszcze dzikszym. Żył w odosobnieniu, unikając kolegów. Chciałem go wyszukać, aż dowiedziałem się że pojechał do Tiwoli z Mariną, podobno z nią zaślubiony. Przedał swój obraz „Narzeczoną z Koryntu,” z którym jak ci wiadomo, nie chciał się nigdy rozstać. Zapewne zmusił go do tego niedostatek, lub posiadanie oryginału. Pojechałem do Tivoli, ale nie zastałem go, wyjechał do Subiaco, zawsze z Mariną. Bardzo pięknego dnia, odbyłem tę wycieczkę piechotą. Droga jest dość opuszczoną, a rzadcy mieszkańcy okolicy, nader dziwnego są charakteru. Lecz nic wdzięczniejszego nad młode dziewczęta z Cerwara, które zstępują ze swych gniazd orlich wykutych w szczytach skał, zaczerpać wody w wodotryskach, swemi naczyniami o etruskiej formie. Przodkowie ich schronili się podobno na te szczyty przed Saracenami, a mówią znów, że tu się osiedliło trochę Maurów. Być to może, sądząc z wschodniego typu dziewcząt. Ruchy ich przypominają kobiety Judei, czerpiące wodę w cysternie Rebeki.

W Subiaco nie zastałem Waltera, pojechali do Olevano. Dalejże za nimi. Robię siedm mil poprzez Apeniny. Krajobraz cudowny kolorytem, prawdziwy obraz Poussina. Przechodzę przez górzystą wioskę, podobną do Cervara. Same domki w ruinach, oparte na skałach. Chciałem się pokrzepić, nie ma nic, ani chleba, bo jedzą tylko *polentę*, ani wina, bo go nie uprawiają, ani wody bo nie jestto godzina w której idą po nią w dolinę. Na skałach ani drzewa, ani trawki, ani źdźbła. Nazywa się to *Rocca-San-Stefano*. Zdziwisz się, dlaczego mieszkańcy nie porzucą tych pustek, żeby osiąść nad brzegiem rzek, w żyznej okolicy, gdy przecież nie ma już Saracenów, ani nie ma obawy rabującej szlachty rzymskiej. Bo są rezygnacyjni z natury, i niezmiernie leniwi. Jakby przekleństwo niebios ciążyło nad tym kraikiem.

Nareszcie zastałem w Olevano Waltera z Mariną. Ona szczęśliwa że mnie znów zobaczyła, on ponury i szorstki, acz wkrótce potem wypogodził czoło. Mówił mi, że zdecydowany jest ożenić się z nią, lecz teraz gdy już zapóźno, przychodzą mu na myśl wszystkie nasze uwagi, wszystkie nasze podejrzenia. Czy

nie był oszukany? Jój przeszłość, której tak przed nami bronił, wydaje mu się teraz chwilami pełną plam nie do zatarcia. Nie śmie powrócić do Rzymu, obawia się śmieszności przyczepionój do jego namiętności, a bardziej jeszcze obawia się niewierności tój, którą mimoto chce uczynić dozgonną swą towarzyszką. Jest więc bardzo nieszczęśliwy. Związek ich smutnym jest i niedoskonałym, nie jest jeszcze burzliwym, ale i to nastąpi, a biedna modelka żałować będzie, że jak posąg Pigmaliona, zesła ze swego piedestału.

Palestrina, 14 listopada.

.... Właśnie odeszli odemnie. Walter utracił prawie zupełnie zamiłowanie sztuki. Prawie nic nie pracował od czasu twego wyjazdu. Słowami komponuje, rysuje jeszcze dzieła, które gdyby były wykonane, uczyniłyby go sławnym, ale wykonanie?... Mógł mi zaledwie pokazać szkic obrazu, który mnie zastanowił, a który jak to dostrzegłem, sprawił na Marinie najgorsze wrażenie.

Jestto Magdalena, niepodobna wcale do Corregiowskiej, tój pięknej kobiety w niebieskiej tunice, która leżąc niedbale w cieniu pięknych drzew, czyta szczęśliwa, opromieniona śmiejącem się słońcem. Pojął on przedmiot głębiej i wybrał chwilę, w której pierwszy wyrzut napada grzesznicę. Wraca właśnie z uczty, która się przeciągnęła do rana. Upadła znużona na zdobne poduszki, w salonie przyozdobionym najwyższym zbytkiem. Błada jutrzienka uwidocznia na ołowianém jój licu ślady znużenia, a po sukniach poznać można, że je pomiaął szalony taniec. Rozmyśla nad swemi błędami, przestrasza się niemi i gorzko płacze. Usta ma drżące, wzrok osłupiały, a kurczowem drgnieniem ręki targa swoje naszyjniki brylantowe i perłowe, które rozsypują się po dywanie. Niewolnica zmysłowego typu, zdziwiona tą żywą boleścią, kładzie u stóp jój trupią głowę, symbol wyrzeczenia się uciech świata i nicności doczesnego życia. Ten sposób zrozumienia przedmiotu, wydał mi się nowy, i wielkiego moralnego znaczenia. Nie przypominam sobie, iżby go którykolwiek z nowych lub starych malarzy tak wykonał. Tylko, że Walter natchniony był rysami twarzy Mariny, więc zdaje się jój że umyślnie czyni alluzją do jój przeszłości, cierpi przeto z tego powodu nie mało. Czarny obłok przesuwają się po ich piękném niebie.

Gdym się żegnał z Mariną, rzekłem jój: „Do widzenia” ale ona przerwała mi smutnie: „Nie tém słowem żegnaj mnie pan; czuję że mnie wzywają dawni bogowie: trzeba mi do nich powrócić.”

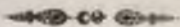
Walter przeciwnie czuł ulgę z mego odjazdu; nie dlatego żeby mnie nie kochał, lecz że jest podejrziwym, i że szuka samotności, lubo nie może znaleźć spokoju...”

Tu się kończą listy. Mało już później dowiedziałem się o mych przyjaciółach. Tyle tylko: nie byli szczęśliwi, przechodzić musieli przesilenia konieczne w związkach źle dobranych. Ażebym podnieść biedną Marinę, potrzeba jój było najzupełniej zaufać,

podeprzeć ją silném ramieniem, i uszlachetnić bardziej jeszcze ję szlachetne poczucia. Walter nie podołał zadaniu, a kochając ją bardzo, sprawiał ję srogie cierpienia.

Poganizm wyrabiał serca dzielne, ale twarde i nieczułe; chrystyanizm, religia miłości, łagodząc dusze, uczynił je skłonnijszemi dla boleści, lecz jeżeli nieskończonością i wzniosłemi nadziejami któremi je podtrzymuje, przygotował im tém większe cierpienia: to za to do przebycia tych cierpień, udzielił światła i skutecznęj pomocy. Na nieszczęście Marina należała tylko sercem do bieżącego wieku; w rzeczy samęj, sztuka była jedyną jęj czią, a ta cześć która wystarczyć mogła za czasów Sapho i Korynny, pozostawiła ją bez obrony w obec smutków i upadków ducha nieznanym starożytnym, ale znanych dzisiaj tym, których przeznaczenie zawiodło. Jęj smak czysty, duma Rzymianki, jęj naiwna pycha i wszystkie przymioty, które ją od innych odróżniały, musiały się stać dla nięj źródłem zgryzot i cierpień. Ażeby je znieść, powinna była zaczerpnąć siły w krynicy płynącej wysoko; lecz ona, dziecię natury, piękna poganka, nie miała nikogo na około siebie, któryby jęj w tém pomógł. Musiała upaść w tęg walce. Tak, jak zapowiedziała w swém melancholijném pożegnaniu, poszła złączyć się z świetnym chórem bogów starożytnych!

Edward L...



DZIEJE PIEŚNI LUDOWEJ NIEMIECKIEJ.

W przeszłym roku wyszło w Paryżu dziełko Edwarda Schure'go p. t. *Historia pieśni gminnej germańskiej (Histoire du Lied, ou la chanson populaire en Allemagne)*.

Dzieło to jest napisane z wielką znajomością przedmiotu. Tylko gorące zamiłowanie wsparte talentem, zrodzić może styl tak świeży, kwiecisty i przyciągający. Ta książka traktująca o pieśniach, cała jest jakby śpiewem, i zdaje się, że czytać ją trzeba, śpiewając.

Autor zaczyna od kilku słów podziękii p. Albertowi Grün, profesorowi literatury niemieckiej w Strasburgu, który pierwszy wprowadził go na to „dziewicze pole pieśni niemieckiej” jak się sam wyraża. Dalej następuje przedmowa, nie ta sucha, jaką się częstokroć opuszcza, ale którą zwaćby można melodyjną uwerturą do pełnej melodii opery.

„Czém jest prawdziwa pieśń gminna?—mówi autor— Francuz dobrze wychowany zatknie uszy, by nie słyszeć odpowiedzi, bo mu się przypomni hałaśliwe wiejskie wesele, pijacka piosnka z jarmarku, lub jęk natrętny żebraka. Inaczej się dzieje u innych narodów. Zapytaj Szkota, Szweda, Niemca, Czecha, Polaka, Serba lub Greka—z jakim wzruszeniem, z jaką czcią mówić będą oni o swój poezji ludowej. Z nią wiążą się najpiękniejsze ich wspomnienia; w górach ojczystych słyszeli te pieśni; one to wykołysały ubogiego i bogacza.” Ale

„Wer den Dichter will verstehen
Muss in Dichters Lande gehen”

powiedział poeta. I w istocie, aby zrozumieć poezją ludu, trzeba się zniżyć do tego ludu, wcielić się weń, wtajemniczyć. I wtajemniczyli się też w poezją gminną pisarze niemieccy. Sami wyznają, że jej to winni najpiękniejsze natchnienia i świeżość swoje; jej zawdzięcza literatura żywotność, głębokość i piękność dziewczą; to też poeci tego-cześni zwracają się co chwila z uniesieniem do tego tryskającego źródła, a tak duch ludu wciąż się odradza w geniuszu poetów.

„Poezya liryczna”—mówi dalej autor—jest jednym z odwiecznych i wiecznych sposobów, za pomocą których duch ludzki wyrażał, i będzie wyrażać najśmielsze swe polity do piękna, dobra i prawdy.”

Daléj, p. Schuré przebiega wszystkie ludy w początkowych epokach oświaty, twierząc, że u starożytnych, dar poetycki uważanym był za boskie objawienie, a poeta nosił zarazem charakter kapłański, u niektórych nawet boski.

U Indyan, najwznioślejszy z poematów: „Ramayana” jest kapłana dziełem.

U Greków, Orfeusz, pierwszy poeta jest prawie za półbożka uważany. Zeus przemawiał do ludu w dębie Dońskim. Apollo Pytii tylko odsłaniał swoje proroctwa. A Homer czyż to nie półbożek opowiadający zadziwionym Grekom czyny bogów i bohaterów. I właśnie Grecy—to szczególnie uważali poetę za natchnionego przez bogów, za istotę uprzywilejowaną, zdolną rozumieć najwznioślejsze rzeczy i godną je opiewać. „Idea ta nigdy się nie zatrze, zawiera bowiem w sobie tę wielką prawdę: że piękno jest niejako religią, mającą swych kapłanów, męczenników i świętych.”

U Rzymian, poeta był jak cudzoziemiec, niezrozumiany przez lud, i żyjący w świecie, jaki sam sobie utworzył. Lud ten tymczasem długo pogardzony, marzy, śpiewa bezwiednie, ma swoją poezją i swój ideał. Wielka i tajemna praca, która się w nim cicho odbywa, która go nurtuje, wybucha na jaw silnymi rzutami w chwilach, gdy powiew swobody wyrывa go z ucisku i szersze przed nim otwiera pole. Ma on swoje śpiewy, legendy, poemata, epepe. „Głębokie to, a niewidzialne wzrastanie, podobne do wegetacyi koralu, który zwolna, w nieskończonych rozgałęzieniach wynurza się z głę-

bi morza, a wzniołszy się nad poziom wód, tworzy cudowne wyspy, które dziwią i zachwycają żeglarza." To odkrycie i ocenienie skarbu poezji ludowej winni jesteśmy śmiałym umysłem niemieckim, które zdziałały rewolucyą poetycką w drugiej połowie zeszłego stulecia. „Wróćmy do natury!" zawołali; a na czele ich stanął Lessing i młody Goethe upojony Szekspirem. Dawne angielskie ballady Perey'go, poematy Ossyana odsłoniły im istnienie poezji ludowej.

To była niejako błyskawica wśród ciemnej nocy; jój blask olśniewający zgasił bladą pochodnię, jaką mieli w rękę i odsłonił zdziwionym ich oczom całe królestwo gór. Herder je dojrzał i poprzysiągł zwiedzić. Zwrócił naprzód swe oko na poezyą liryczną ludu. Chciał wykazać, że lud umie śpiewać i wzruszyć, poetycznie malując swe życie.

Tą myślą kierowany, szperał w starych kronikach, w opowiadaniach podróżnych, otwierał sam usta gminne, i zbiory swoje bogate wydał pod tytułem: „*Głos ludów.*” „Znajdziesz tam pieśni wszystkich narodów. Począwszy od Hiszpana grającego romanę pod maurytańskim balkonem swęj pani; od rybaka sycylijskiego, który wzywa Najświętszą Pannę patrząc w gwiaździste niebo;—aż do biednego Laponczyka rozmawiającego o swęj lubęj z wiernym *renem* w śnieżnych stepach ojczyzny; od marzącej Litwinki, która w lipowej arfie, słyszy westchnienia zmarłej swęj siostry;—aż do Peruwianczyka, który w naiwnej mitologii swęj, wyobraził deszcz w postaci dziewczeczki niosącej dzbanek wody, a grzmot w postaci grubiańskiego brata, który jęj tłucze ten dzbanek. We wszystkich strefach, pod każdym niebem, wszystko żyje, kocha, śpiewa.

Zbiór Herdera wielkie w swym czasie zrobił wrażenie, szczególniej na Goethem, dwudziestoletnim wówczas młodzianie; w najwdzięczniejszych jego utworach lirycznych, brzmi rzewna nuta ludowej pieśni.

Wielu poszło w jego ślady, i „stali się podobnymi do młodych bohaterów pogańskiej Germanii, którzy umocwszy usta we krwi smoka, zrozumieli odrazu głos ptaków, i szli zdjęci zachwytem i trwogą przez las, w którym radośne śpiewy wielką im przyszłość wróżyły.”

„Lud śpiewa, i lepiej od nas śpiewa!—zawołali. Oprócz poezji, którą my tworzymy, jest inna co się sama tworzy.

Gieniusz ludu, to świat cały, którego my nie znamy, a poznać go trzeba."

W zachwycie swym bez granic autor mówiąc o pięknie i poezyi, tak się wyraża: „.....i dla czegóż poezya nie mogłaby się stać religią, *kiedy każda religia jest tylko pięknym poematem o wieczności.*” Tu już zapał zbyt go daleko unosi; czemże bowiem byłaby religia dla całej ludzkości, a szczególnie dla nieszczęśliwych jednostek, uważana *tylko* jako piękny o wieczności poemat?

W Niemczech, pierwsze pieśni ludu, które nas doszły, wyrosły jak wszystkie następne, pod tchnieniem téj szczerój, szerokiej swobody, która jest jednym z charakterystycznych rysów germańskiej rasy. „Dzięki téj właśnie swobodzie, powstały te wielkie, epiczne legendy, w których pieśń Hildebranda i Hadubranda, Beowulfa anglo-saksończyka, łaciński poemat p. t. Walter i Hildegunda, Gudrun i Nibelungi, są tylko wielkimi ułamkami, podobnie jak te torsy z marmuru, otłuczone maczugą barbarzyńców, zniszczone od deszczu i błota, ale których pierś wyniosła i silne muszkuły zdradzają nieśmiertelne pochodzenie bogów helleńskich, i wskrzeszają w naszych oczach Herkulesa zwycięzcę hydry, lub Jowisza ciskającego pioruny.”

Te wielkie epeje są dziełem pogańskiego geniuszu. Po jawieniu się chrześcijaństwa wraz z Karolem W. lud ucichł, pośród walki dwóch żywiołów, dwóch religii. W XIV wieku dopiero, kiedy feudalizm wzrusza się w swych posiadach, lud wolniejszym się czuje i głośniej znów śpiewa; wtedy to tworzy *volkslied*, t. j. prawdziwą pieśń gminną.

Pierwszą pieśnią był okrzyk niepodległości i buntu; wyszedł on ze Szwajcaryi. Halle Suter, jeden z walczących, opiewał zwycięstwo pod Sempach w 1383; w tym śpiewie jest jeszcze cień epei. Im bliżej zaś XVI wieku, tém więcej poezya staje się indywidualną, choć zawsze jest samostną, z ducha i serca narodu płynącą.

Daléj dwie potęgi wstrząsnęły społeczeństwem, i ułatwiły polot liryzmu: odrodzenie i reforma. Wynalazek druku przyszedł im w pomoc. Pod naciskiem tylu rozmaitych wypadków nieprzewycięzona chęć wiedzy i podróży, ogarnę-

ła wszystkich. Rycerz, wieśniak, żak szkolny, wszyscy podróżują, przebiegają świat z tłómczkiem na plecach, miłością w sercu a marzeniami w głowie, nie myśląc o jutrze. Rzadko bardzo wędrowcy ci wracali do kraju; umierali zwykle w lasach lub w bagnach, i wkrótce zapominano o nich. Ale cóż im to szkodziło?... Wszak żyli jednak, i zostawili towarzyszom, to co ich łączyło: pieśni swoje.

„Kto je składał?... Czy poeta z professyi?... Nie. Rycerz to szukający przygód, dziewczyna sierota, wieśniaczka zakochana w landsknechcie, mieszczańka w studencie, marzyciel mistyczny opiewający miłość Maryi bez granic”.

I tak, zdarzało się np. że żołnierz zdobył serce swęj pani, kosztem rywala, którym był pisarz publiczny, osobistość zwykle poniżana. Wesoły zwycięzca opiewa swe szczęście, i tak piosenkę swą kończy:

O ten pisarz nieszczęśliwy
Co dostał odkosza,
Pewnieby mi nie żałował
Ni wina, ni grosza,
Bym mu tęj zwrotki nie śpiewał,
Że dostał odkosza
O! ten pisarz nieszczęśliwy!..

Córka rycerza zajęła się młynarzem, ale z kaprysu tylko; on zaś szczerze ją pokochał. Znudzona dumna pani, każe mu iść od siebie, w dalekie strony. Młynarz tak sobie na pociechę śpiewa:

Pożegnałem ją i płaczę;
Płaczę we dnie, płaczę we śnie,
Młode serce moje wzdycha,
Wzdycha, cierpi, już tak wcześnie.
Pożegnaniem.. tą piosenką
Śpiewa młynarz, w dzień rozstania...
Bo dziewczyna go przywiodła,
Z kochania do pożegnania.

W bardzo wielu pieśniach, pobobnie jak tu, autor zdradza się pełnością swojego uczucia, co dowodzi iż nie kto inny jak lud, jest twórcą tych śpiewów, w które wlał najczystsza krew serca swojego. Melodye do nich zachowali nam muzycy z XVI wieku. Wprawiają one w podziw i zachwyt

największych kompozytorów, którzy, według zdania autora nie kuszą się nawet dorównać ich wzruszającej prostocie, tak dalece jest prawdą, iż wszystko co jest samoistnem w objawach duszy ludzkiej, ma wdzięk nieokreślony, jakiego i geniusz sam naśladować nie zdoła.

W XVI wieku mniej było pieśni cichych, sielankowych, niż awanturnicznych; wiele także myśliwskich, gdzie ślicznie jest wyrażona miłość myśliwych, rzewna a dzika zarazem. Pieśń ich bywa niekiedy odpowiedzią na śpiew ptasząt, który zdają się rozumieć.

Spotykamy także wzruszające piosnki biednych włóczędzów, jak ta np.:

Już od dzieciństwa los pędzę tułaczy:
Nikt mnie znać nie chciał, bo grosza nie miałem;
Wziąłem kij w rękę i worek żebraczy,
I przez dzień cały, *Ojciec nasz* śpiewałem.

Ale nie długo smuci się włóczęga. Znajdzie kogoś co go winem poczęstuje, a jeśli nie spotka dobrodzieja, zastawi płaszcz karczmarce; gdy już i płaszcz nie stanie, a zamkną go do kozy, i tam jeszcze dozorca poczęstuje go napojem bogów, a więzien przy kieliszku zaśpiewa:

„I cóż mi to szkodzi,
Że mnie tu zamknęli?...
Kiedy na myśl moją
Oków nie wcisnęli.
Śmieję się z więzienia,
Dozorców, strzeżenia,
Bo myśl moja wolna,
Jak ptaszyna polna.

Nie mniej są charakterystyczne pieśni rozbójników na gościńcach publicznych; jedni w nich umierają z dumnym czołem i nieuleknionym spojrzeniem, drudzy tchnięci łaską z nieba, godzą się z Bogiem i ludźmi przed śmiercią. W jednej z takich pieśni, rozbójnik nawraca się na widok świętej niewiasty.

„Uroczyście obchodzone jest wesele hrabianki Elżbiety, która w czasie uczty udaje się w ślubnym stroju do samotnej kapliczki leśnej, by Najświętszej Pannie złożyć na ofiarę

wieniec kwiatów. W chwili, gdy klękąwszy zaczyna modlitwę, wpada rozbójnik i podnosi zbrodnicze żelazo nad tą głową jaśniejącą od drogich kamieni:

Ona pod mieczem nie drgnęła,
Bo myślą nie jest na ziemi,
Modlitwy skrzydła rozpięta,
I chwali Boga z Świętymi.

Spostrzegł ten zachwyty morderca;
Broń mu się z ręki wymyka,
Skrucha wstępuje do serca,
Wiara rozbraja grzesznika.
„I z kądże blask ten niebieski,
Który twą postać otacza?..
Nie skąp i za mnie twój łezki,
Do matki która przebacza”

„O Maryo! słuchaj błagania,
Nie odrzuć serca grzesznego,
Obdarz je łaską powstania...
Do serca przytul swojego”

Odeszła, a przed ołtarzem,
Padł ten który był grzesznikiem;
I w lesie gdzie żył zbrodniarzem,
Żył długo, lecz pustelnikiem.

W tej pieśni widać jak lud w swą prostą pobożności mniemając, iż cud tylko wystawia, wielki zarazem cudowną potęgą, i uczuwa przewagę dusz czystych nad duszami grzesznymi, ale dziecięcą tchnącemi prostotą.

Niemniej rzewnej piękności zawierają piosnki żołnierskie, wyrażając niewypowiedzianą tęsknotę za domem, rodziną i krajem. Na bóle jakie serce jego dotknęły, wojak niema dość smętnych wyrażań; na to zaś co może dotknąć jego ciało, dziwną się uzbraja obojętnością i energią:

Ja niemam kłopotów,
Bom na wszystko gotów;
Martwe ciało w proch się zetrze,
Mundur dla kolegi mego,
Duch mój wzniesie się w powietrze
Do namiotu niebieskiego.
Więc niemam kłopotów
Bom na wszystko gotów.

Cygan wróżący przyszłość, magik ujarzmiający czarami zwierzęta, skrzypek grający tancerzom i tancerkom, studenci

wędrujący, rzemieślnicy, (tak zwani towarzysze), wszyscy mieli swe pieśni.

Śpiewy ludu dały nam poznać najwybitniejsze postacie z awanturników XVI wieku, jak Ulryk w Hutten, Franz von Sickingen i t. p. Nacechowane są one ufnością w siebie, naiwnością i niczem niezmaconém weselem.

Autor przechodząc potem do epopei i tragedyi na tle miłości osnutych mówi: „W tychto pieśniach lud rozkwita niejako, cały się wylewa. Każdy naród ma ton panujący w swych śpiewach miłosnych, ton, który cechuje, poniekąd jego usposobienie. W Niemczech, miłość ma charakter poważny, głęboki i uczuciowy. Zda się iż człowiek ześrodkowuje w niej najszlachetniejsze swe cnoty, i namaszcza ją całą świętością serca”.

Ulubioném téż tematem pieśni giermańskiej jest miłość szczerą, pochłaniającą całą istotność, która odradza, lub zabija. Lud jak prawdziwy poeta, śpiewa te pieśni dla tego, że ma serce przepełnione.

I tak np. wyrobnik, pracujący w jednym z tych niskich i ciemnych sklepów XVI wieku, widzi często przechodzące koło okien jego trzy dziewczyny, z których jedna jasnowłosa rumieni się gdy go zoczy. On sobie powiedział, iż ta jemu przeznaczona, i marząc o niej w śpiewie, ani się spostrzega że się staje poetą:

Na wzgórzu dom stoi,
 Na nim trzy wieżyczki,
 Co dnia zeń wychodzą,
 Trzy piękne siostrzyczki.
 Pierwsza z nich Ludwisia,
 Andzia, ta co przędzie,
 Trzecia bez imienia,
 I ta moją będzie.

Ta która będzie jego, ma ogródek; często więc młody rzemieślnik błądzi pod płotem, i widzi zdala, jak ona kąpie w słońcu złote promienie swych włosów, które od słońca promieni trudno odróżnić. Nie może jednak zbliżyć się do niej, bo furka zamknięta.

Ale maj nadchodzi, i uroczystość wiosenna daje mu sposobność poznać ją i wyznać jój miłość.

Pierwszy znaleziony fiołek zwiastuje wiosnę, i jest hasłem zabaw. Dziewczyuki w świątecznych strojach idą do lasu, a na ich czele stoi w białej szacie wieśniaczka, niosąca w ręku zieloną topolkę, którą zowią *majem*. Wtedy wśród wesołych śpiewów, każdy wieśniak daje wieniec tój, którą obiera za swoją *majową królowę* i zaczynają się skoczne tańce: (Springeltanz).

Nasz rzemieślnik znalazł i uwieńczył swoją *bezimienną*. Po tańcu następuje kwiatobranie. Radośne pary rozpierchają się po lesie; pierś ich wezbrana uczuciem, milczy, ale kwiaty mówią za nie. Znąją oni znaczenie kwiatów, i rozumieją ich mowę. Zielony kolor zwie się w pieśni *początkiem* czyli nadzieją, z zielonego początku wyrasta kwiatek, z nadziei żywsze pragnienie. Zielona gałązka znaczy: *kocham*, gałązka konwalii dana majowej pani, znaczy: *ja ciebie kocham*. Wieśniak kochający, cudnemi i wonnemi kwiaty o wzajemność prosi, tyle jest odcieni w jego mowie kwietnej, ile odcieni w kolorach kwiatów, i wtedy dopiero uspokoi się trochę, gdy mu pani jego da niebieski *stałości* kwiatek. Wybraną swoją z kwiatami równa, mówi w pieśni iż *ona różami się śmieje*. Ale gdy nadchodzi chwila rozstania, kiedy trzeba w świat na czeladną puścić się wędrowkę, by wrócić majstrem, następuje wówczas wzruszające pożegnanie, i przysięgi uświęcone łzami.

Śpiewy ludu w nieskończonych odcieniach malują tę bolesną rozkosz rozstania, kiedy miłość wyzywa cierpienie.

Daj mi rękę moja luba,
Na zadatek twój miłości,
Jeśli Bóg nas tu rozłączy,
Prośmy, by złączył w wieczności.

Pożegnaniu!.. co za boleść.
Śmierć jest niczem przy rozstaniu;
Czas tak długi—świat szeroki,
Tyle tęsknych łez w kochaniu!

Zegnając się zakochani mają zwykle za świadków tylko Boga na niebie, a drzewa leśne i ptaki na ziemi. Pieśń mówi:

„Tam gdzie zakochani łzy rozstania leją,
I trawa usycha, i kwiaty więdnąją.

Rozstanie trwa długo, często lat siedm, bez listów, ni innych wiadomości. Oboje śnią, marzą o sobie, radzą się kwiatów i ptasząt pytają.

Czeladnik młody śni pieśnią:

W méj ziemi rośnie jesion,
W lesie, na wzgórzu małym,
Ja z lubą pod jesionem
Wieczorem siadywałem.

W jesionu liściach ptaszek,
Rozkosznie sobie śpiewa,
A ja go z lubą słucham,
Dumając, w cieniu drzewa.

I teraz śpiew ten słyszę...
Czyż ja przy tobie byłem,
O moja ty kochana,
Czy może tylko śniłem?

Zastałem jesion ścięty,
A kiedym do lubój wrócił!...
Już inny przy niej siedział ...
Jam ze snu się ocucił...

W méj ziemi rośnie jesion,
A jam od niego zdala...
I biedne serce moje
Boleśnie się użala...

Ona śni także; słucha wróżby ptaków, pyta kwiatów o nią. Zrana przepowiednia mówi, że jeśli tarnina w lesie kwitnie jeszcze, przyjaciel jój żyje i jest jój wiernym. Z jakąż radością widzi w lesie białe kwiecie! To znów sama chcąc skrócić swoją niepewność, gra rolę wróżki i układa sobie, że jeśli nazajutrz słowik zjawi się w jój ogródku, luby jój powróci. Niema ptaszka, nie będzie lubego. Dziewczę we łzach tonie.

Lecz jeśli on wraca; co za szczęście! Autor przytacza balladę, malującą chwilę, kiedy powracający narzeczony wystawia na próbę ukochaną swoją:

Pośród lasu lipa stała,
I dokoła cień rzucała,
Pod nią dwoje narzeczonych,
Rozmarzonych—rozrzuwnionych.

„Dziś się luba pożegnamy,
Za lat siedm powitamy.

„Żegnam cię—nie mogę zwlekać.”
—„Jedź—ja na cię będę czekać”

Za lat siedem zaśpiewała:
 „Dzisiaj będę go witała!”
 Poszła pod lipę zieloną,
 „Dziś zostanę jego żoną!”
 — Zaledwie to pomyślała
 — Jakiegoś człeka ujrzała.
 „Dzień dobry ci! Pani miła
 Czyś ty w lesie zabłądziła?”
 Takie smutne twoje lice....
 Może zmarli ci rodzice?....
 „Dziś miłego witać miałam
 Że nie wraca—posmutniałam”
 — Widziałem go—szedł przez miasto,
 Z poślubioną już niewiastą
 Wart by piorun weń uderzył,
 Kiedy ci się przeniewierzył.
 — „Chcecie by zmarł po weselu,
 Nie daj Boże! przyjacielul....
 Moje serce jemu życzy,
 Nie cierpienia, lecz słodyczy.
 Tyle pociech z żony, dzieci,
 Ile gwiazd na niebie świeci,
 Tyle chwały dlań w wieczności,
 Ile w sercu mém miłości.”
 Nieznajomy rozrzewniony,
 Pierścień z palca zdjął złocony,
 Włożył na palec dziewczyny
 I to były zaślubiny.
 Wtedy ona go poznała,
 Szczęścia łzami się zalała.
 „Otrzyj luba z łez powieki,
 Będiesz moja już na wieki.”

Nieszczęśliwa miłość, równie jak szczęśliwa, wiele tematów do pieśni nastrecza. Ileż tam wrażeń i snów pogrzebionych, ile serc tętniących jeszcze. I tak np. wieśniaczka, która kochała a była zdradzoną, lub straciła przedmiot swego przywiązania, z każdą wiosną na nowo żałobę wdziawa, na nowo boleje. Zieloność wciąż się odradzająca urąga jój zawiedzionym nadziejom. Wesołe ptasząt śpiewy zdają się szydzić z jój jęków, a szkarłatne róże z jój smętnej bladeści. Dusza przejęta bólem, śpiewa:

Gdy wiosna powstała
I lasy i błonie,
Skromniutki fijołek
Rozsiewa swe wonie

Ptak którego głosik,
Szron zmroził okrutny,
Wyśpiewując trele
Przestaje być smutny.

Róże zakwitają,
Chmurne dni znikają,
Czy razem z różami
Uczucia wracają?...

Nadobna różyczka,
Co rok się rozwija,
Miłość raz zabłyśnie,
Raz błłyśnie—i mija!...

Kwiatek z każdą wiosną
Ślicznie się odradza,
Człowiek tylko jeden,
Już się nie odmładza.

Wszak i ptaszek wraca,
W tę porę radośną,
Gdy człek nas porzuci,
I ciężko zasmuci,
To już nawet z wiosną
Do nas nie powrócił!...

Jako w źdźble trawy znać prawa natury rządzące światem, tak i dusza cała odsłonić się może w jednej piosence. Nieskończoność nadziei, nieskończoność rozpacz, wszystko się tam mieści. W śpiewach ludu na tle uczucia osnutych, najwięcej uderza wiara nieograniczona w miłość, jako w najsilniejszą ziemską potęgę.

„Lud, mówi autor, w swoich marzeniach i snach śpiewanych, czy śnionych śpiewach, skreśli szkic ideałów, które poeci wykończają tylko.

Rozdział o życiu religijnem a zatem i o religijnej pieśni, traktuje Schuré ze stanowiska protestanckiego i racjonalnego.

Ze względu na epokę, w której się ona zjawiała i na uczucie, które ją natchnęło, pieśń ta, mówi autor, jest pośrednią między hymnem łacińskim, a protestanckim.

Pierwsze miejsce w śpiewach gminnych z tego czasu, zajmuje N. Panna. Ludowi nie wystarcza pojęcie o Bogu Ojcu, który jest samym majestatem, o Synu który choć za lud cierpiał, jest zarazem samą sprawiedliwością i w dniu ostatecznym będzie go sądził; serce ludu domaga się czegoś, co łagodzi ten sąd; domaga się ono Matki która przebacza, opierając się na tój zasadzie, iż ta która wiele bolała w ciichości, wiele też i przebaczyć potrafi.

Nie rozumiejąc łaciny lud w swoim języku składa pieśni i tworzy legendy; a zawsze wielbi naturę w poezyi swojej:

„Dwie siostry, mówi ballada, umarły w nocy. Stają u drzwi raj. Święty Piotr przyjmuje jedną, oddala drugą która idzie smutna, drogą wiodącą do piekła. Marya spotyka ją i mówi: „Gdzie idziesz, biedna duszo?... Pójdź, ja cię zaprowadzę do Boga“. „Jam już pukała do drzwi Pana, ale Ś. Piotr nie chciał mi otworzyć.“ „I cóżes takiego zrobiła na świecie?... „Chodziłam co sobota na taniec.“ „Jeżeliś innego grzechu nie popełniła, to możesz wejść do nieba“. „I wzięwszy ją za rękę Marya, zaprowadziła do ziemi obiecanej.“

Postać Chrystusa Pana z wielką miłością odwzorowaną jest w pieśni gminnej. Jaśniejsza aureola głowę jego otacza, cudniejsze promienie biją z jego lica; Marya przebacza i pociesza, Jezus wzrusza i nawraca. Rozrzewniającą jest piosnka o sułtanie i jego córce. Sułtan znaczy u ludu to samo, co wróg chrześcijaństwa, najgorszy z pogan. Córkę zaś ma dobrą i pobożną, która w duszy swojej przeczuwa Chrystusa, choć o Nim nigdy nie słyszała.

Sułtan miał córeczkę,
Która w swym ogrodzie,
Polewała kwiatki,
O porannym chłodzie.

Raz kiedy ujrzała,
Kwiatów klomb bogaty,
Kto was stworzył, rzekła,
Różnobarwne kwiaty?.....

Pewnie jakiś możny,
Pan rozległych włości,
Sadzi was po świecie,
Dla swój przyjemności.

Powiedzcie, gdzie znajdę
Ja stwórcę waszego?....
Jabym opuściła
I ojca dla niego.

Kiedyś o północy,
Gdy spała panienka,
Jaśniejący młodzian
Puka do okienka.

Panienka się budzi,
I do okna zbliża;
Ujrzała Jezusa,
Czoło przed Nim zniża.

Potém drzwi otwiera,
I woła w zachwycie:
„Ktoś ty jest?... ja tobie
Radam święcić życie!...

Zdjął z palca obrączkę,
Dał jój miasto wiana;
„Powiedz—chcesz być moją,
Córeczko sultana?...

Powiedz, z jakiejś ziemi,
Panie serca mégo?...
Bo w królestwie ojca
Nie ma tak pięknego.

Będę twą na wieki,
W zapale mówiła,
I swoją miłością
Serce mu zraniła.

Żeś myślała o mnie,
Przybyłem do ciebie
Z państwa mego ojca,
Który mieszka w niebie.

Panie! róże krwawe
Z serca kwitną twego.
Tak ogniście płoną
Powiedz mi dlaczego?..

Czy kraj ten daleko?
Czy twoje te kwiatki?
Jabym wiecznie chciała,
Chować je jak dziatki.

To miłości kwiecie,
Co kwitnie dla ciebie,
Wykwitło na krzyżu,
Kwitnąć będzie w niebie.

Niebieska kraina
Dla cię niedaleka,
Cudnych kwiatów wieniec
Na ciebie tam czeka.”

Chodź gołąbko biała,
Do niebieskiej chwały”
—Panu się oddała,
I Pan był jój stały.

Śpiewy protestanckie, a tych było wiele, więcej pociągały lud do nowój wiary, niż cała wymowa reformatorów, po śmierci zaś Lutra, Erazma, Alberusa, Pawła Speratusa, Miłkołaja Hermana, Mateziusza, śpiewy te utraciły siłę swoją, bo reforma stawiała się coraz bardziej zazdrosną, nietolerancką, prześladowającą.

Dusze więcej religijne przeciwstawiły tój szorstkości bolesną uczuciowość i pietyzm. Pierwszym z protestanckich mistyków był Paweł Gerhardt. Kaznodzieja ten ułożył wiele pięknych pieśni. Jedna z nich przypomina, najdelikatniejszym uczuciem natchnione obrazy religijne, z wieków gorącej wiary:

Głowo krwawa, uwieńczona
Sromotą i bólem,
Święta głowo, otoczona
Kolcami—nie kwieciami;
Wy oczy z smutnym uśmiechem;
I ty, boskie czoło,
Za wasze męczeństwo ciche
Bądźcie pochwalone.

Ja chcę boleć Twoim bólem,
 Więc mnie nie odpychaj,
 Upoić się Twą goryczą,
 Wziąć Cię w me ramiona;
 Bledniesz!... to ostatnia chwila...
 Pozwól mi o Panie,
 Bym w tę chwilę Cię przytulił
 Do serca mojego.

Jest tu siła kolorytu, potęga współczucia, uwielbienia i boleści równające tę pieśń do najpiękniejszych katolickich śpiewów z wieków średnich.

Następcy Gerhardtta nie dorównali mu; wiek bowiem XVIII który dał hasło emancypacji filozoficznej, nie sprzyjał bynajmniej rozwojowi śpiewów protestanckich. Zupełny ich upadek nastąpił w XIX wieku.

„Widzieliśmy, mówi dalej autor, zrodzenie się i rozkwit pieśni, zobaczymy teraz jej upadek i zmartwych-powstanie“.

W końcu XVI wieku wszystko się zmienia. Cały zastęp uczonych i piśmiennych, przywłaszcza sobie niejako poezją, naznacza jej warunki, granice. Odtąd pożegnać się trzeba z miłą wolnością w państwie snów i marzeń; rozpoczęło się bowiem panowanie pedantyzmu. Już nie brzmią śpiewy pod otwartym niebem, w głębi lasów i na górach pochyłości. Zjawiły się za to wiersze pisane wypracowane, wygładzone, ale i oschłe zarazem. Ostatni cios pieśni gminnej zadał wynalazek druku; dziwna to rzecz, lecz prawdziwa.

Kiedy lud zaczął czytać, przestał improwizować, a improwizacya, to dusza pieśni gminnej.

Do tego przyczynił się także Luter z następcami swymi. Raziła ich wesołość i swoboda, jaką tchnęły wiejskie śpiewy, a ponieważ lud więcej się zdawał przywiązany do melodyi niż do słów, pastrowie ośmielili się słowa naiwne, radosne, uczuciowe, zastąpić kantykami na tę samą nutę ułożonemi, albo przeistaczać dawne.

I tak, w piosnce, gdzie jakiś myśliwy spotyka trzy piękne dziewczyny w lesie, i jedną z nich porywa na koń, by unieść z sobą, pastor nie odrzuca trzech dziewczeczek, ale pod jego bogobojnym piórem, zmieniają się one w wiarę, nadzieję i miłość. Myśliwy chrześcjanin porywa wiarę na konia, i uwozi z sobą dla zbudowania ludów.

Te i podobne im brednie, bawią a razem dowodzą jak daleko zajść może pedantyzm teologiczny, jeśli chce się posługiwać poezją, w rzeczach wiary. Trzydziestoletnia wojna dokazała, czego Luteranie dokazać nie mogli. Niszcząc wszystko zniszczyła najdelikatniejszy kwiat umysłu: poezję. Trzeba było wieku całego, by powstać po tej klęsce.

Kiedy umilkła pieśń ludowa, orszak uczonych, następców humanistów z XVI wieku, napojonych duchem dworu wersalskiego, postanowił podnieść upadłą poezję. Z nim poczyna się poezja uczona i sztuczna, panująca w Niemczech 150 lat, aż do czasów Goethego. Lud jęj nie rozumie, i stoni od nięj; ona z piedestału swęj uczoności, z dną nań spogląda. Straszny to rozdział, będący śmiercią dla sztuki, bo poczyna nie wyrastająca z duszy ludu, jak silny dąb z płodnego gruntu, jest drzewem w piasku sadzoném.

Opitz to dał początek uczonej poezji XVIII wieku i stał się jęj przedstawicielem, ten Opitz, który całe swe życie „pisał prozą rymy, i rymował prozę.“ Czerpał on natchnienie w Horacym, w Platonie, to jest w książkach, a nie w naturze.

„Iluż niestety mamy jeszcze poetów jemu podobnych, którzy bledną i usychają nad pergaminami, szukając w nich natchnienia, a nie domyślają się nawet iż ono ulata nad ich dachem wraz z rojem jaskółek, lub przechodzi koło ich okna z piosnką ubogięj dziewczyny.“

Obok Opitza zjawia się poeta natchniony, słodki, głębokki, wolny jak dziecko natury: Paweł Flemming. Zrzuca on jarzmo oficjalnej poezji, jaka wówczas panowała, i zwraca się do natury, silnym a rzewnym uczuciem. Cóż może być wdzięczniejszego w swęj prostocie, jak zwrotka którą kończy elegią na śmierć dziecka:

Dziecino! na twęj mogile
Koszyczek kwiatów składamy,
Siejemy kwiaty... o kwiecie
Spadaj na naszą dziecinę.
Śpij dziecie!... na licu twojém,
Niech długo róża zakwita;
Niechaj cię zawsze owiewa,
Ożywcze tchnienie wiosniane.

Paweł Flemming jest lirykiem w całym znaczeniu. Był on zapoznanym przez współczesnych dla tego właśnie iż tchnął samą prostotą i prawdą w epoce, kiedy poezya była pełną przesady i fałszu. Autor zwraca naszą uwagę na nagrobek, jaki Flemming sam sobie napisał: „*Byłem wolny, mówi on, należałem do siebie.* Wielkie to słowo, kto je rozumie, *należałem do siebie*“ znaczy: wszystko co czulem, myślałem i czyniłem, myślałem i czyniłem sam przez siebie, czulem duch mój jest mojem dziełem, nie dziełem rozlicznych wpływów.

W tymże czasie Hoffman Hoffmanswalden założył drugą szkołę szlaską, naśladowując Włochów wpadł w grubą zmysłowość. Temu można przeciwstawić Güntera, który zwrócił się do natury żywością swego usposobienia. Zasłużył on na uznanie Goethego, którego wraz z Flemmingiem był poprzednikiem.

Pierwsze wielkie imię, jakie Niemcy wyrwało z obojętności dla poezyi, było imię Klopstoka, miał on to, co prowadzi do zwycięstwa, czego wszystkim brakło, czego wszyscy pragnęli: zapał. Pozyskał uznanie, na które zasłużył. Zabił szkołę rozsądku, szkołę natchnienia; podniósł godność poety, uważając go niejako za kapłana wśród ludu.

Wieland, antagonistą Klopstoka, epikurejczyk, realista, światowiec, rozszerzył horyzont poetycki rodaków swoich w odmiennym kierunku.

Ukazał on im pogodne niebo starożytnéj Grecyi i tragedję charakteru, tragedję ludzką. Ale najpotężniejszym rewolucjonistą téj epoki, był niezrównany Lessing. Poobałał on wszystkie fałszywe bogi; jedną cześć tylko wyznawał: cześć prawdy. Ku prawdzie idąc, nie zważał na nic, i na nikogo, deptał wszystkie zawady i powtarzał często: „Gdyby mi Bóg swą prawicą podawał całą prawdę, a lewicą miłość prawdy, chęć zdobycia jéj choćby z warunkiem wiecznego błąkania się i zawołał: „Wybieraj!“ Chwyciłbym pokornie za lewicę i powiedziałbym: „Ojczy daj! bo czysta prawda jest tylko dla Ciebie.“ Przesada, jaka się w tych słowach zawiera, nie jest niczem inném jak przesadą, którą się posługuje artysta tworzący karykaturę, dla tém dobitniejszego wykazania rzeczy.

Lessing zaczął reformę od poetyckiej krytyki wszelkich przesądów. Herder prowadził dalej jego dzieło w namiętném

uwielbieniu wiekuistych arcydzieł, i wieszczem ubóstwieniu prawdziwego piękna. Człowiek ten, za królów Izraela, byłby się stał prorokiem na wzór Ezechiela lub Izajasza.

Około roku 1760 mnóstwo szalonych i niewypowiedzianych nadziei wykwitało z młodych umysłów. Niewiedziano co nastąpi; ale się spodziewano czegoś nowego, cudownego, niesłychanego. Była to epoka *burzy i prądu* (Sturm- und Drang periode) ganiuszów oryginalnych. Jeden z nich tylko wcielił w czyn śmiałe sny i marzenia, urzeczywistnił siłą geniuszu i tytanicznej woli ten ideał poety, który sobie druchy jego w oddaleniu przedstawili. Był nim Wolfgang Goethe.

Goethe zdawał się mówić ojczyźnie: „Nie znasz swój własnej duszy, ja ci ją odsłonię, i wskrzesił prawdziwy Lud.

Autor skreśla życie Goethego, zapatrując się nań z tego właśnie stanowiska. Był on najfantastyczniejszym i najzmienniejszym z marzycieli; raz upojony szałem pustoty, to znów wpadający w głęboką melancholię; tygodnie całe przepędzał wśród uciech światowych, poczem znikał z widowni, i zapuszczał się w lasy; gdzie szukał natchnienia w szmerze liścia i śpiewie ptasząt. Herderowi zawdzięcza się zwrot, jaki Goethe zrobił ku naturze, prostocie i źródłu wiecznemu wielkiej poezji: ku ludowi.

„Zostaw na stronie Klopstocka, Hagedorna i Gellerta“, mawiał do niego; „zajrzyj na wieś, podsłuchaj śpiewów wieśniaczych, a ta poezja zatrze w umyśle twoim książkowaną. Podobała się ta rada młodemu pocięciu rewolucyoniście. Chciwie pochwycił ludowe śpiewy, które mu dał Herder; pozbiierał ich wiele w Alzacyi, upajał się ich harmonją, przejmował ich duchem i znalazł w nich pełne prawdy uczucie, najśmielszą, lubo najprostszą obleczone formą.

I odtąd muza ludowa zapanowała nad nim.

Autor przytacza pieśń „do księżycy“, którą uważa za szczyt lirycznych utworów jego w rodzaju poezji gminnej. Poeta czuje co to samotność geniuszu. Przebywając w pustelnicznym parku nad brzegiem Ilmu, zajmuje się uprawą botaniki i poezji.

Wśród cichej nocy błądzi samotny w Ilmu dolinie, zatopiony w myślach, przebiega życie swe całe; głębokie otaczają go cienie; z podwojoną siłą czuje on wielkość swych

pragnień a nicość szczęścia. Tak wiele kochał, tak był kochany, a jednak jakże samotny!...

W tej chwili z poza drzew księżyc wschodzi i rozlewa na łąkę swój czar nieokreślony. Poeta, czując ulgę, tak przemawia do gwiazdy dobroczynnej:

DO KSIĘZYCA.

Rozlewaj twą światłość
Na łąkach, wśród błoni,
Ma dusza zboleła
Otwiera się do niej.

I mnie niech jaśń twoja
Tak rzewnie otacza,
Jak oko opatrne,
Wygnańca tułacza.

Dźwięk słyszę czaro wny!
To dni me radośne...
Wśród bólu i szczęścia,
Płyn serce żałośne.

Płyn rzeko, nieś z sobą
Me dawne uciechy;
Przysięgi, uściski,
I żarty, i śmiechy.

Jam jednak miał kiedyś
Rozkoszy słodczye,

A dziś na wspomnienia,
Żalobne dni liczę.

Szemrajcie muzyką
Na brzegach, o fale,
Do pieśni ja waszej
Dołączę me żale,

Wzdymajcie się nocą,
Wylejcie jęczące
A potem zieloność
Całujcie na łące.

O szczęśliwi! kto w ciszy
Daleko od świata,
Wśród nocy głębokiej,
Uściśnie dłoń brata.

Co nie jest pojętem,
Przeczutem przez ludzi,
To w piersi głębinie
Wśród nocy się budzi.

Melodya tej pieśni płynie jak łądz lekka po tajemniczym i niezgłębionym jeziorze duszy. W tych zwrotkach jest bezwątpienia uczucie wyższe, myśl głębsza, język szlachetniejszy, niż w skromnych piosnkach ludu, ale jak pierwsze tak i drugie natchnęła muza gminna, prosta, wiejska muza, brodząca boso w zaroszonej trawie, z włosom rozwianym, z wieńcem pierwiosnków na czole, i ze stokrocią w rękę. W chwilach wielkiego wezbrania uczuć, Goethe mówił zawsze językiem ludu, i to pewna, że czuć się w harmonii z prostemi sercami jest jedną z najczystszych rozkoszy dla wielkiego ducha.

W lirycznych utworach Goethego, znajdujemy kilka arcydzieł, w ściślejszej łączności będących z poezją gminną, są niemi ballady. Poeta-botanik wiedział jak gmin lubuje się w symbolice kwiatów, i schwycił to doskonale w następującej balladzie:

FIOŁEK.

Na łące rosnął kwiateczek,
 Trawka go tkliwie tuliła;
 Był to prześliczny fiołeczek!
 Pasterka tam przechodziła,
 Lekko po łące stąpając,
 Dźwięcznie jak słowik śpiewając,
 Tralalalala.

Fiołek zbudzony szelestem,
 Czemuż, rzekł, czemu nie jestem,
 Królem tój łąki, choć chwilę?
 O jak mi byłoby mile,
 Gdyby zerwała mnie ona,
 I przytuliła do łona,
 Choć w śmierci chwilę.

Wkrótce nadeszła dziewczeczka,
 I nie zoczyła fiołeczka;
 Nieszczęsny kwiatek zdeptała,
 Te słowa tylko słyszała:
 „Umieram, ale dla ciebie,
 Stopa twa w ziemię mnie grzebie,
 Konam—dla ciebie!”

Czyż można wdzięczniej opiewać ofiarę, poświęcającą się z uśmiechem szczęścia dla ukochanej istoty?... Goethego nie można nazwać poetą ludowym w pospolitem znaczeniu tego słowa; ma on bowiem indywidualność: oryginalność posuniętą aż do dziwactwa właściwego częstokroć geniuszom. Goethe jest *poetą kosmopolitycznym*. „Ale poezya gminna jest jako piękne jezioro w górach, przez które przepłynął potok jego liryzmu, aby z bogacie swe wody w tym niewyczerpanym zbiorniku“. Jest on tak szczerym i prawdziwym w poezyi swojej, jako lud w swój pieśni. Trzeba być wielkim jak on, by zawsze być sobą; Goethe nie pozował nigdy. Jak w śpiewach ludu, tak i w jego pieśniach zawarta melodia wzywa na pomoc swą siostrę, melodyę dźwięków: muzykę. Wiersze Goethego z muzyką mają tak silny urok, że Heine wyrzekł o nich: „W tych pieśniach gra czar niewysłowny. Wiersz harmonijny chwyta cię za serce jak rzewny uśmiech przyjaciółki; słowa te oplatają cię nęciskiem, a myśl ich na twém czole składa pocałunek“.

W naszych czasach t. j. w XIX wieku, *Lied* nie dorównywał pierwotnej pieśni gminnej siłą rzutu, ale przewyższa ją bogactwem myśli, i zachowuje swoją dawną prostotę.

Po tryumfach Goethego i Schillera około 1798 r. powstaje szkoła romantyczna. Fryderyk Schlegel stojący na jej czele wspólnie z Tieckem, wydali pierwszy zbiór pieśni ludowych germańskich p. t. „*Des Knaben Wunderhorn.*” To wydawnictwo było dla ogółu wskrzeszeniem *Volkslied*’u.

Oprócz dwóch wymienionych, Nowalis i Hoelderlin zbiór ten powiększyli. Poezya ich wszakże gardząca naturą i rzeczywistością, ma cechę chorobliwą.

Wojny z Napoleonem nowy żywioł w poezji ludu obudziły. Zjawił się zastęp poetów, którzy pieśniami dodawali bodźca odwadze swych ziomków. Na ich czele stoi Teodor Koerner, typ żołnierza poety, ideał ognistego młodzieńca. Obok niego widzimy człowieka dojrzałego, spokojnego, choć pełnego energii; jest nim Ernst Moritz Arndt, uważany za największego z poetów patryotycznych z 1813 r., bo umiał być popularnym nie zstępując z piedestału szlachetności i szlachectwa. Max Schenkendorf przeciwnie, przedstawia w swój osobie partię arystokratyczną wśród śpiewaków z 1813 r. Rückert przeszedł go na tém polu pieśni wzniosłością myśli i siłą obrazów. Śpiewy te patryotyczne z 1813 r. tworzą niejako intermezzo w historii romantyzmu niemieckiego.

Jednym z najczystszych, najtkliwszych i najduchowniej-szych z tego czasu poetów jest Eichendorf. Ta dusza jakby przypadkiem błąka się po świecie. Nad wszystko przenosi mieszkanie w lasach: obcowanie z przyrodą. Cyklus o śmierci dziecięcia jego, gdzie naturę do podziału boleści swój wzywa, jest najrzewniejszym z jego utworów.

„Niespodzianie, czytelnik znajduje się w ogrodzie jako świadek pierwszej przechadzki ojca. Kwiaty spoglądają na żalobnego starca, i wysyłają motyli na zwiady, co się z ich towarzyszem dzieje; kukułka zjawia się na gałęzi, oczekując niecierpliwie przyjaciela swego. Drzewo nareszcie przerywa ciszę i pyta: „Czemuż dziś sam tu przychodzisz?.. Ojciec milczy... drzewo wstrząsa ciemną głowę swoją; listki drżą smutnie; trawa rosą płacze—a ojciec we łzach tonie

po śmierci dziecięcia." Czyż obraz ten nie wskrzesza dla nas poważnej a sympatycznej postaci Jana z Czarnolasu?...

Któż nie zna ulubionej pieśni Eichendorfa „In einem kühlen Grunde" z muzyką Silchera?

W tych i innych śpiewach niema wiersza, któregoby lud sam stworzyć nie zdołał; a jednak, jakie wzniosłe tam uczucie, jak wykończone obrazy!

Kiedy poeta romantyczna cieszy się najpiękniejszymi dniami swoimi, t. j. w 1825 r. zjawia się Heine. Autor przeszedł samego siebie w skreśleniu tego zjawiska; wielka szkoda iż z powodu obszernych rozmiarów tego opisu powtórzyć go tu nie można w całości.

Ukazał się Heine jak błyskawica; ogniem swoim spalił gmach ówczesnej poezji i stanął sam na zgliszczach ze łzą w jednym, z uśmiechem ironii w drugim oku. Ten najzagorzalszy z romantyków jest to gieniusz z podwójnym obliczem, jak bożek Janus; to rzewny, gorący, subtelny, delikatności niewieściej, to oddający się dziki i złośliwy ironii; to smętny, cichy i marzący, to wybuchający śmiechem złym i cynicznym: tu anioł—tam szatan.

Dlatego miał on tyle powodzenia we Francji, że Francuzi lubują się w tych uderzających przeciwieństwach. Z tém wszystkiém Heine jest największym lirykiem niemieckim XIX wieku, pierwszy zaraz po Goëthem. W *Pieśniach* swoich (*Lieder*), umiał on skoncentrować żywą uczuciowość, która jakby przez półprzeźroczyste transparentu, obraz ironii zaledwie trochę dojrzyć dozwala. Jego *Księga pieśni* to koncha pełna pereł najczystszej wody. Równie jak Eichendorf ale szczęśliwszym od swego towarzysza, Heine jest uczniem pieśni gminnej. Pochwyił on od niej tę uroczą niedbałość, te wykrzyki niedopowiedziane, jak odgłosy natury. U niego wszystko drga, tętni, mówi. Gwiazda mruga, fiołki szepczą w trawie, las podsłuchuje ich tajemnic; ciekawe sarny rozumieją szczęśliwej pary rozmowę. Krajobrazy jego tchną rozkoszą lub drżą od bólu, jak ten co tu przytaczamy, w który Heine wlał rozdzierającą boleśń pożegnania:

Las zółknie i boli,
Liść spada powoli;

Wiatr, niestety wkrótce zmiecie
Najcudniejsze ziemi kwiecie!

Za przyjściem jesieni
Szczyt drzew się rumieni,
Powiedz lato, czy od twego
Pocałunku ostatniego?

Pod temi drzewami
Zalewam się łzami,

O! bo serce me rozrania
Pamięć naszego rozstania!

Żegnać cię musiałem,
Że umrzesz wiedziałem,
Byłem latem mijającym
A ty drzewem konającym.

Jeżeli Heine miał rywala w swoim pokoleniu, był nim Uhland. Trudno sobie większy kontrast przedstawić, jak ci dwaj ludzie. Największy z estetyków, jakich Niemcy obecnie posiadają p. Vischer, taką o nich uroczą opowiada bajkę.

Pewnego dnia Muzy w skutek nudów, postanowiły się upić. Najwięcej dało się wino we znaki Euterpie, muzie poezji lirycznój. Latała po Helikonie jak szalona. W nocy przyszła jęj do głowy dziwna myśl: oto pocałować pierwszego lepszego śmiertelnika, którego napotka. Z okiem zaiskrzoném, z rozwianym włosiem spuściła się do wielkiego miasta nad brzegiem Elby leżącego. Pierwszy którego spotkała, młody student wychodzący z oberży z bachusową piosnką na ustach, był to Henryk Heine. Rzuciła się w jego objęcia i gorący pocałunek złożyła mu na licu. Obudzwszy się nazajutrz przypomina sobie, co zrobiła. Wieszczem przeczuciem tknięta, widzi iż ów szczęśliwy wybraniec źle się jęj wywdzięczy. Dar jęj święty ironią i żółcią skazi. Leci więc powtórnie do Niemiec; zatrzymuje się w pięknej dolinie Wirtembergu, koło skromnego domku, przed którym młodzian jakiś sadi winne szczepy. To Uhland—muza składa na jego czole słodki i rzewny pocałunek, odchodząc zaś ogląda się jeszcze i uśmiech mu łagodny zasyła.

To opowiadanie charakteryzuje doskonale Uhlanda. Jest to prawdziwy germański typ, stały aż do uporu, szczerzy do naiwności, szorstki z pozoru, uczuciowy w duszy. Kochał on i znał lud. Nikt tak jak on nie studyował gminnej poezji. Twórczość jego okazała się szczególniej w balladach. Sliczna jest i tkliwa jego sielankowa ballada p. t. *Kosarka*.

„Bogaty właściciel folwarku obchodzi z rana swoje pola, a widząc sługę swą Maryą już przy pracy, mówi: „Jeżeli we trzy dni skosisz tę łąkę, dam ci mojego jedynaka za męża.“ Na te słowa Marya czuje radość w sercu. Nowe życie,

siła nowa w niej się budzi. Wstrząsa kosą i kładzie trawę dużemi pokosami. W południe, kosarze idą się orzeźwić do źródła, a Marya wciąż pracuje na słońcu. Słychać wreszcie dzwony wieczorne; kosarze i kosarki odchodzą, Marya znów ostrzy swą kosę. Rosa wieczorna pada na łąkę, księżyc wschodzi, słowik śpiewa w oddali; Marya nie widzi księżycy, nie słyszy słowika, tylko wciąż kosą połyska. I tak przez trzy dni pracuje, karmiąc się miłością, a mając nadzieję. Gdy wszystko już ukończono, a Marya łzami radości polewa swą pracę, pan nadchodzi: „Dzień dobry ci Maryo!.. ale co widzisz?.. O pocziwa dziewczyno! skosiłaś łąkę, dostaniesz dobrą zapłatę. Ale co do zamężcia... jam tylko żartował z ciebie. Jesteś łatwowierna jak widzę, i szalona, jak wszystkie zakochane serca.“ Rzekł i poszedł swoją drogą. Ale biednej Maryi serce się sciska, kolana uginają; bez krzyku, ni westchnienia, nieprzytomnie prawie pada na skoszona trawę. W takimto stanie znaleziono kosarkę na łące. W takim stanie żyje ona lata całe, niema jak zmarła; krople rosy i miodu które pszczoła upuści to jedyne jej pożywienie. O! przygotujcie jej mogiłę wśród najwonnejszej łąki, bo nie znajdziecie nigdy kosarki, któraby tak kochać umiała!

Prześliczna to sielanka, w prostocie i wdzięku niezrównana. Schure przytacza jeszcze inną malującą życie w górach, włożoną w usta górala:

Jestem ja pasterz, dziecię gór!
 U stóp mych płynie powódź chmur,
 Ja witam słońca piérwszy brzask,
 A i zachodni żegnam blask,
 Bo jestem pasterz dziecię gór!
 Ta twarda skała, to mój dom,
 Tu nie dosięże mnie i grom;
 Niech burza ryczy jako lew,
 Wyżej po nad nią brzmi mój śpiew:
 Jestem ja pasterz, dziecię gór!
 Wściekaj się burzo u mych stóp,
 Ja nie dam siebie na twój łup,
 Wietrze! idź na dół, z burzą w tan,
 Górom daj pokój—jam w nich pan,
 Bo jestem pastérz—dziecię gór!

Uhland jest założycielem szwabskiej szkoły, z której kilku poetów zwanych plejadą wirtemberską, odziedzyczyli

po mistrzu prostotę dziecięcą, miłość ludu i cześć dla jego pieśni. Wilhelm Müller był najoryginalniejszym z uczni Uhlanda.

Między 1840 a 1849 utworzyła się szkoła poetów politycznych, głoszących bunt, drwiących z królów i ich ministrów.

Po 1849 nowa zmiana; poezya na chwilę stała się echem reakcyi. Oskar Redwitz wydał *Amarantę* epopeę rycerską, bez fantazyi, bez charakteru, bez faktów, mającą jednak ogromne powodzenie, co było tylko chorobliwym symptomem reakcyjnej epoki.

W peryodzie od 1848 do 1868 ubogim w liryzm, cztery imiona zwracają naszą uwagę: Robert Renecke, Emanuel Geibel, August Kopisch i Gotfried Kinkel. Tak ich oznaczyć można, iż pierwszy, to dziecko, drugi, młode dziewczę, trzeci ognisty młodzian, czwarty zaś, mąż dojrzały.

Jeżeli rzucimy okiem, mówi autor na teraźniejsze Niemcy, zobaczymy że nie brak im talentów lirycznych.

Otto Roquette, Juliusz Rodenberg, Teodor Sturm, Albert Traeger, Alfred Meissner, Fryderyk Bodenstett, przywożą ze swych podróży niejednen kwiat poezyi. Aliści przyznać trzeba, że od 1849 r. poezya liryczna miała swoją eklipsę i że ogół dość jest dla niej obojętny.

Lud jednak nie zapomina swych pieśni. Towarzystwa śpiewu mnożą się w Niemczech, tak w miastach jak i w siołach. W nich to zachowuje się tradycya Liedu.

„Nie wyczerpałem wcale, dodaje autor, w tym szybkim szkicu nieskończonych bogactw mego przedmiotu, historia bowiem pieśni, jest historią ducha ludu niemieckiego. Dowiodłem jednak, o ile mi się zdaje, téj prawdy tak mało znanéj we Francyi, że u sąsiadów naszych, największych liryków natchnęła pieśń gminna i że ich wzniosła poezya wyrosła z poezyi naiwnéj ludu, jak kwiat z łodygi swojej, bo poezya ludu łączy w sobie te trzy tajemnice prawdziwéj sztuki: siłę, prostotę i prawdę.“

Przy końcu autor, jako Francuz, czyni zwrot do poezyi ojczystej:

„I cóż Francya może przedstawić choć w części podobnego obrazowi jakiśmy rozwinęli. Wielkie imiona, kilku geniuszów tu i owdzie zadziwiający arcydzieła, talenta różno-

rodne, prawda, ale nigdzie żywej tradycji, sztuki gminnej poezji znaniej i śpiewanej przez wszystkich. I czém są te tomy wierszy, których nie brak, czém są one dla całego ludu?.. Czy wniknęły na wieś, czy wykołysały wieśniaka i pocieszyły rolnika? Jaka jest tego przyczyna, a jakie lekarstwo?.....

Poezja francuzka ma charakter oratorski. W XVII bowiem wieku, pisarze przywiązani do dworu, pisali dla dworu, myśleli dla dworu. Dziś znowu Paryż stał się więcej niż kiedy centrum literackim, jedynem i wyłącznym. Wybrańcy Francji nie dla niej żyją, myślą i piszą; oni żyją, myślą i piszą dla Paryża, krew serca swego, płomień życia oddają, by się Paryżanom spodobać; nadskakują dziś stolicy, jak niegdyś nadskakiwali królowi. „Wasza centralizacya, mówił Lamennais, jest apopleksją we wnętrzu, a paralizem na krańcach.“ Oto dlaczego tworzy się taka przepaść między poezją uczonych a prostaczków. Trzeba więc studyować poezję ludu, i nie tylko swego; poezję wszystkich ludów, a do tego łączyć miłość i poczucie muzyki. Boć te dwie siostry wtedy dopiero w całej okazałości, w całej pełni piękności jaśnieją, gdy sobie podają ręce. Tego trzeba koniecznie, aby sprowadzić we Francji pożądaną w tym względzie reformę, odnieść to zupełne zwycięstwo poezji, które nastąpi dopiero wtedy, kiedy poeci zawołają z głębi uczucia i przekonania:

„Śpiewajmy wraz z ludem, niech śpiewa lud z nami;
Bo wznosząc go do nas, wzniesiemy się sami.”

Kilka piosnek ludowych wraz z melodyą dopełniają tęj głębokięj a uroczej i z szlachetnemi dążnościami pracy.

Jaskółka.



O DARWINIE.

Charles Darwin dziś już sześćdziesięcioletni starzec, jest jednym z najsławniejszych, najgenialniejszych naturalistów. Uczony ten **Charles** wiekiem olbrzymiej, niezmordowanej pracy, którą użył głównie na badanie żywej natury, a większą część życia poświęcił na zbieranie faktów wyjaśniających pochodzenie form organicznych. Mając lat 28 przedsięwziął podróż naokoło świata, trwającą lat 5, opisaną w dziele pod tyt.: Podróż na około świata, okręcie „Bigl,” a przed 10-ma laty wydał dzieło pod tytułem: „O pochodzeniu gatunków” (On the origin of species....), w którym tyle tylko przedstawiono faktów, ile potrzeba na poparcie i wyjaśnienie jego teorii, cały zaś swój zbiór nagromadzony w celu wykrycia historii pochodzenia gatunków wydaje obecnie częściami, i ten, po ukończeniu, będzie stanowić bardzo obszerne dzieło. Ażeby każdy z czytelników mógł sobie dokładniej wyobrazić znaczenie teorii Darwina dla nauki, koniecznym jest kilka słów poprzedzających.

Uczeni w celu naukowym, dzielą świat materialny na dwie części: nieorganiczny, i organiczny. Przedstawicielami tego ostatniego są rośliny i zwierzęta. W rzeczywistości nie ma jednakże takich dwóch odrębnych działów, ale przejście od jednego do drugiego jest nieznaczne, stopniowe, czego dowodem zdają się być kryształy mineralne, zmieniające formę mniej lub więcej, za domieszaniami innego obcego ciała i posiadając własność odtwarzania takich samych części, jakie zostały od nich odbite, jeżeli zostaną włożone do płynu, w którym jest rozpuszczona ta sama materia, z której się kryształ sformował.

Kryształ więc posiada jakiś urządzenie wewnętrzne, nie pozwalające od zewnątrz przybywającym cząstkom układać się na nim w innej formie, tylko w tej która mu jest dana od przyrody.

Zaprzestając na tej wzmiance o ciałach nieorganicznych, dla braku dowodów wykazujących przejście do świata organicznego, wchodzimy w świat roślin i zwierząt: tu pierwszą, najprostszą ze znanych dotąd formą jest komórka; mały pęcherzyk złożony z błony i płynu, którym ta błona tworząca pęcherzyk jest wypełniona.

Wszystkie organizmy roślinne i zwierzęce, od najprostszych do najwyższych, złożone są z takich komórek, a najprostszy organizm roślinny czy też zwierzęcy, jestto tylko jedna komórka.

Tu w tej chwili następuje się pytanie, czémże się różni komórka roślinna, od komórki zwierzęcia na najniższym stopniu rozwoju?

Odpowiedź na to miała nauka dawniej, przed odkryciem mikroskopu i rozszerzeniem rozmaitych badań porównawczych (anatomicznych, chemicznych i filozoficznych) nad tym przedmiotem, a dziś odpowiedzi na to uczeni naturaliści nie mają: nie znaleźli ani jednej cechy właściwej wyłącznie roślinie lub zwierzęciu.

Dla tych co nie śledzą za poszukiwaniami zoologów i botaników, zdaje się być nieprawdopodobnym i śmiesznym nawet to twierdzenie, że rośliny od zwierzęcia odróżnić nie można: wszak krowę od pokrzywy np. każdy doskonale odróżnia. Ale żeby takiemu znawcy pokazać w mikroskopie, twory roślinne i zwierzęce, zostające na najniższym stopniu rozwoju, z pewnością nie pozna która jest rośliną, a która zwierzęciem.

To też nawet pierwsi sławni spostrzegacze (Unger) zobaczywszy zoosporę (zarodki roślinne), myśleli że to są infuzorye, a obecność rzęsków, jak u tych ostatnich, za pomocą których płynęły przed siebie, i nawet obecność czerwonego punkcika, który uważano za organ wzroku, zdawały się potwierdzać że tak jest w istocie. Dalsze jednak badania okazały, że te mniemane zwierzątka, rozrastały się następnie na wodorosty (1).

Komórki zoosporów roślinnych mają jeszcze inny rodzaj ruchu, który także aż do ostatnich prawie czasów przyznawano właściwymi tylko zwierzętom, mianowicie: kurczenie się i rozszerzanie całej komórki, co się daje widzieć także u zoosporów niektórych niższych wodorostów i przedstawia zadziwiające podobieństwo do ruchów amoeby (najprostszego zwierzątka). Te komórki roślinne rozszerzając się i kurcząc, przepływają z jednego miejsca na drugie.

Po odkryciu tego faktu obaloną została najgłówniejsza różnica między rośliną i zwierzęciem, a zmysły obecnie nie wystarczają do wynalezienia jakiegokolwiek charakterystycznej różnicy. „Cała różnica polega na ukrytej w zarodku sile rozwoju, do utworzenia pewnej roślinnej albo zwierzęcej formy”. (Hegenbaur) (2). Idąc od tego punktu gdzie cały świat roślinny poczyna się od form nie dających się wyróżnić, i posuwając się wyżej w prze-

(1) Tak się rozmnażają nie tylko wodorosty, ale inne rośliny bezkwiatowe (Cryptogamie). Do nich należą dobrze znane każdemu paprocie.

(2) W liczbie bardzo wielu uczonych odznaczających się poszukiwaniami nad tym przedmiotem (Cohn, Schultze, De Bary, Nägeli, Unger, Pringsheim, Hofmeister, Thuret, Hanstein), znaczące miejsce zajmuje nasz znakomity fizyolog Cienkowski.

gładzie form coraz doskonalszych, widzimy jak z każdym stopniem rośliny i zwierzęta coraz bardziej stają się niepodobnymi do pierwotnych: i dość jest przejrzeć obszerniejsze atlasy botaniczne i zoologiczne, gdzie rośliny ułożone są podług stopniowego rozwoju (systemu naturalnego), ażeby zobaczyć zarazem jak są podobne organizmy najbliżej przy sobie stojące.

Takie najpodobniejsze organizmy naturalisci zaliczają do jednego gatunku, podobne do siebie gatunki do jednego rodzaju, podobne rodzaje do jednej familii, jednego pokrewieństwa, zbiór pokrewieństw do jednego rzędu i t. d. Idąc więc stopniowo od osobników do gatunków, do rodzajów, do familij..., widzimy jak podobieństwo stopniowo się zaciera, ale widzimy zawsze ten sam rozwijający się łańcuch tak systematycznie, że w rzeczywistości nie przedstawia po sobie działów mogących się zupełnie wyróżniać na gatunki, rodzaje i t. d., ale te działy są tylko sztuczne, wymyślone dla ułatwienia nauki. To też rozmaici uczeni zaliczają bardzo często te same indywidua do rozmaitych działów, a tak zwierzęta i rośliny zwłaszcza, całemi 10-mi i 100-mi nawet plądrują w książkach od odmiany do gatunku, od jednego gatunku do drugiego, do rodzaju nawet i napowrót.

Dla okazania jak niewyraźne są cechy na które opierając się klasyfikatorowie grupują rośliny, Darwin wspomina np. o trzech formach Orchideów (*Monachantus*, *Myanthus* i *Catasetum*) zaliczanych do trzech oddzielnych gatunków, aż do czasu nim wszystkie trzy nie znaleziono połączonemi na jednym kłosie, i natychmiast zaliczono do jednego.

Byłoby rzeczą zadziwiającą ażeby człowiek dojrząwszy już ten jeden wątek w rozwoju organizmów, nie starał się dowiedzieć dla czego to tak jest a nie inaczej; byłoby to nie właściwe naturze rozumu ludzkiego. To też różni różnie to sobie tłumaczyli, aż w ciągu stu lat ostatnich, zaczęto coraz bardziej rozwijać teorię, której najznakomitszym, najgenialniejszym przedstawicielem jest Charles Darwin.

Zasadą teorii jest to, że organizmy rozwijały się i kształciły stopniowo, na utwory coraz wyższe, i że popęd do coraz wyższego doskonalenia się leży w samej naturze organizmu, co zresztą daje się widzieć powszechnie.

Ażeby to dowieść, trzeba wykazać: że organizmy zdolne są do jakiegokolwiek, chociażby najmniejszej zmiany, że ta zmiana utrwała się w nich dziedzicznie, że odmiany korzystne więcej mają prawa do egzystencji jak niekorzystne, i wykazać ślady w naturze, udowadniające nieprzerwany związek między organizmami.

Że organizmy podlegają ciągłym zmianom, widzimy to bardzo często, tak w naturze roślin, jak zwierząt.

Rolnicy, ogrodnicy, i wszyscy ci co hodują zwierzęta i rośliny, wiedzą, jak nawet temi tylko środkami jakimi człowiek rozporządzać jest w stanie, t. j. wyborem i krzyżowaniem, zmianą pokarmu, temperatury, można zmienić organizm tak, jak to człowiekowi po-

trzeba: u owcy np. zmienić wełnę na cieńszą lub dłuższą, mięso na delikatniejsze i tłustsze, organizm uczynić zdolniejszym do przyjmowania odmiennych pokarmów bez uszkodzenia zdrowia, do znoszenia zimna, wilgotnych łąk, które dla innych są zabójstwem.... Krowa także stosownie do woli ludzkiej umiejętnie zastosowanej, daje więcej mleka, lub więcej i lepszego mięsa; koń prędzej biega i piękną ma maść, lub więcej siły i t. d. Pewnemu Anglikowi udało się narysować najdziwaczniejszego gołębia, a potem przez stosowny wybór i krzyżowanie mieć takiego samego w rzeczywistości.

Ogrodnik także za pomocą sztucznego opylania, zmiany roli, temperatury.... zmienia kolor, kształt i wielkość kwiatu i liści, pręciki listne zmienia na płatki korony (piwonie, róże) i części rośliny używane na pokarm czyni większemi, smaczniejszemi, mięsistszemi lub soczystszemi i t. d.

A rolnicy ileż to mają gatunków kartofli, pszenicy, powstałych w Europie? Przypomnijmy sobie nadto do jakich rezultatów doprowadza szczepienie!

W *Botanische Zeitung* (r. 1868) jest ogłoszenie o pomyślnéj próbie Hildebranda z kartoflami, podobnych do doświadczeń Trajta, których sprawdzenie niedawnemi czasy nie udało się Darwinowi. Hildebrand brał kartofle czerwone i białe, wykrajał z nich oczka i zaraz je wkładał napowrót, ale naprzemian, t. j. czerwone do białych, a białe do czerwonych. Przy téj próbie wszystkie kartofle albo poginęły, albo pozostały bez zmiany; jeden jednakże znaleziony napół czerwony i biały, a drugi czerwono prążkowany. Do tych samych rezultatów doszedł Hildebrand po opyleniu kukuruzy z żółtém ziarnem, pyłkiem z gatunku brunatno fioletowego: otrzymał owoc mający ziarna na połowę żółte i brunatno-fioletowe. To samo utrzymuje Darwin, to samo spostrzegł Savi przed 100 przeszło laty. Hildebrand widział to samo zjawisko na jabłoniach, powtarzające się co rok, bez pomocy ludzkiej: kilka gałęzi jabłoni z owocem żółtym, nakrapianym (*Erdbeerapfel*) rośło pomiędzy gałęziami czerwonej sztetyny, i dlatego na pierwszej znajdował jabłka z pasami koloru sztetyny, albo i całe czerwone, tylko światlejsze jak téj ostatniej.

Wiele z przytoczonych tu zwłaszcza poprzednio przykładów mogą się zdawać niepotrzebnemi do wyjaśnienia teorii Darwina. Wiemy np. że te odmiany które hoduje ogrodnik, jeżeli nie będą pielęgnowane, przeradzają się i dziczeją jak mówimy. Ale téż nie należy zapominać, że hodowane w ogrodach rośliny przedstawiają nam wielki szpital, że te odmiany które nam się podobają, (obfitość płatków, soczystość, mięsistość niektórych części), są znakiem chorobliwego stanu rośliny, którą ogrodnik nie leczy, ale przeciwnie, stara się rozwinąć chorobę, która się ludziom podobają, i że dziczenie jest właśnie przyjsciem do zdrowia. Te przykłady niech tylko posłużą na świadectwo, że rośliny ma w naturze swojej skłonność do zmiany, która się w niej utrwała dziedzicznie, i trwa póty, aż trwają przyczyny co ją wywołały. Niech świadczą, że zmiany

nawet chorobliwe, jak i u zwierząt, przechodzą na dziedzictwo. Więc tém bardziej cóż mamy myśleć o zmianach wywołanych nieustannie przez ciągłą zmianę fizycznych warunków, datujących się od początku świata, i zmuszających wszystko do odpowiedniego zastosowania się dla równowagi i harmonii. Jedna zmiana wywołuje nieskończony szereg zmian w składzie materialnego świata.

Kto zaś pomyśli sobie, że jednakże tych wszystkich zmian jeszcze za mało dla teoryi Darwina, niech przypomni sobie, że te zboczenia trwają ciągle przez lat tysiące, i mogą nakoniec wywołać zboczenie nie bardzo wielkie. Patrząc nawet długo na strzałkę od zegarka wskazującą godziny, nie widzimy ażeby się ruszała, a jednak wiemy, że ona każdej doby obiega dwa razy całe koło cyferblatu. Tak jest i z przemianami organizmów: zdają się nam małemi w stosunku do małej ilości czasu, ale jeżeli objąć myślą cały ogrom lat ubiegłych, łatwo sobie przedstawić, że ciągła chociaż najmniejsza zmiana, mogła doprowadzić do bardzo wielkich zboczeń.

Do zadziwiającego przykładu znacznieszego przekształcenia się stosownie do zmiany warunków, może służyć nasz kot domowy, który ma inny pokarm od tego co żyje w stanie dzikim. Ten ostatni żywi się pokarmem mięsnym, i jak wszystkie tego rodzaju zwierzęta ma kiszki krótkie, bo i proces trawienia mięsa jest krótszy aniżeli pokarmów roślinnych. Zwierzęta zaś używające pokarmów roślinnych mają kiszki bardzo długie, bo nim się roślina przetrawi na części mogące być przyjętemi do organizmu, musi odbyć daleko dłuższy proces: u kota domowego, żyjącego pokarmem mięszanym, t. j. mięsnym i roślinnym, kiszki znacznie się przedłużyły.

Te same przemiany jakim ulegają zwierzęta i rośliny hodowane, odbywają się w całym świecie organicznym, bo jakieśmy wspomnieli, warunki pod któremi one się znajdują, ciągle się zmieniają: nasionko pada to na grunt żyzny, to na jałowy, na suchy lub mokry, na miejsce ocienione lub wystawione na słońce, odkryte ku północy, chłodniejsze, lub cieplejsze, pochylone ku południowi i t. d. Przy wszystkich tych okolicznościach roślina albo zginąć musi, co się zdarza najczęściej, albo się przekształcić o tyle, o ile tego wymagają zmienione warunki.

Każdy biorący się do określenia roślin o własnych siłach, musi być początkowie umęczony z téj racyi, że te same rośliny przedstawiają pełno nieraz bardzo znacznych odmian, zbijających z tropu: raz kwiat będzie jaskrawo czerwony, to znowu niebieski (*Anagalis*); raz cała roślina kosmata, to znowu gładka (*Cuantia*); raz liście wcinane, ząbkowane, to znowu z brzegami zupełnie równemi (*Lonchus*); raz ma pręcików więcej, to znowu mniej, albo zupełnie niema pręcików czy też słupków (*Polygonum*, *Silene*, *Spiraea* i t. d. i t. d.) Do rozmaitego rodzaju przekształcenia się, nie wszystkie organizmy mają jednostajną skłonność, przeciwnie: jedne pod

tym względem okazują skłonność do wielkiego stopnia posunięta, inne znowu zmieniają się bardzo łatwo.

Co zaś do dziedziczności, dość byłoby przytoczyć to co jest powszechnie nam znane, jak dziedziczność kształtów, chorób, zdolności umysłowych, talentów i t. d. Nawet nabyte w ciągu życia własności przechodzą na potomstwo. Dość powszechnie znany także ten fakt, że w późniejszych pokoleniach powtarzają się podobieństwa w rysach, skłonnościach, do dziadów i pradziadów. Nawet takie zбочenie, jak brak palców, albinizm... przechodzą niekiedy do potomstwa.

Nim przejdziemy do najważniejszych oddziałości teorii Darwina, wspomnę jeszcze o tym powszechnym fakcie, że natura to tylko daje organizmowi, (wyjąwszy liczne przykłady wstecznego cofania się), co mu jest potrzebne, czego używa, z czego zaś nie korzysta, to mu odejmuje: w Ameryce np. w podziemnych jeziorach do których nigdy nie przeniknął promień światła, są ryby (Pigmelones cyclopus), na których łuskowatej skórze pozostały tylko wypukłości tam, gdzie u jednakowych z nimi gatunków są oczy. Natura jak gdyby napisała na tych wypukłościach „tu są oczy u tych, którym one potrzebne” (Bio). Z podziemnego jeziora Cyrkuickiego w Karnioli, z którego w czasie deszczów po przepełnieniu się wodą, część jej przez otwory w ziemi wylewa się na zewnątrz, wypływają także i kaczki, które niegdyś pływały po rzece wpadającej do tego podziemnego jeziora, ale pozostając niejakiś czas pod ziemią, już straciły wzrok i pióra, bo wzrok w zupełnej ciemności nie był im potrzebny, a latać także nie mogły z przyczyny kamiennego sklepienia ponad jeziorem. Jednakże ponieważ te kaczki zwykle niezbyt długo tam zostają, więc wzrok dość prędko im powraca, a po trzech tygodniach wyrasta pierze i daje im możność latania. W grotach Adalsbergskiej, Mamuta i innych, są także ślepe pająki, żuki, szczury, ryby (Amblyopsis spelaens), pokazując przez to, że już dość dawno dostały się do ciemnego podziemia.

Takich przykładów znowu możnaby przytoczyć bardzo wiele, bo jest to prawo natury uniwersalne wszędzie dające się widzieć. Każdy z nas wie o tém i doświadcza tego prawa niemal codziennie, ale nie każdy wie, że to prawo jest tak powszechném. Ileż razy widzimy np. jak się wyrabiają mięśnie i siła przez używalność; jak przez zwracanie uwagi na rozmaite otaczające nas przedmioty wyrabia się dar spostrzegawczy i odpowiednio do tego uczucie; jak przez używalność kształci się rozum, pamięć.

Tak się kształcą instynkt i zmysły u zwierząt dzikich zostawionych samym sobie i narażonych na niebezpieczeństwa zmuszające ich do czujności, ostrożności, większej przemyślności do zaspokojenia swoich potrzeb, a przeciwnie zaś, zwierzęta hodowane mają instynkta przytłumione, siłę i zmysły osłabione. Tak też Bezlotek (Aptenodytar) ponieważ nie łowi np. muszek w powietrzu, ale żyje rybami, ma więc skrzydła zmarniałe jako niepotrzebne, pozbawione

lotek i bardzo małe; tak struś mający dobrze rozwinięte silne nogi ma skrzydła zmarniałe i t. d.

Lamarck, jeden z najznakomitszych poprzedników Darwina zalicza używanie lub nieużywanie organów do najważniejszych czynników przekształcenia. Tę samą zasadę przyjmuje i Darwin, ale tylko w części: główną zaś przyczynę zmiany widzi w przemianie warunków, w których organizm zostaje.

Za najważniejsze czynniki w sprawie zmieniania się gatunków, Darwin uważa „walkę o byt”, i „wybór naturalny.” Walka o byt powstała jako konieczność dlatego, że organizmów zwierzęcych i roślinnych przychodzi na świat nieskończenie więcej, jak na to pozwala ilość miejsca i pożywienia

Podług czyjś obliczenia, które znalazłem w jednym z pism peryodycznych, jeżeliby przez 100 pokoleń zacząwszy od pierwszej pary Adama i Ewy, ludność się rozmnażała bez żadnej przeszkody, i jeżeliby się podwajała w każdym pokoleniu (30 lat); przytém każdemu mężczyźnie, kobiecie i dziecku dać 4 stopy wysokości i 1 kwadr. stopę szerokości: sformowałyby się z ciała ludzkiego pionowy słup, mający za podstawę rozwiniętą powierzchnię kuli ziemskiej, a wysokość jego byłaby większa, niżeli odległość ziemi od słońca. Taki rezultat zdaje się być nieprawdopodobnym: przypuśćmy więc, że się w rachunku omyłono, że ten słup jest o 10, 100, 1,000 1.000.000 razy mniejszy; jednakże przypomnijmy sobie powszechnie znaną historyjkę o wynagrodzeniu ilością zboża, jakaby powstała przez podwajanie czy kwadratowanie ziarn, (zaczawszy od jednego), na każdym kwadraciku szachowym, z czego by się sformowała ilość wozów ze zbożem, zajmująca jakąś tam wielką przestrzeń: w takim razie zgodzimy się z tęp przynajmniej, że już oddawna nie byłoby ani pięści ziemi na całej kuli ziemskiej, dla postawienia stopy nowemu przybyszowi.

Myszy tak bardzo są mnożne, że jeżeliby im nic do rozmnażania się nie przeszkadzało, w bardzo krótkim stosunkowo czasie, powierzchnia całej kuli ziemskiej została by pokryta grubą warstwą ciał mysich; jeżeliby wszystkie jaja rybnie mogły się rozwinać, i wszystkie ryby zachować przy życiu, w prędkim, stosownie do wieku naszej ziemi, czasie, zabrakłoby wody we wszystkich morzach i oceanach świata.

Tu więc widzimy, że przy obecnym ustroju śmierć jest koniecznością. Wymierają jednakże nie te tylko indywidua których organizm niezdolny jest do funkcjonowania, nietylko te do których zaguby przyczynia się np. własny instynkt zwierzęcia, jak Lemingów ginących w peryodycznych swoich wędrówkach takimi massami, że ledwie resztki ich pozostają; ale jeszcze powstaje walka o byt, bo z tych pozostałych może się utrzymać tylko mała częśćka dla braku pokarmu głównie, i dla innych okoliczności. To też pomiędzy pozostałymi powstaje współubieganie się o życie, powstaje walka w celu zdobycia sobie żywności i innych potrzeb. Z tej walki wychodzą zwycięzcami te indywidua, które są zręczniejsze, silniejsze,

przemysłniejsze, które mają lepsze narzędzia do obrony, wytrzymalsze na głód, zimno lub gorąco i t. d.

Łatwo pojmujemy o ile głód zdolny jest zmusić głodne indywiduum do użycia wszystkich sił i wszystkich możebnych środków, dla zaspokojenia głodu. Ponieważ zaś ta dążność jest powszechna, nieuniknione więc jest to, jakieśmy wspomnieli, że zaspokoją potrzeby tylko najsilniejsze, najwytrwalsze, najrzęczniejsze, najprzemysłniejsze indywidua, reszta ginie z głodu, lub w walce ze współzawodnikami. Jeżeli do tego przypomnimy sobie jaka przeważająca jest ilość zwierząt drapieżnych, żyjących pokarmem zwierzęcym: od razu powstanie przed naszą wyobraźnią cały ogrom istot ginących każdej chwili w tej walce.

Więc zostaną przy życiu te głównie indywidua, które mają jakiś przywilej dogodny dla nich we współzawodnictwie, w walce. Ten akt za pomocą którego tylko ci najdoskonalsi do zachowania własnego życia pozostają, Darwin nazywa „wybozem naturalnym.”

Walka o byt, a zwłaszcza wybór naturalny, są najgłówniejszymi podstawami teorii Darwina: to też nieraz jeszcze o tém wspomnimy.

Zupełnie prawie to samo dzieje się i w świecie roślinnym; weźmijmy np. naszą lipę: kiedy to drzewo jest w kwiecie, cała jego powierzchnia aż pożółknie nieraz od masy kwiatów. Po okwitnieniu pod każdym przysadniku kwiatowym wisi gronko z małemi zielonemi jagódkami, a w każdej jest około 10 lub więcej nasionek. Heżto milionów nasionek wydaje jedno drzewo? a przecież widzimy jak często żadne z nich dla rozmaitych okoliczności nie zostaje powołane do życia. Jednakże, jeżeliby wszystkie, na całej kuli ziemskiej wyrosły na drzewa, dziesiątków lat byłoby dostatecznie, ażeby wszystka ziemia została pokryta jednym tylko lasem lipowym. To się stosuje do każdej rośliny, bo ta co najmniej wydaje nasion, już miałyby zanadto czasu do pokrycia sobą całej kuli ziemskiej.

Dobrym przykładem prędkiej zaguby całej części świata organicznego, służy wyspa Ś. Heleny, w XVI wieku jeszcze pokryta lasami. Dziś nie ma tam lasów: zginęły razem z całym światem roślin leśnych i zwierząt, z przyczyny przywiezionych tam kóz i świń.

Ztąd łatwo sobie wyobrazić, że jeżeliby powstało kilka roślin i zwierząt o tyle silniejszych od innych, że wszystkie składające cały świat organiczny nie mogłyby im stawić żadnej przeszkody do rozwoju, w takim razie cały świat żyjący mógłby się ograniczyć do kilku tylko, albo kilkunastu istot, a ta ogromna różnaitość form musiałaby się zatrzcć; żyjąca księga stopniowego rozwoju z której tak genialnie czyta Darwin, musiałaby zaginać. Pozostałyby z niej niektóre tylko zagrzebane w ziemi resztki, któreby dopełniły naukę o szczątkach kopalnych (Paleontologia), jedyną w takim razie naukę, któraby późniejszym badaczom wskazywała stopniowe przejście do tych pojedynczych, będących obecnie przy życiu form.

Tymczasem teraz widzimy form krocie tysięcy, zacząwszy od najprostszćj (żyjącego osobnika komórki) do najbardziej doskona-

łych. Tych kroci nie wystarcza jeszcze do naocznego udowodnienia stopniowej przemiany form. Luki te, czyli przerwy w łańcuchu rozwoju, dają się jednakże wytłumaczyć w sposób dość zadowalniający; jak to zabaczmy.

Tak liczna różnorodność form, jaka dziś się daje widzieć, podtrzymuje się przez równowagę utrzymującą każdą formę w pewnych granicach, zależących od ograniczonej ilości pokarmu, nadzwyczajnej śmiertelności, jakieśmy już widzieli, i innych nieprzyjaznych warunków zewnętrznych, jak: brak lub nadmiar wody, (posucha albo przeciwnie), brak lub nadmiar ciepła, (upały i mrozy), trudność dostania się nasionkom do obnażonej roli, t. j. do pokarmu, i ulokowania się tak, jak tego natura potrzebuje, a zwierzętom także nieumiejętność lub niemożebność zabezpieczenia siebie, wynalezienia pokarmu i ulokowania się w sferze potrzebnej dla ich natury. Przytem każdy organizm, ze wszelkiem zmienieniem się fizycznych warunków, musi albo się zmienić, przekształcić stosownie, albo mieć dostatecznie siły do wytrzymania jakiś czas zmiany albo zginąć (1).

Tak więc roślina lub zwierzę, dostawszy się do zimniejszego klimatu, jeżeli organizm ma dość silny ku temu, zastosuje się do niego, a przynajmniej zostanie przy życiu: jeżeli w następnym pokoleniu znajdzie się jedno, lub kilka indywiduum równie mocnych albo wytrwalszych jak ich rodzice, więc się rozwiną i utrzymają, a ta własność od pokolenia do pokolenia, kształcąc się coraz bardziej, wyrodzi gatunek żyjący w klimacie chłodniejszym, dla którego klimat pierwotnej jej ojczyzny już mógłby być mniej stosownym (2).

Ta walka o byt dzieje się na granicy, po za którą z przyczyny klimatu, cała masa pewnego gatunku przejść nie mogła, a tylko dostały się poza nią pojedyncze indywidua.

Tymczasem w głównym siedlisku tego gatunku o którym mówimy, wszystko postępowało i rozwijało się (zmieniało) ciągle, i w tym powszechnym rozwoju wyradzały się coraz nowe gatunki, z których chociaż jeden jeżeli się rozwinął silniej, mógł zagłuszyć tę formę, która wydała odmianę rosnącą w zimniejszym klimacie. W takim razie ta odmiana byłaby jedynym przedstawicielem niezującego już gatunku, który jeżeliby jej nie wydał zginąłby bez śladu: może tylko martwe szczątki poświadcząby że istniał kiedyś. A jeżeliby to był gatunek zwierzęcia, mógł tak samo zginąć od innego, nowego, silniejszego, któremu posłużył za pokarm, albo który miał więcej siły do zawładnięcia pokarmem roślinnym, który służył im obu.

Takim sposobem musiałaby powstać przerwa, już nie unaczynająca drobnych przejściowych odmian.

Przerwa w skutek zniszczenia gatunku przez gatunek, może się stać w daleko krótszym czasie z przyczyny jakiegoś nowego

(1) Wybór naturalny.

(2) To samo ma się rozumieć i pod względem innej jakiegokolwiek zmiany, jak zmiany pokarmu, zbytku lub braku wody, upałów i t. d.

z innych stron przybysza, (zarówno rośliny jak zwierzęcia), któryby na nowém miejscu znalazł dla siebie dogodniejsze warunki (więcej pokarmu, lepszy klimat, mniej przeciwników i t. d.), i zajął miejsce innych, słabszych od siebie, a tym sposobem powstałaby jeszcze jedna przerwa w łańcuchu tworów organicznych.

Ze tak się dzieje w przyrodzeniu, na dowód tego Darwin i inni zebrali bardzo wiele faktów. Najbardziej ciekawym i najwidoczniejszym faktem tego rodzaju, jest niszczenie form przestarzałych Nowej-Holandyi. Ta część świata była w położeniu wyjątkowem dlatego, że będąc oddawna zupełnie odosobnioną od innych części świata, została zabezpieczoną od walki z nowszymi typami Azji i Ameryki, mającemi więcej siły, więcej dogodnych przymiotów dla utrzymania się przy życiu, bo azyatyckie i amerykańskie rośliny i zwierzęta wytrzymały walkę na największych przestrzeniach lądu, z najrozmaitszym klimatem, z daleko rozmaitszymi typami, i na tém obszerném polu walki o byt zostały zwycięzcami, a w wyborze naturalnym okazały najwięcej przymiotów do życia.

Ze tylko ta przyczyna pozwoliła utrzymać się tam przy życiu tym formom, które u nas i w innych częściach świata żyły za dawnych czasów geologicznych, a teraz znajdują się tylko w ziemi jako szczątki skamieniałe, służy za dowód ten fakt, że po przeniesieniu się do Australii Europejczyków, z europejskimi roślinami i zwierzętami, te ostatnie zaczęły się rozmnażać tak silnie, że już do dziś dnia zajęły miejsce wielu form starożytnych australskich, które zginąć musiały, nie wytrzymując walki z nowymi przybyszami.

Już wiele roślin i zwierząt australskich, które egzystowały przed kilkudziesięcią zaledwie laty, dziś nie ma. Wiele form jest obecnie w akcji zamierania (Ptakossące, Workowate), i może w krótkim nawet czasie ich już nie będzie przy życiu.

Dla téj saméj przyczyny w Nowej-Zelandyi lasów ciągle ubywa, a rośliny warzywne europejskie wprowadzone przez żeglarzy, rozmnożyły się tak łatwo, że dziś wiele już od nich zależy ogólne wejrzenie znacznie rozległych okolic; świnie tak się rozmnożyły, że mieszkańcy zmuszeni są robić oblawy dla ich wyniszczenia i zabijają tysiącami.

Afryka przedstawia to samo: „Agawa (zwana niewłaściwie aloesem) i opuncya (cactus opuntia), tak obficie rosła w Algierze, a także na południowém pobrzeżu Europy, w Sycylii, pobrzeżach Hiszpanii, Włoch i Grecyi, iż podróżnicy uderzeni szczególną powierzchnością, jaką rośliny te nadają okolicom, uważali je za wzory roślinności afrykańskiéj, a jednakże obiedwie pochodzą z Ameryki, i przed jéj odkryciem nie istniały wcale na dawnym lądzie”. (Jussieu).

Professor Bekietow w jednéj ze swoich prac wspomina, że wojsko rossyjskie, po wojnie z Napoleonem idąc do Paryża, zaniosiło na swoich szynielach nasioną roślin krajowych i te bardzo się rozmnożyły obecnie w okolicach Paryża, zabierając miejsce wielu

miejscowych. Przymiotnik kanadyjski (*Erigeron canadensis*) raz przywieziony do Europy, stał się najpospolitszym chwastem i całe czasem pola okrywa.

Zresztą miejscowe chwasty różnych krajów tak się z przybyszami pomieszały, że już trudno jest widzieć które z nich są miejscowe, a które nie miejscowe. Może jedną z największych cech tych ostatnich jest większe i częstsze zbaczania od właściwej im formy we wszystkich częściach; jak obecność np. pręcików w rozdzielnoptciowych, chociaż kwiaty słupkowe mają nasienie pierwój nim się kielich i korona rozkryją, a zatem nie mogą korzystać z pręcików (*Silene*); albo często nieobecność słupków, niedorastanie pręcików, zmienianie kształtu liści i t. d.

Ażeby mieć dokładniejsze wyobrażenie o przymiotach pozwalających utrzymać się roślinie w różnych klimatach i różnych stronach, weźmiemy np. pokrewną ze wspomnianym przymiotnikiem stokroć trwałą, margerytkę (*Bellis perennis*), która jest prawdziwym kosmopolitą, bo się znajduje i w Szwecyi i u nas, i we Francyi, i w Australii nawet. Cóż jej daje taką siłę do utrzymania się w najrozmaitszych klimatach? Ze znanych nam warunków do tego są następujące: jest bardzo mała, a zatem łatwo może się ukryć od zimnych wiatrów i mrozu; ma liście z korzeni wyrastające, rozestane na ziemi dokoła i przez to nie daje się zbyt łatwo zagłuszyć innym roślinom sąsiadkom; narazie że się rozmnaża nie tylko przez nasiona, ale i przez korzenie.

Inne znowu łatwiej się rozmnażają dlatego, że ich liczne nasionka opatrzone są puszką, za pomocą którego rozlatują się daleko po okolicy i jeżeli nie w jednym to w drugim miejscu, prędzej znajdują dla siebie przystępną rolę. Takim jest wspomniany niedawno Przymiotnik, takimi są nasze Łoczycy, osty i wiele innych chwastów.

Jak obecność lub nieobecność puszek nasiennych, lub niemożebność rozmnażania się przez korzenie i t. d. jest nieraz warunkiem bytu lub niebytu rośliny w pewnej okolicy, tak też i w świecie zwierzęcym: obecność lub nieobecność jakiegoś przymiotu, jakiegoś organu, daje możebność gatunkowi utrzymania się przy życiu, lub też przyczynia się do jego zatury.

Jest ryba np. (*Dactylopterus*) mająca skrzydła (rozwinęte pletwy): jeżeli ją ściga inna której służy za pokarm, może się unieść po nad wodę i uniknąć napaści. Jeżeli tych skrzydeł nie miała, możeby dotychczas nie istniała; jednak ażeby zanadto się nie rozmnożyła, dlatego skrzydła nie bronią ją całkowicie, ale tylko w części, bo podniosszy się po nad wodę, staje się często zdobyczą ptaków wodnych.

Ten przykład ma powszechne zastosowanie w naturze: t. j., że wszelki przywilej zabezpiecza tylko do pewnego stopnia.

Jest znowu ryba okrągła, koloru piasku dna morskiego z jednój strony, a z drugiej biała. Z tej drugiej strony nie ma oka, bo jej niepotrzebne, nawet mogłoby zawadzać. Jeżeli się zadraży

w piasek białą stroną, co zwykle robi, ażeby się zrównać z powierzchnią dna, tak jest wybornie ukryta, że pewien naturalista, widząc ją w aquarium, w skrzyni mającej nie więcej nad dwa łokcie wody, na dnie której był piasek morski. wzięty z tego samego miejsca co i ryba, nie mógł jęj dojrzeć przez czas długi, chociaż mu wskazano miejsce na którym leżała. Ale tu znowuż to podobieństwo nie zupełnie ją zabezpiecza, bo ma drugą stronę białą, która ją zdradza w czasie pływania, i może to jest potrzebne dla ograniczenia zbytniego jęj rozmnożenia się.

I jeszcze lepiej możemy pojąć fakt, który w teorii Darwina nazywa się „wyborem naturalnym”; ryba o której naostatku wspomniano (zapewne *Platessa* z pokr. skośnobokowatych), ma jeden bok koloru piasku, i to ją ukrywa od nieprzyjaciół. Jeżeliby oba boki były światlejsze, łatwiej byłaby dojrzana i zjedzona, co też mogło mieć miejsce ze wszystkimi oprócz tych, które się wyrodziły z innym kolorem, i przez to ocalały. Jak człowiek zachowuje jakiś kwiatek jeżeli mu się podoba, nowy kolor z którym się wyrodził, tak natura zachowuje tę odmianę która dla samego indywiduum jest korzystna, z tą różnicą, że zachowuje nie przez jakicś upodobanie, ale przez naturalny porządek rzeczy, sposobem jakimś na przykładzie widzieli.

Każdy z nas widział jak jest wiele robaczków, owadów tegoż koloru co kora lub liść na którym siedzą; jak kot doskonale ucieka od psów, bo ma dobre nogi i pazury do wdrapania się na drzewo, i przekonał się że inaczej mógł być rozszarpanym; ileżto razy ptaszek tak jest podobny do roli na której siedział, że go dojrzeć nie można było. Ile razy przekonaliśmy się, że jedno zwierzę jest mocniejsze w obronie, zmyślniejsze w wyszukaniu pokarmu, wytrzymalsze na zimno i t. d. Wszystko to dla żyjących w stanie dzikim służy, jako przywilej do łatwiejszego utrzymania się przy życiu.

Przeciwnie zaś, jeżeli jakaś roślina w skutek przemiany warunków, zacznie wyrabiać sok przyjemniejszy dla owadów, lub dostanie korę szorstką, bardziej gąbczastą utrzymującą wilgoć; może być prędzej od innych zniszczoną przez owady lub też pasożyty.

Darwin wspomina o jednej okolicy, gdzie śliwki nie mogły dojrzewać, bo je zjadało robactwo: jedne jednakże miały na sobie pyłek dla robactwa nieprzyjemny, i te ocalały.

Dla pokazania jeszcze jednego sposobu, jakim natura wytrąca z życia niektóre gatunki, wspomnę o ptakach z rzędu grzebiących: z tych niektóre mogłyby żyć jeżeliby się im dziobek nieco przedłużył, ale natura ukracając go nie pozwala im pozostać przy życiu, w ten sposób, że ptaszek, po zupełnem dojrzeniu wyciągał się w jaju, przyczem dziobek naciskał na skorupę i przebijał ją. Teraz najczęściej skorupy przebić nie może i w jajku zamiera.

Ztąd możemy sobie wyobrazić, jak nawet zmiana nie padająca nam pod zmysły, może być warunkiem życia albo śmierci.

Z tych przykładów widzimy, że to, co się w teorii Darwina nazywa „wyborem naturalnym”, jest tylko możebność dłuższego utrzymania się przy życiu i większego rozmnożenia się tych form, które się wyrodziły z dogodną dla siebie odmianą. Wszakże nie tylko postępowe doskonalenie się w czémkolwiek organizmu może się przyczynić do zachowania życia: czasem służy do tego cofnięcie się wsteczne, czasem okoliczności pozwalają żyć tylko mniej rozwiniętym organizmom. Tak na Maderze zachowały się i rozmnożyły te tylko chrząszcze, które z przyczyny niezupełnego rozwinięcia się skrzydeł, nie mogą latać, zwłaszcza w porze wietrznej; inne bowiem w czasie silniejszych wiatrów musiały zatonać.

Teorya Darwina objaśnia geograficzny rozkład roślin i zwierząt na kuli ziemskiej. Wiemy już dlaczego w Australii przechowały się aż do naszych czasów typy, które już w innych miejscach oddawna wyginęły, dlaczego Afryka, południowa Europa, Madera, zmieniły fizyonomią. I jak w odosobnionej Australii nie było ani jednego ze ssących wspólnego z Europą lub Ameryką południową, tak różne są od siebie ryby, raki, ślimaki wschodnich i zachodnich brzegów Ameryki, oddzielonych wązkami międzymorzem Panamskiem i t. d. Jeżeli zaś na oddzielném jakimś miejscu, są te same co i na sąsiednim kontynencie zwierzęta lub rośliny, zawsze się okazało że są przybyszami. Tak wyspy Bermudzkie nie posiadają ani jednego sobie właściwego ptaka, a wszystkie są amerykańskie, ponieważ ptaki północnej Ameryki prawidłowie albo przypadkowo nawiedzają tę wyspę.

Często się spotyka w jakiejś odosobnionej miejscowości i typy charakterystyczne miejscowe, i przybyłe z innych stron: tak na wyspach Galopagos jest 26 gatunków ptaków lądowych, a z nich 21 może nawet 23 są gatunkami miejscowemi; ale z 11 morskich ptaków tylko 2 gatunki ma miejscowy charakter (Darwin). Objasnienie różnicy w ilości gatunków lądowych i morskich samo się nastęrcza: morskich miejscowych ptaków jest tylko dwa, ponieważ morskim innych stron łatwiej jest dostać się chociaż na znacznie oddalone wyspy. Rodzaj pożywienia i lot po temu odprowadzają ich daleko od lądu. Najtrudniej jest wynaleźć charakterystyczne miejscowe typy między zwierzętami żyjącemi w wodzie, bo ta sfera ułatwia komunikacyą. A ponieważ wiele istot morskich i lądowych, może się stopniowo przyzwyczaić do wody słodkiej i słonej, więc Darwin aż w Brazylii znalazł wielkie podobieństwo niektórych mieszkańców wody słodkiej (mięczaki stawowate) do tych, jakie znajdował w Anglii. Przeciwnie zaś, wszystkie lądowe przedstawiły najzupełniejsze niepodobieństwo.

Często rośliny i zwierzęta oddzielonych od siebie lądów, przedstawiają mniejsze lub większe podobieństwo do roślin i zwierząt innych stron, mają nawet jednaki sposób życia, ale u nas zachowują właściwy swojej stronie typ miejscowy: w Ameryce na północnych równinach La Platy i około cieśniny Magellana, są ptaki (Rea i in-

ne) charakterystycznej budowy amerykańskiej, podobne do strusów afrykańskich, ale nie są to strusie prawdziwe.

Dla pokazania o ile zmiana stosunku między organizmami więcej wpływa na walkę o byt i wybór naturalny, (a zatem na formę), niżeli różnica klimatycznych warunków; Darwin zwraca uwagę na te miejsca Australii, południowej Afryki, i zachodnich stron południowej Ameryki, które są nadzwyczajnie do siebie podobne pod względem fizycznych warunków (między 25°—35° szer.), a jednakże tak są różne ich flory i fauny, że trudno jest wskazać bardziej różniące się między sobą. I przeciwnie, jeżeli porównać z sobą te, które są w południowej Ameryce niżej 35°, i w północnej wyżej 25°, zatem zostające w bardzo różnym klimacie: okazuje się, że one są daleko więcej pokrewne z sobą, jako nie zupełnie od siebie oddzielone.

Niemniej popierają teorię Darwina geognostyczne (paleontologiczne) poszukiwania: po przejrzeniu się w resztkach przedpotopowego świata, złożonych w skorupie ziemi, przekonano się naczynie, że powstały najprzód najprostsze organizmy, a potem stopniowo, aż do najnowszych czasów powstawały coraz doskonalsze. (O tém nam mówią i księgi Mojżesza). Był czas, kiedy były rośliny, a nie było zwierząt; były rośliny a nie było kwiatów, bo najprostsze rośliny (skrzypy, paprocie...) kwiatów nie mają; były zwierzęta a nie było ryb, a kiedy te już powstały nie było jeszcze doskonalszych od nich gadów, i t. d. nareszcie ssące powstały najpóźniej. Wszystko to dziać się miało przez wzrastanie siły twórczej do rozdzielania coraz doskonalszych funkcji, na odpowiednie im coraz liczniejsze organa.

Dojrzano przytem, że warunki fizyczne coraz bardziej się urozmaicały (klimat, temperatura, położenie lądów i t. d.), a ponieważ wszystko w naturze wzajemnie się do siebie stosuje, więc ta coraz większa różnaitość warunków fizycznych, musiała wywołać i wywołała coraz większą różnaitość form.

Ten szereg organizmów od najprostszyc do najdoskonalszych żyje i dzisiaj; a chociaż wiele form wyginęło i ginie tworząc przerwy o którychśmy mówili, ale też na to miejsce coraz więcej powstaje nowych.

W tym całym szeregu rozwijających się organizmów, nauka morfologii i anatomii porównawczej odkryła najwyraźniejsze znaki świadczące, że nie miały miejsca raptowne przejścia z jednej formy w drugą, ale nowe formy powstawały drogą stopniowego przekształcenia się tych samych form. Na roślinach Goethe wykazał że ich rozmaite części są tylko rozmaitemi przemianami liścia, jako zasadniczej formy, a w świecie zwierząt zrobił odkrycie, że kości głowy, są to te same kości kręgosłupa, tylko więcej rozwinięte. Anatomia wskazuje, że organa ruchu np. kończyny dolne i górne, skrzydła, pletwy i ogon, przedstawiają tylko różne przekształcenia tych samych części; że kości skrzydła są przekształconemi kończynami górnemi, a kończyny dolne przybierają już formę ogona u ziemiowodnych. Na niższym stopniu rozwoju, u hermafrody-

tów te organa są dwojaki na jednym osobniku, które na wyższym są rozdzielone na dwa oddzielne osobniki, z zachowaniem jednak obu organów jak i u hermafrodytów, tylko jeden z nich jest więcej udoskonalony, a drugi w stanie zmarniałym. Czem są te organa zmarniałe, to się jeszcze wyraźniej pokazuje w razie cofania się pod tym względem organizmu.

Embryologia przedstawia także niezmiernie uderzający fakt, że najwyższe nawet organizmy, w swoim zarodku nie różnią się początkowo niczem innem tylko wielkością, od zarodków niższych istot, ale stopniowo różnica ta coraz bardziej się wyjawia.

Przejście to jakie odbywa nowo rozwijające się indywiduum idąc do formy swojego tylko gatunkowi właściwej, nie kończy się z chwilą wyjścia na świat, ale trwa jeszcze w pierwszych czasach młodości, i w skutek tego gatunki jednego rodzaju więcej są do siebie podobne za młodu, jak w latach dojrzałości. Są np. konie mające tylko za młodu ciemne pręgi jak u zebry. Nasze sarny mają za młodu światłe plamy na skórze, jak u niektórych gatunków antylopy i jeleni.

Nawet w pojedynczych organach ciał, bardzo widocznem jest to stopniowe przejście od niższych do wyższych form w ciągu swojego rozwoju, co najdokładniej wskazuje historia tworzenia się serca u wyższych ssących, które uprzednio przybiera formy właściwe niższemu kręgowemu, a potem dopiero przyjmuje formę sobie właściwą.

Cała nauka fizjologii, stanowiącej podstawę medycyny, oparta jest na zasadzie tej analogii między organizmami: robią doświadczenia na rozmaitych zwierzętach, a odkrycia wchodzą do medycyny jako nowy nabytek, bo histologiczne, chemiczne i czysto fizjologiczne odkrycia zrobione na niższych kręgowych i ssących, w części lub w zupełności okazują się właściwymi i dla najwyższych.

Wszędzie jednem słowem daje się widzieć stopniowy systematyczny rozwój, a najwyższy przymiot i najwyższa potęga umysłu ludzkiego zależy na umiejętności upowszechniania pojedynczych faktów i myśli, do czego zachętę znajduje człowiek na każdym kroku w przyrodzeniu, które coraz bardziej potwierdza jego domysły.

Ile to już razy zrobiono genialne odkrycie pod wpływem wrażenia, jakie wywiera myśl o systematycznej harmonii i powszechności zjawisk?! Do tego rodzaju należy odkrycie Newtona o powszechném ciężeniu, i odkrycia Galileusza, i paleontologiczne odkrycia Cuviera i morfologiczne Goethego i tyle innych.

Na szczęście rozzumnej ludzkości, natura wszędzie zostawia ślady, wskazujące drogę i kierunek w którym postępuje. Ale natura nie usposobiona do zachowywania tych śladów. Przeciwnie, jak ślady stopy ludzkiej zostawione na trawie pokrytej rosą, albo na piasku lub śniegu, zaciera słońce lub wiatr, zostawiając je tylko na jakiś czas w miejscach zacienionych albo od wiatru zakrytych; tak samo wszędzie w naturze: czas rozmaitemi sposobami zaciera te ślady, a pozostają tylko resztki.

Najpracowitszym zbieraczem znaków wskazujących historią pochodzenia gatunków jest Darwin, jakeśmy na początku wspomnieli. Siły do jego 30-letniej pracy podsycaly się ciągle przez odkrywanie coraz liczniejszych faktów uzupełniających jego teorię. Ale nie tylko Darwin pracuje na tej drodze: miał on kilku poprzedników, z których najslawniejszymi byli: Lamarck i Geoffroy St. Hilaire, a równocześnie z nim, na podstawie samodzielnej pracy aż kilku wystąpiło z podobnymi zasadami (Huxley, Hooker, Wallace etc.). To się zdarzyło już nieraz, że kiedy się nagromadzą fakta do nieobjaśnionego jeszcze zjawiska, jedna myśl zabłądnie odrazu w kilku głowach.

Teorię Darwina nie można przyjąć w całości jako fakt, przedstawiający to, co się dzieje w rzeczywistości. Tęż zdania jest i sam Darwin, więcej nawet jak wielu jego zwolenników, zwłaszcza w Niemczech (Bronn, Büchner). Wielu z tych ostatnich niecierpliwi to, że teorię Darwina nie można jeszcze przyjąć w całości jako fakt. Ich niecierpliwi i to, że Darwin nie posuwa swoich teorii do ostatecznych wniosków. Tymczasem ta ostrożność i wstrzeźliwość jest właśnie znamię głębokiego rozumu, i wielkiego zamikowania prawdy.

Dla uzupełnienia tej teorii potrzeba rozstrzygnąć kwestyę: czy samoródtwo (*Generatio spontanea*) jest możliwe, czy nie; czy gatunki mogą się zmieniać nieograniczenie, czy też do pewnych tylko granic; czy powstały z jednej lub też wielu pierwotnych form (1).

Do odnowienia kwestyi samoródtwa (*Generatio spontanea*) przyczynia się ten niewytłumaczony fakt, że aż do naszych dni przetrwały najprostsze organizmy roślinne i zwierzęce. Wielu utrzymuje, że najniższe twory formują się samodzielnie z płynów zawierających wszystkie, potrzebne do tego warunki, a nie koniecznie z zarodków które wydały, podobne do tworzących się, żyjące istoty.

Przed kilkoma laty ta kwestya była przedmiotem gorących sporów w Akademii paryzkiej. Wielu uczonych objawiło, że widzieli jak te najprostsze istoty tworzyły się w wodzie, chociaż nie było najmniejszego śladu zarodku; wielu jest najmocniej przekonanych, że ten fakt musi istnieć. Bo jak się zdaje, tak małej tylko rzeczy potrzeba, ażeby się sformował najprostszy organizm. Dość tylko jakiegoś płynu, podobnego do rozpuszczonego białka, któryby się w jednym punkcie zgromadził, ciągnięty organizującą

(1) Do objaśnienia teorii, nie może się bardzo przyczynić ten fakt, że łączą się z sobą i wydają odmiany tylko najbliższe pokrewne gatunki; dalsze zaś chociażby się i łączyły. nie mogą się rozmnażać (mul). To zjawisko tłumaczy tylko, dlaczego typy nie zmieszały się i nie zaginęły, ale przeciwnie, podtrzymuje się ciągle taka różnorodność typów zwierzęcych i roślinnych.

sità. Uczeni bowiem utrzymują, że najprzód formuje się ta galaretowata masa (protoplasma), zawartość komórki, a potem już wydziela z siebie masę, która obleka ją dokoła i formuje błonę komórkową. Tak Thuzet, Braun, Cohn i inni objaśniają tworzenie się pewnych zoosporów (pierwszych zarodków) roślinnych, których łatwość zlewania się z sobą, i rozpyływanie się po śmierci bez zostawienia po sobie śladów jakiegokolwiek błony (Cohn), zdają się potwierdzać, że najprostszy organizm jest tylko zebraniem galaretowatego płynu. Łatwo sobie wyobrazić, jak trudno jest dowieść że w tym punkcie gdzie się zaczyna tworzyć najprostszy organizm, niema żadnego zarodka. To też kwestya samoródtwa zostanie najprawdopodobniej tylko mniej lub więcej wiarogodną hipotezą.

Darwin co do pierwszego powstania organizmu nic nie mówi stanowczo: utrzymuje owszem, że pierwotnych form zdaje się być kilka, a może i kilkanaście nawet: fakta nie pokazały mu, ażeby wszystkie formy zwierzęce powstały z jednej pierwotnej. Bo też rzeczywiście, pomimo wyraźnych powszechnych wskazówek stopniowego rozwoju, dają się widzieć od samego początku znaczne zboczenia od tego typu, który możnaby przyjąć za pierwotny. Darwin widząc to, robi tylko przypuszczenie na drodze analogii, że „wszystkie organiczne istoty pochodzą od jednej formy pierwotnej, w którą niegdyś sam Stwórca wlał życie” i dodaje: że wątpliwą jest rzeczą, czy to przypuszczenie będzie kiedykolwiek uznane za prawdę, czy nie. Wielu uczonych dziwi taka skromność Darwina, pomimo tylu faktów przemawiających za nim. Niektórzy posądzają go nawet o nieśmiałość (!.) A najprawdopodobniej jest to tylko świadectwem większego zamiłowania prawdy nad własną sławę. Nie przyjmowanie jednej pierwotnej formy, ma swoje uzasadnione podstawy, mianowicie: kiedy ziemia została już usposobioną do wydania żyjącego najprostszego organizmu, możemy utrzymywać, że takie pierwotne organizmy powstały w wielu a nie w jednym miejscu całej ogromnej powierzchni kuli ziemskiej. Natura wszędzie wskazuje nam, że dla zabezpieczenia swoich celów wydaje wszystko w wielkiej massie, i nie jest wcale tak skąpą. Więc jeżeli przyszła pora powstania najprostszycy organizmów, powstały one w wielu miejscach kuli ziemskiej. A ponieważ nic się w naturze nie powtarza tak łatwo, więc i najpierwsze organizmy mogły w różnych częściach ziemi mieć nie zupełnie te same warunki. Twórcza siła w skutek rozmaitych zewnętrznych wpływów musiałaby cokolwiek zmienić kierunek rozwoju, a cząstki które weszły w skład pierwotnego organizmu, mogły nie być zupełnie w tym samym stosunku i téj saméj ilości. A jeżeli już od pierwszej chwili powstało jakieś zboczenie tak małe, że z trudnością nawet dające się wyobrazić, to z czasem nieznaczające na pozór zboczenie mogło następnie podpaść pod zmysły, a dalej przedstawić się jako typ osobny.

Jeżeli każde takie zboczenie przedstawimy sobie jednym punktem, (typ), a rozwój oznaczymy linią od tego punktu idącą, to i na

znacznej odległości od punktu powstania, osobne typy mogą być nawet bardzo do siebie podobne, chociaż nie z jednego punktu, nie z jednego typu wychodzące, jako zostające nieraz pod wpływem bardzo podobnych zewnętrznych warunków i rozwijające się działaniem tej samej powszechnej żywotnej siły, zmieniającej się o tyle tylko, o ile się zmieniają inne warunki.

Ponieważ przytem nic się nie dzieje bez przyczyny, zatem tylko jakaś konieczna przyczyna wywołuje nową, doskonalszą odmianę tego samego organizmu. Ta sama przyczyna co wywołała jako rzecz konieczną, jakąś zmianę w organizmie, przyczyniła się do zniszczenia tej formy, która nie była w stanie uleść zmianie (doskonalić się). W takim razie we wszystkich szeregach typowych, wszystkie poprzedzające organizmy mogły bardzo prędko ustąpić ze sceny życia, pozostawiając tylko swój płód doskonalszy.

Może też bardzo często nawet uczeni zaliczają rozmaite typy do jednego, z powodu wielkiego podobieństwa między dwoma różnymi stopniami rozwoju dwóch typów.

Dotychczas jeszcze nie ma zupełnie ugrupowanych oddziałów opartych na podobnych typach, i systematyka ulegnie kiedyś gruntownym reformom.

Dziś Protozoa, (najprostsze żyjące komórki), uważają za punkt wyjścia całego świata zwierzęcego. Rozchodzące się z niego rozmaite typy możemy sobie wyobrazić jako nierównej wielkości promienie, wychodzące z jednego punktu i zbaczające mniej lub więcej. Jedne rozwijając się z najprostszymi małutkich komórek (Protozoa) przechodząc stopnie pośrednie, kończą się na najdoskonalszej w tej gałęzi formie na szkarłupniach (Echinodermata); inna gałąź (idąc od Protozoa) rozwija się na doskonalsze od pierwszych, robaki (vermes), i kończy na najdoskonalszych tego typu stawonogich (Arthropoda), a z drugiej strony z robaków zdają się rozwijać mięczaki (Mollusca); nakoniec z mięczaków i stawonogich zdaje się wyradzać wyższy od wszystkich poprzednich, typ kręgowych (Vertebrata).

Nie wszyscy uczeni systematyzują jednostajnie, nie wszyscy na jedno się zgadzają, co służy dowodem, że dość ciemna jest droga rozwoju typów.

Kwestya najbardziej jest zawikłana, jeżeli trzeba określić typ pochodny od innego typu, który już sam odbywał różne przemiany, nim wydał z siebie jakąś inną doskonalszą formę.

W ogóle nauka porównawcza, poszukująca pochodzenia organów podług ich budowy w stanie przejściowym, morfologicznym (Homologia), i podług tego rozdzielająca świat zwierzęcy na oddzielne typy, ma jeszcze przed sobą bardzo wiele dotychczas nieprzekłamanych trudności. Tego oddziału zwłaszcza, który najbardziej nas obchodzi jako przedstawiciela najdoskonalszej formy, t. j. zwierząt kręgowych, przeszłość najbardziej jest zaciemniona.

Z tego cośmy powiedzieli o pochodzeniu typów, możemy uważać, że ten typ kręgowych, najpodobniejszy do organizmu stano-

wiącego ziemią dla człowieka skorupę, nie tylko nie był rośliną, które stanowią osobną zupełnie gałąź, ale podług nauki nie był także jakimś szkarłupniem np., a może nie był także ślimakiem albo owadem i stanowi jakiś osobny typ?

Przejścia z jednej formy do drugiej niepodobnej do poprzedzającej, znane nam nietylko z przeobrażeń owadów i niektórych kręgowych (kijanka i żaba) ale już wiemy, że zarodek najwyższych ssących w przeciągu kilku miesięcy, i prędzej często, odbywa wszystkie przejścia od pojedynczej komórki, aż do jednej z najdoskonalszych form. Więc w tak krótkim czasie przebiega wszystkie koleje organizm, który, nim stopniowo przyszedł do najdoskonalszej formy, potrzebował całego ogromu epok geologicznych. Widzimy ztąd nareszcie, że natura nie potrzebowała tyle czasu dlatego ażeby przejść wszystkie znane formy, ale ażeby komórka (jajeczko), mogło mieć tę siłę twórczą do wydania najwyższego typu.

Teoryę Darwina, u nas zwłaszcza, uważało wielu za rzecz przeciwną religii. Mówiono przytem prawie powszechnie że ona naucza iż człowiek jest małpą?!

I jedno i drugie jest najzupełniej nieuzasadnione. Darwin ani sam się nie rozstał z religią i z Bogiem, ani też w całym swoim dziele nic bezbożnego nie naucza. Naucza przeciwnie, że źródłem i początkiem wszystkiego jest Bóg. I wstrętne porównywanie człowieka do nieskończonego niższych od niego zwierząt także nie robi.

Pomimo ludzkiego ciała zbudowanego podług ogólnego typu, człowiek o tyle jest wyższy od reszty żyjącego na ziemi świata, że prawie równie niedorzecznym jest porównywać go do małpy, jak do jakiegoś ślimaka lub owadu. Jakże jest nierozsądnym porównywać człowieka istotę rozumną i moralną z przyrodzenia, dążącą do coraz wyższych celów siłami własnego rozumu, do zwierzęcia co nie widzi żadnych celów przed sobą i nie pojmuje nic więcej nad to, co pojmują i inne zwierzęta.

W pracy Darwina nie ma poszukiwań nad człowiekiem, bo człowiek, o tyle o ile to potrzebne dla jego teorii, aż nadto oddawna zbadany. Szło mu tylko o porównawcze zbadanie reszty całego organicznego świata.

Z teorii Darwina, jak ze wszystkich innych, najprawdziwszych nawet i najpotrzebniejszych rzeczy można zrobić zły użytek, ale to nie jest żadnym dowodem jej fałszywości. Odrzucać ją całkowicie nie należy temu, kto pod względem prawdziwego pojęcia o przyrodzeniu nie chce zejść z drogi postępu.

B. S.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Notre-Dame de Loudres” przez Henryka Lasserre. — Autografy Michała Chales. — ś. p. Henryk Leys. Kronika Tabari, przekład z perskiego pana Zotenberg. — „Science de la Morale” przez p. Renouvier. — Historia charakteru i ducha francuzkiego” przez p. Cenac-Moncaut.

Cuda miasteczka Loudres znalazły swojego dziejopisa. Henryk Lasserre przyjaciel i współpracownik Ludwika Veillot'a, wydał książkę opowiadającą szczegółowo nadzwyczajności zaszłe w sławnej Pyrenejskiej grocie. Sam wyleczony wodą która tam płynie, więcej niż kto inny miał powodów sławić łaskę nadziemską. Usiłował tedy dać opis dokładny i ostateczny owych wypadków: „Chciałem, powiada, wszystko widzieć i słyszeć, podróżowałem po Francyi celem badania tych którzy figurowali jako świadkowie w wypadku który zamierzałem opisać; chciałem zestawieć ich opowiadanie i tym sposobem wyjaśnić prawdę.”

Nie można wątpić o dobrej wierze i sumiennosci p. Lassere. Jestto człek wierzący i uczciwy. Dlatego książka jego ciekawa i bardzo zajmująca, po swojemu. Mówię, *po swojemu*, gdyż autor nie przedsięwziął śledztwa dla przekonania się, ale wtedy kiedy już był przekonany. W dziele jego nie ma badań wątpliwego, ale zapał wierzącego. Wiele tam deklamacyi, mistycznych rozpraw przekazanych wiernym, nie mniej kulaków dla niewiernych. Ale to nic w porównaniu z usługą jaką autor im oddaje. Lasserre stawia czytelników w obec jednego z cudów nowoczesnych, o których ludzie wiele słyszą, a nie widzą; ciągnie śledztwo po swojemu, ale ciągnie; dostarcza dokumentów, i tym sposobem stawia w możności studyowania jednego z najciekawszych zjawisk naszego czasu. Autor podaje fenomena naturalne, nie wytłumaczone, ale pokazuje mianowicie jak się tworzy legenda, jak w XIX wieku fakta mało znaczne, mogą wstrząsnąć ludność

całej prowincyi i stać się wypadkiem z którym historia liczyć się musi.

W tém ważność książki pana Lasserre.

Loudres jestto małe miasteczko liczące do czterech tysięcy ludności; leży w departamencie Wysokich Pyreneów, na brzegu jeziora Gave, na szczytach gór niższych, a u podnóża najwyższych. Na lewym brzegu Gavu jest wyspa utworzona przez kanał wychodzący z rzeki i wracający do niej przy skałach Massabielle. W skałach tych jest grota która właśnie zasłynęła. Tam chronili się pastuszkowie burzą zaskoczeni i rybacy zastawiający sieci w jeziorze.

Loudres znajduje się na drodze z jednych wód do drugich, jest więc stacją podróży. Zatrzymawszy się tam, zwiedzają zamek zbudowany na górze, z którego widok bardzo piękny.

Przed jedenastu laty, epoce, w której się nasza powieść zaczyna, Loudres znano tylko z tego zamku i miejscowej fabryki czekolady. Dziś wszystko się tam zmieniło. Grota stała się kaplicą; płonie w niej lampa złota. Wyżej, na skale, zbudowano duży kościół jeszcze nieskończony, a mający kosztować dwa miliony. Loudres stało się celem pielgrzymki, a tyle ludzi tam pielgrzymuje, że zrobiono dla nich drogę żelazną. Na drodze do grotty ciągły ruch konnych i pieszych. Processye kolejną przybywają z dalekich stron. Skoro wagony staną w dworcu, w kościele biją w dzwony, przy ich odgłosie, biało ubrane dziewczęta wysiadają z pociągów, starzy i młodzi, chromi i ślepi, wszystko to z chorągwiemi rusza do grotty, śpiewając litanie do Matki Boskiej. „W tych godzinach, pisze Lasserre, Loudres podobny do świętego grodu, do Rzymu albo Jerozolimy... Serce patrzącego do Boga niesione, ma niby widzenie rajy.”

Jak się dokonało to przeobrażenie? Jakim sposobem małe pyrenejskie miasteczko zostało jednem z najświetniejszych miejsc świętych chrześcijaństwa?

To nam wyjaśni historia góralki, imieniem Bernadette.

A najpiérw powiedzmy do jakiej ludności należy nasza bohaterka. Wedle słów pana Lesserre, mieszkańcy Loudres mają krew gorącą a głowy egzaltowane; są religijni i nie postępowi. Okolice ma szczególne nabożeństwo do Matki Boskiej; w Pyreneach mnóstwo zbudowano dla Niej kapliczek; wszystkie ołtarze kościoła Loudres poświęcone Maryi Pannie.

Bernadetka najstarsza z czworga dzieci ubogiego wyrobnika, oddana do mamki, pozostawała w sąsiedniej wiosce aż do lat czterdnastu. Zatrudniona paszeniem owiec, bardzo słabowita, astmatyczna, Bernadetka nie umiała ani czytać ani pisać, a mówiła tylko miejscowém narzeczem; inną modlitwy nie umiała prócz *Zdrowaś Marya*. Zdrowaśki ciągle odmawiała z różańcem w ręku. Zdala od wszelkiej nieczystej styczności, pastuszka zachowywała swą czystość chrzcielną, którą oddech świata tak prędko czerni nawet u lepszych.

Było to 11 lutego 1858 roku w tłusty czwartek. Bernadetka dopiero od piętnastu dni wróciła do Loudres, gdzie ją rodzice sprowadzili celem przygotowania do pierwszej komunii. Dziewczyna z siostrą i innymi dziećmi poszła zbierać gałęzie nad brzegiem jeziora. Wtedy to stojąc naprzeciw skał Massabiellu miała pierwsze widzenie. Wedle jej opowieści, usłyszała najprzód niby szum silnego wichru... potem, podniósłszy głowę, zobaczyła nad grotą w małej framudze postać niewieścią, otoczoną promieniami. Niewiasta miała białą suknię, niebieską przepaskę, welon na głowie i różaniec w rękę. „Była średniego wzrostu, dodaje pan Lesserre, wydawała się bardzo młoda, miała wdzięk dwudziestej wiosny, ale nie tracąc z tej subtelności świeżej, przemijającej, miała zarazem wyraz wieczności. Co większa, do rysów jej boskich, łączyła się nie mącąc ich harmonii, piękność stopniowa czterech pór życia ludzkiego: niewinność dziecka, czystość dziewicy, powaga matki; mądrość wyższa niż wszystkie mądrość wieków, gromadziła się i topniała razem w tej cudownej twarzy dziewczęcej.”

Opis ten pan Lasserre musiał słyszeć z ust Bernadetki, bo ona jedna *widziała*. Dziwić się trzeba, że chłopskie dziewczę mówiło tak wyszukanie „o piękności stopniowej czterech pór życia ludzkiego.”

We trzy dni po pierwszym objawieniu, Bernadetka wróciła do groty z pięcioma dziećmi i znowu zobaczyła „Dagę.” Niebawem, trzecie objawienie, ale już w środku groty. Pasterka podała „Dacie” papier, atrament i pióro, prosząc żeby napisała jak się zwie i czego żąda? „Dama” wtedy przemówiła; nie chciała pisać, tylko prosiła Bernadetki, żeby przybywała co rano, przez dni piętnaście. Dziewczę przychodziło. Rodzice poszli raz z nią, widzieli zachwyty córki i zostali przekonani. Wieść o widzeniach pasterki rozbiegła się szybko i wielkie sprawiła wrażenie na góralach. Władza kościelna nie mieszając się w tę sprawę, patrzyła zdaleka. Władza świecka nie wiedziała co począć w obec tak nadzwyczajnego wypadku. Lud gwałtownie pragnął widzieć cud, albo przynajmniej tę, co go widziała.

Owóz 29 lutego kilka tysięcy ludzi zeszło się nad brzeg jeziora Gavu w rannej godzinie, kiedy Bernadetka szła na schadzki do groty. Toż samo dni następnych. „Dama” wyjąwszy dwa razy, przybywała także, a lud nie mógł się napatrzeć dziewczęciu zachwyconemu, które szeroko roztworzywszy oczy zdawało się rozmawiać z istotą niewidomą. Miejscowy poborca podatków, opisał jak wyglądała wtedy Bernadetka. „W obec przeobrażenia dziecka, powiada, wszystkie moje poprzednie uprzedzenia, wszystkie uwagi filozoficzne, wszystkie negacje, znikły, ustępując miejscu poczuciu nadzwyczajności, które mnie owładnęło mimowolnie. Pewny byłem, że tajemnicza istota jest obecną. Bernadetka nagle przeobrazona, nie była Bernadetką, ale zachwyco-

nym aniołem. Miała inną twarz, inna dusza wyglądała z jej oczu."

Pomimo zachwytu Bernadetka rozmawiała z *Damą*. Tęj słowa były coraz ważniejsze: zwierzała dziewczynce tajemnice, dawała jej rozkazy. „Córko moja, mówiła raz Madona, powiedz księdzu żeby mi tu wystawiono kaplicę.” Dziewczyna poszła z poleceniem do proboszcza. Ten zażądał potwierdzenia rozkazu. „Mówisz mi, że u stóp *Damy* rośnie krzak polnej róży... Teraz luty... powiedz że jej odemnie, że jeżeli chce kaplicy, niech róży kwitnąć kaze.”

Róża nie zakwitła. Ale to nie zachwiało wiary ludu. Wzduchnienia trwały nieprzerwanie. Kiedy raz Bernadetka spytała *Damy* jak się zowie? ta odrzekła: „*Je suis l'Immaculée Conception.*” Dziewczę wzięło nazwę dogmatu za imię własne, coby dowodziło że wizya odbywała się w jej wyobraźni.

Ale historia nie kończy się na wizjach. Nowy cud przyszedł ukrzepić wiarę ludu.

Dnia 25 lutego 1858 roku, o wschodzie słońca, gromada górali poprzędziła Bernadetkę w grocie. Pasterka przybyła i ukłękła. Madona natychmiast jej się ukazała z tym rozkazem: „Idź do źródła, pij i jedz rosnącą obok niego trawę.”

Gdzie iść? źródła tam nie było. Bernadetka na skinienie *Damy*, poszła na klęczkach w głąb grotty i zaczęła skrobać ziemię palcami. Tu dajemy głos panu Lasserre.

... „Dolek wygrzebany przez dziecko, zwilgnał... Woda tajemnicza, z głębokości nieznanej przeciekająca przez marmurowe skały, zaczęła się sączyć kroplami i napełniła dołek wielkości szklanki. Z początku było tylko błoto. Bernadetka trzy razy chciała napić się tego kału, i po trzykroć odrzucała go ze wstrętem, nie mając odwagi połknąć. Ale chciała koniecznie być posłuszną promiennemu widmu, górującemu nad tą dziwną sceną. Czwarty raz podniósłszy do ust błoto, połknęła... wstała i zjadła garść chwastu rosnącego przy skale. W tej chwili woda źródłana wystąpiła z dołka wykopanego jej ręką, i zaczęła płynąć cieniuchnym strumykiem ku ludziom stojącym przed grotą. Ztąd strumyk powoli, nieznacznie, płynął ku jezioru.”

Skoro Bernadetka wyszła z zachwytu, tłum rzucił się do tajemniczój wody; każdy chciał wypić trochę... rozszerzono dołek, i wnet z niego stała się sadzawka. W kilka dni woda przestała przyplwać, i była czysta jak kryształ. Dziś źródło tryska wysoko i daje sto tysięcy litrów dziennie. Wedle pana Filhal profesora chemii na wydziale nauk w Tuluzie, woda z tego źródła nie ma żadnej własności mineralnej, taka sama jak inne okoliczne źródła.

Oto cud główny, z którego wypływały wszystkie inne. Lasserre porównuje go do cudu Mojżesza uderzającego w skałę. Rozkaz jedzenia trawy, autor tłumaczy symbolicznie. „Jedz trawę, znaaczy upokórz się, pamiętaj o swoim pochodzeniu.”

Doszlismy do trzeciego rozdziału cudowności. Nazajutrz po odkryciu źródła, chorzy chcieli spróbować skutków cudownej wody, i cuda się działy. Pierwszy wyleczony był parobek, który wybił sobie oko przypadkiem: obmyte oko przyszło do zdrowia. Dwoch doktorów ten fakt sprawdziło. W tydzień po odkryciu źródła, kobieta ożywiła tam dziecię prawie zmarłe, trzymając je przez kwadrans zanurzone w cudownej wodzie. Dwuletnie dziecię sparaliżowane, zaczęło nazajutrz chodzić. Lekarze mówią, że dziecko nie tylko zostało cudownie wyleczone, ale cudownym sposobem nauczyło się chodzić.

Lasserre zebrał mnóstwo podobnych przykładów i podał ze szczegółami. Jedni pili wodę, drudzy się polewali; źródło leczyło nawet w odległości: chorym oddalonym posyłano flaszki świętej wody, i wyzdrowiewali natychmiast. Pomiędzy innymi, tak wyzdrowiał dziejopis cudu, pan Lasserre.

Przez całe życie miał on wzrok doskonały; ale w 1862 uczuł mocne osłabienie oczu. Musiał zaniechać wieczornej pracy, a później wcale już nie mógł czytać ani pisać. Daremnie radził się okulistów sławnych, ucie nie pomagało. Pojechał na wieś i dał oczom zupełny wypoczynek. Tam jakiś przyjaciel doradził mu, żeby spróbował cudownej wody z Loudres. Lassere zażądał jej od miejscowego proboszcza, i obaczmy co się stało.

„Kiedy ciemny prawie, wracałem do domu bolejąc nad moją niedolą, odzwierny oddał mi pudełko przyniesione z kolei żelaznej. Na wierzchu wyczytałem: „*Eau naturelle*”. Była to woda z Loudres. Uczułem wzruszenie... przyszedłszy do pokoju uklękłem i modliłem się. Potem, pełen ufności przyłożyłem przysianą wodę na oczy. Osądźcie moje zdziwienie, mój przestrach: zaledwie znaczałem oczy i czoło, uczułem się wyleczony *nagle*, tak nagle, że tę nagłość mogę tylko porównać z szybkością pioruna. Nie wierzyłem zmysłom moim.”

Siedm lat upłynęło od owego czasu cudownego wyleczenia, a wzrok pana Lasserre jest wyborny: nie psuje go ani czytanie, ani żadne zmęczenie.

Z cudów opowiedzianych przez pana Lasserre wybraliśmy największe. Teraz posłuchajcie ziemskiego rzeczy przebiegu.

Źródło ciągle rosło, a Madona objawiała się dziewczynce. W końcu ponowiła rozkaz stawienia kaplicy. Potem wizje były coraz radsze, a wiara ludu coraz większa: spowiadano się nieustannie, mnóstwo było nawróconych. Złodzieje oddawali skradzione rzeczy; przez pół roku nie zdarzyła się ani jedna zbrodnia: religijna podnieta zbawiennie wpłynęła na obyczaje. Nic dziwnego: widziano ludzi nawróconych widokiem wirującego stołu.

Ale podczas kiedy ludność cieszyła się spływającą na kraj łaską Bożą, zwierzchność uczuła się zakłopotaną. Rząd i kler zarówno niepokoił ruch, którego impuls nie od nich pochodził. Komisarz policji wcześniej wdał się w tę sprawę. Obaczysz

skupiony obok pasterki tłum, żądał od rodziców, żeby jej nie pozwolili chodzić do groty. Potém przybył cesarski prokurator, który z kolei badał dziewczynkę, ale nie z większém powodzeniem. Znalazł co było: dziecko i wizye.

Sprawa poszła nakoniec do prefekta. Baron Massy, dobry katolik, ale nie lubiący cudów, napisał o tem do ministra wyznań. Rouland okazał się równie zawahany jak jego podwładni. Zalecił ostrożność objawiając zdanie „iż nienależy dać wolnego biegu stanowi rzeczy, któryby dał niechybnie powód do nowych napaści na duchowieństwo i religią.”

Pan Massy postanowił więc działać. Opierając się na artykuły prawa zabraniającego w publicznie miejscu czci bez upoważnienia władzy cywilnej, a uważając grootę za *oratorium*, rozkazał odrzeć ją z ozdób i *ekswotów*, które tam składali wierni. Komisarz policji z trudem znalazł wóz do wywiezienia tych łupów, oraz siekiere do obalenia sztachet, któremi grootę otoczono. Lud był oburzony do najwyższego stopnia... Człowiek, który najął wóz komisarzowi, upadł i złamał zebro; wyrobnikowi który pożyczyl siekiery, belka złamała nogę. Tylko komisarzowi nie złego się nie stało.

Odarłszy grootę, prefekt zakazał czerpać wodę ze źródła, pod pozorem że to woda mineralna, przeto wyzyskiwanie jej należy do rządu. Nadto, wzbronil przystępu do groty z powodu, że to własność gminna. Kto przekroczył zakaz płacił strosf. Wierni płacili i czerpali. Skoro cesarz przybył do Biarritz, wysłano doń petycją żądającą zniesienia zakazów. Mgr. de Salinis, arcybiskup d'Auch, osobiście udał się do monarchy i upraszał, żeby ludowi dozwolono jak dawniej, modlić się i leczyć.

Cesarz uznał, iż nie należy jątrzyć ludu bez potrzeby i telegramem wysłanym do prefekta Tarbes nakazał przywrócenie wolnego wstępu do groty. Prefekt zwłóczył jak najdłużej, ale w końcu, musiał usłuchać woli monarchy. Atoli niechęć ku baronowi w departamencie była tak wielka, że go musiano przenieść na prefekta do Grenoble,

Duchowieństwo przywykłe widzieć łaski niebieskie spływające drogą hierarchiczną, początkowo nie więcej sprzyjało Bernadette jak władza świecka. Biskup dycezyi Mgr. Laurenu, postanowił czekać. Nic nie tracił czekając aż się cud ukrzepi, ruch rozwinie; wtedy dopiero doń przystąpić doradzała oględność. Oparł się więc biskup prośbom wiernych nalegających o urzędowe uznanie objawienia Matki Boskiej; oparł się nie mniej naleganiom prefekta i ministra żądających potępienia bezwzględno. Prałat przez kilka miesięcy patrzył na wypadek zdaleka. Aż kiedy zobaczył, że się mnożyły uleczenia, że nawet władza świecka ulega ruchowi, Mgr. postanowił działać.

Dnia 28 lipca 1858 r. biskup wydał rozporządzenie wyznaczające komisję, mającą badać wypadki zaszłe w grocie Loudres. Komisja miała się składać z dziesięciu członków kapituły kate-

dralnej, proboszcza Loudres, profesora chemii, starszych misyjnarzy, profesorów dogmatu i fizyki paryzkiego seminarium.

Komissya przybrawszy dwóch lekarzy, rozpoczęła śledztwo. Uznano, iż sześć cudów dokonanych przez źródło, dają się wytłumaczyć naturalnym sposobem; co do dziesięciu innych, komissya przypuściła nadnaturalność. Po tém śledztwie biskup jeszcze czekał trzy lata. Dopiero w styczniu 1862, ogłosił urzędownie, iż Matka Boska ukazała się w Loudres i leczy chorych.

Odtąd wielka pomyślność spłynęła na gminę: źródło stało się źródłem bogactw miasteczka; mnóstwo rozmaitych przemysłów wnet zakwitło; oberże napełniły się cudzoziemcami, zbudowano drogę żelazną. Biskup Laurence kupił od miasta grootę z otaczającym ją gruntem, oraz całą grupę skał Massabielle. Na szczycie tych skał stanął kościół, budowa ogromna, na ukończeniu. Grootę zamknięto kratą, woda ze źródła płynie trzema rurami bronzowymi do bassenu, gdzie chorzy mogą się kąpać, albo pić. Administracya mnóstwo tej wody rozsyła, polecając ją głównie na choroby oczu, paraliż i słabości, na które nie pomagają zwyczajni lekarze.

Bernadetka widzeń już nie miewa. Ostatni raz ujrzała Madonę 16 lipca 1858, nie w grocie, ale na łące. Tym razem „Dama” nic jej nie powiedziała, tylko kiwnęła głową. Zdaje się że to było pożegnanie, bo od tego czasu już jej nie widziała. Pokazała jej się osmnaście razy. Potém Bernadetka ciężko chorowała. Źródło nic jej nie pomogło i oddano ją do szpitala. Dotąd oierpi okropnie. Została Siostrą miłosierdzia.

Teraz opowiedzmy jakie wzruszenie uczyniły powyższe wypadki na ludności całej Francyi. Massy pozostały zupełnie obojętne. Paryż przypuszcza oszustwo; najrozumnijsi nie widzą że obłuda i wyrachowanie w rzeczach wiary grają rolę podrzędną. Głównymi czynnikami w takich razach są potęgi doradne ludzkiej natury i miłość nadzwyczajności, potrzeba wzruszeń, wszystkie namiętności z których złożone przesady. Oszustwo z większej liczby cudów wykluczyć należy; w Cudzie Loudres nie ma go wcale. Ale cóż z tego? Paryżanin czytając książkę pana Lasserre, mówił mi, że tam gdzieś o sto mil cuda się dzieją... rzecz ciekawa, ale nie mogę porzucić interesów żeby to widzieć.. zresztą dla tego ja nigdy nie widziałem cudu? Dlaczego cuda nie dzieją się w Paryżu? Czyż paryżanie, mniej ich potrzebują niż mieszkańcy Loudres? Czyż nie mamy także dusz do zbawienia i chorych do leczenia? Mówcie co chcecie, ale objawienie Madony na obelisku, albo na bulwarze „ferait un fameux effet!” Jeżeli mamy wierzyć w cuda, niech się nam pokazują.

Oto francuzki *vox populi*.

W końcu kilka uwag ogólnych.

Nadnaturalnością zowią to co nie zgodne z naturą. A czemże jest natura? Łańcuchem przyczyn i skutków, całością praw, wedle których zjawiska po sobie następują stale. Wypadek nadnaturalny spełnia się po za temi prawami natury, przez co jego przyczyny nam nie znane. Zniecierpliwiony swoim ograniczeniem człowiek, przypisuje istotom wyższym, nie widomym, zjawiska z których sobie sprawy zdać nie może: cud jest interwencją Bóstwa, które się objawia także z niewytłumaczonego powodu.

Z tej definicyi wynika, że pojęcie rzeczy nadprzyrodzonych jest bardzo względne. *Zwyczajność* i *nadzwyczajność* są dwiema płytami jednej wagi; skoro się podnosi prawa, lewa opada. Im mniej znane państwo natury; tém państwo nadnaturalne rozleglejsze. Im, przeciwnie, nauka czyni większe postępy, tém więcej kurczy się pole nadprzyrodzoneści; jak skoro znamy przyczynę bliską zjawiska, nie szukamy mu innej, i z dziedziny religijnej przechodzi w dziedzinę naukową.

Historya stwierdza ten sposób widzenia rzeczy. Nadprzyrodzoneść miała swoje wezbrania i spadki. Był czas kiedy nie znano wcale nadnaturalności, bo nie było natury. Wiadomości fizyczne tak nisko stały, że uosabiano wszystkie fenomena, wszystkie odnoszono do istot niewidzialnych. Każdy meteor był powodem mytu. Burzliwa chmura dla Indyanina była boską krową; rosa osuszona przez wschodzące słońce, to dla Greka historia Cefala i Procrizy. Rzymianin stawiał ołtarze febrze, zwycięztwu i strachowi. Tu pomieszanie rzeczy przyrodzonych z nadprzyrodzonymi, w innym kształcie znajdujemy u Hebrejów. Wojsko Syryjczyków wydziesiątkowała zaraza: oni mówili że to anioł Jehowy ich uderzył; człowiek wpadł w konwulsye, twierdzono, że jest w posiadaniu czarta.

Powoli, umysł ludzki pozbył się tej dziecięcej naiwności: rozsądek ograniczył fantazyę. Z początku widziano w zjawiskach tylko grubą analogią z człowiekiem i jego zwierzem domowym. Nauczono się wtedy pojmovać ich właściwą cechę, powiązanie i prawa. Jednocześnie, pole rzeczywistości zewnętrznych się rozprzeździło. Ludy zaczęły się z sobą znosić; żegluga dała poznać ziemie i zwyczaje, o których nie miało wyobrażenia. Usłyszano że są jakieś Indyje, jakieś Chiny. Odkryto Amerykę. Ludzkość zdumiona poznała warunki systemu świata. Ziemia przestawszy być środkiem tego systemu, stała się jednym z jego najmniejszych żywiołów. Samo nawet słońce uznano gwiazdą stałą, błyszczącą wśród milionów innych gwiazd rozrzuconych w przestrzeni.

Podczas kiedy astronom ważył gwiazdy i przepowiadał ich obroty, fizyk tłumaczył zjawiska ziemskie, historia naturalna klasyfikowała stworzenie.

Każde z tych odkryć posłużyło do ukrzepienia pojęcia natury to jest całego porządku rzeczy, a tém samém przyczyniło się do

świeśnienia pola nadnaturalności. Ale człowiek nie wiedział jeszcze dosyć, zbyt był pod wpływem wyobraźni, żeby miał nie wierzyć w cuda inne jak te, które na każdym miejscu tworzy porządek natury. Ztąd wynikło, że widział się postawiony pomiędzy dwoma światami: światem naturalnym i światem cudownym. Pobożnością nazwano wiarę w nadnaturalność. Przeciwwstawiony porządkowi naturalnemu cud, nabrał wyraźniejszego znaczenia. Ciekawa rzecz pod tym względem, porównać pisarzy średniowiecznych z Ojcami Kościoła. Pojęcia ś. Augustyna są jeszcze niepewne: zowie cudem każdą cudowność. Dla ś. Tomasza przeciwnie, cud ma coś absolutnego, jest aktem przeciwwstawionym porządkowi natury, który sam Bóg zdziałać może.

Odrodzenie zbudziło krytykę: targuęła się ona zarazem na tradycje mówiące o cudach anormalnych i na pojęcie nadnaturalności. Wiek XVIII na wszystkie tony prowadzi dalej tę polemikę; zapełnia ona Encyklopedyą i dzieła Woltera. Ale prawdziwym przegięciem porządku nadprzyrodzonego jest jeszcze rozwój nauk przyrodzonych, rozpowszechnienie odkryć Kopernika, Newtona, pisma Buffon'a, badania Lavoisier'a i im podobnych uczonych.

Przyszł wiek XIX i jeszcze dalej posunął nie tylko ilość odkryć, ale dokładność metod. Nauka nowoczesna, rzecz można bez przesady, przemieniła nawyknięcia umysłu ludzkiego, nadała mu nową siłę.

W tutejszym świecie naukowym zdarzył się skandal nadzwyczajnych rozmiarów. Wspominaliśmy dawniej o ważnej kwestyi przedłożonej przed dwoma laty akademii przez pana Michała Chasles: chodziło o pozbawienie chwały Newtona na korzyść Pascala. Chasles usiłował dowieść, że wszystkie odkrycia angielskiego matematyka były dokonane przez francuza Pascala. Twierdzenie to, które całą uczoną Anglią oburzyło, Chasles popierał autografami. Od dwóch lat wadzili się uczeni w Instytucie Francuzkim: jedni utrzymywali że listy Pascala do Newtona podrobione, drudzy że prawdziwe. Owóż, teraz pokazało się że wszystkie były sfałszowane.

Mistyfikowany zapłacił za te dokumenta swojemu mistyfikatorowi sto pięćdziesiąt tysięcy franków. Policja pochwyciła na gorącym uczynku fałszerza autografów, który tak nadużył dobrej wiary członka Instytutu; ten zmuszony był na publicznem zgromadzeniu akademii wyznać, że był oszukany przez archiwistę łotra, którego nie znał zbliska. Na człowieka tego niepospolitych zdolności, zwróciła podejrzenie pilność z jaką kopiował rękopisy Pascala i Galileusza znajdujące się w księgozbiorach paryżskich. Oszust spędzał dni całe w bibliotece cesarskiej, z działu manuskryptów brał materyały do swego pseudo-literackiego rzemiosła. Siedział zwykle na końcu stołu w okopie książek, które zasłaniały go przed oczyma przechodniów. Skoro przyszło z Florencyi za-

przeczenie autentyczności listów Galileusza, a fałszerz wpadł w podejrzenie, przebrani policyjanci siadali obok niego w bibliotece i udając że pracują, nie spuszczały go z oka. Kiedy już podejrzenia były uzasadnione, zrewidowano mieszkanie archiwisty i zabrano kilka rękopisów *zaczętych*.

Po tym ostatnim wypadku, zamknięto fałszerza do Mazas, a pan Chasles przyszedł się usprawiedliwić akademii. Był ledwie żyw... temu mu brakowało do wyłączenia całej tej sprawy przed szyderczą publicznością.

Usprawiedliwienie swoje pan Chasles zaczął od tego, że kiedy komunikował akademii dokumenta dowodzące że Pascal znał prawa atrakcji i miał stosunki z młodym Newtonem, nie postępował lekkomyślnie, albowiem jeszcze w 1861 roku, jakiś człowiek mieniący się archiwistą, paleografem, i handlujący dokumentami genealogicznymi, dostarczył mu tych listów danych jemu na sprzedaż. Uderzony ważnością papierów Chasles domagał się całego zbioru będącego w posiadaniu nieznanego właściciela. Na to archiwista odpowiedział że to dopiero później nastąpi, gdyż *amator* który te listy przywiózł z Ameryki, gdzie się dostały w 1791 roku, lubi je odczytywać i nie pozbywa tylko w miarę jak się nimi nacieszy. Chasles obawiając się konkurencji, nie wyjawiał żądania dokumenta na których się opiera: czekał aż będzie miał wszystkie w ręku.

Tymczasem archiwista dostarczał mu coraz to nowych osobliwości: Chasles kupił od niego *parę tysięcy* listów. Mnogość dokumentów, różnorodność przedmiotów naukowych i literackich o których mówiły, zupełna zgodność jaką w nich widział, nie pozostawiały w umyśle pana Chasles wątpliwości co do ich pochodzenia.

Włosi najpierwsi dopatrzyli we Florencji, gdzie pan Chasles posłał fotografią listu Galileusza z daty 5 listopada 1639, nieautentyczność tego dokumentu i ostrzegli łatwowiernego członka instytutu francuzkiego. Ten przelekniony zażądał od prefekta aresztowania archiwisty. Oszust zeznał, że sam fabrykował wszystkie autografy, ale nikt nie przypuszcza żeby jeden człowiek w tak krótkim przeciągu czasu, mógł tyle nafalszować: musi być całe towarzystwo fałszerzy tém się trudniących. Policya szuka współników, ale dotąd ich nie znaleziono.

Autografy naukowe które Chasles złożył akademii, są zaledwie czwartą częścią nabytych od fałszerza. Prócz mnogich listów Galileusza, Paskala, Ludwika XIV, Labruyer'a, Moliere, Montsequieu, Fontenella i t. d. pan Chasles posiada dwa tysiące listów Rabelaigo, mnóstwo listów Kopernika, Kolumba, Kalwina, Lutra, Machiavela, Michała Anioła, Rafaela, Karola V-go i t. d. Prócz tego ma poezye Maryi Stuart; kilka listów Montaigna i Szekspira, poezye Ronsarda i Tassa. Z dawniejszej epoki ma wiele poezyi Danta, Petrarki, i przyjaciółki Laury; ma mnóstwo listów królów: Filipa Augusta, Świętego Ludwika, Karola V, Karola VI

i Karola VII; ma listy i opowieści Joanny d'Arc, pisane jedne przez Agnieszkę Sorel, drugie podczas niewoli przez dziewczynę jej towarzyszkę w Orleanie.

Wszystkie te i dwa razy tyle listów mniej sławnych autorów, pan Chasles nabył od owego archiwisty. Jakże jeden człowiek mógł napisać to wszystko, a prócz listów jeszcze poezye Danta i Petrarki?

Listy Petrarki, Laury i Klementyny Izaury, jeżeli już można czemu wierzyć w tej sprawie, miały być nadesłane Rabelaimu przez Nostradamusa, który je zebrał w Avignonie. Zbiór sięga pierwszych czasów ery chrześcijańskiej, a nawet dalej, gdyż są listy i noty Juliusza Cezara, innych imperatorów rzymskich, apostołów, ś. Hieronima, ś. Augustyna, kilku Merowingów i t. d. i t. d.

Pochodzenie tego skarbu ma być następujące. Opactwo Tours było bardzo bogate w stare dokumenta. Aleuin który był jego opatem, zbogacił je jeszcze, skupując po Włoszech i innych krajach wszystkie ważniejsze pisma. Rabelais który był wielkim miłośnikiem tego rodzaju dokumentów, a którego w poszukiwaniach podzegał Franciszek I i Małgorzata d'Angoulême, znał archiwa opactwa Tours: pozwolono mu tam przepisać i przetłumaczyć parę tysięcy sztuk. Wszystko to znajdowało się w jego pustelni Langey, a ztamtąd przeszło do zbioru intendenta Foucault, zmarłego w początku bieżącego stulecia, członkiem akademii Napisów.

Teraz oczywiście pan Chasles nie może już ręczyć za autentyczność tych autografów; ale, prawdziwe czy nie, to pewna że ich kompozycya musiała wymagać długiej pracy i mnogich materiałów. Zaręczyć można, że nie są dziełem jednego człowieka, ani uwięzionego fabrykanta nie umiającego ani po łacinie, ani po włosku, nie znającego ani matematyki, ani nauk przyrodzonych.

Jest więc w tej sprawie tajemnica jeszcze nie wykryta. Dotąd to tylko pewna, że Francya za hołpliwość swoją dostała policzek, który się rozległ po całej Europie. Bo cóż było powodem takiego zacierzwienia i tak grubej pomyłki? Miłość własna narodowa, która nie pozwala żeby za granicami Francyi mógł się urodzić wielki człowiek, nie znosi, żeby któraby z wielkich pochodni jakimi Bóg przyświeca ludzkości, mogła stać na innym punkcie globu jak nad Sekwaną.

Sztuka społeczna straciła znakomitego artystę w osobie belgijskiego malarza Henryka Leys, który zakończył nagle życie w Antwerpii. Urodził on się w temże mieście 18 lutego 1815 r. w chwili kiedy Antwerpia odłączona od Francyi, przeszła w skład królestwa Niderlandów. Ojciec jego był kupcem obrazów, a nauczycielem niesławny malarz ówczesny Ferdynand Braekeleer. Około 1830 roku, kiedy Leys się uczył, szkoła flamandzka pozostawała pod kierunkiem kilku pseudo-klassycznych professorów

Davidowego rodzaju: rysunek tej szkoły był zimny, koloryt blade, było to sztywne i bezduszne. Źle uczony, Leys przez dziesięć lat pozostał malarzem nie znanym w ojczyźnie; za granicą znalazł go dopiero od czasu wielkiej wystawy paryzkiej. Francuzi, którzy widywali Leys'a na wystawach belgijskich, nie poznali go w Przemysłowym pałacu 1855, tak zmęźniał, urosł i wyszlachetniał. Obudziło się w nim poczucie historii. Przeskoczywszy Rubensa, Van Dyck'a, i Teniersa, cofnął się do Flamandów i Niemców XV i XVI wieku, studyował Memlinga, Holbeina, Dürrrera, nakoniec Breughel'a; w towarzystwie tych mistrzów zupełnie się przeobraził. Przejął się ich duchem tak dalece, że mógł uchodzić nie tylko za ich rodaka i krewnego, ale za ich współczesnego. *Przechadzka za murami, Nowy rok we Flandryi, Trzydziestka Bertalla Hase*, oto trzy potężne obrazy które zachwyciły znawców na wystawie Paryzkiej.

Patrzącym na powyższe płótna zdawało się, że to dzieła malarza z XVI wieku. Intuicyja jego była tak trafna, że wskrzeszał dawne epoki i ożywiał nie tylko erudycją, ale ówczesuóm technieniem, jakby czas dla nas przeszły był dlań czasem terażniejszym. Leys nie naśladował Flamandów, ale był sam Flamandem starym. Nie można go lepiej zdefiniować jak Teofil Gautier: „Leys n'est pas un imitateur: c'est un semblable.”

Spacer za Murami dotąd pamiętamy jakbyśmy nań patrzyli. Jestto uplastycznienie przechadzki Fausta z Wagnerem, którą Goëthe pokazuje w pierwszej części swęj nieśmiertelnęj tragedyi. Na obrazie Leysa widzimy mieszczan i wieśniaków niemieckich z czasów Maksymiliana i Wolgemuth'a. Poczeiwi ludziska wyszli sobie w dzień Wielkanocy z zadymionych domów i ciasnych ulic: na świeżem powietrzu obchodzą Zmartwychwstanie Pańskie. Błady puszek roślinności zielenieje na czarnych gałęziach drzew; dzień zapada... rumieniec zachodu już pobladał... na kwietniowém niebie rysują się niewyraźnie gołębniki i wieże gotyckiego miasta murem opasanego. Dwóch ludzi poważnych, których wzięść można za Fausta i Wagnera, siedzą na ławce patrząc na malowniczy szereg przechodzących: tu dziewczę w złocioném czółku, odpowiadą zakłopotane na czułości kochanka; druga para pod drzewem wymienia wiosenne westchnienia; inni gubią się w perspektywie i tylko po ruchach odgadujesz ich słowa, i tylko po ich splecionych rękach, po ich głowach nachylonych jedna ku drugiej, domyślasz się że o miłości mówią. Na pierwszym planie widzisz podeszłą parę, która uosabia niemiecką rodzinę. Za rodzicami idą dzieci; wszystkie twarze mówiące, wszystkie mówią po niemiecku. Malarz przynosi widza w epokę młodości Holbein'a, na próg reformy. Przedstawieni ludzie nie tylko ubiorem różni od dzisiejszych, są to dusze dawne. Na obliczu noszą ślad myśli nie naszych, namiętności które się zmieniają wedle klimatu i wiary, wedle obrotów historyi.

Najbiegłęjszy archeolog otoczony drzeworytami Schaufleina i Grün'a, sztychami Dürer'a i Cranach'a, doszedłby tylko do nudnych naśladowań, gdyby nie posiadał intuicji tak zdumiewającej w dziele Leys'a, znajomości głębokiej tego co się dzieło w mózgu i w sercu przodków. Antwerpski artysta wniknął w ich sumienie: czuje jak oni czuli, wierzy w to w co oni wierzyli. W tém jego wyższość. Co u innych wydaje się pożyczaną suknią, to u niego historyczną rewelacją. Każde malowidło wstecz poglądne z którym artysta serca swego nie zjednoczył, wygląda jak scena graua przez aktorów. Każdy wiek ma swoje postacie i nie tylko przez krawca urobione: tworzy je głównie myśl przeważna, całość wiar jakiej epoki. Obrót umysłów określa wyraz twarzy.

Nie wiemy czy Leys był katolikiem czy protestantem, ale to wiemy że jest malarzem protestanckim przez fizyognomie moralne swoich malowideł. Wszystkie téż znaczniejsze obrazy swoje poświęcił wspomnieniu i wielkim postaciom reformy. Do najlepszych należy *Luter dzieckiem w ulicach Eisenach* i *Wnętrze domu Lutra w Wittenbergu*.

Protestant czy katolik, Leys jest przede wszystkim malarzem chrześcijańskim; malarzem czystym, chce przez to powiedzieć że stoi we środku swój sztuki, o tysiąc mil od rzeźby, na antypodach pogaństwa, jako artysta który nie wie że istniała starożytność, bo przewaga malarstwa nad innymi sztukami właściwą jest epokom chrześcijańskim, a to właśnie z tego powodu, że malarstwo nie wykluczając brzydoty, mogło uwydatnić inną piękność niż piękność ciała, i objąć tym sposobem całą naturę, nie potępiając żadnego wzoru, byle ten miał duszę. Ale uczucia chrześcijańskiego Leys nie wyraża z dewocją: zmysł historyczny góruje w nim nad zmysłem religijnym.

Leys zajmuje pierwsze miejsce w szkole nowoczesnej belgijskiej. Nie napróżno sąd przysięgłych wystawy powszechnej 1855 i 1867 r., jemu przyznał dwa razy wielki medal honorowy. Malowidło jego wzrok nęci i na wyobraźni się odciska. Wspaniały pons podniecają głębokie zielenie; pomarańczowa i żółta barwa wybucha z jego obrazów wysadzona przez ciemny szafir; a wszystkie te gwałtowności godzą się, milkną i topnieją w gorącej całości, podobne do stłumionych splendorów starych makat Flandry, albo wytłaczanych skór węgierskich.

Rozumie się, że po takich zaszczytach otrzymanych od cudzoziemców, Leys stał się prorokiem we własnym kraju: coraz więcej był tam szanowany i oklaskiwany. Król Leopold obsypał go krzyżami, wstępami i dał mu tytuł barona. Co lepsza, poruczono mu ozdobę wielkiej sali ratuszowej w Antwerpii.

Wielka ta praca przedsięwzięta w 1863 roku, zawierająca mnóstwo portretów historycznych, począwszy od Godfredade Bouillon aż do Filipa Pięknego, składa się z sześciu wielkich malowideł przeznaczonych do uczenia przykładami wziętymi z historii, swobód gminnych miasta Antwerpii i wolności jej praw. Przed-

mioty tych sześciu malatur muralnych są następujące: *Radosny wjazd arcy-księcia Karola w r. 1514*, ma przypominać że zanim wszedł do tego miasta, każdy monarcha przysięgał szanować prawa; *Przyjęcie Genuńczyka Pallavicini*, pokazuje czem było dawne prawo mieszczańskie; *Obrońca Antwerpii* i *Księżna Parmy oddająca klucze burmistrzowi*, świadczą że magistrat sam jeden miał prawo zwolywania milicyi i rządu miasta; *Landjuweel w 1561* i *Otwarcie wielkiego jarmarku w 1562 r.*, dowodzą że sztuki i przemysł żyły i rozwijały się wówczas pod opieką Rady miejskiej.

Sześć powyższych kompozycji, zdobiących ratusz antwepski, są malowane al fresco, ale odrębnym sposobem, mającym mięsistość malatury olejnej, a niemające jej połysku. Wszystkie zalety Leysa tam posunięte do najwyższego stopnia.

Znakomici Francuzi którzy zwiedzali dom Leys'a w Antwerpii: Wiktor Hugo, Teofil Gautier, Karol Blanc, wychwalają jego salę jadalną, ozdobioną przez niego ślicznymi malowidłami. Całą wyższą połowę głównej ściany pokrywa szereg figur z XVI i XVII wieku idących przez ulice Antwerpii w zimie, na obiad proszony. Postacie mniej więcej postrzone, wiedzie grający kobziarz. Mieszkańcy patrzą z okien na ten orszak ciekawcy. Paź dzwoni do domu gospodarza, który idzie otworzyć gościom. Jestto sam malarz. Obiad zastawiony: światło błyszczy na potrawach, igra w kieliszkach... Tymczasem prawdziwi goście Leysa nieruchomie siedzą zapatrzeni w tę ścianę i zapominając że obiad stygnie...

Henryk Leys umarł nagle w nocy z 24 na 25 sierpnia. Skon właściciela rozproszy podobno wszystkie ozdoby jego domu... To wielka szkoda! gdyż nie obojętną rzeczą dla dzieł sztuki, czy pozostaną czy wyjdą z miejsca urodzenia. Tylko dzieła Fidiasza albo Rafaela, posiadające piękność absolutną, prawdę typiczną, mogą być zarówno uwielbiane w każdym kraju i czasie. Prawda rodowa, doskonała piękność będące stylem *par excellence*, nie są przystępne ludom zachodnim. Tym forma ukazuje się zawsze w powszedniej odzieży, albo co najwięcej, w wytwornym stroju. Ludy te są zasklepione w względności, w etnografii, w historii ubraniej, i to fatalnie, bez innej przyczyny jak stopień geograficzny, jak gdyby praca ludzka była rozłożona pomiędzy rozmaite grupy narodów, na to żeby była lepiej wykonana z powodu wyższości, jaką daje każdej w jednej gałęzi jej niedostateczność w drugich. Szczyściem, znajdując się na Północy geniusze takie jak Rembrandt, które inną drogą doszły do prawdy typowej i zastąpiły styl, ukazując w prawdzie przypadkowej, względnej, to, co jest wieczne: duszę ludzką.

Z drukarni cesarskiej wyszedł pierwszy tom francuzkiego przekładu Kroniki Arabskiej uczonego Abou-Djafar-Mohammed-

Ben-Djarid-Ben-Yezid-Tabari. Tłumaczenia dokonał Herman Zotenberg.

Kronika Tabarego, jak to powiada Renan w swoim raporcie z prac Towarzystwa Azyatyckiego za rok 1867 i 1868, ma wagę odrębną w historii muzułmańskiej, ponieważ jest z istniejących najdawniejszą kroniką powszechną i była źródłem wszystkich innych. Obejmuje ona historią powszechną od początku rzeczy aż do roku 302 hegiry (rok 914 ery chrześcijańskiej). Komitet przekładów wschodnich Towarzystwa Azyatyckiego Londyńskiego, postanowił podjąć na nowo przekład francuzki tego dzieła, rozpoczęty przed trzydziestą laty przez s. p. pana Dubeaux, i powierzył tę pracę panu Zotenberg, młodemu orientaliście, już zaszczytnie znanemu z rozmaitych publikacyj odnoszących się do Wschodu, a mianowicie z katalogu rękopisów hebrajskich i samarytańskich znajdujących się w bibliotece cesarskiej.

Autor kroniki o której mowa, zwany zwykle z przydomku Tabari, od prowincyi Tabaristan, gdzie się urodził roku 839 ery chrześcijańskiej, był pisarzem nieznamionowanym. Prócz tego rozległego dzieła które wymagało długich poszukiwań, napisał kilka innych ksiąg prawnych i komentarz do Koranu. Już nie istnieje całkowity tekst arabski tej kroniki, ale jest jej przekład perski dokonany przez Wezyra Belami. Z tej wersji perskiej zrobiono przekład francuzki o którym donosimy. Zajmuje on cztery tomy.

Tom pierwszy obejmuje przeciąg czasu upłynionego od początku ludzkości aż do Narodzenia Chrystusa Pana włącznie. Nie daje on wysokiego wyobrażenia o wiedzy historycznej muzułmanów w IX wieku. Istne drwiny z geografii i chronologii, naiwna mieszanina wypadków względnie nowoczesnych, faktów starożytnych, mitologicznej baśni i historii. I tak np. Ispahan jest stolicą monarchy który żył za Abrahama, ten zaś monarcha nazwany Dohah, jest istotą urojoną. Wszystkie prawie figury podane przez Tabarego, są osobami mitologicznemi stariej religii Zoroastra: bajecznych bohaterów tradycyi perskich, on porobił królami starożytnej Persyi.

Dzieje Zachodu także widziane przez mgłę, która nie dozwala rozpoznać ani miejsca ani dat. W oczach Tabarego, jak wszystkich jego współczesnych, historia starożytna krąży w zaczerpniętym świecie. Skoro Salomon chce zrobić wyprawę przeciw jednemu królowi odległych krajów, rozpościera kobierzec, staje na nim z całym wojskiem, i niesiony jest w powietrzu aż do miejsca gdzie zamierzał się udać. Na tym cudownym kobiercu przebywa także morza. Kronikarz perski mówi: „Był pewien król, który na wyspie panował. Miał potężną władzę i był bałwochwalcą. Salomon postanowił go zaatakować. Pomiedzy nim a owym królem, było dwa miesiące drogi i trzeba było przebyć morze. Salomon przygotował swój kobierzec, siadł na nim z armią, i przebył tak morze aż do wyspy. Wylądowawszy, uderzył

na króla i zabił go; poczem nawrocił na prawdziwą religią całe wojsko i mieszkańców wyspy, a sobie zabrał wszystkie dobra króla."

Historya Nabuchodonozora równie nadzwyczajna. W kronice perskiej jest on nie królem ale wodzem wojsk kilku królów perskich po sobie następujących; zdoływa i niszczy Jerozolimę dwa razy w dwóch wiekowej olległości. Prawda, że wedle kronikarza perskiego żył lat 300.

Tabari naucza, iż Arka Przedwiecznego miała kocią głowę. Skoro dzieci Izraela zaatakował nieprzyjaciel, głowę tę niesiono na czele wojska. W czasie boju głowa ta strasznie miauczała, czém Bóg przerażał wroga i rozpraszał.

Nie trzeba więcéj żeby dać wyobrazenie o sposobie pisania kronikarza Tabari. Nikt jednak nie potępia go za to. Wszystkie kroniki perskie z wieków średnich; pełne są takich niedorzeczności chronologicznych i geograficznych; wszystkie opowiadają takie cuda. Mogli jednak byli wiedzieć dokładnie. Pisma historyków starożytności klassycznej, butwiały w bibliotekach zakonnych; ani im na myśl nie przyszło żeby tam zajrzeć. Tabari nie miał innych dokumentów prócz tradycyji krążących w jego kraju bez żadnego sposobu skontrolowania.

Muzułmanie i chrześciance zarówno byli niezdolni w owéj epoce do wyrobienia sobie zdrowego pojęcia starożytnego świata. Kronikarze jednych jak drugich, dowodem, że w społeczności niższej organizacyi, utrzymanej w ciągłym dzieciństwie umysłowém historia przeszlności staje się tkaniną baśni. Nawet społeczne wypadki nabywają legendowego kształtu. W pierwszych stopniach rozwoju, umysł ludzki podoba sobie w legendzie; najniedorzeczniejsze najwięcéj lubi: przesadność wrodzona młodej ludzkości. Jako kąkol w zbożu, bajka tam rośnie bez uprawy; skoro przestaną uprawiać zboże, kąkol wszystko zagarnia.

W miarę jak się Tabari przybliży do wypadków swojego czasu, kronika jego nabiera barwy historycznej. Drugi tom zapełnią już podobno szczegóły ciekawe i wiarogodne. Ale tom pierwszy, z powodu tych właśnie baśni najwięcéj zajmujący. Nie ma w nim może, słowa prawdy historycznej, ale tóż nie tam należy badać dzieje starożytne; kronika pokazuje ducha swojego czasu i swojego kraju; uczy, że niedorzeczne bajki które w niej są tak dobrze jak w Koranie, były strawą powszednią muzułmanów, i ten stan rzeczy nie bardzo się zmienił. Nie z tego co tam opowiedziano, ale ze stanu ducha o jakim świadczy, ten tom na uważne czytanie zasługuje. Jeżeli nas nie poznajamia z historią starożytną, daje poznać ludzi którzy o niej mieli tak dziwne pojęcie, a to już rzecz bardzo ważna.

Pau Renouvier wydał w dwóch tomach dzieło poważne pod tytułem: „*Science de la Morale.*” Jestto rzecz całkiem nowa

w literaturze francuzkiej: autor założył sobie pisać dalszy ciąg dzieł Kanta. Wydał on już przed kilką laty cztery tomy pod napisem: „*Essais de Critique generale*” które zjednały mu pochwały akademii. Tom pierwszy zawiera rozbiór wiedzy i oznaczenie jęj granic; drugiego przedmiotem: Człowiek, rozsądek, namiętność, wolność, pewność i prawdopodobieństwo moralne. W trzecim jest badanie zasad natury; w czwartym rozpoczęte studyum religii w kształcie wstępu do filozofii rozbiorowej historii.

Dwa tomy wydane obecnie, są dalszym ciągiem tautych. Renouvier bada najpierw cnoty elementarne już zdefiniowane przez starożytnych: siłę, rozagę, wstrzemięźliwość. Potem bada obowiązek; dalej rzecz o stosunkach prawa moralnego z uczuciami i sympatją, ze sprężyną interesu i użytecznością, ze sprężynami uciechy i smutku: nakoniec z zasadą doskonalenia.

W rozdziałach o stosunku estetyki z moralnością, autor powiada rzecz dość nową: „Bezinteresowność sztuki podnosi nas po nad namiętności powszednie, po nad interes materyalny, czyni nas choć na chwilę, wyższymi nad to czem jesteśmy zwracając nas naszej boskiej naturze. Sztuka godzi nas z bliźniami odwracając od samolubstwa, uogólniając nasze uczucia, zmuszając do rozmyślenia nad losem i przeznaczeniem ludzkości. Sztuka jest więc wysoko moralizująca, jest może najsprężystszym czynnikiem wszelkiej oświaty. Sztuka rozwija w nas namiętności stanu rajskiego, a raj zawsze zbawienny, na ziemi nawet we śnie, *byleby nie kazał opuszczać pracy.*

Wykład moralności zastosowanej, zajmuje większą część tomu. Przykłady są treściwsze niż w wykładach niemieckich. I tak, przechodzimy ze stanu pokoju do stanu wojny. Nie opuszczając wieczystych wzorów czystego ideału, których widzenie dał nam rozum, musimy wyszukać innych, odpowiednich warunkom historycznym w jakich stoimy. W wojnie, gdzie solidarność potężniejsza i trwalsza w złém niż w dobrém, gdzie cnoty i pojęcie moralności zatarte a namiętności wyuzdane, musi być zaprowadzone prawo historyczne. Celem winno być wtedy szukania środków naprawiających niesprawiedliwe czyny i ich skutki.

Prawo własności odniesione do prawa obrony; oba oparte na prawie do pracy. Z powodu praw człowieka, Renouvier bada ogólnie położenie Europy, jak to czynił Kant w końcu ostatniego stulecia, Renouvier szuka warunków wiecznego pokoju. Dzieło się kończy apoteozą wolności. To miara postępu świata. „Wolność daną jest tak jednostce jak ludzkości, jako środek i cel zarazem, jako początek i koniec czynów. Jest więc pierwszym i ostatniem słowem moralności: w rozmaitych zastosowaniach całą moralność ogarnia. Kontrowers sceptyczny i dogmatyczny filozofii, wrzał zawsze w kołach zasklepionych w ciasnej doktrynie! Żadnej prawdy transcendentalnej nie zaprowadzono; systemy oczywistości nie miały innej podstawy jak systemy wiary. Kant odmienił postać kwestyi. Na jedną doktrynę wszyscy zgodzić się

muszą: na moralność, człowieka poznającego się w własnym prawie. Co się z tej doktryny wysnuje, będzie miało siłę obowiązującą dla warowni wewnętrznej; co się z niej wysnuć nie da, będąc wyższe od materji i metody doświadczeń naukowych, zostanie przedmiotem wolnej wiary.

„Przeciwko tej doktrynie powstają ci, co wiedzą w psychologii, moralności i w polityce do absorbacyi osobistości ludzkiej w łonie całości. Tak teraz stoi wielki problemat ludzkości. Nigdy nie było łatwiej sumieniu zrzucić zbutwiałe pęta i stanąć w zupełnej od nich niezawisłości.”

Pau Cenac-Moncaut wydał trzy tomy pod tytułem *“Histoire du Caractère et de l'esprit français.”* Autor tego dzieła nie jest nowotnym w literaturze francuzkiej. Napisał już ze dwadzieścia tomów, pomiędzy którymi trwałą mają wartość: *Historja Ludów Pyrenejskich. — Historja miłości w starożytnym i nowożytnym świecie. Nieznana Hiszpania.* Z wymienionych tytułów możnaby wnosić że autor jest archeologiem kutym i uzbrojonym od stóp do głowy. Tymczasem, wcale inaczej. Pan Cenac-Moncaut ma kwiecistość poety a pogląd filozofa. Ostatnie jego dzieło mianowicie, jest uader powabne

W chwili kiedy pod wielkim strychulcem równającą demokracji, cała przeszłość kruszy się i przepada, Moncaut mówi Francuzom: daremnie chcecie się skupić w wielkie aglomeraty, naśladować Rzym lub Konstantynopol; daremnie robicie nowe ze starego. Wasz charakter, duch wasz, odrobi wszystko co niezgodne z jego dążnością i jego odwieczną zdolnością. Myślicie że nie macie własnego charakteru? macie, nawet dzisiaj; i dla tego że macie własnego ducha, zwyciężcie swoje dzisiejsze wady. Mnie macie robić *rewolucyje*, a wyrobicie *ewolucyje*, i zmuszeni jesteście powracać do waszej natury, której nie mogła zgnieść ani cywilizacya rzymska, ani barbary Franków, ani skandynawskie okrucieństwo. Wy nie możecie znieść ani zupełnej centralizacyi, ani zupełnej niepodległości. Jesteście Gallami. Nieraz stawaliście się nimi napowrót; z czasem nie przestaniecie być nimi. Frank powinien stać się zupełnym Gallem. Wtedy dopiero Francya będzie Francją; zaim to nastąpi, szukać, robić i odrabiać będziecie.”

Taka jest w kilku słowach treść trzech tomów pana Cenac-Moncaut. Za dewizę wziął sobie *Progredi et honorare patres*. Postęp i tradycya. Zdaniem jego postępować Francuzi mogą tylko pozostając wiernymi charakterowi i duchowi narodowemu. Szczep celtycki, a w nim rodzina Gallo-Celtycka, była pobłogosławiona przez Boga goręcej niż wszystkie inne gałęzie świata Aryeńskiego. Najwdzięczniejsze czarodziejki uśmiechały się do jego kolebki. Giętkość ciała i umysłu, wesołość nie przemijająca, to pierwsze

czynniki chemiczne organizmu francuzkiego. to jego posag naturalny. Charakter rozwija się w człowieku od kolebki, a w narodzie, od stanu dzikości. Dowcip jest nabytkiem człowieka, którego rozsądnym uczyniło wychowanie, nabytkiem narodu przechodzącego ze stanu dzikości do stanu cywilizowanego. Mówiąc dzisiejszym językiem: charakter jest maszyną, a duch, który u Francuzów zwie się dowcipem, jest tej maszyny paliwem i motorem.

Czynniki cywilizacyjne, zwane charakterem i duchem, nie są wynikiem tego lub owego położenia, ale są przyczynami pierwotnymi, głównymi całej historii francuzkiej. Dla p. Cenac to punkt wyjścia. Tam gdzie jęgo poprzelnicy widzą fakta, on widzi logiczne następstwo całości niezmiernej siły, siły rozmaitej a harmonijnej, która się zowie temperamentem francuzkim.

Szkoda że Cenac zatrzymuje się na panowaniu Heuryka IV. Ażeby zwinąć na jeden kłębek całą tę długą nie następstw, które wysnuwa z charakteru francuzkiego, musi napisać najmniej drugie trzy tomy; a dzieło sześć-tomowe w czasie lenistwa do czytania i obojętności literackiej, to nadużycie uwagi roztarguionej powszechności. Zbytńia rozciągłość za dni naszych, stała się powodem bezpłodności nie jednego uczonego wywodu.

Prócz wymienionych, nie spostrzegamy w chwili obecnej innych książek godnych wzmianki na paryżkiej widowni.



O DAWNYCH KURYERACH I GAZETACH.

Posiadamy niedokładne wiadomości bibliograficzne o naszych gazetach, od początku ich zjawienia się aż do czasu, kiedy ks. Łuski otrzymał przywilej królewski na wydawanie *Gazety Warszawskiej* w roku 1773.—Niech mi wolno będzie zwrócić uwagę na to, że samo dawanie przywileju na pismo, obejmujące wiadomości polityczne, w kraju takim jak nasz, gdzie stan szlachecki nie znał żadnego niemal prawa i zwierzchności nad sobą, wskazuje jak małą wagę przywiązywano wtenczas do pism peryodycznych, i jak nie miano pojęcia jaka być może ich użyteczność lub szkodliwość.

W Bibliotece Ordynacyi hr. Krasieńskich, znalazłem w zbiorach ś. p. Konstantego Swidzińskiego, kilkaset numerów gazet, pod rozmaitemi nazwiskami wychodzących. Przejrzałem je, zanotowałem podług dat i tytułów, a rezultat tej pracy przynoszę czytelnikom Biblioteki Warszawskiej.

Najdawniejsze są na pojedynczych kartach, bez numeru i porządku:

1. *Awizy nowe Warszawskie*, drukowane w Krakowie w 1693 roku.

2. *Wiadomości Krakowskie i cudzoziemskie*, tamże 1697 roku.

3. *Awizy Warszawskie*, tamże z r. 1699.

4. *Awizy z Drezna, Warszawy i Lwowa*, tamże, a na tejsz samej kartce *Wiadomości cudzoziemskie*.

5. *Gazety z Warszawy z 1702*. Tych wszystkich pism, Biblioteka Ordynata Krasieńskiego posiada po jednym tylko egzemplarzu; że zaś na nich nie ma położonego numeru, nie można zatem wiedzieć, czy wychodziły ciągle, czy też tylko przypadkowo od czasu do czasu. Brak porządkowych numerów naprowadza na to drugie przypuszczenie.

6. Po nich następuje *Kuryer cudzoziemski*, jeden numer z r. 1713, drugi z 1714. Nie wiadomo czyli wychodził ciągle i jak długo, bo także nie ma liczb porządkowych.

Od 1714 do 1730 nie ma w zbiorach Swidzińskiego żadnych pism peryodycznych.

7. *Kuryer Polski*. P. Bartoszewicz naznacza początek wychodzenia Kuryera Polskiego w 1728 r. Numera tego pisma w zbiorze Swidzińskiego zaczynają się w 1730, a ciągną się do r. 1761.

Na jednym z numerów z 1731 r. położony jest numer porządkowy 105-ty, a że pismo to wychodziło co tydzień, przeto datę wyjścia pierwszego numeru Kuryera Polskiego można oznaczyć na 1 stycznia 1729, co się zbliża do daty przez p. Bartoszewicza podanej. Do tego pisma regularnie dołączane były:

8. *Wiadomości uprzywilejowane z obcych krajów*, półarkuszek w małym in 4-to. Pod nazwą Kuryera Polskiego znajdują się wiadomości krajowe, po największej części o przybyciu i wyjeździe króla i osób do jego dworu należących, oraz dygnitarzy Królestwa, o zaślubieniu i śmierci znakomitych osób, o uroczystościach kościelnych, o wyborach posłów i deputatów na trybunał.

W jednym z numerów z 1731 r. znalazłem popularny zarys historii naszej, poczynający się od bajecznego Lecha, aż do Bolesława Chrobrego; dalszego ciągu nie ma. *Wiadomości uprzywilejowane z obcych krajów*, odpowiadają tytułowi swojemu: jest w nich wiele szczegółów z wojny o sankeyą pragmatyczną i z wojny siedmioletniej.

Kuryera Polskiego z Wiadomościami z cudzych krajów w zbiorze Swidzińskiego są numera z roku 1730, 31, 32, 33, 41, 47, 48, 49, 51, 53, 54, 56, 59, 60, 61, lecz nie ma całkowitego zbioru z żadnego roku, są tylko pojedyncze oderwane Nra, po kilka albo po kilkanaście. *Kuryer Polski* miał na czele każdego numeru jeźdźca na koniu z szablą w ręku.

9. W 1733 wychodził *Merkuryusz historyczny i polityczny*, w małym kieszonkowym formacie. Jest jeden zeszyt z miesiąca Maja tegoż roku. Zdaje się, że to był współzawodnik Kuryera Polskiego; nie wiadomo jak długo istniał.

10. W roku 1760 zjawia się *Kuryer Warszawski extraordinaryjny*. Pierwszy numer jest z 2 lutego, szósty z 8 marca.

11. Po nim idzie *Kuryer Warszawski* bez przymiotnika extraordinaryjny. Wychodził zrazu jednocześnie z Kuryerem Polskim i nie ma żadnego drzeworytu na czele. Zdaje się że on zastąpił miejsce Kuryera Polskiego. Są w zbiorze Swidzińskiego zeszyty z 1760, 1761, 1762, 1763 i 1764 roku; do nich dołączane są suplementa podobne do tych, które były przy Kuryerze Polskim.

12. Także w roku 1760 pokazują się *Wiadomości warszawskie*, które w 1760 mają tytuł *Wiadomości uprzywilejowane warszawskie*, z suplementami, obejmującemi rzeczy krajowe; *Wiadomości* zaś głównie przeznaczone były na przedmioty zagraniczne. Pismo to wychodziło od 1760 do końca roku 1773. Na czele każdego numeru był herb Królestwa i Litwy, a w środku Ciołek, herb króla Stanisława Poniatowskiego.

13. Po nich dopiero zaczęła wychodzić za przywilejem królewskim, *Gazeta Warszawska* pod redakcją księdza Łuskiny.

Są oprócz tego w zbiorze Świdzińskiego, addytamenta i suplementa do gazet polskich w pół arkuszach in 4-to z 1760 i 1764, lecz nie ma żadnego śladu, żeby pod tytułem *Gazety Polskiej* wychodziło jakie pismo. Są to zapewne dodatki do uprzywilejowanych *Wiadomości Warszawskich*.

14. *Kuryer Litewski* z roku 1761 Nr. 29: do niego dołączone są wiadomości cudzoziemskie, suplement do *Gazet Wileńskich*.

15. Przydatek do *Gazet Wileńskich* 1761 i 1763.

16. *Gazeta Wileńska* z 1776 z całego roku, wychodząca co tydzień. Są w niej uchwały sejmu z 1776. Jest także kilka numerów z teje gazety z 1780 r.

17. *Gazeta Grodzieńska* z r. 1777.

W ogólności, wszystkie gazety, pod jakimi bądź tytułami wydawane wówczas, wychodziły raz tylko na tydzień i nic ważnego nie zawierają, prócz politycznych wypadków. W takim samym odstępstwie została ich następczyni *Gazeta Warszawska*, aż do roku 1788, to jest do epoki sejmu czteroletniego.

W 1794 wychodziło pięć gazet pod rozmaitemi tytułami; ustaly w pierwszych dniach listopada t. r., i została tylko jedna *Gazeta Warszawska*.

Tu i owdzie znajdują się w tych pismach doniesienia o nowych książkach wówczas wydawanych. Zdaje mi się, że o wielu z nich nie ma wzmianki w naszych dziełach bibliograficznych, przeto umieszczam ich tytuły.

1. *Jeogogia Politica* seu magnanimi juventutis introductio ad Rempublicam liberam, per Joannem Rudzki, Philosophiae doctorem; w Warszawie w drukarni XX. Piarów.

2. *Książka albo Skrypt o wojnie siedmioletniej*.

3. *Wiadomości o księstwach Kurlandyi i Semigalii* (pół arkuszek).

4. *Dzieje Pretendentów do korony angielskiej*.

5. *Geografia przełożona z francuzkiego*, w drukarni XX. Piarów r. 1756.

6. *Andreae Narolski Soc. Jesu de Suprema Pontificis auctoritathae adversum Titellio episcopi*.

7. *Wiadomości ekonomiczne i uczone*, albo *Magazyn wszystkich nauk do szczęśliwego życia ludzkiego potrzebnych*. W drukarni Mitzlera.

8. *Niewierny żadnej nie mający wymówki*, przez księdza Seguier Soc. Jes. z łacińskiego na polskie przez ks. Niepokojczyckiego Soc. Jes. przełożony. We Lwowie w drukarni Filipowicza Jana, 1759.

9. *Rozmowa Teologa z różnowiercą, wierze katolickiej sprzeciwiającym się*, w Kaliszu 1759.

10. *Kalendarzyk Polityczny Wileński* z r. 1777, w drukarni Akademickiej.

11. *Trzy mowy sejmowe* Bcuffała Łowczego W. Księstwa Litewskiego.

12. *Mowa JW. Mirskiego* posła braclawskiego.

13. *Pieśni sobie śpiewane* od Konstancyi z Ryków Broni-sławskiej Stolnikowej Inflanckiej.

14. *Bajki Fedra* tłumaczone z łacińskiego przez Ignacego Chodzkę.

15. *Manualik poczciwego człowieka.*

16. *Nauka przeciw ospie.*

17. *Rozmowy Sokratesa.*

18. *Sposób dla rodziców fizycznego wychowania dzieci.*

19. *Informacja praktyczna dla gospodarzów w Koronie i Litwie.*

20. *O paleniu wódki.*

21. *O obyczajach i zwyczajach ludu ruskiego.*

22. *Rady przyjacielskie dla młodych kawalerów.*

23. *Obrona plebana*, to jest roztrząsanie i zbiecie zarzutów z okazyi pisma o rolnictwie, przełożona z włoskiego.

F. S. D



PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Birze, rzut oka na przeszłość miasta, zamku i ordynacji. Skreślił Eustachy Tyszkiewicz. St. Petersburg 1869. Czcionkami A. W. Kirkora. (w 8ce str. 170 z wielką ilustracyami wśród tekstu).

Sędziwy

Sędziwy a pełen zasług b. prezes komisji archeologicznej wileńskiej, nie przestaje pracować.

Monografia Birzów, którą nam podaje, wydrukowana w Petersburgu w drukarni A. H. Kirkora, pod wszelkimi względami zasługuje na uwagę.

Autor, w przypisie „do hrabiego Michała Tyszkiewicza pierwszego ordynata birzańskiego,” mówi:

„Gdym zwiedzał kraj czeski przepełniony dawnymi zamkami, z których jedne leżą w ruinie, drugie najświetniej dochowane przez dawne tego narodu rodziny; zdziwiony byłem tym do naśladowania wzorowym porządkiem, że każdy zakątek przeszłości, każda dawna możnowładzców rezydencya, posiada swoje szczegółowe opisanie, bez czego ani swój, ani obcy, niczy o tém miejscu nie wiedział. W zamkach dotąd zamieszkałych, archiwa domowe porządnie utrzymane, zbiory naukowe i familijne, muzea dobrze objaśnione, wielkie dla badacza dziejów czeskich stanowią źródła. Dłaczegoż u nas podróżni, a często i sami dziedzice, najmniej wiedzą o miejscowych, a tak licznie w kraju rozsypanych historycznych pomnikach, o tradycjach do nich przywiązanych, i o wypadkach, jakie się na téj scenie przed wiekami odegrywały?”

Po téj sprawiedliwej chociaż gorzkiej przymówce, hr. Tyszkiewicz wskazuje miejscowości pełne wspomnień dziejowych, a przejęty tém przekonaniem, że opisy ich dokładne, znaczną dla historyi

krajowej przyniosłyby korzyść, powziął zamiar ułożyć krótki pogląd na przeszłość *Birż*; „bo widzę co dzień z okien, te sterczące mury zamkowe, które zdają się mnie w oczy uragać niedbałość moją, że są dotąd zapomniane: gdyż wszystkie ruiny, jak żyjących ludzi tak i niemych zwalisk, muszą lubić swojej przeszłej świetności, dobre czasy przypominać.”

Bogate archiwum *Birzańskie*, dostarczyło obfite źródła autorowi nietylko do samej monografii tej miejscowości, ale mnóstwo nadzwyczaj zajmujących szczegółów historycznych, tak co do wydatnych postaci, jako też i samychże wypadków dziejowych.

Monografia *Birż* obejmuje pięć obszernych rozdziałów. W pierwszym po określeniu ich miejscowości, przechodzi do badań nad plemieniem *Litwinów* i podziale ich pod rozmaite nazwy znane w kronikarzach, przystępuje autor do charakterystyki ludu tutejszego. Ogólną jego cechą jest łagodność: w pozostałych śladach dawnych zwyczajów, w śpiewach, w przysłowiacz i podaniach ludu, przebija się wiele czułości, niezmierna siła, zdrowego poglądu na rzeczy, spokojność wewnętrzna ducha, zamiłowanie w życiu rodzinnem, i przywiązanie do własnego kawałka ziemi. Wybitną cechą tutejszego wieśniaka jest niezależność, chęć postawienia zawsze na swoim, skrytość w postępowaniu, pobożność, czystość i porządek w domostwie i ubraniu, niechęć jawna do nowości, nakoniec pracowitość i skromność w obyczajach. Budowa ich ciała zdrowa i silna. Charakter łagodny *Litwinów*, zdaje się dobrze malować i odróżniać od innych plemion, przysłowie *Rusinów* *mińskiej gubernii* dotąd zachowane: „*Litwin jak Jan, Jatwiez jak Jez.*”

Wiele zachowali pamiątek z czasów przed-chrześcijańskich; z tych uroczystości *Kupały* (sobótek) zwana *Kupaléj*, w największym jest zachowaniu. Jak wszędzie tak i u *Litwinów* język i zwyczaj flisów i bartników, najodleglejszej sięgają starożytności: odosobnienie ich zatrudnień, zdaje się być tego powodem. Dotąd bowiem przy odbijaniu od brzegów łodzi towarnej, tajemniczy bożek wód odbiera ofiary w monecie i jadle, rzucanem na dno rzeki, przy krótkiej, połączonej z pojęciami chrześcijańskimi, modlitwie.

Daléj autor wspomina o licznych uroczyskach, kurhanach i mogiłach, zwraca uwagę na język, na pieśni zwane *Dajnos*, i narzędzia muzyczne. Nie pomija tańców, zabudowań, ubrania, oraz handlu i przemysłu tej okolicy.

Od rozdziału II idzie opis szczegółowy *Birż* i jego dziejów.

Nie możemy pominąć zajmującego ustępu, jaki w tém dziele znajdujemy, o przyjęciu w *Birżach* słynnej z wdzięków, rozumu i bogactw, a następnie z awanturniczego życia księżnej *Kingston*.

Radziwiłł *Panie kochanku* poznał ją w *Monachium*, a oczarowany jéj wdziękami, miał zamiar poślubić; ale projekt ten, pomimo szalonej miłości księcia, rozbił się o podane warunki z jéj strony. Księżną przyjmowała rękę *Radziwiłła*, zgadzała się na opłacenie wszystkich długów obciążających jego dobra, ale te miały przejść na

wyłączne jój imie: *Panie kochanku* siadając na fartuszk, zgasiłby dostojność i znaczenie domu i rodu swego.

Zanim jednak do stanowczego zerwania stosunków przyszło, książę Karol, z przepychem królewskim, podejmował ubóstwianą bogdanę. Ponieważ zamek w Birzach był w zupełnej ruinie, a innej odpowiedniej rezydencji żadnej tu nie było, budował więc letnie mieszkania, zasadzał około nich krzewy i kwiaty, wznosił sale stołowe i balowe, nawet czasowo zbudował z desek ogromną wystawę, mającą pozór wielkiego i obronnego miasta. Wydał na to przyjęcie przeszło 500,000 złotych ówczesnych. Uroczystość i zabawy trwały dni czternaście. Około owego miasta zgromadził nadworne wojska swoje, jedne oblegały, drugie broniły warowni. Bomby i granaty były robione ze sztucznych ogniów. Wieczorem miasto szturmem wzięto i spalono do szczytu, co wszystko pyszny przedstawiało widok! Wśród pożaru, huku dział i przerażenia, tańczowano w balowej sali: księżna Kingston miała suknię gęsto brylantami obszytą, ale tak słabo, ażeby się w tańcu odrywały, a gdy który z *kawalerów* przynosił do niej upadły klejnot, księżna każdego prosiła, ażeby go sobie na pamiątkę zatrzymał.

Panie kochanku, z dwiema żonami rozwiedziony, teraz jakby dwudziestoletni młodzieniec u nóg jój spędzał wszystkie chwile, upatrując wyroku życia lub śmierci z jój uśmiechu. Dla rozrywki wyprawiał polowanie w nocy na niedźwiedzia z ogniami. Myśliwi otoczeni byli dla bezpieczeństwa przez pułk nadwornych huzarów, z których każdy trzymał w ręku zapaloną pochodnię. Tworzyli oni wielkie półkole w lesie: nie widziano nigdy obrazu bardziej uroczego i zachwycającego. Niedźwiedź przestraszony, został wkrótce pokonany, bez żadnego dla nikogo niebezpieczeństwa.

Awanturница ta, przed którą na kolana padał książę Karol, z domu *Elzbieta Chudlejgh* urodzona w Devonshire 1720, wzięta na dwór księżnej *de Galles*, słynęła z nadzwyczajnej piękności przy charakterze dziwnym i ekscentrycznym. Poślubiwszy hr. Bristol żyła z nim tylko sześć miesięcy. W Berlinie zawiązała stosunki z Fryderykiem Wielkim, z którym korespondencya długie lata trwała; w Dreźnie zaś osobista przyjaźń połączyła ją z księżną Elektorową saską.

Kiedy księżna *de Galles* została królową, Chudlejgh wróciła do Londynu piękniejsza niż pierwój, z ukształceniem więcj jeszcze rozwiniętém. Rozwiódłszy się z hr. Bristol'em w r. 1769 oddała rękę swoją księciu *Kingston*, najbogatszemu panu w Anglii. Kiedy umarł w roku 1773, ogromny cały swój majątek jój zapisał. Wtedy rozpoczęła podróże po Europie, miała własny swój okręt. Mieszkając w Rzymie illuminowała *Kolizeum*, sprowadzała aktorów i śpiewaków najslawniejszych w Europie, na swój nadworny teatr, i ogromne summy marnotrawiła. Rodzina księcia *Kingston* wytoczyła jój proces: oskarżona i przekonana o bigamię, utraciła tytuł księżnej i nazwisko, ale zapisy przy niej pozostały. Umarła w roku 1788 w zamku *Ste-Assise* blisko Fontenebleau. Przeżył ją

książę Panie kochanku, a z załotów gorących tę tylko odniósł korzyść, że nowemi długami, dobra swoje obciążył.

W dziele hr. Eustachego Tyszkiewicza podane mamy nie-mniej zajmujące szczegóły o słynnym towarzyszu i nieodstępnym księcia Karola, Leonie Borowskim. Henryk Rzewuski w swoich *Mieszaninach obyczajowych*, pomieścił go nawet w liczbie bardów polskich. Ktokolwiek czytał o *Panie kochanku* i spojrział na anegdotyczną stronę jego życia, ten zawsze obok spotykać musiał i pana Leona Borowskiego, osobistego przyjaciela księcia i zarazem najdowcipniejszego towarzysza, który go zwykle wydobywał z biedy, kiedy zanadto czasem zapędził się w opowiadaniach wesoly wojewoda.

„Słyszałem (pisze E. hr. Tyszkiewicz) opowiadającego pana szefa Seweryna Rzewuskiego, rodzonego siostrzana księcia Karola, który całą swą młodość spędził przy wuju i w Nieświeżu dowodził pułkiem nadwornej kawaleryi, że raz jednego w dobrzyn będąc humorze, książę prawił duby smalone o jakiejś bitwie w której sam jeden wszystkich rozbił i rozpedził, i wezwał na świadectwo Borowskiego, który jakoby miał być w téj bitwie przy boku księcia.

— Nie wiem nic mości książę, bo już ja wtedy byłem zabity — odpowiedział pan Leon.

Drugi raz znowu książę Karol opowiadał o tak ogromnej armacie, leżącój na polu pod Nieświeżem, że raz chroniąc się od deszczu, wjechał do niéj karetą sześciokonną. Pan Leon znowu zapytany potwierdził, mówiąc: że sam był się tam schronił bryczką i czterema końmi, ale widząc że książę pan wjeżdża, przez panewkę wyjechał.”

Urodził się nasz słynny humorysta w *Podbirzach*, dziedzicznej majątności Borowskich. Ojciec jego człowiek zamożny, rządny i obrotny, oprócz dziedzicznych, wiele jeszcze dóbr, prawem zastawném posiadał. Dwóch swoich synów ówczesnym zwyczajem kreowania młodzieży na dworach pańskich, umieścił: Leona w Nieświeżu, drugiego zaś u Potockich. Leon prędko stracił brata, i jedynym został spadkobiercą po ojcu, który żył długo. Dowcip wrodzony, dworszczyzna i umiejętność dania sobie rady, wkrótce go zaleciły na dworze ksiązęcym, a *Panie kochanku* rozkochał się w Borowskim. Jednakże wkrótce gdy ojciec rozpoczął proces z księciem wojewodą, pan Leon dwór opuścił, i czas niemały wojna prawnicza Borowskich z Radziwiłłami trwała; syn trzymał stronę ojca, ale co łatwo było przewidzieć, wszędzie przegrywali Borowscy, i doszło do tego, że *panie kochanku* rozgniewany w skutek uzyskanych dekretów, najeżdżał, tradował, i zabierał całą własność Borowskich. Żadnego nie było środka wyratowania się od ostatecznej zguby. Wówczas pan Leon, znając słabość księcia, pojechał do Nieświeża, i ubrany w wytarty a bardzo chudopacholski żupanik, chodził po ulicach, po których wiedział że spotka przejeżdżającego wojewodę. Tak się i stało, dosyć było ażeby książę go zobaczył, natychmiast go przywołał do siebie i o przyczynę ubóstwa zapytał.

Borowski odpowiedział, że niełaska pańska jest tego powodem. Bezwłocznie proces cały został umorzony, Borowski sownie wynagrodzony, wrócił do dawniej poufaleści księcia, a gdy *panie kochanku* zapytał go, jaką on z tej całej kłótni miał korzyść:

— Mości książę — odpowiedział pan Leon — przekonałem się teraz, że tylko dwóch kpów jest na świecie: Radziwiłł że się pokłócił z Rossyą, a ja że pokłóciłem się z Radziwiłłem.

Po śmierci swego dobroczyńcy i przyjaciela osiadł w *Ostrowiu*, gdzie miał dworzec drewniany, ale obszerny i wspaniały: tu prowadził życie po pańsku, miał dom otwarty i gościnny. Wierna kopja *pana kochanku*; ubierał się po polsku i przywykły do życia hulackiego na wielkim dworze, sam wesoły i żartobliwy, stawał dzielnie do kielicha, trzymał nadworną kapełę, którą dyrygował muzyk Kownacki. Jeździł zawsze karetą zaprzężoną pięciu ogierami; dzień imienin żony Maryi obchodził huczno i uroczyście, a Kownacki układał siuprzyzy i kantaty. Kiedy hr. Tyszkiewicz w roku 1811 nabył Birzę, i spłacił wszystkich zastawników, Leon Borowski osiadł w majątku *Ogieniskach*, należącym do tego księstwa, przy końcu życia szumnego zaniewidział podobnie jak i książę *panie kochanku*. Umarł już po roku 1812, pochowany w Kwetkach.

Ostatni rozdział swęj obszernęj monografii, poświęca autor na opis ziemi, jęj rodzajności, płodów natury i gospodarstwa miejscowego. Naostatku przystępuje do zbiorów naukowych ordynacyi zachowanych w pałacu rezydencyjnym w Ostrowiu. Tu do dawnęj weszła biblioteka zakupiona od hr. Michała Borcha. W oddziale polskim zbiór kronikarzy i historyków jest bardzo bogaty. Do rzadkości bibliograficznych należą dzieła drukowane w Supraślu, Poczajowie, Choczimie, Brzegu, Nancy, Sandomierzu i inne. Prawdziwą ozdobą są druki słowiańskie, jako też *inkunabuły* łacińskie z XV wieku. W zbiorze rękopismów odznaczają się: Starosłowiański *Latopisiec* z epoki *Samozwańców*, gdzie do dziejów naszego kraju mnóstwo nieocenionych szczegółów. Pomędzy rękopismami polskimi, na szczególną zasługuje uwagę metryka korespondencyi Jędrzeja Opalińskiego, marszałka wielkiego koronnego z r. 1582, to jest bytność króla Stefana w Rydze i załatwienia spraw Infantyskich. Instrukcyje dane postom wysyłanym zamtąd do Szwecyi, cesarza, i ich sprawozdania; list do króla Katarzyny Jagiellonki a mianowicie siedem listów jakiegoś *przyjaciela*. sekretarza Jana Zamojskiego, co nieodstępny był przy osobie hetmańskiej i króla Batorego, i o najdrobniejszych szczegółach donosił, a którego nazwisko chciał ukryć marszałek koronny, są wielkięj historycznej wartości. Kopie listów *Patkula* i jęgo dyplomatycznych czynności, z tajnego archiwum w Dreźnie, a dotąd nieznanych. Prócz tego na uwagę zasługuje księga przywilejów miasta Witebska i w. d.

Do oddziału rękopismów wcielone zostały papiery po Radziwiłłowskie, niemające żadnej styczności z dobrami Birzańskimi. Autor nasz jako pilny archeolog, zwrócił uwagę na zajmujące znaki wodne w dawnych papierach. Wyśledził, że mieli swoje papier-

nie: Radziwiłłowie, Połubińscy i Sapiehowie. Znany w dziejach rozgłośnego imienia Lew Sapieha, miał także swoją papiernię, i znajdujemy w dziele E. hr. Tyszkiewicza, w drzeworycie wierny przerys znaku wodnego z wyraźnym napisem pod herbową tarczą: „*Leo Bazili Sapieha*”. Założyciel birżańskiej ordynacji Jan hr. Tyszkiewicz był zapalonym myśliwym: ta namiętność niemając dostatecznego pola dla siebie w Europie, zawiodła go w dziewicze lasy Ameryki, gdzie przez lat kilka przebywał w pośród dzikich plemion. Zbiór też etnograficzny przy bibliotece birżańskiej, składa się w znacznej części z ciekawych przedmiotów, jakie z tej wędrowki przywiózł. W zbiorze archeologicznym, oprócz litewskich starożytności, ciągle przez nowe odkrycia wzbogacanych przeważnie zajmują miejsce przedmioty odgrzebane w Pompei i Herkulanum przez dzisiejszego ordynata. Zaslugują również na uwagę: gabinet fizyczny, oraz zbiór rzeźb marmurowych i obrazów, zdobiących w części sale biblioteki, w części pokoje mieszkalne.

Od roku 1862 mieszka w Ostrowiu, w charakterze pełnomocnika ordynata hr. Michała Tyszkiewicza, znakomity rysownik *Artur Bartels*, którego szkice w trzech poszytach z humorystycznem opisaniem wydał J. K. Wilczyński w Paryżu. Upowszechnione i sprawiedliwie ocenione dowcipne śpiewki, jak i utwory ołówkowe Bartelsa, dały mu słuszny rozgłos. Tak dwaj humoryści przywiązali do obecnej rezydencji ordynata birżańskiego swoje imiona, towarzysz nieodstępny księcia *panie kochanku* Leon Borowski, i z naszego okresu, Artur Bartels.

Podaliśmy w streszczeniu owoc nowej pracy czcigodnego autora, która, pomiędzy monografjami miejscowości jedno z pierwszych zająć winna miejsce.

Pod względem typograficznym, wydanie jest szczególnie starannem, druk bujny, papier piękny, odbicie kilkunastu drzeworytów, które tekst objaśniają troskliwie wykonane: słowem dzieło to dobrze przypomina dawną i zasłużoną formę A. H. Kirkora.

K. Wł. Wójcicki.

Wiktoryja Regina. Ze wspomnień narzeczonej przez Jana Zacharyasiewicza. Warszawa. 1869.

Twórczość człowieka nie może znajdować się ciągle na jednokowym stopniu dzielności i siły. Umysł jego zapala się i gaśnie, podnosi się i upada w miarę wielostronnych wpływów, których wyjaśnienie należy głównie do psychologii, t. j. nauki o prawach rządzących duchowym bytem człowieka. Dla sprawozdawcy literackiego wystarcza samo już tylko skonstatowanie faktu. Jeden i ten sam człowiek, tworzyć może dzieła tak odległe od siebie

natchnieniem i wykonaniem, tak różne gatunkową wartością swoją, iż nieraz wątpić przychodzi o wspólności ich pochodzenia. Ta odległość, te różnice t \acute{e} m b \acute{e} dą wi \acute{e} ksze, im cz $\acute{ł$ owiek wi \acute{e} c \acute{e} j i cz \acute{e} ści \acute{e} j tworzy. Przyczyna tego bardzo jasna. Duch ludzki nie mo \acute{z} e jak B \acute{o} g wyprowadza \acute{c} z niczego i musi si \acute{e} do tworzenia dzie \acute{l} swoich przygotowywa \acute{c} , na to za \acute{s} potrzebuje czasu, nieraz d $\acute{l$ ugiego czasu. Od dok $\acute{l$ adności przygotowania si \acute{e} zale \acute{z} y i dok $\acute{l$ adno \acute{s} ć dzie $\acute{l$ a. Nie-wielu wszak \acute{z} e umy $\acute{s$ łom dana jest nale \acute{z} yta cierpliwo \acute{s} ć i wytrwanie niezb \acute{e} dne do wyprowadzenia z siebie prawd i idea \acute{l} ów, czyli do wła $\acute{s$ ciwego tworzenia. Paradoksaln \acute{e} m bezw \acute{a} tpienia jest zdanie Getego, \acute{z} e cierpliwo \acute{s} ć to genjusz, ale o t \acute{e} m w \acute{a} tpić si \acute{e} nie godzi, iż przy cierpliwo \acute{s} ci wi \acute{e} c \acute{e} j i lepiej tworzy \acute{c} mo \acute{z} na, ni \acute{z} bez ni \acute{e} j.

Umy $\acute{s$ ł ludzki ma za \acute{t} em chwile swego podnoszenia si \acute{e} i upadku; w ka \acute{z} dym znowu z tych moment \acute{o} w tw \acute{o} rczo \acute{s} ć jego znajdowa \acute{c} si \acute{e} , mo \acute{z} e w gorszych lub lepszych dla siebie warunkach etycznych: nic wi \acute{e} c dziwnego, je \acute{z} li pod w \acute{p} ływem tych okoliczno \acute{s} ci powstawa \acute{c} b \acute{e} dą dzie $\acute{l$ a niejednakow \acute{e} j warto \acute{s} ci, t. j. *lepsze i gorsze* jak je zwykle w mowie potocznej nazywamy. Łatwo jednak przyj \acute{s} ć mo \acute{z} na do przekonania, \acute{z} e te *gorsze dzie $\acute{l$ a* wła $\acute{s$ ciwie dzie $\acute{l$ ami nie s \acute{a} , a tylko resztkami dzie \acute{l} dawnych lub próbkami nowych. Ot \acute{o} ż prawdziwy talent nawet w tych ni $\acute{z$ szych utworach swoich, da si \acute{e} łatwo rozezna \acute{c} , prawdziwy t \acute{e} ż talent przebywszy chwile swego przy \acute{c} mie-
nia, powstaje w nowym blasku i z podwojon \acute{a} si $\acute{l$ ą rzuca si \acute{e} do tworz \acute{e} nia dzie \acute{l} nowych. \acute{O} w upadek, z kt \acute{o} rego ma powsta \acute{c} , b \acute{e} dzie dla \acute{n} tylko wypoczynkiem, zebraniem wra \acute{z} e \acute{n} uczu \acute{c} i przekona \acute{n} , da mu sposobno \acute{s} ć zjednoczenia si \acute{e} w sobie, wzbogaci jego samopoznanie, a przez to samo ju \acute{z} i tw \acute{o} rczo \acute{s} ć jego na wy $\acute{z$ szym postawi stopniu. Dzie $\acute{l$ o jakie wtedy wyjdzie z pod pi \acute{o} ra, d $\acute{l$ uta lub p \acute{e} dzla b \acute{e} dzie *wy $\acute{z$ szem* nietylko wzgl \acute{e} dnie do innych dzie \acute{l} tego \acute{s} samego cz $\acute{ł$ owieka, ale i *bezwzgl \acute{e} dnie* w stosunku do wszystkich utwor \acute{o} w danego rodzaju, czasu, narodu.

Te uwagi zbyteczne mo \acute{z} e dla czytelnika, wszak \acute{z} e do procesu krytycznego nale $\acute{z$ ące, nasun \acute{e} ło nam por \acute{o} wnanie dw \acute{o} ch powie \acute{s} ci pana Jana Zacharyasiewicza: dawniejsz \acute{e} j *Zakazane owoce* i \acute{s} wie $\acute{z$ o wydan \acute{e} j *Wiktorya Regina*. W obu tych powie $\acute{s$ ciach widzimy za-
r $\acute{o$ wno talent analityczny; ale podczas gdy w pierwszej b $\acute{l$ ąka si \acute{e} on bez celu, w drugiej zwr \acute{o} cił si \acute{e} na kwesty \acute{e} spo $\acute{l$ eczno-oby-
czajow \acute{a} i da \acute{n} nam rozwi \acute{a} zanie j \acute{e} y zgodne zupe $\acute{l$ nie z prawd \acute{a} i dobrem.

Podj \acute{e} cie takiego zadania odpowiada w zupe $\acute{l$ no \acute{s} ci naturze talentu p. Zacharyasiewicza. Wszelka dyssekcyja bowiem powinna mie \acute{c} cel rozumny zmierzaj \acute{a} cy do harmonii ca $\acute{l$ o \acute{s} ci. Rozum nie dla cz \acute{e} go innego rozci \acute{a} a to co jest tylko, i \acute{z} by nast \acute{e} pnie u \acute{l} o \acute{z} y \acute{c} w idea $\acute{l$ ow \acute{a} ca $\acute{l$ o \acute{s} ć to, co by \acute{c} powinno. Musi on wyst \acute{e} powa \acute{c} w imie pewnych przekona \acute{n} , broni \acute{c} pewnej idei, wskazywa \acute{c} potrzeb \acute{e} zmiany w stosunkach kt \acute{o} re wybiera: inaczej, sam sobie przecz \acute{y} ć b \acute{e} dzie. Analiza nie o \acute{z} ywiona t \acute{a} my $\acute{s$ l \acute{a} , analiza bez celu i charakteru niema racji bytu, prowadz \acute{a} cy j \acute{a} za \acute{s} mimo najwi \acute{e} kszego talentu, w ko $\acute{n$ cu

stać się musi podobnym do dziecka, które dostawszy nóż w rękę, zaczyna od niewinnego wystrugiwania sobie zabawek, a kończy niszczeniem rzeczy potrzebnych i użytecznych.

Przystępujemy teraz do rozbioru powieści. Kwestya rozwiązana przez p. Zach. jest następująca: „Czy kobieta wyższa może podnieść do wysokości swojej męczyznę, który ją kocha, a duchem niższy jest od niej, i w której mianowicie epoce życia największą pod tym względem posiada władzę?” Na pierwsze założenie tój kwestyi p. Zach. odpowiada twierdząco, w rozwiązaniu drugiego ukazuje epokę przedślubną, kiedy kobieta działać ma jako narzeczona...

Tą narzeczoną w powieści p. Zach. jest Wiktoria Regina. Znajduje się ona już w wieku, w którym zwyczajne kobiety przestają wyglądać królewiczów w złoconych karocach, poprzestają na ziemskim chlebie żywota, a wychodząc za mąż więcej kochają nową formę życia, stan swój nowy, niż osobę, która je do tego stanu ma wprowadzić. Ale Wiktoria jest kobietą nadzwyczajną. Podobne marzenia, jak wyżej wskazane, nigdy nie powstały w jój wyobraźni. Postać to raczej do poematu niż do powieści. Żyje w sferze pojęć ogólnych i dla siebie samj niewiele, a nawet ściśle biorąc niczego nie pragnie. Jest niewymownie czystą i wzniosłą i taką już od pierwszych chwil młodości swj być musiała. Znać, że lata nic z duszy jój nie ujęły, owszem każdy rok przeżyty dodawał bezwątowania jakiś klejnot do skarbów duchowych tój niepospolitej istoty. Wychowanie jój musiało być bardzo światłym, moralnym i bogobojnym, ale zarazem dziwnie jakoś chłodnym. Wskazówkę tego mamy w nienaturalnym otoczeniu jój książkami. Matka umiarkująco zostawiła jój bibliotekę, którą ojciec nieustannie nowemi książkami pomnażał; bohaterka nasza dnia całe przepędza w bibliotece, w pośród książek; wyraża się o nich jak o najlepszych swych przyjaciółkach: tam też poraz pierwszy się nam ukazuje. Wszędzie książki i książki, litery i litery! Nie uważamy takiej przyjaźni, takiego otoczenia za właściwe dla kobiety. Zdaniem naszym żywe słowo matki, tém żywsze, iż stanowiłoby świętą pamiątkę po umarłym, ciągnęła pieczołowitość ojca, gdyby ten więcej myślał i działał, z większą prawdą dla świata, a szczęściem dla samj Wiktorii, poprowadziłyby ją po drodze życia niż martwe litery, które bądź co bądź więcej zawsze kształcą i kształcić będą umysł, niż serce. O dawna już a dobrze powiedziano, że sercu serca potrzeba. Na dnie tóż duszy Reginy dostrzegamy nieujęty jakiś chłód, który czyni ją jak gdyby obcą na ziemi i niezdolną do szczęścia ziemskiego, co nawet trafnie zauważyła jój stryjenka. Sam autor to przyznaje, gdy bohaterce swj każe wiele wiedzieć i umieć, a jednocześnie czyni ją nieprzystępną na miłość; uczucia bowiem jaśniejące w duszy Reginy nie stanowią istotnej miłości. Na pierwszy rzut oka poznasz, że to *duch* kocha, nie *kobieta*. Nikt nam tego za złe nie weźmie jeśli powiemy, że Regina jest zbyt jasną i czystą. Za mało w niej widzimy pierwiastku osobistego, za mało natury ludzkiej, żadnej

namiętności. Jestto istota powstała z myśli, ale nie żywa, pośród nas żyjąca. Taką kobietę jak ona, z trudnością przysłoby nam znaleźć na świecie. Szczęście jój nie może być szczęściem aniołów, bo na to nie pozwala rozum; nie może być szczęściem ziemskim, ludzkim, bo po temu brak żywego indywidualnego uczucia: Regina wzniosłszy się po nad ludzi, kochać w nich może tylko idee, ale nie ich samych. Cóż jój więc zostaje? Oto *szczęście sztuczne*, jak je sama w pamiętniku swoim mianuje: do niego więc postanowiła dążyć. Ale *szczęście sztuczne* nie jestże to sprzeczność, którą w logice *contradictio in adjecto* nazywamy? Szczęście samo przychodzi do nas i samo nas opuszcza. Sprowadzić je ani zatrzymać niepodobna. Kto tylko umyślił sobie z góry zostać szczęśliwym, ten już szczęście utracił i nie odzyska go nigdy, choćby nawet całą swą duszę oddał na pastwę losu. Czemże mogło być to szczęście sztuczne w istocie tak głęboko moralnej a tak poważnie rozumnej jak Regina? Niczem więc jak tylko uczuciem zadowolenia ze stosunku w którym zejść się miały dwa rozumy, dwie dusze dążące do jednej idei, ale w ostatecznej treści dążeń swoich, obce sobie, nie kochające się wcale, niczego dla siebie samych nie pragnące. Takie poprzestawanie na niczem, zniża się z prawdą życia, najwyższym, kulminacyjnym punktem do jakiego powieść dążyć powinna. Żyć tak, aby niczego nie chcieć dla siebie nawet w marzeniach szczęścia, nie jest to żyć, a konać. Podobnie żyją tylko organizmy schodzące ze świata; w organizmach zdrowych, duch ogólny łączy się cudownie w jedną całość z duchem szczególnym, indywidualnym. Uchwycenie atoli i przedstawienie tego połączenia jest niesłychanie trudne zarówno dla psychologa, jak i dla powieściopisarza.

Wracamy do Reginy. W dążeniu swoim do owego sztucznego szczęścia spotyka ona najpierw człowieka, którego mimo krótkiej znajomości, według przyjętego przez siebie podziału ludzi na *wyższych i niższych*, śmiało do pierwszej z tych kategorii zaliczyć mogła. Czy chciała być szczęśliwą z Andrzejem—nie. W pamiętniku dostrzedz tylko można ślad jakiegoś przeczucia, jakieś działanie ukrytych sił świata, ale nic więcej. Postępowała jednak coraz bardziej w latach, trzeba było wyjść za mąż. Autor sprowadza tu na scenę Cezaryusza człowieka zamożnego, żyjącego w wyższem towarzystwie bez wykształcenia, człowieka pełnego zatem wad, uprzedzeń, przesądów, nawyknień i pojęć dziwacznych: w gruncie rzeczy jednak niezepsutego, skłonnego do poprawy jakiej potrzebował, powolnego na dobre i wcale niepowszedniego umysłu. Nie wiemy co trzymać o charakterze jego, gdyż widzimy go innym do chwili stanowczego działania, a innym znowu później. Autor blado go zarysował, lecz prawa logiczne nie pozwalają nam wyobrazić go sobie człowiekiem słabym, bez charakteru. Inaczej zdaje się rzecz tę pojmował autor, jak nad tem później jeszcze zastanowić się będziemy mieli sposobność.

Na podstawie danych powyższych możemy powiedzieć o Cezaryuszu że był to niezły materiał na człowieka. Przysypała go

warstwa pyłu naleciałego z *życia bez celu*, jakie powiększej części prowadzą ludzie do stanu jego należący; ale pod nią spoczywał człowiek surowy, który przy dobrej woli mógł się należycie wykształcić.

Zbliżenie się do siebie dwóch podobnych istot jak Cezaryusz i Regina, musiało w pierwszym obudzić uczucie przywiązania, w drugiej wywołać postanowienie uzacnienia tak kochającego ją człowieka. Przez uczucie swoje miał Cezaryusz zostać mężem Reginy, a przez wolę jej, znów miał się podnieść i uzacnić. Nie będziemy tu rozbierali licznych i trafnych środków działania na poprawę Cezaryusza. Autor w doborze ich celuje: najpiękniejszy to a najdzielniejszy arsenał potęgi kobiecój. Koniec końców skutek odpowiedział wszelkim oczekiwaniom: Cezaryusz „powrócił od czczych foremek światowych do prostych a zacnych uczuć, od *polysnego*, fałszywego dowcipu do myśli poważnych i pożytecznych.” Regina poznała Cezara człowiekiem maluczkiem, poziomym, teraz kiedy podczas kilkomiesięcznej nieobecności listy jego czyta, słyszy opowiadanie jego czynów, widzi go *mężem* i nie może już być dla niego obojętną! Ta cudowna przemiana jej była dziełem. Słusznie też nazwał ją autor Wiktoria, Regina, zwyciężyła bowiem co było złem w człowieku i zapanowała nad nim.

Mógł się już na tém autor zatrzymać, ale chciał nam widać jeszcze uzupełnić obraz doskonałości kobiecój i wystawić na próbę dzielność *nowego człowieka*. Inaczéj nawet utwór jego nie byłby wcale powieścią a tylko studjum, lub rozprawą w formie pamiętnika podaną.

Po raz pierwszy spotykamy tu kobietę wielkiego hartu duszy, kochaną dawniej przez Cezaryusza a porzuconą z powodu przesądów towarzyskich, krzyków na dyshonor, i całego tego alarmu, jaki zwykł powstawać ilekroć kobieta niższa urodzeniem i majątkiem ma zostać żoną człowieka wyżéj pod obydwo ma temi względami od niej postawionego. Imię jej Kornelia. Gadatliwość stryjenki odkryła Reginie właściwy jej stosunek do Cezaryusza. Bohaterka nasza znała ją dotychczas tylko jako kobietę utrzymującą się z pracy rąk w mieście, w którem przygotowywano dla niej wyprawę ślubną; znała ją piękną, rozumną, nieszczęśliwą, a zawsze smutną i dumną, Tajemnicza jej postać odrazu zaintrygowała naszą bohaterkę; postanowiła więc poznać istotną przyczynę nieszczęścia Kornelii i do celu tego użyła niejakięgo Sławosza, miejskie żyjątko brukowe.

Przez niego dowiedziała się o przeszłości Kornelii, o porzuceniu jej przez niewiernego, późniejszych nieszczęściach; imię tylko głównego sprawcy zostawało przed nią w ukryciu. Teraz stryjenka imię to głośno wymieniła. Nie było już żadnej wątpliwości. Cóż postanawia nasza bohaterka? oto wyrzec się *swaego szczęścia*, ale nie inaczéj jak za cenę pogardy i odrzucenia. Widać w tém naturalną dumę kobiecą, stawającą w obronie całego rodu. Ta myśl najpierwéj powstaje i waży się w niej na widok powracającego Cezaryusza. Lecz na tém zaczepném stanowisku krótko się trzy-

mała, niezadługo opuściła nawet odporne i na powitanie kochanka odpowiedziała długiemi serdecznemi uściśnieniami dłoni. Regina kochała go! Regina mówi przynajmniej że go kochała... Bezwątpienia. To uczaczenie się jakiego dostąpił Cezaryusz, nie mogło pozostać bez wpływu na jej duszę, zjednało jej rolę narzeczonego, i zespoliło z nim; ale dalecy jesteśmy od uwierzenia w rzeczywistą miłość. Jak pierwotnie owa duma, tak teraz przywiązanie do Cezaryusza nakazujące sercu *posiadać to, coby ukochało*, było tylko przemijającym stanem jej duszy. Wiktorya Regina nie przestała być duchem, myślą wcielona tylko, a nie istotą żywą, posiadającą własną inicjatywę, własną swą zasadę wewnętrznego ruchu uczuć i myśli.

W samotnem, po mistrzowsku wypowiedzianem rozmyślanii, *duch zwycięża kobietę*: Regina wyrzeka się już stanowczo szczęścia i pragnie je-zapewnić swęj współzawodniczcce. Zaiste, więcej szlachetności i poświęcenia wymagać trudno. Myśl to pełna dramatyczności, a taki zaszczyt naturze ludzkiej przynosząca, że umysł czytającego nie łatwo da się od niej oderwać. A prztem wyrzeczenie się Cezaryusza odpowiada rzeczywistym stosunkom życia. Jeśli bowiem dobrze zastanowimy się, to kochanym dla Reginy był Cezaryusz nawrócony, było własne jej dzieło, przeznaczone dla powszechności, o którego zatem wyłączne posiadanie mniej chodzić jej mogło. Wreszcie i tego z uwagi spuszczać nienależy, że kobieta tém łatwiej rozstaje się z myślą połączenia losów swoich z losami mężczyzny przeznaczonego jej na męża, im wyższą jest od niego energią, rozumem, duchem. Ze stanowiska znowu moralnego, inaczej być nie mogło. Regina musiała się wyrzec Cezaryusza, to jasne. W żałości kryształnej swęj duszy, mogła nawet pragnąć szczęścia dla Kornelii, ale nie mogłaby nigdy sama do niego ręki przyłożyć, gdyby tylko uczucie jej dla Cezaryusza było istotną miłością, nie zaś tém szczególnem usposobieniem serca, jakie się w nas wyrabia w skutek długotrwałego przyzwyczajenia. Inaczej Regina byłaby obłudnicą. W ten sposób tylko wytłumaczyć sobie możemy scenę, w której bohaterka nasza pierścionek swój wkłada na palec Kornelii.

Ten akt poniżenia lub obłudy dla zwyczajnej kobiety, dla Wiktoryi był tylko czynem moralnym, spełnieniem wzniośle pojętego obowiązku, zmierzającym do duchowego porządku rzeczy. Wszystko to stawia postać jej bardzo wysoko, wielką opromienia jasnością i żałujemy mocno, że autor już po przebyciu przez nią najstraszniejszego zawsze dla serca kobiety, Rubikonu, przedstawia ją upadłą na duchu, każe jej jeszcze próbować szczęścia, śledzić Cezaryusza, ważyć szanse swoje i Kornelii. Byłoby to dobre na kobietę zwyczajną, ale nie przystoi takiej wielkości moralnej jak Regina: odbiera jej tę nakazującą powagę w jaką autor bohaterkę swą przyodziął, a co gorsza rzuca cień na ową scenę z pierścionkiem, wystawiając ją jakoby tylko półsercem dokonaną. Można było i należało tego uniknąć, tem bardziej, że *niemoo ducha*

w Reginie żadnymi czynami na zewnątrz nie objawia się, na rozwinięcie zatem powieści żadnego wpływu niema i miećby go nie mogła bez zupełnego zeszpecenia idealnego obrazu niepospolitej naszej kobiety.

Jak łatwo było domyślić się, Cezaryusz odnowił dawne śluby i natychmiast ożenił się z Kornelią. Czy byłby tak postąpił człowiek z charakterem, człowiek podniesiony, a więc w gruncie duszy swej moralny? Czy mógłby kochać Reginę, a kochał ją niewątpliwie, niezapomniawszy wprzód Kornelii? Czy prawdziwie znowu kochając Reginę, mógł ją tak prędko porzucić i przypomnieć sobie zapomnianą Kornelię?

Nie—nie—nie. Wzdryga się na to natura mężka. Cezaryusz zamiast jak student wystawiać się na pośmiewisko w swych wycieczkach do miasta, powinien był zejść ze sceny i na szerokim świecie szukać zapomnienia boleści, a tyle zapomnieć potrzebował! Dusza bowiem mężka, nigdy większej boleści doświadczyć nie może, jak wtedy, kiedy się rozstaje ze szczęściem dla zadość uczynienia moralnemu obowiązku względem drugich i samę siebie. Przez taką boleść powinien był przejść Cezaryusz. Gdyby nie był narzeczonym, gdyby nie kochał Reginy, nikt niepotrzebowałby schodzić ze sceny; wszyscy mogliby przyłożyć rękę do dzieła, w któremby każdy ze swego stanowiska zainteresowanym być musiał. Autor miał tu na myśli powrót Cezaryusza na drogę obowiązku: cóż kiedy nie inaczej je dopuścił, jak tylko przez grzech. A jednak była inna droga, prostsza, jaśniejsza. Można było powrót ten przedstawić jako samodzielny czyn Cezaryusza. Ileżby ztąd blasku i mocy dla niego i dla Reginy urosło! Jakaż sposobność sprowadzenia Reginy w nieznaną jej dotychczas wcale krainę uczuć, wrażeń i boleści ludzkich! Byłoby to pierwsze jej wejście na świat, Regina uczułaby wyższość Cezaryusza i musiałaby go już rzetelnie pokochać. Kiedy przy takim rozwiązaniu jakie autor przyjął, nie wiemy czy mogła patrzeć na niego bez odrazy.

Wpadamy na domysł, że p. Zach. chciał nam tylko przedstawić człowieka powszedniego, choć go niepowszednim wcale obdarzył umysłem, i takiego człowieka zamierzył poprawić przez miłość. Gdyby tak być miało, to w tym właśnie leżałby błąd cały. Człowiek powszedni bez charakteru, nie poprawi się w 30 roku życia, chociażby doń zstąpili święci i aniołowie. Wszelkie wpływy zewnętrzne muszą mieć dla siebie wewnętrzne warunki. Tak samo i w duszy Cezaryusza, spoczywać musiał utajony klejnot godności ludzkiej: temu to klejnotowi ostatecznie zawdzięczył Cezaryusz swą poprawę. Na cóż więc było odbierać podniesionemu to, co miał już upadły?

Regina nie mogła szczerze oddać swęj ręki nikomu innemu tylko człowiekowi *wyższemu*. Przeczucie też niezawiodło jej. Po 4 latach zjawił się znowu pan Andrzej, poprosił o rękę, został przyjęty, i uszczęśliwiony posiadaniem istotnego skarbu jakim była Regina.

Powieść cała pisana jest z dowcipem; styl jej obrazowy, z rzadka *nawet* poetyczny. Wszędzie jaśniej badawcza zdolność, myśli: wszędzie znać pióro zstępujące do przyczyny niepoprzestające na samych tylko faktach. P. Zach. umie dobrze czytać w sercu ludzkim, a lepiej zna serce kobiece niż mężkie. Wewnętrzny dramat odgrywający się w duszy Reginy, przed owemi trzema dniami zostawionemi szczęściu na skonanie, we wszystkich scenach swoich odtworzony jest z taką prawdą i siłą, że oddawna już nie zdarzyło się nam czytać nic wspanialszego, w zakresie powieści obyczajowej.

Co do języka zarzucilibyśmy autorowi używanie wyrazów niewłaściwych, nieposiadających wyrobionej formy, np. wyraz *połysny*. We względzie grammatyki zauważyliśmy użycie kilkakrotne przyimka *za* w miejsce *io* lub *po*, nadto zwroty językowi naszemu wstrętne a z francuzkiego wzięte (1).

S. K.

(1) Wiktoryja Regina jest mrzonką wysnutą z wyobraźni autora, przywołana na jaw ze sennych marzeń młodzieńczej duszy, ale nie jest postacią żywą, wiernie zdjętą ze wzorów prawdziwych. Poetyczne zmyślenie odziało tę postać w niepowszednie szaty, lecz mglista osłona uludy rozwiewa się niebawem pod wzrokiem, co trzeźwiej patrzeć umie w istotę stosunków społecznych, w tajniki usposobienia ludzkiego. Miłe urojenie, pozbawione podstaw rzeczywistości. Tak się czytać zdarza, i w ustnej rozmowie podobne słyszeć się dają zarzuty. Wiernym ich odgłosem staje się powyższe sprawozdanie i uwagi wyluszczone nad osnową powieści. Oslaniając w następnych kilku słowach zasadniczą myśl autora powieści, nie bronimy wad i uchybień, od jakich „Wiktoryja Regina” wolną nie jest pod względem estetycznym lub... językowym.

Podnosimy stronę psychologiczną.

Regina—takie jest dość powszechne zdanie, nie posiada warunków rzeczywistości, jej postać wznosi się na kruchej podstawie prawdopodobieństwa.

Czy dlatego, że Regina umie badać najłżejsze poruszenia swojego uczucia, potrafi nad nim panować, kiedy miłości tohuienie zaczyna rozkosznie kołysać dziewczęciem uczuciem i że je umie nieść w ofierze zaoniejszym zasadom, obowiązkom surowiej pojętym?

Więc zaparcie się, wyrzeczenie się serdecznych pragnień w obco wyższych wymagań, miałyby być rzeczą nadzwyczajną, niezwykłą w dwudziestokilkuletniej kobiecie?

Więcby płonna być miała praca w ogóle, tych co szczepią na młódem drzewie szlachetniejszą latorośl?

Więc najstaranniej uprawiana rola zawszeby dzikie miała przynosić owoce?

Do tych wniosków, w tak ostrych nakreślonych kształtach, prowadzą najniewątpliwiej różnorodne zarzuty, dotyczące Reginy.

Ustępstwa spotykamy z jednej strony, można powiadają, z złem i dobrem pomieszana rudę, przetapiać na szczere złoto moralne. Jest

możliwość, są po temu warunki spoczywające w istocie człowieka, ale praca trudna i mozolna, rzadko wieńczona powodzeniem.

Może więc znaleźć się Regina, co wypuszcza z rąk wypieszczone szczęście, żeby gonić za innem wyższem i trwalszém.

Ale na drugie ustępstwo dłużej nam czekać wypadnie. Takie postacie są wyjątkowe, rzadko kiedy z bytem rzeczywistym zespolone, na-wpół należą do światów, wśród których krążą odeologów głowy.

To nie jest odeologia.

Regina pojmuje pielgrzymkę małżeńską po ścieżce życia, jako trudy podjęte na *wspólnych* drogach duchowych. Nie więdnące wdzięki nadobne, ani kruche dobra materyalne mają być podstawą związku, ale jednakowość myśli, tożsamość dążności.

Krzywda moralna, która się stała Halinie, ma być przedewszystkiém zgładzoną.

Więc wskazuje Cezaryuszowi drogę. I powinien zadośćuczynić zasadzie społecznej, którą obraził odtrącając związek z Haliną. Bo igraszka z uczuciem i kłamstwem, nadwerężają porządek społeczny.

Czy związek Cezaryusza z Haliną mógł posiadać warunki szczęścia, tak się słyszeć dają powątpiewające głosy?

Zaiste warunki te się nie znalazły, jeżli szczęście składać mają uludna wiosna wdzięków i nietrwałe dóbr materyalnych plony.

Na czem więc wyjątkowość polega w postępowaniu Reginy? Że odtrąca mniemane szczęście, bo obrażonej zasadzie ma się stać zadość. I w tym stanowczym zwrocie ku wyższej dążności, zaiste dla siebie szczęście znajduje.

Ta chwila w życiu człowieka, którą zwykle powieść za tło swojego obrazu bierze, olśniewa nieco wzrok nasz, i jasno, przenikliwie, nie pozwala nam patrzeć w istotę rzeczy. I Regina występuje w téj dobie swojego wewnętrznego życia, kiedy się uwinęte w pączek zawiązki listkowe w kwiat rozwijają, kiedy się tęczową barwą łamie promień, i kiedy pieśń uczucia rozdźwiękiem wzmoconiona gwarnemi płynie głosy. Jestto chwila opromieniona blaskiem, który w innej dobie znika, ale istota zostaje.

Zostaje pobudka, motyw z niej się wylewa jednostajnie; cała pieśń w życiu człowieka w osnowie swój niezmienna, tylko kształtami łamiąca się różnolitemi. Sądźmy człowieka nie według czynów jego, ale według pobudek, motywów.

Zajrzyjmy, według téj wskazówki w głąb innych, w głąb siebie. Czy postać Reginy wyda nam się nadzwyczajnością?

Odrącamy leniwego żebraka, którego widok budzi w nas politowanie i staczamy w sobie walkę uczucia z obowiązkiem. Obrażona zasada społecznej pracy nie pozwala nam czynić zadość potrzebom tkliwego uczucia.

I odrącamy przyjaciela, którego inne są drogi, lubo nas silnie z nim wiązać może przyzwyczajenie.

I ileżto nie opowiedzianych gra w duszy każdego człowieka dramatów; ile się rozwija niewyspiewanych powieści, kiedy myśląc o sobie, myśli i o innych.

„Nie gaście światła.”

(Przyp. Red.).

Kłosa i kwiaty, książka zbiorowa, Kraków 1869.

Każda publikacja podobnego rodzaju nie bierze sobie za cel przeprowadzenia jakiejś naukowej prawdy, nie krępuje się jednością i wytkniętym kierunkiem, ale mimo to ma zawsze ważne zadanie. Obowiązki jej obudzić poczucie dobrego smaku, i gustu, lekkim piórem w belletrystycznej formie wypowiedzieć nieraz ważne myśli, a przede wszystkim zobrazować siły, zdolności, talenta, jakimi włada chwila, w której się taka publikacja pojawia. To też poezya, powieść, literatura, są główną formą, jaka w książce zbiorowej dominuje ponad innemi, i tym samym czyni ją przystępną czytającemu ogółowi.

Książka, o której mówić chcemy, czyni zadość tym wszystkim warunkom, a piękna szata zewnętrzna, druk, papier i ozdobne inicjaly przyczyniają się do podniesienia jej wartości. Wydawca nadając jej tytuł „Kłosa i Kwiaty” nie przesadzał wartości jej wewnętrznej. Wprawdzie kwiatów tam więcej, ale gdzie indziej wybiegają z równianki i kłosa, pochylające się od zawartego w nich ziarna prawdy. Do najbardziej plennych zaliczyć trzeba przede wszystkim ustęp z prelekyi Kraszewskiego o Dante. W ustępie tym zawarty jest tylko życiorys twórcy Boskiej komedyi, ale poprzedzają go pełna bystrości i historycznej prawdy charakterystyka wieków średnich. W życiu Dantego wykazane główne zwroty, umotywowane główne zmiany pojęć jego politycznych i wyjaśnione psychologicznie idealne uczucie ku Beatrycy. Dalsze wyjątki, drukowane obecnie w Tygodniku Ilustrowanym są dopełnieniem tej pełnej wartości pracy. Wzmiankę o poselstwie, odbywanem przez Dantego do Karola Martella (p. 83), po prostu uważamy za błąd niedbałej korekty, i dziwimy się, że Gazeta Polska nadaje jej inne znaczenie. Do równie ważnych, a poważniejszych artykułów należy studjum p. Estrejchera nad Węgierskim. Rehabilitacją tego poety, ponizanego niesłusznie przez historyków literatury, rozpoczął pierwszy L. Siemieński w Bibliotece Warszawskiej; tu p. Estrejcher posuwa ją dalej, i opiera się nie na listach, jak Siemieński, ale na życiu i pismach Węgierskiego. Ścisłość bibliograficzna i historyczna cechują tę pracę znałego już zaszczytnie literata, a główna wdzięczność należy mu się za to, że artykułem swoim wyjaśnił nieznaną dotąd powód opuszczenia przez Węgierskiego kraju. Libelt (Paradoks filozoficzny), Kremer (o wdzięku) i Kaszewski (znaczenie żywienia i zakres moralności) przedstawiają rozmaite działy filozofii, a Gabryella w formie nienaukowej i niesystematycznej, ale w rozmowie pełnej wdzięku, werwy i talentu jej właściwego, zastanawia się nad rozmaitemi kwestyami społecznymi, wynikającymi z charakteru i usposobień ludzi. Pol, Zacharyasiewicz, Przeddziecki, Wojcicki i inni dali także małe próbki, w zakresie odpowiednim ich pracy,

ale najobficiej wystąpiła poezya. Nierzadko dają się słyszeć głosy, że źródła prawdziwej poezyi wyschły u nas znakomicie, że jakkolwiek pisma nasze peryodyczne często bywają zapelniane wierszami, jednak bardzo trudno w nich doszukać się treści, że jakkolwiek wieleby naliczyć można imion poetów, jednak mała bardzo ich liczba godna téj nazwy. Zdania te niestety są słuszne, a książka zbiorowa *Kłosy i Kwiaty* potwierdza ich prawdę. Wydoskonalenie formy, ekscentryczne często pomysły i liryzm, tylekroć już przerabiany i wyzyskiwany, stanowią główne zalety licznego zastępu współczesnych poetów, którzy z utworami swemi pospieszyli na złożenie książki zbiorowej. *Cyganka* Lenartowicza, *Kandyotka* Ilnickiej, *Kość z Maratona* Prusinowskiego, Szujskiego, Bałuckiego, i piękne przekłady z Petofiego i Siemieńskiego z Horacyjusza stanowią wyjątek; reszta nie wychyla się po za miarę, do jakiej wyrasta muza dzisiejsza. I z tego więc względu, chociaż z ujemnym rezultatem czyni książka zbiorowa założenie, bo przedstawia dokładnie siły, w dzisiejszych poetów zastępie, złożone.

A. R.

Szkice Ekonomiczne przez Konstantego Wzdulskiego. Warszawa. 1869 r. (w 12ce str. II, 212).

Jestto przedruk pięciu artykułów zamieszczonych pierwotnie w *Gazecie Rolniczej*. Tytuły artykułów są: „Chrześcianizm i Ekonomia polityczna, Adam Smith, życie i dzieła. O celu ekonomii politycznej. Kilka myśli o ekonomii politycznej stosowanej. Wielka i mała własność ziemska w obec nauki gospodarstwa społecznego.”

Autor w przedmowie wyraża życzenie aby prace jego czytane były przez ludzi młodych, kształcących się jeszcze naukowo i co najważniejsza z zasadami ekonomii politycznej nie obeznanych, zakładając sobie za cel, rozszerzenie zdrowych pojęć ekonomicznych. Styl p. Wzdulskiego jest łatwy i jasny; uwzględnia on stosunki terażniejszości, ztąd książeczkę jego z zajęciem czytać się daje. Lecz autor nie doszedł jeszcze do ustalonych zasad. Obala jedną ręką to, co buduje drugą. Chwali Smitha za wykazanie szkodliwych wpływów ścieśnień i ograniczeń w swobodnym ruchu handlu i przemysłu, a w innym artykule mówi: „że nie ma innego środka dla narodu chcącego podnieść swój przemysł, handel i rolnictwo, tylko obłożenie wysokiem cłem zagranicznych wyrobów i płodów” uczy teoryi, ale sam przestrzega żeby jęj nie stosować. Do czegoż w takim razie teorya?

Zasady ekonomii politycznej nie przeszły jeszcze u p. Wzdulskiego w krew *in succum et sanguinem*; ztąd do rozszerzenia zdrowych pojęć ekonomicznych dziełko jego nie wiele się przyczyni.

Caro, Dr. Jacob. *Geschichte Polens 3-er Theil. 1386—1430 w Gotha. 1869. (str. 658).*

Nie po raz pierwszy professor historyi w Jena, p. J. Caro występuje na polu badania dziejów naszych. Zawód swój naukowy rozpoczął pracą mającą na celu wyjaśnienie stosunków jakie zachodziły podczas bezkrólestwa po śmierci Stefana Batorego w roku 1587 (*das Interregnum Polens in J. 1587 und die Partei-Kämpfe d. Häuser Zborowski und Zamojski nach den Quellen. Gotha 1861*). We dwa lata potem, 1863 r. wydał w Hamburgu Dzieje Polski od Władysława Łokietka do Jagiełły, mające służyć jako dalszy ciąg wydrukowanej tamże w 1840 Historyi Polskiej profesora wrocławskiego p. R. Roepella. Obszerny rozbiór tych dwu tomów pióra p. F. Z. zamieściła Biblioteka Warszawska z r. 1867.

Obecnie wydany tom trzeci zawiera w sobie dzieje od chwili wstąpienia na tron Władysława Jagiełły, aż do śmierci Witolda, opowiedziane podług źródeł rękopiśmiennych, powiększając części dotychczas przez nikogo nie użytych, a z których autor miał sposobność korzystać podczas swego pobytu w Petersburgu.

Ze źródeł rękopiśmiennych powołuje się głównie na:

- 1) Osiem tomów tak zwanych: *Tek Naruszewicza*.
- 2) Na *Acta Lithuanica*.
- 3) Na kilka, pomiędzy Polską i Zakonem Niemieckim wymienionych not urzędowych, jako to: *Compositio Prusiae* i t. d. mogących służyć do dopełnienia wydanych przez Działyńskiego *Lites et res gestae inter Polonos et Cruciferos*. Noty te dozwoliły po raz pierwszy wedle zdania autora, skreślić dokładnie bieg sprawy polsko-pruskiej, wytoczonej przed koncylium w Konstancji.
- 4) Na znajdujące się w Tajnym Archiwum w Berlinie dyplomata Województwa Krakowskiego.
- 5) Na znajdującą się w Królewieckiej Bibliotece, rękopiśmienną księgę p. n. *Liber Cancellariae* Stanisława Ciołka (jest to kopia papierów z królewskiej kancelaryi Władysława Jagiełły z czasów husyckich od r. 1420—1429) zawierającej między innymi wiele ciekawych listów cesarza Zygmunta i papieża Marcina Ś-go.

Oprócz tego powiada autor, że pierwszy korzystał z wielu źródeł świeżo wydanych. Tak np. dzieje bitwy Grunwaldzkiej opowiedział na podstawie podanych wiadomości w *Cronica conflictus etc.* zamieszczonej w 3-cim tomie *Scriptores rerum Prussicarum*.

Ocenienie tego, o ile rzeczywiście źródła te rozjaśniają zamierzoną przeszłość, jak autor z nich korzystał, i czy ma odpowiednie siły i warunki zostania prawdziwym historykiem, nie należy do tej krótkiej wzmianki bibliograficznej.

(Lit. Centr. 1869. Nr. 32).

Schleisische Fürstenbilder des Mittelalters Herausgegeben von Dr. Herm. Luchs. Zeszyt 1—8. Wroclaw 1868 r. (u Trewendta).

Pod powyższym tytułem p. Luchs zaczął wydawać wizerunki książąt szląskich, pomiędzy których zalicza i biskupów wrocławskich jako książąt Nissy (Neuss), wzięte ze współczesnych pomników.

Wydane dotychczas zeszyty, stanowiące zaledwo połowę zamierzonej pracy, zawierają pomiędzy postaciami mniej znaczących osobistości i wizerunki wraz z życiorysami osób bliżej nas obchodzących, jako to: Bolesława Wysokiego, Henryka I Brodatego i żony jego św. Jadwigi; Henryka II Pobożnego bohatera walki pod Lignicą, Henryka IV Minnesingera i t. d.

Cena dzieła jest dość niska, bo wynosi za zeszyt złożony z dwu wizerunków in 4-to z odpowiednim tekstem 10 srebrnych groszy (podług obliczenia naszych księgarzy 40 kop). Nizkiej tej cenie można przypisać że odbicie rycin nie wszędzie jest jednako- we i zadawalniające, najlepiej wyszły ryciny przedstawiające posągi metalowe na tle kamiennem.

(Lit. Centr. 1869. Nr. 30).

Prowe, Dr. Leop. Westpreussen in seiner geschichtlichen Stellung zu Deutschland und Polen. Wydanie drugie. Toruń (u Lambecka). (str. 66).

Pod powyższym tytułem wyszło w roku zeszłym, jako odbitka z programu gimnazjum toruńskiego, pismo mające za zadanie dowieść, że „Prussy Zachodnie nie mogą pod żadnym pozorem być uważane nigdy jako kraj polski, że w prastarych czasach zdobyte krwią niemiecką, rozkwitły następnie jako odrośl niemiecka pod wpływem pokojowej zdobyczy pługa i pracy obywatelskiej, i że tylko siła oręża oderwała je chwilowo od wspólnej ojczyzny niemieckiej (Gesammt vaterland).”

Pismo to zasługuje na bliższy rozbiór.

(Lit. Centr. Nr. 12).

Das älteste geschriebene polnische Rechtsdenkmal. Herausgegeben von Dr. E. Volekmann, w Elblągu i Szczecinie (u L. Sauniera str. 24 in 4-to).

Z rękopismu podarowanego niedawno Bibliotece miejskiej Elbląskiej, drugi już pomnik bliżej nas obchodzący w ciągu dwóch

lat otrzymujemy. W roku bowiem zeszłym wydał w Królewcu p. Nesselmann professor tamtejszego Uniwersytetu, niez mordowany i zasłużony badacz języka litewskiego, Wokabularz Staro-pruski stanowiący ważny przyczynek do poznania języka, szczepu wygasłego pod naciskiem Germanizmu.

Obecnie p. Volckmann obdarza nas pomnikiem odnoszącym się do prawa polskiego.

Pomnik ten pisany w języku dolno niemieckim opisuje głównie sposób odbywania ordalii, a mianowicie prób ognia i wody.

Wydawca odnosi wydrukowany przez siebie pomnik do XIII a najpóźniej do początku XIV wieku, i uważa go za dawniejszy od Statutu Wiślickiego.

Obszerniejszy opis tego pomnika i wykazanie jego znaczenia podał w roku zeszłym w Bibliotece Warszawskiej w tomie III str. 312 i nast. p. Rom. Hube. Do tego więc artykułu odsyłamy czytelnika, chcącego się coś więcej dowiedzieć o samej treści, tu zaznaczamy głównie wyjście samego pomnika, ażeby zwrócić na niego uwagę naszych pracowników.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W zeszycie 11-tym Biblioteki Warszawskiej z r. 1868 na str. 298 umieszczony jest artykuł pod tytułem. *O znaczeniu prawa Rzymskiego i Rzymsko-Byzantyńskiego u narodów słowiańskich i t. d.* wyłożył, objaśnił i wydał R. Hube. Warszawa 1868; w którym krytyk literem F. Z. oznaczony, rozbiegając pracę R. Hubego, mimochodem i o wydanym przezemnie w roku 1867 tomie I „Prawa Polskiego Prywatnego” pisząc, tak się wyraża:

„Jakkolwiek pogląd tego autora na prawo polskie jest zupełnie błędny, a w szczegółach jest on wielce niedokładny; to przecież gdy w formę naukową oblekł upowszechnione uprzedzenia, dzieło jego bez sprostowania pozostać nie powinno. Poczem p. krytyk wytyka mi w powyższym celu następujące błędy:

1. żem na str. 121 mówiąc o Lipskim, drugą centuryą pominął.

2. że nie można mniej właściwie się wyrazić jak ja to zrobiłem, gdy mówiąc o tém dziele Lipskiego napisałem „że obejmuje dosyć przechowanych prawnych zwyczajów” zaś p. krytyk twierdzi, że jest trwałym i pięknym pomnikiem iurisprudencji sądu assessorского.

3. żem własną powagą ustanowił w Polsce sądy wyższe i najwyższe, i żem nie właściwie do wyższych zaliczył sądy assessorские, gdy i one były najwyższemi sądami prawa królewskiego, nakoniec:

4. żem z najwyższém zdziwieniem p. krytyka na str. 2 prawo ziemskie uważał za prawo cywilne (*jus civile*) i żem utrzymywał, iż prawo prywatne polskie od XV wieku, tylko szlachty dotyczyło.

Wszystkie atoli te cztery zarzuty są albo najniewłaściwiej i bezzasadnie zrobione, albo co gorsza na sfałszowanym tekście moim oparte, jak to następnie wyjaśniam:

Co 1-go. Znający dzieło to Lipskiego wiedzą, że ja na str. 121 przytoczyłem tylko dosłownie tytuł jego taki, jaki obejmuje edycja rygska z r. 1602, gdzie stoi wyrażenie „centuria prima” a nie wdawałem się w wyszczególnianie liczby centuryi przez Lipskiego ogłoszonych. Gdyby to było moim zamiarem, tobym dokładniej policzył ilość wydanych przez Lipskiego centuryj jak to p. krytyk uczynił i nie przypisywał Lipskiemu drugiej centuryi, bo jęj nie wydał, tylko jęj połowę, to jest 50 obserwacyj. P. krytyk więc chcąc tu sprostować mniemany błąd, sam go popełnia.

Co do 2-go. Każdy bezstronnie na rzecz zapatrujący się widzi, że ja w oddziale obejmującym wyszczególnienie dzieł naukowych o prawie dawném polskiem, nie wdawałem się w ich rozbiór i szczegółową ocenę, lecz jedynie w ogóle wyraziłem, które pod jakim względem zasługuje na uwagę i dla mnie przy wykładzie prawa polskiego będzie użyteczne. Tak postąpiłem i z dziełem Lipskiego, a najdobitniej to wypływa z tych moich na str. 121 zamieszczonych wyrazów „że nie raz do dzieła tego przyjdzie mi się w wykładzie prawa polskiego prywatnego odwoływać.” Że zaś z dzieła Lipskiego tylko co do prawa zwyczajnego polskiego w niem przechowanego użytek zrobiłem, to było mojem indywidualnem postąpieniem, które wypływało z tego, że wykład mój ma za przedmiot li tylko prawo polskie, i z tego powodu nikt mi zarzutu czynić nie może, a prócz tego przytoczone wyrazy dowodzą, jak wysoko tę pracę Lipskiego považam.

Co do 3-go. W oddziale V mego tomu I na str. 339 rozpoczynając rzecz o organizacyi sądownictwa w dawniej Polsce, zwróciłem uwagę na trudność tego przedmiotu i co stanowi tego przyczynę. Autorowie o tém piszący, chcąc usystemizować swój wykład, z różnych stanowisk wychodzą. Ja mając ciągle na oku osiągnięcie korzyści z nauki dawnego prawa polskiego, przez odnośnienie go do dzisiejszego stanu nauki prawa w ogóle, postanowiłem wziąć za zasadę mego systemu w tym przedmiocie, podział sądów na instancye, a przytém zarazem dowieść, że w dawniej Polsce i III-cia instancya była znaną (co mi inna krytyka zamieszczona w Gazecie Polskiej z 1867 Nr. 288 za zasługę poczytała). Z tego powodu użyłem przed grupami różnych sądów do jednej instancyi należących tytułów: sądy niższe, wyższe i najwyższe podług tego, jak sądziły w I, II lub III instancyi, lecz bynajmniej nie pozmieniałem nomenklatur dawnych polskich, ani stopnia iurisdikcyi. I owszem przy każdej grupie sądów wyraźnie oznaczałem w której instancyi wydawała wyroki.

Ta była przyczyna, że sądy assessorskie zaliczyłem do grupy sądów wyższych, jako obejmującej te sądy, które chociaż wydawały wyroki w ostatniej instancji (jak to wyraźnie napisałem), to jednak nie sądziły nigdy w III instancji. Nie zmieniłem więc własną powagą mocy jurysdykcyjnej sądów assessorskich, ani jej błędnie nie przedstawiałem, gdy wyraźnie na str. 347 napisałem, że wydawały wyroki ostateczne i obie ordynacye tych sądów, to jest z roku 1683 i 1764, przytoczyłem.

Że zaś projektowany przez p. krytyka jako niby właściwszy podział sądów według dwóch prawodawstw w kraju obowiązujących byłby niedokładny, to dosyć przytoczyć, że sądy assessorskie według ostatniej swój ordynacji sądziły i takie sprawy jak: o uznanie przywilejów na dobra i wakanse, o granice między dobrami królewskimi a prywatnymi, o dziesięciny z dóbr królewskich, o zgwałcenie przywileju, o wywołanie do niewłaściwego sądu i sprawy dyssydenckie, a przecież te wszystkie sprawy nie podług prawodawstwa niemieckiego były sądzone. Prócz tego, te sądy które p. krytyk tylko do najwyższych zalicza, powstały dopiero w ostatniej epoce istnienia Państwa Polskiego, a cóż było przed nimi mianowicie za dynastji Jagiellońskiej i dawniej? według mojego zaś wykładu jest to ściśle oznaczone.

Co do 4-go. To już nie jest bezzasadna krytyka, ale sfałszowanie tekstu. Proszę każdego czytelnika, aby zechciał odczytać stronnicę drugą mej książki i przekonać się czy tam stoi to, co mi p. krytyk przypisuje, mianowicie czy ja *prawo ziemskie* uważam za *prawo cywilne*. Mówię ja tam najwyraźniej, że *prawo polskie prywatne* nazwałoby można *prawem cywilnym* (jus civile) dlatego, że u nas urzędowało ono od XV-go wieku *prawie wyłącznie* tylko stosunki szlachty, która od owej epoki sama tylko u nas była obywatelstwem w znaczeniu politycznym tego wyrazu, lecz nigdzie nie utrzymuję, że *prawo ziemskie* nasze, ma się nazywać *prawem cywilnym*, bo nawet na całej tej 2-jej stronnicy tego wyrazu *prawo ziemskie* nie ma. W miejsce więc moich wyrazów „*prawo prywatne polskie*” p. krytyk fałszywie podstawia wyrazy „*prawo ziemskie*.”

Że zaś nie biorę prawa ziemskiego ani za prawo prywatne, ani za prawo cywilne, to odwołuję się do str. 271-jej mej książki, gdzie napisałem, co pod prawem ziemskim (jus terrestre) rozumię.

Co się wreszcie dotyczy mego twierdzenia, że od XV wieku prawo polskie prywatne *prawie wyłącznie* tylko stosunki szlachty urzędowało, to odwołuję się względem tego nie tylko na podobne zdanie poważnych autorów, jak np. J. W. Bandtkiego (Prawo Prywatne Polskie. Warszawa. 1851. s. VII), ale co ważniejsza, na wyraźne w tym przedmiocie zapadłe ustawy, a które najznaczniejsze od str. 487 mego tomu I-go przytaczam.

Gdy po czterocznej prawie słabości chciałem obecnie zaznaczyć się z tém, co przez ten czas nowego w literaturze zaszło,

i natrafiłem na powyższy artykuł Biblioteki Warszawskiej, zrazu uważając go o ile mnie dotyczy za prostą napaść, mogącą z jakiej osobistej pobudki pochodzić, miałem go bez odpowiedzi zostawić, sądząc że obznajmiony z przedmiotem czytelnik, najbezzasadniej zrobione mi zarzuty jak należy oceni; atoli rada życzliwych i bliższe zastanowienie się, że pozostawienie téj napaści bez objaśnienia. czego rzecz odpisanja się, może w niezuznajomionych z prawem polskiém, lub nieczytających méj książki, niekorzystne o niéj wyrobić zdanie, spowodowały mię do napisania niniejszój odpowiedzi.

Kraków, we wrześniu 1869 r.

Piotr Burzyński (*).

(*) Redakcyja Biblioteki Warszawskiej zakommunikowała niniejszą odpowiedź p. Burzyńskiego, przed umieszczeniem jéj w swém piśmie, członkowi redakcyi p. Feliksowi Zielińskiemu który listownie oświadczył:

„Odpowiedź p. Burzyńskiego w niczém nie zmieniła zdania mojego o jego dziele. Odpowiedź tę chętnie będę widział zamieszczoną w Bibliotece Warszawskiej. Nie uznając potrzeby odpierania zarzutów jakie mi p. Burzyński czyni, sąd o nich pozostawiam czytelnikom bez żadnych uwag z mej strony.”

(Przyp. Red.).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

„Przyjaciel kobiet” komedia w 5 aktach A. Dumasa syna.

Jeden z krytyków Al. Dumasa syna, tak się o rozgłosie sztuk jego wyraził:

„Ktoby chciał dokładnie zbadać sztuki i przyczynę tryumfów Dumasa syna, niechaj zrobi doświadczenie. Najprzód niech się znajduje na pierwszym przedstawieniu jego komedyi, gdzie widzowie złożeni przeważnie z demi-mundu i jego przyjaciół, a potem niech przyjdzie znowu za dni dziesięć, to jest wtedy, gdy się teatr zapełnia publicznością, kupującą za swe pieniądze jeżeli nie prawo gwizdania, to przynajmniej zmarszczenia brwi. Znalazłoby się w takim porównaniu, wiele nauki i to pocieszającej. Pierwszego wieczoru wszyscy są tak usposobieni, słuchacze i dzieło są tak ściśle ze sobą spojeni, iż zdawałoby się, że w podniesionym entuzjazmie upatrywać trzeba pewnego współnictwa. Dowcip autora, a ma on go dosyć, zwiększa się przeslizgując poprzód lampiony, a wybucha z niezmiernym efektem, gdy się dostaje między samych dobrych znajomych, którzy go też witają jako dobrego znajomego. Wszystko, czego ta publiczność żąda od swego ulubionego poety, polega na tém, ażeby uniewinnił niektóre zuchwale wybryki, do czego mu sama pomaga z taką uprzejmością, że poeta musiałby być diablo niezręczny, ażeby się nie wywinął. Wszyscy apostołowie, którzy prawdę mówiąc, wściekają się w duszy o to że są tylko satelitami wielkiego planety, gdy się jednak już raz zdecydują na kadzidła, współzawodniczą ze sobą o lepsze, prześcigają się w pochwalnym wrzasku i pochwalnej przesadzie. Przesada ta, z każdym aktem wzrasta. Nadchodzi chwila w której autor mógłby nam pokazać syna policzkującego ojca, lub męża wprowadzającego kochankę do pokoju swój żony, i uszłoby mu to, byle tylko sytuacją nastawił tego (crancment). Ci nawet wyteżają się na oklaski, którzy przyszli z wyraźnym uprzedzeniem, z postanowieniem mienia się na baczności, tak jest silne uprzedzenie że co zachwyca tyłu, to nie może być nieprzyzwoite lub pospolite. Naza-

jutrz dwadzieścia felietonów trąbi chwałę autora, a to pod karą uchodzenia za zazdrosnych lub nieznujących się.

Lecz w dziesięć dni potem, wszystko się zmieniło. Nic też ciekawszego jak patrzeć na rozczarowanie mieszcuchów, ludzi zdrowego rozsądku, którzy zawierzywszy swemu dziennikowi i wrzawie publicznej, przyszli spodziewając się cudów. Owe *bon-mots* tak hałaśliwie witane, tępią się w lodowatém miłczeniu, jeszcze gorzej zaś z owemi zuchwałemi wybrykami i sytuacyami dwójznacznemi. Nowi ci widzowie słuchają przełekli tych niezwyčajności, i następuje fatalna reakcyja. Przypomina to bicz, który trzaskać nie chce, lub fajerwerk który pstryka. Nie przeszkadza to bynajmniej, żeby sztuka nie miała stu reprezentacyj, bo Paryż jest wielki a p. Dumas syn jego prorokiem, ale zauważcie jeden szczegół. Oto sztuki p. Dumasa syna, takie okrzyczane i uwielbione, gdy po przeciągu kilkumiesięcznym znikną z afiszów, nikt już ani pomyśli ażeby je wydobyć z zapomnienia. Tymczasem inne jak: Moliera, lub nawet Helena de la Seglière mogą być zawsze grane... Widzimy więc, że jeżeli podobne sztuki udają się do tego stopnia, że przestraszają ludzi rozumnych, to da się to wytłomaczyć tém: „oto pewna publiczność daje oklaski, a reszta publiczności pozwala na to”...

Przytoczyliśmy streszczony ten ustęp dlatego, że jest wielce charakterystyczny, i że zdanie znakomitego krytyka francuzkiego o autorze francuzkim, powinnyby nas z góry zwolnić od dalszego sprawozdania. Atoli fakt sam przedstawienia na tutejszj scenie, liczne powtórzenia komedyj Dumasowskich zgromadzając widzów, zdają się przemawiać za ich żywotnością, co więcej za ich naturalizacyą w gronie tak odrębnej pozornie publiczności. I prawdziwie jeżeli w Paryżu pewna tylko część publiczności, niezbyt polecająca się smakiem i stanowiskiem społeczném, zrobiła sobie bożyszcze z proroka oryginalnych lubo wcale niezdrowych idei, to mielibyśmy bardzo za złe tutejszym widzom, gdyby więcej ukochali obcego proroka od jego współziomków. Bo czyż to, co przykre wywierają wrazenie tam na miejscu, może być miłém i pożyteczném tutaj? Z pewnością nie, ale publiczność potrzebuje teatru, jest ona dla niej nietylko rozrywką ale niemal potrzebą życia; więc uczęszcza pilnie tembardziej, gdy widzi na scenie takich artystów jak pp. Królikowski, Żółkowski i pani Modrzejewska!

„Przyjacieli kobiet” jakkolwiek stanowi pewną przerwę w systemie Dam kameliowych Dumasa, bo się obraca tym razem w sferze lepszych salonów, zachował jednak wszystkie cechy proceduru badań kobiecych, właściwe już temu autorowi. Kobieta u niego, dlatego samego że kobieta, musi upaść lub padnie, lub o mało co nie upadła, a jeżeli się to ostatnie nie stało, to jedynie dlatego, że np. deszcz zaczął nagle padać. Tak bowiem blahe przeszkody, ocalają cześć kobiety, honor i spokój całej rodziny. Nie rzeczywiste moralne zasady, nie uszanowanie lub szczerą miłość kogo lub czego, ale przypadek

jakiś, niespodziewany zwrot retoryczny lub temu podobny figiel nawijający się pod pióro, wygładzają sumienie ogłuszonego widza, i rehabilitują pryncypia, któremi koniec końców świat się rządzić musi. Pan Dumas staje często w obronie dobra, tego zaprzeczyć nie można, piętnuje nawet występki lubo nietyłe jako pohańbienie ducha, ile jako głupią sprawę; ale cóż z tego, kiedy u niego dobre i złe, cnota i występki tak się blisko poszturchują łokciami, że wątpić nie trzeba iż oddychają jednym i tym samym powietrzem. Uczucia zacne i poczciwe, gdy się nareszcie po długim milczeniu odezwą, to się wydają niczem innym tylko paradoksami. Bo gdy tło jest niemoralne—jak się ktoś wyraził—poczciwość jest tylko haftem, czezą ozdoba. Ten „przyjaciel kobiet” pan de Ryons, cóż on nie wygaduje na kobiety, ileż on nie nawypuszcza strzał cynicznym dowcipem zatrutych, okazujących najwyraźniejsze zwątpienie w czystość i szlachetność kobiety;—aż tu w czwartym akcie odsłania się nieochętnym wierzyć słuchaczom, jako misyonarz strzegący wiary małżeńskiej, szczęścia rodzinnego i cnoty niewieściej. To oprawca, dlatego że jest wykonawcą wyroków sprawiedliwości, maż być już dlatego samą sprawiedliwością?—to pan de Ryons dlatego że się po czterech aktach przekonał, że miłość pani de Simerose dla niego nie jest prawdziwą, ma nagle udawać anioła-stróża, i świecić jako obrońca wiecznie każonej czci niewieściej?! Gdybyśmy nawet nie obstawali za jakąś zasadą etyczną, to pytamy się z jakiego tytułu nazwany on: „przyjacielem kobiet?” Czy za to jest przyjacielem, że przez cztery akta wtrąca się natrętnie w sprawy pani de Simerose, intrygując ją zarazem i kokietując jak najwyborniejszy Don Juan, czy też za to, że sam czując iż nie może być kochanym, oddaje ją *volens nolens* mężowi? Tacy subtelnego sumienia, obosiecznego języka, a dwuznacznego postępowania „przyjaciele kobiet” są wyjątkowymi zjawiskami, więc mogą też posłużyć jako przedmiot do komedyi wyjątkowo. Gdyby nam p. Dumas dodał do tego małej komentarzyk, wymieniając nie więcej tylko nazwiska rzeczywiste kompromitowanej kobiety przez pana „przyjaciela kobiet,” tobyśmy sztuki całej wysłuchali ze stokroć większą uwagą, ale tak, słuchamy jej tylko jako tkanki bardzo wielu dowcipnych gawędek salonowych, lub jako tu i owdzie przytoczonej nowelki powieściowej z filozoficznym zakrojem. Oh! ta okrzyczana „użyteczność” p. Dumasa syna, czy zamiast przynieść pożytek teatrowi, nie wyrządziła jemu samemu przedewszystkiem największej szkody? Lecz przystąpmy do najtreściwszej treści „Przyjaciela kobiet.”

Pan de Ryons (przyjaciel kobiet) rozmawia w pierwszym akcie bardzo długo z panią de Leverdet, matką ładnego podlotka, a rozmawia ze swobodą i zuchwałością sądów o kobietach, które mu jednak przebacza pani de Leverdet, snać już do doktryny pana de Ryons przywykła. Jednak radaby go ukarać; wtém zjawia się pani de Simerose, która właśnie co przyjechała z zagranicy. Następuje przedstawienie, a pani de Leverdet spostrzega że wywarła silne wrażenie na nieprzyjacielu—chciałem powie-

dzieć—na przyjacielu kobiet. W drugim akcie, państwo Leverdet, p. de Ryons, wiele gości i niejaki p. de Montègres, znajdują się w gościnie u pani de Simerose. Miła to gospodyni, a lubo nie chce słuchać namów pani Leverdet, ażeby się pogodziła z zaciętym mężem, z którym się poróżniła dla błahej przyczyny; nie jest jednak od tego, iżby nie wysłuchała cichego szeptu pana de Montègres, który żąda schadzki a grozi samobójstwem. Przełknięta, a może i wzruszona, naznacza mu sąsiedni salon na miejsce schadzki po rozjechaniu się gości. Ale przenikliwy i szpiegujący p. de Ryons domyślił się wszystkiego, i przeszkadza najformalniej schadzce, wyświadczając nieproszoną usługę pani de Simerose, i stając się jej narzuconym powiernikiem i opiekunem.

Przeszkadza on ciągle i długo, a manewruje tak zręcznie, że p. de Montègres odsłania się nagle weale niepocześnie, i rozczarowuje nie bardzo zaczarowaną panią de Simerose. Tu właśnie zachodzi trudność w określeniu gatunku miłości tej kobiety, bo z mężem pogodzić się nie chce, pana Montègres niby kocha, ale każąc mu się uwielbiać w odległości słońca od ziemi i odgadywać najłżejsze zachcenia, rozkołysanój beświadomém marzeniem duszy. Pan de Montègres zgadza się niby na tę rolę, lubo mu wkrótce otwiera oczy arcy-cynicznie pan de Ryons. Kto wie jednak, czy mimo tego wyklarowania pozycyi, nie byłiby się ci państwo długo jeszcze łudzili, gdyby nie pan de Simerose, który przyszedł się pożegnać po raz ostatni z okrutną swą żoną, zanimby wyjechał na zawsze do Ameryki lub Australii. Przy tej sposobności, obarcza ją nader delikatnym komisem, bo prośbą ażeby wzięła na wychowanie maleńkiego chłopczyka który, nie trudno zrozumieć, jest jego własnym synem. Wzruszona małżonka przystaje, i chce zaraz zobaczyć chłopczyka, ale p. de Montègres który się w mężu obawiał rywala, zazdrosny i podejrzliwy, pobiegł w ślad za jej powozem. To ją oburza, doprowadza do sceny między nią a zakochanym, z której skorzystałby pan de Ryons, bo pani de Simerose urażona, jemu proponuje swą miłość, gdyby... nie nagły zwrot autora czyli raczej pana de Ryons. Powiada on bowiem nagle, że chciał ją tylko uratować od zguby, która spotkała własną jego matkę; lecz że miłość jej na tej samej umieszczona drodze, co i obowiązek, to jest w sercu męża. Zelektryzowana pani de Simerose przystaje na to z ochotą, i następuje drugi ślub moralny tychże samych małżonków.

Co za szczęście dla pana de Simerose, że wtedy gdy on pakował tłomoczki do Australii, znalazł się właśnie jakiś poczciwy przyjaciel jego żony, który mu ustał drogę do pojednania! A gdyby też był pojechał do Australii? Odpowiedzieć na to nie śmiemy, ale z logicznej dedukcyi sądziłoby trzeba, iżby nie miał już poco wracać. Utylitarność więc radzi tu koniecznie, ażeby każdy zeniący się, a przynajmniej każdy poróżniony z małżonką, zapisał sobie natychmiast telegrafem takiego filantropijnego „przyjaciela kobiet”.

Zaiste, powtórzyby tu trzeba zdanie pewnego krytyka o sztuce dramatycznej francuzkiej w ogóle, a o Dumasowskich sztukach w szczególe: Sztuka chyli się do upadku! więcej jeszcze; powiedzieby trzeba że coś ważniejszego, coś ściślej spojonego z przeznaczeniami ludzkości, chyli się do upadku. Jakaś powolna, umiejętna a subtelna trucizna działa potężnie, a działa niebezpieczniej, aniżeli oszołomienia serc, praktykowane za czasów wznwionego romantyzmu francuzkiego, bo z oszołomienia można się wytrzeźwić, bo jest ono zawsze oznaką ruchu, ognia, życia; taka zaś trucizna prowadzi na straszliwy step duszy nie mający granic, nie dający wytchnienia.

Rzekliśmy że gra takich artystów jak pp. Królikowski, Żółkowski i Modrzejewska, głównie podpira komedią „Przyjaciel kobiet”. P. Królikowski jako pan de Ryons, trzymał lekko i swobodnie tę dla jego tragicznego talentu nużącą rolę, rozlewał humor i wesołość zgrabnym wtrącaniem dowcipnych słówek, a pobudzał akcyę, wytrawną swą umiejętnością obejścia się na scenie. Pan Żółkowski jako pan Leverdet, małą swą rolę upamiętnił się wyraziście. Zawsze charakterystyczny, z jednego odlewu od początku do końca, rozbudzał śmiech szczery i szczere zadowolenie. Pomała mu też w tém niemało rola wyrazista i jasno nakreślona.

Nareszcie pani Modrzejewska jako pani de Simerose, zdaje się stworzoną do tej roli. Właściwy jej wdzięk, swobodne i eleganckie ruchy, piękna dykcya w wypowiedaniu pięknych ustępów oddziaływają zawsze sympatycznie. Słowa i ruch w chwili gdy powiada, że ją nieobchodzi pan de Montègres, podyktowało poczucie natury, o jakie nie łatwo.

Nemo.



WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

Październik 1869 r.—Obniżenie do trzeciej przeszło części w cenie *Encyklopedyi Powszechnej*, której całe wydanie w kompletach jakie pozostało, rozsprzedano w krótkim czasie, spowodowało księgarnię nakładową S. Orgelbranda, do nowego ogłoszenia, z obniżeniem cen, dzieł mających rzeczywistą wartość. Obecnie trzy dzieła widzimy znakomicie obniżone. 1) *Historję zgromadzeń prawodawczych konwencji narodowej z dyrektoryatu, czyli Francya od 1789 do 1800 roku*. A Thiers'a, cztery tomy w dużej ósemce. Z rs. 9 na cztery. 2) *Historja Konsulatu i Cesarstwa*. A. Thiers'a tomów 11: z rs. 22 na rs. sześć. 3) *Piśmiennictwo Polskie od najdawniejszych czasów aż do 1830 roku*, W. A. Maciejowskiego, z rs. 12 na rs. trzy.

Tu dodać winniśmy, że księgarnia Gebethnera i Wolffa nabywszy pozostałe egzemplarze *Historji powszechnej Cezara Cantu* od wydawcy S. Orgelbranda, z obniżeniem ceny znacznej, rozpoczęła je rozprzedawać.

— W roku 1867 p. Kornel Kozłowski, idąc w ślady niespracowanego Oskara Kolberga zaczął pod ogólnym tytułem: „Materiały do etnografii słowiańskiej” wydawać zeszytami: „Pieśni, podania, baśnie, zwyczaje i przesady ludu z Mazowsza Czerskiego, wraz z tańcami i melodyami. Zeszyt IV został wydany w roku 1868, i końca téj publikacji daremnie oczekujemy. Praca to przecież szacowna, znajdzie chociaż liczbę taką czytelników, którzy pokryją koszt nakładu, gdy dzieło w całości ukaże się w handlu księgarskim.

— Redakcyę główną tak *Ekonomisty* jak i *Merkurego* po założycielu ich p. Nagórny, objął p. Wiktor Somer, znany z prac ekonomicznych w języku francuzkim,

— Dr. Kętrzyński w jednej z bibliotek paryzkich, odkrył oryginalny rękopism *Pułkawy*, kroniki czeskiej w języku łacińskim p. n. *Liber Boemice cronice*, jedną ręką, w drugiej połowie XIV wieku bardzo starannie i ozdobnie pisany: inicjały są naprzemian czerwonym i niebieskim kolorem malowane, litery duże, piękne i wyraziste: skróceń jest bardzo mało: trzecią stronę zdobią piękne malatury. Że to nie jest żadna kopja, lecz własnoręczny rękopism Pułkawy, przywodzi p. Kętrzyński następane okoliczności. Jak wiadomo, wypracował Pułkawa drugą redakcyę swojej kroniki, która słusznie używa dobrej sławy w świecie uczonym, na życzenie i pod wpływem Karola IV cesarza i króla czeskiego, który na ten cel, rozmaitych rękopisów dostarczyć mu kazał. Jest więc kronika Pułkawy (jak się wyraża nasz sprawozdawca), urzędową i jako taką, przedstawiają ją także malatury, znajdujące się na trzeciej stronnicy. W incyiale C. od którego cała kronika się zaczyna, umieszczony jest pięknie i zgrabnie zrobiony obraz króla w koronie i purpurze, z berłem i jabłkiem państwowem, a na marginesie znajduje się ślicznie zrobiony herb królestwa czeskiego, ukoronowany lew biały z roztoczonym ogonem w polu czerwonym. Dr. Kętrzyński upatruje dowody, że kodeks ten jest pisany przez samego Pułkawę, iż pismo mówi wyraźnie, że pochodzi z drugiej połowy XIV wieku, a zatem z czasu, gdy ten kronikarz żył: że to autograf, znajduje w tém, że autor często, zwłaszcza ku końcowi, gładząc styl, na miejscu wyrazów, które wytarł starannie, powpisywał inne odpowiedniejsze, a w kilku miejscach wskrobał nawet po kilka wierszy, aby całemu zdaniu nadać inny, lepszy tok. Jeżeli ten rękopism paryzki jest oryginałem Pułkawy, ciekawą będzie rzeczą dowiedzieć się, czem jest względem niego rękopism w Pradze Czeskiej zachowany, z którego Dobner przedrukował tekst Pułkawy? Aby to objaśnić, sprawozdawca zwraca uwagę na przypiski na marginesach kodeksu paryzkiego umieszczonych. Nie są one téj saméj ręki, która całą kronikę napisała: charakter ich bowiem wskazuje rękę późniejszą. Ale i te przypiski są dwojakie, tak co do charakteru pisma, jak co do atramentu, a nawet i treści. Jedne z tych przypisków zajmują się wyłącznie historią Braniborską, to jest: Marchii Braniborskiej, drugie przeważnie dziejami polskimi: pierwszych pismo już nieco wyblakłe, drugich jeszcze zupełnie wyraźne. Charakter pisma wskazuje na wiek XV i to na pierwszą jego połowę. Rękopism pragski, z którego Dobner, dość błędnie i niedbale tekst Pułkawy przedrukował, pochodzi bezpośrednio, lub może pośrednio z manuskryptu paryzkiego: i dowody tego czerpie

Dr. Kętrzyński ztąd: że sprawy braniborskie znajdują się w kodeksie paryzkim na brzegu kart obcą ręką dodane, a w tekście oznaczono dwiema kreskami miejsce, do którego przypisek ów się odnosi. Ponieważ w rękopisie Pragskim *Brandenburgica* w tekście Pułkawy są umieszczone odnośnie do miejsc kreskami oznaczonych, zatem przepisywacz wciągając owe przypiski do tekstu, do którego nie należą, musiał je z tegoż kodeksu wypisać, w którym one były pierwotnie. Należy więc odosobnić wiadomości o Marchii braniborskiej od tekstu Pułkawy. Skoro zaś, co jest rzeczą oczywistą, pragski rękopism został przepisany z paryzkiego, przepisywacz naturalnie kronikę Pułkawy wypisał tylko do roku 1307, bo na tym kończy się tekst oryginalny: a zatem dalszy ciąg kroniki Pułkawy od roku 1307 do 1330, już jest innego pióra. Z wiadomości o dziejach polskich odmienną ręką na marginesie manuskryptu paryskiego umieszczonych, znajduje się w tekście Pułkawy u Dobnera, tylko wiadomość o księżnie Gryfinie: drugich wtenczas, gdy oryginał przepisany jeszcze nie było: widać bowiem, że komentator kronikę czeską, odczytując po wielokroć, ile razy czytał, tyle razy może i uwagi swoje kreślił: widać dalej, że po napisaniu kilku wierszy o Gryfinie, rękopism dał do przepisania; kopią tą jest oczywiście kodeks pragski, i że potem, znów go czytając, nowe nakreślił uwagi. Lecz zachodzi pytanie, kto był tym komentatorem? Widoczną jest rzeczą, że oryginał Pułkawy po śmierci autora, przeszedł w inne ręce, aż nareszcie dostał się Zbigniewowi Oleśnickiemu kardynałowi i biskupowi krakowskiemu, który go w r. 1455 testamentem przekazał katedrze krakowskiej, jak to napis na drugiej stronie, późniejszą od dwóch poprzednich ręką dodany wskazuje: brzmi on w te słowa: *Liber Boemice cronice Reverendissimi in Christo patri sdomini Sbignei miseracione dei tituli sancte prisce sancte Romane ecclesie presbiteri Cardinalis et Episcopi Cracoviensis, quem testamentaliter donavit Ecclesie cathedrali Cracoviensi anno Domini Millesimo Quadringentesimo quinquagesimo quinto.* Z powodu, że rękopism ten był w posiadaniu Zbigniewa kardynała i notatki o dziejach polskich do pierwszej połowy XV wieku należą, wnosi p. Kętrzyński, że Zbigniewowi należy je przypisać, który czytając kronikę czeską niedokładności jęj, krótkimi słowy objaśniał i błędy poprawiał. W ostatku cały tekst kroniki Braniborskiej w wiernym odpisie podaje, oraz przypiski Zbigniewa Oleśnickiego, i załącza dwa z nich fac-simila.

— Alexander hr. Przeddziecki, badania swoje prowadząc w Szwecyi, znalazł bogate zasoby do dziejów naszych w archiwum

kanclerza Oxenstierny, które właśnie nabyte przez rząd szwedzki, sprowadzono do zamku Tidör; znalazł nadto nowe jeszcze wskazówki dotyczące naszych zabytków runicznych, których zbadaniu, poświęca uwagę swoją pilną Towarzystwo Naukowe Krakowskie. Poprzednio w r. b. nasz badacz należał do obrad kongresu archeologów w Kopenhadze, i uwiadomił zebranie o jaskiniach w Potoku, o budowlach pałowych w Czeszewie, o zabytkach runicznych i wykopaliskach na jeziorze Lednicy pod Gnieznem, o których podaliśmy obszernie sprawozdanie pióra samego Alex. hr. Przeddzieckiego w zeszycie sierpniowym r. b.

— Dyrektor wyższego zakładu naukowego w Wiedniu *Pokorny*, napisał *Zoologią*, używaną we wszystkich szkołach austriackich. Lubo przed kilkunastą laty była przetłumaczona na język polski, obecnie przelożył ją na nowo p. Rzepecki i ulepszył oryginał posiłkując się pracami Kluka, Wodzickiego, Pietruskiego i Wagi i wprowadzając już utartą terminologią polską. Książka ta ozdobiona blisko 500 drzeworytami kosztuje tylko cztery złote polskie (60 kopiejek).

— Dawne, zbierane troskliwie biblioteki, rozpraszają się w naszych czasach, przez sprzedaż publiczną. Tak wywieziony przez książąt Radziwiłłów ogromny księgozbiór z Nieborowa w Paryżu wyprzedany został. Teraz księgarnia Ascher'a i komp. w Berlinie wydała swoim nakładem katalog biblioteki hr. Edwarda Grabowskiego, zachowanej niegdyś w zamku Radawnickim: w różnych językach, nawet w hiszpańskim, angielskim i greckim nowożytnym, i 34 rękopismów, zawiera przy każdym dziele cenę jego obecną, a przy niektórych i krótkie objaśnienia, dotyczące pochodzenia dzieła, stanu w jakim się ono obecnie znajduje, oprawy, i t. p. Treść książek jest bardzo rozmaita, ale głównie historię literatur i prawodawstw słowiańskich interesująca; Rossya i dawna Polska, Czechy i Księstwa Naddunajskie, Węgry i Prusy są w tej bibliotece reprezentowane. Co do czasu wydania, to znajdują się tam dzieła należące do pierwszych produkcyi drukarstwa aż do roku 1860. Są tu rzadkości bibliograficzne, białe kruki, jak je nazywają, np. wydany u Floryaua Unglera w 1534 roku pierwszy Zielnik polski Stefana Falimierza; albo Hebersteina Zygmunta „*Rerum moscovitarum Commentarii*” w Bazylei r. 1551. Wedle rzadkości dzieł i cenę ich też położono wysoką. Najkosztowniejsze w ogóle są bible. Najdroższa jest najpierwsza biblia słowiańska

zwana Cyrylla i Metodego z 1582 roku, oceniona talarów 400; Brzeska (1563) talarów 300, Szarffenbergerowska (1561) talarów 200, druga tegoż (1577) talarów 150. Z innych: Gniazdo cnoty, Paprockiego (1578), tal. 200; Herby rycerstwa (1584) 120 talar. Ogród królewski (1599) tal. 150; Starowolski: De rebus Sigismundi primi (1616) tal. 200, tyleż kronika Strykowskiego (1582). Z rękopismów najwyżej ocenione „akta rokoszowe” Zebrzydowskiego, talar. 225; Radziejowskiego prymasa 70 listów, tal. 200; Dokumenta Trybunału Piotrkowskiego (1671—1696) talarów 100 i t. d.

— P. Emil Marx Magister prawa i administracji b. Szkoły Głównej Warszawskiej wydał rozprawę: „O substytucjach, ich znaczeniu, dziejowym rozwoju i uznaniu w prawie obowiązującym.” (Warszawa 1869 r.).

— Inżynier Lubomił Suligowski wydał broszurę: „O kanalizacyi miast w ogóle, a miasta Warszawy w szczególności.” Zwracamy uwagę czytelników, że w piśmie naszym przedmiot tyle obchodzący pod względem sanitarnym mieszkańców Warszawy, od dawna nie jednokrotnie już był podnoszonym.

— Tłumacz Dythmara, badacz dziejowy Zygmunt Komarnicki przygotował do druku studjum historyczne „*O świętym Stanisławie i Bolesławie Śmiałym.*” Obecnie wykończył obszerny zbiór dzieła po niemiecku wydanego przez H. Zeisberga w Wiedniu 1868 p. n. „*Die Kriege Kaiser Heinrichs II mit Herzog Boleslaw I von Polen:* w którym wykazuje błędne zapatrywanie się autora niemieckiego na owe czasy, kiedy Bolesław Wielki tworzył wielkie państwo, stając żelaznym murem przeciw zaborom Niemców w Słowiańszczyźnie.

— *Sonety Krymskie* Mickiewicza, które przekładali pierwszorzędni poeci rosyjscy Kozłow i Lermontow, znalazły nowego tłumacza w p. M. S-owa. Przekłady dwóch pierwszych, aczkolwiek piękne same w sobie, zbyt wybitną nosiły cechę indywidualności tłumaczy z zatarciem piętua oryginału. Ostatni przekład właśnie zasługuje na uwagę, że tłumacz przejął się zupełnie duchem i kolorytem pierwowortu naszego poety.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolfa wyszła powieść: „*Wiktorya Regina, ze wspomnień narzeczonej, ułożył Jan Zacharyasiewicz.*”

— Z drukarni S. Lewentala wyszło: „Jedenaste zgromadzenie ogólne zwyczajne akcyonaryuszów Drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgoskiej” w 4ce.

— Wielki ołtarz Wita Stwosza, arcydzieło rzeźby w kościele Maryackim w Krakowie, którego odnowa od lat trzech prowadzoną była, już jest skończony we wszystkich szczegółach, i w miesiącu listopadzie r. b. odsłonionym zostanie.

— W zeszycie wrześnieowym na r. b. podaliśmy program pierwszego zjazdu lekarzy i przyrodników w Krakowie, teraz podajemy szczegółowe o nim sprawozdanie, podług Przeglądu Lekarskiego Krakowskiego.

Dnia 13 września r. b. nastąpiło w izbie radzieckiej publiczne zagajenie czynności zgromadzenia przez prezesa wydziału gospodarczego profesora *Majera*. Przewodniczący witając gości, uwydatnił znaczenie zjazdów; podobieństwo, tudzież różnice między niemi a stowarzyszeniami stałemi i akademiami. Jako właściwe im cechy przyznał głównie ruchomość, swobodę i wciągnięcie do udziału tak samo większej liczby współpracowników jak i różnych naprzemian miejscowości. Jako wprowadzoną nowość podniósł połączenie z tém zebraniem wystawy przedmiotów, styczeńność mających z lekarstwem i naukami przyrodniczemi. Przewodnikowi jęj i właściwemu twórcy Dr. *Baranieckiemu* oddał gorącemi słowy hołd uznania, któremu wszyscy obecni przyklasnęli; niemniej jak szanownemu mówcy, który rzecz swoją zakończył oświadczeniem, że ogłasza zjazd za otwarty.

W imieniu Towarzystwa lekarzów galicyjskich pozdrowił zgromadzonych Dr. *Czerkawski*.

Z kolei wypadł wybór naukowego zarządu na czas zjazdu. Jednomyślnie zgodzono się na poruczenie dalszego przewodnictwa prof. *Majerowi*, sekretarstwa pp. Doktorom *Blumensztokowi* i *Czerkawskiemu*.

Przewodniczący odczytał następnie telegram prywatny od Dra *Robińskiego* z Berlina, a drugi od oddziału lwowskiego komisyi fizyograficznej, przesyłające pierwszemu zebraniu lekarzy i przyrodników serdeczne: „Szczęść Boże.”

Rektor *Skobel* wyłożył plan do sporządzenia statystyki.

Grono zebrane rozdzieliło się na pięć sekcji: 1) fizyograficzną; 2) anatomiczno-fizyologiczno-antropologiczną; 3) kliniczną; 4) medycyny publicznej; 5) chemiczno-farmaceutyczną. Gdy się

okazało, że sekcya anatomiczno-fizyologiczno-antropologiczna składa się tylko z samych prawie członków miejscowych, postanowiła złączyć się z kliniczną.

Sekcye niebawem biura swoje wybrały, a mianowicie, fizyograficzna na przewodników profesorów: *Altha* i *Czerwiakowskiego*; kliniczna profesorów: *Brodowicza* i *Diella*; lekarsko-publiczna profesora *Skobla*; a chemiczno-farmaceutyczna profesorów *Czyrniańskiego* i *Stopczarskiego*.

Dalszą czynnością zebrania był wybór sędziów do ocenienia przedmiotów wystawy, tak z grona lekarzy, jak fizyografów, chemików i farmaceutów.

W sprawie będącego jeszcze na porządku dziennym polecenia przyszłego miejsca zbornego, rozstrzygnięcie tego pytania, pozostawiono według ustawy ostatniemu publicznemu zebraniu, które przypadło dnia 18 września.

Po południu dnia 13go zebrani członkowie zwiedzeniem swoim otworzyli wystawę przedmiotów, mających związek z lekarstwem i przyrodnictwem. Wystawa zajmowała trzy spore sale a oprócz nich jeszcze część czwartej, należącej do muzeum techniczno-przemysłowego. Nie możemy w tej chwili zajmować się pojedynczemi szczegółami, a tém mniej wchodzić w bliższy ich rozbiór i ocenienie, nadmienimy tylko pokrótce, iż znajdowały się tam okazy z tamtejszego gabinetu patologiczno-anatomicznego, mianowicie 18 wyrobów wad rozwoju płodu ludzkiego, dokonanych przez Dra *St. Pareńskiego* asystenta przy katedrze anatomii patologicznej tutejszej; profesora *Bisnadeckiego* 144 okazów drobnowidzowych; przez tegoż dokonana fotografia człowieka porażonego piorunem. Bardzo ciekawy był zbiór wystawiony przez Dra *Kopernickiego* z Bukaresztu, z którego wspominamy o okazach anatomicznych ciała murzyna, o czaszkach ludzkich różnych narodów z uwydatnieniem różnic etnograficznych. Klinika położnicza profesora *Madurowicza* wiele zajmujących udzieliła przedmiotów, tak pod względem zbroczeń miednicowych jak i używanych w niej narzędzi, częścią pomysłu samego przewodnika kliniki, częścią obcych położników.

Nie mała ilość narzędzi różnego rodzaju: semiotycznych, optycznych, chirurgicznych, elektrycznych, fizycznych wystawili technicy jak *Zwoliński* z Krakowa, *Pick* i *Weissblum* z Warszawy, *Elainger* i *Müller* z Wiednia. Blacharskie wyroby majstrów krakowskich pp. *Bąkowskiego* i *Filipowicza* odznaczały się dokładnością i trafnością wykonania, tudzież cenami przystępnymi. Dział

farmaceutyczny poczetne zajmował miejsce, zastąpiony licznie przez lekowników tutejszych i zamiejscowych, niemniej i fizyograficzny obfitujący może nie tyle w zbiory dokładne, ile w rzadsze i piękne szczegóły. Rzuciwszy jeszcze okiem na ściany przyozdobione w jednej sali popiersiami, w drugiej obrazami olejnymi, w trzeciej rycinami przedstawiającemi znakomitych przyrodników i lekarzy, i pokrzepiwszy się jeszcze na wychłodnioną wodą sodową darmo gościom na ich żądanie z hojności i narządu p. Hoffa aptekarza rozdzielanej, opuszczono wystawę zwracając jeszcze na dziedzińcu uwagę na wystawione furgony wojskowe, przeznaczone do przewożenia i przenoszenia żołnierzy rannych w czasie wojny.

Dnia 14 każda sekcya zebrała się osobno i zajmowała się przedmiotami swojego zakresu. W sekcji klinicznej pierwszy głos zabrał Dr. *Krajewski* z Hrubieszowa z Lubelskiego, odczytując troskliwie skreślony opis wyrosła tchawicznej, objaśniony okazem przechowanym w wysokoku i ofiarowanym dla tutejszego muzeum patologiczno-anatomicznego, a Dr. *Przystański* z Warszawy rozwinął dość obszernie rzecz o kumysie.

I jedna i druga rzecz dała powód do ustnych rozpraw, w których brali udział professor *Biesiadecki*, Dr. *Czerkawski* ze Lwowa, Dr. *Warschauer*, Professor *Rosner*, Dr. Ferdyn, *Nowakowski* z Warszawy i Dr. *Al. Kremer*.

O godz. 2-jej po południu był obiad spólny, którym rada miasta uraczyła szanownych gości.

Dnia 15 pracowano zwawo znowu w sekcjach. W klinicznej, która nas głównie zajmuje, Dr. *Wygrzywalski* z Piotrkowa mówił i rysunkiem uwydatnił pomysł swój utworzenia nowej wargi, po wycięciu dawniej z powodu nowotworu. Dr. *Kaczorowski* z Poznania opisał durzycę powrotną spostrzeganą przez niego w r. 1869. Dr. *Zielewicz* z Poznania historycznie wyjaśnił stosunek między opisem pomoru czarnego, który w XIV stuleciu panował, skreślonym przez społecznego *Gwidona z Kauliaku* a późniejszym pochodzącym od *Długosza*. Professor *Biesiadecki* dwa miał wykłady: jeden o zakończeniu nerwów skóry, drugi o naczyniach limfatycznych powłók powszechnych. O zasłudze *Purkyniego* w odkryciu i uznaniu znaczenia komórki w rozwoju i budowie ustroju zwierzęcego mówił Dr. *F. Nowakowski* z Warsz., Dr. *Kaczorowski* ze Lwowa o wściekliznie, a Dr. *Sciborowski* o zdrojowiskach krajowych. Porę popołudniową poświęcono zwiedzaniu zakładów i zbiorów uniwersyteckich. Dzień 16 września należał do spędzonych najmiliej, bo na łonie cudnej przyrody, częścią w Tenczynku, częścią w Dąbju.

Dzień 17 do południa poświęcony znów był pracy w sekcjach. W klinicznej tyle jeszcze zamówionych było głosów, iż ograniczyć się trzeba było do najtreściwszego skrócenia. Mówili zaś: Dr. *A. Czyżewicz* o kleszczach porodowych Madurowicza; Dr. *Mizerski* z Poznania o wypadku doświadczeń swoich przedsiębranych celem zbadania przyczyny żółtaczki. powstającej ze wstrzyknięcia soli żółciowych do krwi; Dr. *Swiderski* z Poznania o skuteczności wstrzykiwań podskórnych ergotynu przeciw krwotokom macicznym; Dr. *Janota* lekarz górniczy z Górki węgierskiej o leczeniu ran wyskokiem; Prof. Dr. *Stopezański* o zdrojowisku nowém w Bóbrce, którego działalność lekarską wyjaśnił Dr. *Tarkl* z Tarnowa; Dr. *Warschauer* o błonicy; Dr. *Steuermark* z Działoszyc statystycznymi spostrzeżeniami potwierdził skuteczność nastoju ciemięzycy (*Tinct. Veratr. vir.*) w zapaleniach płuc. Dla braku czasu cofnęli swoje wykłady Dr. *Oetinger*: Przyczynek do epidemiologii Krakowa i Dr. *Czerwinski* z Freiwaldau o użyciu hydroterapii w chorobach ostrych.

Po południu odbyła się wycieczka do Wieliczki.

W dniu 18 nakoniec odbyło się posiedzenie publiczne poźegnalne. Na témże prezes odczytał najprzód przesłane zaproszenie na zjazd międzynarodowy lekarsko-przyrodniczy do Florencyi. Potém prof. *Alth* odczytał rzecz o oleju skalnym w Galicyi wydobywanym i o umiejętném jego szukaniu i wyzyskiwaniu pod względem geologicznym. Następnie przedłożył rektor *Skobel* wzory tablic statystyczno-lekarskich, które zgromadzenie przyjęło.

Hr. Włod. *Dzieduszycki* podał wiadomość o swych zbiorach dotyczących fizyografii kraju. Odczytano dalej sprawozdania sekcyjne i wystawowe ogłaszając przyznane nagrody i pochwały. Z kolei przyszedł pod obrady wybór przyszłego miejsca zjazdu, który padł na Poznań. Na przedstawienie Dra *Swiderskiego* z Poznania, obrano prezesem przyszłego zjazdu Dra *Mizerskiego*, pozostawiając tymże złożenie komitetu gospodarskiego. Po załatwieniu tych czynności zamknął prezes *Majer* zjazd tegoroczny wymowném a serdeczném poźegnaniem.

— Dawny pomocnik dyrektora Obserwatorium Astronomicznego Warszawskiego p. Leopold Berkiewicz, Dr. astronomii, teraz posunięty został na profesora astronomii w Uniwersytecie w Odessie.

— Z. A. Helcel, pomimo ciężkiej i obłożnej choroby, posuwa w druku coraz dalej swoje „Pomniki prawodawstwa polskiego.”

Otrzymaliśmy obecnie odbitki na czysto od 81 do 90 arkusza włącznie. Wypisy z akt archiwum miasta Krakowa tu się rozpoczynają od 24 listopada 1457, dochodzą do 3 czerwca 1466 roku.

— Ogromne i bogate archiwum w Nieświeżu, spisane i urzędzone ostatecznie zostało, po wielu latach mozolnej pracy. Podzielonem zostało na dwie części: na Ordynacką czyli Radziwiłłowską i Witgensteinowską. Ostatniej spis dokumentów dokonany przez Symonowicza zajmuje sześć wielkich tomów *in folio*. Dotyczą one 8359 rodzin, i przenoszą liczbę 300,000 sztuk. Część Radziwiłłowska mieści się w 396 tekach, a każda zawiera po 500 sztuk. Bogusz-Szyszko dokumentów pergaminowych opisał 1245, uporządkował zbiór dokumentów historycznych i dyaryuszów sejmowych do 15,000, rozdzielonych na 70 ksiąg i 30 ksiąg dyaryuszów. Wszystkie dokumenta wynoszą sztuk 589,806.

— Krytycznej grammatyki języka polskiego przez ks. Franciszka Malinowskiego, na której wydawnictwo prenumeratę ogłosiliśmy w naszym piśmie, wyszedł zeszyt pierwszy, obejmujący pogląd historyczny na traktowany przedmiot.

— W Krakowie wyszedł z pod prasy przekład dzieła Batti'ego profesora ekonomii politycznej przy wydziale prawnym w Paryżu: „Nowy kurs ekonomii politycznej.”

— Czytamy w N-rze 186 Gazety Warszawskiej: Supiński zasłużony ekonomista, którego pracom należy hołd nawet obcy oddali, nie może znaleźć nakładcy na swoje dzieła. Zniechęcony że nikt ani drogą subskrypcyi zwrotnej nie łożył kosztu na powtórne wydanie dzieł jego poprzednich i nowego czwartego tomu, ani że nie mógł znaleźć nakładcy na swoją *Rachunkowość wiejską*, spalił rękopism. Nie jedną cenną pracą byłby autor ten przysłużył się literaturze naszej, gdyby miał za co trzymać skrybenta. Takto współcześni zapominają o tych, którzy dla ich dobra poświęcają siły i pracę.”

— W Krakowie kończy się druk *Kroniki Pawła Piaseckiego* biskupa przemyskiego. Polski przekład według dawnego rękopismu. Poprzedza studjum krytyczne nad życiem i pismami autora przez Juliana Bartoszewicza. Na czele zdobi popiersie Piaseckiego w pięknym drzeworycie.

— W katedrze na Wawelu, po lewej stronie od drzwi wchodowych, obok kaplicy św. Stanisława, stanął posąg Piotra Skargi

z kararyjskiego marmuru, dłuta Sosnowskiego. Dar to znakomitego rzeźbiarza, który i świątynie Warszawy przyozdobił dziełami swojego dłuta.

— Niemcy starożytnym Krakowem zajmują się gorliwie, badając tego grodu zabytki budownictwa i sztuki. W r. b. w Lipsku A. Essenwein wydał obszerną monografią z 80 tablicami p. n. *Sredniowieczne pomniki sztuki miasta Krakowa* (Die mittelalterlichen Kunstdenkmale der Stadt Krakau). Kosztowne to dzieło, bo na miejscu 16 talarów wynosi, odznacza się gruntownością i sumiennym opracowaniem.

— Dr. C. Goünhagen wydał pierwszą część dzieła p. n. *Regesten zur schlesischen Geschichte*, czerpiąc zasoby z archiwów Poznania, Krakowa, Pragi, Wiednia i Drezna. Tom ten obejmuje okres do roku 1250. Publikacja ta wychodzi w imieniu Towarzystwa Archeologicznego Szlązkiego.

— P. Pietraszewski lektor Uniwersytetu Berlińskiego, w zimowym semestrze 1869/70 r. czytać będzie grammatykę turecką i tłumaczyć *Kirk-Wezira*, tudzież język perski i zendzki.

— Karol Libelt ogłosił drukiem: „Wypadki z obserwacji całkowitego zaćmienia słonecznego z dnia 18 sierpnia 1868 r.

— P. Józef Chodoreński, wydał rozprawę p. n. „Rys historyczno-bibliograficzny prawodawstwa cywilnego i kryminalnego w dawniejszych Prusach południowych, i teraźniejszym W. Ks. Poznańskiem.”

— W Krakowie wyszła broszura p. n. „Komisya wystawy lekarsko - przyrodniczej krakowskićj. Katalog wystawy. Kraków. W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1869. W 8-ce. (Jest to szczegółowy spis przedmiotów wystawy z r. b. pomieszczonej w trzech salach).

— W Poznaniu ogłosił August Mosbach rozprawę historyczną: „Kilka kart z dziejów Austryjacko-Szlązko-Polskich, mianowicie za Zygmunta III.”

— Autor *Witoloraudy*, wydał: „Dante: Studya nad komedyą Boską”, w których znaczne ustępy oryginału są oddane w nowym autora przekładzie.

— W *Halli* 1869 r. wyszła dysertacja historyczna *Franciszka Osieckiego* p. n. *De regni polonici post regis Joannis Casimir abdicationem candidatis deque electione Michaelis Wiśniowiecki anno 1669* (str. 76).

Od redakcyi

BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie w roku następnym 1870, w którym pismo to zacznie trzydziesty rok życia. Literatura, nauki, umiejętności jak dotąd będą na przyszłość jedynym przedmiotem Biblioteki. Cena dotychczasowa utrzymana. W Warszawie rs. 9. Na prowincyi rs. 10. *Kto pragnie regularnie i w należytem porządku odbierać z poczty wychodzące zeszyty Biblioteki, niech wprost od siebie do księgarni Gebethnera i Wolffa (Krakowskie-Przedmieście Nr. 415) prześle prenumeratę rs. 10 i zarazem zawiadomi księgarnię, z której stacyi pocztowej zeszyty odbierać sobie życzy, a żadnego w przesyłce nie dozna zawodu.*

W r. 1869 wszystkie egzemplarze Biblioteki Warszawskiej z pierwszego półrocza wyczerpane zostały; dla uniknienia więc takiego braku w r. 1870, zechcą prenumeratorowie wczesnie zaraz po 1-m grudnia r. b. przysłać prenumeratę. Drukarnia bowiem odbija ilość egzemplarzy stosownie do ilości zgłaszających się prenumeratorów.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Wrzesień, 1869.

Wrzesień, 1869.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
długość w czasie 1^h 14^m 45^s, 7 czyli w łuku 18° 41' 25", 5

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
	6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1	753.89	754.89	754.04	753.99	754.203	+6.2	+11.8	+15.6	+10.6	+11.05
2	750.56	748.90	745.57	745.57	747.600	8.7	12.9	11.0	7.1	9.93
3	746.87	749.89	752.75	755.83	751.335	8.3	12.1	13.3	7.3	10.25
4	758.43	759.39	758.81	759.15	758.945	2.5	10.2	13.6	6.7	8.25
5	759.72	760.21	759.18	759.04	759.538	6.4	12.9	17.3	8.1	11.18
6	758.57	758.57	756.21	755.12	757.118	5.9	13.5	17.3	9.1	11.45
7	753.56	758.63	752.93	753.27	753.363	7.1	14.6	20.4	13.1	13.80
8	754.09	754.59	754.82	755.74	754.810	10.5	18.3	24.0	17.7	17.68
9	756.93	757.96	756.23	756.55	756.768	12.8	20.6	24.8	15.7	18.38
10	756.27	756.33	753.19	751.26	754.263	12.4	20.4	24.4	16.3	18.48
11	747.76	746.47	744.37	743.02	745.405	12.3	20.2	25.2	17.0	18.68
12	742.34	742.78	743.24	743.51	742.968	15.8	15.7	19.2	14.8	16.38
13	745.85	746.72	745.22	742.45	745.080	12.9	15.3	17.6	12.8	14.65
14	739.18	740.63	742.60	743.29	741.425	12.1	12.9	14.0	12.7	12.93
15	745.77	745.79	743.75	743.20	744.628	11.8	14.8	15.6	16.0	14.55
16	741.05	741.08	741.64	741.48	741.313	15.2	17.1	17.0	12.3	15.40
17	743.43	745.83	747.04	749.52	746.455	12.0	13.5	15.0	12.0	13.13
18	750.95	751.31	750.00	748.28	750.135	12.0	17.1	20.2	14.5	15.95
19	746.57	745.29	741.72	740.87	743.613	14.6	20.0	25.4	19.6	19.90
20	740.99	741.66	741.26	741.53	741.360	13.5	15.0	17.9	10.0	14.10
21	741.34	742.32	742.67	744.60	742.733	9.2	14.2	17.3	13.6	13.58
22	747.99	749.24	749.84	751.57	749.660	7.7	11.0	14.0	8.7	10.35
23	753.22	753.34	749.54	744.56	750.165	5.9	11.2	14.0	12.1	10.80
24	747.90	750.20	750.78	750.84	749.930	9.2	10.2	11.6	6.5	9.38
25	746.47	746.77	746.92	749.52	747.420	11.0	14.7	13.5	13.2	13.10
26	750.24	749.92	747.86	747.48	748.875	13.7	18.4	21.4	17.3	17.70
27	751.43	752.41	752.14	753.09	752.275	11.8	14.6	16.8	12.0	13.68
28	753.94	754.43	753.32	752.59	753.570	9.1	15.1	18.6	13.5	14.15
29	752.81	753.47	753.20	753.14	753.155	10.4	16.5	22.6	15.4	16.23
30	752.25	752.27	751.04	751.10	751.665	12.1	17.3	23.0	15.9	17.08
Śr.	749.679	750.193	749.398	743.355	749.658	+10°.44	+15°.08	+18°.03	+12°.72	+14°.07

w Obserwatorium Astronomicznem Warszawskiem.

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52° 13' 5",
na wschód względem południka paryzkiego.

Wielgoność średnia dzienna	S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Ilość wo- dy eo do wysokości w milim.		Wysok wody na Widła	
	6	10	4	10	6	10	4	10	dész.	śnie- gu	do na m.p.	do na m.p.
	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.				
60.2	pogodny	pogodny	napół pog.	pochm.	Z2.	Z1.	PnZ2.	Z1.			5	4
76.0	pochm.	pochm.	poc. desz.	pogodny	PdZ1.	PdZ2.	Z1.	Z1.	1.8		4	8
65.0	pochm.	pochm.	napół pog.	pogodny	Z4.	PnZ2.	PnZ2.	PnZ1.	2.5		4	2
66.0	napół pog.	pochm.	napół pog.	pogodny	Z1.	Pn1.	Pn1.	Z1.			3	7
65.0	poc. mgła	pochm.	pochm.	pogodny	Z1.	Pn1.	PnW1.	PdW1.			3	5
60.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	Pd2.	PdW1.			3	4
62.5	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	Pd1.			3	1
65.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd.	PdZ1.	Z1.	PdZ1.			3	0
67.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd1.	PdW1.	W1.	PdW1.			2	10
62.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	Pd1.	PdW1.			2	8
61.8	pogodny	pogodny	pochm.	pogodny	PdW2.	PdW2.	PdW2.	PdW1.			2	6
59.8	poc. desz.	poc. desz.	pochm.	pogodny	Z1.	Z1.	Pd1.	Pd2.	7.9		2	6
59.8	pochm.	pogodny	pochm.	pochm.	PdZ2.	Z2.	PdZ2.	Pd1.			2	4
80.8	napół pog.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ2.	Z3.	Z2.	Z2.	1.3		2	2
86.5	pochm.	pochm.	poc. desz.	pochm.	PdZ2.	Z2.	Z1.	PdZ1.	4.9		2	2
81.3	poc. desz.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ2.	6.7		2	1
78.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z3.	Z3.	Z2.	Z2.	5.3		2	1
71.5	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	0.2		2	0
50.3	pogodny	pogodny	pogodny	pochm.	Pd1.	Pd2.	PdZ2.	Z2.			1	11
74.3	poc. desz.	pochm.	napół pog.	pochm.	PdZ1.	PdZ2.	Z2.	Z1.	5.6		1	11
69.8	pochm.	napół pog.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	Z1.	Z1.			1	11
74.3	pochm.	napół pog.	pochm.	napół pog.	PdZ1.	Z1.	Z1.	Z1.			1	11
73.8	pogodny	pogodny	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	PdZ3.	PdZ4.	4.8		1	11
75.0	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	Z3.	PnZ2.	Z1.	PdZ1.	2.6		1	11
94.3	poc. desz.	pochm.	poc. desz.	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	Z1.	13.7		1	11
80.3	pochm.	pochm.	pogodny	pochm.	Pd1.	PdZ1.	Z1.	PdZ1.	0.1		2	0
68.5	napół pog.	pogodny	pogodny	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	Z1.			2	0
68.5	pogodny	pogodny	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	PdW1.	W1.	0.1		2	0
75.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd1.	Pd1.	PdW1.	PdW1.			2	10
81.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.			3	1
Śr.	71.1								37.5		2	7.7

Średnia wysokość barometru miesięczna	749.658	27	8.321
Najwyżsży barometr dochodził d. 5 o g. 10 rano	760.21	28	8.998
Najniższy — — d. 14 o g. 6 rano	739.18	27	3.675
Średnia dzienna zmiana barometru	3.606		1.598
Największa dzienna zmiana barometru d. 3—4 o godz. 6 rano	11.56		5.125
Średnia wysokość barometru jest mniejsza o	1.504		0.666
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	751.162	27	8.987
Średnia temperatura września wynosi	+ 14 ^o .07 C.	+	11 ^o .26 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.51		2.01
Największa zmiana dzienna temperatury d. 19—20 o godz. 10 wiecz.	9.6		7.7
Średnia temperatura września jest wyższą o	0.42		0.34
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	+ 13.65	+	10.92
Termometrograf wskazał: Maximum: + 25 ^o .8 C. = + 20 ^o .6 R. d. 9 i 19.			
Minimum: + 2.1 „ = + 1.7 „ d. 4.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 71.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 8,85 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest większa o 6.7 setnych od normalnej (78,4).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 57,5 mil. czyli 26,49 lin. par., więcej o 12,9 mil. czyli 5,72 lin. par., od ilości wody jaka zwykle a nas w wrześniu spada (44,6 mil. czyli 19,77 lin. par.).

Dni pogodnych 8, napółpogodnych 10, pochmurnych 12.

— deszczu 14: (d. 2, 3, 12, od 14 do 18,, 20, od 23 do 26 28).

— mgły 1: (d. 5).

— wichrów 4: (d. 3, 16, 17 i 23).

Wiatr panujący zachodni i południowo-zachodni.

Wrzesień b. r. był dość pogodny, suchy i ciepły. Średnia jego temperatura 11,2 stop. R. jest o 0,3 stop. R. wyższa od normalnej (10,9 stop. R.), a o 0,9 stop. R. niższa jak w r. z. W pierwszych kilku dniach miesiąca, przy niebie pogodnym, powietrze było suche i chłodne, od d. 6 przy zmianie lunacy i wiatru północno-zachodniego na południowo-wschodni, nagle temperatura się podniosła i już do końca miesiąca powietrze było w ogóle ciepłe, a czasami nawet (jak d. 8 do 11. 19, 30 i 31) gorące jak wśród lata, z wyjątkiem tylko dni chłodnych od 22 do 24, w którychto czasie księżyc przechodził przez równik niebieski. Największe ciepło 20,6 stop. R. było d. 9 i 19; najmniejsze zaś 1,7 stop. R. d. 4. Największa zmiana temperatury 7,7 stop. R. przypadała z d. 19 na 20 w czasie pełni księżyca. Barometr z początku miesiąca utrzymywał się dość wysoko; od d. 10 nagle opadał naczaj i potem już stan jego był w ogóle niższy jak zwykle. Największa jego zmiana dzienna 5,13 lin. par. przypadała z d. 3 na 4. Deszcze w ciągu miesiąca padały często lecz z wyjątkiem d. 25 nieobficie. Dni deszczu było 14, o 4 więcej jak normalnie. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był tak pogodny jak zwykle, stosunek bowiem dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych jest w stanie normalnym jak: 7,2: 10,9: 11,9, gdy w b. m. jest jak: 8: 10: 12. Wiatr panujący był zachodni i południowo-zachodni.

D. 20 i 22 koło białe otaczało księżyc a d. 22 słońce.

D. 21 rano widziano słońce boczne.

D. 2 o godz. 3 po połud. na stacyi telegraficznej Szemesze dało się uczuć lekkie trzęsienie ziemi.

D. 5 widziano w Paryżu zorzę północną.

D. 11 silne trzęsienie ziemi nawiedziło m. Bigore we Francyi.

D. 27 straszliwy orkan zniszczył parę wsi w okolicach Szui w gub. włodzimierskiej.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle. stop 2 cali 7,7 a.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 1. stop 5 „ 4 „ „

„ „ najmniejsza „ od d. 19 do 25. stop 1 „ 11 „ „

ESTETYKA K. BRODZIŃSKIEGO.

(Wstęp podług notat p. W. M.).

Wykład Estetyki zaczął K. Brodziński od téj uwagi, że dotąd nie zapatrywano się u nas na literaturę, ze stanowiska filozoficznego, a więc przedmiot, o którym mówić będzie, jest zupełnie nowy dla ogółu słuchaczy.

Filozofia ma na celu świat fizyczny i moralny; w obu-
dwu widać mądrość, dobroć i piękność. Żebyśmy je poznać
i ocenić mogli, dał nam Stwórca rozum, wolę i czucie. Rozu-
mem dochodzimy prawdy; wola prowadzi nas do działania
źle albo dobrze; przez czucie poznajemy piękność. Przeto filo-
zofia obejmująca naukę człowieka, składa się z trzech części.
Pierwszą jest *Loika* i *Metafizyka* i ta ma na celu prawdę;
drugą jest *Moralność*, ta wskazuje nam zasady cnoty; trzecią
Estetyka, ta uczy nas czuć i oceniać to, co jest pięknem.
Wszystkie te trzy działy filozofii dążą do udoskonalenia
człowieka. Rozum nie przyniesie pożytku lecz szkodę, je-
żeli zejdzie z drogi prawdy; zrzadzimy wielkie zło sobie
i społeczeństwu jeżeli serca zapomną prawideł cnoty. Te
dwie części filozofii, uzupełnia i podnosi uczucie i poznanie
piękności.

Zastanawiając się nad stopniowem rozwinięciem tak
pojedynczego człowieka jak całych społeczeństw, spostrze-
gamy, że uczucie piękności poprzedza wszelkie inne wrażenia.
Pierwsze pojęcia rozumu i dobroci, nabywamy przez wra-
żenie piękności. Pociąg do niej ponętniejszy jest i silniej-

szy w początkach, niżeli do mądrości i prawdy. Piękność rozlana po całym świecie, jest potrzebą życia naszego, tak pod fizycznym jak moralnym względem.

Od tego miejsca zaczyna się znaczny wyjątek z kursu Estetyki, zamieszczony przez Brodzińskiego w Noworoczniku *Jutrzenka*, wydanym na rok 1834. Wcielony będzie w całościowy zarys tej części kursów, ułożonej z notat p. W. M. a teraz zamieszczamy dwa wyjątki: jeden o *Ideale w życiu i sztuce*, drugi o *Ideale sztuki u Greków*, znalezione między ułomkami własnoręcznymi pism Brodzińskiego.

F. S. D.

L

IDEAŁ W ŻYCIU I W SZTUCE.

Ród ludzki żyje na tej ziemi, aby dążył do doskonałości. Jest to prawda, którą nam wszystko powtarza, którą sobie zawsze przypominąć winniśmy. Tej prawdy dowodzą nam dzieje od najdawniejszych czasów, o niej przekonywają nas nasze stosunki z drugimi i światem, o tém mówi wewnętrzne przekonanie, bez tej prawdy, nadzieja przyszłości naszej byłaby wątpliwą. Wszyscy może wiemy jak można, jak potrzeba postępować, a przecież nie jesteśmy w stanie tak czynić jak rozumiemy. *Vide etc.*

Nie mówię tego o obłudnych, ale mówię o powszechnej słabości naszej. A więc mamy wszyscy przed oczyma ideał doskonałości, i powołaniem naszym jest ciągle się w niego wpatrywać i ile sił naszych ku niemu dążyć. Tak całe życie jest sztuką; najcnotliwszy i najrozumniejszy mąż tak postępuje w życiu, jak czyni geniusz w utworach swoich. I w życiu tak jak w sztuce, potrzeba nam szukać tego co jest najlepsze; okrzesywać, przerabiać, łączyć i oddzielać, tak jak tego ideał doskonałości wymaga. Sztuka poezyi tém tylko od sztuki życia się różni, że w tej krążą myśli teoretyczne tylko, albo obłudne ideały moralnej doskonałości; tamta zaś wystawia nam je zmysłowo, wystawia ile być może w zupełności.

Tak, jako człowiek fizyczny, naturę przez pracę i smak swój upięknił, z dzikości okrzesał, tak powołaniem jest jego

okrzesywać z dzikości naturę swoją moralną, i dążyć do ideału piękności moralnej. Gdy tego w rzeczywistości nie mógł dokonać, idzie przed nim sztuka jako wieszczka, wskazuje mu przyszły jego obraz doskonałości, a razem powiększające zwierciadło jego wad i występków, aby kiedyś i sam zdążył do tego co w krainie piękności postrzega, co rozum jego uznaje i wewnętrzny głos czucia pochwała.

Jak się geniuszowi wystawia przed oczyma ideał najwyższej piękności, tak krąży przed nim zawsze ideał najwyższej doskonałości rodu ludzkiego; wszystko, co wyobraża, wyświeca i tworzy, przedsięwzięcie w tym świętym celu, w tej świętej nadziei, że to co jest dziś ideałem, kiedyś rzeczywistością się stanie. Po wszystkie wieki, i dotąd, marzyli ludzie o wieku złotym, o ludziach i szczęściu doskonałym, atoli filozoficznem dążeniem jest, aby te marzenia od przeszłości do przyszłości odwrócić, aby człowiek przez sztukę życia stał się kiedyś tém, czém myśli że był niegdyś przez samą tylko naturę. Tę drogę, tę pracę, wskazano ludziom tak jak Adamowi po utraceniu raję. Przestał on się na niego oglądać, ale na przyszłość zwrócił swe oczy, i poznał że ufnością w Bogu i pracą, czyli on, czy jego potomkowie, odzyskać go mogą. Ujrzał się śmierci podległym, ale czuł że na ziemi w synach swoich żyć będzie, i z błogą ufnością zlecił potomkom, aby wieczyście dziedzictwa swego szukali. Jeśli ono jest ideałem tylko, jest jednak najpiękniejszym, najmiłszem marzeniem, jakie człowieka zajmować może, a przynajmniej w tém dążeniu już indywidualnie używa naprzód tego, co jest najgodniejsze życzeń człowieka. Jak widzimy dziecię, które powoli rozwija swój rozum i moralność, a które dójść może do geniuszu Newtona, do cnót Marka Aureliusza, tak ten sam postęp widzimy w całej ludzkości, zwróciwszy oko na dzieje. Biedny ten kto tego nie widzi, temu nie wierzy; kto cząstki najmniejszej do tej budowy nie zostawi po sobie: próżno żył na tej ziemi. Żyć w duchu ludzkości i w Bogu, to jest jedyne powołanie i jedyne sposób aby prawdziwie żyć umysłowo; bez tego, istota nasza jest tylko samą fizyczną; cząstki jej przejdą w inne istoty, ale moralne jej życie nie przejdzie w ogólny skład świata moralnego. Wszystko, powtarzam, uczy nas abyśmy dążyli do ideału doskonałości spólnej. Otrzymaliśmy do wszyst-

kiego zapas od natury, ale samym nam zostawiono wszystko rozwinać, uzupełnić i wydoskonalić. Wszystko czém jest człowiek i co ma, winien Bogu, lecz winien i ludziom; oni torowali mu drogę nim przyszedł na świat, na której rozwinię siłę swego rozumu i uczuć, i on tę samą dla następnych dalej toruje. Rozum jest wspólnym skarbem ludzkiego rodu, wszyscyśmy z niego coś otrzymali; wszyscy do niego coś odnosimy, i dorobkami naszymi go zbogacamy. Rachujemy kombinacjami przodków naszych; potomność naszymi rachować będzie. Jakże dziś nas mało kosztują wiadomości które niegdyś z takimi trudami nabywać musiano! Od towarzystwa wszystko otrzymujemy, dla niego żyjemy. Ludzie umierają, ale ludzkość zostaje i jest nieśmiertelną. Jój głównym skarbem jest użycie sił, wydoskonalenie wszelkich zdolności. Wszędzie jest jój zasiew, tu on niszczy, ale tam wschodzi; tam leży śniegiem i lodem przykryty, ale ten śnieg okrywa i ogrzewa go aż przyjdzie pora. Tém uczuciem przejmie się tylko ten, kto daleki od egoizmu, kto się czuje nie dla siebie tylko stworzonym, ale połączonym z wyższym światem i z ludźmi, i kto wierzy w postępujące doskonalenie, w tę sztukę życia ludzkiego. To jest *Credo* każdego pisarza. Poeta który z tego źródła czerpie natchnienie, inném okiem zapatruje się na świat; on ma pewne wskazówki ideału doskonałości. Nie sam rozum śledzący wszystko, nie sama imaginacya we wszystko wśnić się umiejająca, ale owa w Bogu pojęta miłość, wszystko co było, co jest i będzie, bez żadnego interesu, bez egoizmu, potrafi przedstawiać bliźnim i obrazy doskonałości do jakiej dojść mogą, i obraz występków które ich szpecą. Temi uczuciami tchną prawdziwe geniusze.

II.

CHARAKTER SZTUKI U GREKÓW.

Tyle mówiąc o naśladowaniu natury, powinienem pokazać czém jest, i jak potrzeba naśladować naturę.

Nie masz zapewne nikogo coby nie przyznał, że cała natura dała sztukom początek; sztuki ją naśladowują i naj-

wyższym ich szczeblem jest największe do niej się zbliżenie. Lecz jeżeli naśladowanie natury jest pierwszym i głównym warunkiem, pewna jest że nie może być jedynym. Tym bowiem sposobem, każdy śpiewak dzikiego ludu powinienby być poetą najdoskonalszym, gdyż on jedynie za naturą idzie. Nie trzebaż więc jeszcze innego wzoru oprócz natury? Czyżby się zgadzało z przeznaczeniem ludzkim, którego powołaniem jest ciągle doskonalenie się, aby i w piękności tak jak we wszystkich umiejętnościach, nie korzystano z doświadczenia poprzedników? A więc, nie tylko w naturze ale i w sztuce wzorów szukać potrzeba. Któreż są te wzory? Niezawodnie pisarze ci którzy najlepiej zdołali naśladować naturę, którzy nie z drugiej ręki ale z źródła samego piękność wydobyli. W największych genjuszach nie można wszystkiego brać za dobre; w nich również jak w naturze wyszukiwać dopiero potrzeba co jest prawdziwie piękne. A nawet jest pewna słabość w ludziach, że prędsiej przejmą wady genjuszu niż się jego zaletami przejmą. Szekspir wydał naśladowców, którzy go przeszli w jego wadach a żaden nie osiągnął jego zalet. Czyż nie widzimy z żalem, że ten poeta przeciw samej naturze tak wiele grzeszy? Któż przy nim nie uczuje, że sztuka powinna być samym porządnym wyborem piękności? Trzeba nam więc drugiego ludzkiego wzoru, który pewną drogą poprowadzić nas może. Potrzeba nam szukać arcydzieł sztuki równie jak natury, potrzeba szukać, ideału doskonałości. Gdzież znajdziemy taką, która nie jest w sporze z naturą? która jak ona jest nieprzemienią, którą sąd i uczucie wszystkich ludzi, przez długie wieki za najdoskonalszą uznał? Znajdziemy ją jedynie u Greków. Przepis Horacego służyć będzie po wszystkie wieki wszystkim narodom: „*Vos exemplaria Graeca nocturna versate manu, versate diurna.*”

Do licznych dowodów które za Grekami przytoczyć można, ten za najpierwszy uważam, iż Grecy sami najbliżej naśladowali naturę. W sztuce nie byli uczniami żadnego innego narodu, i oni sami, można powiedzieć, utworzyli prawdziwą sztukę. Oni byli pierwszym narodem usamowolnionym, u którego nauki nie były przywilejem kasty kapłanów jak w Egipcie. Przeto u żadnych innych narodów, od których nawet Grecy światła zasięgli, nie znajdziemy ani tak szla-

chetnej architektury, ani w całości swojej tak wykończonej poezji, a żadnych prawie dzieł malarstwa i rzeźby. Budowle wszystkie, były, jak egipskie piramidy, olbrzymie, bez smaku, poezye utworami samej imaginacyi, w których spokojnego rządzącego rozumu nie widać. Grecka tylko literatura ma arcydzieła we wszystkich rodzajach, we wszystkim jaśnieje piękność planu, wykończenia, wdzięku i świeżości. Tak w swych dziełach szczęśliwi byli, że one tak jak natura, jeden prawie obraz stanowić mogą. Jak Thucydides nazwał Ateny Muzeum greckim, tak cała Grecya jest świątynią sztuk pięknych, z której wszystkie narody z barbarzyństwa wyszłe, wzory we wszystkim otrzymały.

Najwłaściwszy przymiot jaki filozofowie Grekom przyznają, jest że ich zowią narodem młodzieńczym. Entuzjazm tego ludu, skłonność do piękności, nieograniczona miłość chwały, najżywsze uczucia przyjaźni, ciekawość, wesołość, miłość zabaw, co wszystko tyle Greka cechuje, są to znamiona młodzieńczego narodu. Dla tego wszystko w naturze było mu nowem, zajmującym; jak sam pełen był życia, tak wszystko co w naturze widział ożywiało, dla tego poezye jego można przyrównać do wiosny jak romantyczne do jesieni. Był to lud, można z Szyllerem powiedzieć, jak Pigmalion, który martwy głaz póty do serca przytulał, aż własnem czuciem go natchnął i ożywił. Grek na wszystko patrzył, wszystkiego doświadczał, on widział kraje, morza i wojny, nie zaś czytał o nich; ztąd ta żywość jego obrazów. Wszystko u nich żyło co tylko pod zmysły podpadało, a wszystko co żyło, musiało się w nadobnej postaci objawiać.

Ogniste pod Olimpem bryły gwiazd rozsiane
 Krążyły przed nim ludzką postacią odziane,
 Feb z wozu ogniem skrzący za Aurorą dążył,
 Wóz Luny, wstydem świetny, błędnym śladem krążył;
 Godziny zmysłom obce, błogie czasu plemię
 Poprzedzały wóz ojca kwiat roniąc na ziemię;
 Ledwo Aurora łoże rzuciła Tytana,
 Już Flora od Zefira po kwiatach ścigana,
 Irys most różnobarwy zarzuca ku ziemi
 I córy oceanu gonią za lubemi;
 Oreada się wieńczy i tęsknotą tchnąca,
 Z góry, wabiąc kochanka, gałązkami trąca.

Grecy żyjąc w najrozkoszniejszej ziemi na rozproszonych wyspach, wśród górzystej a wszędzie kwitnącej natury, przez sztukę chcieli z nią iść w zawody. Od tej pięknej natury odebrali to, czem ona natchnąć może, to jest wesołe, czarowne wyobrażenia. Tak oni błogie, poranne jej obrazy odmalowali, jak smutne północne narody, tworzyły w ciemnych swych borach okropne mary nocne, i tak twardych bogów wystawiali, jak była twardą ich ziemia lodem okuta. Nawet przedmioty okropne, Grecy starali się pięknnością ozdabiać. Piekło u nich miało swoje piękności i czuło litość. Tam słodka bogini, córka Cerery, łagodziła surowego Plutona; tam niewzruszeni sędziowie dźwiękiem lutni Orfeja dawali się zmiękczać; po piorunach nawet zagniewanego Jowisza, pogodna Irys zarzucając wstęgę z nieba do ziemi, zwiastowała ułagodzenie Boga i lube jeszcze ziemi z niebem stosunki.

Grecy tylko umieli wszystko idealizować, to jest każdej piękności i kunsztu, każdej poezyi wystawić wzór ogólny, wydoskonalony. Nie dość że czasom nieżyjącym nadali życie, ale nie było u nich miejsca, gaju i świątyni, z któremiby się nie łączyły podania historyczne uniesmiertelnione przez poezję. Każda znakomitsza rodzina miała swoje podania bajeczne; ich mity, allegorye, przybrały postać łatwej wesołej fikcyi, pełnej filozoficznej prawdy, jak np. wyobrażenie Psychy. Tu płynęło źródło Picryjskie, z którego pił Homer, tu tańczyły Nimfy i Gracye, tu Amor krążył koło lutni Anakreonta, tu wieńce olimpijskie uwieńczają skronie zwycięzcy i razem poety który go opiewa. Tu przed pasterzami odśłania natura całą swą piękność.

Najgłówniejszą cechą ich poezyi jest, że wystawia pewny, silny i najprostszy obraz ludzkiej natury. Grecka poezya jest pełną siły, ale bez surowości, pełną wdzięków bez zniechęcałości; najmocniejsze uczucia najspokojniej wyraża; łączy piękną obyczajność z energicznem oddaniem namiętności; nigdzie nie jest jednostronną ani przesadzoną, przegląda razem wszystko i podług własnej miary. Czysta, wyraźna natura, wszędzie w niej jaśniej.

Ta pogodna spokojność ich poezyi, jest to na co dziś trzeba najwięcej zwracać uwagę. Homer z taką spokojnością maluje bitwę przy zwłokach Patrokła, jak opisuje uczy w domu Menelaja. Patrzy on na świat przez siebie

utworzony, jak Jowisz na świat istotny; czyli małe czy okropne obrazy maluje, czy pokój czy namiętność, nigdy pędzel nie drży mu w ręku. Jowisz piorunem zbrojny, spokojną i łagodną ma postać. Herkules nawet, owe symbolum męztwa i siły, spokojnym zawsze jest w ich posągach. Nawet wesołość, Grek zawsze tak jak bogów, spokojną maluje; to nam pokazują ich ideały we wszystkich kunsztach.

Wdzięk obyczajności, obraz moralnych uczuć, nigdzie z większą prawdą nie jest oddany jak w greckiej poezyi. Moralność w poezyi nie objawia się przez szumne sentencye, ale przez żywe obrazy. Tęj moralności nie naucza poeta ale rozlewając jej ducha we wszystkim co mówi, posyła ją tajemnie do serca słuchacza. Tak żyć ciągle z cnotliwym człowiekiem, zapatrywać się na jego postęпки, więcj jest niż słuchać najwięcj nauk moralnych. Moralność tak się ukrywa w obrazach poezyi, jak Bóg w tym ogromnym świecie. Przez to co zmysłom naszym objawia, zgadujemy go i kochamy; tak równie przez zmysłowe obrazy poezyi, przejmujemy się błogimi uczuciami. Grecka poezya nie każe nam uciechami życia pogardzać; przypadkowym nieszczęściom każe śmiało się stawić, i mężnie je znosić; samą śmierć, jako ostatni dług natury, ostatnie jarzmo konieczności znieść bez szemrania. I Grecy smutno zapatrują się na nędzne życie człowieka; tak je uważa Homer i Sofokles, ale i młodzieniec ginący pod Troją, i Ifigenia idąca na smutną ofiarę, a nawet sam przebijający się Ajax, według natury okazuje przywiązanie do życia. To jest prawdziwe heroizmu malowanie, gdyż każdy bohater na scenie, przestaje być charakterem poetycznym, skoro w heroizmie swoim nic ludzkiego nie czuje! W ilużto tragikach tegoczesnych, tych nawet którzy Greków wystawiają, widzimy raczej zimnych stoików niżeli ludzi czujących wartość i życia i cnoty. Jakże to Homer i Sofokles na każdą cnotę, na każdy występki po ludzku patrzą! Czemuz przy naszym udelikatnioném czuciu, nie naśladujemy Greków w tém najwyższém pojęciu natury ludzkiej i sztuki, że oni nigdy zimnej, zupełnej, wyrachowanej zbrodni, w poezyach swoich nie wystawiają? Grecy na wygnanieby skazali poetę, któryby np. wystawił Atreja z tak zimną rachubą zemsty, jak to w nowszych tragediach widzimy. Natura ludzka oburza się na podobną zbrodnię, zepsucie

tylko smaku, i najgrubsza nieznajomość klassyczności może to uważać za charakter godny tragedyi. Grecy jeżeli wystawiali zbrodnie na scenie, wtedy wystawiali zbrodniarza jako ofiarę nieodgadnionego fatum, który jego ręką popchnięty, występki popełniał; tak obudzał litość, a przez obraz zgryzoty sumienia, żywił wstręt do wszystkiego co jest przeciwne moralnym uczuciom. Tym tylko sposobem Edyp jest razem heroicznym i łzy litości wyciska. Wszystkim szukającym wzorów w tragediach francuzkich, ta uwaga przewodniczyć powinna: jest ona cechą nieodzowną sztuk klassycznych, o nią i serce ludzkie i rozsądek woła. Nie tylko Horacemu, w tragedyi tego imienia, ale wielu bohaterom francuzkich tragedij można powtórzyć ten pięknie przełożony wiersz Kornela, którym odzywa się Kuryacyusz:

„By przecie coś ludzkiego w méj duszy zostało.”

Nawet w religijno moralnych wyobrażeniach, według pojęć ich mitologii, dążyli Grecy do uczuć nieskończoności.

Jak wszyscy artyści nasi do Włoch podróże odbywają, aby na miejscu piękne kunszt i ziemię klassyczną widzieć, tak poeta każdy, oznajomić się winien nietylko z poezją, Greków, ale z całemi ich dziejami. To jest, powtarzam, najpierwszy wzór po naturze. Obyczaje, zwyczaje i mitologia Greków, nauczą równie smaku jak wzory ich poezyi. Do rozwinięcia tego smaku wiele się zapewne przyłożyło piękne ich niebo. Ale wszakże i dziś nieczuły na wszelką piękność mużułmanin, żyje pod témże niebem; zimno on jednak zasypia pod gruzami tych świątyń, które zachwycają oświeconych podróżnych. Musiały więc być i zdolności duszy, musiało być wprzód nasienie, nim z niego to piękne niebo wdzięczne rośliny wywiło, bo pod najpiękniejszym niebem, ziarno ostu oset tylko wydaje. Głównym charakterem tego zarodu było u Greków, że wszystko co pod myśl podpada, uważali za przedmiot rozwagi, za ćwiczenie umysłu, że ich wszystko zajmowało, cokolwiek do udzielania myśli i uczuć należy, zgoła, że byli narodem *ciekawym*. Nic tak nie dowodzi tępości ludu jak owa zimna na wszystko obojętność, jak owe zmysłowe tylko używanie świata. Największy geniusz jest głosem na puszczy wśród takiego ludu. Naród

francuzki przez tę skłonność zbliżył się do najwyższego stopnia kultury. W tém zapewne uczuciu powiedział Szyller w jednym z swoich epigrammatów, wspominając na Greków:

Powiedz mi gdzie się owi śpiewacy podzieli,
 Co skłonny lud ożywcém pieniem zachwycali?
 Ach! oni żyją jeszcze, lecz lutnia ich głucha,
 By ją wzbudzić, brak czynów; by słyszeć. brak ucha.
 O szczęsny greckich wieków śpiewaku, twe pienia
 Z ust do ust, z pokolenia szły do pokolenia.
 Jak przed bóstwem, naówczas lud przed tym się korzył,
 Co mu pędzlem lub dółtem genjusz utworzył;
 W słuchaczach śpiewak żywił i czytał zapały,
 Ich serca, jego pieśni ogniem oddychały.
 Ludom się zewnątrz bóstwo niebieskie zjawiało,
 Które dziś z serca nawet już zniknąć się zdało.

Piękność była u Greków powszechną żądzą, która wszystkie rodzaje kunsztów łączyła. Sąd o nagrodę w kunszcie, tak był uroczystym, jak sąd o nagrodę męztwa. Wódz który odniósł palmę marsową, ubiegał się o palmę artysty. Wszystkie obrządki religijne i domowe, były popisem kunsztów. Gdy nastał czas igrzysk olimpijskich, wszystko co Greka imię nosiło, w jedno się miejsce zbiegło, ustawała na czas krwawa wojna i niezgoda, nieprzyjaciele ubiegali się razem o palmę za zręczność i siłę, za poezją i kunszta. Śmiercią karano tego, coby pieniądze na uroczystość publiczną złożone, na co innego obrócił. Wojna o piękność była u nich pierwszą. Nie mieli oni jak Rzymianie chęci podbijania barbarzyńców, dla tego, ażeby spokojnie używać mogli swych kunsztów i obyczajów. Wszystko co mogło dodać blasku sławnym imionom, co chwałę narodu wynosiło, było ich pierwszym interesem. Pisarze tragiczni szli czynić ofiary na grobie Eschyla, nim pierwsze dzieło swoje wystawili. Poeci śpiewali swe dzieła jedynie w czasie uroczystości publicznych, przy muzyce, wśród tego usposobienia umysłów, w jakim są zawsze ludzie licznie w jednym celu zebrani. Przy stołach chodziła z rąk do rąk gałązka, którą otrzymujący, obowiązany był śpiewać; wszystkie miejsca publiczne, świątynie, przechadzki, napełnione były posągami i obrazami. Mimo tego, ten wytwór sztuki nie oddalił ich jak nas od natury. Nic nie masz mniej poetycznego jak nasze teraźniejsze

obyczaje. U Greków wszystko było razem religijne i piękne. Przed ucztą lano bogom ofiary, u progu zginano kolana przed gościnnym Jowiszem; życie rolnicze, polowanie, pasterstwo nawet najdawniejszych bohaterów zbliżało poczycę obok sztuki, do prostoty, do natury.

Dołączmyż do tego, że te wszystkie poezye, posągi, obrazy, nic innego nie zawierały tylko to co było narodowém. Jak w tych kunsztach, można powiedzieć, utworzyli sobie drugą naturę, tak w nich razem zachowali sobie drugą ojczyznę. Bogowie ich nawet byli w obyczajach swoich Grekami; greccy najdawniejsi bohaterowie byli bogami. Ta sława rycerzów, obywatelów, geniuszów, wszędzie przypominała ojczyznę, sławę narodową, używali, że tak powiem, razem przeszłości i obecności. Tak kunszt nie były samą tylko zabawą, ale miały narodowe dążenia. Ukształceni po narodowemu, podróżowali po wszystkich oświeceńszych krajach; wszystkie nauki i smaki rozważali, umieli je po swojemu wydoskonalać, i w tém ich najwięcej naśladować należy. Rzymianie w czasach swych najświetniejszych, byli tak Greków uczniami jak my Francuzów. Nic prawie nie ma ich literatura, czegoby Grekom winną nie była. Arabowie, którzy tak odrębne obyczaje wnieśli do Europy, byli pierwszymi Greków czcicielami; Europa po zupełnym upadku smaku, w Grekach tylko znalazła ratunek. Poezyi średniego wieku nie zbywało na treści i uczuciu, ale nie miała formy i smaku. Wszystkie sonety, madrygały, ani scholastyczność, ani rymy, nie mogły jęj nadać przepisów. Odgrzebanie dopiero starożytnych, okazało im sztukę. Trudno opisać z jakim zapałem Petrarka i całe Włochy w XIV wieku rzucili się do starożytnych. Ta znajomość pisarzy klasycznych, uchroniła tych którzy ich dobrze pojowali, od fałszywej galanteryi, od przesadzonego rycerstwa, od zle zrozumianej pobożności, zgoła, od wszelkich obrazów i uczuć nienaturalnych. Od Etny do Hekli, od Tagu aż do Wisły, rozległ się wszędzie głos uwielbienia starożytnych, wszystko się u nich uczyło, ich naśladowało. Dotąd wszelka krytyka i filozofia w Europie, ze szczeru starożytnych rozkwita; uajślawniejsi krytycy ich są tylko uczniami. Z nimi rozpoczyna się kultura wszystkich europejskich języków, i w poczyci i w prozie: tego wszędzie historia dowodzi. Żaden naród dzisiejszy nie jest

tak oryginalnym w swoich pomysłach jak Anglicy, a przecież nigdzie więcej jak w Anglii nie kwitnie dotychczas grecka literatura. Jak u nas nowożytny języki stanowią główną część wychowania, tak w Anglii znajomość Greków i Rzymian jest główną rzeczą po szkołach.

Wszystkie wielkie geniusze, które miały szczęście znać starożytnych, byli ich tak jak natury czcicielami, chociaż w pismach swoich nie byli niewolniczymi onych naśladowcami; takim był Petrarca, Tasso, Milton, Raszyn i wielu innych. Szyller w pierwszych swych dziełach, jak np. w tragediach „Zbójcy” i „Fiesko,” gubi się w pełni własnego geniuszu, nie prowadzonego tą miarą i smakiem, jaki tylko Grecy wskazali, ale wnet w późniejszych utworach znać pilność jego w badaniu klasycznych wzorów, jak o widzimy w Maryi Stuart i wszystkich jego późniejszych tragediach. Tu dopiero widać baczną rozporządzenie całości, unikanie czezych chociaż genialnych pomysłów, łatwiejszą i dostępną dla wszystkich filozofią: zgoła umiarkowanie charakterów i unikanie przesady.

Obiedwie, tak dziś przezwane szkoły klasyczna i romantyczna, uznają Grecyą za źródło prawdziwej sztuki. Równy hołd składa Homerowi Boileau jak Byron, Dante jak Pope i Milton. Jak się o Homera greckie miasta kłóciły, tak śmiesznie chcą sobie go przyznawać stronnicy szkoły klasycznej i romantycznej, i daj Boże aby obie zarówno z niego korzystać umiały. A więc tu jest wzór najdoskonalszy.

Ale jeżeli krytyka jednym głosem we wszystkich europejskich narodach woła zawsze aby Greków wertować: ja w szczególności dla polskiej literatury nie widzę nad ten lepszego środka. Upraszam o cierpliwość, abym jeszcze o tém mógł wykryć uwagi moje, które daj Boże, aby kiedyś widoczniejszymi być mogły.

My Polacy niezawodnie więcej do Greków się przywiązać winniśmy, niżeli Anglicy i Niemcy, których język ani początki nie z niemi nie mają wspólnego. Więcej się przywiązać winniśmy do nich, niżeli Włochy, Francuzi i Hiszpanie: bo chociaż ich języki są córkami starożytnych, są tylko zepsutymi córkami; nasz język przeciwnie, jest równikiem greckiego ze swęj natury, lubo przez inną kulturę wyrobiony. Obyczaje naszych przodków bez porównania

więcej przybliżają się do starożytnych, niż obyczaje w średnich wiekach narodów południowych i Niemiec. W wieku XV, kiedy starożytna literatura bliżej naszym przodkom być poczęła znajomą, przejęli ją z sercem niezepsutem przesadą. Dlatego, gdy ta literatura obudziła gdzieindziej szermierstwa uczone i szkolne naśladownictwo, nasi ojcowie zapragnęli ją zaraz zastosować do życia. Gdy w XVI wieku grecki język powszechnie był wprowadzonym, nabrali Polacy nie tylko prawdziwego gustu, ale i swoim językiem pisać się odważyli, gdy dotąd łaciński tylko był powszechnym. Dopóki się nie oznajomili z nowszymi językami, kwitnął w dziełach Kochanowskiego i Szymonowicza prawdziwie attycki smak i prostota, lubo jeszcze nie było odwagi puszczenia się o własnych siłach. Ale im więcej bogaty złotem Ameryki naród hiszpański, zaczął dawać ton w Europie, wnet z tym dworskim podówczas językiem i z sukniami hiszpańskimi, wkradła się do nas owa romantyczna przesada. Już w Twardowskim jej zaród, a w późniejszych nieco pisarzach zupełnie ją samą widzimy. Obok tego, pedanteria szkolna coraz się mocniej korzeniła, i oto jest powódz co nam zalała piękny już tór ku smakowi starożytnych, która nas w zatopie swoim dłużej zatrzymała niż inne narody. Przyszła później kolęj na Francuzów, których dwór był wzorem całej Europie: nam nie wypadało jak pójść za nimi. Cośmy na tej drodze stracili a co zyskali, dużyoby o tém mówić. Krótko powiem, że uwielbiam z wielu względów obyczaje i literaturę Francuzów, osobliwie tę, która te obyczaje maluje; ale czemuż mam się wahać z wyznaniem, że w ich wyższej poezyi nie upatruję aby doszli do ideału doskonałości. Cóż ich od tego wstrzymało? oto fałszywa pompa w tragediach, której Grecy nie znali, oto galanteria najprzeciwiejsza pięknej naturze Greków, zgoła, duch romantyczny ubrany tylko w formę źle zrozumianych Arystotelesa przepisów. Ale że zwykle ten sobie ton nadaje, kto jest najmocniejszy, przeto Francuzi ogłosili się klasykami, równymi, jeżeli nie wyższymi od Greków. My Polacy przyjęliśmy te fałszywe kopie klassyczności za oryginał. A tak, wyszła nam z pamięci wzorowa klassyczność Greków i narodowość nasza. Ktokolwiek chce poznać jak daleko Francuzi zdołali Greków doścignąć, niech czyta Henryadę obok Iliady, Krebillona

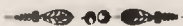
obok Sofoklesa. Cenić należy geniusz Kornela, prawdziwie mistrzowskie pióro Rassyna, ale pamiętać przytém, że obaj ci pisarze wiele poświęcić musieli miejscowości, modzie swojego wieku, i że właśnie w tém naśladować ich zupełnie nie można, tak jak oni nie byli zupełnie Greków naśladowcami.

Wielu dzisiaj patrząc na tę monotonię francuzkich tragedyj, pełnych deklamacyj politycznych i już przebranych tyrad miłosnych, zwraca się do romantyków, gdzie widzi czerstwiejszą acz surową naturę. Lecz tym sposobem przechodzi z jednéj ostateczności do drugiej. Tu widzi pewne wyuzdanie, tam niewolę; tu przesadzoną, tam skrępowaną naturalność. Tam widzi surową sztukę, tu surową naturę. Nie lepiejby więc wrócić się do ideału doskonałości tak sztuki, jak natury, t. j. do Greków. Przy tém źródle niktby się z Polaków nie wahał między francuzką a angielską szkołą, nauczyłyby się że nie szkoła, ale natura jest jedyną poezyi mistrzynią.

Kto zna dzieje dawnych Słowian, a które na szkodę tak u nas są zaniedbane, ten wie jak niezawodne ma współnictwo z Grekami, nasza dawna a nawet bajeczna historia. Wiemy jak wiele nazwisk miast, rzek i sławnych mężów Tracyi, dotąd w słowiańskim języku jest zrozumiałych, jak według historyków, pierwotny ród słowiański równie ztamtąd bierze początek. Sama nawet mitologia dawnych Greków, z odmianą tylko nazwisk, z usunięciem tego co później greccy poeci dodali, okazuje jedne z Grekami podania, zasady religijne i allegorye. Wielu kronikarzy naszych, oraz śpiewacy Lechiady, Sarbiewski i Skórski, od Greków ród nasz wywodzą. Oni byli i później najucywilizowańszymi Słowian sąsiadami; od nich wschodni Słowianie kulturę przejęli. Pieśni ludów słowiańskich, mianowicie Serbów, dotąd najwięcej są podobne do pieśni nowogreckich. Oni najpierwsi, i to w sposób łagodny, przynieśli do nas światło religii chrześcijańskiej, z ich języka mieli wschodni Słowianie najpierwsze przełożone pisma. Czyż do wszystkiego co o sztuce greckiej mówiłem, nie może być i to powodem, abyśmy się z ich literaturą poznawali, abyśmy kiedyś w mnóstwie słowiańskich dyalektów mieli tak jak Grecy w swoich,

jeden smak i literaturę. To jest wielkie, nowe i oryginalne dla nas pole.

Z wszystkiego com dotąd mówił za Grekami, nie wypływa przecież abyśmy ich zupełnie naśladowali. Z religii chrześcijańskiej czerpać możemy daleko wyższe ideały moralności; nowa kultura i obyczaje, równie piękne mogą nasuwać obrazy. Wprzód jednak, nim pod tym względem ducha nowój poezji przejdziemy, obaczmy pokrótce najpierwsze dzieło greckie Iliadę, pod względem tych moralnych dążeń, o których była mowa zeszłej lekcyi.



CHARAKTERYSTYKA XIX WIEKU.

(Podług R. Gottschalla).

SKREŚLIŁ

Artur Sulimierski.

Wiek, w którym żyjemy, jest dla nas sfinxem rozmaicie przez tych lub owych tłumaczonym; prawdziwe zaś rozwiązanie zagadki przyszłość dopiero wynajduje. Że wiek obecny nie jest wiekiem zastoju i uśpienia ducha ludzkości, ale raczej epoką nieustannego we wszystkich kierunkach postępu, na to zgadzają się najsprzeczniejsze nawet zapatrywania; tylko że gdy jedni uznają postęp ten jedynie pod względem materialnego dobrobytu, upatrując w dziedzinie ducha błędne tylko kółko ideałów przeszłości; drudzy przeciwnie widzą olbrzymi rozwój umysłowy, poczynający nową erę.

Honegger w dziele swoim (1) poświęconem badaniu znaczenia i charakterystyki XIX wieku utrzymuje, że postęp historii i literatury objawia się w massach. Według niego działają przeważnie zdolności i umysły średnie, wpływ jednostki coraz słabszy, geniuszu twórczego nie znajdzie ze świecą; za to duch kombinacji i talent praktyczny rozwinięte więcej niż kiedykolwiek. Zapatrywanie to stało się tak powszechnem, mamy dziś tak stanowcze przekonanie o demokratycznym ruchu mass, że w tém właśnie upatrują wyróżniający charakter naszego stulecia.

(1) *Literatur und Cultur des 19 Jahrhunderts, in ihrer Entwicklung dargestellt von J. J. Honegger (Leipzig J. J. Weber).*

Sam geniusz nawet, stał się podobno własnością mass.

Jakkolwiek massy zawsze przyczyniały się wielce do historycznego rozwoju, to jednak wszędzie gdzie tylko występowały twórczo, działało się to instynktem rozbudzonym w nich dopiero przez genialne indywidua. Geniusz wyrasta z mass, bo téżto właśnie jest owa wyższa potęga duchowego ożywienia, i nie podchodząca pod zwykłe kombinacye cyfra rachunku historii.

Zastanowiwszy się wszechstronnie nad powtarzaném często ubolewaniem, że w naszych czasach zbyt rzadko zjawia się wybitna osobistość; nie możemy go podzielać, bo ludzi prawdziwie wielkich nie tak znów wielu liczymy w historii, żeby mogli w przeciągu pół-wieku, w ścieśnionych występować szeregach. Czémże jest pół wieku dla rozwoju ludzkości? Są wprawdzie epoki jaśniejące całemi grupami geniuszów, tak jak są przestworza niebios zasiane gęsto świetnymi konstellacyami; ale w zwykłym porządku rzeczy promienny geniusz, jak mówi Börne, w dalekich błyszczy odstępach. Jeżeli zatém nie ukaże się w przeciągu lat 50, nie znaczy to bynajmniej, że te lata są straconemi dla historii.

Ale któż ze współczesnych odgadnie ów geniusz goszczący między nimi? Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, a mało kto za życia! Jakże małą była zrazu liczba wyznawców Chrystusa, a jak wielką przeciwników, jak niezmierną obojętnych! Tylko twórca religii, tylko pierwszy ożywieni boskim duchem wyznawcy przepowiadali jęj tę ogarniającą świat przyszłość, która dopiero z biegiem wieków ziścić się miała. Wielcy poeci i artyści, zyskują wprawdzie uznanie współczesnych, ale jedynie subtelne uczucie duchowego ożywienia, potrafi za życia ozdobić wawrzynem nieśmiertelnego, potrafi wywyższyć go z cisnącego się tłum, wśród którego wielu cieszących się chwilowém powodzeniem, stoi pozornie wyżej od istotnych wielkości. Dramatyczny geniusz Szekspira nie imponował spółczesnym, chociaż tu i owdzie pojedyncze głosy przepowiadały mu świetną przyszłość; z drugieij znowu strony nie wiadomo nam, czy prorocy jacy nie obiecywali również nieśmiertelności takiemu Marlowowi, Greenowi lub Ben Jonsonowi. Szekspir zajmo-

wał silnie i bawił spółrodaków; królowa i lud staréj Anglii zawdzięczali zręcznemu dyrektorowi teatru i dramaturgowi, nie jeden mile spędzony i żywo zajmujący wieczór, a jednak nadobna władczyni, zazdrosna o własny wieniec, niezdobny niestety żadnym listkiem mirtu, byłaby poczytała za szaleńca każdego, ktoby jéj przepowiedział, że wieniec poety zachowa dłużej zieloność od jéj własnego.

Czytajmy tylko zdania spółczesnych o Szekspirze. Po większój części, nietylko nie uważano go na równi z innymi, ale napadano gwałtownie jako na mierność strojącą się w cudze pióra, jako na pozbawionego smaku kompilatora rzeczy gotowych. Wielu upatrywało w nim zaledwie dobrego reżyssera, zdolnego z dwóch sztuk danych sklecić trzecią!

Najśmielszym nie przeszło nigdy przez myśl, że kiedyś portret jego znajdzie zaszczytne miejsce w galeryi Westminsteru. Na Szyllera jako autora „Zbójców” patrzono długi czas niechętnie w arystokratycznych kołach Wejmaru, widząc w nim tylko szalony konterfekt Kotzebuego; i nie mało upłynęło czasu, zanim były chirurg został nareszcie hofratem, zanim ostatecznie jego tragedye zbudziły przeczucie trwalszego powodzenia. I tylko niespełna trzy lata cieszył się Szyller ustaloną sławą poety. Goethe żył długo zbierając wzrastające ciągle hołdy i oznaki powszechnego uznania, ale pomimo że pod tym względem mógł się liczyć do szczęśliwych śmiertelników, nie obeszło się i tu bez cienia; często nie szcędzono mu gorzkich wyrzutów. Naodwrot ilużto zapalonych zwolenników, a nawet ludzi uznanéj powagi, przepowiada nieśmiertelność tym, których utwory w nader krótkim czasie idą w zapomnienie? Ileżto razy świeczniki intelligencyi zapewniali zacnego Tiecka, że imię jego przejdzie po wszystkie czasy do potomności, gdy tymczasem już dziś o najpierwszych z dzieł jego przepomniano!

W obec téj niepewności sądu spółczesnych, któż ośmieli się wyrokować o geniuszu? kto wymierzać jego drogę? Żyje może pomiędzy wami, tworzy i działa, a nie domyślacie się jego znaczenia! Wiekowi obecnemu nie można odmówić geniuszu, lecz doświadczenie na polu historyi sztuk i literatury zdobyte, poucza nas, że geniusz dla spółczesnych jest wielkością nie do wymierzenia. Stronny tylko pogląd sili

się zaprzeczyć ogromnej i wielce wpływowej działalności, pojedynczych wybrańców naszego stulecia. Ciągłe i wszędzie ruch historyczny grupuje się w pojedynczych mężach. Przez cały prawie dziesięć lat, polityką europejską kierował wyłączny wpływ Napoleona III, i nikt nie zaprzeczy, że osobisty wpływ teraźniejszego cesarza, jakiegokolwiek wyrobimy sobie zdanie o jego zdolnościach, był stanowczym i rozkazującym tak w Europie, jak i w innych częściach świata.

Jeszcze więcej niezaprzeczoną jest faktem, że historia Europy od roku 1800 — 1815 była historią Napoleona I. Ale i odtąd massy nie występowały bynajmniej z inicjatywą, a jakkolwiek rozpowszechnionym jest błąd niwelujący osobistość naszego stulecia, i równający starannie wszelką wyższość, w zasadzie zawsze pozostanie on błędem. W dziedzinie nauk, a szczególnie w literaturze belletrystycznej i sztukach, niepodobna zniszczyć znaczenia indywidualności i osobistej wielkości, bez wydania zarazem smutnego świadectwa wszystkim pierwszorzędnym utworom. Literatura mass, przychodzi już na świat jako makulatura. Niebezpieczne motto Uhlanda: „kto ma głos niech śpiewa,” demokratyzujące poezją liryczną, wykazuje wprawdzie dążność do podciągnięcia nawet sztuki pod twórczość mass, nie odniosło jednakże innego skutku, nad poniżenie samejże sztuki.

Odtąd tuzinkowe poezye zasypują wprawdzie księgarnie, ale zawsze prawdziwe tylko talenta z właściwą im osobistą cechą, wywierają wpływ trwalszy. Sam nawet Honegger zrywa z ową imponującą produkcją mass: „Zjawisko efemeryczne, mogące liczyć zaledwie na jeden dzień istnienia, hałaśliwy zgiełk chwilowy, niknie natychmiast w przeszłości. Taka spekulacyjna, na pieniądź tylko obrachowana literatura, która jakiś czas z tytułu ogromnej masy czytelników, zdawała się zapanowywać nad ogólną ideą ducha, jest tylko wypływem bezmyślnych, bezpłodnych czasów, oznaką zgnilizny społeczeństwa, hasłem przedajnej kasty, która przez przeszczepione na cały europejski ustrój tendencje lipcowego rządu, wzmogła się i wyniosła.

Napad ten, skierowany głównie przeciw dziennikarstwu, daleko słuszniej odnieśćby należało do poezyi mass,

bo dziennikarstwo poprzestaje na chwilowej działalności społecznej; gdy przeciwnie każdy taki poeta-pigmejczyk, przyrównywając się do Horacego, sięga gwiazd i sam wystawia sobie pomnik nieśmiertelności. Bez geniuszu i talentu, owych wyłącznie indywidualnych darów, nie ma ani poezji ani sztuki, lecz tylko jakieś mdłe szkice i karykatury takowych.

I czyż w istocie wiek nasz, świadek arcydzieł Goethego i Szyllera, ma być tak ubogim w talenta, tak opuszczonym przez muzy, że właśnie służyć ma za studia o takim poniżeniu sztuki? Czyż w rządzie licznych poetów wspomnianych i krytykowanych przez Honeggera, nie znajdzie się żaden coby zadał kłamstwo zdaniu, że u ślepych jednooki jest królem? Toć przecie jest tam Wiktor Hugo, głowa nowo francuzkiej szkoły, któremu sam Honegger nie odmawia znakomitych zdolności, a którego dzieła szamerują, rozbiegają i krytykują panowie akademicy wierszokleci, starając się zyskać rozgłosną sławę krytyka! Czyż Hugo nie przedstawia wybitnej cechy geniuszu, ogarniającego całą epokę? A nowoczesna literatura francuzka, czyż nie postępuje wraz z szeregiem niemieckich naśladowców, po excentrycznych szlakach jego poezji? Nie trudno dowieść, że pierwotne typy owych częstokroć do niepoznania przekształconych, a nawet w trywialne i śmieszne zmienionych postaci, które z takim efektem występują na francuzkich a w części i na niemieckich scenach, znajdują się w dziełach Wiktora Hugo! Marion de Lorme, pierwowzór literatury demi monde'u, Quasimodo i Triboulet, oto istoty wzruszające szlachetnością serca i smutnym losem swoim; Ruy Blas plebejusz cieszący się względami królowej, to najśmielsza emancypacya czwartego stanu! Wszystkie te żywioły, przebijające w nowoczesnej literaturze francuzkiej, te ciekawe kontrasta skupiające w sobie dobre i złe, piękność i brzydotę, cnotę i występki tak ściśle, że owe przeciwieństwa na wzór tysięcy dusz scholastyków, można zdaje się pomieścić na ostrzu igły, najpotężniej i najwspaniałej wystąpiły u Wiktora Hugo, który z całym tym pocztem mieszaniny błota i złota, wystąpił przeciwko jednostajnie nudnym, marmurowym bohaterom klasyków. Wprawdzie dziwnym owym postaciom, w których żyłach pulsuje jednakże zdrowe nowocze-

sne życie, możnaby nie jedno zarzucić pod względem harmonii i pojęcia piękna, ale przedstawić je z tak wybitną cechą i energią, zrobić z nich tak mistrzowski wzór dla przyszłej generacji, może być tylko dziełem wzniosłego ducha, w którym ciemne zarody instynktu mass, wzbłyły się do twórczej potęgi gieniuszu.

Wiktor Hugo w lirycznych utworach swoich, potwierdził stanowczo zdanie, jakie dziś przeważa o naszym stuleciu. „Wypadki nowoczesne, mówi Honegger, dziwne są zaiste i zagmatwane, a sądy tak o nich jak i o głównych działaczach, chwiejne i sprzeczne. I nie jestto bynajmniej mizantropią lub wypadkowym zbiegiem okoliczności, gdy najpoważniejsze umysły mówią od paru już dziesiątków lat o pewnym zmroku w ogólnej sytuacji, po którym nie wiedzą czy nastąpi dzień lub noc.” Hugo swoje „*Chants du crépuscule*” otwiera ustępem następującym:

De quel nom te nommer, heure trouble où nous sommes?
Tous les fronts sont baignés de livides sueurs.
Dans les hauteurs du ciel et dans le coeur des hommes,
Les ténèbres partout se mêlent aux lueurs.

Croyances, passions, désespoir, espérances,
Rien n'est dans le grand jour et rien n'est dans la nuit;
Et le monde, sur qui flottent les apparances,
Est à demi couvert d'une ombre où tout réluit.

Nasz wiek jest epoką przejścia, albo raczej częścią takową. Jest to dziecię rewolucyi; ztąd też w żyłach jego kipi krew gorąca i niespokojna; zerwanie z dawnym systemem stanowcze: najzagorzalsi nawet obrońcy starzej rutyny, muszą się przejmować nowymi ideami i czerpać z nich swoje zasoby. Nie podzielamy powątpiewania poety, czy zmrok ten zapowiada nam świt lub ciemność; jesteśmy bowiem przekonania, że to przedświt jutrzeńki, zapowiadający wielki, jasny dzień ludzkości. Trudno tylko zerwać od razu z przeszłością. Wprawdzie i przyszłość, do której dąży, niepewna, ale całym sercem, całą siłą woli łągnie do niej. Epoka zmroku, to właśnie epoka poezyi; o zmroku słowiki śpiewają najpiękniej. Nie jest to poezya romantyczna, ale całkiem nowa, wrząca ogniem, pełna idei i ducha. Początki jej surowe i brzemienne, bo zaczerpnęła i przyjęła w siebie

nową treść, z którą trzeba się rachować. I dopiero kiedy zupełnie zapanuje nad sobą, wybije właściwa godzina nowej poezji klasycznej. Ztąd też widzimy owe dwa prądy w literaturze belletrystycznej, dające się pomimo przypadkowości mieszać łatwo odróżnić: jeden, nowoczesny, pełny treści, który pomimo małej wartości pod względem sztuki, obudza sympatyą społeczną, bo odpowiada pojęciom czasu; drugi dyletancko-scholastyczny, starający się przede wszystkim o obrobienie artystyczne, o formę, z zupełną obojętnością na treść. Dopiero harmonijne połączenie i pogodzenie obu kierunków, utworzy nowoczesny ideał sztuki.

Honegger kładzie główny nacisk na przeważnie krytyczny kierunek naszych czasów; podług niego twórczość ducha występuje wszędzie krytycznie. Moglibyśmy się na to zgodzić, ale w pojęciu krytyki w najwyższym jej znaczeniu, nie zaś jako przechwałki lub głosu umysłowej nicości albo zużycia, chociaż i na tych karykaturach prawdziwej krytyki nie zbywa. Wiek nasz ma w istocie kierunek krytyczny, bo pierwszy proklamował autonomię ducha ludzkości. Z tego stanowiska krytykuje on wszelkie poglądy czasów ubiegłych, którym niedostawało owej podstawy nowoczesnego zapatrywania się; a krytyka to produkcyjna, otwierająca wolną drogę wszystkim siłom umysłu. I wiek XVIII występował krytycznie, ale była to krytyka błaha, krytyka kokieteryjnego sceptycyzmu. Krytykowano, aby błyszczyć, a jeśli zdarzała się krytyka poważna, to wychodziła z punktu czysto materialnego zapatrywania się na życie. Dopiero od końca XVIII wieku, datując fakta krytyczne wkraczające w granice naszego stulecia i nadające mu właściwą cechę. Krytyka czystego i praktycznego rozumu w Królewcu, uwydatnia charakter naszego stulecia, i prawdopodobnie stanowić będzie cechę wieku następnego.

Na oddzielnych dziedzinach działalności ducha, powszechny krytyczny charakter wieku, przedstawia się w rozmaitych kolorach. Główną rolę grają olbrzymie dzieła krytyki teologicznej, rozpoczęte z małą wprawdzie energią, lecz z nader subtelną dyalektyką przez Schläjermachera, a przeprowadzone następnie z głęboką nauką i przenikliwym poglądem, przez szkołę Tübingską. Wpływ tej krytyki podzielał stanowczo na nowszą teologią francuską, która wypro-

wadzone z krytycznych poglądów rezultaty opracowywała praktycznie z żywą imaginacją, w sposób prawie romantyczny, czyniąc je przez to dostępnymi ogółowi czytelników. W Niemczech filozoficzno-historyczna krytyka podjęta przez Wolfa, Niebuhra i innych, podała powód do przepuszczenia, że tak powiem przez retortę chemiczną, podań historycznych; w retorcie ulotniły się bajeczne elementa pozostawiając na spodzie mały tylko realny osad. Ale taka metoda krytyczna, nie zawsze okazała się korzystną dla historii. Surowe i mało prawdopodobne opisy kronik, wzbudzają zawsze więcej zaufania od krytycznych wywodów historycznych, które koniec końcem rozdrabniają fakta na tysiączne motywa i rozumowania, i z tych dopiero z subtelną zręcznością nową tworzą całość. Tym sposobem nietylko samo przedstawienie utracą wdzięk świeżości życia i poglądu, ale nawet istotne epoki historyczne zepchnięto do rzędu mytów dlatego, że krytyka nie upatrzyła dość wybitnych faktów, na których oprzećby się mogła. Odrzucono historyczne podania jako utwory czysto poetyczne, jako epopiej twórczego ducha ludu; pozostawiono szkielet wyrzuciwszy zeń treść. Jakkolwiek tryumfy takich naukowych badań i dociekań mogły zaimponować, historia na nich bynajmniej nie zyskała. Wielcy krytycy dawnych czasów, postępowali drogą wprost przeciwną, starając się przez jasne i w ścisłym ze sobą będące związku opowiadanie faktów, podać obraz dziejów do potomności. Zapewne, że skalpel krytyki powinien wpływać na dzieło historyczne, ale po co nam iść do warsztatu, gdzie huczą i fureczą narzędzia, że aż wióry lecą? my chcemy widzieć ukończone już postacie, które śmiałymi zarysami i wykończeniem swoim, świadczą najlepiej o pracy i pilności, jakich dla utworzenia ich nie szczędzono.

Również i na polu literatury belletrystycznej, przebija krytyczny duch czasu. Wielu jest zdania, że nawet sama twórczość musi mu hołdować. Rozumna krytyka w samej twórczości jest udziałem geniuszu, ale przejaw téjże nawet w poezyi, jako niepewny siebie experiment, jako przeważająca reflexya, ujmująca treści samym postaciom, dowodzi zawsze i w każdej epoce niemocy talentu, a to niezależnie od tego lub owego charakteru wieku. Dzisiejsza estetyczna

krytyka nie ma jeszcze stałego punktu oparcia, wahając się pomiędzy apoteozą i stanowczym odtrąceniem. Zbyt surowa względem literatury nowoczesnej, nie dotyka nawet uznanych wielkości wieków zeszłych. Na dowód tego ostatniego zdania posłuży 4-ro tomowe dzieło Gervinusa „Shakespeare.” Widzimy tu, jak znakomity literat w jednej z najobszerniejszych i najwięcej szczegółowych charakterystyk poety, zrzeka się wszelkiej krytyki, i ogranicza na świetnej reprodukcji utworów i mistrzowskiego ich obrobienia. To fotograficzne odwzorowywanie nie poruszające nawet wad wieku, mogących przyćmić blask poety, byłoby wymownym dowodem krytycznej niemocy naszego wieku, gdyby z drugiej strony nie stanowiło raczej aktu uspokojenia i wypoczynku po śmiertelnych razach krytyki, jakie historia literatury ma na sumieniu. „Porzućcie wszelką krytykę wy, którzy tu wchodzicie”—pisze autor na czele swojego dzieła— „tu będziemy tylko rozbierać i podziwiać z mikroskopem i teleskopem w ręku, skrzydła motyla i gwiazdy stałe owego świata geniuszu.” Aby tylko dowód egzystencji geniuszu, nie przyjmował na siebie zbyt dorywczo charakteru teologicznego i nie psuł szczytnego, samoistnego celu arcydzieła przez postronne, z zewnątrz czerpane pojęcia! I w istocie, bezwzględna kontemplacja i unoszenie się nad wspaniałością dzieł Szekspira, przypomina nam owo zapatrywanie się na naturę i Boga, które sądzi, że Bóg dlatego stworzył drzewo korkowe, ażebyśmy mieli korki. Krytyka powinna być pełną poszanowania dla geniuszu, ale bynajmniej nie padać na kolana i kadzić ciągle z trybularza.

Zapewne! nie brak i na wystąpieniach wprost przeciwnych; istnieje krytyka, a wiek nasz zawdzięcza jej może głównie nazwę krytycznego, która o każdym kierunku poezji wyraża się szorstko i nieprzychylnie, która przypisując sobie i jedynie sobie, wszechwiedzę estetycznej mądrości, wyrokuje, że wszystkie talenta twórcze w błędnym krążą kółku, i dlatego na drogach ich stawia drewniane drogowskazy. Ta krytyka zapomina, że twórczości musi koniecznie towarzyszyć krytyka bogatsza i więcej wszechstronna od tej, która z góry tak nieodwołalnie wyrokuje. Przedewszystkiem zaś zbywa jej na poetycznym zmyśle, i zdolności wyróżnienia genialnego poety od jego naśladowców, prawdzi-

wego talentu od dyletantów. To téż, a zwłaszcza obecnie, ilekroć idzie o rzetelne ocenienie utworów, błąka się, bo zbywa jęj na najkonieczniejszych danych do wymierzenia wyżyn poezyi. Wystawiając zwykle naprzód *ex cathedra* pewne estetyczne kategorie, choć zastosowanie tychże w danym razie może okazać się wcale nietrafném, a szczególniejszym tumaniąc pozorem uczoności, imponuje z góry większej części czytelników, puszcza za dobrą monetę jaskrawe, zręcznie wystylizowane sentencje, i tym sposobem zyskuje łatwą sposobność otoczenia się aureolą uczoności. Niezależnie od téj frazeologii, charakteryzuje pewną część nowoczesnych francuzkich krytyków, niezbyt zaszczytna chęć przypodobania się. Krytyka dramatyczna rozpościerająca się po feiletonach gazet, przybiera łatwo charakter feiletonu, który od ducha i istoty dramaturgii Lessynga tak jest dalekim, jak niebo od ziemi. Lekka i żartobliwa, idzie jęj przedewszystkiem o zabawę; poezya przedstawia również pole do jęj sztucznych turniejów, do rozweselenia humoru i wybryków dowcipu. Tym sposobem kompletna mierność umysłowa, władająca zaledwie ograniczonemi środkami dowcipu, zyskuje możność wywyższenia się nad znakomity talent poety. Pomimo jednak ostateczności, w jakie popada tegoczesna krytyka, daje się dostrzegać w najnowszych czasach coraz więcj dążenia do poważnego i godnego sądu o utworach literatury, a w miejsce ślepęj apoteozy wielkich poetów występuje rzetelna i zgłębiająca rzecz charakterystyka. Zasadniczy krytyczny kierunek wieku, przebijając w krytyce literackiej, stanowiącęj jednakże jedną tylko jego gałęź, bo kierunek ten obejmuje olbrzymią całość, wszystkie duchowe władze życia, i wyludnia Olimp ze wszystkich mar, nie będących w stanie zdać mu należytej sprawy.

Tak to wiek nasz przedstawia obraz pełen sprzeczności: krytyczny względem przeszłości i jęj objawów, pełny ciemnych jakichś wizyj i przecucia, często proroczym ożywiony duchem względem przyszłości! Teraz przypatrzmy się téj epoce przejścia na polu stosunków socyalnych, politycznych, w dziedzinie nauk i sztuk.

Kwestya socyalna wychodzi na jaw więcj niż kiedykolwiek. Honegger widzi przeważny objaw ducha czasu

„w emancypacji czwartego stanu.” W samej rzeczy kwestya robotników od czasu inicjatywy Babeufa za piérwszój rewolucyi francuzkiój, stoi ciągle na porządku dziennym, rysując się coraz więcej na piérwszym planie. Będąc początkowo wynikiem ruchu politycznego, wystąpiła później jako zadanie, do rozwiązania którego przyczyniają się mniej lub więcej polityczne spory stronnictw. Jednakże jednostronny tylko pogląd, może ograniczać całą socyalną walkę wieku do zapasów stanu trzeciego z czwartym, boć przecie i walka mieszczaństwa przeciwko towarzyskim i państwowym przywilejom feudalizmu, bynajmniej nie ustała. Ten francuzki pogląd Honeggera, małe tylko może znaleźć zastosowanie do stanu rzeczy np. w Niemczech. Jeżeli Honegger utrzymuje, że mieszczaństwo w owych krótkich epokach, podczas których stało u steru władzy, nie wykazało nigdzie dosyć zdolności i energii do panowania, jestto tylko jednostronne, z epoki dynastyi lipcowej zaczerpnięte oskarżenie. W Niemczech, mieszczaństwo dotąd sporadycznie tylko dochodziło do władzy i to w epoce wstrząśnień, kiedy ogólny niepokój i przewrót, uniemożliwiały wszędzie wydanie bezstronnego sądu. Różnica pomiędzy kapitałem i pracą istnieje i z tój i z tamtój strony Renu, ale w Niemczech, pomimo wszelkich tendencyjnych wpływów, ma ona li tylko socyalne, nie zaś jak we Francyi polityczne znaczenie. Z drugiej znowu strony, Honegger za główne czynniki wspierające dzielnie interes klas niższych, przytacza: zwrócenie na nie uwagi ogółu przez nowoczesnych historyków, demokratyczny wpływ ustroju Ameryki Północnej i stósowną w tym względzie propagandę, zdemokratyzowaną literaturę i spopularyzowaną wiedzę, jako tóż przeważające powszechnie namiętności, chęć użycia i zbytek. Wiek nasz zowią przemysłowym. I w istocie rezultaty otrzymane szczególnieij wpływem pary na polu przemysłu i komunikacyi, stanowią nader ważne czynniki wiodące koniecznie do przekształcenia z gruntu stosunków socyalnych. Prawdziwy postęp zależy na tém, że człowiek wyzwala się z ciężkiej pracy ręcznej, przestaje być machiną, a robotnik staje na wysokości kierownika sił przyrody. Tym sposobem wzrasta w nim uczucie własnej godności i poszanowanie zajmowanego stanowiska; stosunki patryarchalne zasadzają się na tém, że człowieka uważano jako

inwentarz roboczy i jako taki troskliwie pielęgnowano, stopniowo znikają. Pańszczyzna schodzi do warunków płacy dziennéj; swoboda pracy zaczyna zrywać ostatnie pęta, jakimi skrepował ją kapitał. Ale znowu w ślad za tą swobodą idzie nędza mass, wyradzająca się za najmniejszą fluktuacją lub stagnacją handlu, nędza, na zaradzenie której nie wystarczą żadne dobroczynne instytucye i wysiłki. W zapasach konkurencyi wielki kapitał zawsze weźmie górę, a drobniejsi kapitaliści schodzą coraz liczniéj do stanu prostych robotników; przedział pomiędzy bogactwem a nędzą grozi dojściem do ostateczności: nie ma granic pośrednich. Wraz z ukształceniem wzrastają potrzeby, ale nie środki do ich zaspokojenia. Bogactwo narodowe, wzmaga się równocześnie z nędzą jednostek. Społeczeństwo stoi nad przepaścią, zagrażającą szczególnie najwięcej przemysłowym państwom z ich olbrzymim proletaryatem. Pracują téż nader gorliwie nad rzuceniem przez ową przepaść mostu bezpieczeństwa, co wiekowi naszemu istotny przynosi zaszczyt. Nigdy w wiekach ubiegłych, nie poświęcało się tylu filantropów rozwiązaniu téj pierwszorzędnéj kwestyi socyalnéj: od Saint-Simona z jego adeptami do Fourriera, który w swoim „Phalansterze” nadziewał na swobodę kaftan przymusu, od Cabeta występującego w charakterze radcy stanu i deputowanego ze swemi utopiami, do Proudhona wynajdującego najdziwaczniejsze formuły dla urzeczywistnienia najsprzecznějších teoryj socyalnych, i krającego takowe niemiłosiernie na stole analizy anatomicznój. Świat wyszedł ze zwykłej kolei, a nad doprowadzeniem go do porządku, aczkolwiek w odmiennéj już formie, pracują najsilniejsze umysły. W ideologicznych Niemczech, ruch klass roboczych przedstawia się praktyczniéj. Nie zbywa tu na assocyacjach i stowarzyszeniach robotników, pracujących w podwójnym kierunku. Jedne z nich wypisują na chorągwiach swoich godło pomocy własnéj (Selbsthülfe), walcząc przeciwko kapitałowi oszczędnością, w celu dojścia samym do kapitałów, a Ewangelia ich głosi, że tylko przez pracę można się stać kapitalistą. Inne zwracają się o pomoc dla swych produkcyjnych stowarzyszeń do państwa, i chcą przez bezpośrednie prawo wyborów, wywierać stanowczy wpływ na postanowienia władzy. Ponad tém wszystkim panuje prze-

ważnie nauka ekonomii politycznej, przekształcająca się coraz więcej w naukę prawdziwie socjalną, płodną w istotne, ważne dla społeczeństwa rezultaty.

Polityczny charakter wieku, pod względem wewnętrznych konstytucyjnych sporów, ustalił się w końcu XVIII wieku. Zasada równości stanów, jest wszędzie głównym motorem owego niepowściągniętego ruchu, który jakkolwiek występujący zrazu nieśmiało, powierzchownie, w debatach izb i bezskutecznych demonstracjach, ma jednak głębsze znaczenie, niż sądzą przeciwnicy ruszający zwykle ramionami na te objawy życia. Kronikę tego ruchu widzimy w rocznikach walk konstytucyjnych, zajmujących tyle ważne stanowisko w historii naszego stulecia. W ogóle, w porównaniu nadmiernych wysiłków dla ograniczenia rozwoju władzy wykonawczej, otrzymane dotąd rezultaty okazują się tak błahemi, powaga ciał prawodawczych, wraz z ich dyskusjami i obradami tak bezskuteczną, że umysły silniejsze muszą koniecznie odwracać się od konstytucjonalizmu jako od czeźej, bezpłodnej igraszki. Mimo to niepodobna poniżać znaczenia owych walk konstytucyjnych, uporeczywość których przetrwała nie jedno przesilenie historyczne; Honegger mniema, że duch czasu walczy obecnie głównie przeciwko stronnikom biurokracyi, i przeciw utrzymywaniu zbyt licznych armij. Nam się jednak zdaje, że przecenia on zbyt wpływ biurokracyi. Biurokracya stariej szkoły, ten zacięty niegdyś wróg parlamentaryzmu, nie jest już dziś przynajmniej niebezpiecznym przeciwnikiem. Nowe idee i zasady przenikają wszędzie. Tej zasadniczej nieprzychylności, szukać raczej należy u stronnictwa feudalnego, starającego się z całą energią o zniesienie zasady równości stanów, o przywrócenie na nowych podstawach instytucyj średniowiecznych. Stronnictwo to dąży do oddania najwyższej władzy w ręce jednej kasty. Jeżeli Honegger mniema, że owa kasta dziś już niezbyt groźna, że przemaga w niektórych tylko krajach, że postęp czasu zniósł różnicę stanów, aczkolwiek ta wysuwa się jeszcze czasem naprzód ze swemi przestarzałemi pretensjami; jeżeli cały nacisk kładzie na walkę stanu trzeciego z czwartym: to zbyt mało ceni znaczenie usiłowań feudalnych, szczególnież téż w Niemczech, gdzie przywileje wyłącznych klass, pomimo wszelkich ustaw prawodawczych, cią-

gle na nowo występują, i jak niewidzialna siła nietylko uci- skają swobodny rozwój społeczeństwa, ale i rządowej ma- chinie jednostronny nadają kierunek. A dzieje się to nie- tylko w północnych Niemczech, gdzie owe stare przywileje kwitną, nasuwają się tu na uwagę nietylko stosunki meklemburgskich magnatów z wieśniakami, nie tylko najnowsza hi- storia Pruss, ale zasady te mają swoich przedstawicieli i w Niemczech południowych: tylko że to, co na północy przeszło w doktrynę, na południu żyje więcej w uczuciu.

Co do kwestyi utrzymywania wielkich armij, przeciwko czemu walczy także duch czasu, Honegger wdaje się w zbyt drażliwe szczegóły. Na dowód, że najzaciętsze, najkrwa- wsze zapasy można prowadzić przy systemie milicyi, przy- tacza wielką wojnę domową północno amerykańską, w po- równaniu z rozmiarami której, z owemi olbrzymiami bitwa- mi, wojna szlezwigo-holsztyńska błahym wydaje się epi- zodem. Za powód, dla którego mocarstwa utrzymują tak wielkie i tak silnie na budżety ich cisnące armie, przytacza wzajemne niedowierzanie, i konieczność utrzymania w kar- bach, burzliwych wewnętrznych żywiołów, co jeszcze na długo odroczy, jeżeli całkiem nie umożliwi pokojowe ma- rzenia Cobdena i Burrita.

Drugą polityczną dążność wieku, upatruje Honegger w rozkładzie nieorganicznie z różnorodnych części ukształ- towanych państw, będących spuścizną samowolnej polityki napoleońskiej. Kwestya narodowości wyszła na jaw w naj- nowszych czasach pod firmą: „Idées Napoléoniennes,” ale walka narodowości przeciwko obcemu władztwu datuje od- dawna. Odłączenie Grecyi od Turcyi, Belgii od Hollandyi, wyprzedziło dziesiątkami lat wojnę wyswobodzenia Włoch z pod władzy Austrii i walkę szlezwigo-holsztyńską. To też z zasadą narodowości postępują bardzo ostrożnie, przywo- dząc ją w danym razie i w danych miejscowościach o tyle, o ile bez wielkich wstrząśnień przyczynić się może do załat- wienia sporów, albowiem stanowcze i konsekwentne jej prze- prowadzenie, pociągnęłoby za sobą radykalną rewizyę i prze- mianę karty Europy.

Nie możemy nareszcie pominąć, że Honegger zapom- niał przytoczyć wielu jeszcze ważnych dążności naszego wie- ku na polu politycznym. Do rzędu ich należy przedewszy-

stkiem, coraz więcej wzrastający wpływ Europy na inne części świata. Kolonizacya Algieryi, poskromienie powstania indyjskiego i zwycięstwa Francyi i Anglii w Chinach i Kochinchinie, są żywym dowodem przeważającego wpływu Europy w tych odległych krainach.

O przemysłowym ruchu naszych czasów da się również wiele powiedzieć, zwłaszcza w obec dwóch charakterystycznych objawów, a mianowicie ducha stowarzyszeń i w coraz obszerniejszych rozmiarach występujących uroczystości ludowych. Pojedyncze zgromadzenia, jak np. wielkie stowarzyszenia robotników, przekraczają granice zwykłych potrzeb społeczeństwa i dążności oświaty, nabierając polityczno-socjalnego znaczenia. Człowiek XIX wieku, ma niejaki podobieństwo z owemi szkiełkami kalejdoskopu, układającemi się w przeróżne wzory. Głównym działaczem jest tu zawiązywanie stosunków osobistych i towarzyskich. Zapewne, że z coraz szybszą wymianą myśli, z coraz żywszym objawem duchowego życia łączy się pewna powierzchowność: mamy towarzystwa przeciwko dręczeniu zwierząt, rolnicze i rzemieślnicze; zgromadzenia fotografów i artystów, nawet stowarzyszenia Szyllerowskie i Szekspirowskie, *Viribus unitis* jest dziś powszechném hasłem; słaby znajduje sposobność oparcia się na silniejszym. Ponieważ jednak interes wspólny może prosperować tylko przez wzajemne ustępstwa, przeto znowu grozi niebezpieczeństwo zatracenia stopniowo poglądów osobistych i wrażeń jednostek; koloryt indywidualny coraz więcej blaknąc, może przyjąć jakąś szarą, nieoznaczoną barwę, stanowiącą konwencyonalną dla umysłów normę. Za temi stowarzyszeniami, idą znowu owe coroczne zjazdy specjalistów w różnych miastach niemieckich. Tu obradują rolnicy; tam doktorzy, filolodzy, prawnicy; gdzieindziej znowu członkowie towarzystwa Gustawa Adolfa, dentyści, dziennikarze, autorowie dzieł naukowych i t. d.

Rezultaty tych zebrań, w ogóle mało znaczące. Zgromadzają się, tracą wiele czasu na czece, parlamentarne formy; w końcu następują pewne projekta i debata. Na pierwszym planie, jak już mówiliśmy, stoi zawsze zawiązanie stosunków towarzyskich. Ludzie fachowi poznają się wzajemnie, z kąd mają powstać trwalsze i korzystne dla nauki kombinacje. Takie zjazdy im więcej ograniczają się do kwestyj specjal-

nych, tém pewniejsze rokują nadzieje. Kongres lekarzy wojskowych w Genewie, doprowadził istotnie do ważnych następstw (genewska międzynarodowa konwencya). Jeszcze większą rolę od tych zjazdów i zgromadzeń, grają wielkie uroczystości ludowe, które zwłaszcza téż w Niemczech, zdają się przypominać czasy starożytnej Hellady i igrzysk olimpijskich. W Niemczech panuje dziś jakiś szal uroczystości i obchodów pamiątek narodowych, a to jak nigdy dawniej; objawia się to zarówno w salach śpiewaków jak i na zgromadzeniach strzelniczych. Po niemieckim obchodzie uroczystości Szyllera, nastąpiła angielska uroczystość Szekspira i wreszcie włoska Dantego. Nie chcemy wprawdzie poniżyć ducha życia narodowego, ożywiającego te uroczystości, możemy nawet zgodzić się i na to, że przy takim zetknięciu się mass ożywia się zapał ludu; mimo to jednak obstajemy przy swoim, że wszystkie te pielgrzymki, te nowoczesne processy z ich pstrą powierzchownością, z całemi temi uciechami, czyli w ogóle owe huczne demonstracye narodowe, nie posłużą bynajmniej do rozwoju intelligencji w Niemczech. Jest nawet do przewidzenia, że bezużytecznie dziś rozrzucany zapał odmówi swój usługi w razach stanowczych, kiedy go najwięcej będzie potrzeba, a to tém prawdopodobniej, że te szmermele i fajerwerki mają miejsce właśnie w czasach do podobnych uciech i czczych rozpraw bynajmniej niewłaściwych.

Zwróciwszy się znowu do kierunku nauk i sztuk w XIX stuleciu, widzimy i tu wybitne, charakterystyczne cechy. Honegger słusznie stawia na pierwszym planie nauki przyrodzone, oddzielne gałęzie których, całkiem świeże, zawdzięczają rozwój swój naszemu dopiero wiekowi. W pierwszej ćwiartce stulecia przeważała filozofia; dziś przewodniczą nauki przyrodzone, usiłując nietylko ograniczyć wpływ filozofii, ale zastąpić ją zupełnie systematami materialistycznymi, aczkolwiek te nie wystarczają do rozwiązania zadań na drodze umysłowej. Z całą siłą wrze walka w celu usunięcia przestarzałych, błędnych zasad, powołujących się zawsze na uznane powagi.

„Zasadniczą podstawą całej nauki przyrody, mówi Jan Fritz (1), jest poznanie praw natury, niebędących ni-

(1) Von 1815—1865. Blicke in das Culturleben der jüngsten Vergangenheit Deutschlands (Leipzig, Otto Wigand, 1865).

czém inném jak tylko konieczném połączeniem wszystkich części ogólnych zjawisk przyrody, czyli dokładném wyrażeniem wszystkich objawów rozumowego poglądu. To stanowisko wiedzy jest bezwątpienia najwznioślejszém, najwyższém, ale zarazem w stosunku do pewnych uznanych powag, burzącém dotychczasowy porządek. Nauki przyrodzone wytworzyły sobie nowe gałęzie jak np. chemia, nauka datująca zaledwie od trzech do czterech wieków. „Astronomia, mówi dalej Honegger, na zdaniu którego w kwestyach tych całkiem polegać można, przez odkrycie nowych planet, wprawia nas w prawdziwy podziw. Wdzięczna i zajmująca jeografia botaniczna, to świeże dzieło wielkiego Humboldta. Jakże znowu wspaniale i poważnie przedstawiają się najnowsze badania magnetyczne i meteorologiczne! Medycyna sądowa doszła do zadziwiającej ściśłości i pewności, a i medycyna ogólna uległa znakomitemu przekształceniu.”

Dodać tu winniśmy, że przekształcenie to upatrujemy z jednej strony w nowszych odkryciach fizjologii i chemii organicznej, a z drugiej w rozmaitych nowych metodach leczniczych: w homeopatyi i hydropatyi; boć te ostatnie, pomimo całej jednostronności swojej, tchną zawsze duchem prawdy, który na cały system wywierać musi wpływ częścią rozkładający, częścią odświeżający. Dozy lekarstw stariej szkoły, w skutek owej tak niegdy wzgardzonej homeopatyi, uległy zmniejszeniu, a hydropatya wprowadziła stanowczo w praktykę użycie wody, jako ważny środek lekarski. Dyetetyka ustalona na trwalszych podstawach, a ustawy i przepisy policyi sanitarniej we względzie epidemii, desinfekcyi miast i t. d. uregulowano również na więcj racjonalnych danych. I tylko kwestya prostytucyi, zadanie wielkiej wagi, dotykające zbyt żywo stosunków społecznych, a na którą historyk badawcze winien zwracać oko, nie zbliża się bynajmniej ku rozwiązaniu. Praktykowana w sposób niepewny i pełen sprzeczności, zależna jest często od bezwzględnej samowoli, krepującej prawa swobody osobistej. Z jednej strony zasady teologiczne, a z drugiej nieunikniona konieczność wypływająca z organizacyi człowieka, wywołują półśrodki, tolerancyę ujętą w pewne, zależne od zbiegu okoliczności i zapatrywania się policyi przepisy, ale zbywa

tu zupełnie na głębszej, radykalnej organizacyi, zdolnej ochronić zdrowie i prawa istot, które *ex re* sposobu swego zajęcia, nie powinnyby przeciw pozostawać poza obrębem prawa.

„W związku z chemią”, pisze dalej Honegger, zmieniła się postać rzeczy i w fizyce. Najpowolniejsze i najmniejsze przekształcenia, widzimy w zoologii w klasie zwierząt (z wyjątkiem odkrytych w najnowszych czasach gatunków najniższych) i w mineralogii. Za to jakież olbrzymie przemiany w anatomii porównawczej, na polu zoologii i botaniki, w paleontologii, krystallografii i geologii z jej szczegółami co do formacyi pokładów w najrozmaitszych miejscowościach! Anatomia szczegółniej olbrzymie robi postępy.”

Że nasz wiek jest wiekiem wynalazków i odkryć, i że mianowicie pod względem ujarzżenia i zużytkowania sił przyrody nadzwyczaj wysoko się posunął, fakt to do tego stopnia niewątpliwy, że właśnie nadaje mu odrębną w tym kierunku cechę. Poruszająca siła pary, w zadziwiający sposób ożywiła stosunki handlowe i społeczne, zmieniła stosunek czasu do przestrzeni, a w porównaniu z dawniejszemi środkami utworzyła szybkość komunikacyi, równającą się prawie polotowi myśli. Nadto koleje żelazne stanowią nie tylko potężne środki komunikacyi, zmieniając stosunki handlowe i taktykę wojenną, ale i przez szczególne, charakteryzujące nasze czasy kombinacye żelaza i papieru, stały się głównymi czynnikami pieniężnych, akcyjnych obrotów, oraz jednym z najważniejszych warunków państwowej administracyi.

Wszelkie stosunki nabrały więcej życia i ruchu; stowarzyszenia akcyjne przybrały niepokojące rozmiary, przypominające, mianowicie w *Crédit-mobilier*, teorye Law'a, akcye Mississipi i t. p. Nawet nieruchoma posiadłość ziemska, przybiera coraz więcej charakter „towaru” przechodzącego z rąk do rąk, z tém większą łatwością, że instytucya hypoteki czyniąc pojęcie własności coraz więcej illuzoryjnym, podaje uadto zbyt łatwą sposobność spekulacyi. Niemniej bogatym w następstwa jest wynalazek telegrafu, roznoszącego wiadomości pędem błyskawicy i łączącego liną podwodną, przedzielone oceanem lądy.

Wynalazki na polu mechaniki, gdzie również po większej części jako nowy motor występuje para, wpłynęły silnie

na udoskonalenie przemysłu, podniesienie rolnictwa i wskazały im nowe, nieznane dotąd drogi. Nowoczesna technika, według zdania Honeggera, wspiera się i bezpośrednio i pośrednio na sztuce; bezpośrednio przez zastosowanie np. nowych farb (malarstwo stereochromiczne) i giserstwo (użycie za budulec lanego żelaza, owego żywiołu nowoczesnej architektury); pośrednio przez rozpowszechnienie tanich kopersztychów za pomocą galvano-plastyki, litografii i fotografii.

„Jeżeli—mówi dalej Honegger—epoka nowoczesna zużywa niezmiernie wiele sił materialnych i umysłowych, to też natomiast produkuje takowe. Od roku 1819 do 1855, a szczególnie w siedmiu ostatnich latach tego peryodu, odkryła ogromne masy szlachetnych metali i to nie tylko takich, które same przez się wewnętrzną posiadają wartość, ale i posługujących do różnych kombinacyj i rozkładu innych ciał (aluminium). Tworzy ciągle nowe, czysto naukowe dzwignie i instrumenta prawdziwie historycznej wagi, jak chronoskop, stereoskop, dalej wynalazek analizy spektralnej, rozkład atmosfery słonecznej, odkrycia nowych pierwiastków i t. d. Olbrzymi ten rozwój, da się łatwo ująć w matematyczne cyfry. Najmniej dziewiąta część istotnie ważnych wynalazków, to jest takich, które przeważnie wpłynęły na postęp oświaty, przypada na nasze stulecie, nie mówiąc już o znakomitych ulepszeniach i zastosowaniach odkryć dawniejszych.”

Tak samo jak na Gutenbergach, nie zbywa wiekowi naszemu i na Kolumbach. Dla wzbogacenia ziemioznawstwa i statystyki, mężni podróżnicy wszelkich narodowości nie szcędzą życia; męczeństwo dla nauki w pełnym blasku. Z liczby takich podróży, wyprawy do bieguna północnego i w głąb Afryki, wyświecają najlepiej nieustraszoną wytrwałość i energią pełnych zasługi mężów, pociągając zarazem za sobą niespodziewane odkrycia i wiadomości o tych odległych krainach. Śmierć Mungo-Parka i Vogla, tragiczny koniec Franklina—oto męczeńskie stacye nowoczesnych wypraw. O wpływie zaś i przewadze, jakie zyskuje ztąd Europa w innych częściach świata, wspominaliśmy już wyżej.

Zwróciwszy się na pole literatury, widzimy nadmiar produkcji, przyznać jednak należy, że nadmiar ten wywołały wyjątkowo ożywione potrzeby społeczne. Nauki przyrodzo-

ne stworzyły własną literaturę popularną, elegancyą i wyszukaną formą walczącą z najznakomitszymi utworami literatury pięknej. Jeśli bowiem „Kosmos” Humboldta i dzieła jemu podobne, mają uzasadnione prawo liczyć się do rzędu dzieł klasycznych, to z drugiej strony znaczna część popularnych wykładów przyrody graniczy z belletrystyką. Dziennikarstwo znowu wystąpiło naprzód więcej niż kiedykolwiek; prassa polityczna przybrała, mianowicie téż w Niemczech, niezwykle rozmiary.

Jakkolwiek wielkimi być mogą zasługi téj prassy w rozszerzaniu poglądów politycznych, i niezaprzeczone skarby wiedzy i ukształcenia; jakkolwiek wiele przyczynia się do zainteresowania ogółu biegiem wypadków politycznych: nie można przecieź zaprzeczyć, że ten urok nowinek codziennych zajmując umysły, czyni je mniej wrażliwemi na istotnie ważne kwestye społeczne, a pobieżne opisy i artykuły gazeciarskie pociągają za sobą powierzchowność pojęć, odejmującą chęć i siłę do głębszych studyów naukowych. Krytyka, z wyłączeniem specjalnych i ściśle naukowych annalów, posiada zbyt mało organów dla poważnej oceny literatury narodu; za to ilustracye w pełnym kwitną rozwoju, licząc tysiące czytelników. Ołówek i pióro pracują wspólnie dla wygody imaginacyi, oszczędzając jój trudu wywoływania obrazów własnej intuicyi. Tu znowu grozi niebezpieczeństwo, że podobny rodzaj komfortu wywołać może uspienie ducha, to jest że przy badaniu przyrody zamiast obejmować Kosmos, rozpatrywać będziemy *Orbis-Pictus*. Z przechylenia się mass na stronę komfortu i uzmysłowienia pojęć wypływa, że pewne rodzaje wyższej literatury wymagające uszlachetnienia formy, powagi myśli i wrażeń, zamiast wywierania przeważnego wpływu na cały naród, ograniczają się dziś raczej na cichém, odrębném kółku. Słusznie wspomina Honegger o wysokiém stanowisku nowoczesnej liryki, dotąd jednakże za mało ją oceniono i nie uznano, z jakim porywającym uczuciem łączy czarujące bogactwa poglądów. Stosować to należy głównie do liryki francuzkiej i niemieckiej, za któremi zdążają liryka węgierska i włoska, bo angielska od czasów Byrona, Tomasza Moora i Schelleya pozostała o wiele w tyle. Przewagę liryczno-epicznej opisującej formy, przyznaje sam Honegger, ale przewaga ta grozi nam rymowaną nowelli-

styką, układającą każdy utwór prozaiczny do kadencji wiersza. Próby przedsiębrane w przedmiocie nagięcia epepei do sztucznych form stylistyki, nie wiele z razu zyskały powodzenia, bo ten rodzaj poezji nie mógł skutecznie konkurować z przystępniejszymi formami romansów, posiadającymi bogatsze środki i zasoby wzbudzenia zajęcia i zainteresowania czytelnika. Głównie téż w Niemczech, zainteresowanie publiki nie jest ustosunkowane do wartości poetycznych utworów, bo tam liryka znajduje przeważnie poklask w żywej wyobraźni młodych dziewic; przyczem, ma się rozumieć i zewnętrzna forma ważną odgrywa rolę, to jest dzieła te muszą być miniaturowych wydań i elegancko oprawne, aby służyły na podarunki w dniu urodzin lub na gwiazdkę.

Ponieważ lektura romansów rozpowszechnioną jest dziś więcej niż w drugiej połowie zeszłego stulecia, i to w nader obszernych kołach czytelników, to téż mamy mnóstwo tych utworów, nieodznaczających się ani sposobem obrazowania, ani dykcją. Romans przedstawia szerokie pole, na którym żywa wyobraźnia najśmielsze może malować obrazy, a umysł wykształcony występować z poważną reflexją. W dzisiejszych czasach najulubieńszą formę tego rodzaju utworów, stanowi połączenie historycznych faktów z pamiętnikami, anegdotami i utworzenie ztąd przy współdziałaniu wyobraźni, udatnej i zajmującej całości. Ogół czytelników wymagający, w obec zabawy, zarazem i nauki, przy historycznych danych podziwia wdzięk romantycznych arabesków, czyli raczej wraz z romantyczną treścią nabywa podstawy historii. Owóż taka gmatwanina pamiętników i różnych anegdotyczno-romantycznych przygód, fałszuje historią i kompromituje poezją. Mimo to, nie zbywa na wielkich wzorach prawdziwej epepei, jak np. romanse Walterskota wywierające wpływ stanowczy nie tylko na niemiecką, włoską i węgierską, ale nawet po części i na francuską literaturę; jakoteż na utworach pierwszorzędnych talentów, odwzorowujących życie społeczne we wszystkich jego objawach i kierunkach, rozwiązujących wszystkie kwestye socyalne, w sposób bardzo dostępny i z mistrzowskim obrobieniem. Ten po większej części tendencyjny kierunek, przekształcający się u mniej zdolnych naśladowców w bezmyślne reflexye, albo w obliczone na efekt sceny, wyszedł z Francji, gdzie mając na czele

znakomite, a często przez wyszukaną estetykę za mało cenione talenta, podzielał na Niemcy a w części i na Anglią; wiadomo bowiem, że realistyczny romans znalazł w Niemczech zręcznych naśladowców. W ogóle jesteśmy zdania, że Honegger, zbyt powierzchownie charakteryzuje nowoczesny romans w ogólném jego znaczeniu.

Co do upadku sceny słyszymy, mianowicie téż w Niemczech, zewsząd narzekania, które podziela i sam Honegger. Podług nas, w tych skargach wiele jest przesady, zwłaszcza co się tyczy porównania ze stanem rzeczy w czasach przeszłych, których niedokładności i cienie widzimy dziś zmniejszone przyćmioném światłem perspektywy. Scena niemiecka obecnie, przedstawia się więcéj klasycznie aniżeli za czasów dawnych klasyków, i dzisiejsza, nowoczesna dramatyczna poezya znajduje na niéj, co najmniej, takież samo prawo obywatelstwa jak niegdyś dramata Szyllera, Goethego i Lessynga. Błędném jest mniemanie Honeggera, jakoby obecnie przeważały dramaty książkowe nienadające się do wymagań przedstawień scenicznych: prawda, że wiele utworów dramatycznych nie przejdzie na deski teatralne, ale niezależnie od tego, że większa ich część dałaby się do nich zastosować, najznakomitsze właśnie talenta od dziesiątków lat pracują dla sceny. Dramata, o jakich mówi Honegger, przeważały do roku 1840; odtąd zeszły z pola. Również nieuzasadnionemi okazują się skargi na brak zdolnych aktorów, mianowicie téż w porównaniu z przeszłością. Kto widział dawne znakomitości sceny, ocenia je dziś nie podług późniejszych, starszych poglądów swoich, ale całą pełnią imaginacyi młodzieńczego zachwyty rozwiniętego wtedy, kiedy znakomitości te występowały na scenie. Ztąd téż pochodzi błędne zdanie krytyków, i niekorzystne porównanie dla artystów terażniejszych. Tu należy wziąć na uwagę, że ten sam sposób zapatrywania się przedstawi dzisiejszych znowu aktorów, w równie korzystnych warunkach względem ich następców i t. d.

Co do nas bardzo wątpimy, czy talenta szkoły wejmarskiej z całą otaczającą je sławą klassyczności, zyskałyby poklask nowoczesnej krytyki i uznanie terażniejszej publiczności. Nie idzie za tem, abyśmy mieli zaprzeczać brakom sceny nowoczesnej; powiemy tylko, że wpływają one po


części z samego charakteru epoki przejścia, i że nad reformą w tym względzie usilną widać pracę. Dziś tragedye Szyllera i Szekspira, zwłaszcza jeżeli występują w nich pierwszorzędni artyści, ściągają wprawdzie liczną publiczność; jednak niektóre znaczniejsze teatra uznają, że częste reprezentacye tych utworów nadają zbyt dużą przewagę tragedyi. Do tego punktu widzenia, skłania się i krytyka tém więcej, że od tragedyi nowoczesnych wymaga warunków, w obec których nie ostoi się większa część dramatów klasycznych. Przesycanie klasycyzmem, nie odpowiada duchowi dzisiejszej poezyi. Publiczność słysząc i widząc po sto razy na scenie jedno i to samo, obojętnieje, objawiając obojętność tę i dla dramatów nowoczesnych. Z drugiej strony, nowoczesna tragedia cierpi, że się tak wyrażę, na romantyzm i dyletantyzm, na ślepy wybór przedmiotu niesympatyzujący z dzisiejszemi poglądami. Publiczność instynktownie przekłada utwory mniej wykończone, jeżeli tylko treść ich odpowiada ideom i interesom wieku. Ten instynkt przebudza się najżywiej we Francyi, i ztąd to idzie przeważny wpływ dramatów francuzkich na europejską scenę, pomimo niezbyt głębokich zdolności autorów.

Honegger dzieli wiek XIX na pięć peryodów: 1) Cesarstwo francuzko-europejskie, 2) walki o wyswobodzenie i niepewność w życiu politycznym, 3) Restauracya, 4) rządy lipcowe i młoda Europa, 5) czasy po r. 1848. Widzimy, że wypadki polityczne tworzą zarazem epoki rozwoju oświaty choć nie tak stanowczo, bo pojedyncze objawy tego rozwoju przetrwają nieraz kilka epok. Widzimy dalej, że Francya wywiera wpływ przeważny, występując z inicjatywą historyczną i przewodnicząc ruchowi ogólnej oświaty. Jeżeli zatem Honegger przyznaje palmę pierwszeństwa Niemcom pod względem umysłowym, Francyi na polu politycznym, a Anglii pod względem socyalnym, to zapatrywanie to nie zgadza się z przytoczonym wyżej podziałem. Przewaga polityczna, ciśnie stanowczo na stosunki tak umysłowe jak socyalne, co by zapewniało epoce naszej charakter politycznego *κατ' ἐξοχήν*. Za zdaniem tém. przemawiają najświeższe wypadki, nowo rozpoczęta era cezaryzmu, bo wpływ nowej politycznej supremacji oddziaływa bezsprzecznie nietylko na stosunki polityczne, ale i na stan kultury krajów

obcych. Wprawdzie nadmienić wypada, że Honegger lek-
kimi tylko szkicami narysował epokę drugiego cesarstwa,
podczas kiedy poprzednie scharakteryzował ze wszelkimi
szczegółami tak we względzie położenia politycznego, walk
i zapasów na polu umysłowém, jakoteż co się tyczy znako-
mitych talentów w dziedzinie literatury i sztuki. A przecież
epoka *second empire* przedstawia właśnie wybitną cechę,
właściwą sobie charakterystykę, przypominającą czasy Cezar-
ów rzymskich.

Żałować należy, że Honegger mało się zajmował epoką
drugiego cesarstwa, co w każdym razie w dziele tak znako-
mitóm ważną stanowi lukę.

Nie należymy do pesymistów, którzy na bramach
naszego wieku wypisują dantejskie: *Lasciate ogni speranza
voi che entrate!* Rozwój oświaty wciąż postępuje; zerwanie
z przeszłością stanowcze; wiek nasz stawia nader wybitną
granicę pomiędzy sobą a jego poprzednikami. W ostatnich
dziesiątkach lat zeszłego stulecia, zaczyna już wykształcać
się nowoczesny sposób zapatrywania się na świat, które pomi-
mo różnych przeszkód i zapór, stanowi także ideę przyszłości.
Nowoczesne pojęcia zaświeciły ludzkości nie jako kapryśne
dziecię mody, ale jako stała zasada i norma dla wieków przy-
szłych, i będą na wzór Syryusza egipskiego świata, kierować
przez długie wieki rozwojem społeczeństwa.



ODRODZENIE.

(Z HEYSE'GO).

I

Na południe Tyrolu, w miejscu gdzie jezioro Garda wkracza aż w góry malowniczymi skrętami, dumnie wznosi się zamek na urwisku skały, jak orle gniazdo nad pieczarą; położenie jego, w miejscu gdzie dolina skręca się i zwęża, jest tak korzystnym, że garstka odważnych ludzi z kilku działami mogłaby go obronić przeciwko całej armii. Stare mury najeżone wieżycami noszą jeszcze na sobie ślady ran otrzymanych w niejednej walce, której wspomnienie zażyło się w pamięci mieszkańców. Zapomniano nawet nazwiska rycerskiej rodziny ongi tu zamieszkałej; i gdyby jaki cudzoziemiec przed trzydziestą laty dopytywał się o szczegóły po chatkach rozrzuconych w dolinie wśród orzechów i kasztanów, nicby się nie dowiedział o tej tajemniczej siedzibie, chyba tego tylko, że się zwie „Twierdzą” i należy do jakiegoś margrabiego, którego nikt nazwiska nie wie.

Lombardia była wtedy, jak wiadomo, prowincją austryacką; mało kto, nawet wśród najgorętszych patryotów przypuszczał, aby to bogate kwiecie tak niebawem oddzieliło się od wieńca Habsburgów. Nie idzie za tem, aby w granicznych okręgach, dwa plemiona miały się godzić z sobą i bratać. Brak gościnności, nieufność, ba, nawet otwarta nienawiść, oto całe przyjęcie jakiego oczekiwać mógł tyrolczyk, jeśli go potrzeba jaka zagnała w doliny jeziora Garda; i nie było roku w którymby tych uroczych miejsc nie zakrwawiło jakie morderstwo, uchodzące najczęściej przed poszukiwaniami sprawiedliwości cesarskiej.

Nie dziwną tedy była milcząca oziębłość dwóch ludzi, którzy w gorącym dniu sierpniowym pieli się razem nienajlepiej utrzymaną drogą, wiodącą do Twierdzy. Jednakże młody człowiek, któremu wieśniak włoski służył za przewodnika, zamienił w Riva swój kapitański mundur na ubranie cywilne i kapelusz słomiany o szerokich skrzydłach. Do tego mówił językiem miejscowym tak biegle, jak gdyby się chrzczył w wodach jeziora. Ale pomimo to wszy-

stko, postawa jego miała coś marsowego, co znamionowało oficera, a odzież jaką przybrał, w oczach towarzysza zdawała się ukrywać jakieś tajemne a niebezpieczne zamiary. Młody tyrolczyk nie zdołał wydobyć z ust milczącego towarzysza więcej szczegółów nad te jakie mu były udzielone w mieście: od lat dwóch, cudzoziemiec, margrabia, mieszkał w Twierdzy z niewielką służącemi; był to wielki mizantrop i nie widywał się z nikim, przyjmował tylko jednego księdza, który co niedziela schodził z klasztoru leżącego na szczycie góry dla odprawienia mszy w kaplicy zamkowej. Droga zaś którą przebywał podróżny, w rzadkich odstępach nawiedzana była tylko przez fury dostarczające żywność do zamku. Oficer dopytywał się o charakter margrabiego, jest-li on dobroczynnym, jak się obchodzi ze sługami, i t. p. Nie mógł się nic dowiedzieć, prócz tego, że nowy właściciel Twierdzy rozdaje wieśniakom zwierzyne ubitą na gorze.

Widząc że towarzysz ma stałe postanowienie milczeć, oficer zaprzestał go badać; szedł wzdłuż drogi wybitęj głębokimi koleinami, dumając o prawdopodobnych następstwach swęj wycieczki. Chociaż był bardzo młodym, zbyt często stawiał on czoło niebezpieczeństwu aby mu teraz zbywać miało na mężkiej odwadze; jednakże w miarę jak zbliżał się do celu podróży, nie mógł opędzić się głuchęj niespokojności, przykremu zniecierpliwieniu. Zamek miał pozór groźny i ponury; rzadkie jego okna zasłonięte były gęstemi firankami, jak gdyby mieszkańcy jego chcieli zerwać ze światem zewnętrznym; jego zębate wieżyce, zacienione gęstemi kasztanami, zdawały się ukrywać, aby tém ciszej spoglądać okiem podejrzliwém na to co się dzieje w okolicy; nareszcie, co najwięcej dodawało dziwactwa tęg ponuręj siedzibie, to trzy stateczne cyprysy które rozciągały wokół bramy głównej swe posępne konary i całemu budynkowi nadawały charakter grobowca.

Kiedy podróżny przebył ostatecznie wyboje wiodące do Twierdzy, nadszedł już zmierzch i ptaki nocne poczęły już zataczać fantastyczne koła. Oficer rzucił cygaro które już oddawna przestało się palić i zbliżył się do bramy. Ale stukał do nięj długo nim go usłyszano. Drewniana okiennica otwarła się jakoby z żalem i ukazała się w nięj twarz z wyrazem bardzo mało życzliwym. Rysy jeszcze okazywały młodość, ale były straszliwie oszpecone ospą; czy to choroba, czy rana, odjęła tęg twarzy jedno oko, którego jama czerwona, zaogniona, nikła w połowie pod zwojem czarnych włosów. Cierpienie i jakiś głuchy gniew przeciw losowi nadawały tęg fizyognomii coś złowrogiego. Tonem krótkim i ostrym:

— Czego pan żądasz? — zapytał człowiek — zamek ten nie jest gospodą.

— Czy mogę się widzieć z margrabią? — sucho odpowiedział przybyły urażony opryskliwością cerbera.

— Nie — odparł jednooki.

I już miał zamknąć okiennicę, kiedy kilka słów rzuconych przez przewodnika niezrozumiale dla oficera, zmieniły nagle jego

postanowienie. Zapytał o nazwisko młodzieńca, i w dziesięć minut potem ciężkie drzwi zaskrzypiały na zawiasach.

— Pan margrabia przyjmuje pana kapitana—rzekł z miną nastroszoną odźwierny. Ty, zostań za bramą—dodał zwracając się do wieśniaka.

— A tłumaczki? — zapytał wieśniak, który tymczasem złożył walizę na moście zwodzonym.

— Wnieś je na dziedziniec — odparł oficer — potem czekać mnie będziesz u wnijscia do zamku.

Zdziwiło go to że wzbroniono przewodnikowi pójść za nim, ale ten człowiek nie wzbudzał w nim tyle zaufania, aby mógł przy nim rzeczy pozostawić.

Idąc za jednookim który starannie pozaciągał zasuwę, przebył on pusty dziedziniec, na którym kroki jego zbudziły melancholijne echa.

Cień wysokich wieżyc zasłaniał ostatnie promienie dnia; niebo nawet zakrywał szeroki jawor, którego gęste gałęzie tworzyły ciemne sklepienie nad studnią. Mnóstwo ptaków zbudzonych niezwykłym szelestem latało w przerażeniu naokoło tych dwóch ludzi. Doszedłszy do końca dziedzińca oficer spostrzegł stare żelazne sztachety zamykające ogródek, w którym rosły w nieładzie róże i cyprysy; ale furtka dawno snadź nie była otwierana, bo rozłożysta figa rozciągała raniona pełne owoców wzdłuż sztachet, które się tym sposobem zamieniły na szpaler.

Niskie drzwi prowadziły do wnętrza domu. Przybyły spodziewał się znaleźć wszędy nieład i zniszczenie, dziwił się widząc schody starannie umiecione; komnaty, jakkolwiek skromnie, ale wygodnie urządzone; szyby lustrzanéj czystości znikwały do połowy pod jedwabnymi firankami świeżych i żywych barw.

Zwracając oczy na jednookiego sługę, spostrzegł że on nosi liberyę strzelecką a rękojeść jego noża wyłożona perłową macicą. Przebyli kilka przedpokojów na pierwszym piętrze, następnie służący otworzył drzwi, i stając z uszanowaniem na progu, dał znak podróżnemu do wnijscia.

Mężczyzna wysokiego wzrostu siedział przy biurku pełném papierów i książek, które stało we framudze okiennéj: ostatnie promienie słońca padały jeszcze na nie. Margrabia zwrócił się ku podróżnemu, i lekko schylając się czekał aż przemówi. Ten ruch dozwolił mu wpatrzeć się w jego rysy: czoło wysokie i szerokie, osypane gdzieniegdzie siwiejącymi włosami, oznaczało myśl głęboką, wolę niezłomną; oczy piękne i spokojne zdawały się długiém nasyknieniem widzieć wszystko a niczego nie wydać. Jakaż dusza ukrywała się pod tą zimną powierzchownością? Była to zagadka na którą reszta twarzy, nieruchoma i nieprzenikniona, żadnego nie rzucała światła.

— Muszę wytłumaczyć się panu margrabiemu — rzekł młodzieniec—dlaczego przedstawiam się w tak spóźnionéj porze. Służący mój zachorował w Riva, musiałem wziąć obcego przewodnika, co naraziło mnie na stratę kilku godzin. Dowiedziawszy

się że się tu nie dostanę przed nocą, chciałem sobie znaleźć mieszkanie we wsi i odłożyć odwiedzinę do jutra; ale wszędzie zastałem twarze tak nieżyczliwe a nieporządek nade wszystko tak odpychający, że chociaż żołnierz, cofnąłem się przed widokiem tak złowrogięj gościnności. Wybrałem się więc...

Margrabia wstał aby mu podać krzesło, następnie wrócił na miejsce przy biurku z oczyma zwróconemi ku podróżnemu.

— Krótko mówiąc — rzekł dalej tenże — nie przychodzę ja tu w sprawie osobistej ale z wyższego rozkazu. Nazywam się Eugeniusz R..., i należę do głównego sztabu feldmarszałka Radeckiego, którego główna kwatera w Weronie, jak panu zapewne wiadomo. Oddawna jest tam zamiar wzniesienia fortecy na tém wybrzeżu jeziora, dla zabezpieczenia przejść ku północy. Równina na której się znajdujemy, łączy wszystkie pożądane ku temu warunki, daje ona mocny punkt oparcia dla ruchów wojskowych. Pan margrabia służyłeś zaszczytnie w wojsku piemonckiem, nie potrzebuję tedy długo prawić dla wykazania mu strategicznej ważności tego zakątka i korzystnej miejscowości pańskiego zamku. Zostałem wezwany przez feldmarszałka do sprawdzenia mapy topograficznej téj okolicy i zapytania się pana czy nie zgodziłbyś się ustąpić własności swój na rzecz rządu. Widzi pan że zmierzam prosto do celu; środki dyplomatyczne obce mi są zgoła, i nie byłbym się podjął téj misyi, gdyby mnie nie upoważniono mówić z panem otwarcie.

Nastała chwila ciszy przerywanej tylko spokojnym i jednostajnym krokiem sługi przede drzwiami pokoju z zewnątrz.

— Dziękuję za otwartość, panie kapitanie — odpowiedział margrabia — pozwól więc pan i mnie odpowiedzieć bez korowodów. Mam mocne postanowienie nie sprzedać tego zamku komukolwiek bądź, dla jakichkolwiek bądź powodów. Nie znam dotyla praw austriackich aby wiedzieć czy mnie rząd cesarski wywłaszczyć może, ale oświadczam panu że ustąpię tylko przed przymusem.

Lekki rumieniec okrył twarz oficera.

— Myli się pan margrabia — rzekł wstając — zbyt tu szanowanym jest imię pana aby przeciw niemu udawano się do praw wywłaszczenia służących być może Państwu. Powiadam, być może, gdyż stanowczo dekretu pod tym względem nie znam. Gdyby odmowa pańska była nieodwołalną, generał odstąpiłby od tego zamku, ale nie zaniechałby przeto swych strategicznych zamiarów. Ponad pańskim gruntem można znaleźć miejsce odpowiednie dla założenia fortecy. Pan margrabia od kilku lat żyjesz w téj ustroni; będzież ona miała równy dla pana urok, jeżeli spokój jej zakłóci wrzawa garnizonu? Wrazie gdyby dojrzały namysł zmienił pańskie postanowienie, mam obowiązek oświadczyć panu że rząd przyjąłby cenę pańską bez rozbioru, sprawiedliwie bowiem jest indemnizować pana za tak nieprzyjemny kłopot.

Zamilkł, ale starał się nadaremnie odkryć na nieruchomej twarzy margrabięgo wrażenie, jakie słowa jego wywarły. Ten głosem nieco głuchym, ale zawsze spokojnym, odpowiedział:

— Będę panu wdzięcznym, jeśli mi oszczędzisz wszelkię nowęj w tym przedmiocie dyskusyi. Postanawiam sobie pozostać tu, bądź co bądź nastąpi. Wreszcie, jeżeli osobiście mogę oddać panu jaką przysługę...

— Wdzięcznym panu za tę gotowość, panie margrabio i z przyjemnością skorzystam z niej w położeniu w jakim się znajduję. Dla wykonania otrzymanych rozkazów muszę poznać się z tą górą, zdejmować plany; mówiłem już panu jak przykroby mi było zamieszkać na wsi; tu wiem także iż obecność moja nie jest bardzo pożądaną, ale skoro pan chcesz zapomnieć jaki spełniam obowiązek i widzieć we mnie tylko człowieka, ośmielę się prosić pana o gościnność przez dni kilka. Nie potrzebuję dodawać że pobyt mój nie narazi w niczem zwyczajów domu pańskiego: potrzebuję tylko schronienia na noc i poprzestanę na najmniejszym kąciuku w zamku.

W tej chwili wszedł jednooki. Usiłując pod pozorem obojętności ukryć widocznie miotające nim wzruszenie, rzekł do pana:

— Wieśniak co tu przyprowadził pana kapitana, nie chce dłużej czekać. Musi być we wsi przed północą.

Ten pocziwiec nie ruszył się z przedpokojem pomyślał w duchu tyrolczyk. Chciałby mnie jaknajprędzej widzieć za bramą, a to co nam prawi jest wierutnym kłamstwem.

To też przyjemnie mu było usłyszeć po chwili milczenia odpowiedź margrabiego.

— Odpraw go, Taddeo; pan kapitan zostanie z nami. Zaprowadzisz go do komnaty wieżowej i uścielisz łóżko. Nade wszystko nie daj mu powodu do uskarżania się na ciebie. Proszę pana o pobłażanie, rzekł zwracając się do Eugeniusza: dom mój nie jest urządony na stopę gościnną, i będzie panu zapewne zbywać na wielu rzeczach. Nie gniewaj się też pan na mnie jeśli mój obyczaj samotności nie pozwoli mi być gospodarzem jak należy. Rad jestem, wierzaj mi, że mogę uczynić przysługę tak dzielnemu i zacnemu oficerowi, jak pan. Dobranoc, panie kapitanie.

Z temi słowy ukłonił się młodzieńcowi, nie przyjmując jednak ręki którą ten chciał mu podawać. Zwracając się następnie do zdumionego sługi, który spoglądał to na pana, to na podróżnego, rzekł doń kilka słów półgłosem: twarz Taddea rozjaśniła się, kaszlnął, mrugnął jedynym okiem, i ruchem przypominającym kota pospieszył otworzyć drzwi. Zaświeciwszy latarkę, bo noc już zupełnie zapadła, poprowadził on oficera do starożytnéj wieży. Drzwi okute żelazem skrzypnęły i wątpliwe światło oświetliło kręcone schody. Eugeniusz cofnął się krokiem, żałując prawie że nie próbował szukać gościnności u właścicieli winnic we wsi, których liche lepianki obecnie zdawały mu się pożądanymi od tych zimnych i nagich, jakby więziennych murów.

Wrażenie to jednak przemineło, kiedy przybywszy na drugie piętro wszedł do przeznaczonego dla siebie pokoju. Łóżko i sprzę-

ty w stylu Odrodzenia ustawione były w komnacie téj ośmiokątnej oświeconej dwoma oknami; szarawe obicie drewniane okrywało ściany; sufit zamknięty w kopułę wyobrażał lazurowe niebo urozmaicone purpurowemi obłokami, wśród których fruwały ptaki i wlatywały aniołki pełnemi rękami rozsypując róże. Nic w tém wykwintném ustroju nie przypominało więzienia.

Młodzieniec zbliżył się do okna zastkniętego gałęzmi kasztana, pełnemi kolczastego owocu; czysty powiew nocy oświeżył jego twarz i serce napełnił błogością. Taddeo uwijał się z tłumoczkami, zaścierał łóżko, porządkował sprzęty. Eugeniusz godzinę przynajmniej stał w wąskiej framudze, spoglądając przy blasku księżycy na rozkoszną dokoła naturę.

Dopiero postyszawszy zamknięcie drzwi wyszedł z zadumy i zobaczył przygotowania poczynione przez Taddea. Lampa o trzech ogniskach oświecała na stole smaczną wieczerzę. Pościel śnieżnej białości spoczywała na łóżku, waliza stała na krześle, słowem nie zaniedbano nic aby niespodzianemu gościowi pobyt uczynić przyjemnym. Eugeniusz jednak nie mógł nie zdziwić się jakoś postępowaniu gospodarza, który go tak odosobniał w chwili kiedy i sam zapewne zasiąść miał do samotnego stołu. Chociaż wszelka niedyskretna ciekawość, daleką była od jego szczerego i prawego umysłu, i chociaż niczém inném zajęty nie był, jak tylko poważnemi zadaniami swego powołania, przypomniawszy sobie jednak nazwisko margrabiego, którego nagłe zniknięcie rozmaicie tłumaczono w towarzystwach. Mało on zazwyczaj zwracał uwagi na plotki próżniacze; opowiadania o przygodach ludzi których nie znał, były mu zgoła obojętnemi, i często, nibyto nadstawiając ucha opowiadającym, w duchu rozwiązywał sobie jakieś trudne zadanie matematyczne. To téż daleko więcej szczegółów wiedział o położeniu topograficzném równiny, niż o właściwości zamku. W téj chwili jednak, po rozmowie z gospodarzem, poczuł doń jakąś istotną sympatyę; dałby był wiele za to aby być przy nim i serdecznie podziękować mu za przyjęcie jakiego doznał, on który nawet w oczach jego mógł uchodzić za nieprzyjaciela.

Tymczasem ani się spostrzegł jak wypróżnił butelkę, i dzielne wino lombardzkie zaczęło wrzeć mu po żyłach. Upatrywał wody a nie mogąc ję znaleźć porwał karafkę i chciał zejść z nią na dół do studni. Jakżeż się zdziwił zastawszy ciężkie drzwi od wieży zaryglowane. Stukał, wołał; nikt nie odpowiadał. Byłżeż więźniem? Czyż doznawane względy miały jedynie na celu uspienie jego nieufności? Odpędził rychło to podejrzenie, i wróciwszy do siebie, upewnił się w swém bezpieczeństwie zobaczywszy u drzwi swego pokoju rygiel na wewnątrz. Z tém wszystkiém uznał za rzecz niebezpieczną, starannie obejrzeć miejsce w którym noc miał przepędzić. Nie znalazł zrazu nic podejrzanego, ale razem przyszła mu myśl odsunąć wielki kantorek dębowy. Poza nim spostrzegł drzwiczki, od których klucz znajdował się w zamku.

Eugeniusz zgorączkowaną ręką otworzył je i wszedł do sali długiej a niskiej, do której wiodło kilka schodków kamiennych.

Z sali tej wyjście było tylko do jego pokoju; w murach zupełnie nagich, nie było żadnego otworu, prócz trzech lufców okrytych kurzem. Obicia były zbutwiałe, a sala oddawna snadź niezamieszkała, wyziewała taką woń zaduszną, że oficer otworzył czempredziej lufcik, a powietrze raptownie wciskając się do wnętrza zgasilo mu lampę. Z lufcika widać było dziedziniec; Eugeniusz spojrzal na jawor osłaniający studnię z której on tak żądał ugasić pragnienie; opodal nieco mały ogródek przy świetle księżycowém rozciągał swe róże i cyprysy. Wszystkie przedmioty zdawały się przybierać posępną barwę; młodzieniec już miał odchodzić od okienka, kiedy poprzez gałęzie drzew spostrzegł promień światła wychodzący z jednego z pokojów dolnej części zamku. Okiennice były szczelnie przymknięte, ale otwór uczyniony w górze dla wpuszczania powietrza dozwalał zapuścić wzrok w głąb pokoju. Na małym stoliku przygotowane było nakrycie do wieszery, obok stało krzesło trzciniowe; stara kobieta ukazała się z karafką w ręku i z talerzem fig; ukrajała kawałek chleba który położyła w koszyczek, następnie przyniosła dymiącą potrawę i znowu wyszła, jakby dla oznajmienia że wieszera podana.

Eugeniusz skorzystał z tej chwili aby wydobyć lunetę którą zawsze nosił przy sobie. Zaledwie skierował ją w tę stronę, kiedy służąca weszła ale już nie sama. Młoda kobieta, okryta szarą suknią szła za nią krokiem wolnym i smutnym; jej obfity włos płowy, rozdzielony na środku głowy, łączył się w tyle w gęsty węzeł, twarz i ręce zadziwiającej czystości linii, odznaczały się białością przezroczystą, świadczącą o zaburzeniach jakie choroba albo też zmartwienie poczyniły w organizmie. Wspomnienie prędkie jak błyskawica, przeszło po umyśle oficera: widział on już raz tę kobietę, ale jakaż głęboka zaszła w niej odmiana! Wtedy świetniała ona całym blaskiem życia, obecnie pobladała z cierpień; postawa jej wyrażała ponurą rezygnację bez nadziei; wzrok jej mdły i zadumany zdawał się oddzielać od przedmiotów ziemskich i spoglądać w inne sfery; nic w jej fizyognomii nie wskazywało że ona słuca tego co stara opowiadała jej z towarzyszeniem gestów i ruchów głowy. Usiadła machinalnie do stołu i okiem roztrągnioném spoglądała na służącą, która podawała jej to rosół, to narodową polentę, o ile wnosić mógł Eugeniusz z oddalonego punktu. Stara zdawała się zapraszać panią do jedzenia, ale po pierwszej łyżce młoda niewiasta odsuwała talerz. Wzięła wreszcie figę z okruszyną chleba, a wzrok jej utkwiał w płomieniu lampy. Oczy jej napełniły się łzami, przetarła czoło wychudłą ręką i wstała. Naprzeciw niej stał przyparty do muru kłęcznik z krucyfiks. Upadła na kolana i długo kłęcząca zatopiona w modlitwie.

Służąca popatrzyła na nią smutno, potem zaczęła uprzątać. Skończyła, wzięła się do szycia, kiedy pani wstała z obliczem bardziej jeszcze zniechęconém niż poprzednio. Stara rzekła do niej

kilka słów, wskazując palcem na wieżę. Widocznie oznajmiała ję o przybyciu do zamku gościa, co dla niej zdawało się być ważnym wypadkiem; ale młoda kobieta zaledwie ję słuchała, nie odwróciła głowy i nie wyrzekła ani słowa. Wkrótce potem obie opuściły pokój. Eugeniusz z sercem wzruszonym, daremnie przez całą godzinę oczekiwał powrotu tajemniczych zjawisk, nie widział już nic, i musiał opuścić swe stanowisko.

Księżyc rozlewał takie światło, że nie potrzeba było zapalać lampy. Wrócił do swej komnaty, ale sen nie chciał przystąpić do wzburzonej głowy. Z rozpalonym czołem stał on przed oknem spoglądając w głęboką równinę.

— Tak piękna! tak młoda! dlaczego ona zamknięta w tém smutnym więzieniu?—mówił do siebie.

To cofał się do czasu w którym widział ją poraz pierwszy; było to przed czterema laty, u jakiegoś generała francuzkiego, który zimę bawił w Wenecyi i zbierał u siebie na wieczory najcelniejsze towarzystwa włoskie. Miała ona wtedy najwięcej lat siedemnaście i była na balu z matką swą, medyolanką, bardzo poważaną w świecie. Dziewica miała wiele wdzięku, głos tak harmonijny, oczy tak czarne, uśmiechliwe i słodkie, że oficer pomimo swęj zwyktęj na płeć piękną objętności, przez cały wieczor oczu od nię oderwać nie mógł. Raz tylko jednak udało mu się z nią tańczyć; młody hrabia, ję kuzyn, próżny i pełen zadowolenia z siebie, uczeplił się ję na cały wieczór; a i ona wreszcie zdawała się najwięcej cenić towarzystwo swego wykwintnego współrodaka. Eugeniusz mało co z nią mówił, jednak melodyjny szmer jej głosu kilka tygodni jeszcze brzmiał w jego uszach. W kilka dni potem spotkał on tę dziewięć siedzącą w gondoli pomiędzy matką i nieodstępny kuzynkiem; pokłonił ję się, ale ona oddała mu ukłon z pewnym zdziwieniem, jak gdyby go nie poznała. W następnym tygodniu opuściła Wenecyę.

Jakież to wypadki od owego czasu spędziły róże z ję oblicza i blasku ujęły oczom? Dlaczego znajdowała się w tém odosobnieniu? Czém był dla nię margrabia? Dlaczego ukrywał ją z tak zazdrosną ścisłością? Byłże on ję mężem, albo tęż ulegając szatawi miłości odepchniętęj trzyma ją w tym zamku aby złamać ję dumę i przewyciężyć upór? Ale przypomniał sobie szlachetną postać, pełne godności oblicze gospodarza, i odepchnął myśl tak bezecnej zbrodni.

II.

Eugeniusz położył się z duszą uciśnioną smutkiem; utrudzenie dzienne sprowadziło mu sen kilkogodzinny, wzburzony, pełen bolesnych marzeń. Kiedy wstał słońce już było wysoko, a u podnóża wieży kobieta jakaś chrapowatym głosem śpiewała coś czego on nie rozumiał. Jednym skokiem rzucił się do okna i spostrzegł starą służącą która szła z koszykiem stromą ścieżką pod

górze. Spostrzegłszy go, mocniejszym jeszcze tonem powtórzyła swoją jednostajną śpiewkę, w której on odróżnić mógł jeden tylko wyraz „Klasztor.” Potem położyła palec na ustach, na znak roztropności i znikła za skałą.

Eugeniusz mocno zdziwiony oddalił się od okna. Za nim stał Taddeo, którego badawcze oko śledziło wszystkie jego kroki. Udał natychmiast obojętność i zapytał z uszanowaniem, co pan kapitan ma mu do rozkazania. Zauważył jednak Eugeniusz, że mówiąc, słuchał uważnie głosu stariej, który rozbrzmiewał z oddali.

— Pan margrabia prosi o przebaczenie — dodał zabierając ubranie oficera—zmuszony jest wyjść dzisiaj i wieczorem dopiero powróci. Jutro zrana jeżeli pan kapitan zabawi jeszcze, spodziewa się złożyć mu wizytę.

Eugeniusz odpowiedział krótko i z roztargnieniem. Potem zapytał, czy nie ma w zamku innego służącego, bo potrzebował kogoś coby za nim nosił narzędzia miernicze.

— Jest tylko stara kobieta trudniąca się kuchnią — odpowiedział żywo Taddeo—ale ona ma bzika, mogłaby coś zgubić albo złamać. Ja zaś podczas nieobecności pana, dodał zbliżając się do biurka, nie mogę oddalać się z zamku. Gdyby nie to, uważałbym sobie za zaszczyt towarzyszyć panu kapitanowi. Ale są w pobliżu pastuszkowie, którzy chętnie tego się podejmą.

Oficer nie słyszał już ostatnich wyrazów. Główny cel jego pobytu w tej okolicy tak był teraz dalekim od jego myśli, że w pół godziny potem wychodząc z twierdzy dla badania miejscowości, zapomniał wziąć z sobą mapp. Przybywszy na szczyt łańcucha wzgórz okalającego równinę, zatrzymał się i spojrzał na przebytą drogę. Na sto kroków pod nim zamek piętrzył swe szarawe mury; z punktu na którym stał Eugeniusz objąć mógł całość budowli i zapuścić wzrok w mały ogródek, który mimo kwitnących róż, budził ponure myśli jak widok grobu. Żadnej postaci ludzkiej nie było widać w dziedzińcu, a okna wychodzące na górę zastąpione były gęstemi firankami. Można by myśleć że zamek jest niezamieszkały, gdyby nie lekki prąd dymu, który wznosił się ponad drzewa, jako jedyny znak życia widniejący w tej siedzibie otoczonej cyprysami.

Uczucie blizkie nienawiści powstało w sercu Eugeniusza przeciwko właścicielowi zamku. Jakżeż byłby rad, gdyby w wypadku wojny, mógł zdobyć tę twierdzę, pokruszyć jej bramy i wydobyć na jaw tajemnicę ukrytą poza jej murami. Zapytałby tę bladą ofiarę, co to za człowiek który udręczył jej młodość, i pomściłby się nad ciemiężcą.

Tymczasem stał on tu samotny, bezwładny, nie mógł użyć innej broni jak tylko cierpliwość. Westchnął i odrywając wzrok od doliny, wydobył się na sam wierzch góry, zkąd nieopodal ujrzał dzwonnice skromnego klasztoru wznoszącego się ponad sosnowym gajem. Nie z tego on miejsca potrzebował zdejmować plany, skierował się jednakże pod klasztor, spodziewając się osiągnąć

tam jakiej wiadomości o mieszkańcach zamku. Przewodnik powiedział mu wczoraj, że co niedziela przybywa mnich do twierdzy dla odprawienia mszy, musiał on zapewne widzieć smutną niewolnicę.

Zaledwie uszedł pół drogi, kiedy nagle postać ludzka wychyliła się doń z poza krzaków. Była to stara służąca, której śpiew obudził go z rana. Dała znak młodzieńcowi aby poszedł za nią, i wtulając głowę w ramiona, ruchem nocnego ptaka wystraszonego światłem, cicho wsunęła się między krzaki i skały dążąc do opuszczonej chaty.

— Przysięgnij mi pan przez Madonnę że mnie nie zdradzisz; zdajesz się dobrym i prawym, ale ja nie powiem słowa, dopóki nie przysięgniesz.

Oficer zgodził się bez wahania.

— Czego żądasz odemnie? jestem gotów uczynić wszystko co się da pogodzić ze czcią żołnierza.

Nie odpowiedziała mu natychmiast. Usiadła na kamieniu w głębi chaty i zdawała się z gorzkim zadowoleniem wylewać swobodnie łzy które zapewne często zmuszoną była ukrywać. Eugeniusz dotknął jęj ramienia; ona zadrżała i zdawała się przypominać sobie powód który ją na to miejsce sprowadził.

— Powiedz mi pan nasamprzód, kto jesteś i pocios przybył do zamku—rzekła oglądając go z nieufnością od stóp do głów, pomimo przysięgi jaką na nim wymogła. Jak on mógł cię wpuścić do twierdzy, w której nikt nie mieszka prócz nas i rozpaczy. Jeżeli jesteś jego przyjacielem, stara Barberina nie ma ci nic do powiedzenia.

On dał wyjaśnienia które zdawały się ją zadawalniać; wy dobyła z kieszeni lubianą tabakierkę, zażyła z niej i dodała:

— Czy znasz pan Medyolan?

— Troszkę—odpowiedział Eugeniusz. W mieście tém stałem piérwszy raz załogą i bawiłem cały rok.

— Czy pan tam wrócisz? Trzebaby natychmiast: inaczej może być zapóźno.

— Powiedz mi, w jakim celu. Jeżeli rzecz jest ważna....

— Ważna—zawołała Barberina wznosząc oczy do nieba. Idzie tu niesety o życie lub śmierć! Czy pan słyszałeś o hrabi Tagliani? Czy znależ go? Wreszcie mniejsza o to czyś go znał lub nie. Jeżeli jesteś rzeczywiście człowiekiem uczciwym, chrześcianinem, jeżeli się litujesz nad nieszczęściem, pospieszysz odnieść list do hrabiny. Tego tylko od pana żądam: uczyń to a niebo błogosławić cię będzie.

— Daj mi ten list: przed tygodniem będzie doręczonym.

— Tydzień to zadługo.—Lampa może przez ten czas zagaśnąć; ale jeżeli tak ma być, Bóg zapewne nie odmówi miłosierdzia.—Masz pan przy sobie papier?

— Na co ci?

— Na list. Ja, biédna, nieuczona kobiéta, nie napiszę; zaledwie nauczyłam się czytać. Pani moja nie chciała nigdy napi-

sać ani jednego wiersza; a nawet gdyby wiedziała że rozmawiałam z panem, nie śmiałabym jej się wicóej na oczy pokazać. Przeto też ja po długim wyczekiwaniu postanowiłam wezwać pomocy pańskiej. Jużciżby mnie moje stare nogi zaniosły do Medyolanu, ale panby mnie zabił, tak jak to raz już powiedział. A jednak byłaby ona już wybawioną dotychczas! Ja nie chciałam działać wbrew jej zakazowi, sądziłam że się rozmyśli; ale dzisiaj rzeczy stanęły już tak, że dłużej czekać niepodobna.

Jeńki stłumiły jej głos, obląkanie znowu zabłysło w oczach, zdawała się zapominać o obecności Eugeniusza. Ten wyciął z pułgaresu kartkę.

— Co mam pisać?—zapytał.

— A, prawda—zawołała stara, dłonią ocierając oczy. Dobrze, zaczynaj pan: „Kochana pani hrabino.” Wszak mogę ją tak zatytułować nie dodając: *gentilissima* i *illustrissima*. Wszłam w ich dom przy narodzeniu się pierwszego dziecięcia; byłam kiedy młody hrabia unarł; następnie mała Joasia przyszła na świat: „Barberino—rzekła do mnie pani hrabina—nie masz ty mleka dla naszej maleńkiej, ale wiem że oddałabyś za nią krew z serca, to też zostaniesz z nami, powierzam ją twoim staraniom.” Niestety! słodki mój Zbawicielu! gdybym była przewidziała co się ma stać, wołałabym była umrzeć w więzieniu, niż wychować dziecię po to aby konało z rozpacz.

— Tłumacz się prędzej—zawołał Eugeniusz niecierpliwie—czas jest drogi.

— Masz pan słuszność; ale czy znasz przysłowie: „Cierpliwość i pieniądz panują światu.” Inne także powiada: „Kto znosi wszystko bez szemrania, jest albo świętym albo osłem.” Pisze pan co ci dyktować będę, bo nie mogę cierpieć i milczeć.

„Osobą która pisze do pani jest wierna Barberina. Chce ona panią zawiadomić że zostałaś niegodnie oszukana przez tego, Bóże mu przebacź! który postępuje z córką pani jak turek albo poganin. Przyrzekł on pani i Bogu najwyższemu, że będzie jej podporą, że ją na rękach piastować będzie, jak powiada ewangelia, aby na ostry kamień nie ugodziła nogą.”—Napisałeś pan to?—Dobrze. Teraz dalej: „On zaś natomiast głosi, że moja młoda pani zwaryowała, i że on z tego powodu trzyma ją tu, gdzie ona nikogo widzieć nie chce, nawet ojca i matki. Ale to jest ohydne kłamstwo: ona ma całą przytomność tak jak i ja, albo jaśnie wielmożna pani, z przeproszeniem mówiąc. Uprowadził ją z miasta i zamknął w cytadeli. Tak to postąpił sobie ten którego nie nazwę po imieniu, bo zagroził że mnie zabije jak psa, jeżeli wydam jego zbrodnię. Ale ja wołałabym stokroć umrzeć niż zamilczeć o tém; serce mi pęka, kiedy pani moja nie chce ani jeść ani pić, nocę spędza bez snu, jak gdyby wkrótce zabierała się do snu podziemnego. Ona nie wytrzyma dłużej w tym stanie: mój biedny anioł umrze albo istotnie rozum straci. Wię o tém dobrze ten co winien wszystkim, ale on chce tego a sercu jego uiedostępna litość. To też

jeżeli łaskawa i kochana pani chce uratować dziecię swoje...”—Napisałeś pan to? Bo teraz przystępujemy do najtrudniejszej rzeczy; ja sama nie wiem co robić. Jeżeli napiszę, to rodzice pospieszą wyrwać swą córkę; a czy ona da im się uprowadzić? Bo trzeba ci wiedzieć, panie kapitanie, że ona o niczym nie mówi, tylko o pokucie i o śmierci; utrzymuje że nigdy już nie ujrzy świata i że dla niej nie ma już szczęścia na ziemi. Ach! udało się temu okrutnikowi! Zmartwienie czarne jak grób, pożera ją z wolna; lepijby zaraz nóż zatopił w jej sercu, zamiast piec ją tak na wolnym ogniu.”

Skrzyżowała ręce na piersiach i zaczęła płakać. Eugeniusz usłyszał z dala stado zbliżające się do chaty; były to kozy, za którymi spiesznymi krokami pędził pastuch; chwilę ukazał się na progu i natychmiast oddalił się z rozigranymi stworzeniami. Oficer ukryty w cieniu nie wiedział czy go pastuch dostrzegł, ale starą musiał zobaczyć.

— Opowiedz mi wszystko Barberino, mów prędko—zawołał—mógłby nam tu kto przeszkodzić, i już nie zdołałbym ci nic dopomóc. Co zaszło między margrabią i twoją panią? Zdaje się niepodobieństwem takie barbarzyństwo, aby mężczyzna mógł grzebać za życia kobietę młodą i piękną, jeżeli ona jest niewinna i przy zdrowych zmysłach.

Stara patrzyła nań i zdawała się wahać z odpowiedzią. Wreszcie, znowu zacerpując suchemi palcami szczyptę tabaki, odezwała się, podchodząc ku drzwiom dla przekonania się czy czasem pastuch nie wrócił:

— Niewinna! A któż to jest niewinnym, kochany panie? Sprawiedliwy grzeszy siedem razy na dzień, a kara idzie za każdym fałszywym krokiem, i nikt jej nie unika. Czyż podobna aby dziewczyna siedemnastoletnia, zmuszona zaślubić niekochanego człowieka, mogła stłumić odrazu bicie serca? Dodaj pan, że to biedne dziecko już przedtem swoje oddało. Zda mi się że ją jeszcze słyszę: „Barberino, jeżeli będę musiała wyjść za margrabię, pomnij, że ztąd wyniknie nieszczęście!” Ponieważ znałam ją i wiedziałam że nie woli ojca jej nie zmieni, postanowiłam odejść aby nie widzieć tego smutnego zamełcia. „Moja ty jedyna ukochana—rzekłam do niej—stara Barberina nie ma odwagi być świadkiem twego nieszczęścia. Wrócę do miasta gdzie się urodziła; i tam modlić się będę za ciebie dzień i noc.” Tak powiedziałam i nie dałam się zatrzymać, bo ślub był już bliski. Kuzyn, którego moja biedna Joasia kochała od dzieciństwa, był porucznikiem w marynarce; nie mógł on przybyć do Medyolanu; stary hrabia nie pozwoliłby mi być ust otworzyć za biednym chłopcem; sama nawet hrabina trzymała za margrabią z powodu jego tytułu i majątku; był to zresztą człowiek uczciwy, szanowany i zasługujący na szacunek. Ale czyż to tego wymaga siedemnastoletnie serce? „Pierwsza miłość najlepsza”, powiada przysłowie. Odprawiłam się więc i mieszkałam rok cały w mojem miasteczku, żyjąc

jak gdyby nie było na świecie hrabianki Joanny. Ale czułam po smutku mojego serca, że rzeczy szły nie dobrze.

„Sądź pan jak byłam zatrwożoną, odebrawszy raz list, którym zażądano abym natychmiast udała się do willi margrabiego, bo moja pani innie potrzebuje. Zrazu przejęta mnie słodka nadzieja:—Gdybyż ona została matką — pomyślałam—jój zameżcie wypadło może lepiej niż się spodziewałam. Ale nie Joanna napisała list, on go pisał, i obawa moja wróciła. Przybyłam nazajutrz pod noc. Na przyjęcie mi nie wyszedł Taddeo, a wtedy oko jego było zawiązane, wreszcie brzydkim był tak jak i dziś. Nie dawszy mi się nawet otrząsnąć z kurzu, zaprowadził mnie nie do pani, ale do pokoju margrabiego. Widziałam go tylko dwa razy, uważałam jednak wielką zmianę w jego twarzy, i co pewna, to nie było tam widać żadnej radości ojcowskiej.

— Barberino — rzekł do mnie — posłałem po ciebie, chcąc abyś była przy pani margrabinie; ona jest chora, przynajmniej na duszy, a wiem że ty jesteś dla niej z poświęceniem.

— Wielki Boże! co pan mówisz panie margrabio? zawołałam. Moja Joasia chora? Ona co była tak wesołą i śmiechem cały dom napełniała!

Westchnął tak głęboko że litość mnie zdjęła. Opowiedział mi potem, że złodziej zakradł się nocą do pokoju margrabin, że on i Taddeo puścili się za nim, i że zład wyniknęła walka w której służący stracił oko. Wzruszenie i przestrasz tak głęboki wpływ wywarły na moją młodą panią, że ona od tego czasu nie chce się z nikim widzieć i pragnie schronić się w miejsce bezpieczniejsze niż willa. Przeszedł mu więc na myśl jego zamek nad jeziorem Garda; postanowił zaraz nazajutrz rano wyjechać tam i pozostać w nim dopóki młoda pani się nie uspokoi.

Mówił to do mnie tak smutnym tonem, ale zarazem tak pewnym i stanowczym, że najmniejsze powątpiewanie przez myśl mi nie przeszło. Pożegnał mnie znakiem i dał rozkaz służącemu aby mnie zaprowadził do pani. W jakim ja stanie zastałam tego biednego anioła! Była nie do poznania. Widzę ją jeszcze, blada i niema, siedząca w krześle; ani tży w oczach, ani słowa na ustach. Serce mi się ścisnęło, bo dobrze powiadają: „kto złe zamyka w sobie, nie wyzdrowieje”. Czy uwierzysz pan, że ona nie odwróciła nawet głowy aby spojrzeć na mnie? Na moje wszystkie objawy uczucia nie odpowiadała nic; nareszcie dała mi rozkaz abym ją zostawiła samą. Matko Boska! jak mi to przeszło serce! Nazajutrz wyjechaliśmy; margrabina i ja siedziałyśmy w powozie; Taddeo powoził; obok niego kucharka Martina, którą wszyscy uważają za prostoduszną dla tego że nie gada, ale mimo to słyszy ona jak trawa rośnie. Margrabia jechał obok nas konno. Tak podróżując dzień i noc przybyliśmy do téj przebrzydłej nory; powóz przejechał po moście, a mnie zdawało się słyszeć łoskot garści ziemi spadających na trumnę. Pani moja zdawała się nieczułą na wszystko co ją otaczało. Wszedłszy do swego pokoju

rzuciła się na kanapę jak nieżywa. Z mężem nie przemówili ani słowa. Zaledwie drzwi się za nimi zamknęły, margrabia znowu odjechał wierzchem, zostawiając nas samych z obrzydłym Taddejem, który stał się naszym panem i dozorcą.

Jakem się lepiej nad tém zastanowiła, wszystko to, zgadujesz pan, wydało mi się niejasnym. Zapytywałam Taddea: wychodzi to na to coby pytać ten mur. Szczęśliwiej nie powiodło mi się i z panią; ale wieczorem, kiedy poszła do Martyny, bo margrabina znów mnie od siebie oddaliła dowiedziałam się prawdy. Ja mogę rozumieć Martynę, choć ona okropnie się jąka i długo wystowić się nie może. Cóż to za złodziej tak wystraszył moją panię? Nikt inny, przebóg, tylko Gino, a mniemany strach podobny był do radości jak kropla wody do drugiej. Trzeba panu wiedzieć że Joanna gościła w Medyolanie; ukrywała jak mogła swój smutek, ale zachorowała i trzeba było wywieźć ją na wieś. Co robić panie kapitanie? Człowiek ma raz tylko w życiu siedemnaście lat i pierwsza miłość jest jedyną w życiu. Tydzień tak upłynął w willii. Raz wieczorem Martyna zobaczyła wchodzącego do kuchni wieśniaka z listem. Kładzie on palec na ustach, a widząc że jest sama, wsuwa bilecik w kieszeń od jój fartucha i znika. Martyna patrzy na adres: było tam imię margrabiny, zaniosiła więc jój list. Czytając go zacerwiniła się biedaczka; napisała pospiesznie kilka wierszy i kazała Martynie oddać je wieśniakowi, jak przyjdzie. Przyszedł dopiero po dwóch dniach; zapewne obawiał się Taddeja. Lepiej byłby nie wracał, bo nie ma w piekle tak chytrego szatana jak ten łajdak jednooki, a wtedy miał jeszcze dwa ślepie.

Cóż mam ci ukrywać, panie kapitanie? Wieczorem Gino wszedł do willi; myślał że nikt go nie widzi, ale już rzecz była wiadomą. Zaledwie parę słów przemówił do swój ukochanej, kiedy drzwi odwalily się z trzaskiem. Margrabia, uprzedzony przez Taddeja, przeszedł koło Martyny jak anioł mściciel uzbrojony piornem; a to tak że szpada jego wyrzucała płomienie. Sądziła Martyna że on chce zabić panię, pospieszyła też żeby ją ratować. Mój Boże! cóż to biedne stworzenie mogło przeciw szalonemu! Margrabia stał nieruchomy na środku pokoju, starał się powstrzymać, ale burza wewnętrzna tak była gwałtowną, że ostrze szpady drgało mu w ręce jak płomień poruszany wiatrem. Milczał i żona jego także. Upadła na krzesło stojące przy łóżku. Nie znać było na niej przestachu, istny trnó który nie ma się czego obawiać na świecie. Martyna widziała to wszystko, bo nikt nie usłyszał jój wejścia, i stała ukryta za szafą.

Nagle zewnątrz zrobił się wielki hałas. Okno było otwarte, dochodził głos Taddeja. „Na pomoc, krzyczał on, zbójca! zbójca!” Margrabia zbliżył się do żony i podniósł szpadę; ale ona odwróciła oczy ku niemu, jakby chciała mówić: Uderz, jeżeli masz serce po temu! Nie mógł wytrzymać tego spojrzenia. Oparł szpadę o podłogę, złamał i kawałki rzucił daleko od siebie. W tej chwili

wszedł Taddeo, krew broczyła mu po twarzy, a w rękę trzymał, okropność oko, które uciekający gach wydarł mu z głowy szamocząc się z nim. Ukazał margrabiemu zegarek z łańcuszkiem. „Oto wszystko, jaśnie panie, co mogłem uchwycić. Umknął mi, niegodziwy morderca” Wyszedł natychmiast, a jego okrzyki bólesci rozlegały się po całym domu. Dobra Martyna pobiegła obwiązać mu ranę, ale on miał ją za zbyt głupią do tej sprawy. Piecił się ze złości i wykrzykiwał przekleństwa. Nikt nie spał w willi; a co państwo mówili między sobą Bóg tylko wie. Martyna słyszała jak margrabia wszedł do swego pokoju i zamknął się w nim, pani uczyniła toż samo. Nie otworzyła Martynie, która poszła jej posłużyć; ale światło paliło się u niej przez całą noc.

Nazajutrz margrabia powiedział Martynie że złodziej zakradł się do domu i kazał jej zanieść do sąsiedniego miasteczka, gdzie stał oddział żandarmeryi, oświadczenie piśmienne. Potém wysłał Taddeja, z twarzą jeszcze zakrwawioną, do najbliższego felczera. Rana zagoiła się prędko, ale żaden lekarz na świecie nie mógł mu wrócić oka, i dlatego on taki zły na moją panię. Teraz już wiedziałam wszystko. Bardzo wczesnie zrana udałam się do pani, chociaż nie wołana. Wstała już, a widziałam po jej oczach że nie spała. Powiedziałam jej że wiem o wszystkiém, ale że ona nie powinna tak się smucić, biędne dziecko; że to nie jest tak wielkim grzechem pomówić chwilę z kuzynem, i że ja, gdyby mnie zmuszono pójść za starca, postąpiłabym jeszcze gorzej. „Niezawodnie, dodałam, gdyby pan Gino wiedział gdzie się pani znajdujesz, to ani piekło ani niebo nie odwołoby go od wybawienia cię, choćby miał on na cztery rogi zapalić „Twierdzą,” albo otworzył sobie drogę między skałami.” Ale jeżeli pan sądzisz że mowa moja uspokoiła ją nieco, mylisz się srodze; mówiłam jak do głuchej. Nareszcie w ciągu rozmowy powiedziałam jej że margrabia opuścił zamek.

— Gdzie on się udał?—zawołała raptownie. A gdy nie umiałam jej odpowiedzieć, ona zaczęła drzeć cała. „On pójdzie za nim, mówiła, nie spocznie dopóki go nie znajdzie, a wtedy już po nim.” „Albo po twoim tyranie, rzekłam by ją uspokoić; w takim razie byłabyś wolną.” Nie słyszała mnie; aż do powrotu margrabiiego była wzburzoną jak dusza potępiona. Przywiózł jej listy od rodziców, które uspokoiły ją nieco. Listy te mówiły że on cały czas przepędził w mieście dla urzędzenia swych interesów, i że podał się do dymissy dla tego aby całkowicie poświęcić się staraniom jakich wymagało zdrowie żony. Pani hrabina zalecała córce aby odpędziła czarne myśli, zapewniała ją o swém przywiązaniu, smuciła się że dla nieprzełamanych przeszkód nie może przybyć do zamku by ją odwiedzić. To znów opisywała jej nowiny miejskie, między innymi, że kuzyn jej Gino wypłynął z Genui z flotą do Afryki. Było to największą pociechą. Stał poza pociskami zemsty margrabiiego. Dała mi list do przeczytania, nie mówiąc, bo usta otwierała tylko do modlitwy. Ach, panie

kapitanie, tygrys patrząc na nią płakałby krwawemi łzami, ale ten potwór, jój mąż...”

— Czy margrabia żyje w zupełném odosobnieniu od żony — zapytał Eugeniusz — który z wzrastającym zajęciem słuchał opowiadania mamki.

— Nigdy nic do niej nie mówi — odparła Barberina — i spotyka się z nią tylko w niedzielę w kaplicy, gdzie przychodzą oboje wysłuchać mszy. Klęka obok niej, ale na nią nie patrzy; wychodząc, klania się jój w milczeniu i wraca do swego pokoju. Wreszcie nie odmawia jój niczego; posyła jój książki, robotki niewieście, a ja otrzymałam rozkaz wybierać na jój posiłek najwykwintniejsze rzeczy. Ale pan wiesz: „Lepszy chleb czarny z radością w sercu, niż kapłon ze zmartwieniem, i pół łuta swobody więcej warte niż dziesięć funtów złota;” tak ja przynajmniej sądzę. Totóż posiadawszy kilka miesięcy w tém straszném więzieniu, widząc że dnie maleją a zima nadciąga, uzbroiłam się w odwagę oburącz. Poszłam do pana, powiedziałam mu że rzeczy tak nie mogą iść dalej, że pani długo w ten sposób żyć nie może, że to wstyd skazywać na cierpienie tę biedną istotę, i że jeśli on tą drogą myśli zyskać jój miłość, to stoi od niej o dwieście mil, bo psa nawet łatwiej przywiązać pieszczotą niż łańcuchem. Wiem ja dobrze, dodałam, że ona nie tyle jest waryatką ile o tém mówią; pan dla innych powodów trzymasz ją w tym zamku, ale nicby nie było dziwnego gdyby w końcu istotnie zwaryowała.” Nie pojmuję dzisiaj jakem mogła zdobyć się na tyle odwagi: on popuszczał mi cugli i jakoś słowo szło za słowem. Kiedy skończyłam, on odpowiedział mi głosem tak spokojnym, jak gdyby mi mówił dzień dobry: Zwracam twoją uwagę, Barberino, że ja w moim gabinecie mam zawsze nabitą broń; zalecam ci więc abyś o tém wszystkim nie mówiła nigdy ani do mnie ani do innych, inaczej zmuszony byłbym zabić cię jak psa. Teraz odejdz i powtórz Martynie to co usłyszałaś odemnie, w razie jeżeli to ona ci te myśli wbiła w głowę.” Matko Boska! jakem ja się wylękała! Nie wiem jakem trafiła do drzwi, taki on był okropny. Odtąd nie miałam już nigdy odwagi rozpocząć z nim o tém nanowo. Przeszło jeszcze sześć miesięcy. Jednego dnia pani otrzymała list od matki; nie pokazała mi, ale czytałam go ukradkiem. Stało w nim że jój kuzynek pojechał do Paryża, miał tam pojedynek z oficerem o to że obaj ubiegali się o jedną tancerkę, że otrzymał kulę w piersi i umarł na placu. Hrabina pisała to, nie spodziewając się wrazenia jakie ta wiadomość wywrze na córkę. List przybył w piątek; pani dostała gorączki która trwała aż do niedzieli. Radziłam jój aby nie chodziła do kaplicy, ale nie było z nią rady. Poszła. Po mszy, kiedy przed wyjściem spotkali się z margrabią, zaczęła do niego coś szeptać tak cicho żem nic nie słyszała.

On słuchał jój zrazu w milczeniu, potem, wyjmując z kieszeni zegarek, ten sam który mu oddał Taddeo: „Wciąż pokazuje północ, pani margrabino”, rzekł. To mówiąc klania się jój z usza-

nowaniem i wychodzi tak prędko, że ja za ledwie zdolała wpaść i schwycić w objęcia panię, która traciła przytomność.

— Cóż pan na to — panie kapitanie? Czyż ona nie zasługiwała na pobłażanie? Taka młoda! Przytém oddała serce Ginowi od chwili jak przestała zajmować się lalką. Zresztą czyż nie dość miała kary w tém, że kuzynek poświęcił i ją i siebie dla tancerki.

Stara pociągnęła gwałtownie szczyptę tabaki, i zdawała się oczekiwać by Eugeniusz wybuchnął przekleństwem przeciw margrabiemu; ale on stał zamyślony, zapuszczając w ziemię koniec kostura.

— A odtąd? — zapytał.

— Odtąd żyjemy jak gdybyśmy niebu ukradli słońce, księżyc i gwiazdy. Tak, kochany panie, jak kto przechadza się po górach i zobaczy z dala Cytadellę pośród drzew, może mu się to wydać ładnym. Nieraz cudzoziemcy siadali na moście i rysowali zamek. Ale niejeden piękny orzeszek ma czarne jąderko, stoczone przez robaki. Nikt nie myśli, że my nudzimy się w zamku, że zmartwienie nas toczy. Po dniu w którym margrabia pokazał jój zegarek, pani przez kilka tygodni miała kilka razy gorączkę. Brat Ambrożego, znający się na chorobach, przychodził codziennie macać jój puls, a potem szedł do pana ze sprawozdaniem. Margrabia ma kamienne serce, nieprawdaż? Jednakże raz, kiedy weszłam do jego pokoju niespodzianie, widziałam że miał łzy w oczach. W chwilę potém, ponieważ pani miała się lepiej, poradziłam jój aby raz jeszcze spróbowała szczęścia. Posłała mnie do niego aby mu podziękować za troskliwe względem nięj starania i zapytać czy zechce ją przyjąć. Spojrzał na mnie górno i zimno i odpowiedział, że nie może z nią się widzieć, bo zajęty jest bardzo pilnemi interesami. Co pan na to powiesz, panie kapitanie? Zaledwie wydarto ją śmierci. Oh! niegodziwiec, karaib! Przyjęła to bez skargi, bez westchnienia; była wciąż coraz bardziej niemą i zrezygnowaną, jak człowiek żyjący dlatego tylko aby umrzeć. Nawet z Taddejem, który jest na nią zawzięty, ona obchodzi się najłagodniej. Mówiła mi nie dawno że oczy jój już nie mogą znieść słonecznego światła. Wierzę; ona tak płacze, kiedy jest samą. Teraz, siaduje po nocach a w dzień spoczywa; daremnie mówię że mrok nocny jój szkodzi, wbija jój głębiej w serce zgryzotę, ona nie słucha mnie, i żyjemy jak nietoperze. Pan zdaje się wcale o nas nie dbać; na mszy jest jednakim: wciąż nosi przy sobie zegarek, znaczny po łańcuszku, tak że ona nie ma serca przemówić do niego. Biedna dusza! O czém ona myśli? O tém tylko aby czempredziej zstąpić do grobu, i prawdziwie to przysłówie: „kto straci pieniądze, straci dużo; ale kto postradał nadzieję, stracił wszystko”. Na miłosierdzie Boskie! kochany panie, jeżeli coś nie przyjdzie jój na pomoc, życie wyschnie w nięj tak jak nasz strumyk podczas wielkich upalów. Zgryzota wysusza krew w jój żyłach, i któregokolwiek dnia, będę musiała pójść do pana i powiedzieć mu: „Powiodło się pauu: nasz biedny anioł jest już w świe-

cie, na którym łaskawy Zbawiciel odpuszcza grzesznikom. A teraz zabij mnie pan, jakoś mi zagroził, bo jak nie, to ja pójdę do Medyolanu i krzyzczyć będę po wszystkich ulicach że jesteś zabójcą! To mówiąc stara zaczęła szlochać.

— Uspokój się, dobra Barberino — rzekł oficer — jeszcze daleko do tego; wszystko co można zrobić dla zapobieżenia takiemu nieszczęściu, zrobię, przyrzekam ci, tak jak gdyby pani twoja była moją rodzoną siostrą. Ale na co się przyda nosić ten list do Medyolanu? Boję się aby to nie pogorszyło sprawy zamiast jej poprawić. Według wszelkiego podobieństwa, pani margrabina nie myśli bynajmniej szukać pomocy u swych rodziców. Rzecz to bardzo drażliwa mięszać się w sprawy rodzinne; musiałbym tedy koniecznie widzieć się z twoją panią, aby upewnić się o jej przyzwoleniu. Mogłabyś otworzyć téj nocy furtkę ogrodową; ja z mojej strony postarałbym się aby nie zamykano bramy od wieży.

— Co pan myślisz? — zawołała stara z przerażeniem. Nie wiesz jak nas strzegą. Nie wyjdziemy na chwilę na przechadzkę, by nas Taddeo nie szpiegował. Obawia się abyśmy nie uciekły przez mur ogrodowy, jak koty; a coby się z nim stało gdyby nie miał kogo dręczyć? Pani wreszcie nie zechciałaby widzieć się z panem.

— Możesz jej powiedzieć, Barberino, że jeden z przyjaciół chciałby przed odjazdem do Medyolanu zapytać się jej czy nie ma jakiego zlecenia do matki. Trzeba ci wiedzieć że ja nie jestem obcym twojej pani; tańczyłem z nią w Wenecyi, kiedy była jeszcze piękną, śmiejącą się panienką.

— Czy podobna? — rzekła stara patrząc na niego ze zdziwieniem i radością. Tak, to prawda, nie wątpię o tém; niepodobna kłamać z obliczem tak pocziwém i piękném jak twoje, kapitanie. Tak, ciebie niebo zsyła by nas wybawić, jestem teraz tego pewną. Jeżeli więc pan uważasz to za nieodzowne, dopomogę jak będę umiała. Wychodząc z zamku powiedziałam że idę do klasztoru po proszek usypiający dla pani, która od trzech dni nie zamknęła oka; był to tylko pretext dla zobaczenia się z panem; moja pani prawie że nie używa tego lekarstwa, i mamy go jeszcze aż nadto. Otóż wsypię to wszystko w butelkę wina którą Martyna co wieczór przynosi z piwnicy dla tego zbrojcy Taddeja. Jesteśmy zmuszeni przejść przez jego pokój aby dostać się do ogrodu, bo furtka nie otwiera się nigdy. Jak zaśnie, pójdę pani otworzyć i urządzę rzecz tak, aby panią wyprowadzić na przechadzkę; Pan Bóg dokona reszty. Jak pan ją zobaczysz, to cię taka zdejmie litość, że dałbyś sobie prawą rękę uciąć aby ją uratować.

— O której godzinie mi otworzysz? — zapytał.

— Nie mogę panu jeszcze powiedzieć; pani może będzie spała. W każdym razie pójdę po wodę do studni i będę śpiewać; zważaj pan dobrze na wyrazy, one wskażą ci godzinę. Teraz niech Matka Pocieszenia błogosławi cię, dobry panie! Zostań tu póki się dobrze nie oddalę, bo gdyby ten szatan Taddeo zwałchał najmniej-

szą rzecz, to gotów nie tknąć kropli wina, aby lepiej wytrzeszczać swoje niegodziwe oko. Ja pójdę do klasztoru, bo w niedzielę on nie zaniedba zapytać się czy mnie widziano. Bądź zdrow, panie kapitanie, niech cię niebo błogostawi tysiąckroć!

Podniosła koszyk, ścisnęła około siebie fałdy okrywki i wyszła chyłkiem z chaty, patrząc wciąż naokoło siebie czy jej kto nie szpieguje.

III.

Upał był doskwierający; promienie słoneczne padając na skalisty grunt, tak go rozpałały, że Eugeniusz spuścił się czém-prędzej ku dolinie poszukać trochę cieniu i świeżości. Ażeby nie wyrzucać sobie że całkiem zaniedbał missyi urzędowej, poszedł z biegiem wyschłego strumyka w kierunku północnym, przeskakując ze skały na skałę, notując rozmaite przypadłości gruntu; mimo to praca nie uspokoiła jego wzburzonych myśli. W kilka godzin potem zatrzymał się w zrujnowanym domku, którego pozór wskazywał że musiał służyć za schronienie raczej przemysłnikom niż porządnym podróżnym. Kobięta w łachmanach przyniosła mu chleba z kukurydzy, kawałek sera i jakiejś obrzydliwej lury. Posiliwszy się, zapuścił się w gęstwinę, idąc gdzie oczy poniosą, wpatrując się zadumaném okiem w wężykowe kłęby dymu od cygara. Znużony nareszcie położył się pod drzewem i usnął. O-ta-tnie promienie słońca, przed zniknięciem oświecające dolinę, zbudziły go ze snu. Z trudnością zrazu przypomniał sobie wypadki dnia tak pełnego wzruszeń; wkrótce przyszła mu na myśl obietnica jaką uczynił Barberinie i pospieszył czém-prędzej ku zamkowi.

Noc zapadła zupełnie kiedy przybył. W kwadrans potem wracał margrabia z pełną torbą myśliwską i szedł do mieszkania a za nim Taddeo. Ten odebrawszy od pana torbę, rzekł tonem szorstkim który mu był zwyczajnym:

— Oficer odsunął wczoraj wieczór kantorek, poszedł do obocznej sali, bo okienko środkowe pozostało otwarte, a na podłodze widziałem krople oleju.

— O co ci chodzi?— odpowiedział margrabia temperując pióro.

Taddeo kaszlnął lekko.

— Bo to ztamtąd widzieć można aż do mieszkania pani. Jeżeli pan margrabia mniema że to nic nie szkodzi, mniejsza o to. Nikt się nie pytał mojego zdania, czy należy dać gościnę temu cwancygierowi, i być może iż mu wszystko wolno, nawet przez dwie godziny gadać z Barberiną na górze...

— Kto to powiada?—kto widział?

— Dominik, pastuch. Stara i oficer schronili się do chaty, a on popędził w tę stronę owce, i opowiedział mi wszystko.

— Po co wychodziła Barberina?

— Po opium do brata Ambrożego; widać że pani go potrzebuje, a i inni będą zeń mogli korzystać.

Była chwila milczenia. Margrabia rzucił się w tył fotelu, odsunął pióro i zamknął oczy. Taddeo umiejąc czytać w fizjognomii swego pana, zadowolonym był z efektu jaki sprawiły jego słowa.

— Dodać winienem—rzekł składając do szafy przyrzady myśliwskie—że pan kapitan zabronił mi zamykać bramy od wieży. Mówiłem mu że taki tu jest zwyczaj, odpowiedział że lubi pić wodę świeżą, i że gdyby potrzebował w nocy napełnić karafkę w dziedzińcu, nie chciałby być jak więzień zamknięty na rygle. Co mi pan margrabia ma do rozkazania?

Margrabia wstał. Z rękami złożonemi na piersiach, z okiem ponurém, chodził wielkimi krokami po komnacie. Potém zbliżył się do okna i patrzył na dolinę okrytą mrokiem.

— Rób jak chcesz—rzekł nareszcie do Taddeja, który zdawał się bardzo zajęty czyszczeniem chustką lufy od fuzyi. Myślę, że patrząc na rzeczy zanadto zblizka, zaczynasz źle o nich sądzić, ale polegam na twojej wierności. Uczyni czego żąda kapitan, i staraj się być głuchym i niemym, to sposób najlepszy aby wszystko widzieć i słyszeć. Teraz odejdz, powiedz gościowi, że znużony polowaniem położyłem się do łóżka, ale że jutro spodziewam się go odwiedzić.

Taddeo wyszedł. Za ledwie stąpił za próg, wrócił znowu na palcach, zostawiając za sobą drzwi otwarte.

— Czy słyszysz pan?—szepnął.

Głos kobiecej drżący i jednostajny odzywał się w dziedzińcu.

— Co to jest?—zapytał margrabia. To Barberina śpiewa?

— A co ona wyraża?—wtrącił jednooki.

— Nie mogę zrozumieć ani jednego słowa—odrzekł margrabia—chwile nadstawivszy ucha. Co mi tam wreszcie do jej stariej pieśni? Odejdz, chcę być sam.

— Oto jest zwrotka—odparł Taddeo zamykając oko, jak-gdyby tym sposobem zaostrzał zmysł słuchu; słuchaj pan, słuchaj.

Pod domkiem naszym, w ogrodzie,
O nocnym chłodzie, o chłodzie,
Coś syczy wciąż, coś syczy wciąż:
Tam pełza chyłkiem czarny wąż,
Czarny wąż!

— Aha!—zawołał margrabia—teraz usłyszałem. To zwrotka z ballady *Donna Lombarda*, którą śpiewają wszyscy nasi wieśniacy.

— Zaczekaj pan. Czy pan przypominasz sobie następujące potem wyrazy? Idą one tak, jeśli się nie mylę:

On ma jeden tylko ślep,
Skrusz mu łeb!
W mózdzierzu skrusz mu łeb!

— O! słyszy pan? ta przekłeta czarownica właśnie to nuci—
rzekł dalej jednooki. Słuchajmy końca.

W tej saméj chwili głos brzmiał na inną nutę:

Jak miesiąc wstanie
Czekam cię, panie!
Spuść się ze skał,
Waż będzie spał.

— Tego nie ma w pieśni—jęknął Taddeo - ta wiedźma im-
prowizujel”

Pan i sługa spojrzeli po sobie, a przenikliwe oko Taddeja dostrzegło, że margrabia drżał z wściekłości. Zrobił poruszenie jakgdyby chciał rzucić się na śpiewaczkę, ale wkrótce zapanował nad sobą.—Idź—rzekł głosem spokojnym—pamiętaj co ci powiedziałem.

Po odejściu Taddeja margrabia rzucił się na krzesło i twarz zakrył rękami.

Księżyc późno wszedł téj nocy. Eugeniusz stał długo przy oknie czekając na blade jego światło. Kiedy pierwsze jego promienie oświeciły szczyt wzgórza, nie mógł oprzeć się jakiemuś przerażeniu. Walczyło w nim tysiąc rozmaitych uczuć: to przejęty żywym żalem nad biedną Joanną, chciałby przyspieszyć chwilę widzenia się z nią; to znów przypominał sobie smutne i surowe oblicze margrabi i wołałby był nigdy za próg domu jego nie stąpić. Udał się znów do téj pustej sali, której okna wychodziły na dziedziniec. Głęboka ciemność zalegała wszędzie. Dumal o ponurym dramacie ukrywającym się w tym zamku, o téj roli jaką miał w nim odegrać, i serce bić mu zaczęło gwałtownie. Nadeszła godzina oznaczona przez Barberinę, zszedł omackiem po schodach wieżycy ze szklanką dla nabrania wody, aby upozorować wyjście w razie spotkania się z jednookim. Ale nie widział nikogo w dziedzińcu, a wietrzyk nocny poruszający liśćmi jaworu był jedynym szmerem jaki uszu jego dobiegł. Światło księżyca rozlewało się po ogródku, i zarysowując ciemne kontury cyprysów, odbijając się o gładkie liście fig, nadawało fantastyczny pozór białawej ścianie nastroszonej srebrzącemi się zębami.

Wtém otwarły się drzwi i postać ludzka skierowała się ku niemu. Była to Barberina, która rzekła doń cichym głosem:—
Proszę!

Poszedł za nią, idąc ostrożnie aby stłumić odgłos kroków na podwórzowym bruku. Mamka mówiła dalej:

— Wszystko idzie dobrze. Szczęściem Taddeo spragniony był jak gąbka. Teraz leży w łożku i chrapie tak, że mógłby koło niego przejść cały pułk z muzyką na czele, a nie obudziłby się. Możemy więc przejść przez jego pokój, nie obawiając się niczego. Patrz pan.

I wprowadziła swego towarzysza do szczupłej komnaty, oświeconej małym okienkiem, które przepuszczało kilka promieni księżycowych. Na niskim tapczanie spoczywał człowiek, który snadź zaskoczony snem, nie zdążył się nawet rozebrać.

— Niech mu będzie na zdrowie — szepnęła Barberina, i wyciągnęła pięść ku przedmiotowi swój nienawiści. Zaprawiłam mu wino połową naszego proszku, to też śpi jak zarznięty; chciałabym żeby go zduślił dziki kot i żeby jego piekielne oko nie otworzyło się nigdy! Proszę tedy, panie kapitanie!

I weszła do pokoju, w którym dniem wprzód oficer widział margrabinę.

— Pani jest w przyległym pokoju; od dwóch godzin wciąż pisze i pisze, Bóg wie co, w grubym sexternie, który natychmiast zamyka jak ja wchodzę. Te drzwi prowadzą do ogrodu, zaprowadzę tam pana, potem namówię panią aby wyszła na przechadzkę. Stań pan w cieniu i nie ukazuj się póki nie kaszlę, bo ona jeszcze o niczem nie wie.

I wprowadziła go do ogródka. Był on tak wązki, tak ściśniony wysokimi murami, że Eugeniuszowi zdało się jakoby zostawał w głębi wyschtłej studni, gdzie resztką wilgoci wydawała mdłą roślinność. Boleść zdjęła go na myśl że młoda i piękna istność, oddalona od światła dziennego, więdnie w tej ponurój ustroni. Na chwilę przedtém wyrzucał sobie że gwałci prawa gościnności mięszając się do tajemnic niešťczęśliwego związku, ale teraz skrupuły jego zamilkły. Drżał z oburzenia i szukał w umyśle sposobów przebycia muru, gdyby nie było innego środka uwolnienia. Głos mamki wywiódł go z zadumy; wszedł w cień dwóch cyprysów rosnących pod murem: w tej chwili drzwi się otwały,

Zamiast wejść do ogrodu, młoda kobięta stanęła jak posąg na kamiennych schodach; oczy jęj z niewypowiedzianym wyrazem melancholii utkwiły w gwiazdzistém niebie, którego żadna nie zaciemniała chmurka; miała na sobie szarą suknię bez żadnej ozdoby, a mały krzyżyk złoty na czarnej wstążce wisiął u jęj piersi. Na wezwanie Barberiny postąpiła kilka kroków po wązkiej ścieżce, ale chód jęj zdawał się niepewnym, chwiejnym. Eugeniusz uczył się wzruszonym. Taż to jest dziewica świetna, lekka i żywa jak ptaszę, którą obejmował rękami w balowój sali?

Zdawała się mało zważać na to co do nięj mówiła Barberina. Zatrzymała się przy krzaku i skubała różę. Razem, na jakieś słowo mamki zadrżała i rzuciła koło siebie wzrokiem przerażonym. W tej chwili stara kaszłęła.

Oficer który zaledwie wstrzymywał się, wyszedł z ukrycia, ale stanął nagle, przerażony wyrazem śmiertelnej trwogi jaki przybrało oblicze kobięty. Gorący rumieniec oblał jęj lice. chciała mówić: usta jęj poruszały się nie mogąc wymówić słowa, i wyciągnęła ręce jakby chciała odpędzić straszne widziadło. Eugeniusz postąpił ku nięj, i tonem głębokiego szacunku tłumaczył swo-

ją śmiałość. Uległ on najczystsшему uczuciu, a jedynym jego celem było ofiarowanie jęj swych usług. Niech zechce powiedzieć jedno słowo, a on nie zawaha się poświęcić życie dla jęj ocalenia.

— Nie jestem dla pani zupełnie obcym—dodał w końcu. Wiedziałem panią lat temu kilka; pani zapomniałaś pewno o mnie; ja długo zachowałem w pamięci oblicze twoje, i teraz...

— Odejdź pan—przerwała nie patrząc na niego—oddal się ztąd.... Gdzie jesteś, Barberino? Powiedz temu panu...

— Posłuchaj go, kochana pani—błagała stara. On żąda od ciebie tego tylko abyś mu pozwoliła udać się do matki i uwiadomić ją o tém co się tutaj dzieje. Jemu to bolesno, równie jak i mnie, widzieć że się tu pani zabijasz.

— Jeżeli taka moja wola, kto mi może zabronić?—odparła margrabina z godnością która zbita z tropu Eugeniusza tak, że aż spuścił oczy. Odejdź pan odemnie, i nie probuj nigdy mieszać się do inojego życia. Zamiary pańskie są prawe, nikt tedy wiedzieć nie będzie o tém coś pan się uczynić ośmielił; ale gdybyś pan śmiał jeszcze raz ważyć się na coś podobnego, byłabym zmuszoną powiedzieć wszystko temu który jest panem mego losu. Nie wracaj pan nigdy, nigdy... rozumiesz pan... Teraz wiesz, jaka jest moja wola.

Nagle zwróciła się ku domowi i znikła nim Eugeniusz zdołał jęj odpowiedzieć.

— Matko miłosierdzia! —zawołała mamka składając ręce. Nie ma z nią rady. Panie, mamżeż żyć tak długo, póki nie zobaczę jak ona sobie głowę o mur rozbije, jeżeli śmierć nie pospieszy na jęj żądanie? Ona skończy, pewna jestem, na pomieszanu zmysłów. „Jeżeli taka moja wola, kto mi może zabronić?” Czyż jest tu aby cień zdrowego rozsądku, iżby się tak wyrażać mając lat dwadzieścia dwa, będąc piękną, bogatą, świetną? Na miłość Boską, panie kapitanie, odpowiedz pan co, bo mi rozpacz rozedrże serce. Nie mogę zamknąć w sobie tyle cierpienia.

— Srodześmy się pomylili, Barberino — rzekł Eugeniusz z oczyma wlepionemi w ziemię, stojąc w ponurém zamyśleniu. Powinniśmy byli pomyśleć że ona od dwóch lat nie widziała ludzkiej twarzy i że obawa pogorszenia losu skłaniać ją musi do odrzucenia wszelkich usług mających na celu jęj wyswobodzenie. Zapomnieliśmy o tém, niestety! Ileż to trzeba będzie czasu aby ją pogodzić z myślą światła i wolności?

Zamilkł, iży głos jego stłumity.

— Odprowadź mnie —rzekł dalej—nie rozpaczaj; spróbuj jeszcze jednego sposobu. Żem ja téż od tego nie zaczął! Jak myślisz, gdybym posłał list do nięj, czyby ona go odrzuciła? W każdym razie mogłabyś go wziąć, i czyby chciała czy nie, przeczytać jęj treść. Możeby się nareszcie dała przekonać.

— Dobrze, dobrze, panie kapitanie, zrób pan tak—mówiła mamka przechodząc z nim przez ciemną ciupkę. Patrz pan, ten

nędzny opryszek śpi wciąż; obawiam się aby się nie domyślił że mu coś zadano w winie, a wtedy miałabym co słuchać! Muszę też podwoić ostrożność. Nie będę już śmiała zbliżyć się do pana, ale jeżeli wsuniesz list pod kamień co leży przy studni, to tam nikt inny po niego nie przyjdzie tylko ja. Mów pan jój o matce, to jój doda odwagi, bo po Ginie ją ona kochała najwięcej na świecie, i gdyby mi nie była tak surowo zabroniła ..

To mówiąc weszła w dziedziniec. Zaledwie przeszła przez próg, śpiący porwał się z tapczana i czołgając się doszedł do okienka by spojrzeć na zewnątrz. Przy powrocie Barberiny, już leżał jak przedtem, jak gdyby ani się poruszył.

W kwadrans potem Taddeo pukał do drzwi swego pana, i z miną zwyczajną, pół-chytrą, pół-prostoduszną, wszedł do pokoju, w którym siedział margrabia z książką w ręku. Ale żeby na nią choć okiem rzucił, temu jednooki nie wierzył bynajmniej.

— Nie omyliły mnie podejrzenia. Otworzywszy bramę od wieży zawołałem na Martynę o wino. Było ono nasycone porządą dozą opium; rzuciłem się więc na łóżko jak kloc, stara Barberina przyszła, zabrała mi klucz, i nie wyszło *Zdrowaś Marya*, wróciła z oficerem prowadząc go do ogrodu.

Margrabia poruszył się, ale zagryzł usta i milczał.

— Musiałem leżeć cicho jeszcze kilka minut. Kiedy się wszystko troje zebrali razem, zdjąłem buty i wszedłem do mieszkania pani.

— Czy mogłeś ich słyszeć?

— Mogłem.

Tu opowiadał rzecz po swojemu, ale w gruncie mniej więcej prawdziwie.

— Razem pani wybiega jak strzała i przechodzi około drzwi przy których stałem, tak że jużem powiedział sobie: „Niezawodnie cię zobaczyła.” Ale nie. Wpadła do sypialnego pokoju, i trzask, trzask, zamknęła się. Ja wróciłem do siebie i znów rzuciłem się udawać śpiącego w najlepsze. Dowiaduję się wtedy że kapitan chce pisać do pani margrabiny i że ta faktorka Barberina ma pójść po list który będzie schowany pod kamień przy studni. Czy ta przekłeta czarownica nie zasługuje aby jój kark skrócić?

Nie odpowiadając na to zapytanie, margrabia wstał, gwałtownie wzruszony. Przeszedł się kilka razy po pokoju, wymówił kilka urywanych wyrazów, aż przypominając sobie że nie jest sam:

— Czy nie masz mi już nic do powiedzenia?—rzekł, i spojrzął się badawczo na sługę.

— A czyż to nie dosyć—zapytał jednooki ze złym uśmiechem. Ale napotkawszy surowy wzrok pana, dodał tonem pełnym uszanowania:

— Czy pan margrabia każe mi wziąć ten list?

Po chwili milczenia margrabia odpowiedział: Idź spać Taddeo, i daj mi znać o wszystkiém co zajdzie. Listu nie chcę widzieć... powiesz mi tylko czy go odebrano. Dobranoc.

— Smacznego snu, panie margrabió.

Stuga opuścił pokój z niezadowolaniem: nie mógł pojąć postępowania margrabiego.

— Mniejsza o to, przekłeta trucicielko — szepnął — co się odwlecze, to nie uciecze. Ha! ha! pan margrabia nie ciekawy jest listu, ale ja muszę dobyć jeża z nory, choćby miał mi rękę poszarpać.

Światło lampy długo błyszczało w oknie wieżycy. Eugeniusz siedząc przy stole, pisał ołówkiem na kartce wyciętej z pugilaresu. Wahał on się długo, nie dlatego iżby go przeraziła groźba margrabiny lub żeby się obawiał jej wyjawień; ale lękał się narazić młodej pani i stracić jej szacunek. Jednak, gdyby milczał, mogłaby ona kiedykolwiek dowiedzieć się o tém co on chciał dla niej przedsięwziąć, bo pod wzruszeniem chwili, zaledwie przypominał sobie jak się przed nią ze swego kroku tłumaczył. Może go dobrze nie rozumiała, a nieznośną była mu ta myśl, że opuszczając zamek, zostawi w nim też samą rozpacz przez brak wytrwałości ze swjej strony. Zaczął więc pisać z całym wylaniem prawego serca, z mężką prostotą żołnierza, nalegając na nią aby nie poświęcała na zawsze swojego życia. Mało on zna — mówił — pobudki które ją skłoniły do zamknięcia się w tej ponurzej samotności, ale on nie może patrzeć na jej powolne konanie, póki się nie przekonają że już niema środka przeciw zgryzocie która ją zabija. Zapewniał ją, że ofiarując jej swe usługi, nie powoduje się egoistycznym uczuciem; całym jego życzeniem jest wydarć jej z grobu w którym zamknęła się żywa. Jeżeli nałzieja zamarła już w jej sercu, jeżeli nie chce niczego usłuchać, to jemu nic nie pozostaje, tylko działać według własnego natchnienia, bodajby z pogorszeniem i tak nieszczęśliwego już położenia. Prosił ją aby mu pozwoliła rozmówić się z jej matką; wszak ona ma także obowiązki względem swjej matki, nie jest to rzeczą okrutną pozbawiać jej dziecka? Skończywszy list, podpisał, złożył kartkę jak mógł najlepiej, a nie mając laku, zapalił świecę, spuścił kilka kropel wosku na list i odcisnął swą pieczętkę.

Przed wschodem słońca zszedł do studni, podniósł ostrożnie kamień i list pod nim umieścił. Świeżość powietrza chłodziła war jego duszy, naczepał wody i wypił kilka szklanek. Potem usiadł na poręczy, patrząc smutnie na sztachety żelazne zamykające ogród. Przebiegł w pamięci wszystko to co napisał, zważył każde słowo: nie żał mu było ani jednego; jednak niejednokrotnie przychodziła mu myśl wyjąć list i podrzć. Dla zakończenia tej wewnętrznej walki, odszedł do mieszkania i usiłował w śnie znaleźć kilka chwil zapomnienia.

IV.

Nazajutrz, dzień wstał smutny i burzliwy; głuchy wiatr pędził na górę z jeziora mgły, których słońce przebić nie mogło. Pod jaworem w dziedzińcu, koło studni, mrok był prawie zupełny.

— Jużto wstałaś, stara sekutnico—rzekł do Barberiny Taddeo, schodzący z wieży z butami kapitana. Jednak wczoraj w nocy przechadzałaś się dość późno.

— Co ty wiesz?—mruknęła stara. Chrapałeś aż mury pękały.

— Dzięki Bogu—odparł jednooki z uśmiechem nienawiści—ja spiam snem sprawiedliwego; a kto ma złe sumienie, temu i puch staje się cierniem.

— Znamy cię—odrzekła stara—ciebiey i rozpalony węgiel nie sparzył, boś się hartował w smole piekielnój. Dobre słowo nie kaleczy ust, ale wolałabym mór i burzę nazwać mym ojcem i matką, niż tobie powiedzieć choć jedno życzliwe słówko.

Żywo napętniła wiadro i wróciła do domu.

„Czyżby zobaczył list?—rzekła do siebie; jeszcze ci go nie schowała do kieszeni kiedy on wyszedł z wieży. Prawda i to, że ja nigdy tak rano nie chodzę po wodę. Mniejsza o to; jeżeli niebo przyjdzie na pomoc, to djabeł musi odejść ze spuszczonym nosem. O! biedna dusza! ona wciąż miota się bez snu i spoczynku.”

Stara przyszła przede drzwi od pokoju pani i zastukała lekko: Pani margrabino! Nic. Udaje przedemną że śpi; ale Barberina nie da się zwieść. Ona nie chce mnie widzieć, wiem. Co ona mi powie? Gniewa się na mnie żem wpuściła kapitana; nikt jednak na świecie nie jest do niej tak przywiązany jak stara Barberina. Ale jak jęj oddać ten list? Możeby wsunąć pode drzwi? Tak, dobrze; teraz niech go weźmie albo nie, ja umywam ręce.

Szpara była dosyć szeroka; Barberina mogła przez nią pchnąć list tak daleko, że nie można było go nie zobaczyć. To uczyniwszy mamka stanęła z zadowoleniem przy oknie, którego zasłony przepuszczały nieco światła dziennego, i zaczęła nucić jedną ze strofek ballady: *Donna Lombarda*.

Drzwi od pokoju margrabiny otwarły się nagle.

— Barberino—rzekła młoda kobieta z iskrzącymi oburzeniem oczyma—przyrzekłam nie wymawiać ci wcale niedorzecznego postąpienia twego wczorajszej nocy; szczere poświęcenie, choć fałszywie nastrojone popchnęło cię do tego kroku, i przebaczyłam ci. Ale żebyś trwała w tym uporze, mimo mego zakazu, tego darować ci nie mogę: jeżeli ci się raz jeszcze zdarzy nieposłuchać mojego rozkazu, zostaniemy się z sobą. Ten zaś kapitan więcej budzi mą litość, niż gniew; nie chcę więc wiedzieć o jego liście i nie powiem o nim margrabiemu; nie wyszedłby żywym z zamku, gdyby się pan o tém dowiedział. Ale rzeczy tak dalej iść nie mogą. Pójdiesz do klasztoru i poprosisz brata Ambrożego; on musi o mojej woli uwiadomić młodego zuchwalca i poradzić mu aby opuścił zamek. Im prędzej, tém lepiej. Zrozumiałaś mnie?

Stara z rozdziawionemi ustami wpatrywała się w panią.

— Pani, na miłosierdzie Boże! po co wołać brata Ambrożego? Nie mogłabym ja sama....

— Milcz!—zawołała margrabina, tonem nakazującym. Powtarzam ci: jeżeli choć jedno słowo przemówisz z przybyłym, nie pokazuj mi się na oczy. Sprowadź czempredźję brata Ambrozego, mam z nim pomówić o wielu rzeczach.

Odeszła nie czekając odpowiedzi mamki i znów się zamknęła. Stara znała ją dobrze, wiedziała przeto że nic jej nie pozostaje, tylko wiać nogi za pas, i w drogę; ale nigdy jej to nie przyszło z taką goryczą. Tak się zmartwiła, że odchodząc zapomniała tabakierki. Ponieważ nie mogła wyjść aż jej otworzy Taddeo, musiała mu więc powiedzieć jakie otrzymała zlecenie. Po jej zmięszaniu zmiarkował jednooki, że list nie musiał sprawić wrażenia oczekiwanego przez Barberinę; ale zachodził w głowę po co zakonnik ma przybyć do zamku. Nie zgadując, umyślił poprostu pójść z tą wiadomością do pana.

Margrabia stał z okiem niecierpliwem i niespokojnem, jakby oddawna nań oczekiwał. Wysłuchiwał w milczeniu opowiadania sługi; stałe postanowienie malowało się na jego twarzy:

— Taddeo—rzekł kładąc do torebki listy i bilety bankowe—wyjeżdżam za godzinę i na ten raz będziesz mi towarzyszył. Idź, powiedz odemnie pani margabinie że nieobecność moja będzie może długą; jeżeli ma jakie życzenie które mógłbym spełnić, jeżeli coś względem niej zawinił co mógłbym naprawić, proszę ją aby mi dziś oznajmiła. Co stoisz taki zadziwiony i wytrzeszczasz oczy?

— Jaktó, panie—wyjąkał Taddeo, powątpiewając czy pan jest w tej chwili przy zdrowym rozumie—panbyś chciał, panbyś mógł.... ależ to niepodobna!

— Postanowiłem. Zapakuj walizę, zanieś ją z Martyną nad brzeg jeziora, gdzie znajdziemy statek. Dla siebie zabierz tylko to co ci najkonieczniejsze, a nadowszystko spiesz się.

Po odejściu Taddeja margrabia rzucił się na fotel, zgęębiony. Długo tak pozostawał, z oczyma wlepionemi we drzwi, podstuchując co się dzieje zewnątrz. Nic nie przerywało milczenia w pokoju, tylko jednostajny ruch zegarka Gina, który leżał na stoliku przy torebce. Nareszcie kroki wolne i bojaźliwe dały się usłyszeć w przedsiönku; zadrżał, potem prawą ręką oparł się o poręcz fotela z udaną obojętnością, a lewą tłumił bicie serca, które zdawało się rozsadać mu serce. Zastukano bojaźliwie.

— Proszę wejść—rzekł margrabia głosem zaledwie dosłyszonym. W tej samej chwili żona jego ukazała się na progu.

Od dwóch lat widział on ją tylko w cieniu kaplicy; teraz przy pełnem świetle dziennem przeraziła go bladeść jej twarzy. Podstąpiła drżąca; nagle żywy rumieniec oblał jej lica: może spostrzegła zegarek koło torebki.

Mimowolnie cofnęła się krok, ale oparła się ręką o ścianę i zebrała odwagę.

— Chcesz odjechać, margrabio—rzekła głosem zmienionym, cisnąc wychudłemi palcami krzyżyk zawieszony na szyi. Nie moją rzeczą pytać cię gdzie jedziesz, ani dlaczego opuszczasz zamek.

Ale obawa mnie zdjęła. Może nieszczęście jakie spadło na moją matkę, ona powołała cię do Medyolanu. Miałam sen straszny; widziałam ją umierającą. Powiedz mi przez litość czy się mylę?

— Sądzę, że pani hrabina jest zdrowa—odpowiedział bez wzruszenia—żadnej przynajmniej przeciwniej teniu wiadomości nie otrzymałem. Inne przyczyny skłaniają mnie do podróży. Chciałem się wprzód zapewnić czy powietrze górskie, może nazbyt ostre, nie szkodzi zdrowiu pani. Obawiam się też czy to smutne zamknięcie się nie wywiera na cię szkodliwego wpływu. Powiedz mi pani otwarcie. Urządź się tak abyś zimę przepędzić mogła w Wenecyi, gdzie pani zapewne lepiej będzie niż w tym zamku.

— Dziękuję—rzekła głosem drżącym. Nie zasłużyłam ani na tyle dobroci, ani na tyle względów. Nie chcę umierać gdzieindziej, tylko w tém ustroniu. Jeżeli mi jednak wolno zanieść jaką prośbę, to błagam cię, margrabio, nie wyjeżdżaj dziś jeszcze, odtóż do jutra...

— A to dlaczego?

— Wolalabym ci nie powiedzieć. Gdybyś chciał zgodzić się na moją prośbę nie żądając wyjaśnienia!... Ale ta ufność byłaby laską zbyt cenną dla mnie.

Nie odpowiedział nic i oczy wlepił w żonę, która stała przed nim nieporuszona z oczyma spuszczone.

— Muszę więc powiedzieć—mówiła dalej. Zamierzyłam wprawdzie wprzód poradzić się brata Ambrożego, bo tu nie chodzi tylko o pana i o innie, wtedy nie potrzebowałabym żadnej rady, osoba trzecia jest interesowaną, więc obawiam się... Ale odjeżdżasz, margrabio, tak nagle, że muszę się zdecydować i powierzyć się twój szlachetności.

— Co chcesz powiedzieć Joanno?

Zamknęła drzwi za sobą i przysunęła się do margrabiego.

— Jest w zamku—odpowiedziała—obcy człowiek, któremu mimo méj wiedzy i woli powiedziano, że tu znajduje się kobieta wielce nieszczęśliwa. Udało mu się wejść nocą do ogródka. Nie chciałam go słuchać i oświadczyłam że mu nie przebaczę, gdyby chciał raz jeszcze mięszać się do mego życia. Uporna, szalona prawie litość nad dolą, którą on źle sędzi znając ją zbyt mało, natężyła go zuchwałą myślą napisania do mnie... Oto jest jego list, przeczytaj. On cię przekona że może nie byłabym tu bezpieczną, gdybym pozostała sama. Chciałam prosić brata Ambrożego iżby wymógł na nim przysięgę, że nie wspomni żywej duszy o tém co tu widział. Ale postąp z tém jak uważasz. Błagam cię tylko na kolanach, nie rzucaj gniewu swego ani na niego ani na nikogo. Mieli oni dobre zamiary; nie wiedzą że ja nie pragnę niczego więcej tylko pozostać tu.

Podawała mu list i nieśmiało spojrzała na niego. Panował on nad sobą tak bezwzględnie, że żaden muskuł twarzy nie wydał najmniejszego wzruszenia. Przeczytał list, potem tonem zimnym rzekł:

— Ten młody człowiek ma zupełną słuszość: on patrzy na rzeczy z zimną krwią i sędzi o nich lepij; nie zasługuje on abyś go pani poczytywała za waryata. Mnie nieraz przychodziła myśl nakłonić cię do zmiany trybu życia; nie jest mi to rzeczą przyjemną obciążać sumienie swe morderstwem, skoro nie dopuściłem się go w chwili uniesienia; jednak na tém się skończy, jeżeli rzeczy pójdą takim trybem dalej.

— O, zapewne: ja umrę. Ale ty nie będziesz temu winien, a gdyby nawet i tak było, wdzięczność ci raczej odemnie należeć będzie, nie zaś skarga, bo ja w życiu nie mam żadnej nadziei.

— Jesteś młodą, Joanno; rozsuna się cienia które cię otoczyły. Wspomnienie tego co zaszło zagaśnie kiedyś, i dziwić się będziesz jak mogłaś tak długo pozostawać w terazniejszej żalobie. Ja, co jestem daleko starszy, pozostawię może niedługo wolną tę rękę której nie powinienem być poządać, boć nie było mi tajemem, że serce twoje odwracało się odemnie...

— Nie oskarżaj się darmo—przerwała. Ja ci nie powiedziałam żem kochała wprzód nimeśmy się z sobą poznali.

— Ale ja wiedziałem, tylko dałem się osłepić namiętności; pochlebiałem sobie że jak będziesz moją, przy czułych moich staraniach i poświęceniu zapomniesz o mym rywalu. Nie pomyślałem że piérwsza skłonność w sercu takiem jak twoje głębokie zapuszcza korzenie. Przyszło to, co najpospolitsza roztropność przewidywać mogła.

— Niel—odparła; a twarz jój ożywiła się i błyskawica przeszła po jój oczach. Jesteś niesprawiedliwym względem siebie samego przemawiając w ten sposób. Byłam młodą, to prawda, ależ nie tyle iżbym nie była zdolna wartości twojój ocenić, gdyby nie to oddanie się nierozsądnemu żalowi. Im bardziej ty byłeś dobrym i szlachetnym, tém ja byłam winniejszą żem pozostała ci obcą i żem pomiędzy nami stawiła przepaść śmiertelnego błędu, którego całe życie żalu zamazać nie jest w stanie. Czy te rzeczy zdarzają się na świecie, czy można je było przewidzieć, nie wiem: ale ty po stąpiłeś w tém jak mało kto byłby postąpił: o tém jestem najmocniej przekonana. Miałeś prawo i mnie i jego postać w noc wiekuistą; niktby cię nie nazwał mordercą. Ale okryłbyś wstydem imię moje i mojej rodziny; szlachetna litość wstrzymała twoją rękę. Później, zamiast opuścić mnie jako zakałą pći mojej, zamiast zostawić mnie samą na pastwę wyrzutom, zgodziłeś się oddychać jednem ze mną powietrzem, postawiłeś mnie w możności wejścia w siebie samą, poznania się i poczucia o ile niższą jestem od ciebie. Wrócić do świata, ja! Ależ ja czuję nieprzełamany wstręt do wszystkich uciech, do których w szaleństwie swém przywiązywałam serce. Cóż mi da życie dziś, kiedy już nie mogę żyć bez ciebie. Jednakże, kiedyśmy dotknęli już téj rany, ponieważ w dobroci swój zezwoliłeś mnie posłuchać, a dziękuję ci za to z głębi duszy, nie odepchniesz próśby którą zanoszę do ciebie w téj błogosławionej chwili. Jak będę złożoną na łożu śmierci, co niezadługo

nastąpi, jeżeli cię zawezwę, przyjdź do mnie, zaklinam cię. Może nie będę zdolną już mówić, ale wzrokiem szukać cię nie przestanę; zobaczysz jak cię oczy me prosić będą abyś rękę położył na mojem czole i wyrzekł: „Przebaczam ci!”

Pozostawał jakiś czas w milczeniu. szarpały wewnętrzną walką.

— Nie—zawołał nareszcie—niepodobna!

— Co niepodobna?—zapytała przestraszona.

— Abym czekał aż śmierci twojej, by wyrzec to słowo!

Rzucił się ku niej, a potok łez tryskał z jego oczu.

— Moja żono!—moja biedna Joanno!—pójdź na moje serce!... przebacz mi me okrucieństwo!... Boże miłosierny! żyć godzinę tak jak w tej chwili a potem umrzeć, to dosyć by Ci wdzięcznym być całą wieczność!

Chciał ją wziąć na ręce, ale ona, złamana gwałtownością wzruszenia, upadła zemdlona. Ukłękł przy niej, przycisnął do swjej piersi nieczulą główkę młodej kobiety, łzami i pocałunkami okrywał jęj czoło i usta.

— Zbudź się, moja ukochana—mówił—dopiero zaczynamy żyć! Drogo okupiliśmy szczęście, korzystajmy z tych słodkich chwil! Zbudź się, zbudź, moja Joanno!

Nareszcie otwarły się jęj powieki, ale mówić jeszcze nie mogła. Została nieruchoma w jego objęciach, patrząc weń wielkimi oczyma niewzruszenie, jakby obawiała się czy nie jest igraszką snu.

— Pozwól mi na twych ustach złożyć pocałunek narzeczonego—rzekł. Cierpiałas srodze, Joanno, ale miłość rozpędzi te chmury. Przeszłość już nie istnieje, i ja dziękuję Bogu że nową w ciebie wlał duszę. Wstań. Nie, poczekaj chwilę, niech cię uniosę na moich rękach.

Złożył ją znowu na krzesło, zamknął jęj oczy ustami, potem porwał coś spieszenie ze stolika i rzucił oknem w dolinę.

— Powietrze się oczyściło—rzekł—pójdź moja najdroższa; porozmawiamy z sobą jak dwoje narzeczonych co snują plany swjej przyszłości.

Podniósł ją czule, zaprowadził na krzesło przy oknie, usiadł i przyciągnął ją na kolana; ona szła słuchając głosu jego jak najrozkoszniejszej muzyki. On wypowiadał jęj miłość swą i szczęście, ona milczała, obawiając się stracić choć słówko z tych ust ukochanych. On zatrzymywał się chwilami by ująć jęj rękę, którą całował namiętnie.

V.

Po lekkim deszczu czas się wyjaśnił. Eugeniusz błakał się długo pośród skał, gdzie pierwszy raz spotkał Barberinę. Ale daremnie świeciło słońce, burza w duszy jego nie ustała, a oczy jego których sen nie nawiedził nocą, smutnie błądziły po spalonych wzgórzach.

Widział on zrana mamkę jak przechodziła po moście zwodzonym idąc drogą wiodącą do klasztoru. Nie śpiewała i nie dała mu żadnego znaku. Co większa, kiedy odwróciwszy się przypadkiem, spostrzegła go w oknie, nasunęła na twarz mantyllę z poruszeniem przestachu. Co to miało znaczyć? Czy list jego odepchnięto z gwiewem, czy też groziło jakie niebezpieczeństwo, a Barberina chciała wyciągnąć go w góry aby ulżyć sercu swojemu? Daremnie oczekiwał całą godzinę. Słońce przebijające się przez chmury, zmusiło go szukać schronienia w chacie przeciw promieniom. Pomyślał przytem, że stara będzie umiała go tam znaleźć jeżeli ma coś mu powiedzieć.

Chata smutniejszą mu się jeszcze wydała jak przedtem. Ani jedna koza nie zabłąkała się w tę stronę; pajak co rozwiesił sieć swą na belkach spoczywał beczynnie, czekając aż słońce dopije kropel deszczu, które źle spojony dach przepuścił na wąż tkankę. Eugeniusz usunął się w najciemniejszy kąt, uchem chwytając każdy szelest; ale ujęty głęboką ciszą południa usnął niebawem.

Gwałtowna burza zbudziła go nagle w kilka godzin później. Wstał z sercem rażniejszym, postanowiwszy wyjść czempredziej z fakszywego położenia w jakim zostawał; stojąc na progu chaty i czekując aż mu pogoda pozwoli wyruszyć, powziął postanowienie stanowcze. Wyrażne oświadczenie margrabiego że on nie sprzeda zamku, położyło koniec missyi jaką dał mu marszałek Radecki; gdyż mimo zajęć przeszłodniowych, jego wprawne oko poznało odrazu że wszelka fortyfikacya któraby nie objęła „Twierdzy,” byłaby zgoła bezużyteczną. Postanowił więc czekać do jutra odpowiedzi margrabiny; jeżeli młoda pani zachowa milczenie, to on nie ma prawa działać wbrew jej woli; powinien pozostawić losowi rozwiązanie tego smutnego dramatu.

Deszcz ustał; wyszedł więc z chaty krokiem pewnym, zatrzymując się jednak czasami dla zobaczenia czy stara nie ukaże się gdzie za krzakiem, tak że zeszło mu więcej godziny nim dostał się do zamku. Z wielkiem zdziwieniem zastał bramę otwartą a most zwodzony pełen był kobiet, które ciekawe spojrzenia zapuszczały we wnętrze; oficer z trudnością precisnął się i zobaczył w dziedzińcu powóz na którym leżały nagromadzone walizy, paki, różnego rodzaju tłumoczeki. Barberina z inną jeszcze służącą ponurą powierzchowności chodziły tam i sam, znosząc coraz inne przedmioty, które układały starannie. Mamka spostrzegłszy Eugeniusza, przecedziła przez zęby kilka słów niezrozumiałych, pobiegła na jego spotkanie i pociągnęła go ku domowi, gdzie padła na tapczan Taddeja, dusząc się z radości, wyrabiając rozmaite gesta, których zdziwiony towarzyszył nic a nic nie rozumiał.

— Czy uwierzyłbyś pan własnym oczom, panie kapitanie? I tu pociągnęła potężny niuch tabaki dla rozświecenia sobie myśli. Matko miłosierdzia! któżby się tego spodziewał? Dziś rano jeszcze sądziłam że z panem nigdy już słowa rozmawiać nie będę, bo zagro-

żyła że mnie odpędzi jeżeli się poważę panu choć dzień dobry powiedzieć. A to wszystko według pańskiego listu. Wszchemocny Bóg który mnie stworzył, wie ile płakałam pnąc się pod górę dla sprowadzenia brata Ambrożego. Mniemałam że ona umiera, i chce się na śmierć wypowiadać. To też przez całą drogę jakże mnie coś gwałtownie bolało w lewym boku, w tém miejscu gdzie mnie zazwyczaj boli jak tylko mam jakie zmartwienie. Brat Ambroży chciał mnie pocieszać, ale jego słowa nie większy sprawiały na mnie skutek jak limonada na człowieka którym febra trzęsie. Nareszcie przybywamy. Pytam się Taddeja: „Gdzie pani?” On odpowiada mi z miną człowieka coby ogłaszał sąd ostateczny: „Ona jest u pana!” Ja mu na to: „Drwisz sobie ze mnie, kłamco, to niepodobna.” On znowu: „Podobna czy niepodobna, dosyć że tak jest, ty kochanico Lucypera (to widzisz pan, są zwykłe jego grzeczności); wyjeżdżamy, i myślę że już pono nigdy nie będę patrzył na twój ryj obrzydliwy.” Nie odpowiadając mu na jego zaczepki, pobiegłam co tchu z bratem Ambrożym. I co pan sądzisz, widzimy za przybyciem w pokoju pana? Kogo on pieści z całą czułością ojca i kochanka? Ją, doprawdy, ją samą. Na szelest naszych kroków skoczyła na nogi, zarumieniona jak dziewczynka schwytana na romansowej rozmowie. Jak to się stało, nie umiem panu powiedzieć; ale choćbym żyła i sto lat, nie dożyję dnia podobnego.

Chciałam spytać Martynę, ale ona na dobre nowiny jest głucha i niema. Chciałam dowiedzieć się czegoś od Taddeja: ale to łotr chytry i milczący. Ale domyśliłam się że i sam musiał nic nie słyszeć, i to go wprawiło w taki zły humor. Wtedy pani zeszła na dziedziniec, podstąpiła ku niemu, szepnęła kilka słów pocichu i podała mu rękę którą on ucałował z szacunkiem. To też coś się w nim wywróciło do góry nogami. Świstał, śpiewał, cały się zamienił w miód i cukier. Do mnie, przeciwnie, i do Martyny pani nie powiedziała ani słowa; była jednak bardzo dobrą i rozdała nam suknie które nosiła od pobytu w tym zamku. Potém wyjęła z szafy suknię białą która wisiła tam od dwóch lat. A gdy się w nią ubrała:—Jak mi Bóg miły — zawołałam — możnaby panię wziąć za narzeczoną!—Bo też tak jest, Barberino—odpowiedziała—pójdz ze mną.” Poszłam do kaplicy, gdzie był już margrabia i Taddeo; brat Ambroży kazał panu i pani uklęknąć przed ołtarzem i dał im błogosławieństwo, jak gdyby teraz dopiero byli połączeni. Płakałam z uradowania, a nawet Taddeo, ten grzesznik zatwardziały, okropnie wykręcał ustami i okiem.

— Ach! kochany panie, jakżeż inaczej stanęły rzeczy, niż spodziewaliśmy się wczoraj o tej godzinie! Zaledwie brat Ambroży skończył, pan powstał, ucałował panię i wyszli oboje. Nie spojrział ku mnie, ale widziałam że się na mnie nie gniewał. Pani opierała się na jego ramieniu i szli razem, to idąc, to zatrzymując się. Taddeo kazał mi tedy wszystko popakować, bo jutro zrana wyjeżdżamy z państwem.—Masz tu list—dodał—który oddasz ka-

pitanowi. Potém pobiegł do pana który stał na moście z bratem Ambrożym. Otóż wszystko co wiem, może w tym liście jest więcej.

Papier który Eugeniusz otworzył ręką gorączkową, zawierał tylko te wyrazy spiesznie nakreślone ołówkiem ręką margrabiego: „Jesteś pan człowiekiem uczciwym, nie zapominaj nadal obowiązków gościnności. Żegnam pana.”

Cienie wieczoru już ogarniały dolinę, kiedy w kilka godzin po rozmowie z Barberiną, Eugeniusz przechodził po zwodzonym moście z chłopcem wiozącym jego walizkę. Pomimo nalegań Barberiny nie mógł się zdecydować na przepędzenie nocy w murach zamkowych, i z wolna szedł po ścieżce, zatopiony w marzeniach. Wtém pomiędzy białawemi skałami strumienia spostrzegł coś błyszczącego i oko na tём zatrzymał. Kazał góralowi zaczekać i ostrożnie wciskając się między krzewy, zmierzał ku przedmiotowi swój ciekawości: był to zegarek, ten sam, nie wątpił ani chwili, który oznaczył tyle smutnych godzin od owój nieszczęsnej północy, w której Taddeo przyniósł go panu. Teraz zamilkł on na zawsze, bo uderzenie zerwało w nim sprężyny.

Młody oficer machinalnie włożył go w kieszeń: on będzie mu przypominał, pomyślał sobie ze smutkiem, ten ustęp z jego podróży; lecz w chwili gdy odbił od brzegu jeziora statek mający go zaprowadzić do Riva, wydobyl spiesznie zegarek i rzucił go w głębię wody.

JAN ERNEST SMOLER (*).

PRZEZ

Bronisława Grabowskiego.

Wiadomo powszechnie, że dzisiejsze państwo Pruskie, Saksonia i Meklemburg były niegdyś zamieszkiwane przez ludność słowiańskiego pochodzenia. Słowianie ci, przez nowszych uczonych Polabskimi i Pomorskimi Słowianami zwani, dzielili się na wiele pojedynczych plemion, które, miłując swobodę i niezależność, nigdy nie łączyły się z sobą w większe związki, co więcej żyły w ciągłych między sobą niezgodach. Przez cały ciąg swego istnienia, były one w ustawicznem starciu z sąsiednimi Niemcami, wdzierającymi się gwałtem w ich ziemie. Pierwsze podboje germańskie datują się od Karlowingów, ale dopiero dom Saski cesarzów niemieckich, rozpoczął systematyczne zagarnianie słowiańskich krajów.

Polabskie i pomorskie plemiona, mimo oporu dzielnego wprawdzie, ale niedostatecznego z powodu braku zjednoczenia sił, wpadały jedne po drugich w ręce zwycięzców, a niszczone w barbarzyński sposób, wynaradawiane najrozmaitszemi moralnemi i materialnemi środkami, w ciągu XIII i XIV wieku, straciły język, indywidualność narodową i przygniecione napływem cudzoziemców, znikły bez śladu. Szczątki ich ziemczone, stanowią dziś tło ludności wiejskiej w Prusach, Meklemburgu i innych mniejszych państewkach niemieckich, i dziś próżno byłoby już szukać śladów ich dawniej narodowej odrębności. Z całej tej massy, pozostał dla Słowiańszczyzny tylko mały ludek serbo-łużycki, szczątki dawnych plemion Milczanów i Łużyczan, liczący około 160,000 ludności, rozpostarty na 70 milach kwadratowych, ze wszech stron oto.

(*) Szkic ten biograficzny, nakreśliłem głównie według materiałów nadesłanych mi przez ks. Hornika, dodawszy wiele szczegółów czerpanych z innych, wyłącznie jednak słowiańskich źródeł.

czony Niemcami, we własnym nawet kraju bardzo z temi ostatniemi pomieszany. Lud ten, trafnie nazwany „słowiańską wyspą w niemieckim morzu,” mimo najnieprzychylniejszów losów, jakie go od X wieku spotykały, potrafił do dziś dnia zachować swą plemienną odrębność, choć tyło-wiekowa germanizacya nie szczędziła niczego, aby mu zgotować los, jakiemu podlegli jego północni bracia.

Serbo-Łużycanie przed IX wiekiem, mieszkali między Odrą i Solawą, od gór czeskich aż do dolnej Sprewii i Hawela, i dzielili się na właściwych Serbów na zachód od Łaby (Elby), Miliczan i Łużyczan na wschód. Znani są oni średniowiecznym pisarzom pod imieniem Sorabów, Wenedów i Wendów, które to ostatnie imię do dziś dnia w ustach Niemców pozostało. Serbowie podbici 789 r. a ostatecznie przez Henryka Igo r. 927 ujarzmieni, w przeciągu kilku wieków pod usilnym naciskiem germańskim, zostali wynarodowieni, tak że mowa słowiańska między Łabą i Solawą w XVI wieku bez śladu zniknęła.

Milczanie i Łużycanie, przeszli pod władzę cesarzów niemieckich za Ottona Wielkiego, w drugiej połowie Xgo wieku. Bolesław Wielki, wykonywając swoje rozległe plany połączenia w jedno Słowian zachodnich, odebrał Niemcom ziemię Milczańską i Łużycką i sięgnął nawet po Miśnię, ziemię właściwych Serbów. Po 30-letnim połączeniu z Lechią, ziemię tę za gnuśnego następcy Bolesława, wróciły znowu do Niemców, i odtąd rozpoczęła się ich germanizacya. Wolni kmiecie słowiańscy zostali poddanyymi rycerzów niemieckich, do miast nacisnęło się mnóstwo przybyszów, którzy Słowian z tychże miast rugowali. Wkrótce znakomitsze rody przyłączyły się do zdobywców; obce duchowieństwo, przemawiające do ludu z początku w języku krajowym, zaniedbało tego z biegiem czasu, a ludność słowiańska, zredukowana do ludu wiejskiego i nielicznych mieszczan, wpadła w okropny stan poniżenia i ciemnoty. Kraj tymczasem był przedmiotem sporu między margrabiami wschodnim, miszońskim, królami czeskiemi i książętami polskimi, którzy to ostatni posiadali nawet przez pewien czas część dolnych Łużyc, tak zwaną ziemię Lubuską. W połowie XIV wieku Jan, król czeski z domu Luksemburskiego, przyłączył obie Łużyce do korony czeskiej, pod nazwiskiem Margrabstwa Łuzackiego, z oddzielnym sejmem i pewnym samorządem, w którym rozumie się, przewagę zupełną mieli Niemcy, stanowiący trzy panujące stany: szlachtę, duchowieństwo i mieszczaństwo. Panowanie czeskie nie polepszyło wcale doli Słowian łużyckich, nawet ruch husycki niewiele wpłynął na podniesienie żywiołu słowiańskiego w tym kraju, chociaż tak znakomicie oddziaływał na słowiańskość w Czechach; stany Margrabstwa Łuzackiego były otwartemi nieprzyjaciółmi husytów, a lud ciemny i uciemiężony zachował się biernie w tych wypadkach. Innym wcale był wpływ reformacji, której ognisko leżało niedaleko w Elektorstwie Saskiem; reformatorzy chcąc pozyskać Serbów, przemawiali do nich w ojczystym ich języku, i przez to przeciągnęli na protestantyzm całą prawie

ludność Serbo-łużycką, prócz kilkunastu tysięcy w górnych Łużycach, którzy pozostali wiernymi katolicyzmowi.

Do czasów reformacyi odnosi się początek literatury, której pierwszymi płodami były: agenda kościelna Albina Mollera, wydana r. 1574 w narzeczcu dolno-łużyckim, oraz katechizm Lutra przez Wacława Woryecha w górno-łużyckim narzeczcu. Literatura ta aż do naszego stulecia, ograniczała się jedynie na pismach duchownych, katechizmach, pieśniach kościelnych (*kherluszach*) dla popierania interesów obu kościołów, wydawanych. Kłeska Czechów pod Białą górą, miała za skutek przejście Łużyc pod rząd saski, z wyjątkiem części dolnych Łużyc, różnemi czasami przez elektorów brandeburskich oderwanych. Traktat wiedeński oddał późnięj resztę dolnych Łużyc i połowę górnych w ręce rządu pruskiego.

Od czasu oderwania Łużyc od korony czeskiej, wzmożła się germanizacya tych krajów; życie narodowe opierało się wyłącznie na pierwiastku kościelnym; podsycali go jedynie kazania i nędzne religijne książki w ojczystym języku. Młodzież serbska, uczęszczająca do Lipska i Wittenberga, zakładała tam wprawdzie towarzystwa kaznodziejskie serbskie; w Pradze istniało seminaryum katolickie dla Serbów, zwane Serbówką, ale dźwignią tych instytucyj były interesa kościelne, a nie narodowe. Kłeski materialne spadały na wieś łużyckie; krąk ten bowiem był widownią wojen trzydziestoletniej i siedmioletniej, a odwrót Napoleona niszczącym pochodem przeszedł przez Łużycę; kłeski te materialne i rosnąca z dniem każdym przewaga Niemców, postawiły narodowość serbo-łużycką w rozpaczliwem położeniu. Z zachodu, północy i wschodu parafie jedna za drugą, traciły język i odrębność narodową, najlepsi nawet patryoci zwątpili w istnienie swojej narodowości, tak że na początku naszego wieku już oczekiwano zupełnego wygaśnięcia mowy ludowej serbo-łużyckiej, tak jak to w przeszłym wieku wygasła słowiańska mowa Drewian i Glinian, mieszkających w Luneburgu.

Ale właśnie w czasie tak smutnym zaczęło się odradzanie narodowości; starania kilku patryotów: jak Lubeńskiego, Klina, Sejlera i innych, ich prace dla ludu przygotowały lepszą epokę, która nastąpiła z rokiem 1848. Najważniejszą osobistością tego ruchu, przedstawicielem jego i głównym motorem jest Jan Ernest Smoler, przez Niemców Szmalerem nazywany.

Smoler urodził się 3 marca 1816 r. w pruskiej części Górnych Łużyc we wsi parafialnej Łucio, gdzie ojciec jego był nauczycielem ewangelickim. Rodzina jego była czysto serbską, co naówczas było rzeczą rzadką; bo wykształceni Serbowie zapierali się swęj narodowości, a w domach pastorów i nauczycieli panowała niemieczyna. Syn z matką zaczęli się uczyć trochę po niemiecku, dopiero we wsi Łazie, dokąd w r. 1823 ojciec jego przeniesionym został.

Wstąpiwszy do gimnazjum budyszyńskiego w r. 1830, młody Smoler słyszał z przykrością, jak jego współuczniowie mówili między sobą tylko po niemiecku, chociaż zwykle piętą, a najmniej

szóstą część gimnazystów stanowili rodzeni Serbowie; zaczął więc przypominać towarzyszom ich narodowe pochodzenie, a nawet, mając dopiero lat 15, zgromadzał ich prywatnie i uczył ojczystego języka, zapewne wedle nowój w 1830 roku wydanej gramatyki Sejlera, pastora w Łazie. Prócz tego zachęcał ich do pisania po serbsku, a i sam z tych ćwiczeń odniósł korzyść niemałą. W czasie wakacyi, Smoler zwiedzał kraj łużycki na wszystkie strony, poznawał lud, obyczaje jego, pieśni, przysłowia i podania, a nawet pierwszy poznał, dokąd sięgają serbskie osady i granice tychże na mapie oznaczył. Po ukończeniu w r. 1836 nauk gimnazjalnych, Smoler pojechał na uniwersytet do Wrocławia, gdzie przez cztery lata studiował teologią ewangelicką, nie przestając i tu zajmować się serbskim językiem. W Wrocławiu wówczas, zgromadzał około siebie młodzież słowiańską sławny professor fizjologii Purkynie; Smoler został do niego wprowadzonym przez Augusta Mosbacha, a Purkynie polubiwszy młodzieńca, wziął go do swego mieszkania i sam uczył po czesku. Co tydzień odbywała się u Purkyniego tak zwana *tygodniowa biesiada*, i ta zbliżyła Smolera z wieloma innymi Słowianami, bawiącymi we Wrocławiu, a między niemi z wieloma Polakami.

Aby skuteczniej nad serbszczyzną pracować i współziomków do tego zachęcić, założył Smoler w r. 1837, wraz z studentem Röslerem, Niemcem ze Zgorzelca, późniejszym professorem w Getyndze i członkiem frankfurckiego parlamentu, towarzystwo naukowe dla zbadania języka i dziejów łużyckich, do którego to towarzystwa przystąpiło 12 studentów, pochodzących z Łużyc, pięciu Serbów, mianowicie: Smoler, Wjelan, Markus teolodzy ewangeliccy, oraz siedmiu Niemców. Senat akademicki w kwietniu 1838 dał pozwolenie. Prof. Stenzel, znakomity historyk został wybrany na protektora i w przytomności rektora Dr. Abegg, odbyła się uroczysta inauguracya tego towarzystwa. Dzielilo się ono na cztery sekcye: serbską, niemiecką, historyczną i jeograficzną; najwięcej działalności objawiała sekcya serbska, która badała język, zbierała pieśni, przysłowia, podania ludowe, oraz uczyła się języków innych plemion słowiańskich. Każdy członek towarzystwa miał obowiązek wypracować w ciągu semestru przynajmniej jeden artykuł naukowy, a artykuły wypracowywane przez sekcję serbską wpiywano do książki zbiorowój, mającej tytuł: Serbska Nowina.

Wśród studyów i prac naukowych, Smoler wywierał wpływ na nowo założone w Budyszynie towarzystwo serbskich gimnazystów (1). Towarzystwo to założył w lutym w r. 1839 uczeń gimnazjum Karol, August Mossig von Arenfeld z Nieznarów, czyli jak odtąd zwać się począł Musak Kłosopolski, dzisiaj adwokat (rycznik) w Lubiju, tłumacz starożytności słowiańskich Szafarzyka na język niemiecki. Wieści o działalności lipskich i wrocławskich studentów serbskiego pochodzenia, oraz wiadomości o ruchu,

(1) Zob. czasopis macyi serbskiej 1865, gdzie jest rys tego towarzystwa, skreślony przez jednego z jego członków Karola Augusta Jeneza.

rozbudzonym wśród wszystkich słowiańskich narodów, tak silnie oddziaływały na ognistego młodzieńca, że poruzumiawszy się z kolegą Imiszem, dzisiaj pastorem w Hodziju, zebrał uczniów klass wyższych w liczbie dziesięciu, i ci uradzili założenie towarzystwa gimnazistów, w celu pracowania nad postępowaniem Serbów i całej Słowiańszczyzny, a nadewszystko w celu kształcenia się we własnym języku jak również i w innych językach słowiańskich. Młodzieńcy ci wybrali na starszego towarzystwa Musaka, a na podstarszego Imisza i uchwalili 10 artykułów statutu. Pierwszy artykuł opiewa, że: „celem serbskiego towarzystwa, jest aby każdy Serb poznał lepiej swój język ojczysty, aby go nie zapomniał, lecz przeciwnie tak dobrze się go wyuczył, by kiedyś mógł przynieść Serbom pożytek, a Słowianom zaszczyt”. Towarzystwo to przybrało nazwę „societas salvica Budessina” i w kwietniu 1839 r. otrzymało zezwolenie rektora Siebelisa. Odwiedziny słowaka Sztura, znanego poety i znakomitego uczonego prof. Wacława Alexandra Maciejowskiego, korespondencya z uczonymi słowiańskimi, zwłaszcza list Kollara, pochwalający ten krok młodzieży budyzynskiej, dodały jej ducha; towarzystwo zakwitło, działalność jego budziła w młodych Serbach poczucie narodowe, miłość narodowości, a nawet w pewnym względzie oddziaływała na same społeczeństwa wówczas jeszcze w głębokiej odrętwiałości zostające. Że to towarzystwo weszło w ścisłe związki z lipskimi i wrocławskimi studentami, to się samo przez się rozumie. Zwłaszcza silnie oddziaływał na nie Smoler, dowodem czego między innymi jest i to, że towarzystwo przyjęło pisownię, przez niego ułożoną. Dotąd u Łużyczan były w używaniu dwie pisownie: jedna ewangelicka dość nie logiczna, oparta na zasadach gramatyków, Zacharyasza Bierling (1689) i Jerzego Matthiae (1721); druga katolicka, nielogiczniejsza jeszcze od ewangelickiej, opierająca się na ortografii jezuita Ticinusa, autora książki: *Principia linguae vendicae* 1627 w Pradze wydanej. Obie te pisownie dzielące i tak ubogą literaturę Łużyczan na dwie gałęzie: katolicką (podjanską) i ewangelicką, używały pisma gockiego, były dość dalekie od ducha słowiańskiego języka. Potrzeba nową pisowni, pobudziła Smolera jeszcze we Wrocławiu do ułożenia téjże na wzór czeskiej i południowo słowiańskiej, która to pisownia zwana analogiczną, jakkolwiek jeszcze nie otrzymała ostatecznej przewagi, ale coraz więcej wchodzi w używanie i wpływa na powolną poprawę dwóch poprzedzających.

W r. 1840 Smoler, złożwszy egzamina z teologii, chciał przyjąć miejsce prywatnego guwernera w jakim szlacheckim domu, ale baron Stillfried, mistrz ceremonii króla pruskiego radził mu, aby się starał o stypendyum w celu pracowania nad filologią słowiańską.

W tym czasie, rząd francuzki powołał Mickiewicza na katedrę języka i literatury słowiańskiej w Paryżu, a rząd pruski chcąc iść za jego przykładem, przedsięwziął ustanowienie podobnych katedr na swoich uniwersytetach. Król pruski skłonił się przeto do prośby Smolera, i dał mu stypendyum na cztery lata po 300 tal.

rocznie, z warunkiem aby później objął katedrę słowiańską w jednym z uniwersytetów pruskich. Skutkiem tego Smoler pozostał nadal we Wrocławiu, dokąd w r. 1842 przybył na katedrę słowiańską Franciszek Władysław Czelakowski, znakomity poeta czeski i filolog. Mąż ten, poeta w czysto słowiańskim duchu, wszedł w ścisły związek z młodym pracownikiem, wziął go nawet z sobą na czas wakacyi do Czech, gdzie zatrzymywali się w kilku miastach, a najdłużej bawili w Pradze. W czasie tej wycieczki, Smoler zapoznał się z wielu uczonymi i pisarzami czeskiemi. Powróciwszy do Wrocławia, popierany radami i pomocą Czelakowskiego i Purkyniego, pracował z zapałem nad filologią słowiańską. W czasie pobytu swego we Wrocławiu, wydał najprzód książeczkę dla uczących się łużyckiego języka pod tytułem: „Mały Serb albo serbskie a niemieckie rozmołwienia” (1841 r.), później mały „Niemiecko-serbski słownik” (1843 r.) z wykładem nowej pisowni. Prócz tego przełożył rękopism Królodworski, a przy pomocy kolegi swego Warka i pewną część poezyi Czelakowskiego, które wyszły w r. 1846. Najważniejszém jednak dziełem z tej epoki, był zbiór 531 pieśni ludowych, wydany w dwóch tomach od 1841—1843, pod tytułem: „Piesniczki hornych a delnich łużyckich Serbow wudate wot Hupta o Smolerja” za co otrzymał honorową nagrodę od Towarzystwa naukowego w Zgorzelcu. Pierwszy tom tego dzieła, zawiera pieśni górnych Łużyczan, drugi, pieśni dolnych Łużyczan, oraz nadzwyczaj ważny dodatek etnograficzny. Największą część pieśni zebrał sam Smoler, podróżując pieszo w czasie wakacyi po wsiach łużyckich w towarzystwie brata swego nauczyciela wiejskiego, który spisywał melodye, Niemiec zaś Haupt, pastor w Zgorzelcu, sekretarz tamecznego towarzystwa naukowego, przydał niektóre pieśni ze starszych zbiorów Antona Jordana, Markusa, znajdujących się u niego w rękopiśmie i przerobił nieco tłumaczenie niemieckie umieszczone po drugiej stronie serbskiego tekstu. Do tego zbioru dołączył Smoler dodatki, zawierające wiele niesłychanie ważnych wiadomości o ludzie serbskim, jego charakterze, zwyczajach, obyczajach przesałach i t. d. Przez to dzieło zwrócił on uwagę uczonego świata na naród, który powszechnie do rzędu umarłych zaliczano. Zbiór ten był dedykowany królowi pruskiemu, który za tę pracę udzielił Smolerowi wielki medal złoty.

Oprócz tych prac nadzwyczaj ważnych, Smoler miał udział w nowym tygodniku: *Jutniczka*, *Nowiny za Serbow* (*Zorza-Gazeta dla Serbów*) wydawanym w Budyszynie przez J. P. Jordana b. ucznia katolickiego seminaryum w Pradze, gorliwego i utalentowanego narodowca, znanego już ze swój gramatyki serbskiej według nowego systematu i nowszą pisownią napisanej (1841 r.) *Ale Jutniczka*, z powodu pisowni obcej wtedy narodowi, niewielkie miała powodzenie; po pół roku z tygodnika zmieniła się w miesięczne czasopismo, które po drugim zeszytcie upadło. Po upadku *Jutniczki*, pracował Smoler przy nowo założonym organie „*Tydzenska nowina*” (*Gazeta tygodniowa*), redagowanym przez Sejlera pastora w Łazie, a wychodzącym w Budyszynie; w tej gazecie miał

także udział ojciec Smolera, nauczyciel w Łazie. Wydawcy, pragnąc upowszechnienia swojej gazety między ludem, nauczani smutnym doświadczeniem Jordana, przyjęli pisownią Serbów ewangelickich; starali się oni o obudzenie w swoich czytelnikach jak największego interesu dla narodowości. Wiadomości politycznych być tu nie mogło, bo wyłączny przywilej ich ogłaszania miała wtedy Niemiecka „Budyszyńska gazeta” ale za to podtrzymywano zajęcia artykułami z rolnictwa, gospodarstwa wiejskiego, z dziedziny języka serbskiego i narodowości, oraz poezjami Sejlera, tego księcia poetów łużyckich (arcybasnjer).

Najwięcej zajmowała Smolera myśl założenia Macicy Serbo-Łużyckiej, na podobieństwo istniejących już czeskiej w Pradze i poludniowo-słowiańskiej w Peszcie, o czém ciągle z Czepakowskim mówili. Myśl takiego towarzystwa, mającego być centrum umysłowego życia narodu nie łatwą była do wprowadzenia w życie już to z powodu małej liczby narodowców, już też z braku materialnych środków, braku bardzo naturalnego w narodzie bez szlachty i bogaczy. Smoler jednak nie zrażał się niczém i w roku 1845 po doroczném posiedzeniu towarzystwa gimnazystów Budyszyńskich, odbywającém się około Wielkiej nocy, przedstawił projekt statutu Macicy, jako towarzystwa, mającego na celu kształcenie mowy ojczystej i wydawania książek łużyckich. Statuta te, zmodyfikowane przez radcę stanu Dr. Klina, który jako urzędnik, najlepiej wiedział, o ile mogą być przedstawionemi władzy, statuta te otrzymały potwierdzenie na początku roku 1847 i tegoż jeszcze roku na Wielkanoc Macica weszła w życie. Na pierwszym posiedzeniu obrano za prezesa Dra. Klina, Smolerowi zaś poruczono redakcją „Czasopisma towarzystwa macicy serbskiej” (czasopis towarstwa maćicy serbskije), który niebawem zaczął wychodzić, z początku cztery razy, a potem dwa razy do roku. Z czasem, Smoler złożył redakcją czasopisma, które dziś redaguje książd Jakób Buk, dyrektor progimnazjum w Dreźnie. Prócz tych zajęć, przy końcu roku 1846 został wezwany przez Dr. Jordana wicedrektora czasopisma: „Jahrbücher für slawische Literatur, Kunst und Wissenschaft”.

Wśród takich prac, Smoler w czerwcu 1847 r. zachorował na suchoty i chorował mniej więcej trzy lata, w skutek czego rzekł się nawet nadziei katedry uniwersyteckiej.

Rok 1848 przyniósł z sobą niespodziane wypadki, które nie mogły pozostać bez wpływu na Serbów Łużyckich. Demokraci niemieccy ciągnęli ich do parlamentu frankfurtskiego jako cząstkę Niemiec, nie chcąc nawet słyszeć o ich odrębności narodowej; Serbom więc, pragnącym szczerze zachować takową, nie pozostało nic innego, jak tylko stanąć po stronie króla i szlachty, w opozycji przeciw wszechgermańskiemu parlamentowi. W tych czasach na prośby Imisza kandydata ewangelickiej teologii i nauczyciela w Budyszynie, Smoler przesiedlił się do tego miasta, po Zielonych świątkach 1848 r., skutkiem czego Serbowie pozyskali dla swojej stolicy męża wykształconego, gorliwego patriotę, a zarazem

człowieka niezawisłego, bo nie zajmującego posady rządowej. W Budyszynie, Smoler zajął się przede wszystkim wydawaniem gazety i w tym celu, postarawszy się o zniesienie monopolu Gazety buduszyńskiej co do ogłaszania wiadomości politycznych, wzięł na siebie redakcję pisma Sejlera, zwiększył je, a zmieniawszy tytuł na Tydzeńskie nowiny (w r. 1853 na Serbskiej Nowiny) wydawał własnym nakładem. Gazeta ta zyskała wkrótce wielką wziętość, przeniknęła nawet do chat wieśniaczych; po r. 1849 miała już 1200 prenumeratorów, a były nawet czasy, kiedy liczba tychże dochodziła do 2,000, co na 90.000 tylko ludności górnołużyckiej, ogromną liczbę wynosi. W tym czasie mieszkał w Budyszynie, poeta nasz Roman Zimorski, który u Smolera wydawał przeszło pół roku (1849 roku) „Stadło, pismo rzeczoną polskim i słowiańskim poświęcone”. Tu także wyszło ważne dzieło Józefa Łepkowskiego; „Obraz dziejowy Szlązka”, które nie mogło być drukowane w Prusach.

Korzystając z wypadków 1848 roku, Serbowie łużyccy postanowili uzyskać pewne ustępstwa u rządu królewskiego, po którego stronie stawali, nie biorąc udziału w postępach niemieckich demokratów. W środę po Wielkiéjnocy na zgromadzeniu towarzystwa Macicy, uradzono podać wielką petycją do saskiego ministerjum i dla ułożenia takowej wybrano komitet z siedmiu osób złożony. W maju petycja została wydrukowaną, i dobrze myślącym Serbom w mnogich odbitkach podaną do podpisu. Do 22 lipca zebrano 5000 podpisów, a w cztery dni potem 16 deputatów, między którymi byli Imisz, Bróska, Kućank i inni, udało się do prezesa ministrów dra Brauna i oddali mu petycję, proszącą o uprawnienie języka serbskiego w szkołach, kościele, u władz i przed sądem. Prócz tego deputacya udała się do Pilnic, gdzie przebywał król saski, który ją przyjął życzliwie. Rząd saski, wdzięczając się za lojalne zachowanie się Serbów w czasie następných wypadków, zezwolił po więkšej części na punkta petycji. W skutek tego w roku 1850 wprowadzono język serbski, jako przedmiot dowolny w gimnazyum Buduszyńskiem, a nauczycielem tego przedmiotu mianowano Smolera, i ten także uczył po serbsku księcia Alberta, następcę tronu, który jako komendant wojsk, w tymże roku przybył do Buduszyna. Około tego czasu Smoler założył w Budyszynie księgarnię; nie przestawał jednak mimo to zajmować się piśmiennictwem, pisywał artykuły do czasopisma Macicy oraz wydał książkę pod tytułem: *Kleine Grammatik der serbisch-wendischen Sprache in der Oberlausitz* (1852). Dla poznania Słowian między sobą oraz dla wiadomości innych narodów, wydał od roku 1852—1858 *Jahrbücher Neue Folge*. W roku 1851 ożenił się z Amalią Niemcową.

Gdy w roku 1856 wrócił do Buduszyna ks. Michał Hörnik, wychowaniec pragskiej Serbówki i zajął miejsce wikaryusza przy kościele św. Piotra; młody ten człowiek, w którym narodowość znalazła nową niemalą podporę, całym sercem przylgął do starrego pracownika na teje samej niwie.

Aby rozszerzyć swoją działalność księgarską, udał się Smoler 1859 roku do Petersburga i Moskwy, gdzie strawił 10 miesięcy. W Petersburgu zaprzyjaźnił się z ziomkiem naszym Wilhelmem Bogusławskim, autorem Rysu dziejów serbo-łużyckich, któremu przy pisaniu tego dzieła bardzo był pomocnym, a nawet Bogusławski ostatni rozdział swego dzieła, obejmujący nowsze czasy, ułożył głównie z opowiadań ustnych Smolera.

Powróciwszy do Budyszyna, Smoler zaczął wydawać od połowy 1860 roku drugi dziennik pod tytułem: *Łużiczczan*, czasopis za zabawu a powučenje (*Łużyczanin*, czasopismo dla zabawy i nauki), raz na miesiąc pismem łacińskim i nową pisownią. Redakcyę tego pisma, którego treść stanowiły poezye (między niemi wiele pięknych kawałków Sejlera, Fiedlera Ciesli i innych), powiastki, artykuły popularno-naukowe oraz przegląd słowiański i wiadomości krajowe, wziął na siebie ks. Michał Hórnik, lecz gdy ten redagując prócz tego od roku 1863 pismo religijne „*Katholski posół*,” nie mógł podołać pracy, Smoler redagował sam przez dwa lata *Łużiczczana*, póki go nie wyręczył K. A. Fidler, nauczyciel w seminaryum nauczycielskiem, utalentowany poeta.

Gdy w Warszawie założono Szkołę Główną, Smoler miał sobie ofiarowaną professurę, której jednak nie przyjął, nie chcąc wydalac się z kraju, dla którego tyle był potrzebnym. Rodacy wdzięcznie ocenili jego ofiarę; na posiedzeniu Macicy 8 kwietnia 1863 roku wystąpił Sejler z wspomnieniem nowej zasługi Smolera, zaproponował, aby go mianowano (pierwszym) członkiem honorowym Macicy, i oddał mu w imieniu tejeż piękny wiersz przez siebie złożony. Po Sejlerze mówił Imisz, dziękując mu w imieniu wszystkich Serbów za tę jego ofiarę. Projekt Sejlera przyjęto jednomyślnie, a w wieczór uczczono Smolera uroczystą wieczerzą, ożywioną mowami i toastami (1).

Zostawszy w Budyszynie złączył się z drugim księgarzem młodym Serbem Pjechem, i rozszerzył swą działalność księgarską tak dalece, że zawiązał stosunki z całą Słowiańszczyzną. Na miejscu *Jahrbücher*, od roku 1862 wydawał w terminach nieoznaczonych: *Zeitschrift für slawische Literatur, Kunst und Wissenschaft*, a ten nareszcie zmienił na stały tygodnik, wydawany pod tytułem: „*Slawisches Centralblatt*.”

Smoler używa wielkiego szacunku, nie tylko u swych rodaków, ale i w całej Słowiańszczyźnie. Wiele uczonych towarzystw liczy go za swego członka, a Łużyczanie spoglądają nań, jako na najwybitniejszą osobistość z epoki swego odrodzenia.

(1) Zob. *Łużiczczan*, czasopis za zabawu a powučenje 1863 r. za miesiąc maj.

RAMAJANA

POEMAT INDYJSKI.

WYJĄTKI PRZEKŁADU

Teofila Lenartowicza.

Dzieło wielkiego poety indyjskiego Walmiki *Ramayana*, co do rozgłosu i treści, największe w literaturze powszechniej, nieznanne jest publiczności polskiej, i ztąd to powziąłem myśl przekładu takowego jeżeli nie w całości, to przynajmniej w znacznych ustępach.

Jeden z najuczeńszych orientalistów Kacper Gorresio z Tury-
nu, zachęcony przez przyjaciela i opiekuna sztuk i nauk chwalebnej
pamięci króla Karola Alberta, przełożył *Ramajanę* prozą na język
włoski; z łatwością przeto przyszło mi to wielkie dzieło poznać,
w którym wczytując się, i inni dalej tém coraz większe znajdując
piękności, postanowiłem wedle sił moich dołożyć pracy, zresztą
bardzo wdzięcznej, bo umysł podnoszącej, byle współziomków
moich z tą *Indyjską* poznać i poznać.

Z posłuchu wiem, iż u nas w ostatnich czasach tłumaczono
najpiękniejszy dramat Kalidusa *Sakontale*; znać że dążność umy-
słów w te nieznanne aż dotąd sfery i u nas się budzi, a jeżeli
Sakontala łaskawego doznała przyjęcia, tém ci więcej dobrego
usposobienia dla *Ramajany* spodziewać się mogą, przewyższającą
całą (prócz hymnów świętych) poczytą *Indyjską*, tak jak *Illiada*
idzie górą nad wszystkimi epeami po-homerowych poetów.

Na tłumaczenie wierszem rymowym nie mogłem się odważyć,
nieznając *Sanskrytu*, ani mogąc wiedzieć, jakiej formy wiersza
Walmiki używał; prozą także niezdawało mi się właściwem wielki
tén utwór przekładać: wybrałem przeto pośrednią formę, wiersz
nie rymowy, który dozwolił mi iść słowo w słowo za oryginałem,
nieodmieniając składu wyrazów i zostawiając rzeczy charakter
miejscowy, taki jaki go sobie w wyobraźni mojej rozczytując się

we wszystkim, cokolwiek mogłem z literatury Indyjskiej czytać, wyrobiłem.

Nie harmonijnie brzmiące imiona własne, być może iż muzykalne ucho czytelnika nieraz obrażają; wszakże uiech się zdobędzie na odwagę i idzie dalej za opowiadaniem poety, a jeżeli mnie sąd o uczuciu estetycznym moich współziomków nie myli, nie pożałują czasu.

Pomiędzy Ramajaną a Illiadą jeżeli jaka zachodzi analogia, to chyba jedynie co do wysokości natchnienia, siły rzutu i charakteru poezyi pierwotnej; co do treści są to dwa odrębne, w niczem do siebie niepodobne światy.

To co kiedyś powiedział Donoso Carles o Biblii, dałoby się zastosować i do Ramajany. Illiada opowiada dzieje jednego kraju i jednej epoki, Ramajana dzieje ludów i obszar myśli, po jakim nigdy greckie nie zeglowało skrzydło. W Homerze indywidualność człowieka, występuje dokładniej i z większą siłą; w Ramajanie jak się słusznie wyraża Gorretio, człowiek niedość odrywa się od tła, od przyrody, która go otacza, i osobistość jego jest jakby związaną w działalności swojej przez panteizm religii Indów.

Ramajana przebiega cykl niezmierny tradycyi, idei, mytów przestrzeni i czynności ludzkich, kiedy Homer dziesięcioletniej wojny, Helisponckich brzegów i nieodległych Odysejowych trzyma się podróży.

Co do języka w obu epopeach jedna i taż sama naturalność i prostota w wyrażeniach poetycznych, wszakże Homer nad Walniki pierwszeństwo bierze; co bądź i jakie niebądź dałoby się czynić spostrzeżenia nad jednym jak i drugim arcydziełem, stanowią one najpiękniejszy niedorównany kwiat fantazyi ludzkiej, a jeśli jedno więcej zadowalaia stronę plastyczną, drugie przewyższa je niezmiernem państwem myśli; pierwsze natchnęły wojny w świecie zmysłowym, drugie w świecie umysłowym, stare jak świat boje.

Wojny Rama w których walczący nie pod własnymi nazwiskami, ale pod imionami przymiotów jakie ich odznaczały występują, zdaje się iż prowadzone są w krainie mytów, że te idee walczą przeciwko sobie; tak ów poemat poprzedzający, jeśli wierzyć można indyjskiej rachubie lat, o tak niezmierną starożytność chrześcijaństwo, daje obraz scierających się myśli podobnie Apokalipsie, wygnańca z Patmos.

Teodor Banfej, Echstejn (Allgemeine Encyklopedie der Wissenschaften und Künste) Wilson, Schlegel, Michelet i tylu innych podnosili wielkość indyjskiej poezyi, a niektórzy z nich, a mianowicie Barnof wielkie położyli zasługi, zapoznając Europę Indo germańską z Wedami i w ogóle z poezją, której szczątki wyniesione ze wspólnego niegdyś gniazda w powieściach i pieśniach ludów Germańskich, Skandynawskich i Słowiańskich, osobliwiej rozsypane znajdujemy, na co uwagę zwracał przed kilku laty wydawca francuzkich powieści ludu słowiańskiego prof. Al. Chodźko.

Ustępy z Machabaraty, przekładał na język polski, jak mi o tem donoszono, professor historyi przy Uniw: Krak: poeta Józef Szujski; o innych tłumaczeniach nie nie słyszałem.

Wojna, którą opiewa Ramajana, prowadzoną była przez potomka panującej w Ajodyi rodziny Raguidów Ramę, przeciwko barbarzyńskim dzikim mieszkańcom południowych brzegów Indyi i wyspy Ceylon, przez poetę zwanym Raksasom, które to imię równie znaczy nieprzyjaciela barbarzyńcę, jak złego ducha latającego po powietrzu i czyniącego szkody ludziom dobrym i sprawiedliwym; — wojsko zaś któremu Rama dowodził, składało się z małp, pod którą to denominacją rozumieć należy rodzaj ludzi dobrych, ale nie wygładzonych, nie zaś rzeczywiście szeregi małp, jak to za Darwinem zapewne chce mieć Michelet.

Starożytność poematu Ramajana, sięga trzynastego wieku przed erą chrześcijańską, wedle chronologii, którą Vico logiczną zowie, czyli epoki, jaka nastąpiła po Vedach, kiedy już cykl tradycyjny i mytów, szeroko był rozpowszechnionym. Księga pierwsza poematu, opiewa wychowanie Ramy oraz praktyki ascetów indyjskich w pustelniach, początki rozlicznych mytów i ceremonii religijnych i wreszcie opisuje Ajodyę i panowanie króla Dasaratha. Całą tę księgę jako właściwie niemającą koniecznego związku z całością poematu, opuściłem i od razu przystąpiłem do epopei dramatycznie się zawiązującej w chwili podniesienia Ramy na królestwo Indów.

AYODHYAKANDA.

KSIĘGA II.

ROZDZIAŁ I.

Rada nad wyniesieniem Ramy na królestwo.

Król przesławny Dasarata przypominał syny swoje,
 Syny swoje ukochane tak Barata, jak Satrunio,
 Podobnie Wielkiemu Indra do pamięci przywoływał,
 Narodzonych z jednych lędźwi czterech jak ramiona Wisznu.
 A jakkolwiek równą miłość dla swych wszystkich żywił dzieci,
 Przecież miał w największej cenie Rama, skarb wszelakiej cnoty.
 Rama jaśniał między ludźmi jako księżyc roztoczony,
 I dla mnóstwa swych przymiotów był rozkoszą króla ojca,
 Matki i przyjaciół licznych i obywateli kraju.
 Że nie wyszło nigdy słowo o żadnym z ust jego człeku,
 I na cierpkie nawet mowy nigdy cierpko nie odrzekał.

Towarzystwo trzymał zawdy i bezpieczną poufałość,
 Z ludźmi dojrzałego wieku oraz doświadczonej cnoty;
 Był roztropnym i szlachetnym, a w rozmowie pełnym wdzięku,
 Wciąż poważny jak przystało i wartością swą nie pyszny.
 Szczerzy w mowie i ostrożny czeił poważne starców głowy,
 Kochający swych poddanych i kochany od nich wzajem.
 Współczujący, powściągliwy i Braminów wielki czciciel.
 Dla ubogich miłosierny, miał potwarze w nienawiści.
 Nie pragnący panowania acz z porządku nań spadało,
 Przeto iż czeił więcej mądrość niż królestwo, choć tak wielkie.
 Miłosierny dla wszechstworzeń, niósł każdemu pomoc chętnie,
 W datku hojny a uczciwych wspierał i był popiecznikiem.
 Łaskaw kto się k'niemu uciekł, wierny w swoich obietnicach,
 Sprawiedliwy dla zasługi, mężny i do ofiar chętny,
 Stały w myśli, prędki w radzie, szybki w czynach, w mowie słodki,
 I prędzjby rzekł się życia i fortuny i rozkoszy,
 Niżli prawdy którą Rama więcej życia umiłował.
 Prosty, skromny, dobroczynny i chwalebnych obyczaj,
 Obdarzony w wszystkie cnoty i jakoby księżyc wdzięczny.
 W bitwach w męztwie niezrównany, czysty jak promień jesienny,
 Takim ojciec go wspominał, powtarzając sam do siebie:
 Oh! gdybyżem mógł zdać państwo Ramie małżonce królestwa!
 Zamiar ten nieustający wracał k'myśli temu mędreru:
 Kiedyż przyjdzie czas że ujrzę syna mego namaszczoneym.
 Rama miły wszechstworzeniu, prawy władca dla swjéj cnoty,
 On to jeden godzien iżby obleczone był w godność króla.
 Równy siłą bogu Indra a umysłem Wrihaspati,
 Kiedy ujrzę w méj starości Rama panem téj krainy,
 Z wesołością przejdę rady na niebieskie krzesło potem.
 Widząc ludzie myśl królewską domownicy i badacze,
 Święci mistrze i radcowie i ziemianie i mieszkańce,
 Zgromadzili wielką radę i zgodzili się społecznie
 Na myśl jedną i na prośbę k'starcu króla Dasarathu:
 Tyś już królu długoletni, już ci więcej sto lat przeszło,
 Racze nam poświęć Ramę królestwa tego małżonka.
 Więc na słowa sercu miłe, król udając myśl przeciwną
 By wybadać szczerą prawdę, w takie słowa im odpowie:
 Czemuż chcecie abym dzielił z synem moim panowanie,
 Jeśli aż do tego czasu sprawiedliwie rządzę krajem?
 Toż odrzekną zgromadzeni jak przystało Dasaratu:
 Mnogie i wróżące dary królu jaśnią w synu twoim,
 Przyrodzenie boskie, skromność i cnotliwe obyczaje.
 Dobroczynność i uprzejmość i miłość dla ludu prawa,
 Jak rodziców dla swych dzieci i szacunek dla Braminów,
 Których umysł wtajemniczon we świętą Wedy naukę.
 Na złych srogi a dla dobrych cześć niosący i nagrodę,
 I nie znajdzie się w tym kraju ani u sąsiadów żaden
 Ktoby w synu twym wynalazł jak niebądź najmniejszą wadę.

Czy to starzec czy młodzieniec, każdy z twych mieszkańców kraju
 Dla cnót wielkich, rad oglądał Ramę królem tego państwa,
 Sławą swoich cnót, o panie, zjednał sobie wszystkich serca,
 Rama prawdy rozeznanca, równie wzniosły jak i skromny,
 Wyówieczony w strzał rzucaniu, w bitwach bozką bronią włada,
 Tak że cios nie padnie żaden z ręki jego nadaremno.
 Równie silny w sztuce broni jak wytrwały w boju trudach,
 A ilekroć na twój rozkaz Rama bieży na bój krwawy,
 Pogromiwszy kraju wrogi ze zwycięstwem zawdy wraca.
 Wtedy po rozbiciu tłumów, jakże sercu ludu cenny,
 Niżli kiedy więcej skromny wszystkim cześć obecnym dawa,
 A gdy dłużej nieobecny wozem wraca lub na słońiu,
 Napotyka dobrych ziemian wzduż na drodze swej królewskiej,
 Wstrzymuje się dobrotliwie i o zdrowie łaskaw bada,
 I o święte się domowe rad ognisko rozpytuje.
 Równie troskliw o małżonki, ucznie nasze i służebne;
 Śród obrębu naszych murów, jak po wszystkich miastach ziemi,
 Młodzi, starce i niewiasty króla bogów wciąż błagają
 Od domu do domu wszyscy, aby Rama nam panował,
 I aby mu było dane dobry królu z wolą Twoją
 Z wylaną wodą lustralną jako święty ryt wymaga
 Widzieć Ramę współdzielącym mądre z tobą panowanie.
 Racz o książę wielkomyślny do współwładzy przybrać Ramę
 Twego królewskiego syna, pełnego uczuć szlachetnych,
 Przyjemnego dla swych darów bogom, ludziom, wszemu światu.

ROZDZIAŁ II.

Rozkazy Dasaratha.

Dobrém sercem wysłuchawszy Dasaratha król błagania
 Podnoszące się ku niemu w krąg ściąganiem rąk pokorném,
 Taką wesół da odpowiedź: jakże szczęsnym zwać się moge
 Ze słów, co mi tak są drogie, przeto iż żądacie iżby
 Współmałżonkiem państwa, mego syn mój stał się pierworodny.
 Gdy proszącym da odpowiedź wraz się zwróci do Wasistka,
 I do Wamedewa, którzy bacznie króla słów słuchali—
 Owo wraca miesiąc Kajtro, miesiąc piękny i szczęśliwy,
 W którym w kwiaty różnobarwne cieniste się kryją lasy,
 Najodpowiedniejsza pora, by wnieść Ramę na królestwo;
 Oznaczcież mi co należy hym uczynił dla obrządku,
 I co jam uczynić winny oddający państwo Ramie.
 Na co owi odpowiedzą k'słowom się stosując króla—
 Że ma być spisaniem wszystko co należy do obrządku,
 Przyczem radość niewymowna na proszących była znaczną.

Jakoż rychło k'starcu wróca szczęśni wypełnioną wolą.
 Radość królu czyniąc wielką choć i tak już był radosny.
 Wówczas to król Dasaratha kazał k'sobie zwać Sumantra,
 I rzekł: spiesz się a bez zwłoki mądrego mi przywiedz Ramę.
 Więc posłuszny wnet woznica pobiegł sprowadzić Ramę,
 A tymczasem króle wschodu i południa i północy
 Mleci, Yavani i Saci, gór mieszkańcy oddalonych,
 Dobrze pierwiej już wezwani siedli kołem Dasaratha,
 Wszystko jak na podobieństwo dobrych bogów przy Wasawa.
 W pośród królów jako Indra wszechpotężny śród Maruti
 Siedząc mędrzec ów królewski, ujrzał zdala syna przyjazd,
 Jak na świetnym jechał wozie podobny Gandowów władcy,
 Sławnemu po całym świecie z siły, z swych długości ramion,
 Z wielkiej duszy i postawy równej słońcu w dniach miłości.
 I nasycić nie mógł wzroku i radości ukryć lica
 Widząc Ramy twarz przyjemną jako księżyc roztoczony,
 Tak miał słodką powierzchowność k'sobie świat pociągającą,
 Szlachetnością i dzielnością, jako Indra deszcz niosący
 Na zgorzałe od upałów letnich pola zbożorodne.

Gdy Sumantra z wspaniałego wozu pomógł zniść Raguidzie,
 Pełen cześci stanął zdala, ów zaś k'oju stąpił spiesznie
 Towarzysz on od Kotczego, szybko Ragwid zszedł na ziemię
 Rowicu szczytu Kailasu, by się stawić oju królu,
 A gdy stanął przede tronem schylił się i podniósł dłonie
 Wymawiając imię czone, oju swemu padł pod stopy
 Który widząc go przy sobie z dłońmi w górę wzniesionemi,
 K'łonu swemu go pociągnął i w swe przyjął go objęcia.
 Potem wskazał na siedzenie najgodniejsze, niezrównane,
 Złotem zdobne i drogami kamieniami błyskające.

Zasiadł Ragwid miejsce chwały, swą osobą je rozświecił,
 Jako słońce wschodnie kiedy światłem górę Meru kryje.
 Blaskiem jego zajaśniało całe królów w krąg zebranie,
 Jako niebo na jesieni od promieni księżycowych,
 Świetne błyszczącemi gwiazdy i znakami konstellacyi.
 Rozweselon był król stary wpatrując się w postać syna,
 Odzianego w złote szaty jakby w obraz swój w zwierciadle.
 I wraz najszczęśliwszy z ojców z uśmiechem się doń obrócił,
 By Kasiapa k'władcy Numów i przemówił temi słowy:
 Ty o Ramo spłodzon z pierwszej z mych małżonek poślubionych
 Zrodziłeś się mnie najmilszym, godnym mnie przez swe zalety,
 Tyś pogodził lud skłócony i powiązał go miłością,
 Witajz w przyjsciu księżycowem w znaku Puścio podniesiony
 Jak współdziedzie, współmałżonek na królestwo piękne moje.
 Tyś tak skromny od przyrody i cnotliwy synu miły,
 A choć w wszystkie zdobny cnoty, przyjmij słowa z serca głębi:
 Utwierdzaj się wciąż w skromności, panuj nad swojemi zmysły,
 Chroń się od zapędów ślepych, które gniew i nierząd płodzą.
 Przez cię Ramo niech rządzone będą ludy tej krainy

Z bacznym względem tak na przyszłość, jak podobnie na obecność
 I ze wzrokiem obróconym na najwyższy rzeczy powód.
 Baczny na ich dobro Rama wolny od niegodnej pychy,
 Wiedzion cnotą rządz te ludy jako syny twoje prawe.
 Czujne oko miej na zbrojne męże, słonie i rumaki,
 Na ministrów, państwa skarbiec, na przyjaciół, nieprzyjaciół,
 Na niechętnych zważaj także, równie jak na obojętnych
 Niech cieszą się o synu jak ambrozyą nieśmiertelni,
 Przyjaciele księcia który rządzi ziemi szczęście niosąc;
 Tak się masz zachować Ramo, taką ojciec daje radę.

Wysłuchawszy mowy króla ludzie dobrej wieści głoścy,
 Do Kausalaja wrócą i copędzej wieść rozniosą,
 Kędy z niewiast rąk nagrodę wezmą złoto kosztowności,
 I krowy których wymiona mlekiem pożywienia pęcznią;
 Tymczasem zaś cny Ragwida cześć złożywszy swą królowi,
 Wstąpił na wóz otoczony przychylni ludu tłumy,
 A ziemianie wysłuchawszy przechwalebne słowa króla,
 Jakby dary obdarzeni najdroższymi pokłon złożą,
 I powrócą szczęśni w domy, radośni i bogom wdzięczni.

ROZDZIAŁ III.

Rama powołany do objęcia rządów państwa.

Gdy ziemianie się rozeszli, król na radzie z swymi radcy
 Postanowił prędki w czynie wyrok swój ogłosić taki:
 „W dniu jutrzejszym z księżycowem wejściem w znak niebieski
 Puścio

Jutro ma lustranną wodą być poświęcon mój współdziedzic
 Najukochańszy synu mój Rama z oczyma Cotusa barwy.”
 Poczém starzec Dasaratha do tajemnych wszedł swych komnat.
 Rozkazując bardu swemu przyzwać znouu Ramę k'sobie,
 Który co najspieszniej pobiegł by dopełnić króla woli.
 Kiedy stróż zawieścił bramy ze Sumantra wrócił wtóre
 Strach Ragwida opauował, nie wiedział co o tém trzymać.
 Szybko rozwarł mu podwoje, otworzywszy rzekł z obawą:
 Bądź mi szczyrim, powiedz z łaski jaki powód twego przyjścia,
 Król cię pragnie wraz oglądać, racz co prędzej k'niemu spieszyć.
 Usłyszawszy takie słowa, Rama prędkiem ruszył krokiem
 Do królewskich wraz podwoi by oglądać ojca króla.
 Za przybyciem król rozkazał by wprowadzon był w tąż chwilę,
 Rady prędkiej z nim rozmowy, w rzeczy ważnej i zbyt drogiej.
 W progu sali wielkiej Rajgwid kiedy ojca ujrzał zdala
 Pokłon złożył i ku niemu obie swe wyciągnął dłonie.
 Alié król go połniósł k'sobie, ramionami objął dwiema,
 A wskazawszy krzesło świetne, w te rozpoczął k'niemu słowa:

„Ramo, jam już stary wiele ach! i wieku jestem syty,
 Doświadczyłem wszech rozkoszy jakich czelek doświadczyć może,
 Stokroć święciłem ofiary uwieńczone dobrodziejstwem,
 Byłem ojcem licznych dziatki i twym niezrównany w świecie,
 Hojną dłonią obdarzałem czytających święte pisma,
 Doświadczałem przez czas długi panowania przyjemności,
 Wykonałem obowiązki względem bogów nieśmiertelnych,
 Względem Risci, ojców wielkich i braminów wreszcie siebie.
 Teraz nic mi nie zostaje, jak cię wynieść na królestwo,
 Ale masz wypełnić duchem to, co jeszcze mam powiedzieć.
 Wszyscy krajów tych ziemianie twego żądni panowania,
 K'temu ja o słońcu synu ciebie święcę na królestwo;
 Nad świtanem już od dawna miewam sny przerażające,
 Że od nieba wysokiego lecą meteorów burze,
 Z czego znawcy gwiazd niebieskich czynią straszne zapowiedzi,
 Gwiazdę moją zwyciężoną widząc od przeciwnych planet
 Marsa i od głowy smoka, znak mój śmierci nieomyślny,
 Lub królestwa tego zguby i dla tego luby Ramo,
 Pokąd władze duszy mojej jeszcze wszystkie czuję w sobie,
 Wodą cię lustralną święcić myśl mnie bodzie nieustannie,
 Zmienny bowiem i niestały ludzki los w tym życiu krótkim.
 Dzisiaj miesiąc w Parnawasa wstąpił co poprzedza Puscio,
 Jutro znawcy gwiazd niebieskich księżycowy stan ogłoszą,
 Pod nim masz być poświęcony k'temu wszelką myśl obracam,
 Bądźże wierny przepisany wszelkim k'n temu obrządkom,
 Post zachowaj prosię ścisły, razem z wierną twą małżonką.
 Noc spędziwszy na koszyku ziela bogom poświęconym
 Obok ciebie na czuwaniu przyjaciele noc przepędzą,
 W dopełnieniu czego synu wielkich przeszkód się spodziewaj,
 Pokąd z dala od tych murów brat twój bawi się Baratha,
 Obmyśliłem podnieść ciebie na królestwo piękne moje.
 A choć wiem że umysł jego w niczym nie jest mi przeciwny,
 Że szanuje pierworództwo, sprawiedliwy żądz swych władzca.
 Jednak wiem i to, że ludzki umysł rad się prędko zmienia,
 A uczucia dobrych ludzi tylko dzieła ich wydają.”

I żegnając współdziedzica rzekł: a teraz idź mój synu
 I bądź gotów na jutrzejszą uroczystość tak już bliską.

Rama pokłon ojcu złożył i oddalił się powolny,
 A gdy wszedł w progi swoje nie straciwszy chwili jednej,
 Do mieszkania matki miłej prędkie kroki swe obrócił,
 Wszedłszy znalazł ją przed bogi błagającą pochyloną;
 O szczęśliwe dopełnienie poświęcenia królem Rama.
 Obok matki ujrzał pierwój już przybyłą tu Semitrę,
 Wraz z Laksmanem z piękną Sitą, wszystkich szczęśliwych szczę-
 ściem Ramy.

Cauzalia wiedząc jako dzień obrzędu naznaczony,
 Ze zmianą księżycą w Puscio w pośród trojga swój rodziny
 Stała z oczu spuszczonejmi rozmyślona cała w duchu,

W wielkim wieszczu niepojętym, czczonym od mieszkańców świata.
Zbliżon k'matce w cięż mileżącej cześć jej niosąc i pociechę,
„Matko, rzecze, oto jestem od rodzica przeznaczony
Do rzałzenia dobrym ludem, jutro obrząd się dokona,
K'czemu wspólnie z Sitą moją noc przepędzić mam na poście
Tak nam kapłan zapowiada i mistrzowie świętych rzeczy;
Ty zaś matko pobłogosław jutrzejszemu poświęceniu...”

Kiedy matka usłyszała tę wiadomość upragnioną,
Głosem coraz przerywanym łzy radością odpowiada:
„O mój słodki synu Ramo, obyć Bóg dał życie długie,
I niech zginie synu miły kto dla ciebie zdradę knowa;
Wesół szczęściem osiągniętym, bądź radością mój rodziny,
Równie mojej jak Sumitra urodzon pod szczęsną gwiazdą.
Ty coś zyskał przez swe enoty Dasaratha krok miłości.
Nie napróżnom błagała bóstwo z oczyma Lotuta,
Obyś równą miał fortunę wielkiemu mędreu Ikswaku.”

Tak błogosławiła Ramie, on zaś patrząc na Laksmana,
Tak stał zdala pochylony napełniony wielką cześcią,
Rzekł otwarcie: „zeinną wspólnie chęć zarządzać tem królestwem,
Tys jest drugą duszą moją, w tobie rządów moich chwała,
Używaj o Samitrydo słodkich władania owoców,”
I skłoniwszy się niewiastom na swą wierną skinął Sitę,
I oddalił się szczęśliwy na czuwanie w swe pokoje.

ROZDZIAŁ IV.

Kapłan Wasistha.

Bacząc król w umyśle swoim na tak blizką koronacyą
Przyzwał k'sobie domowego starca Wasistha kapłana,
I rzekł: „wielki pustelniku spiesz, by święty post zarządzić,
K'woli przyszej pomyślności i królestwa tego chwały.”

Zgodny wolą króla kapłan od wszystkich czczony Wasistha
Najuczeńszy śród uczonych znawca Widow praw i hymnów,
Sam się zajął wnet przyrzędem świetnego Braminow wozu,
I k'woli zarządu postu do Rługwida się odprawił.
Do pałaców królewicza ciągnął równie białej chmury
I tak przebył trzy dziedzińce na rydlwanie poświęconym.
Wyszedł Rama co najspieszniej uczeić pustelnika Risci,
A zbliżając się do wozu znijsć mu pomógł i uściskał,
Kapłan wielki zaś uznając obyczajność w tym przyjęciu,
Słowo k'Ramie obracając jak przystało w chwili onęj
Rzecz k'mężu wielkich zasług i wszelkiej najstódszej rzeczy:
„Ramo! ojciec łaskaw tobie z nim wespólek rządzić będziem
K'temu wspólnie dziś ze Sitą przepisany post masz odbyć,
Albowiem we dniu następnym ojciec ma wywyższyć ciebie.
Jako niegdys poświęcony był Jayati od Natusa.”

To rzekłszy wieszcz znawca hymnów post przepisał wym agany;

Dla Ramy i dla Widezy, poczem żegnał tych oboje,
 I mistrz święty jak przyjechał w królewski odjechał dworzec.
 Rama zasie z przyjaciół co go otaczali kołem
 Piękne wiodąc rozhowory do tajemnych wszedł podwoi,
 Gdzie zbliżony towarzysów z uprzejmością żegnał wszystkich,
 A w tym czasie do Ayodyi lud białemi ciągnął drogi,
 Mnóstwo niewiast najpiękniejszych i męży na uroczystość
 Jako waza napełniona wdzięczną rośliną lotusa.
 Do którego się zbiegają sznury ptaków hałaśliwe.
 Od bram jadąc królewica wieżowanych jak kaslaro,
 Ujrzał wieszcz Muni Wasistha drogę ludem przepelnioną,
 Szeroką drogę królewską, który z stron się wszystkich cinał,
 Skacząc jak wezbrane wały niebieskiego oceanu.
 Szlachetne miasta Ayodya piękne swą królewską drogą
 Wyświetzone, ozdobione tysiącem znaków jaśniało,
 Chorągwiemi zawieszono, które lekki wiatr poruszał.
 Dzieci, niewiasty i wszyscy mieszkańcy pięknego miasta
 Radzi widzieć koronację wyglądali wschodu słońca.
 Każdy był oglądać chęciwy uroczystość tę Ayodyi,
 Obchodzoną z wystawnością, serca wszystkich przejmującą.
 Tak przez świętą drogę starzec wstrzymywany krok po kroku
 Na złocistym wozie, dosięgnął do pałacu Dasaratha,
 Gdzie wstępując zwolna starzec na białe królewskie schody
 Podobne do zawieszonoj białej chmury na powietrzu,
 Panu ludu się ukazał jako Witasprotu Indrze
 Gdy ujrzał Dasaratha z tronu zeszedł, wieszca badał,
 Ów zaś uspokoił króla wykonaniem wszelkiej rzeczy,
 Razem z królem rada wierna co mu po bok tronu siada
 Ze szerokich zesła schodów witać Risci pustelnika,
 Poczem król poważny wiekiem wszedł do nie wielkich podwoi
 Jako lew gdy nasycony, w swą pod skałą wchodzi grocie,
 Wszedł król w schronienie świetne od cnych niewiast zamieszkałe
 Podobne stolicy Indra i blasku mu dodał sobą
 Jako księżyc, gdy oświeca gwiazdami niebo zasute.

R O Z D Z I A Ł V.

Opisane przysposobienia do uroczystości.

Po odjeździe wieszca starca, Rama umysł swój oczyścił,
 Jako pragnął mieć ustawy kilkakrotnem wraz obmyciem.
 I z małżonką wszedł do cudownych rozległości swych pałaców.
 Podobnie do Narajamy z chwalebnią boginią Laksini,
 A wzniosłszy nad czoło swoje odpowiednio świętym rytom,
 Naczynie tłustego mleka zlał na promień gorejący,
 Ofiarę wielkiemu Numa tłuste najpiękniejsze mleko,
 Poczem resztek zakosztował o swą blagając pmyślność,

A rozmyślając o bóstwie Narajana syn królewski
 Spoczął obok swój Widezy cichy, czysty na koszyku.
 Którym łoże mu wysłano, zieleń poświęconém Wisznu.
 A gdy już niezostawało jak jedna wigilja nocy,
 Zszedł i kazał dom swój cały uroczyście przyozdobić,
 O czém gdy posłyszał wieszczona szczęsne bardów i śpiewaków,
 Dopełniwszy obyczaj rannych a pobożnych modlitw,
 Uzczył trwożny i pokorny Boskiego zabójcę Madhu,
 I odzian w płótno przezyste rozkazał wszystkim Braminom
 Aby odmawiać pečęli słowa rytu uroczyste.
 Głosy Braminów radosne wielkie i wysokie nuty
 W murach Ayodyi dźwiękiem narzędzi muzycznych.

Mieszkańcy wszyscy przed świtem miasto przybrali wspaniale,
 Na pagod szczytach wyniosłych na podobienstwo obłoków,
 Na zejściach ulic i placach na świętych figach tarasów,
 Na targowiskach pokrytych pełnych rozlicznych towarów,
 Na domach rodzin zamożnych i na publicznych pomnikach,
 Na drzewach najrozroślejszych chorągwie porozwieszano,
 I symboliczne w krąg znaki, głosy radosne wszechstronne,
 Duszę rozweselające rozlegały się po mieście.

Tłumy śpiewaków, mimików i skoczków zewsząd przybyłych
 W dniu poświęcenia książęcia obywatele w swych domach
 Poważnemi czcili słowy imię Rama królewicza;
 Dzieci przed domy zabawne jedno z drugim za rodzicy
 Igrząc, wtórzili pochwały cnotliwego księcia Ramy.
 Na poświęcenie królewskie wielka droga od pałacu
 Zaścielona była kwiaty i zakadzona kadzidłą.

A na przyszłą noc na skrajach dróg w różne idących strony,
 Powywieszano latarnie z wierzchu drzew ku oświeceniu
 Miasta w noc niedosyć widną i rozlicznych krętych ulic;
 A gdy wszystko ukończono, mieszkańcy pięknej Ayodyi
 W dziedzińcach domów królewskich oraz publicznych zgromadzeń,
 Zebrani w szatach świętecznych chwałą czcili Dasaratha.

O! zaiste król to godny ozdoba ludu Ikswaku,
 Który w późnych latach swoich na królestwo wznosi Ramę.
 O szczęśliwi i my wszyscy pod Ramy spoczniem opieką,
 Który zna wysokie prawdy i następstw wszelkie rzeczy,
 Rama wolny próżnej pychy, pełny miłości braterskiej,
 A tak dla nas miłościwy jako dla swój własnej braci.
 Niechaj żyje w długie lata, król pobożny Dasaratha,
 Z którego łaski dziś mamy poświęcenie króla Ramy.

Gdy tak jeden z drugim gwarzy, lud napływał z dróg odległych,
 Do którego doszły słowa uroczystości rozgłosy,
 Rodzaj chłopków radosnych również te oglądać wspaniałości,
 Napęłnił mury Ayodyi, a gwar ludzi nieustanny
 Z miejsca w miejsce się ciskających był podobien oceanu,
 Gdy podnosi wały swoje we dniach księżycowej pełni;
 I tak miasto było owe podobniém stolicy Indra,

Pełném tłumów różnobarwnych, by falam wielkiego morza,
W pośród których przebywają wodne twory złotoskrzele.

ROZDZIAŁ VI.

Mantura.

Gdy tak wielka radość wzrusza wszystkie dobre serca ludu,
Ze sług jedna Kaicei wtórej królewskiej małżonki,
Razem z nią w rodziców domu chowana jej powiernica,
Wyszedłszy jak dzień na taras pałaców króla wysokich,
Ujrzała słoneczne miasto niezwykle przyozdobione.
W co najpiękniejsze chorągwie i pełno gromad biesiadnych
Przyczem po długim podziwiew do jednej z nianiek się zbliży.
Co niegdyś Ramę karmiła i tej ciekawie zapyta.

„Powiedz mi czemu mieszkańcy dziś tak niezwykle weseli?
Cóż im dobrego król stary w dniu ma dzisiejszym wyświadczyć,
I czemu Ramy rodzica tak dziś nad podziw radosna?
Rozdziela dary bogate śród ludzi ręką nie skąpą.”

Tak zagadniona służebna od garbatej powiernicy,
Nad wyraz szczęsna opowie o poświęceniu księżęcia;
„Jutro na wejściu księżycy w znak Puscio jak powiadają
Król ma wynieść na tron Rama syna swego, obraz cnoty,
Z czego cały naród wesół i każdy z osobna szczęsny.
Ktemu to przybrane miasto i w radości matka Ramy.”
Zrozumiawszy rzeczy powód i te słowa jej niemiłe,
Prędko zbieży rozsierzdzona Mantura z wysokich schodów,
Z okiem od złości iskrzącem, i kryjąc podstępne rady
Do Kaicei się wsunie jeszcze nie wstałej z spoczynku...

„Wstawaj głupia, czem spis dotąd kiedyś nieszczęście zagraża,
Czyż ty niewiesz nieszcześliwa żeś zgubiona po wiek wieków,
Nadaremnie żywisz nędzna wiarę w małżonka fawory,
Łaska jaką ty się cieszysz zwodnicza jest i niestała,
Jako strumień ściekający z gór który w potok wrasta.”

Napadnięta temi słowy przez powiernicę garbatą,
Która w myśli swęj knowała zamysł niekczemnie zbrodniczy,
Z podziwieniem jej zapyta: „zkaądże nagły gniew twój taki,
Coć się złego przytrafiło czemuś na licu tak zmieniona?”

A na słowa Kaicei wprawna w języku Mantura
Zaiskrzyła złém spojrzaniem i złą radę ułożywszy,
By zatrwożył Kaicęję i przeciw Ramie podburzył,
Którego pragnęła krzywdy zawołała: „O! królowo
Wielkie ci nieszczęście grozi i to w bardzo krótkim czasie.
Król potężny Dasaratha na królestwo święci Ramę,
K'temu jestem zanuzoną w przepaść smutku i boleści.
Jak od ognia ozionięta zbiegam tobie na ratunek,

Z krzywdą twoją Kaicei i moja zwiększy się szkoda,
 W twojem tylko powodzeniu i moja przyszłość spoczywa.
 Taką jest myśl moja stała... Jako matka miłościwa
 Oszukana słodkiem słowem do łona przyjąłś węża,
 Jako chytry wąż ukryty Rama zguby twojej szuka.
 Urodzona wśród rozkoszy, nieroztropna, opuszczona,
 Przez najchytrzejszego z kłamców co prowadzi na tron Ramę,
 Jako możesz być królowo urodzona z rodu królów,
 I małzonko ty królewska żebyś swoich praw nie znała.
 Kłamiąc pięknem słowem cnotę twój małżonek pełen zdrady,
 Głaszcze cię wdzięczną mową, lecz z natury on okrutny.
 Ty niewiuda w myśli twojej aniś zdołał złość przypuścić,
 Ni że jesteś odeń nędznie i podstępnie oszukana.
 W czasie kiedy twój małżonek blagą darzy cię pieczęcią,
 Kauzalii on oddaje dowody uczuć nie próżne.
 Oto zdrajca oddaliwszy Baratha pomiędzy krewne,
 Bez przeszkody na tron państwa dzisiaj Ramę zwał prowadzi
 Posłuchaj więc rady mojej, postąp jak przystało tobie,
 Ratuń syna, siebie i mnie, nieprzyjaciół pogromczyni,
 Dołoż proszę wszelkich starań by przeszkodzić koronacyi,
 Niedopusz kosztom twęj sławy cieszyć się rywalce twojej."

Wysłuchawszy takiej mowy Kaicei wciąż wesoła,
 Zdjęła z szyi piękny brylant i podała go Manturze,
 Rzekąc: „wieści twe Manturo! sercu memu raczój drogie,
 Za co jako dowód prawdy upominek cenny daje.
 Między Ramą a Barathem ja różnię nieznam żadnej,
 I szczęśliwam że król ojciec na tron dziś Ramę poświęci.
 Większej nad tę przyjemności nieby mi niemogło sprawić,
 Że król syna na tron wiedzie Ramę, skarb szlachetnej siły."

ROZDZIAŁ VII.

Odpowiedź Mantury.

Tęj nierada odpowiedzi brylant ony wielkiej ceny
 Rzuci sługa zła o ziemię słowa miecąc obelżywe,
 „Jako głupia ty się cieszysz otoczona podłą zdrałą,
 Więc nie widzisz że cię czeka straszne morze trosk i nędzy.
 Niechże cię wąż podły gryzie, głupia, nędzna, nierozważna,
 Która próżno ostrzegana na wywrot rzeczy wciąż widzisz.
 Więcej twą rywalkę cenię Kauzalię której Rama
 Po przebyciu szczęsnej nocy w Puscio wstąpi na królestwo.
 O! ty głupia bez szacunku siebie samej będziesz sługą,
 Szczęsnej chwałą Kauzalii podniesionej do wielkości,
 Jakże wielką, jak uczczoną będzie Ramy młoda Sita.
 Jakże nędzną i wzgardzoną będzie siostry twojej córa."

W ciągu mowy tej Mantury zasmucona z jej przyczyny, Kaicei wciąż spokojna cnoty Ramy rozważała, Sprawiedliwy, ojcu wierny, błogosławion, szczery, czysty. Rama pierworodny króla zaczby nie był godnym tronu? On opiekę nad rodzeństwem niech rozciąga w późne lata, I radością nas weseli żony królewskie i matki. Rama o lotusa wzroku równo wszystkim miłościwy, Mnie szczególnież okazywał przed innymi cześć powinna. Nawet mogę wyznać więcej niż twój matce Kauzalii Niema w wielkodusznym Ramie nienawiści ni pogardy. Przeto niebądź mi złyj myśli słysząc o wybraniu Ramy. Po najdłuższych lat upływie kiedyś równie i Baratha Rządy państwa weźmie w dłonie z porządku jak nań przypada. Cóż tak smuczysz się Manturo! w chwili poświęcenia króla, Która dla mnie radość niesie i najszczęśliwszą mnie czyni? Usłyszawszy to Mantura gorące wyda westchnienie, I odpowie Kaicei: „głupia co niebaczysz na się I nie widzisz żeś wepchnięta w niezgłębioną przepaść nędzy, Jeśli Rama będzie królem, potomkowie jego po nim Syn po synu i tak dalej, a Baratha wyłączony. Nie wszyscy bowiem synowie królewscy na tron wstępują. W pośród mnóstwa jeden tylko z prawa bywa poświęcanym. Inaczejby nieporządek wielki w państwie zapanował, Gdyby wszyscy jednakowe prawo mieli do następstwa. K'temu to, wesóło moja! pierworodnym rząd przysłuża, Obdarzonym w wielkie cnoty, albo wszelkiej cnoty próżnym. I synowie pierworodni zdają synom swym królestwo, Nigdy zasie brat na brata, o tём niema wątpliwości. Tak więc nieznan pozostanie bez rozkoszy panowania Jak sierota opuszczony twój szlachetny syn Baratha. Jeślim weszła w progi twoje to dla dobra twego iście, I ty nie rozumiesz jeszcze, nie pojmujesz też powodu. I po cóż mi dajesz dary za tryumfy twój rywalki, Bądźże pewną że gdy Rama już królestwo to posiędzie, Bez obawy niebezpieczeństw wypędzi z kraju Baratha, Temu wysłan jest Baratha jeszcze dzieckiem w dom stryjowski. Z domowego życia pami idzie miłość wszystkich stworzeń, Rama złączon przywiązaniem z Samitrydą i Laksmanem, Miłość jego dla tych dwojga znaćć wszak całym światu. Jak miłość dwojga Ceszwinów, Laksmanowi będzie błogo, Ale nie to Barathowi, tego spotka okrucieństwo, A już czemu to niepytaj, lecz miéj o tём przeświadczenie. Syn twój z państwa wypędzony w jednym lesie znajdzie schronę. Las przytulkiem dla Baratha i to może co najlepsze; I czyżby nie było godniej żeby państwa objął rządy? Jaktó mógłbyż syn twój młody, Ramy nieprzyjaciel z rodu, Żyć zdaleka zubożony zostawiając wszystko bratu? Tobie jednéj to przystało ocalić szczęście Baratha, Skazanego na miecz srogi jako słoń dowódeca trzody.

Oskoczony w gęstym lesie od lwa co nań skrycie czycha,
 Od ciebie zależy samą dumną względy Dasaratha
 Od ciebie wciąż pogardzaną od dumnej współzalatnicy,
 Która czyliż niezacięży tobie ninie swą przewagą?
 Rama dziś obrany królem, z synem jutro ty zgubiona,
 Owoż myśl jak znaleźć sposób by syn twój odzierał państwo,
 A przeciwnik jego aby wypędzony był z królestwa."

ROZDZIAŁ VIII.

Narada nad sposobem wygnania Ramy.

Podburzona temi słowy Kaicei, „prawda, rzecz,
 I westchnienie jej gorące z białej piersi się rozkwa.
 Tyś mi prawdę powiedziała moja ty garbusko miła,
 A wszakże znam najczulsze twoje do mnie jednę przywiązanie,
 Tylkoż nie wiem w jaki sposób syn mój państwo objąć może,
 Król nie widzi nic nad Ramę który wszystkie posiadał cnoty,
 Jakżeby opuścił Ramę i bez racyi mego święcił.
 Czyli co na jedno prawie wybrał syna bez przyczyny?”
 Na co chytra wnet Mantura namyśliwszy się po chwili
 Tak odpowie Kaicei w swym zamyśle stała niecnym:
 „Jeśli zechcesz ja to sprawię że wnet Rama wyjdzie z kraju,
 On do lasu, a na tronie dziś poświęci król Baratha.”
 Tedy szczęśna Kaicei wraz z miękiego skoczy łoża,
 Rzekąc: „mówże o Manturo, ty co jesteś tak obrotna
 Jak Baratę wznieść na państwo, Ramę wysłać na wygnanie.”
 Zagadniona od królowej zbrodniarka na zgubę Ramy
 Odezwie się nie czekając: „powiem tobie w jaki sposób,
 Dnia pewnego w czasie wojny Dewow i Aturow jeszcze,
 Twój małżonek niezwalczony ogłoszon był panem Dewów,
 I odjechał walczyć w stronach południowych przy Dandaci,
 K'sławnym murem Yaygajanta, kędy rządził państwem owy
 Który na znak nosi straszną na niebiosach błyskawicę
 Przeciw mocnemu Asura zwanemu imieniem Sambro,
 Mistrzowi sztuk czarodziejskich od bogów niezwalczonemu,
 Który potężnemu Indra ważył się postawić czoło,
 W tej zaciętej walce ranę król otrzymał niebezpieczną,
 A gdy k'tobie wrócił z boju, tyś mu ranę opatrzyła,
 Za co wdzięczny dwa podarki jakie zechcesz służyć tobie,
 Tyś zaś rzekła: gdy przyniosę przed majestat dwa żądania,
 Czyliż zgodzisz się wypełnić, na co król przyzwolił chętnie.
 Jam nie była przy tém świadkiem, tyś mi sama powiedziała;
 Żądaj więc od męża twego dopełnienia obietnicy:
 Pierwsze królestwa Baratu, drugie wypędzenia Ramy,
 Przynajmniej na lat czternaście tego żądaj o królowo!

Udaj zřęcznie zagniewaną wchodząc do izby wzgardzonych,
Połóż się na gołej ziemi odziana w szaty najlichsze
I na króla nie spojrz wcale ani daj żadnego znaku,
Jak niewiasta opuszczona, pogarłzona, nieszczęśliwa.

Król wzruszony twą boleścią będziec starał cię pocieszać,
Wtedy żądaj o królowo dopełnienia zobowiązań.

Wiem jak jesteś królu drogą, o tćm pewno nikt nie wątpi,
On dla ciebieby poświęcił choćby nie wiem jakie szczęście,
Gdybyć ofiarował perły, złoto, kosztowności cenne,

Ani zważaj na to, proszę, aż gdy powie żeć dotrzyma

Słowa, że żądania twoje dwa jakie chcesz zsspokoi,

I podniesie cię ze ziemi, on sam twój małżonek prawy,

Wtedy piękna żądaj śmiało dwóch przyrzeczeń dopełnienia,

Wygnańia Ramy do czasu i poświęcenia Baratha.

Przypomnij mu obietnicę czasu wojny przeciw Dewom,

I żądaj królowo, żądaj, nie ustępuj aż wykona.

Syn twój o! szczęśliwa wtedy osiągnie najwyższą władzę,

I na lat czternaście Rama pójdzie w lasy na wygnanie,

A gdy wróci po upływie lat czternastu z lasów Rama,

Już Baratha się utwierdzi na królestwa tego tronie,

Ludzi sobie łatwo skłoni skarbów pan złączony z losem,

Pojmujesz niewiasto słaba jakie będzie szczęście twoje.

Serce króla nie dopuści abyś cierpieć miała wzgardę.

Ni widoku twego gniewu, prędzej życie on poświęci.

Ani on dość siły nie ma, by się oprzeć twemu słowu,

Jestem pewna o królowo! iż masz króla w swojej władzy,

Rzucaj więc obawę wszelką, a ująwszy króla silnie,

Odwróciś myśl tego starca od dzisiejszej koronacyi."

 Za niegodną taką radą Kaicei zły Mantury,

Sądząc wszystko pożytecznem co było szkodliwem w rzeczy,

Oślepią w lesie złęgo straciła pojęcie zbrodni...

W swej młodości Kaicei dopuściła się obrazy

Jednego z wielkich Braminów, nie poczesnej dość postawy,

I od niego nieszczęśliwa była w ony czas przekłętą;

Próżna, pyszna wdzięki swymi jakoś Bramina zelżyła,

Znajdziesz w ciągu życia swęgo wstyd i wzgardę na tćj ziemi.

Obciążona tćm przekleństwem wpadła we sidła Mantury,

I jakby szczęśliwa nędzna uściskała swą służebną,

I radością przepęfniona w te się k'nięć ozwała słowa:

„Wielbię rozum twój Manturo! niewiasto dowcipnej rady,

O! garbata nad cię niema większej równie doświadczonej,

Tyś mi jedna najwierniejsza, stała, szczęścia mego żadna,

A bez ciebie o garbata, czyżbym zdradę rozeznała.

Brzydęcy są garbaci wszyscy i nieprzyjemnej postawy,

Lecz ty jesteś tak mnie miłą jak lotusa kwiat schyłony.

Twoja pierś okrągło spada i twarz twoja dziwnie piękna,

Łono twoje jakże wdzięczne, biodra pełne i nadobne,

Nogi twoje są wyniosłe i małeńkie twoje stopy.

Razem z Indrą ich księżciem, słucho miesiąc, słońce, gwiazdy,
 Eter noc i dzień słuchają, i wszystkie ciała niebieskie.
 Słucha świat, ziemia Raksasy i Gandarwi królu wielki,
 Nocne larwy i domowe bogi w cieniach domów skryte.
 I wszystkie drugie stworzenia słuchają słów wyrzeczonych:
 Oto król wszechrzeczy znawca wierny w swoich obietnicach,
 Najprzytomniej mnie obieca dwa wypełnić me żądania,
 Słuchajcież je mnie przychylni na wysokim niebie bóstwa”.

Tak królowa gdy związała przysięgami strasliwemi
 Stalowego bohatera, w ten się sposób ozwie k'mężu:
 „Łask rozdawcy Dasarcie zaślepiemu od miłości:
 Dnia pewnego w czasie wojny wielkiej Dewów i Asurów,
 Rady ze mnie ś ubowałeś dwa wypełnić me żądania,
 Dwa żądania te o królu zechciejże wykonać dzisiaj,
 Te przybory uroczyste któreś czynić rozporządził
 Błagamé aby na Baratha poświęcenie posłużyły,
 Rama zaś by odszedł w lasy odziany w szaty łykowe,
 I z włosami zwieszonemi na czoło jako pustelnik.
 Oto są żądania moje, których błagam dopełnienia,
 Jeśliś zdolen zdzierzeć słowo, rychło wypraw Ramę w bory.
 I niech będzie poświęcony twym następcą mój Baratha.”

Ranion w serce temi słowy, król strach poczuł w całym sobie
 Włosy mu się najeżyły, jak jeleniu przed tygrysem,
 I omdlały od boleści, upadły na duchu cały,
 Na nagiej odpoczął ziemi, rzekłszy „och obrzydła sprawo,”
 I tak leżał rozciągnięty, w osłupieniu bezprzytomny,
 Przeszyty słów tych strzałami, a po czasie wzięwszy zmysły,
 Smutny, gniewny i goryczy pełen, rzekł do Kaicei:
 „Sroga, dzika, niegodziwa, powiedz coć uczynił Rama,
 Com uczynił ja ach powiedz? Rama któryć cześć oddaje
 Większą niżli matce własnej, czemu jego pragniesz zguby?
 Na nieszczęście méj rodziny tyś do mego weszła domu,
 Pewny że królowną biore, zmijem pojał jadowitą;
 Kiedy cały świat żyjący Ramy cnoty opowiada,
 Jakiż znajdę pozór nędzna, żeby go opuścić nagle,
 Samitrę i Causalę tron i życie rad opuszczę,
 Ale nigdy, nigdy Ramy najtkliwszego ku rodzicu.
 Radość serce mi podnosi gdy rozważam jego cnoty,
 I gdyby mi przyszło stracić Ramę z oczu mych na chwilę,
 Zmysły moje, władze duszy w téjby chwili mnie odbiegły.
 Może być świat bez podstawy, bez deszczu mogą być ziola,
 Lecz bez Ramy Dasaratha straciłby żywota siłę.
 Ale doś zostaw nieszczęsna nierozsądne twe żądania,
 Oto u stóp twoich składam w prochu głową, miejże litość!”

I głęboko poszarpany okrutnemi w duszy słowy,
 Jako buhaj silno-barki obskoczony od tygrysa.
 Twarz miał dziką, pomieszaną i spojrzenie pełne trwogi,
 I tak pan i dziedzic świata i opiekun nieszczęśliwych

Ugodzony ciężko w serce, padł przed nędzną Kaicei
Obejmując dłońmi stopy i wciąż wtórzając „miejże litość”.

ROZDZIAŁ X.

Żale Dasaratha.

W stanie tym niezasłużonym Dasaratha przed królową
Jakby błagał o nagrodę za chwalebne czyny swoje,
Yayaty z nieba upadły, głos usłyszał Kaicei,
Słowa złe i niegodziwe, udręczony od boleści:
„Byłeś ty wielbionym zawdy jako szczerzy, wierny w słowie,
Czemuż dziś się mienisz przyrzekłszy mi dać swe łaski;”
A na to król Dasaratha rozgniewan, westchnąwszy szczerze:
„Dobrze więc po śmierci mojej Rama pójdzie w ciemne lasy,
I będziesz uszczęśliwioną, o niegodna z niewiast rodu,
Ależ gdy mistrzowie święci w zasadach Wedów ćwiczeni
Gdy o Ramę zapytają, jakąż onym dać odpowiedź?
Jeśli prawdę im wyjawię że byle się przypodobać
Kaicei wypędziłem Ramę, będę wyśniewan odeń,
Otóż pięknie rządził krajem głupi Dasaratha rzeką,
Który wdzięki uplątany pierworodnego porzucił,
Najmilszego swego syna; natrzasać się ze mnie będą
I wzgardzony od tych mędrców nie znajdę nigdy spokoju,
Ani szczęścia jak na ziemi tak w pogodnym drugim świecie.
Rama dziecię me szlachetne w wszelkie cnoty ozdobione,
Miałże sobie przeznaczonym ojca złego okrutnika,
Poddanego jednej z niewiast, dotąd przez mistrzów tajemnie
W przemiany do świętych praktyk miałżeby mój syn dojrzał
W wieku radości właściwym pędzić lata w dzikim lesie,
O! zaiste prędzej umrzeć jak los taki mu przeznaczyć.
Tego pragnę z całej siły i śmierć jako łaskę przyjmę.
Jakże mógłbym, o okrutna, powiedzieć słodkiemu synu,
Godnemu szczęścia, miłości, ozdobnemu w wszystkie cnoty,
Idź wygnaućże w ciemne lasy, hańba na mnie i wstyd wieczny
Od niewiasty związanego bezsilnego i nędznika
Za czyn taki w obec świata czeka mnie hańba bez miary.
I wzgarda od wszystkich stworzeń jako bezbożnemu mężu.”
A gdy król tak szerzył zale, słońce na zachód przebiegło
I noc nadeszła przeciągła, a choć król od trzech dni czuwał,
Noc ta w żalach przepędzona zdało się że sto lat trwała,
Długie wydając westchnienia, oczy do nieba podniosłszy
Dasaratha król sędziwy rozpoczynał słabe zale:
„Jakżeś sroga Kaicei, gdy mnie tak doświadczasz ciężko;
Dla próżności panowania odepchnięty i od ciebie
Życie przyjdzie mi zostawić. O! Ramo! o synu miły,

Sprawiedliwy przywiązany i mistrzu świętych radości,
 Mogęz ja pokrzywdzić ciebie Ramo z własnem przyzwoleniem.
 O nocy, ludzkie cierpienia i wszech stworzeń łagodząca!
 Oto ja nie pragnę dzisiaj widzieć zorzy twój o nocy,
 Nocy, błagam wznosząc dłonie, spiesz się, wracaj co najprędzej,
 Widzieć nie chcę tój bezbożnej morderczyni męża swego.”

A gdy ulżył nieco sercu z prośbą znów się chyląc nizko
 Pokłon złożył przed nędznicą i na inną począł nutę:
 „O! przedziwna, o szlachetna, zbaw nieszczęśliwego starca,
 Którego umysł się mięsza; oto błagam twej pomocy,
 Bądźże dla mnie litościwą, a jeśliś to uczyniła
 Ażeby starca probować, wiedz że taki jest mój zamysł,
 Niewiasto słodkich uśmiechów, we wszem być poıldanym tobie;
 Wszystko co chcesz tobie oddam, wszystko, nawet życie własne,
 Prócz wygnania Ramy w lasy; porusz się litością dla mnie:
 Otom czolgał się i prawil jak człowiek pozbawion zmysłów.
 Przebacz o piękna obawom błagającego pomocy.”

Modlona w sposób takowy od rozzałanego króla,
 Tonącego we łzach własnych, nie wzruszyła się zbrodniarka,
 I król począł błagać wtóre w swoją patrząc miłośnicę,
 W tę przyczynę wypędzenia cnotliwego Ramy z państwa,
 Zasmucony nędzny cały i w prochu się tarzający.

ROZDZIAŁ XI.

Złośliwość Kaicei.

Nieszczęśliwemu królowi krzwydę syna cnotliwego,
 Jak pozbawionemu zmysłów drżącemu na ziemi nagiej,
 Tak odpowie Kaicei: „Czemu leżysz królu w prochu
 Jakbyś zbrodnię jaką spełnił, przyznając mi coś obiecał,
 Nie chceszli być wiernym słowu? Zuawey obowiązków człeka
 Mówią, iż prawda przed wszystkim jest obowiązkiem najpierwszym
 I z tój właśnie znając ciebie zażądałam com żądała.
 Szywa władza ziemi całej zapewniwszy, jak wieść niesie,
 Życie biednej gołębicy, dopełnił danego słowa,
 Własne za nią dając ciało i tak odszedł w górne niebo;
 Ocean, rzek władza wielki, ściśnięty w swoich granicach
 Dochowując swęj umowy nie przechodzi brzegów lądu,
 Choć tak szalony i groźny; król Alarko sprawiedliwy
 Na prośby Bramina enego, oba oczy wydarł sobie
 A oddając komu przyrzekł, odbiegł na powietrzne trony:
 I czemużbyś wierny słowu, dawszys mi swą obietnicę
 Nie miał jęj dopełnić ninie jak człek próżny i nikizemny?
 Wyślij oto syna w lasy, a gdy uie dotrzymasz słowa,
 W twoich oczach Dasaratha życie ja odbiorę sobie.”

Tak związany przez Kaicję kajdanami oszukaństwa,
 Jak onego dnia przez Wisznu powiązany został Bali,
 Nie mógł je rozbić król stary i został obłądnoki
 Z twarzą całą odmienioną, wstrząśnion na duszy i ciele,
 Żalosciwy nad pojęcie jako bydle obuczzone,
 Obarczone nad swe siły, upadłe pomiędzy koła;
 Alié wznosząc się z upadku i rzucając wzrok gniewliwy
 Na Kaicei, odpowie: „Przekleństwo na głowę twoją
 Zbrodniarko! ty niegodziwa, opuszczam ciebie kłamczyni;
 Żadnej odtąd z tobą sprawy nie mam, podła, władzy chciwa;
 Rękę twoją którąm ściskał w uroczystym dniu zaślubin,
 Ja odrzucam i z twój winy odrzucam Baratha równie,
 Acz niewinny w zbrodni twojej.”—Tymczasem noc ciemnaprzeszła
 Bieg odbywszy swój po ziemi, a gdy zorze zabielały
 I Sumantra przyszedł bramę pałaców króla utworzyć,
 I przed królem z czecią należną te wesole wyrzekł słowa:
 „Ustąpiła noc jasności, królu! bądźże nam szczęśliwy,
 Wstań, o panie dobrych ziemian w radości i wspaniałości.
 Jako na pełnią miesiąca ocean podnosi wody,
 Tak ty królu miłościwy pełen cnoty i powagi;
 Jako cieszą się wielkością swoją piękne światła ziemi,
 Słońce w blaskach śród eteru, miesiąc Indra i Waruno:
 Tak ty ciesz się panie Ludów.”... Słyszac król te szczęsne słowa
 Cnego barda wesolego, tak z boleścią mu odpowie:
 „O! Sumantra wieszczku dobry, komuż tę oddajesz chwałę,
 Która mnie nieszczęśliwemu, ahl zaiste nie przysłuza
 I twe słowa większej jeszcze dodają sercu boleści.”

Więc Sumantra wnet wstydlivy dalszej zaniechał rozmowy
 A zbrodniarka Kaicei zwróciła do króla mowę,
 Bodzca mu dodając słowy: „Jakże próżne rzekłeś słowa
 Jako z gminu prostak lichy; przyzwijé rychléj Rama k'sobie,
 I wysyłaj go dziś jeszcze na wygnanie w głuche lasy;
 Jeśliś wierny obietnicy, moje wypełń wnet żądanie,
 Na wahania to nie pora, niedołęztwa i gnuśności,
 Rama wygnan, syn mój wzniesion na następstwo twego ronu
 I ja wolna od rywalki, a trosk wszelkich będziesz wolen.”

Król dotknięty temi słowy jako słoń od ostrój dzidy
 Tak się ozwał do Sumantry: „otom związany memi słowy
 I w mój duszy wstrząśnion cały, pragnę rychło ujrzeć Ramę,
 Śpiesz a przywiedz syna do mnie.” Kaicei zaś dodała:
 Idź a przyzwijé owdzie Ramę niech się w przyjściu nie opóźnia.”
 Pobiegl więc Sumantra spiesznie ogładając się za siebie,
 Gdy w przedsiónkach stało liczne zgromadzenie ziemi książąt,
 A za bramą starcy ludu i domowi téz kapłani.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Ś. p. Sainte Beuve. — Obecny stan Irlandyi: „Rzeczywistości z życia Irlandzkiego” (Realities of Irish Life) przez pana Stenart Trench. — (Londyn i Paryż 1869). — Wiadomości literackie.

Nowa żałoba literacka we Francyi: pan Sainte Beuve zmarł 13 października w sześćdziesiątym piątym roku życia.

Sainte Beuve był jednym z ostatnich reprezentantów epoki; wchodził on do składowej wielkiej całości, złożonej z mężów stanu, mówców, poetów, artystów, którzy razem pojawiali się we Francyi po upadku pierwszego cesarstwa. Sainte-Beuve ma widoczne miejsce w tej falandze: był on największym z nowoczesnych krytyków Francyi, jak Berryer był jej najpierwszym mówcą, Lamartin i Hugo jej największymi poetami, Ingres i Delacroix jej największymi malarzami. To też znikając dzisiaj, unosi z sobą resztę tej pamiętnej ery, podkreśla czarną kresą koniec czasu przeszłego.

Żal tém większy, że to nietylko chór nieśmiertelnych artystów schodzi ze sceny, ale sposób pojmowania rzeczy, widzenia ich i uczucia: to całe jedno piśmiennictwo przemija.

Sainte-Beuve, był jednym z ostatnich literatów w dawnym znaczeniu tego słowa. Już nie ma pisarzy zajmujących się *wyłącznie* rzeczami umysłowemi, wypowiadających je z nauką i wdziękiem. Chcielibyśmy się mylić, ale nam się zdaje, że w przyszłości pióro będzie służyło mianowicie dwom klasom ludzi: spekulantom i bawicielom: po jednej stronie liczby, po drugiej kasty.

Sainte-Beuve, zaczął swój zawód literacki od rymotworstwa. Chciał on wprowadzić do Francyi nowy rodzaj poezyi. Zasmakowawszy w poetach angielskich opisowych i poufnych, jak Cowper Coleridge, Wordsworth, chciał skłonić Francuzów do szukania poezyi prostej wszechrzeczy, która zewsząd wychodzi, byleśmy mieli oczy do jej widzenia, a duszę do jej pocucia, Sainte-Beuve

choć znaleźć środek pomiędzy podniebnym a poziomym lotem poezji. Było to piękne pragnienie, sprawiedliwe poczucie. Ale poznać a wyrazić, to dwoje. Sainte-Beuve nie był poetą. W jego wierszach nie ma śpiewności, harmonii, nie ma ani wymowy ani zapału. Czuł to sam, i ocenił swoje poezye temi słowy: „Byłem dość blisko szczytu, alem go nie przeszedł. A we Francyi przejść go trzeba.”

Sainte-Beuve był całe życie dziennikarzem, niczem innem. Wszystkie prawie jego dzieła są zbiorem artykułów. Był to jego naturalny sposób pracowania. Potrzebował tego bodźca, którym jest natychmiastowe drukowanie. Dlatego też nie znaleziono u autorów bywa. Każdy jego utwór nie przechodząc nawet przez szufladę, z biórka szedł do drukarni. I tak było przez lat *czterdzieści* bez przerwy, bo Sainte-Beuve od początku przystał do drugiego cesarstwa, co mu dąsający się i emigrujący koledzy literaci, gorzko wyrzucali.

Zamach stanu nie otrzymał świetniejszej adhezji literackiej jak przystąpienie Sainte-Beuva. Położono mu to na karb sceptycyzmu i nieufności, która tak łatwo wchodzi w serce tych, którzy przebyli kilka rewolucyi. Ale nie ten był rzeczywisty powód jego cezaryzmu. Liberalizm jest jednem z dwojga: albo rodzajem wiary religijnej, tém silniejszej że młoda, jest potrzebą czynu; albo też skutkiem wiary wyrozumowanej, zaufania w najwyższą moc idei, jest przekonaniem że prawda będąc ostatecznie zgodną z naturą rzeczy, do tryumfu potrzebuje jedynie światła i równości broni.

Sainte-Beuve nie podzielał ani ślepej wiary liberalisty z temperamentu, ani wiary wyrozumowanej liberała-filozofa. Nad miłością wolności, górowała w nim *ludzkość*. Czuł on głęboko cierpienia tłumu, złagodzenie tych cierpień uważał za pierwszy obowiązek, pierwszy interes społeczeństw. Pod wpływem tych wyobrażeń, przystawał na wszelkie inne warunki. Wiedząc o tém, łatwo zrozumieć że jego umysł niepodległy, mógł przyjąć wyobrazenie władzy silnej, nawet dobroczynnej dyktatury, która czerpiąc swe prawa w samej tylko wielkości swego zadania, powiodłaby świat ku tym nowym przeznaczeniom społecznym.

Napaść liberałów francuzkich na Sainte-Beuva, pochodziła z nieporozumienia. Choć popierał rząd cesarski, w gruncie był on człowiekiem co się zowie liberalnym.

Ale jego rola polityczna małą jest rzeczą w jego biografii: przejście do nieśmiertelności jako krytyk literacki. W tém jego oryginalność i jego niezaprzeczone pierwszeństwo. Jakże daleko przeniósł on Francją od owych czechyich rozpraw teoretycznych, lub jałowych dySSERTACJI o zasługach i wadach pisarzy. Nie wiem czy jaki nowy rodzaj krytyki zastąpi krytykę Sainte-Beuva, ale teraz nie można sobie wystawić sądu dzieł umysłowych pod inną formą jak tą, której wzór zostawił.

Powołanie jego wcześniej się objawiło. Jednocześnie pisał krytyki i wiersze. W 1829 w *Revue de Paris* rozpoczął ogłaszać *Portrety literackie*, które później wydawał w *Revue des Deux Mondes*, a które pierwszą jego manierę stanowią. Ale nie uprzedzajmy wątku.

Sainte-Beuve miał najpierw być lekarzem. W 1826, mając lat 22, mieszkał z matką i chodził na medycynę. Pracował tak gorliwie, że przez cały jeden kwartał nikt prócz niego nie postąpił w jego pokoju. Matka wiele dbała o tę naukę medycyny, jako o rzecz pewną i stałą. On, pół duszy tylko w nią wkładał. Wykład nie zaspakajał go wcale; nie mogąc w medycynie znaleźć pochodni do rozświecenia światła i życia, zaczął pisać wiersze.

Ochoty do pisania wierszy nabrał w Anglii, kiedy się kąpał w Tamizie. Rodzaj poetów angielskich, postanowił koniecznie wprowadzić do Francji. Jednocześnie pisał artykuły krytyczne do *Globu*. Nakoniec, zawezwano go do konkursu utworzonego dla literatury poetycznej XVI wieku.

Zyskawszy pierwszy numer na tym konkursie, Sainte-Beuve poznał się z Wiktorem Hugo. Wyszedł był właśnie drugi tom *Od i Ballad* (1826), Sainte-Beuve miał z nich zdawać sprawę. Oczywiście, chciał pierwaj poznać autora, i poszedł go odwiedzić. Zaprzyjaźnili się od razu. Zażyłość z Hugonem, wywarła wielki wpływ na pierwszą część życia Sainte-Beuva. Młody, gorący, żył wtedy cały dla poezji, przyjaźni, dla rodzącego się romantyzmu. Czas od 1827 do 1830 roku, był dlań jednem pasmem zachwyty, którego ślad pozostał w przedmowie do „*Consolations*”. Stosunek Sainte-Beuva z Hugonem, był podobny do stosunku ucznia z mistrzem w epoce odrodzenia. Uczeń czuł potrzebę pokory, wszystko odnosił do arcy kapłana swęj wiary. Później wyleczony z tego ferworu jak wielu innych, Sainte-Beuve miał sobie za złe, iż tak dalece mógł przestać być sobą.

Od 1830 roku, przyjaźń jego z Hugonem oziębła. Przyczyniła się do tego polityka. Inne uczucia opanowały Sainte-Beuva i rzuciły go w przesilenie, w którym z rozpaczj próbował wszystkiego. Wszystkie pojęcia chwytal, zwracał się do nowych proroków, uczęszczał do Lamennaigo, Lacordaira i t. d. Z tego przesilenia wyszła „*Voluptés*” zbiór potretów z natury malowanych.

Tak więc od 1826 do 1830, dewocya dla romantyzmu w osobie jego wielkiego kapłana: od 1830 do 1836, ustępnamiętności i gorączki; razem okres lat dziesięciu, do których Sainte-Beuve często czynił alluzje i mówił, że wolę własną zatracił skutkiem *oczarowania*.

Mile to zatracenie! Ale niestety, czas taki, czas miłości, trwa najkrócej. Sainte-Beuve pojechał do Lausanny: był to koniec poetycznego rozdziału jego życia. Tam zaczął pisać *Historję Port-Royal'a*, który stanowi początek nowęj jego czynności literackiej.

„*Histoire de Port-Royal*” znaczy ważną chwilę w życiu akademickiego krytyka. Obrany przedmiot pierwszy raz go rzucił w studia historyczne, pozytywne. Nauczył się cierpliwości i ścisłości. Na każdym kroku znajdował trudności i nie uniknął żadnej. W tym monastycznym przedmiocie, wyrobił cały swój umysł. Zarazem wydawał *Portrety społecznych*, które były jego chwałą dopóki jej „*Poniedziałki*” nie rozprzestrzeniły.

„*Poniedziałki*” są nadzwyczajnym dziełem w piśmiennictwie francuzkiem. Dziwią zarówno rozległością jak różnaitością przedmiotów, ogromem pracy i talentu. Wszystko objęte w tych literackich sprawozdaniach: dawni i nowi, najpoważniejsi i najlżejsi, oudzoziemcy i Francuzi, poezya i proza, krasomówstwo i historia. Do tego, mnóstwo poszukiwan oryginalnych, pamiętników złożonych z dokumentów, ciekawe kopaliska w nietykającym gruncie. Nadto, dokładność cyrklowa! Sainte-Beuve przywiązywał wagę prawie chorobliwą do pisowni imienia własnego, do objaśnień i daty. Chciał wszystko widzieć na własne oczy, wszystko sprawdzić.

Od chwili rozpoczęcia, „*Poniedziałki*.” górowały nad jego życiem. Nadobne te artykuły, których dostarczał dziennikom, wyszły wszystkie z celi Benedyktyna, bo tylko z pracą owych zakonników można porównać pracę Sainte-Beuve'a.

Żadnej nie używał rozrywki. Drzwi jego były zamknięte zawsze, wyjąwszy w poniedziałek, dzień publikacji, który dla autora był dniem odpoczynku. Książki potrzebne, gromadzili mu przyjaciele w bibliotekach publicznych. Odczytawszy i zaznaczywszy co wybrał, robił pierwszy rys swojego artykułu: *budował* go, jak się wyrażał. Potem go redagował, dyktując swojemu sekretarzowi. Czasami sam brał pióro, kreślił, dopisywał, zmieniał. Wszystkie skrupuły uczonego i artysty, czuwały w tej pracy, aż do ostatniej chwili. W piątek artykuł był gotowy. Sainte-Beuve odychał swobodnie. Szedł czytać swoją pracę przełożonym pisma, w którym miała być umieszczona. Potem jadł z nimi obiad. Dzieło nie było jednak skończone. Po redakcyi, przychodziła korekta, a nieraz trzech potrzeba było, dla zadośćuczynienia wymagalności autora.

Na korektach przechodziła sobota i niedziela. Wtedy drugi tydzień już stał przed nim.... i trzeba było nowy artykuł szkicować. Tyle to kosztują rzeczy doskonałe i trwałe.

Pracę tę, Sainte-Beuve bez przerwy dokonywał przez lat ośm, z widocznym postępem. Postęp u niego był ciągły, ale powolny, taki jak bywa rozwój każdego wyższego życia. Potrzebował czasu, żeby dojść do zupełnego posiadania swojego talentu. Jednak, z wytężeniem szedł do celu, a jak sumiennie pracował! Ze wszystkich literatów paryzkich, jeden Sainte-Beuve nie poświęcił wyszukiwaniu przemysłowemu, nie nie dał modzie, nie holdował skazaniu dobrego smaku. Do końca pozostał wier-

nym pracy, skrupułom artystycznym, poszanowaniu własnego talentu. Dla potomności pozostał wzorem literata.

Sainte-Beuve zostawił czterdzieści tomów krytyki literackiej, i w tém ogromnym dziele ani raz się nie powtórzył: zawsze miał coś do powiedzenia i zawsze dobrze opowiada, ciekawym, rozsądnym, więcej sceptykiem niż obojętnym, bez cienia szarlatanizmu, krytyk akademicki miał w sobie magnetyzm i światło. Zarzucano mu, iż był niesprawiedliwym. Nam on się wydaje najsprawiedliwszym z tutejszych krytyków. Miał swoje uamiętności zapewne, ale uamiętność, toż człowiek, toż to wyraz jego moralnej natury. Wstręt u Sainte-Beuve'a był najczęściej buntem jego dobrego smaku i uczciwości literackiej przeciw niesumiennym miernościom, roszczeniom wielkim i szarlataneryi. Sainte-Beuve pragnął być sprawiedliwym. Czuł, że każdy sąd jest cząstkowy i tymczasowy, że jedyny sposób doskonalenia go, prostować, dopełniać, powracać do wyroku dwa i trzy razy; mawiał, że każdy człowiek ma swoją prawą i lewą stronę, że trzeba pokazać obie. Ztąd poszło, że robił kilka portretów jednej osoby, ztąd poprawki, noty, przeczenie obok twierdzenia. Na sąd Sainte-Beuve'a, najmniej niezawodnie wpływały względy obce literaturze.

Pozegnaliśmy tę jasną inteligencyą. Wszystko co tu myśli i znaczy, odprowadzało trumnę na cmentarz Montparnasse. Dwanaście tysięcy ludzi szło za karawanem. Skon akademika senatora byłby mniej smutny, gdyby nie przeczucie, że to zarazem skon ery literackiej, gdyby nie myśl, że dobry smak zniknie ze swymi ostatnimi reprezentantami, gdyby nie przeczucie, że monarchije literackie przechodzą jak inne, ustępując miejsca powszechnej mierności. Pod koniec życia, sam Sainte-Beuve czuł się wynarodowiony wśród nowych pragnień i nowych dążeń. Cóż dziwnego, że przy jego zwłokach smutek był wielki w prawowiernej literackiej rodzinie, że pomyślała, iż wszystko umiera, kiedy wszystko tylko się przeobraża.

Paryż żywo się zajmuje sprawą irlandzką, która teraz tak potężne miewa w Londynie manifestacye. Rzecz można, że po burzliwych obrotach polityki miejscowej, ta sprawa najwięcej Francuzów teraz obchodzi.

Cała Europa przyklasnęła aktowi parlamentu znoszącemu kościół Anglikański w Irlandyi; atoli powszechność nie dość zrozumiała śmiałość tego rozporządzenia. Anglia, kraj uważany za 'arcy zachowawczy, i który nim jest rzeczywiście, jeżeli przez ten wyraz mamy rozumieć staranie, z jakim reformami zaburzenia rewolucyjne zażegnuje; Anglia, gdzie prawo własności świętsze niż gdzie bądź, gdzie poszanowanie rozporządzeń testamentowych, fundacyi i praw nabytych, posunięte aż do przesady: Anglia sięga po dobra korporacyi uznanej i silnej, zapoznaje przywileje zaprowadzone wiekami: rozważna Anglia pełna świętego wstrętu do poli-

tycznych abstrakcyj, pierwsza w Europie zrywa węzeł łączący kościół z państwem, i tym sposobem urzeczywistnia najpostępowszy program polityczny.

Żeby tak działać, Anglia musiała mieć uader ważne powody i miała. Ale te powody stwierdzają cechę polityki angielskiej właśnie w chwili, kiedy ta niby najgwałtowniej sobie przeczy. Anglia zniosła kościół swój w Irlandyi, gdyż widziała w tém sposób uspokojenia Irlandyi, gdyż w obec bardzo ważnego interesu polityczno-społecznego, zwykle nakazuje milczenie mniej ważnym interesom. Kościół anglikański w Irlandyi, skasowała nie przez posłuszeństwo wyobrażeniom powszechnym, ale pomimo rządzących nią zwykle zasad. Czyniąc ten krok, Anglia została wierną jedynęj zasadzie absolutnej jaką ma, a tą jest, czynić ustępstwo z zasad dla potrzeb rządu.

Jakaż była potrzeba rządowa w tym razie? Należało dać zadość uczynienie Irlandczykom, a mówiąc dokładniej, odjąć im urazę. Irlandya, chociaż od lat siedmdziesięciu wchodząca w skład połączonego królestwa, nie mniej przeto pozostała krajem podbitym. Gdzie indziej podbój nie daje się już czuć, bo różnice szczepów się zatarły; ale w Irlandyi pierwotny mieszkaniiec nie połączył się z rasą podbójczą, właściciel gruntu pozostał dlań nie tylko bogatym, ale obcym i uzurpatorem.

Pojąć łatwo ile uczucie takie, musiała jątrzyć obecność kościoła urzędowego, należącego do obrzędu mniejszości, kiedy obok tego trzeba było utrzymywać swój kościół.

Zniesiono więc ten kościół, ale jego zniesienie nie rozwiązuje kwestyi irlandzkiej. Dno tej kwestyi wskazujemy. Stoją tam w obec siebie dwa szczepy, z których jeden jest właścicielem, a drugi uważa się za wydziedziczony. Chodzi o to, żeby wiedzieć do kogo należy grunt? Chłop, który uprawia go od wieków, wyobraża sobie że ma doń prawo. Nie posuwając się aż do zaprzeczenia tytułu właścicielowi i odmówienia mu opłaty czynszu, nie pozwala posiadaczowi rządzić dowolnie, skupiać lub rozdrabniać pole, zmieniać uprawę, lub odprawiać dzierżawców. Dzierżawca irlandzki wyemigruje do Ameryki jeżeli trzeba, ale w Irlandyi on nie wyrobnik szukający najkorzystniejszego zarobku: to rolnik dobrowolnie przywiązany do gleby, niechęący się z nią rozłączyć, uważający za prawo zwyczaj ziemi z której opłaca. W razie potrzeby, broni tych przywilejów gwałtem.

Z tego widać jak mało rozwiązanie problemu duchownego, posuwa rozwiązanie kwestyi zasadniczej. Chodzi tam o prawa własności; walczą z sobą interesa pana gruntu, który chce robić co mu się podoba, i interesa dzierżawcy, który skutkiem tradycyi, zwyczaju, przesądu, pretenduje do części własności w kształcie *wieczystej dzierżawy*.

Jak z tego wyjść? Pytanie żywotnie dziś zajmujące całą Anglią i Francją. Zniesienie kościoła dało otuchę irlandzkiemu chłopu: pierwsze ustępstwo wydaje mu się zakładem innych.

Jeżeli—mówi—Anglia przestraszona *fenianizmem*, zrzekła się praw odwiecznych, ozemuzbry od niej nie można było więcej wytargować? Czy ją jeszcze straszyć mamy? Nie łatwiejszego! I tak myśląc, Irlandczyk morduje właściciela lub jego agenta.

Faktem jest, że nigdy gwałty nie były liczniejsze w Irlandyi jak teraz. Pełno zbrodni zuchwałych, bezkarnych. Jednocześnie, propozycje kompromisów się mnożą. Anglicy oswajają się z myślą ofiarowania właścicielom irlandzkim, odkupu części ich przywilejów. Przyszła sesja parlamentu pewno uchwali coś w tym przedmiocie. Gladstone honorem ręczy, że nie zaniecha przedsięwziętego dzieła. Oczy Zachodu zwrócone ku wielkiemu zadaniu. Wszyscy czytają chciwie publikacje rzucające światło na stan Irlandyi i charakter jej ludności. Jedni gromadzą fakta w grube tomy, inni w broszurach dają projekta reform ekonomicznych lub politycznych. Niektóre dzienniki paryżkie wysłały na miejsce swoich agentów, dla naoczuego zbadania rzeczy. Wszyscy mówią, że nędza w Irlandyi, zuchwałstwo z jakim mnożą się tam zbrodnie, niemoc praw w doświadczeniu zbrodniarzy—są na Wielkiej Brytanii plamą, z której koniecznie obmyć się powinna.

Z mnogich publikacyj jakie tu w ciągu ostatnich kilku miesięcy pojawiły się o Irlandyi, najwięcej zajął publiczność tom wydany w Londynie pod tytułem: „*Realities of Irish Life*” (Rzeczywistości z życia irlandzkiego) przez pana Stenart Trench. Niebawem przełożony na francuzkie, zapełnił niemiejącym po angielsku brak zajmującej poważnie książki nowej francuzkiej. Autor spędziwszy życie na zarządzie ziemi kilku wielkich właścicieli irlandzkich, nabył dokładnej znajomości kraju, i poczytał sobie za obowiązek wykazać faktami z jakim ludem Anglia ma do czynienia. Jestto *pamiętnik* człowieka czynu, zdaje się stworzonego do trudnego zawodu, jakiemu się poświęcił. Trench jest sprawiedliwy, odważny, nawet przywiązany do ludu z którym jednak w ciągłej pozostawał walce. Wielki dowód wyższości nie rozpaczając o narodzie, którego się zna wszystkie przywary.

Książka Trench'a niema cechy politycznej: autor nie podaje żadnego planu pacyfikacji; poprzestaje na opowiedzeniu tego co widział, co *przeżył*. Opowiadania jego są tak wierne, tak nowe rzucają światło na charakter irlandzki, tak są dramatyczne, że się to czyta jak nadzwyczaj zajmujący romans.

Pan Trench musi mieć dzisiaj około lat pięćdziesięciu sześciu. Pochodzi z możnej rodziny: ojciec jego był bratem lorda Ashtown i miał znaczny majątek. Ale Trench będąc synem młodszym, musiał wybierać sobie stan. Opowiadanie zaczyna od swoich czasów szkolnych. Z pensyi, Trench poszedł na uniwersytet do Dublina, a po skończonych naukach obrał zawód trudny, ale wiele przynoszący, rządzący dóbr.

W kraju jak Irlandya, gdzie właściciele w dobrach nie mieszkają, a z rozdrobnionej ziemi trudno wybierać dochody, każdy wielki pan ma zaufanego rządcę. Zowią takiego człowieka: agentem. Wszędzie musi on być uczciwy, czynny i bystry; w Irlandyi musi nadto mieć zimną krew, nadzwyczajną energię i odwagę, potrzebną do narażania się na największe niebezpieczeństwa. Wszystkie te zalety, Trench posiada w wysokim stopniu. Występuje to z jego *pamiętnika*, którego głównym powodem dzielność autora.

Ożeniony młodo, osiadł z żoną w hrabstwie Tipperary, najburzliwszem w Irlandyi. Towarzystwa tajne spiskowały tam na wyścigi. Nie jeden rządcą padł pod nożami morderców... Do stołu nawet siadano z nabitymi pistoletami. Niemożność pojmowania winnych w kraju, gdzie nikt świadczyć nie chciał, rozczuchwiała złoczyńców. Jeden jednak został pojmany i stracony. Groza przywróciła na chwilę spokój okolicy.

Taka była szkoła w której Trench sposobił się do przyszłego urzędu.

W r. 1843 został agentem pana Shirley, bogacza który był właścicielem połowy baronii Tarney w hrabstwie Monaghan. Dochodu miał 20,000 funtów szterlingów (milion złotych), ale ziemia była rozdrobniona, stąd mnóstwo dzierżawców nie płacących.

Tu dotykamy jednej z największych trudności kwestyi irlandzkiej. Dzierżawcy mają dużo dzieci, a kiedy które idzie na swoje gospodarstwo, ojciec mu odstępuje część zadzierżawionego gruntu: tyle żeby miał na czem zbudować nędzną lepiankę i zasadzić zagon kartofli.

Właściciele długo nie zwatali na niedogodności takiego rozdrabniania gruntów, zbyt długo; w końcu obszerne włóci rozkruszyły się pomiędzy rój mieszkanców ubogich, niezdolnych płacić należności, która częstokroć nie przechodziła dziesięciu franków. Nie płacąc, rościli atoli prawo do zajmowania swojego miejsca. To uczucie, jak powiedzieliśmy, miesza się tam z nienawiścią do właściciela, jako intruza a w dodatku heretyka. Płacący dzierżawca zawsze protestuje, zawsze mu się zdaje że płaci zbyt wiele, bo myśli że niesprawiedliwie. Dlatego chętnie unika płacenia, często kilka lat winien, a kiedy w końcu pan go wypędzi, zdaje mu się że padł ofiarą niesprawiedliwości i mści się morderstwem.

Przybywszy do dóbr pana Shirley, Trench ledwie nie został rozszarpany przez dzierżawców rozwścieklonych na dziedzica. Poprzedni rządcą nie był popularny: chlopi zwali go tyranem. Skoro umarł, zapalono weselne ognie na wzgórzach. Zawiadomieni o przybyciu nowego rządcy, zgromadzili się tłumnie celem żądania od dziedzica zmniejszenia należności. Nagle zaskoczony Trench odłożył sprawę do poniedziałku. W ów poniedziałek przeszło dziesięć tysięcy ludzi stanęło przed domem rządcy.

Trenchowi polecono, żeby oznajmił dzierżawcom, iż dziedzic na ich żądanie nie przystaje. Skoro wyszedł, tłum kazał mu wejść na krzesło żeby lepiej słyszano co powie. Mowa jego była ładna i zgodna; ale zaledwie wieśniacy znaczenie jej zrozumieli, ozwał się mruk niby stu rozjuszonych niedźwiedzi. Wtém, głos powstał w tłumie: „Na kolana dzieci! na kolana! jeszcze raz poprosimy go na klęczkach!” A taka tam powaga patryarchów, że wnet cały ten tłum posłuszny starcowi, padł na kolana, wyciągając ręce do zdumionego, rozczulonego i przejętego zgrozą rządcy.

Zeskoczył z krzesła i pobiegł ku nim błagając, żeby powstali, a potem usiłował przecisnąć się do domu... Ale go obkoczyli klęczący, chwyтали za szaty i jeszcze błagali. Skoro pozostał niezmienny, baranki na raz przedzierzguęli się w wilków. Szarpiąc, bijąc i łącz straszliwie, pędzili go do pałacu, gdzie mieszkał dziedzic. Suknie wnet opadły z niego, podarte na szmaty. Najlepsi w tém zebraniu poczuwszy mord, odeszli. Przybyło kilku policyantów, ale niczem była ich pomoc w obec takiego tłumu. Nieszcześnie Trench mniemał, że wybiła jego ostatnia godzina...

... „Byłem—powiada—w ręku najgwałtowniejszych; otrzymałem tyle razy, że m się czułem wyczerpany, a czułem że jeżeli padnę, będę zdeptany. Zaząlałem więc żeby się zatrzymano trochę, bo chcę odetchnąć. Nie zapomnę nigdy téj chwili. Byłem o jakie pół mili od miasta, na drodze wiodącej do pałacu. Obejrzałem się w koło, szukając czy nie spotkam jakiej przyjaznej osoby, która moim opowie jak umarłem. Ale próżno szukałem. Wzgórza pokrywała czern ludu; droga jak mrowisko się roiła; w około mnie sami wściekli ludzie spragnieni krwi mojej.

„Widząc iż daremnie usiłowałbym rozczulić moich prześladowców, ruszyłem dalej z nimi w drogę, zdecydowany stawić się hardo aż do końca, gdyż najmniejsze osłabnięcie byłoby moją śmiercią. W téj chwili uczułem przy sobie kogoś co mnie wspiera i szepce mi do ucha: „Łakną krwi twojej, ale bądź odważny, pierwój moją wypiją.” Ten co tak mówił, uchwycił mnie za ramię i podpierał idąc obok. Tłum, ujrawszy to, wnet nas rozdzielił i zbił straszliwie mojego nieznanego przyjaciela... Znowu sam pozostałem. Szedłem z gołą głową, obnażony do pasa.. ledwie się włokłem... czułem że padnę. Zatrzymałem się więc znowu i kazałem się zaprowadzić do żywo-plotu przy drodze; tam, oparłszy się plecami, patrząc oko w oko tym, co mnie mordować mieli, rzekłem: „Nie mogę iść dalej. Poczście mnie tu przywieźli? Czego chcecie odemnie?”

— Chcemy pomniejszenia czynszu!—krzyknęli—czy przyrzekasz otrzymać to dla nas?

Są chwile niebezpieczeństwa, w których w jednej sekundzie całe położenie staje człowiekowi w oczach. Trench był w takiej chwili. Poczawszy się sam jeden pośród dziesięciu tysięcy wrogów pragnących go rozszarpać, zrobił ostatnie wysilenie. Mając nadzieję

że ta zgraja może wyrazić żądanie, któremu będzie mógł zadość uczynić, rzekł spokojnie:

— Jakiego pomniejszenia żądacie?

— Połowę tego, co zwykle placimy.

— Jeżeli tak, to niema co gadać. Tego nigdy wam nie przyrzeknę.

Jak nie uwielbiać człowieka, który nawet niewinném kłamstwem nie chce sobie ocalić życia. Nastąpiło głębokie milczenie. Żelazny Anglik stał przed nimi nagi i bezbronny, oni mieli w rękę pałki potężne. Irlandya patrzyła Anglii oko w oko....i... zachwiała się. Jedna potężna indywidualność, złamała dziesięć tysięcy rozjuszonej czerni. Nikt nie śmiał zadać pierwszego razu. Trench poczuwszy że przy nim wygrana, od razu doznał sił przybytek: krew mu do serca i skroni przyplłynęła. Milczenie trwało. Wtém, głos jakiś zawołał: „Dzieci, rozstąpcie się. Niech mu nikt krzywdy nie robi, to człowiek sprawiedliwy!”

I wnet go otoczyły inne twarze; poskoczyli ku niemu ludzie, porwali na barki, dali napić się wody i do pałacu nięśli napój omdlałego. Tu znowu nowi przyjaciele kazali Trenchowi wejść na krzesło. i przemówić do ludu przed pałacem. Uczynił jak chcieli. Powiedział słuchaczom, że ich nigdy nie skrzywdził; że takie obejście z obcym człowiekiem to podłość, do której nigdy nie przypuszczał zdolnymi Irlandczyków... Słowem, czynił im surowe wyrzuty. Znieśli je bez szemrania, a przekonawszy się, że pana Shirley nie ma w domu, rozeszli się spokojnie.

Wieczorem zawieziono Trencha do miasta, pokrytego ranami i sińcami. „Jadąc, powiada, rozmyślałem nad szkaradą stosunków Anglii z Irlandyą.”

Dzielny ten człowiek, przypominający bohaterstwo Anglików w wojnie z Sypojami, któreśmy w swoim czasie na tém miejscu opisywali, nie znienawidził wcale tej ludności po takim przejściu. Przeciwnie: usiłował ująć dzierżawców łagodnością i rozsądkiem. Odwiedzał ich pojedynczo, czekał obfitych zniw do ściągnięcia czynszu, który wtędy zapłacić mogli. Tą drogą zaszedł dalej niż się spodziewał. Ale nie mógł się zgodzić z dziedicem w szczegółach administracyi, i po dwóch latach opuścił włóści w których na tak straszne narażony był niebezpieczeństwo. Nowe czekały go nieszczęścia; zostawszy sam właścicielem, ujrzał owoc swęj pracy porwany przez plagę 1846 roku.

Wiadomo, że większa część Irlandyi leży odłogiem, zarosła wrzosem, pokryta pokładami torfu. Trench nabył i wykarczował znaczną przestrzeń takiej ziemi. Zbiór kartofli w tém miejscu znaczący się obficie, właściciel myślał że one same opłacą koszt wykarczowania. Sąsiedzi zwali dolinę *Szczęśliwą*. Ale wszystkie nadzieje spełzły na niczém. Kartofle zachorowały na słabość nową, nie uleczoną, a która była straszną plagą w Irlandyi, gdzie lud kartoflami żyje.

Mienie Trencha przepadło. Ale straty pieniężne wnet zapomniiał, w obec klęsk jakich kraj padł ofiarą. Następstwem choroby kartofli był głód, jakiego nie zaznała Europa od czasu ułatwienia transportów. Daremnie wysiłało się miłosierdzie prywatne i publiczne; daremnie rząd dostarczał roboty zgłodniałym, i dawał im pieniądze; daremnie bogaci osobiście niesli wszelkie pomoce. Na nic się to nie zdało. Była pomogła, ale nie uorganizowana: nie wszędzie dochodziło pożywienie, ludzie marli pokotem w chatach i na drodze. Taka była śmiertelność, że nie mogąc mieć oddzielnych trumien, wkładani byli w jedną skrzynię, której dno ruchome, przepuszczało trupów do wspólnego dołu.

Przeszło dwieście tysięcy wymarło z głodu. Trzy miliony Irlandczyków emigrowało do Ameryki.

Nie ma złego co by na dobre nie wyszło. Zmniejszenie ludności stało się dobrodziejstwem dla kraju, gdzie rodziny się mnożą bez względu na sposoby utrzymania. Głód dał powód do kilku rozporządzeń pożytecznych, ón przyspieszył wolność handlu, a ta spowodowała upoważnienie do zastawiania dóbr zadłużonych, co dało pochop do prac publicznych. Trench twierdzi, że plaga 1846 spowodowała gruntowne i zbawienne przeobrażenie Irlandyi.

W 1850 roku Trench został agentem margrabiego Lansdowne, w hrabstwie Kerry. Głód wtedy już minął, ale zostawił po sobie wielką, pozornie nieuleczoną nędzę. Lordowskie dobra okropnie były zaniedbane. Nic nie uczyniono celem zapobieżenia rozdrobnianiu gruntów. Chłopczy i dziewczki łączyli się w siedemnaście rodzin, nie mając innego mienia jak lepianka i ogródek z kartoflami. Ztąd masa ludności bez sposobu do życia. Z początkiem wiosny sadzili sobie kartofle; poczem zabijali świeżymi drzwiami chaty, i z żonami i dziećmi szli zebrać w sąsiednich hrabstwach. Zebranym chlebem, utrzymywali rodzinę aż do chwili kopania kartofli.

Całe ogromne dobra były tedy w rękę żebraków, śmiertelność przerzedziła tę ludność. Dla tych co pozostali, trzeba było urządzać domy robocze i żywić ich: okropny ciężar, który spadał na właściciela.

Wtedy to Trench wygotował projekt, mający zarazem ocalić mieszkańców i oczyścić ziemię lorda. Ofiarował wszystkim rolnikom bez chleba, przewóz do Ameryki. Płacił im podróż, pewną kwotę na oporządzenie i nieco grosza na pierwsze potrzeby w Ameryce. Wyprawa ta z wielką radością przyjęta, kosztowała przeszło 350,000 franków. Jałmużna na miejscu, byłaby daleko więcej wyniosła w ciągu jednego roku.

W ciągu kilku miesięcy cztery tysiące ubogich wyjechało. W domu roboczym zostało tylko sześćdziesiąciu, a na gruncie sami mogący płacić czynszownicy. Dzierżawcy których pola zarosło wrzosem, mogły jedynie żywić pszczoły, ci których czynsz wynosił często pięć szylingów, znikli z włości lorda. Dobra

Lausdowna są teraz wzorowe w Irlandyi. Przynoszą 11,000 funtów. Ulepszenie ich wraz z kosztami emigracyi, kosztowało 1,359,000 franków.

Z hrabstwa Kerry, Trench przeniósł się do hrabstwa Monaghan i objął tam zarząd dóbr margrabiny Bath. Widocznie daném mu było, walczyć ciągle z przeciwnościami i niebezpieczeństwami. Tu, czynszownicy winni byli 30,000 funtów zaległego czynszu. Odebranie tej summy, było głównym zadaniem rządcy. Zaczął i tu od wysłania najbiedniejszych do Ameryki. Pozostający zapłacili, wyjąwszy kilku którzy ani płacić, ani jechać nie chcieli. Byli to ludzie gwałtowni, którzy za najwygodniejsze dla siebie uznali nie płacić dzierżawy i odstraszać poborców. Nikt nie śmiał do nich przystąpić.

Najgorszy z tych buntowników był niejaki Joe-Mac-Key. Trench pokonał go nareszcie zimną krwią i odwagą. Historia tej walki, stanowi jeden z najdramatyczniejszych rozdziałów książki.

Joe trzymał rozległą dzierżawę w dzikiej, górzystej okolicy. Od lat sześciu ani grosza nie zapłacił. Nikt go nie śmiał aresztować, a sądowe wyroki pozostały bez skutku. Joe uchodził za człowieka nadzwyczajnej odwagi i nadzwyczajnego zuchwalstwa; powtarzał, że w całej Irlandyi nie ma takiego, któryby go wsadził do więzienia. Człowiek ten stał się hersztem wszystkich zbuntowanych dzierżawców. Należało koniecznie złamać tego wodza. Trench wyrobił na niego mandat aresztu i naznaczył 50 funtów nagrody temu, kto go pojmie. Ale nikt tego podjąć się nie chciał. Ten i ów miał ochotę na tak wielką sumę... ale jednak mówił iż życie miłsze niż grosz. Joe chodził z nabitym pistoletem i przysiągł, że zastrzeli pierwszego który się zbliży.

Takim był zbój z którym rządcza miał do czynienia. Trzeba go było koniecznie uskromić, dla przykładu. Trench postanowił sam dotrzeć do sławnego Joe, i przekonać się naocznie, czy taki straszny jak go malują.

Ponieważ kraj był wtedy bardzo wzburzony, rządcza wziął z sobą dwa rewolwery i mapę, żeby o drogę nie pytać. Siadł na konia koło południa, i nie mówiąc nikomu gdzie jedzie, pojechał. Joe mieszkał o siedem mil angielskich. Przybywszy na miejsce, znalazł dom napół zrujnowany. Zastukał do drzwi... po chwili człowiek bez surduta wyjrzał oknem i spytał czego chce?

— Chcę wejść—odparł Trench.

— Nie wejdiesz—odrzekł człowiek rezolutnie.

Domyśliwszy się że to ów straszny dzierżawca, Trench spytał czy on jest Joe?

— A gdybym nim był, to co?

— Chciałbym z tobą pomówić: wpuść mnie.

— Gadaj ze dworu: wejść nie możesz.
 — Wiesz-że kto jestem?
 — Nie wiem i wiedzieć nie chcę.
 — Jestem Trench, rządzca włości.
 — A! przepraszam! — przepraszam, nie wiedziałem kto jesteś i żałuję że cię wpuścić do domu nie mogę.

Skoro on grzeczniej przemówił i rządzca zmienił ton:

— Słyszałem żeś jest odważny i dzielny chłop: sam na sam niczego się nie lękasz. Dlatego przybyłem sam, mam z tobą pomówić, wpuść!

Spojrzał na mnie podejrzliwie... obejrzał się wkóło czy jakiego policyanta nie zoczy... zawahał się wyrażnie... ale powtórzył: nie wpuszczę.

Zgniewało mnie to, i zawołałem: Widzę żeś tchórz! Mówię ci że sam, że nawet nikt nie wie że tu jestem. Boisz się jednego człowieka? To wstyd!

Joe odrzucił zapórę, odemknął drzwi na rozcież i tonem obrażonej dumy rzekł: „Wejdz wasze, kiedy sobie tak mój opór tłumaczysz, wejdz, i bądź pozdrowiony.

Trench oddał konia chłopcu i wszedł do izby ponuręj i nagięj jak wilcza jama. Przy ogniu siedzieli dwóch ludzi z iskrzącymi oczyma... widocznie nie byli radzi goście. Obok nich stała młoda niewiasta, bardzo ładna, chociaż uwiędła troską. Żeby im pokazać że nie ma na myśli żadnych gwałtów, Trench siadł tyłem do drabów, a przodem do gospodarza. Żywy ogień płonął na kominie, a promień słońca wbiegł przez wązkie okno, oświecał w pełni Joego. Znaczącą miał fizyonomią. Włos kruczy, gołą szyję, posągowych kształtów; zawinięte rękawy u koszuli odsłaniały ręce podobne do okrętowej liny. Czerwoną chustką przepasany, stał przed gościem nieruchomy z założonemi rękami, patrząc nań pół dzikim a pół szyderskim wzrokiem. Wysoki przeszło sześć stóp, zdawał się herkulesowej siły. Chociaż sam nie ułomek, Trench poczuł że nie może się mierzyć z takim przeciwnikiem... Ale kontemplując to uosobienie potęgi i energii, tę głowę w tył pochyloną z wyzywającym wyrazem, myślał sobie że nigdy wspólniejszego chłopca nie widział.

— Masz mi coś powiedzieć—rzekł nagle Joe.

— Mam. Ale kto są ci ludzie i co tu mają do roboty?

— Robimy whisky—odrzekł jeden z nich — może wasza godność skosztuje?

Drabom było widocznie obojętne, że ich rządzca zszedł na nieprawnej fabrykacji wódki. Joe milczał, a kobieta nie spuszczała zeń oka. Zwróciwszy się do gospodarza, Trench zawiązał rozmowę.

— Cóż? panie Mac-Key! Jesteś postrachem okolicy, nikt cię nie śmie arestować.

Wzdrygnął się konwulsyjnie i rzucił oczyma na okno:

— Dotąd nikt nie śmiał mnie aresztować, odrzekł; ale miałeś mi coś powiedzieć.

— Chciałem cię spytać jak myślisz że się to skończy? Wi-nieneś sześć lat czynszu—nie chcesz płacić i mówisz, że w łeb wypalisz temu, kto cię zechce pojmać.

Joe poszedł do wiszącego na ścianie odzienia, i pokazał pistolet sterzcący z kieszeni.

— Właśnie, rzekł Trench, nie dziwię się że ci się boją.

— Piękne mi zuchy wasi policyanci i woźni, jeżeli się tego boją!—A wyjąwszy pistolet pokazał, że nie ma lufy.—Tęm ich straszę i uciekają...—Kobieta się uśmiechnęła.. i uspokoiło ją to odkrycie.

— Wszystko to dobrze—ciągnął dalej Trench; ale to nie mniej prawda, że ludzie straszysz: nie śnią cię pojmać.

— A dlaczegożtoby mnie pojmać miano? Dlaczego wy-zuć z tego domu? Sam go zbudowałem, zasadziłem ogród, a teraz chcecie mnie wyrzucić... Pierwój skonom!

Tak mu gniew gardło ścisnął, że ledwie dychał...—Uspokój się Joe, prosiła niewiasta, pan ci nie chce zabrać domu, nikt ci go wzięść nie chce..

Mac-Key się pohamował.—Chcesz pan wejść do alkierza, tam sam na sam pogadamy.

Wprowadził Trencha do odległej izby i drzwi zatrzasnął, a były takie, że się nie odmykały, bo nie było klamki. Na środku stał stolik i dwa krzesła; w kącie łóżko a przy łóżku topór, ostry jak brzytwa, osadzony na długiej rękojeści.. najstraszliwsza broń. Trench siadł pomiędzy toporem a gospodarzem.

— To twoja broń?

— Tak—odrzekł sucho — i wyjąwszy ze stolika *petycyą* do lady Bath, zaczął ją deklamować, mówiąc że to jego dzieło. Były to treny nad niedolą człowieka, który musi opuszczać dzierżawę nie mając jej czem zapłacić.

— To nie wystarczy do zostania tutaj—rzekł wysłuchawszy do końca Anglik;—a robieniem nieprawném wódki także czynszu nie zbierzesz. Pytam ci się na seryo, co myślisz czynić, bo rzeczy nie mogą tak pozostać jak są.

Zerwał się i stanął po drugiej stronie stołu:—Powie panu to jedno, że nie ustąpię, nie opuszczę domu zbudowanego własnymi rękami, nie wyjdę z niego żyw!.. Nie wyjdę!

Był wściekły jak tygrys: to na okno, to na topór spojierał... Trench zerwał się także bo mu się zdawało, że Joe porwie za sie-kierę. Dobył więc pistolety z kieszeni i trzymał po jednym w każdej ręce, patrząc Irlandczykowi oko w oko. Tylko wązki stół ich przedzielał. Anglik wiedział że jeżeli przeciwnika porwie za bary, nie zmoże go; a pewny że go do tej komory, przyprowadził żeby zamordować, postanowił strzelić, jeżeli się ruszy. Irland-czyka w tej chwili szarpało przeciwne podejrzenie: pewny był, iż rządzca przyprowadził policyę, że go oszukał, więc był gotów zabić

zdrajcę. Byli więc jak dwa lwy czekające wzajemnie na pierwszy skok. Mocowali się oczyma.. ani jeden ani drugi nie zamykał wzroku. Położenie to trwało z pół minuty. Anglik powoli podniósł pistolet na wysokość głowy przeciwnika, tak że mógł patrzeć w lufę... Joe nie uląkł się, ale przeciwnie, wyprostował się spokojnie i skrzyżowawszy ręce na piersiach dla pokazania, że napastować nie chce, stał, jakby wyzywając do strzału. W tej chwili Trench poznał że posądzał niesłusznie, ale idąc za popędem z którego sobie sprawy zdać nie umiał, rzucił pistolet na stół przed niego, wołając: — Nędzniku! wiedziałem że się nie ośmielisz mnie tknąć!

Joe popatrzył na Trench'a, padł na krzesło jak człowiek złamany, a odwróciwszy oczy od nabitego pistoletu, wyszepnął jakby umierającym głosem:

— Cóż chcesz żebym czynił?

— Chcę żebyś mi oddał dom—grunt—i szedł ze mną do miasta..

— Uczynię jak zechcesz.. odrzekł pocichu; otworzywszy drzwi krzyknął gromkim głosem na ludzi: Hej! idźcie precz!! oddaję dom!

Walka i wygrana czysto-moralna. Ktoby nie wierzył w istnienie duszy, dotknie jęj w tém starciu dwóch sił...

....„Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,
Sprosiwszy pany, damy i rycerze
Rozłamię kratę żelaznego dworca,
Da hasło trąbę; wtém królewskie zwierzę
Grzmi z głębi piersi, strach na widzów pada.
Jeden dozorca kroku nie poruszy,
Spokojnie ręce na piersiach zakłada,
I lwa potężnie uderzy—oczyma.
Tym nieśmiertelnój talizmanem duszy,
Moo bezrozumną na uwięzi trzyma.”

Dalszy ciąg tej historii smutny. Pomimo znacznego wyposażenia jakie mu dał Trench, Joe nie popłynął do Ameryki. Pastor uwiadomił że chory w domu leży, odgrazając się że musi zabić rządzącego. Trench pojechał do niego, ale zastał już tylko trupa... Leżał na łożu z zastygłym wyrazem nieugiętej dumy. Kobieta szlochała obok niego. Umarł na trawiącą gorączkę dla tego, że ludzie gadali że go wzięto gwałtem, kiedy on się dobrowolnie poddał. „Ach! panie!! Ty wiesz najlepiej że sam się poddał—wołała zanosząc się od płaczu kobieta—nie znałeś go! on miał serce zulate jak dziecko. Ludzie go zabili wmawiając w niego, że to jego ziemia, nie właściciela, że trzeba Anglików mordować... Ach! on miał wielkie serce chociaż szaloną głowę, sam ci się poddał: ty wiesz najlepiej czyby go kto mógł wziąć, gdyby on nie chciał.”

Pochowano Mac-Key'a jak kazał, w jego ogrodzie, a jego poczciwa towarzyszka opuściła kraj.

Przykład był stanowczy. Ustał opór dzierżawców i bunt na chwilę był złamany, ale na chwilę tylko, bo Irlandczyk podaje się przemocy, ale wnet szuka odwetu.

Opowiemy jeszcze spisek uknuty na życie Trencha, co poznałymi czytelnika z tajnym towarzystwem irlandzkim *Ribbonistów*.

Ribbonizm, od wyrazu angielskiego *ribbon* (wstążka) tak się nazywa z powodu zielonych wstążek, które są godłem wodzów stowarzyszenia. Celem jego obrona praw do ziemi, w której skupiona cała wiara polityczna irlandzkiego chłopca. Członkowie *Bractwa Wstążki* mieli nie dozwalać właścicielom odprawiać dzierżawców. Powoli program się rozszerzył: członkowie Towarzystwa uznali się *mścicielami* wszystkich krzywd rzeczywistych czy urojonych, a powiązanych z własnością. Dzierżawca był zagrożony nożem, dlatego, że nie chciał użyć gnuśnego oracza, albo że niechciał przyjąć owczarza poleconego przez *Ribbonistów*. Kodeks *Ribbonistów* znał tylko jedną karę: śmierć—to jest morderstwo. Oskarżonego uwiadamiano listem bezimiennym; czasem publicznym afiszem: że jeżeli nie ustąpi, będzie ścigany noc i dzień, a kiedy się tego najmniej spodziewa, padnie trupem. Nie mało ofiar tak poległo. najwięksi panowie i najuboższe chłopcy. Dziś jeszcze, kiedy to piszemy, te mordy zakrwawiają Irlandyę. Jestto plaga tego kraju: ona wyгнаła właścicieli i odwróciła kapitały od ulepszenia gruntu.

Kiedy Trench był rządcą margrabiny Bath, *ribbonizm* kwitnął w Irlandyi. Poddanie i skon Mac-Key'a zniechęciły chwilowo członków, ale wnet odzyskali odwagę i postanowili, że trzeba koniecznie pozbyć się człowieka tak czynnego i energicznego jak nowy rządcza. Trench został potajemnie osądzony i skazany; wybrano zabójców i zebrano kwotę przeznaczoną w nagrodę morderstwa. Chodziło już tylko o wykonanie wyroku.

Jeden ze zbójców później schwytyanych, dał szczegóły o spisku, który opowiada Trench.

Zwołano najbliższych *ribbonistów*; zeszło się ich szesnastu do sąsiedniego dzierżawcy. Gospodarz przydywał w sali pełnej ławek i stolów; whiskey krążył obficie. Pito czas jakiś w milczeniu, aż kiedy napój zaczął działać, prezes zabrał głos, i spytał, czy kto w tém zgromadzeniu ma co do powiedzenia na obronę winowajcy?

Tu się zaczęła ciekawa scena procedury kryminalnej. Kilku obecnych dla zaspokojenia sumienia, oraz dla zachowania pozorów sprawiedliwości, wymieniło czyny wspaniałomyślne Trencha, a ilekroć wymienili, prezes odpowiadał przekleństwem.

— Dał mi wrota do ogrodu—mówił jeden.

— Bogdajby twoje bydło łby o nie potłukło.

— Dał mi drzewa i słomy na poszycie dachu—mówił drugi.

- Bogdajby się jak najprędzej zwalił!
- Udrenował moje grunta—mówił trzeci.
- Bogdajby ci zgnił cały zbiór!
- Dał mi wina dla chorego dziecka.
- A dziecko umarło! Amen! dodał prezes.

Nastąpiło długie milczenie, po którym prezydujący ogłosił wyrok: „Jest winny! Dzieci moje, powinien umrzeć. Pozostaje tylko ciągnąć na losy, kto będzie wykonawcą wyroku?”

Dwaj ochotnicy podjęli się mordu. Przysięgli, iż będą chodzić trop w trop za Trenchem, śledzić go i ścigać, dopóki nie zabiją.

Ukończywszy tak główną sprawę, ribboniści zaczęli pić i rozprawiać o polityce, o przyszłej wojnie europejskiej z której wyjarzamy Irlandyi pewno nastąpi. Dzikie krzyki i pieśni, wtórowały biesiadzie spiskowych.

W niedzielę, na katolickiej kaplicy, pojawił się afisz z zapowiedzią egzekucyi. Trench nie był wymieniony, ale nie można było wątpić, że o nim mowa. Od tej chwili, rządca był uważany za zgubionego. Uczciwi mieszkańcy poglądali nań z litością, ale się zbliżyć nie śmieli. Był uważany za umarłego.

W takiej pozycyi rzeczywiście było czego zwaryować. Ale Trench należał do rasy niezłomnych i niezwycięzonych. Zaczął więc od rachunku sumienia. Wejrząwszy w siebie, jako poważny sędzia, wydał sobie świadectwo że nikogo nie skrzywdził, że niema nic do odwołania z tego co uczynił, że to nie wyrok na nikczemnika, ale napaść na sprawiedliwego; zatem, pozostaje tylko w własnej obronie walczyć ze zbrojcami.

Zbiry nie tracąc czasu pokupowali bronie i śledzili go pilnie. Trench także nie zależał pola. Nabył dwa rewolwery o sześciu strzałach, i bez nich nigdy nie wychodził. Kiedy był w domu, zawsze je miał pod ręką. Miał prócz tego przy sobie dwie krucice o dwóch strzałach, a kiedy jechał konno, kładł w olstry dwa wielkie pistolety, także dubeltowe. Razem, dwadzieścia pięć strzałów na rozkazy, a strzelał celnie, wiedziano o tém, i jak się później wydało, nieraz zaczajeni widzieli przeżdżającego, a napaść nie śmieli.

Rok tak upłynął. Dwaj rozbójnicy szukali okazji spełnienia zbrodni, a Trench ani na chwilę nie folgował baczności. Nareszcie rzekli się zbroje zasadzek na gościńcu i zamierzili ugodzić rządzcę w chwili kiedy z bódra wychodzi w wieczór. Jeden wtedy miał mu oddać list, a drugi strzelić w piersi.

Cudem ten zamiar doniósł się do Trenchu; odtąd już w mieście nie dał nikomu do siebie przystąpić: jeżeli kto do niego się zbliżał, mierzył doń z pistoletu i kazał stać o 20 kroków.

Spiskowi zwątpili o wygranej, a raczej oddali za wygraną; oświadczyli wodzom że fortuna wyraźnie sprzyja rządzcę, więc rzecz zbyteczna dłużej się za nim uganiać. Natomiast, ofiarowali się zabić Bailiffa, Irlandczyka, niemilego ribbonistom.

Na tém stanęło. Ale kiedy mieli zamordować Bailiffa na gościńcu, zostali schwytani skutkiem zdrady jednego ze swoich. Osadzeni w więzieniu, byli straceni. Umierali bardzo odważnie.

Trench otrzymał od rządu irlandzkiego szczególny dowód zaufania. Dostał upoważnienie badania jednego z dwóch morderców, i ulaskawienia go, jeżeli da szczegółowy o bractwie Ribbonistów. Za taką cenę sprawiedliwość ciała poznać organizacją tego strasznego stowarzyszenia tajnego.

Opatrzony upoważnieniem, Trench posłał zaufanego urzędnika do skazanego, mając nadzieję że wygada wszystko. Usłyszawszy o ulaskawieniu, nieszczęśliwy zadrzał... osłabł... nie mógł się utrzymać na nogach, pot płynął mu z czoła. Nakoniec, przyrzekł mówić z Trench'em, po odbytej spowiedzi, nie pierwój. Przybywszy po spowiedzi Trench zastał skazanego zupełnie spokojnym i zrezygnowanym, wszelkie wahanie znikło. Nie był to już ten sam człowiek co w przeddzień: widocznym było, iż ma postanowienie niezłomne. Mówił krótko, urywając: „Nic nie powiem. Gotów jestem umrzeć. Nigdy tak dobrze nie byłem usposobiony. Na nic się nie zda badanie; tym tylko powiem, co mają prawo wiedzieć: księżom. Zostawcie mnie w spokoju! Szczęśliwy jestem, że mogę umrzeć za swój kraj.”

To powiedziawszy, już nie wyrzekł słowa, i uniósł swoją tajemnicę do grobu.

Śmierć tych dwóch Ribbonistów przeraziła innych konspiratorów. Trench korzystając z tego usposobienia, zwoływał do siebie spiskowych, a dowiódłszy że wie wszystko, radził opuścić kraj i obiecał ułatwić wyjazd. Poszli za jego radą i z wdzięcznością przyjęli zbawienie od tego, którego zgubić poprzysięgli. „Już lat dwanaście jak się to działo, pisze Trench. Od owego czasu już nie nosiłem broni, ani żadnej nie przedsiębrałem ostrożności. Mam nadzieję, że już nigdy nie będę się potrzebował uzbrajać przeciw Irlandczykom.”

Nader zajmujący i budujący ton Trencha, kończy się wymownym pozwem do zgody i sprawiedliwości. Autor odrzuca despotyczne roszczenia chłopca celtyckiego. Muiena ou, że są winy po obu stronach, ma przekonanie że jest sposób polepszenia doli jednych bez odzierania drugich. „Jakiejbądź rangi i religii jesteśmy wszyscy w Irlandyi, mamy sobie wspólnie wiele do przebaczenia! Bez przebaczenia, na tej ziemi ludzie muszą mieć piekło!”

Piśmiennictwo francuzkie krąży obecnie około kalendarzy i słowników. Wyszedł tom trzeci znaney publikacyi, którą tu Piotr Larousse przedsięwziął pod tytułem „*Grand Dictionnaire du XIX siècle.*” Jestto bardzo pożyteczne dzieło w naszych cza-

sach, kiedy ludzie coraz mniej czasu mają do czytania, a coraz więcej wiedzieć muszą. Można się tam dowiedzieć wszystkiego, i wyrobić sobie pojęcie rzeczy z przytoczonych przez Laroussa sądów rozmaitych.

— W „*Almanach de l'Encyclopédie générale pour 1870*” który właśnie wyszedł z pod prasy, jest znakomity artykuł doktora Broca, przedstawiający stan obecny nauki antropologii.

— Mario Proth wydał tom pod tytułem „*Bonaparte*,” a jako pod-tytuł dopisał: „*Commediante*,” „*Tragediante*,” dwa wyrazy któremi często Pius VII definiował Napoleona Igo. Autor zamierzył uwydatnić tę dwulicowość bohatera. Bierze Bonapartego od kolebki i doprowadza do 19 *brumaira*.

— Professor Dussieux wydał „*Genealogią domu Burbonów*,” książkę arcy-potrzebną do zrozumienia *pamiętników historycznych*, w które obfituje piśmiennictwo francuzkie.

— Pod napisem „*La peine de mort*” deputowany Jules Simon wydał tomik, w którym gwałtownie powstaje przeciwko karze śmierci.

— Olivier'a Ritt „*Histoire de l'Isthme de Souez*” jest we wszystkich rękach.

— Dział literatury pięknej nie może się poszczycić bogatym żniwem. Przybył osobno odbity romans pana About, poprzednio w *Revue des Deux Mondes* drukowany p. n. „*Tellach*.” Armand Jusslain wydał tomik p. t. „*Amours de jeunesse*.” Pan Alfred Bréhat napisał: „*L'Amour ou nouveau Monde*.” Emil Augier napisał komedią w pięciu aktach już przyjętą do teatru francuzkiego, pod tytułem: „*Chevalier de Maison-Rouge*.”

— Podczas kiedy piszemy, w teatrze Ambigu-Comique przedstawiają pięcio-aktowy dramat pana Charles Edmunda „*Le Dompteur*.” W przyszłej kronice naszej damy sprawozdanie z tej sztuki.

Smutną wiadomość donieść musimy naszym czytelnikom o Zofii Węgierskiej autorce kronik Paryzkich, dotąd w Bibliotece Warszawskiej zamieszczanych.

W Paryżu d. 8 listopada r. b. zakończyła życie Zofia z Kamińskich Węgierska, pochowana na cmentarzu Montmartre d. 11 listopada. Córka s. p. Ludwika Kamińskiego b. pułkownika b. w. p. i Barbary z Walknowskich. Ojciec jój jako tłumacz znakomite w literaturze naszej zajął miejsce przekładami: Popego Wiersza o człowieku, Tassa Jeruzolimy wyzwolonej i Danta komedyi Boskiej dotąd w rękopiśmie pozostałej. S. p. Zofia nie była na żadnej pensyi, nie miała nigdy guwernantki ani obcego profesora, ojciec i matka byli wyłącznemi jój nauczycielami. Z takiego do-

mowego wychowania wyniosła swoje wyższe wykształcenie, które ją wciągnęło w świat postępu, gdzie się rozwinęła jej myśl i zdolności. Pod przybranem nazwiskiem Bronisławy Kamińskiej, wydawała dziełka: Legendy historyczne (dwa wydania 1852 i 1863). Marynka Czarownica (Warszawa 1852). Staś i Jadwisia powiastki dla dzieci (Wrocław 1853). Nowe wiązanie Helenki (Wrocław 1853). Obrazy wieku dzieciennego (Wrocław 1860). Nowa podróż czyli obrazy Ameryki, Afryki i Australii (Berlin 1860). Podróż malownicza podług Humboldta (Wrocław 1863). Pożyteczne te książeczki dla młodego pokolenia stanowią niemalą zasługę ś. p. **Węgierskiej**. Lecz najwięcej zajęcia i rozgłosu zyskała kronika paryżka literacka, naukowa i artystyczna, którą od m. stycznia 1853 r. przysyłała bez przerwy co miesiąc Redakcyi Biblioteki Warszawskiej przez lat szesnaście aż do terazniejszego zeszytu, w którym jej ostatnia praca jest zamieszczona. Z rzadką wytrwałością i porządkiem, pracując dla Biblioteki przez cały ten przeciąg czasu ani razu nie spóźniła się z nadesłaniem pisma swego i tym sposobem Biblioteka Warszawska zawiera 192 artykułów korespondencyjnych ś. p. **Węgierskiej**, które w oddzielném wydaniu zepelnilyby 40 przeszło zeszytów czyli około 10 tomów formatu i objętości Biblioteki. W kronikach tych zajmuje ciągle wybór przedmiotów zawsze dla nas nowych, ciekawe przedstawienie, trafne zdania, dowcip świeży, styl konwersacyjny, lekki, wdzięczny, zarazem ton prawdziwie wyższego wychowania, ton pełen zacności, a nade wszystko musi uderzać, musi się podobać ten umysł niepospolity, śmiały, który dzielnie ściga pochodź światła dzisiejszej cywilizacji i jej kierunku. Pierwsza Redakcyja Biblioteki Warszawskiej za pośrednictwem członka swego ś. p. Leona hr. Łubieńskiego skłoniła ś. p. **Węgierską** do tego rodzaju pracy tak pożytecznej i pożądanej. Następnie korespondencyje swoje jako Kroniki Paryżkie posyłała do innych pism peryodycznych, do Kuryera Wileńskiego, Gazety Polskiej, Bluszczu i innych. Strata tak zdolnego współpracownika jest dotkliwą, lecz ze zgonem ś. p. **Węgierskiej** nie zniknie w Bibliotece ten dział literatury; w krótkim czasie Redakcyja postara się o kronikę, która zadowolni czytelników przynosząc myśli, obrazy, nowiny z Paryża, z tego źródła postępu ludzkości, a zarazem z tego Babilonu uciech zmysłowych.



PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Bracia Władysława Jagielly Olgierdowicza, króla polskiego, Wielkiego księcia Litwy. Jako dalszy ciąg „Synów Gedymina” z tablicami genealogicznymi, przez Kazimierza Stadnickiego. We Lwowie. Nakładem Aleksandra Vogla. 1867. w 8-ce Str. VIII i 416.

Dzieje literatury naszej bardzo poważne, bardzo znakomite kiedyś stanowisko naznaczą dla wszystkich historycznych badań Kazimierza Stadnickiego. Napozór są to badania skromne, więcej mające związku z genealogją, z rodowodami różnych książąt dynastji litewskiej, niż z właściwą historją. Zdaje się to zapowiadać i sam tytuł: *Synowie Gedymina*, bo czémże takie dzieło być ma, jeżeli nie prostem sprawdzeniem kronik, które rozmaicie podają liczbę synów Gedyminowych i rozmaite znowu rodziny książąt litewskich z tych synów prowadzą? Przekonać się, o ile na to pozwalają świadectwa kronik, ilu było tych synów, jakie mieli stosunki rodzinne po każdzieli, jakie ich było następnie potomstwo, i jak długo trwało, to a nie co innego, zapowiada tytuł. Rzecz i to byłaby sama z siebie zajmująca, ciekawa, dla historyi ważna, dobra, sprawdzona genealogia Gedyminowskiej rodziny, oczyszczona z różnych bałamuctw latopisowych, krytycznie objaśniona. Autorowi należałaby się wdzięczność i za tę samą pracę genealogiczną, która objaśniałaby razem i stosunki drobnych państw litewskich.

Tymczasem rzadkim w literaturze wyjątkiem, tytuł daleko mniej obiecuje, niż tego spodziewać się mieliśmy prawo. Wielka historia tu jest, nie sam rodowód jednej panującej rodziny. Od bogactwa wypadków aż się przelewa z książki Stadnickiego. Żadnych gadanin, ale treści pełno, treści rozmaitych, pełnej najżywszego historycznego interesu. Bo autor nie tylko rodowody sprawdza, ale i życiorysy książąt pisze. Życiorysy książąt w owym czasie, kiedy światło

historii nie tak jeszcze mocno błyszczało w śród Litwy. Są to więc dzieje same Litwy, w pojedynczych monografiach ujęte, są to ustępy rozstrzelone, rozdziały jednego wielkiego obrazu. Autor wyczerpuje przedmiot. Jest przedewszystkiem krytycznym pisarzem. Dla tego w *Synach Gedymina* mozaika najprzecudniejsza. O czém tu nie ma? Czego tu autor nie dotknął? Czego nie starał się objaśnić? Widzimy w *Synach Gedymina* naprzód wyjaśnione stosunki w ogóle Polski do Litwy i Litwy do ziem słowiańskich, które zajęła po Waregach, od wschodu i południa; widzimy dalej stosunki po szczególe rozbrane, drobniejszych całości do wielkich organizmów politycznych, jak np. stosunki Polski do Rusi, (przypominamy, że Rusią głównie się nazywała ziemia Czerwieńskich grodów); stosunki Polski do księstw na Wołyniu i Podolu, i znowu stosunki Litwy do księstw tych, które długo jeszcze zachowały swojej niepodległości postać. Wtenczas to wszystko jeszcze były stosunki międzynarodowe ziem, plemion i państw. Autor o wszystko potrafił, o co tylko na drodze zawadził, o historią cywilizacji, o dzieje kościoła i jego obrządków, o kolonizacye na stepach to jest na Podolu, o historię północnych Rzeczy pospolitych Nowogrodu i Pskowa, o sprawy krzyżaków z Prus i z Inflant, o ile miały związku z historią Polski i Litwy. Wyjaśniał stosunek Polski do Węgier za panowania Ludwika: jednem słowem opracowywał wewnętrzne i zewnętrzne dzieje w ustępach. Nim się złożyła cała ta konfederacya Polski, śledził autor pilnie życie tych historycznych jej odłamów, wtedy jeszcze samodzielnych, za chwilę już tylko prowincjonalnych. Historia w *Synach Gedymina* płynęła wielkiem, swobodnem korytem.

Mamy dwa tomy *Synów Gedymina*. Tom pierwszy wyszedł jeszcze w roku 1849, drugi w 1855 we Lwowie. Krytyka naukowo nie oceniła dotąd tego dzieła, jak na to ze wszech miar zasługiwało, nie sprawdziła wywodów i poglądów, nie powiedziała w czóm autor rozjaśnił w istocie przeszłość, w czém pobrał. Jak nie pisano o tém dziele, tak i mało korzystano z niego. Ale taki u nas bywa los zwykle dzieł znakomitych. Nie mamy dosyć ludzi, którzyby umieli chodzić około badania dziejów. Wszystkich rozumiejących rzecz na palcachby wyliczyć można. Dla tego pospolicie biorą się u nas do pracy naukowej ludzie, albo nie przysposobieni do niej należycie, albo ci, dla których nauka jest zabawką i ztąd to pochodzi, że gucho o dziele Stadnickiego, że zasług jego nie oceniono w literaturze.

Pierwszy tom zawiera rzecz o Monwidzie, Narymuncie, Janwuncie i Koryacie. Drugi cały wyłącznie poświęcony Lubartowi. O Monwidzie mało co było mówić. Pod Narymuntem autor dotyka dziejów północnej Rzeczypospolitej Nowogrodu. Załujemy jednak, że nie napisał w całości historii i książąt Rożyńskich, którzy od Narymunta pochodzą i że ledwie tylko napomknął o nich. Wprawdzie książęta Rożyńscy nie zajmowali wielkiego miejsca w historii; naj-sławniejszą pomiędzy innemi postacią był Roman, hetman wojsk Dymitra, drugiego samozwańca na Moskwie. Ale autora celem było

sprawdzić podania genealogiczne o tyle, o ile stosunków majestaty-
cznych dotyczą. Rożyńscy zaś bardzo prędko zubożeli na swojej
dzielnicy, podupadli i zeszedli w grono szlachty. Pretensyi dynasty-
cznych nigdy nie pokazywali. Więcej się już pod tym względem od-
znaczają potomkowie Jawnuty, który i ztąd obchodzi wielką historią,
że był czas jakiś panującym wielkim księciem na Litwie przed Olgier-
dem. Od Jawnuty poszli Zasławscy, Żesławscy Iżesławscy, na Białej
Rusi i więcej od Rożyńskich świecili majestatem, lecz wygasli także
bardzo prędko. I Koryjatowicze, rodzina kolonizująca Podole, wy-
gasli prędko. Dopiero z Koryatem, z Lubartem wkroczył Sta-
dnicki na pole wielkiej historii i przedmiot, jak na owych godach
Piasta, cudownie się w jego rękach rozmnożył.

Od roku 1853 nastąpiła 14 letnia przerwa w wydawaniu
Synów Gedymina. Tłumaczył się Stadnicki „brakiem po części do-
statecznego i po części krytycznie obrobionego materiału”. Sama pier-
wsza wymówka objaśnia położenie rzeczy, bo gdyby materiał był,
obrobiliby go sam autor krytycznie, co przeciw jego zadaniem i głównie-
m było dotąd zasługą. Autor napomyka tutaj o wydaniach krytycz-
nych, które rzeczywiście wielką są pomocą w badaniach, kiedy nie
krytyczne mylić mogą i spychać na bezdroża. Ale w ciągu ostatnich
lat dziesięciu, wydano wiele, powiada autor, znamienitych źródeł
historycznych. Mianowicie co do *Synów Gedymina* wyszły na jaw,
„zasoby bogate, które tylko wymagały lustrwania i uszykowania.”

Autor opuścił więc *Synów Gedyminowych* i poświęcił ich cza-
sowo dla synów Olgierda, to jest już dla Gedymina wnuków. Nastę-
powali właśnie po pięciu starszych dwaj wielcy synowie Gedymina:
Olgierd i Kiejstut. Autor jak na ten raz, zajął się potomstwem Olgier-
da i owocem pięknej pracy jego mamy nowe dzieło pod tytułem:
Bracia Władysława Jagielly Olgierdowicza. Dopiero po napisaniu
i wydaniu tego dzieła, autor jak się dowiadujemy z przedmowy, zaj-
mie się żywotami Olgierda i Kiejstuta. Tak zmieni się nieco porzą-
dek *Synów Gedymina*. Części późniejsze dzieła już mamy wypra-
cowane, części poprzednie teraz opracowane będą. Dla tego i *Bra-
cia Władysława Jagielly* nie stanowią tomu trzeciego, w którym
wyjdą badania o Kiejstucie i Olgierdzie, ale stanowią osobne dzieło,
które w dalszym ciągu stanowią mogą, tom czwarty, może piąty.

Wśród Olgierdowiczów opuścił Stadnicki samego Władysława
Jagiellę, bo „nie miał nigdy zamiaru wciągnąć w zakres pracy
swojej dzieje szczepu królewskiego”. Pojmujemy to. Naprzód bo-
wiem, dzieje szczepu królewskiego nie potrzebują żadnych genealo-
gicznych sprawdzeń; a powtóre, dzieje tego szczepu, to dzieje razem
Korony i Litwy, konfederacyi polskiej, przedmiot nieco rozleglejszych
rozmiarów. Autor zaś nie chciał pisać historii Polski, tylko składał
dzieje synów Gedymina. Jednakże w żywotach Olgierda i Kiejstuta
autor wstąpi na tę rozleglejszą drogę, opowie dzieje Litwy; bo
czémże było panowanie Olgierda i dzieje rządów Kiejstuta na Żmudzi,
jeżeli nie dziejami Litwy? Ten trud przyjął na siebie. Aczkolwiek

wielki i szerokich także rozmiarów, zawsze znacznie jest mniejszym od dziejów szczeptu królewskiego. W dziejach Olgierda przyjdzie sprawdzić wiele faktów, ułożyć chronologiją wypadków, przyjdzie pisać o stosunkach książąt podrzędnych do wielkiego: przedmiot więc ten należeć jeszcze może wybornie do *Synów Gedymina*. Autor tłumaczy się brakiem sił do wydołania wielkiemu przedmiotowi. Nie chce historii pisać, tylko genealogią. Celem jego zbierać i szycować materiały, a przytem ukazać linie poboczne panującego rodu, te linie, które dotąd po największej części stały w ukryciu. Przy sprawdzaniu dopiero faktów, pokazało się, że książęta tych pobocznych linii wielce ważnemi byli czynnikami w historii, i że, skutkiem tego, poniewieranie ich ścieśniało horyzont, odejmowało wiele światła w historii. Autor więc, jak owi benedyktyni średniowieczni, karczał lasy na pola, usuwał fałsze i urojenia wiekowe, opowiadał jak zaczął się przeprowadzać ten proces chemiczny, który z tyłu rozmaitych żywiołów stwarzał jednolite państwo Jagiellów, odsłaniał widnokrąg. Autorowi być może, sam to mówi, sił nie starczy na opowiadanie dziejów, na mozaikę szajnochowską; ale niepotrzebnie za to poniża się, a raczj chciał się dobrowolnie poniżyć tém wyznaniem, bo obok opowiadania, krytyka faktów znakomitym jest dowodem historycznych zdolności. W nauce naszej podobno nie nastal jeszcze czas na opowiadanie, kiedy krytyka dostatecznie jeszcze nie sprawdziła faktów. Dla tego, do dziś dnia więcej przynoszą nauce przysługi krytyczne badania, niż wszelkie malownicze opowiadania historyi. Po wsze wieki i czasy dzielily się zdolności historyczne, bo nie każdy potrafi jedno i drugie. W opowiadających dzieje, zawsze jest przewaga poetycznej siły, twórczości; w krytykach, przewaga zimnego rozumu. Sam Szajnocha pomimo blasku swego stylu i pięknych zdolności epicznych (bo epepeją jest historia), grzeszył nieraz fałszywym kolorytem, nie rzeczywistém pojnowaniem dziejów. Upiększał, wyrównywał, zaludniał, że tak powiemy, historyę. Przeciw jego talentowi poetycznemu stawić można zarzut, że bujał zbyt, że siła krytyczna rozumu nie trzymała go dosyć na wodzy. W Stadnickim może nie znać zdolności poetycznej do obrazowania dziejów, ale jest zmysł krytyczny, który mu starczy za wiele.

Dotknijmy jeszcze jednego tłumaczenia się autora, żeby zakończyć już raz szereg uwag ogólnych. Pan Stadnicki nie przeczy, że oprócz korzyści wyższych ma na celu wypracować „dokładny, na dokumentach oparty i dotąd nie istniejący rodowód książąt, stanowiących uboczne linije” rodziny Gedyminowiczów. Tłumaczy się dla tego, ażeby mu ludzie za złe nie wzięli i tej samej genealogicznej pracy. Popiera się przykładem „pierwszorzędných uczonych w Niemczech, Francyi, Anglii, którzy całe życie poświęcają wyśledzeniu rodowodów faraonów, królów Assyryi, Persyi i Medyi.” Mówi, że nawet pojedyncze domy przekazały w monumentalnych dziełach pamięć o przodkach swoich; mówi, że „istnieją jak najdokładniejsze rodowody rozdrobniałych, a dawno wygasłych książąt Piastów szlązkich”

i zapytuje się „dlaczegożby jedynie ród Olgierda miał w tém stanowić wyjątek?” Tłumaczenia się tego nie rozumiemy: czy potrzebne? Wszakże ludzie naukowci ocenić potrafią dokładnie wartość każdej pracy genealogicznej, która im za materyał posłuży, o nienaukowych zdaniu nie ma się co pytać, jak nie ma co przekonywać ludzi, że słońce świeci. Nareszcie nie same tutaj, w dziele Stadnickiego, genealogiczne wywody, ale świat żywy, świat historyczny!

Stadnicki według starszeństwa przechodzi synów Olgierda. Bohater Litwy żenił się dwa razy, na co pierwszy zwrócił uwagę Strykowski, którego baczności ani Długosz, ani Kromer zawsze o jednej żonie mówiący, omylić nie mogli. Pierwsza żona Olgierda była księżniczką witebską, druga zaś, matka Jagiełły, twerską. Historią wszystkich jedynastu synów Olgierdowych, z pierwszej żony pięciu, z drugiej sześciu, mamy w obecném dziele Stadnickiego: *Bracia Władysława Jagiełły*.

Najstarszym podobno był Wingold, na chrzcie zwany Andrzejem, książę na Połocku, namiestnik wolnego grodu Pskowa. Nieprzyjaciel wielkiego księcia Jagiełły, dumny z tego, że starszy, wiązał się wciąż z nieprzyjaciółmi Litwy, a najwięcej z krzyżakami w Inflantach. Walczył na Kulikowskiem polu pod znamionami Dymitra Dońskiego. Litwin krwią, Rusin wiarą i przywiązaniem, chciał utrzymać niezawisłość Połocka, kiedy przeciwnie Jagiełło chciał na Połocku osadzić innego brata Skirgiełłę, który lepiej przestrzegał jedności państwa litewskiego. Ale samochcąc rozbroił się Wingold, bo mogąc korzystać z okoliczności i z przyznania ludu naraził się mu, kiedy szukał przyjaźni z Krzyżakami, którym zapisał się w lenność. Wspólnie z nimi wojował Litwę i podnosił bunty w tym czasie, kiedy Jagiełło jeździł na koronację do Krakowa. Palit i łupit, chciał króla wypędzić i sam zająć jego stanowisko w Litwie. Schwytany w niewolę, przesiedywał długo w Nowém mieście Korczynie, aż uwolniony w końcu udał się do Pskowa, i wszedł w służbę Rzeczypospolitej; poległ w r. 1399 nad Worklą w boju z Edygą, i słusznie mówi Stadnicki, że rok ten był najpiękniejszym w życiu Wingolta Andrzeja. Z trzech synów jego, jeden tylko Iwan odżył w potomstwie i miał syna Alexandra, który czas jakiś był także księciem na Pskowie, nim ustąpił przed posadzonym tam z ramienia wielkiego księcia Wasila, księciem Alexandrem Czartoryskim. Za ojcem Andrzejem cała ta linja najstarsza książąt Litwy schodzi prędko z pola i nie stawi przeszkód nowemu życiu. Mają od Andrzeja pochodzić kniaziewie Łukomscy, ale Stadnicki pokazuje, że nie ma na to żadnych dowodów.

Drugim z kolei Olgierdowiczem jest Korybut Dymitr, książę na Brańsku i Nowogrodzie siewierskim. I ten dzieląc brata Andrzeja politykę, bił się z Tatarami na polu Kulikowskiem, ale potem zerwał z nim i był wiernym królowi Jagielle, z czego nawet naraził się na gniew Kiejstuta. Wierności dochował nawet wtenczas Jagielle, kiedy brat wstąpił na tron polski, przez co znowu obraził Witolda. Gdy na końcu zaświetniała znakomicie ta gwiazda Witolda, padł

Korybut ofiarą, utracił razem i księstwo i wolność i dzielnica jego w zamian za Wołyń oddaną była Fiedorowi Lubartowiczowi. Synowie Korybuta zostali więc wygnańcami, bo podejrzliwa polityka Witolda nie dopuściła sierot nawet do Brańska „aby w rodzie jego, robi tę słuszną uwagę Stadnicki, nie zapuścił się korzeń dziedzicznych udzielnych książąt.” Jedyne tych sierot dziedzictwem zostało się imię ojcowskie: Korybut, które wkrótce na przydomek rodzinny zmienione, świadczyło tylko o ich rodowitości, o ich pokrewieństwie z linią królewską.

Linja ta posiadała jednego bohatera, znakomitą postać historyczną Zygmunta Korybuta, czyli raczej Korybutowicza, króla czeskiego.

Skreśleniem dziejów tego Zygmunta, autor położył piękną zasługę względem nauki. Prawda, że i dawniej jeszcze budził Zygmunta uwagę, ale dowodem, jak żywot jego mało był znajomy, niechaj i to wystarczy, że Szlecer jeszcze płatał go z innym Zygmuntem Kiejstutowiczem. Szlecer, nienawistny wróg Polski, był długo wielką powagą. Pelcel opracował pod koniec wieku XVIII żywot Zygmunta, potem Palacki w swojej historii Czech wprowadził litewskie go księcia w całym majestacie do historii czeskiej, a przynajmniej ułożył odnoszące się do niego fakta w chronologiczny porządek. Czesi więcej, niż Polacy, zajmowali się Zygmuntem i to rzecz naturalna: więcej książę słynie w dziejach czeskich, jak w litewskich i polskich. Wnasznych czasach przed niewielką laty Chłędowski powtórzył Pelcla i Palackiego. Dopiero przecież zyciorys Zygmunta, który teraz Stadnicki skreślił, wyczerpuje przedmiot do dna, jest ostatniem słowem nauki. Korzystaliśmy z niego w naszym artykule o Zygmuncie w *Encyklopedyi Powszechnéj*; to co tam napomknięte, w dziele Stadnickiego jest szeroko i w zajmujący sposób wyłożone. Śliczny jest ten ustęp, w którym i sprawy husyckie polskie i Żyszki urok, jaki ciskał i stanowisko kościoła i polityka Witolda, kolejno, w prawdziwem świetle występują przed nami. Zygmunta Korybut dwa razy był w Czechach. Raz, jako namiestnik obranego króla Witolda, za jego więc poręką, drugi raz jako król Czech, biorący koronę na własną odpowiedzialność, wbrew Jagielle i Witoldowi, wbrew kościołowi. Naczelnik stronnictwa umiarkowanych (konserwatystów, jakby dzisiaj powiedziano) podnosił książę chorągiew przeciw rozbudzałej żwawości, jakiej naczelnikiem był Żyszka. To dziwna jednak, że tak wielki urok ciskał książę na Żyszkę, który chociaż lew, poddawał się zawsze pod łagodne jarzmo baranka. Co sprawiało cud ten? Oto, nadzieja lepszej przyszłości, oto wysoko pod owe czasy rozbudzone uczucie współplemienności Czech do Polski. Żyszka, o ile był namiętnym Czechem, o tyle i dobrym Polakiem. Służył Koronie w wojnach z Krzyżakami, mięknął też z całą dumą swoją i ogniem na widok Jagiellonów. Tymczasem polityka, zarówno Władysława jak i Witolda, nie była tyle serdeczna dla Czech; Jagielle przeskadzało do stanowczego wmięszania się w sprawy husyckie, skłócenie się Czech z ko-

ściołem, dla Witolda zaś zaburzenia czeskie były tylko dywersją, żeby cesarza Zygmunta od Krzyżaków oderwać i Żmudź przez to odzyskać dla Litwy. Zygmunt Korybut przeżył wszystkie swoje nadzieje; używał go Witold wyraźnie za narzędzie widoków swoich, potem niepotrzebnego już więcej, porzucił. Szukał Zygmunt w Polsce schronienia, chleba, zajęcia. Nie umiano i nie chciano stosownie go użyć, człowieka niepospolitej zdolności i charakteru. Rzucił się potem namiętnie w wir walki pomiędzy Świdrygiełłem a Zygmuntem Kiejstutowiczem. Wyraźnie więc stanął przeciw Polsce, jak gdyby przez zemstę za te bolesne zawody, których doznał w życiu. W ostatniej chwili przejrzał, że bronił sprawy niedobrej. Bitwa była pod Wilkomirzem nad rzeką Świętą. Książę ranami okryty leżał na pobojowisku, dostał się w niewolę koronnych: kiedy ci zapytali go czemu ucieczką nie ocalił życia, książę odrzekł: „u was wyrosłem, u was się wychowałem, mleko wasze ssalem, przenoszę więc cześć nad życie.” Słowa szczytne, zwłaszcza że z ust pokonanego nieprzyjaciela. W Zygmuncie Korybutowiczu płomienił się duch cywilizacji, pierwszy owoc ślubu Jagielly z Jadwigą.

Dwaj bracia Zygmunta Korybuta umarli, nie zostawivszy potomków męzkich. Zeszła więc prędko i ta linia książąt z widowni historycznej, ustępując miejsca królewskiej linii Jagiellonów.

Trzecim Olgierdowiczem był Dymitr, książę na Trubczewsku, Dymitr to już drugi z braci, bo i Korybut był również Dymitrem, Tego zaś, trzeciego Dymitra znamy tylko chrzestne imię, pogańskiego nie znamy. Był starszym od Dymitra Korybuta. Trubczewskie księstwo leżało za Dnieprem. Gród i stolica nad Desną. Trubczewsk odszedł dopiero za Władysława IV-go, skutkiem rozgraniczenia po wojnie smoleńskiej. Książę Dymitr jest zupełnie w dziejach nieznaną postacią. O potomstwie jego nic nie wiemy, nawet o najbliższym.

Czwartym Olgierdowiczem jest Włodzimierz, książę udzielny na Kijowie. Pogańskie jego imię także nieznanie. Wypędzony przez Witolda, który chciał Skirgiellę ustępującego mu z rządów Litwy osadzić na Kijowie. Ojciec to książąt krwi panującej Słuckich i Kopylskich Olelkowiczów, tudzież Bielskich. Wszyscy nieco dłużej ród swój prowadzili od innych drobnych książąt rodziny.

Od syna Włodzimierzowego Alexandra, zdrobniale nazywanego w narzeczu ludu Olelkiem, pochodzi nazwisko książąt Olelkowiczów. Wygnany do Kopyła upominał się o Kijów u Kazimierza Jagiellończyka i w istocie za jego pozwoleniem czas jakiś panował na Kijowie. Stadnicki dzieje Olelka połączył z dziejami kościoła słowiańskiego, bo książę obejmował rządy w Kijowie w tej dobie, w której kardynał i legat Izidor powracał z soboru Florenckiego. Olelkowicz, Siemion, Szymon, rządził także w Kijowie; z Gastoldówną żonaty pierwszy płał krew panującą z krwią panów Litwy. Dlatego wśród zajęć z Kazimierzem Jagiellończykiem, który w Polsce bawił, Siemion bywał i kandydatem Litwy na tron wielko-książęcy jako najbliższy

krewny panującej rodziny, mającej niejako do zajęcia spadku prawo, naczelnik potężnego stronnictwa, które myślało, jeżeli nie zerwać zupełnie, to przynajmniej osłabić sojusz Korony z księstwem. Nie napierał się tronu Siemion; więcej sprawę jego popierali dumni panowie, którzy go mieli za swego. Po śmierci dopiero Siemiona księstwo kijowskie zamienione zostało na województwo dla jednego z Gastoldów. Brat Siemiona Michał, ostatni książę z litewskiej krwi na Nowogrodzie Wielkim, nie otrzymał już dzielnicy kijowskiej, gniewał się na dynastją królewską. A że gniew jest złym doradcą, płatał się do spisku stryjecznej linii kniaziów Bielskich i głową swoją za to przypłacił. Książęta Olelkowicze Słuccy smutnie tedy kończyli. Ta linja, która dłużej przeżyła, szukała dla siebie związków rodzinnych już we krwi panów, jak Radziwiłłów, Ostrogskich, Tęczyńskich. Rodzina spadała z wysokości majestatycznych w grono panów, wprawdzie najdostojniejszych na Litwie. Litwini zawsze jednak pamiętali, że Słuckich kniaziów krew jest panująca i dlatego uszanowali ją tём, że zaprosili kniaziów do rady wielko-książęcej, to jest do senatu swojego. Zasiadali panowie w radzie z powodu krzesel, które zajmowali, biskupich, wojewodzińskich, kasztelańskich. Dla jednych tylko Słuckich Olelkowiczów był z tój zasady wyjątek: ci siedzieli zawsze w radzie, jako Olelkowicze, na mocy własnego książęcego prawa. Nie przyjmowali dla tego żadnych urzędów i godności Litwy, bo dla nich byłoby takie stanowisko za niskie. Panowali ciągle na Słucku i Kopylu, jakby w udzielnych księstwach i przywilejach, które nadawali, dla rozmaitych miast i osób, zakładów lub instytucji, mają wszystkie cechy majestatyczne. Królowie pozwalali książętom w taki majestat się bawić. Na tój zasadzie i po sejmie lubelskim Zygmunta Augusta w ciągu jednego i drugiego bezkrólewia dopominali się książęta Słuccy miejsca i w senacie Rzeczypospolitej. Lecz to już być nie mogło. W Litwie dynastycznej na prawa ich miano wzgląd jakiś, ale prawa te przepadły w Rzeczypospolitej. Historia Słuckich książąt kończy się coraz smutniej. Ostatni ich potomkowie wymarli bezdzietni i po wszystkich została jedynaczka pani dóbr ogromnych, najświetniejsza partya, na Litwie. Dla tego dziecko jeszcze, Radziwiłłowice przez ugodę z Chodkiewiczami zaręczyli, księżniczkę Zofią, jednemu ze swoich. Chodkiewiczowie z powodu pokrewieństwa po kądzieli byli opiekunami sieroty. Opisały się obiedwie strony rozmaitemi dokumentami, zastrzeżeniami, zobowiązaniami. Potem zaczęły się waśnić i przyszło nawet z tego powodu do strasznej wojny domowej na Litwie o rękę księżniczki Słuckiej, a raczej o spadek po niej. Przedmiot to dramatyczny; nieraz dawał pisarzom naszym treść do powieści. Panna Osipowska, Kraszewski na tój kanwie budowali. Ale, pomimo tego, przedmiotu nie użytkowano i rzeczywisty talent może z niego coś jeszcze stworzyć.

Bielscy kniaziewie pochodzili od Iwana Włodzimierzowicza brata Olelka. Była to rodzina nie tyle szlachetna, co Olelkowiczów Słuckich. Zazdrością, nienawiścią nacechowane są dzieje tój rodzi-

ny. Ciągłe niecili bunt przeciw dynastji królewskiej i knuli zdrady. Gliński szedł za niemi, Gliński tylko naśladował, kończył szereg, zbuntowanych panów. Bielscy Glińskiemu wzór dawali, do zuchwalstwa go ośmielali. Zdolności kniazioów były małe, ale pycha ich wielka: nie mieli najmniejszego zrozumienia spraw Litwy, najmniejszego pojęcia o tém, co wyrobiły okoliczności. Byli Bielscy jakby gałązką suchą, która już nie ciągnęła soków z ojczystego drzewa. Zmarnieli téż i ostatni ich potomkowie: klócili się listownie z Zygmuntem Augustem; nazywali go przywłaszczycielem tronu litewskiego, urągali mu i wszystkim Litwie. Chodkiewiczów traktowali jako swoje sługi.

Konstanty Olgierdowicz był piątym synem. Na Wasilu, synu jego, ród ten się zakończył.

Na Konstantynie kończy się téż szereg przyrodnich braci Jagielly.

Szereg braci rodzonych z jednej matki otwiera Wigand, Teodor Alexander, książę na Kiernowie, szósty Olgierdowicz. Wigand najulubieńszy brat króla, jeden tylko z nim razem, ochrzcił się w Krakowie i nazwany Alexandrem. Ożenił go król z Jadwigą córką księcia Władysława na Opolu, niegdyś Palatyna Węgier i namiestnika na Rusi. Musiał się usuwać z Polski ten Władysław, wróg rodziny Piastów i narodowości polskiej, chociaż sam z krwi Piastów pochodził. Był Niemcem i z serca i z wyobrażeń swoich. Lecz zamiast go pozbawić dzielnic, które z łaski Ludwika Węgierskiego posiadał w Polsce, wolał szlachetny król Jagiello, żeby dzielnice te niby prawem spadku przeszły po córce jedynaczce do Wiganda. Król nadto gotował bratu tron Litwy po Skirgielle. Wtem nagle książę umarł w Wilnie bezpotomnym; mówiono długo, że go Witold sprzątnął trucizną, ażeby miejsce oczyścić dla siebie. Stadnicki od tego podejrzenia sprawiedliwie broni Witolda, w którego charakterze nie było napadać zdradą z nienacka. Szedł oko w oko Witold przeciw nieprzyjacielowi, łamał go, druzgotał, ale się przed nim nie poniżył. Wiganda wielka była szkoda dla Polski, bo jak powiada Długosz, porzucił książę zaraz po chrzcie dawne nawykłości; przybrał strój i mowę naszą, stał się szermierzem gorącym kościoła. Szlachetny, skromny, rozumny, zdolny, najdzielniejszym byłby polityki króla na Litwie rycerzem.

Siódmym bratem Jagielly jest Korygiello, Wasil na chrzcie słowiańskim, Kazimierz w kościele łacińskim. Siedział na Mściślawiu, później bronił Wilna przeciw Krzyżakom i Witoldowi. Zginął przy szturmie zamku. Utrzymywano długo, że Korygiellę schwytali do niewoli Krzyżacy i że ścięli go na rozkaz mistrza. Są nawet powiastki, że go powiesili. Strykowski obwiniał znów o tę zbrodnię Witolda. Stadnicki zbija te bajeczne fakta, dowodząc, że Korygiello poległ. Mają pochodzić od tego księcia Czartoryscy, tymczasem dzisiaj stanowczo źródła wykazują, że Korygiello nie zostawił żadnego potomka.

Skirgiello, ósmy Olgierdowicz, jest wielce historyczną postacią, tyle niemal, co Zygmunt Korybut i opowiadaniom dziejów jego Stadnicki poświęca obszerniejszy ustęp. Był to książę, który cały swój

żywot poświęcił Jagielle; zawsze z zaparciem się, zawsze z jednakową wiernością mu służył, czy to jako wielkorządca Litwy, czy jako książę trocki i połocki, pomocnik w rządach, pośrednik, swat, negocyator, wojownik. Wierny, gorliwy, uparty, ale nie tyle zdolny i do tego nieszczęśliwy. Wbrew dotychczasowym faktom autor wystawia Skirgiełłę za wyznawcę kościoła słowiańskiego. Z tém wszystkiem, prawa ręka króla we wszystkich zamysłach i nadziejach odbywał Skirgiełło poselstwo do Krakowa o rękę Jadwigi; potem posadził go król na wielkorządztwie, na gubernatorstwie Litwy. Bardzo dobrze wyrozumował to Stadnicki, że Skirgiełło nie był mianowany Wielkim księciem, takim samym, jak później Witold, ale prostym namiestnikiem królewskim. Dostojeństwo Wielkiego księcia czekało dopiero na Wiganda. Lecz gdy Wigand umarł, zawojował je sobie Witold. Na wielkorządztwie dzielnie się spisywał Skirgiełło. Mimo to, brat zażądał od niego ofiary, poświęcenia się, gdy widoki polityczne tego wymagały i wtedy Skirgiełło ustąpił dobrowolnie władzy Witoldowi. Obiecał za to osadzić Witold Skirgiełłę na Kijowie, ku czemu trzeba było wypędzić Włodzimierza Olgierdowicza. Stadnicki ustanawia rok tej wyprawy na Kijów, dotąd nieznany, bardzo trafnie. Panowanie Swidrygielły na Kijowie nie długo trwało. Książę umarł bezdzietnie.

Ligwen, na chrzcie Siemion, był dziewiątym Olgierdowiczem. Najprzód namiestnik Nowogrodu, ślubował w imieniu Rzeczypospolitej wierność i wszelką pomoc Koronie po ślubie Władysława Jagiełły. Nie umiała z tego Litwa wyciągnąć należytej korzyści. Zrażony tém książę powrócił do ojczyzny i zapisał się na wierność Witoldowi. Otrzymał jako dzielnicę księstwo Mścisławskie i ożenił się z siostrą Wielkiego księcia Wasila, zięcia Olgierdowego. Wrócił potem raz jeszcze do Nowogrodu i nowy spotkał go zawód. Król i Witold opuścili zupełnie Nowogród, w którym podnosił się przez to sto razy wyżej wpływ Wasila. Jeden z najdzielniejszych wodzów Witolda, szeroko zasłynął na północy zwycięztwami swojemi. Mógł się doskonale przydać, ale był zaniedbanym. Od Lingwenisa poszła druga linja, dłużej nieco żyjąca, książąt krwi panującej, jak Słuccy i Bielscy. Była to linja książąt Mścisławskich. Jerzego, syna Lingwenisa, był jeszcze żywot bardzo burzliwy. Uplýwał w buntach lub w udawaniu niepodległego panowania w Nowogrodzie. Ale już dzieci jego bawią się tak samo w majestat mścisławski, jak Olelkowicze w Słucku. Graniczyły obiedwie te linie książęce z sobą i nawet spokrewniały się bliższymi jeszcze stosunkami, jak np. małżeństwem; równy do równego ciągnął. Mścisławscy nie doszli jednakże nigdy do popularnego stanowiska Słuckich na Litwie, którzy byli wciąż pretendentami do osobnej korony litewskiej. Mamy wiele w druku nadanych przez książąt Mścisławskich przywilejów, które świadczą o tym już żywocie udzielnym, majestatycznym. Była i trzecia linja książąt krwi panującej w okolicy: Zasławscy Jawnutowicze. Ta rodzina książęca spłynęła w jedność z Mścisławskiem; ostatni książę z linii Siemiona Lingwenisa, który umarł pod

koniec XV wieku, córkę jedynaczkę wydał za mąż za Michała potomka Jawnuty na Zaslawiu, który skutkiem tego, porzuciwszy mniej widać dostojny tytuł Zaslawskich, przybrał nazwisko Mściśławskiego i prowadził drugą linią książąt Mściśławskich, już nie potomków Lingwenisa, ale Jawnuty. Nie kończy Stadnicki historii tej drugiej linii, bo już ją raz rozpowiedział dawniej pod Jawnutą w *Synach Gedymina*; prawda, że jeszcze dosyć bałamutnie, bo nie było pod ręką tych źródeł, z jakich dziś czerpać można. Dodamy, że z tej drugiej linii Mściśławskich, jeden książę przeszedł do wielkiego księcia Moskiewskiego, i że tam zajął znakomite u dworu i w państwie stanowisko.

Dziesiąty Olgierdowicz jest Minigajło, ale o nim prawie żadnego śladu w dziejach nie zostało.

Jedenastym jest Świdrygiello, Bolesław, książę który bardzo wielką rolę odgrywał na Litwie i jest znakomitą historyczną postacią, nie dla zdolności jednak swoich, ale dla niezmiernie burzliwego charakteru. Katolikiem był. Z tępem wszystkiem jak inni Olgierdowicze słowiańskiego obrządku, długi czas opierał się na Rusi. Niesforny względem króla, nawet względem Witolda, z którym że nie było co żartować, doznał tego na sobie. Wygnaniec z ojczyzny, kilka lat bawił na Węgrzech, o czém nawet potworzono legiendy, że niby na Wołochach trzodeę pasał; poczem przeprosił króla i osiadł, jako książę udzielny na Podolu, czém zyskał dosyć piękne stanowisko. Niewiadomo dlaczego miał szczęście do ludzi. Dwie żądze pomszczenia się na królu i na Witoldzie, potem owładnięcia wielkiego księstwa z prawem zupełnej niepodległości, były to górujące Świdrygielły myśli; ale dla dopięcia tych celów, trzeba było mieć ogromne siły. Stadnicki powiada, że „była to osobistość w zarodzie niepospolita.” Temu stanowczo przeczymy. Świdrygiello jedynie tylko w dziejach znaczył swoją ambicyą i uporem. Wicherzyciel niezdolny, przerzucał się z ostateczności, jednej w drugą. Zacięty wróg korony, wszystkich środków używał, ażeby ję dokuczyć. Ciągłe w stosunkach z krzyżackim zakonem, z wielkim księciem Wasilem, raz wraz wojny podszczywał na króla i na Witolda. Raz nawet w skutek buntu wypędzony długie lata w Moskwie bawił. Pierwszy stawiał opór Witoldowi, który go za to trzymał ośm lat w okowach. Zdawało się, że potem Świdrygiello uspokoi się, jakoż rzeczywiście rachował na śmierć Witolda i wielkim księciem litewskim został. Wtenczas dopiero pokazał się w całym znaczeniu ten niepomamowany, awanturniczy charakter. Podnosił wysoko znamię Litwy, rozrywał ję sojusz z Koroną, króla więził, wywoływał wojny, Krzyżaków burzył, wreszcie upadek swój przyspieszył. Świdrygiello chciał, jak późniejsi za Kazimierza Jagiellończyka książęta, jak Gliński za Zygmunta Starego, środek ciężkości Litwy przenieść z Wilna do Kijowa. Nie udało się to i obalony z tronu litewskiego, w upokorzeniu największém dokonał życia swojego na skromnej dzielnicy w Łucku. I wtedy nawet jeszcze dał powód do kłótni pomiędzy Polską a Litwą o własność Wołynia.

Oto pokrótce treść nowej książki p. Stadnickiego, która w nich nie odbiegła od treści *Synów Giedymina*. Potracone w niej najważniejsze żywotne sprawy historyi i pod tym względem nawet *Bracia Władysława Jagielly* większe mają jeszcze znaczenie w nauce, niż dawniejsze tomy, bo jakby umyślnie skupił w nich autor pomiędzy ważnemi, jeszcze ważniejsze sprawy. A raczej nie autor, tylko historia, bo synowie Olgierda na większym polu działali, a wiele lat później, nie tylko Polskę i Litwę, lecz zajmowali cały świat słowiański.

W książce pana Stadnickiego dużoby się znalazło miejsc, o któreby można było prowadzić spór naukowy. Nie zgodzilibyśmy się z nim, nie na jedno pojmowanie historycznego faktu, nie na jedno scharakteryzowanie osoby. Bronilibyśmy Korony w wielu zdaniach, w których autor udaje ją tylko za wielką dyplomatkę.

Autor pod jednym i drugim względem zbyt jest stanowczy. Przez Polskę działa cywilizacya, kościół zachodni, niekoniecznie jakieś wyrachowania polityczne, daleko sięgające, czysto samolubne. Uważaliśmy to nieraz i w *Synach Giedymina*, że autor mniej przypisuje samemu wyrobieniu się wypadków, logicznemu postępowi historyi, niż jakimś przypadkowym okolicznościom, prawie podstępowi, zabiegom, czyli jak się autor wyraża, poprostu krętym drogom. Nie tłumaczy się w podobny sposób wielkich wypadków, bo wielkie wypadki opierają się zawsze na mocnym gruncie, na daleko sięgających powodach. Podług autora, gdyby nie tak przebiegła była Polska, w tym i drugim razie, nie stałoby się to lub owo, a jednakże w całej historii naszej, matematycznie tego dowieść można, najmniej było dyplomacyi, najwięcej otwartości dziecięcej i powiemy nawet, prostoty. Potrzeba było aż tyrańskiego rządu Krzyżaków, żebyśmy pomyśleli o swoich brzegach Bałtyckiego morza.

W *Braciach Władysława Jagielly* spotykamy zupełnie takie same częstokroć ocenienia faktów, jak i w *Synach Giedymina*. Autor np. powiada, że w Kijowie nie ustanawiał Kazimierz Jagiellończyk województwa po usunięciu linii Olelków, bo Litwa chciała zamienić księstwo na swoją prowincyą na równi z innymi ziemiami Rusi. Powiada, że „Litwini nie przystaliby nigdy na taką, chociaż imienną assymilacyą, ze ziemiami polskimi” (str. 153). Dziwne przeoczenie w autorze, któremu doskonale są znajome wszystkie źródła teraz wydane o dziejach naddnieprskiej słowiańszczyzny. Toż tam na każdym kroku spotykać się możemy z województwami w bardzo różnych grodach Rusi Czerwoniej, Wołynia i ziem nad Dźwiną położonych. Rozszerzyliśmy się o tém więcej w artykule naszym, drukowanym w *Encyklopedyi Powszechnej* pod tytułem: *Wojewodowie, Województwa*. Tytuł był to starodawny słowiański, wprawdzie najpowszechniej używany w Polsce, z Polską też szedł po za granicę ziem koronnych. Wojewodowie lwowscy, przemyscy byli jeszcze przed Kazimierzem Wielkim. Potem trafiają się łucy, brańscy i t. d. Zebrałiśmy wszystkie daty, odnoszące się do historyi wojewodów i przekonałiśmy się, że w wielu grodach Litwy i Rusi

rzadzili wojewodowie jeszcze w XIV, XV wieku. Zapewne wojewoda litewski nie ma jeszcze wówczas tego dostojnego znaczenia, co koronny; ależ i kraj cały do instytucji koronnych dopiero wyrabiać się musiał. Coby więc przeszkadzało temu, żeby Kijów po usunięciu książąt Olelków zyskał wojewodę! Nic temu nie przeszkadza sprawiedliwa uwaga Stadnickiego, że Marcin Gastold został namiestnikiem książęcym. Był namiestnikiem, ale z tytułem wojewody. Kijów był taką prowincją Litwy w owym czasie, jak Połock, Witebsk, Łuck, Włodzimierz. Nie miał udzielnosci większej od tych starożytnych grodów. Kijowianie gniewać się mogli na to, że król usuwa księcia dla wojewody, wszakże pochlebiali im to, że mają dostojnego pana z krwi panującej; za tём nie szło jednak żeby oni tu jaki głos mieli w sprawach politycznych Litwy. Owszem, usunięcie książąt do Słucka. doskonale się tłumaczy samą koniecznością. Książę postawiony w Kijowie na granicach stepu, bawiąc się w udzielnosc, za słabą był zaporą od krymskiej dzicy, która coraz częściej zaczęła nawiedzać Wołyn i Podole lub za niemi na zachód więcej położono kraje Rusi Czerwoněj. Czego nie mógł zrobić książę słaby, to mógł z pewnością namiestnik wojewoda, który jako urzędnik królewski rozporządzać mógł w tych stronach siłami całej Litwy. Wróciwszy do tytułu wojewody, zwrócimy na to uwagę autora, że kniazio wie Dmitry Puciatycz i Jerzy Holszański, równie jak i panowie krwi nie książęcej Jurgi Michałowicz wnuk Montowta i Andrzej Niemirowicz, ciągle się nazywają kijowskimi wojewodami w końcu XV i na początku XVI wieku. W stu dokumentach tak ich wydrukowano, w stu dokumentach śledzić można rozciągłości ich wojewodzińskiej władzy. Autor tymczasem śmiało powiada, że „dopiero po unii województwo kijowskie weszło w życie” (str. 153). Żałujemy, że nie ma tu miejsca do szerszej o tём polemiki z autorem.

Albo np. ta niby owa polityczna gra Jagiełły, która chciała zapewnić niepodległość Litwy po śmierci Witolda? Jakże tu wiele do polemiki z autorem.

Tak samo i wszystkie te autora rozumowania o tём, że Kazimierz Jagiellończyk zupełnie zerwał z Polską, że obejmował władzę na Litwie bez upoważnienia króla. Powtarzamy, nie tutaj dla obszerniejszej krytyki miejsce.

Ale zalety dzieła są zawsze ogromne. Każdego księcia dążenia, sposób myślenia, wiara, doskonale określone.

Polityka Witolda scharakteryzowana jasno w szczegółach. Do tąd uważaliśmy bohatera Litwy za męca, który górował nad ludźmi i okolicznościami, a co chciał, to umiał wykonać. Autor sprawiedliwie robi uwagę, że polityka to była nieraz wielka w zamysłach, lecz mała w wykonaniach, że zawodziła ludzi i sprawy. I może to o nim właściwie byłoby powiedzieć, że chodził krętymi drogami.

Wszyscy Jagiellonowie trzymali się jednej, wybitnej polityki, to jest utrzymać chcieli dzieło, jakiemu podwaliny położył ojciec rodziny. I mądry król Kazimierz radził Litwie, aby jako żaki w wojennej sztuce postarali się o posiłki od wyćwiczonych wojsk koron-

nych, nim sami zaczną wielką prowadzić politykę, w czem znowu na ziemię słowiańskie, podlegle sobie, rachować nie mogą. Mądrość i szlachetność Zygmunta Augusta w kilku miejscach polniesiona.

Genealogiczne badania Stadnickiego jeszcze jedną wielką względem nauki mają zasługę: nie tylko dają nam poznać byt książęcy, ale i społeczne stanowisko i prawa wielu możnych rodzin na Litwie, rodzin, które się potem książęcami poprzyozdabiały godnościami. Do-
tąd powszechnie sądzono, że wszyscy litewscy i ruscy książęta, po staremu kniaziewie, pochodzili od panujących rodzin. Gedymina i Ruryka. Rzeczywiście, cała arystokracja Wołynia, Podola i Litwy tak głośna w ostatnich dziejach Rzeczypospolitej, nosiła mitry w herbie i za przodków swoich liczyła rozmaitych książąt tak nazwanych dynastji litewskich, albo, jak nasi genealogowie podają, jedynowładczą ruskiego Włodzimierza. Skutkiem wydania wielkiej liczby źródeł, prawda historyczna coraz mocniej na jaw wychodzi: znajdujemy kniazów niezmiernie mnóstwo, rozmaitych nazwisk, majątków i stanowisk. Za wiele ich, żeby wszyscy razem mieli pochodzić od panujących dynastji. Najmniej kilkadziesiąt nazwisk odkryliśmy nowych kniazów Sokolskich, Pryhabskich, Sieńskich, Tołoczyńskich, Nieświewskich i t. d. Czyż może być, żeby tak liczne potomstwo przekazały nam panujące rody? Rurykowicze do szczytu prawie wygaśli i to w czasach bardzo dawnych, przedgedyminowskich. Jakże mogły zejść na podrzędne stanowisko nie książąt krwi, ale tylko możnych panów, rody tych kniazów dynastji litewskiej, kiedy jedna linia jej zasiadała nawet tron polski? Rozumiemy to, że polityka Witolda usuwała braci rodzonych króla na drugi plan, żeby z nich nie rozwinięły się czasem potężne rodziny, szukające dzielnic i książęcej niepodległej władzy. Ale jak tu teraz przypuścić, żeby ta polityka mogła od razu stracić takie liczne i z tyłu linii potomstwo? Tymczasem znowu pokazuje się, że polityka Witolda i później Kazimierza Jagiellończyka upokarzała tylko Sluckich, Bielskich i Mściślawskich książąt. Wobec takich wypadków oddawna już stawiliśmy pewnik w nauce, że niekoniecznie wszyscy kniaziewie, o jakich czytamy w latopisach, w źródłach i we wspomnieniach, pochodzą od Gedymina i Ruryka, a dalej drugi pewnik, że książę na Rusi nie oznaczał tego, co w Polsce książę, męża dostojnej krwi, ale po prostu zamożnego obywatela, magnata, niby pana. Szlachciec w Koronie i książę na Rusi miał jakieś prawa, doznawał czci od współziomków swoich. Uważaliśmy dalej, że główną ojczyzną kniazów jest ziemia Wołyńska, że tutaj prawie na każdej wiosce książę siedział i że z tych kniazów utworzyła się jakby droga mleczna po niebie dawnych dziejów. Droga ta mleczna szła północą Wołynia, od Polesia, na południe aż po Ostrog i nad rzekami Sluczą i Horyniem, rozciągała się aż po Dniepr; dalej przechodziła Dniepr na północy Kijowa i tam znowu na Siewierszczyźnie mocno rażącym blaskiem świeciła. Dwie konstelacje gwiazd, dwie kupy kniazów, na Wołyniu i na Siewierszczyźnie. Rodowód Siewierskich da się wyprowadzić od Ruryka: przeważali w tój stronie kniaziewie szalę Litwy i wielkiego księstwa Moskiew-

skiego, stanowili, że tak powiemy, ruchomą granicę, która według powodzeń wojennych, powiększała posiadłości jednego lub drugiego państwa. Ale rody kuziów Wołyńskich nie mogą tak świetnego mieć początku. Przywłaszczyli sobie tytuły, bo żyli jak możni panowie, jak podupadli panujących rodów książęta. Na poparcie tych pewników, któreśmy stawili, zadziwiająco przychodzą odkrycia. Już dawniej, rozprawiając o Lubarcie, Stadnicki wykazał, że potomstwo tego księcia bardzo było zbiedniałe i upadłe, i że wygasło prędko. Sanguszkowie zatem, nie mogą pochodzić od Lubarta Gedyminowicza. Wobec światła bijącego ze źródeł, Sanguszkowie zmienili rodowód i wywodzą się teraz od Lubarta Olgierdowicza. Ależ Lubarta Gedyminowicza nigdy nie było. W *Braciach Władysława Jagielly* Stadnicki wskazując, że ród Korybuta wygasł prędko, przekonał jak nie można dokładniej, że owi Korybutowie Zbarażscy, Wiśniowieccy, oraz mniej sławne ich linije. Poryccy i Woronieccy, żadnego związku z rodziną Korybutów nie mieli. Byłito najprawdopodobniej Mokosieje, których rodzina w swym czasie dostatnia i rozmnożona, potworzyła rody kniaziów, jak Wiśniowieckich, i rody szlacheckie, jak Bakowieckich lub Denisków. Obok tych znakomitych odkryć, nie ostał się i ród Czartoryskich. Trzy genealogje mieli dawniej ci książęta. Jedna wywodziła ich od Konstantego Olgierdowicza, druga od Lubarta Gedyminowicza. Kiedy Niesiecki sprawdzając fakta przekonał się, że ani jeden ani drugi wywód nie jest prawdziwy, zapytał się samych książąt o rodowód, potrzebny mu do znakomitego dzieła. Książęta podali mu wtedy trzeci swój rodowód od Korygielly brata króla Władysława. Wszystkie te trzy tradycje dowodzą, że pewności nie ma i nie było.

Przywłaszczenia na wielką skalę odbywały się dopiero w XVI wieku, kiedy rodziny rozmaitych linii panujących książąt litewskich wygasły. Za ich życia nikt sobie ich krwi przywłaszczyć nie śmiał; dopiero potem dumny kniaź jaki, to jest obywatel możny, podrośszy w znaczenie, w godności i w dobra, które królowie mu ponadawali za służbę, zapragnął krwi dostojnej i wtedyto jeden z dworaków-fałszerzów, jakich nigdy nie brakowało, mógł kniaziewi podrobić herb, pochodzenie i nazwisko. Ojciec np. trzech pierwszych znajomych Czartoryskich nazwał się Wasilem, Konstanty Olgierdowicz zaś miał bezpotomnego syna Wasila. Cóż łatwiej było dworakowi, jak tego, Wasila syna Konstantego, udać za ojca Czartoryskich? Udawały się wtedy daleko lepsze rzeczy. Toć i Sapiehom, rodzinie ruskiej, która ledwie w początkach XVI wieku wyrabia, w lat kilkadziesiąt skomponowano przywilój, który ich wyprowadzał od Narymunda, Punigajły i Sunigajły, nieznanym nikomu potomków Narymunda.

Wobec tak znakomitych wywodów, zakwestyonowane są wszystkie początki kniaziewskich rodów Litwy i Rusi. Pokazuje się, że trwające cały wiek XVII i XVIII podrabiania rodowodów, są już tylko naśladownictwem, i że niema co obwiniać epoki makaronicznej naszej literatury, jakoby w niej tworzyły się owe przesadzone i pełne stęchłej woni panegiryki. Próżność ludzka stara jest jak świat. Rodzi-

ny książęce mają prawo na swój tytuł dla samego przedawnienia i dla konstytucyj sejmowych, które na ich korzyść wypadły. Bądź co bądź, pochodzenia starego od rodów panujących, dzisiaj żaden wywód naukowy usprawiedliwić nie może.

O jeszcze jednej zasłudze naukowej p. Stadnickiego z powodu ostatniego dzieła.

Autor prostuje wywód genealogiczny matki Jagiellów, królowej Zofii, nazwanéj w kronikach królową Sonką. Długo nikt nie wiedział, do jakiej rodziny ją przyplątać. Pan Stadnicki znakomicie ród jéj objaśnia i nawet rozpowiada obszernie historią rodzonych jéj braci i w ogóle całej rodziny. Fakta to niezmiernie ciekawe, pozwalające nam głębiej sięgnąć w osobiste stosunki rodu królewskiego. Sonka była księżniczką Holszańską. Bracia zaś jéj, którzy wielki udział brali w wypadkach Litwy, udzielnie panowali na Wiaźmie. Rodzina Holszańskich kniazów była litewską, ale już nawróciła się na wiarę chrześcijańską w obrządku słowiańskim przed chrztem Jagielly i Litwy. Wysoki jéj przez królową z domem panującym związek, rzucił ją na rozstajne drogi i wkrótce zaczął przeważać w rodzinie katolicyzm. Ostatni téj rodziny potomek, książę Paweł, był znakomitym biskupem wileńskim. Pokazuje się, że królowa, chociaż stosunkowo do Jagielly mniej była rodowitą, sprawiła wielkie dobro, utrzymała możną rodzinę swoją w tradycjach polityki Jagiellońskiej. I pamięć téj wzajemnej życzliwości Jagiellonów i Holszańskich długo przetrwała, bo biskup Paweł z Zygmuntem Augustem uważali się za krewnych. Dzieje rodziny Holszańskich osobno rozpowiedziane ze źródeł, wskazywałyby, jakie to sprężyny i wewnątrz Litwy działały na korzyść polityki Jagiellońskiej.

W dziele p. Stadnickiego tyle rozmaitości, tyle życia, tyle potrąconych najważniejszych spraw żywotnych, że zazdrościmy mu na prawdę studyów tak poważnych i tak sumiennych. Sami chcielibyśmy nazywać się autorami tego dzieła. Najwyższa to zapewne pochwała, jaką recenzent rozbieranemu dziełu oddać może.

Warszawa, 16 listopada 1868 r.

Julian Bartoszewicz.

Xopoimanija (Choroimanija). Historyczne poszukiwania o tańcach, tak starożytnych pogańskich, jak również społecznych i obyczajowych we względzie symbolicznego znaczenia. Napisał Maryan Gorzkowski. Warszawa. 1869.

Pod tym tytułem dał nam pan Gorzkowski rozprawę dotyczącą jednéj ze stron mniej znanych życia starożytnych ludów. A jednak strona ta (twierdzi autor) tak przoważną w historycznym pochodzie i rozwoju tych ludów gra rolę, tyle oryginalnych i zajmują-

cych przedstawić nam jest zdolną tego życia rysów, że bez dotknięcia i należytego jej wyświecenia, dzieje starożytnego społeczeństwa ani by się dokładnie wyłożyły, ani wyjaśnić dały. Bez niej opowiadanie dziejów przedstawiając jakoby szereg obrazów bez akcji, łatwo w chłód i oschłość popaśćby mogło.

Pomimo tego sądzimy, że autor zbyt wielką wagę położył na ową stronę mówiąc, jakoby „Życie społecznego starożytności pogańskiego, jego obyczaje, obrzędy i ceremonie taką przeważną grały rolę w historycznym rozwoju narodów, że bez nich nie można ani ducha zrozumieć, ni pojąć tych wszystkich późniejszych faktów dziejowych, tych obyczajów, obrzędów, gier, nawet zabaw, które koleją czasów albo historia zapisywała na kartach albo chowały tradycje.”

Przeważa w książce autora widocznie część erudycyjna. Greckie rozdziałów i ustępów nadpisy (tębardziej gdy są spolszczone) nie psują bynajmniej logiki w rozumowaniach jego i wywodach. Niezmiernie jest on obfitym pod względem spostrzeżeń i cytat, osobliwie z dzieł starożytnych czerpanych. Widać że dzieło to wiele go kosztowało pracy, wiele mocołu. I przyznać trzeba, że praca ta istotnie nie bez pożytku będzie i dla dalszych na tym polu badaczy. Źródła z których czerpał, wymienia autor na końcu swego dzieła. Widzimy tam długi szereg dzieł łacińskich i greckich autorów, kilka włoskich, jedno staro-francuzkie i cztery polskie, mianowicie rozprawa o tańcach Brodzińskiego. Teatr starożytny Wojcieckiego, Świątowa rozkosz z r. 1624 (Morsztyna) i cytacje z dzieł Lelewela, Gołębiowskiego i Albertrandego, oraz co do tańców rossyjskich Nomonkanomy Mogiły Piotra. Nie myślimy tu obwiniać autora że nie korzystał jeszcze ze źródeł tak bogatych nowo-francuzkiej, angielskiej i niemieckiej literatury, poznanie których, erudycy jego i tak już wszelkiego uznania godnej, nadałyby zakrój szerszy i głębszy, a rozprzezierając pogląd z nowego na przedmiot o którym mowa, dozwolili mu spojrzeć, stanowiska. Ale dziwić nam się trzeba temu, że chcąc mówić o tańcach polskich, nie starał się poznać lepiej wszystkich nowszych źródeł polskich, jak np. napomknien o tańcach i muzyce w dziełach Sikorskiego (mianowicie w tegoż: *Ruchu Muzycznym*). Sowińskiego: *Les musiciens slaves* (Paryż), artykułów Encyklopedyi Powszechnej, artykułu Karola Czerniawskiego drukowanego w *Bibliotece Warszawskiej* za rok 1847 (pod tyt. *Charakterystyka tańców*) i pomnożonej dodatkami broszury tegoż: *O tańcach narodowych* (Warszawa 1860). Odczytawszy je rozwinąłby dokładniej pogląd swój na tańce naszego narodu i więcej w społecznych rycerskiego dopatrył pierwiastku.

Stusznie rozpoczyna autor swój przegląd od tańców z religijnych wynikłych pobudek. Tańce takie wielkie już miały znaczenie u starożytnych narodów, mianowicie u Hebrajczyków i Greków; muięj nieco u Rzymian. Na część każdego prawie bożka osobne w Grecyi wyprawiano ceremonie z tańcami, których nazwy i charakterystyka doszły naszej wiadomości; opisywano je atoli bez wskazania ich ruchów i kroków, tak jak nas doszła i teorya greckiej muzyki

bez żadnych prawie przykładów w nutach i znakach muzycznych. Najuroczyściej pod tym względem obchodzone było święto Bachusa, o którym autor wiele zajmujących przywodzi szczegółów, osobliwie gdy mówi o maskach i bachantkach. Tańce pierwotnie w chrześcijańskim nawet społeczeństwie, ważną część rytuału kościelnego stanowiły, długi czas posługiwano się niemi, dopóki zakazy i nowsze wyobrażenia nie wyгнаły je ze świątyń Pańskich, słaby tylko pozostawiający odblask w processjach, pochodach solennych i t. p. Święto Bachusa rozpowszechniło się szeroko po starém pogaństwie, ślady jego napotykają się nawet w słowiańszczyźnie a ztąd i w Polsce. Nacechowane jednak w Grecyi niekarnością i wyuzdaniem, upadło z czasem. Obszernie autor rozbiera śpiew i taniec Sobótek (str. 45) opierając się jedynie na słowach Kochanowskiego, którego myśli stara się odgadnąć i dopełnić: poczem przechodzi do rozbioru kupały i obrzędów ruskich. Przy tój sposobności mówi i o akcesoryach, jak o rodzaju modlitwy, o scenie, szatach, obrządkach i t. p., wreszcie o tańcach odprawianych po kościołach katolickich.

Daléj przechodzi autor do opisu tańców rycerskich, którym nie mniejszą od religijnych naznacza starożytność. Niektóre z nich, mianowicie w Grecyi były czystą gimnastyką, gdy inne do pantomimy się zbliżały; taniec Pyrryhius wchodził już w zakres obrzędów. Dość szeroko rozwodzi się późniéj o naszym polonezie, co mu nastrocza sposobność dotknąć i dziejów muzyki w Polsce ze źródeł powszechnie znanych.

Mówiąc następnie o tańcach okolicznościowych, domowych i obrzędowych, zastanawia się nad życiem domowém u pogan i chrześcijan, o obrzędach i zwyczajach z tańcami i śpiewami wykonywanymi podczas zrękwoin, weselnych godów, uczty, gonitwy i t. p. Grecy mieli mnóstwo tego rodzaju tańców, które od najdelikatniejszych poczawszy ruchów, dochodziły do zmysłowych a nawet sprośnych; wielu téż tancerzy greckich rozgłosną na cały świat ówczesny cieszyło się sławą. I w Polsce, powiada p. Gorzkowski, wiele było tańców domowych, lecz wspomnień o nich i opisów zbyt pozostało mało. Tańce równie jak obyczaje i mody z Zachodu przejmowane już za czasów Gwagnina nie nosiły prawie swojskiego na sobie piętna; pochopność do naśladowania obcych wzorów tłumiła i na tém polu narodowe życie. Wspomina jednak o dawnych tańcach o których wzmiankuje Morsztyn w *Światowej rozkoszy* r. 1624 niedokładny ich dając zarys, jak np. o Lipce, Fortunnym, Hajduku, Świeczkowym i t. d. Łukasz Gołębiowski również wylicza nazwy różnych tańców, bez szczegółowego ich określenia. Szerzej opisany jest taniec *Plaszek* (Przepiórka) o którym napomyka Bohdan Zaleski równie jak tańce o których pisał Ludwik z Pokiewia (*Litwa* i t. d. r. 1846). Daléj przytacza tańczonego na Pokuciu Arkana, Cząbra Krakowskiego i Stryjenkę wspomnianą przez Pola i t. d. Na Ukrainie między innemi, ulubionym jest taniec Rusałek w drugi dzień Zielonych Świątek wykonywany, o czém szerzej rozpisuje się Gołębiowski. Do rzędu tańców okolicznościowych polskich zalicza au-

tor naprzód Kuliga i Bachusa. Kulig przecież była to raczėj zabawa karnawałowa połączona z tańcami, mianowicie krakowskiemi. O mazurze więcj podaje szczegółów, określjąc go dość trafnie; należało mu jednak odczytać i to, co o tym tańcu mówi Czerniawski; jest to podobnie jak Krakowiak, Kolomyjka i dzisiejszy Kozak, taniec domowy i towarzyski, nie bez pewnego odcienia wojennego. Prawięc o rozmaitości Mazura, ubolewa autor nad monotonią muzyki Krakowiaka. Bierze on tu rytm (a i ten nie bywa jednostajny) za jedno z melodyj; znać nie znał innej Krakowiaka nuty, jak tylko ową znaną powszechnie, która lubo ładna, stała się już u nas i po całej niemal Europie oklepaną. Lecz na gruncie krakowskim, znalazłby autor nie mniej może obfite jak i w Mazowszu źródło prześlicznych i oryginalnych motywów. Monotonia taka raczej dopatrzyćby się dała w Kolomyjce, acz i tu nie brak urozmaicenia. Kozak, dziś taniec społeczny, niegdys istotnie wojenną miał cechę; i tu wiele trafnych co do natury tego tańca poczyniono uwag, choć im podobne znajdujemy już w dziełku Czerniawskiego.

Tańce teatralne, mimiczne i popisowe przedstawiają krótki lecz dość starannie opracowany rozdział. Już w głębiokiej starożytności było onych mnóstwo. W Grecyi tańce takie ważną długi czas odgrywały rolę w publicznych i prywatnych zebraniach. O nocy, jako postaci który podobnym sprzyja zabawom, ciekawe nam autor przytacza szczegóły z dzieł starożytnych poczerpnięte.

Najszerzej opracowanym jest rozdział o baletach. Już w starożytnym Egipcie wszystkie tańce, mówi autor wyobrażały ruchy niebieskie i harmonijne świata; to też tańczyli egipscy kapłani wokoło ołtarza, niby pod słońcem, krążyli prócz tego wyobrażając znaki zodyaków niebieskich, po których słońce robi jak roczny tak równie codzienny swój obrót. Z tego miały powstać późniejsze strofy i antistrofy starożytnej tragedyi i ody Pindara, gdzie chóry w jedną i drugą posuwały się stronę. Później weszły balety i do komedyi. Arystoteles nazywa balet czynem, obrzędem lub obyczajem, który się za pomocą tańczenia wyraża; więc i balet także jak i inne piękne sztuki, ma naśladować naturę i być obrazem dziejów. Balety tańczono pierwotnie ze śpiewem, a potem przy odgłosie instrumentów. Autor przy tej sposobności mówi o instrumentach muzycznych szczególnie o fletach, o akordach, modulacyach, i w ogóle o muzyce u starożytnych. Ustęp ten słabo wymotywowany i wyłożony, pokazuje, że autor przedmiotu tego należycie zgłębić jeszcze nie zdołał. Mówi także o teatrze i rozkładzie sceny, o strojach i występach aktorów i t. p. Z kolei przechodzi do baletów nowożytnych i opisuje jak one wytworzyły się i ukształtowały we Włoszech, Francyi, Anglii i Polsce.

Ostatni rozdział poświęca autor pantominie, tak ściśle złączonęj z tańcem. Wyrobiła się ona u Greków z mimiki, a tańcem i ruchem wyrażała różne myśli, do których tamta użyła gestu a nawet i słowa. Równie bujnie jak u Greków rozkrzewiła się pantomina i u Rzymian; tańce pantomimiczne tu i tam z jednakowem wyko-

nywano zamiłowaniem. Francuzi naśladowali jednych i drugich, wprowadzając do swych pantomim postaci mitologiczne. Choreografia dawniej Polski mało powiedzieć zdola o tańcach popisowych mimicznych, lub teatralnych w tym kraju; w najnowszej dopiero epoce sztuka ta w Warszawie wzniosła się do pewnego stopnia doskonałości równie jak i balet. U ludu w zaciszy domowego życia, rozrość się ona nie mogła. Wszakże już za czasów Kazimierza Sprawiedliwego, o czém wspomina Kadłubek, miawały miejsce tego rodzaju widowiska. Długosz wspomina o jedném, które pantomimicznie zamordowanie Ludgardy przez Przemysława przedstawiało. Tańce wraz z pantomimą wyprawiały się i przy przedstawianiu dyalogów. Tu mówi autor o teatrze starożytnym w Polsce, do czego posłużyły mu głównie wiadomości z dzieła Wojcieckiego czerpane. Na tém kończy on rozdział o pantominach. Praca jego jest sumienną i nauczającą, a nie wątpimy że zyska w czasem na znaczeniu, gdy ją autor uzupełni spostrzeżeniami z nowych czerpaniami źródeł i z nowego przedstawieniem stanowiska.

W końcu zamieścił p. G. spis (czyli słownik) tańców różnych narodów, starożytnych i nowożytnych. Są tu pewne, zwłaszcza co do nowszych, przepomnienia. Naprzykład przy tańcach włoskich brakuje Ciacone, oraz odmian niektórych nazw (Saltarello, Padova, Vilanella, Romanesca); przy hiszpańskich Zapateado i t. d., przy francuzkich Menuetta, Rigudona i t. d., przy niemieckich Allemandę, Sarabandę, Lendlera i t. d. przy słowiańskich Polkę, Koło, Oryla, Skoczka i t. d. Negry mają namiętny taniec la Chica. Wcale też nie wspomina o tańcach węgierskich, holenderskich, szkockich i t. d.

W każdym razie dzieło to bardziejby mogło czytelnika zająć, gdyby je nie kaził wielce niepoprawny język. Niepoprawność za tém więcej razi, im górnieszym autor przemawiać pragnie stylem; wówczas staje się zawilym, nadętym, niezrozumiałym. By kilku przykładami twierdzenie nasze poprzeć, przytoczymy tylko to co autor mówi zaraz na str. 3 swego dzieła: „Nie ma w grobach już dzisiaj żadnych prawie kości; nie ma w grobach już dzisiaj żadnych nawet cieni! znikły one, rozwiały się wkoło; nawet echa zastygły kołysane po falach powietrza, zostawiwszy *li tylko* po sobie jakąś nicość głuchą i t. d.”

Na str. 104 wyraża się autor w ten sposób: „Człowiek to chaos! To niby świat jakiś oddzielny, ale świat ów dawniejszy, w swym prototypie pierwotnym; gdy jeszcze ni ziemi nie było, ni nieba, kiedy nie było dni jeszcze, ani chwil żadnych. Człowiek, to niby świat ów pierwotny, kiedy go Pan Bóg w dniu pierwszym utworzył, z tą tylko różnicą, że w świecie nie jeszcze wówczas wyraźnym nie było, a teraz jest wszystko w człowieku wyraźne, przeplatane i w kupie.”

Na str. 103 powiada: „Zresztą Kozaka opisał naprzód Brodziński, *choć* jego opis wcale się z naszym nie zgadza. Opis ten znajdzie czytelnik w rozprawie jego o tańcach; potem o tymże tańcu pisał Nowosielski Antoni w rozprawie swojej: *Lud ukraiński*. O tańcu Hopaku, Tropoku i Czeboriaczce lub Czabaraszce, ten się ostatni

tańczył ze śpiewami; tenże sam Nowosielski się rozpisuje i inni autorowie, do których *ryczałem żądnego szlemy człowieka.*" To ostatnie wyrażenie ma znaczyć, że autor do tych wszystkich autorów ciekawego odsyła czytelnika.

Oskar Kolberg.

P. Roman Bierzyński wydał w r. b. w Paryżu dziełko w języku francuzkim pod tytułem:

„*Somatologie de la femme études physiologiques.*”

O tej pracy wspomniało niedawno jedno z pism peryodycznych tutejszych, wzmiankując jednocześnie o korespondencji, jaka się z tego tytułu wywiązała między p. Bierzyńskim, a Alexandrem Dumas synem.

Mając sposobność przejrzenia wspomnionego listu i odpowiedzi nań autora, a nadto przeczytania samego dzieła, którego w handlach księgarskich tutejszych nie ma, uważamy za obowiązek podzielić się z czytelnikami wrażeniem, jakieśmy ztąd odnieśli.

Przedmiot to bowiem arcy ważny, dotykany dotąd od czasu do czasu po największej części w pismach peryodycznych i bardzo pobieżnie.

Zadanie prostego sprawozdawcy, odbiera nam możność wyczerpnięcia kwestyi; lecz może stanie się hasłem, pod którem wyjdą do walki inni na właściwem polu.

Tytuł sam dzieła z dewizą:

„*Chaque centimètre de son corps est un mystère*” pokazuje, że autor zapatrywał się na przedmiot traktowany głównie, lubo nie wyłącznie, ze stanowiska fizyologicznego. Forma traktowania jest wprawdzie aforystyczną, ale w pewien systemat ujętą. P. Bierzyński przeprowadza kobietę od kolebki przez wszystkie fazy życia, i każdą z nich własnymi spostrzeżeniami, uzupełnianymi zdaniem różnych moralistów, określa.

W ogólnych uwagach przytacza, że kobieta jest jak nauka; im więcej ją kto bada, tém mniej poznaje. Kobieta jest kłamstwem natury, powtarza z Arystotelesem, jest to istota niezupełna, stanowiąca własną antytezę. Kobieta obdarzona zdolnościami mężczyznami, jest błędem stworzenia. Kobieta powinna być miłością i poświęceniem, dlatego stworzono ją nie z głowy, lecz z żebra Adamowego; siła jej leży w jej słabości, karłów robi olbrzymami, a tych rozbraja, zuosi cierpienia fizyczne z siłą, do jakiej mężczyzna zdolnym nie jest, ugina się, ale nie łamie.

W naszej epoce podniosła miłość chrześcijańską do godności obowiązku społecznego i prawa politycznego. Ta giętkość jednak

kobiety, będąca wpływem jęj organizacyi sprawia, że kobięta jest zagadką, trudną do rozwiązania.

W liście, o którym wspomnieliśmy, Dumas nazywa kobięte „fatalnością fizyologiczną”—zapewnie rozumiał przez nią to, co pan Bierzyński nazwał „zagadką” (enigme).

Oko kobięty zakochanej widzi wszystko; najmniej to, co jęj odkrywają, a najwięcej, co przed nią zasłaniają, bo jęj oko widzi, chociaż nie patrzy. Męczyzna ma oczy na to, aby patrzeć, kobięta, aby w nie patrzoło (Spectant, ut spectantur ipsae) Ovidius. Ale zarazem stawia autor obraz kobięty zranionej w swoim uczuciu; jest ona wtedy najniebezpieczniejszą, bo ma broń w sobie. Łatwiej jest rządzić narodem, niż jedną kobiętą, dlatego w niektórych krajach przepisano wiek lat 14 do wstępienia na tron, a 18 do wejścia w związki małżeńskie.

Rzemiosło literackie jest dla kobięty strojem chybionym; lepiej jęj przystoi pióro na głowie niż w ręku. Dosiada ona pegaza jak zwykłego rumaka: tylko z jednęj strony.

Kobięta jest ostatnim wyrazem stworzenia; wprzódt były stworzone światy, mastodonty, lew, człowiek—a dopiero kobięta. Lecz gdy Stwórca odpoczywał, lubując się własnym dziełem, przyszedł szatan i porwał kobięte, aby ją dokończyć. Nie będzie ona nigdy wyłącznie żoną, matką, gospodynią domu, zostanie zawsze kobiętą; ale jęj doskonałość nie zależy na tém, aby się stała męczyzną lub jemu zupełnie podobną, bo wtedy staje się potwornością.

Kobięty nie analizują, nie rozumują, ale czują i wierzą, sądzą fakta bez śledzenia przyczyn, twierdzą, zamiast dysputować. Na mityngach heroin emancypacyi, ograniczają swą ambicyę do przewodniczenia, lub godności sekretarstwa, a męczyznom zostawiają obronę swęj sprawy. Dlaczego panie Leo, Bosquet, Gagneur nie przestają używać pseudonimów męzkich, dlaczego Mis Helena Marie Weber, kapłanka emancypacyi swęj ptci, sprzedaje na placach New-Yorku swe wyroby w ubraniu męzkim? Dlaczego Mistress docteur Harbrouck i miss docteur Mary Walker, przychodzą na mityngi ubrane po męzku? dlaczego *dyrektorka* poczt nazywa się sama *dyrektorem*? Oto dlatego, że mimowolnie oddają przez to hołd idei, którą zwalczają.

I oto ogólna myśl, jaką autor rozwija w następiujących rozdziałach rozbierając w nich rozum, serce, chęć podobania się, koketeryę, kaprysy, ciekawość, postępowanie kobiet między sobą, młodość, wychowanie, miłość małżeństwa, pojęcia religijne, starość, związki efemeryczne, zazdrość i t. d.

Zawsze będzie coś do powiedzenia o kobietach, dopóki z nich jedna zostanie na ziemi.

Kobięta rozumna, piękna i dobra, jest prawdziwym skarbem nieba, bo jęj umysł chodzi na równi z sercem. Bóg tylko jeden umie czytać w sercu kobięty. Każda kobięta, nawet cnotliwa bez kaprysu i powabu bez wabności lubi, aby na nią patrzano—pię-

kna kobieta jest rajem oczu, piekłem duszy, czyscem kieszeni. *Być i błyszczyć*, te dwa wyrazy są jednym dla kobiety.

Martiales mawiał do Rzymianek:

„Ty jesteś kłamstwem, żyjesz w Rzymie, a twoje blond włosy rosną na brzegach Renu. Jagody twych lic świeże, są dziełem twych niewolników. Mężczyzna nie może ci powiedzieć: Ja cię kocham; ty nie jesteś tém, co on kocha, i nikt nie kocha tego, czém ty jesteś.”

Lubi się stroić nawet idąc na mszę... a jeżeli świętość nie wiele tu zyskuje, to szatan nie więcej traci— lornetka bywa często drogą serca.

Kobieta może się wyrzec miłości, wabności nigdy. Kiedy się mówi z zalotnicą, trzeba słuchać tego, co myśli, nie tego, co mówi.

Kobieta wychowana w kaprysach, w małżeństwie nawet szuka zaspokojenia kaprysu i ciekawości.

Cnota kobiety, jest jak księżyc, ma swoje fazy zmiany i zaćmienia, pokazuje rogi zakochanym wschodząc, a mężom, zachodząc. Piękność, która nie spada ze swego piedestału, jest aniołem cnoty.

Kobiety się nie kochają między sobą, zanadto zazdroszczą sobie, aby być zdolnymi do przyjaźni, tej łagodnej mądrości serca.

W listach kobiety post-scriptum dopiero wskazuje cel korespondencji.

Kobiety nie mogą żyć bez gadania, żyją, jak mówią. Szczepiotanie ich, jestto strumyk nieustanny, który płynie ze źródła czystego i który choć nie głęboki, ale czysty, w jego zwierciadle odbija się luby błękit nieba, a na powierzchni jaśnieją kwiaty uroczce w pełnym rozkwicie.

Mężczyzna da się złapać na komplement oklepany, kobieta wymaga pochlebstwa dowcipnego i niezwykłego.

Młodą niedoświadczoną dziewicę prędkiej zwabić można przez głowę, niż przez serce. W samotności bardziej niż wśród wiru świata, zły duch czycha na młode dziewice, i zastawia na nie najzłubniejsze sidła.

Łatwiej kochać kobietę starą, która jest młodzieńczą, niż młodą, która jest starą. Kobieta lepiej zna mężczyznę, niż mężczyzna kobietę. Jest ona wyborną potrawą... godną bogów, jeżeli jéj diabeł nie przyprawia. Natura wlała w żyły tej trwożliwej łani krew tygrysa. Trzy są istoty, które idą do celu oddalając się od niego: dyplomata, rak i kobieta. Dla Bokacyusza kobiety były aniołami ziemi. Agryppa utrzymuje, że mogą dłużej od mężczyzn płynąć pod wodę, a Pliniusz twierdzi, że są mniej napadane przez lwów. Ale to dziś sprawdzić się nie da, nie ma lwów między dzisiejszą młodzieżą, bo dziś aby lwem zostać, dosyć mieć żółte palto, nowy kapelusz i... wąsiki. Zwiędłe to, zdenerwowane pokolenie nie ma krwi w żyłach, nie zdolne ani kochać, ani nienawidzić.

Wychowanie powinno uczynić kobietę tém, czém być powinna; jedną z dźwigni prawdziwego postępu ludzkości. Tylko religia może tworzyć dziewice czyste i matki dobre. Kobiety noszą wiadomości jak dyamenty: przy świetle salonów. Mężczyzna jest głową kobiety, kobieta sercem jego; w tém leży warunek miłości doskonałej.

Kobiece „nigdy” niech nas nie niepokoi naprzód, jak kobiece „zawsze” niech nas nie czyni pewnymi potem.

Każda kobieta jak dojrziała jagoda wpada z czasem w ręce człowieka kochającego, który ją pielęgnował.

Jeśli kobieta nie umiera z ran, które jej miłość zadała, to prędkiej się z nich wyleczy niż mężczyzna.

Małżeństwo jest początkiem kobiety, końcem mężczyzny. Ta idzie zamąż aby wejść w świat, ten się żeni, aby zejść z niego.

Jedną czwartą miłości, a trzy czwarte przyjaźni tworzą najszczęśliwsze przywiązania. Kobieta dla męża winna być naraz dzieckiem, matką, żoną i siostrą.

Piękna kobieta jest to szylt pozłacany, stroną świetną obrócony do świata, a ciemną do męża.

Wierność małżeńska często podobną jest do księżycy; widać go tylko po zachodzie słońca.

Kobieta wtedy staje się żoną, gdy zostaje matką. Trzeba być zawsze mężczyzną, nawet u nóg swój oblubienicy. Jeżeli mężczyzna przez siłę swego ducha i energię woli, pragnie ziemię podnieść do nieba, kobieta nawzajem, pragnie niebo przychylić do ziemi i stać się aniołem zwiastującym bytność jego. Kobieta zamężna jest listem, który doszedł przeznaczenia, panienska listem, który czeka na adres, a stara panna jest listem nie frankowanym, który się błąka po skrzynkach pocztowych.

Kobieta jest widnokretem mężczyzny, gdzie niebo łączy się z ziemią; tędy to właśnie bardziej niż którędyindziej wdzierają się anioły i szatany.

Położywszy to ogólne tło do obrazu kobiety. p Bierzyński w rozdziale XVI podaje charakterystykę wziętą z notysek jakiegoś turysty szwedzkiego, kobiet różnych narodowości. Jest to ustęp bardzo zajmujący, a tém powabniejszy, że w nim znajdujemy rysy kobiety polskiej. Włoszka z zaniedbaniem i samolubstwem łączy w sobie naiwność plastyczną. Indywidualność kobiecea w Niemczech i Anglii może przejść w męskość. Francuzka ma jej także nie mało.

We Francji mężczyzna panuje, a kobieta rządzi; Angielka nie zrówna wynalazczego i praktycznego umysłu Francuzki. Hiszpanka swém uczuciem głębokim i wielką siłą umysłu przewyższy Francuzkę i Włoszkę; miłość jej jest raczej tyranją, a nie poświęceniem się i abnegacją. Hiszpanka umie panować, rządzić, ale nie umie służyć.

W kobietach teutońskiej rasy łagodność nie równoważy siły.

Polka jest kobietą, w całym znaczeniu tego wyrazu; ma serce czułe, namiętność nieświadomą siebie, a jednak słodką i szlachetną, zdolną do wszelkiej ofiary.

Do przymiotów estetycznych, wdzięków pobożności i heroizmu Hiszpanki, dołącza naiwność Włoszki, bez przymieszek jej egoizmu i zaniedbania. Schludne, pracowite, skromne w żądaniach Polki zdolne są marzyć bez ciała, lubo w jednej chwili zdolne są dać się porwać uczuciu głębokiemu i prawdziwemu. Rysy twarzy regularne, ruchome odbijają z trudną do wypowiedzenia precyzją, najłżejsze odcienia sensacji poruszających duszę; głos słodki i harmonijny współdziała cudownie w zmiennej a wyrazistej grze ruchów i fizyognomii; czuć w tym głosie syrenę i furę, coś z pieszczoty francuzkiej i dźwięczności włoskiej. To Hiszpanka północy, której wdziękiem rezygnacja i smętność.

Pomijając tę malowniczość obrazowania, żywość stylu, humorystyczność spostrzeżeń, lekkość formy, których próbki chcieliśmy dać poznać w ustępach przytoczonych, znajdujemy w książce p. Bierzyńskiego i cel szlachetny i pobudki głębokie.

Jest on przeciwny w zasadzie emancypacji kobiety takiej, jak ją dziś pojmują apostołowie tej idei, bo pragnie, aby kobieta została tém, do czego ją Opatrzność przeznaczyła.

Nic nie zastąpi dla niej pierwszego wychowania; najlepsze to, które lekko oświecając serce, nie budzi nadto imaginacji, które czyni dziewczę zdrową i silną—jednym słowem, wychowanie moralne, jakie tylko rozumna i cnotliwa matka dać może.

Gdy natura kobiety jest wpływem organizacji jej mózgu, różna od męskiej, młode dziewczęta powinny być wychowywane do życia prywatnego, na dobre obywatelki, poddane obowiązкови i moralności.

Całą wadą dzisiejszego wychowania jest bezproporcjonalność pragnień do środków ich zaspokojenia. Dziś wszystkie klasy są równe w obliczu cygara, które zrodziło jednakową możność duszenia się.

Dawna organizacja społeczeństwa wkładała na kobietę obowiązek współdziałania produkcyjnego w utrzymaniu rodziny.

Pracowały kobiety wedle swych sił i możliwości, wielkie damy i królowe, otoczone służbą podejmowały trudy, jakich wynagało urządzenie domu. Homer mówi o 12 służkach Penelopy, żona Karola Wielkiego miała pod sobą 100 rzemieślników pracujących wewnątrz dworu cesarskiego. Gospodarstwo wewnętrzne było warsztatem, którym kierowała pani domu. Wielka przemiana przemysłu stworzyła wymagania nowe i zmieniła ekonomię społeczną. Cygare, krynolina i giełda zrodziły w głowie kobiety ideę równego stanowiska jej praw z prawami mężczyzny. Zbytek i próżność wdarły się w życie kobiety, a ponieważ fortuna i pozycja nie zawsze są w równowadze, i wychowanie przeto w ogólności straciło proporcjonalność między pragnieniami, a środkami ich zaspokojenia. To właśnie utrudza związki małżeńskie, tworzy zastępy

kobiet zniewolonych pracować na swą egzystencję. Jest takich dwa miliony w Anglii i prawie tyle w Niemczech.

Machiny zmniejszyły sumę zajęć kobiecych. Kobieta jest zmuszoną dla wyrobku przyjmować warunki narzucane, wydaną jest na tyranie nędzy, na niebezpieczeństwo walki indywidualnej, a między pieniądzem a nędzą zawsze się gnieźdzą występki. Cnoty tak łatwe dla bogatych, stają się dla biednych źródłem walk bohaterskich i prawdziwych dramatów. Pieniądz jest namiętnością tak jak miłość, ale głód jest czémś więcej... jest koniecznością, prawem.

Igła kobiety zostawionej sobie nie zasłoni od głodu, nie da jej kaszmirów ani dyamentów.

Hafty i stroiki, o które się wielkie damy targują z taką cierpkością, często są zroszone łzami biednej pracownicy.

Zaradzić temu może tylko stopniowe kształcenie kobiet, aby się stały umysłowo dojrzałemi, aby nabrały dosyć karności do rządzenia samemi sobą, nie marząc nigdy o tém, co jest przeciwne ich organizacyi.

To nam przypomina zdanie jednego z głębokich spostrzegaczy, że nie stanowisko kobiety, ale jęj wychowanie, w którym się zamyka wychowanie całej ludzkości. potrzebuje zmiany; nie stanowisko kobiety trzeba podnieść, bo ono jest szczytne ale należy wynieść kobietę *do godności jęj* posłannictwa.

Oto Metoda p. Bierzyńskiego, który w zakończeniu wypowiada pięknym boginiom, że rady jego są tylko nowym zbiorem cierni na tém polu, a jeżeli się ośmielił objawić różne zdania o piękniejszej części rodu ludzkiego, nie ukrywał jednak wad i drugiej jego połowy.

Są to spostrzeżenia robione na indywidualach wyjątkowych i nie dotyczą ogółu tych szlachetnych i delikatnych stworzeń boskich, którym dano w udziale instynkta, posłannictwa, stanowiska i obowiązki rozliczne, ziano cuda natury i wdzięku, wzniosłość uczuć, słodycz obejścia, delikatność umysłu, skarby miłości i pobożności, wytworność ruchów, wyższość taktu i przenikliwości, a przede wszystkim prawo pełnienia w ognisku domowém dzieła jednania i miłości.

Mówi p. Bierzyński i o owych istotach pół świata, co są jak kwiaty zatrute w złoconych kielichach, o tych Magdalenach, co pustyni nie znają, a kończy słowami jednego z dawniejszych myślicieli:

„Les adversaires les plus dangereux sont les admirateurs systematiques.”

Idei swęj broni autor wszędzie, zawiązał w tym przedmiocie korespondencję, o ile nam wiadomo z p. André Leo arcykapłanką, mitingów emancypację kobiety apostołujących, jest w dalszej komunikacyi naukowej co do tego ważnego przedmiotu z Alexandrem Dumasem synem, który obecnie drukuje przedmowę do swego „Przyjaciela kobiet,” a jaki ztąd rezultat powstanie, zapewne nie zostawi czytelników bez wiadomości.

Dumas zgadza się w głównej zasadzie z p. Bierzyńskim, że kobieta jest zagadką, że wzbudza w nas wysokie natchnienia, ale przeszkadza w ich wykonaniu; zapowiada tylko, że różnić się będzie w rozwinięciu swego principium i zarzuca autorowi somatologii, że się nadto przywiązywał do *faktów*, a mało śledził *przyczyny*.

P. Bierzyński podjął pracę w szlachetnym celu, a choć uzyskał uznanie areopagu intelligencji Zachodu, nie obojętnym jest dla niego i ocenienie dzieła tego przez ziomków, dla których pragnie by się stało korzyścią. Zapewne więc pracę swoją p. Bierzyński przebierze w suknie swojskie, aby się stać mogła przystępniejszą dla większej liczby tutejszych czytelniczek i postawić autora w rzędzie pracujących na niwie piśmiennictwa krajowego.

J. M.

„Złoty Jasienko” powieść przez J. I. Kr.—„Kometa” powieść Henryka Lisieckiego.—„Drahomira” tragedia w 5ciu aktach Weilena, przekładu W. Anczyca.—„Filiberta” komedia w 3ch aktach E. Augiera, przekładu K. Kaszewskiego.

Na horyzoncie księgarskim tak mało pojawia się nowości, że zdawałoby się iż niedługo autorowie przestaną pisać a publiczność czytać. Prawda, że mnogość kalendarzy, zwiększająca się z każdym rokiem, jakby na znak obudzonej potrzeby kalendarzowej, utrzymuje przy spamietaniu alfabetu, ale też ponad te wysilenia których się i najuboższy księgarz nie zleknie, przedsiębiorczość i produktywność literacka, prawie nie idzie dalej.

Powieść, ten najpoczytniejszy jeszcze teraz towar, rzadko się ukazuje (mówimy tu o powieści zasługującej na tę nazwę), a gdy się szuka nazwiska autora, znajduje się to samo co przed laty kilku lub kilkunastu. Starzy i zasłużeni szermierze pióra, tworzą i dalej z niewygasłym ogniem, z niewyczerpanym zasobem poglądów, na świat i coraz się zmieniające przejawy społeczne. Młodzi duchem, niezawzięci, wierzą jeszcze w koło czytelników, dla którego piszą; dlatego dzieła ich nie odstręczają naga, realistyczną ale względną prawdą; dlatego znać że postacie ich powieści to ludzie ze wszystkimi słabościami, ale i pełni cech człowieczeńskich, wyższych, że walka i cierpienia jakie przechodzą, są rzetelnie moralnym ich znamieniem. Czasem, z uszczerbkiem może życiowej prawdy, ścielą oni drogę ideałowi, o którym młodsza generacja pisarzy, chce bezwarunkowo zapomnieć. Życie, to pasmo białych i czarnych chwil, zbrodni, wysokich cnót, genialnych uniesień i zwierzęcych popędów; staje się pod otówkiem malarza obyczajów, jedną lub drugą ostatecznością. Lecz ostateczność dopytująca się zagadki życia w jego bezpośrednich, materialnych wynikach jeźli

dowodzi daru obserwacji, to znowu działa na wrażenie niszcząco, zgubnie i rozkładowo. Nie wolno pisarzom, mającym powołanie bronić zasad świętych i niewzruszonych, zapuszczać sondę w organizmie człowieczym na to tylko, ażeby sprawdzić że tam istotnie działają funkcyje fizyczne; niewolno obracać się w ciasnym jedynie kółku codziennych przeznaczeń, bez wskazania promieni nieba odzwierciedlających się w duszy. Fotografia z natury, prawda dotykalna i namacalna, nie stanowią pisarza, któremu powinni wierzyć czytelnicy. W tém cała sztuka i cała zasługa powieści, że stwarzając obrazy prawdziwe, ludzi rzeczywistych, że skreślając nędzę nieodłączną na ziemi, słabości i namiętności, nie oddala się przecież od świetlanego punktu wyższych celów, od idei wiążących dolę doczesną z dolą wieczną.

Do takich wytrwałych, zawsze cel wyższy mających na oku pracowników, należy przedewszystkiem bez zaprzeczenia J. I. Kr(aszewski). Niewiedzieć, czy podziwiać niezmierną i nadzwyczajną płodność tego gorącego pisarza, czy piętno prawdy, życia i miłości ludzi, wybitne w najdrobniejszym jego utworze.

W każdym, bez nudnego gwałtem narzucanego morału, tkwi zasada moralna wypływająca sama przez się, z toku opowiadania, z zestawienia przygód ścierających się z bohaterem, z walki brzydkich nawet namiętności. Autor ten nie omija śliskiiej sytuacji, drażliwego plastycznością rysunku, ale poznać łatwo, że się w tém nie lubuje, że odsłonił posągi nie dla podbudzenia ich nagością zmysłów, ale dla zapoznania z czystością i pięknością linii. Jeżeli każe postaciom swych powieści kalać się w błocie nałogów i złych namiętności, poniżyć godność człowieczeńską, to czyni to z wyższych pobudek, z konieczności nagromadzenia światła i cieni, zlewających się ostatecznie w jasną światłość. Ażeby uniknąć niebezpieczeństwa, potrzeba je poznać, ażeby hołd oddać cnocie, potrzeba znać jój walkę z występkiem, potrzeba poznać sam występek w całej jego sile i doniosłości. Tylko w starciu się otwartém złego z dobrem, w współdziałaniu widoczném obydwóch żywiołów, tkwi prawdziwe zwycięstwo. Nie dlatego cnota powinna zwyciężyć że jest sama przez się cnotą, ale dlatego że jest istotnie zbawieniem i wyższym czynnikiem. O ile więc potrzeba do przeciwstawienia, obrazów ciemnych, czasem choćby jaskrawych, o tyle są one nawet konieczne i nie powinny razić nikogo. Powieść jest odbiciem życia, odwzorowaniem człowieka. Tak jak w człowieku walczy złe z dobrem, ohyda z szlachetnością, tak i w powieści jeżeli ma sprawić wrażenie, też same przeciwieństwa znajdować się mogą.

Kraszewski celuje właśnie umiejętnością złożenia powieści z takich organicznie ze sobą powiązanych sprzeczności, wykazując przez to ułomność natury ludzkiej a więc i niemożność kreślenia postaci bezwarunkowo dodatnich. Starając się zawsze pochwycić naturę w rozlicznych jój przebiegach, uniknął niesmacznych idealnych abstrakcyj. W tem jego zasługa, a w zasłudze téj najlepszy odpór krzyczącym na jaskrawość, jednéj z nowszych jego powieści

(Orbeki). Bohaterowie jego, prawda, czasem zbyt słabi, zbyt poddający się naciskowi fatalnych okoliczności, aleć zawsze są to ludzie rzeczywisci, choć nie sięgający czołem w obłoki. Niepodobac się może, że Orbeka ulega w tak rezygnacyjny sposób nikczemnej zalotnicy, ale to niemniej pewna, że i silniejszy od niego charakter gdy raz pozwolił się owaćdnać namiętności, uledzby musiał. W tém sztuka i zastuga, ażeby się nie dać owaćdnać; w tém kara, że się odrzuciło wolę i rozum a puściło wodze zmysłom. Autor jednak dlatego skreślił tę namiętność w całej ohydzie i zgrozie, ażeby wykazać jęj szkodliwość, a więc czytelnika pobudzić do refleksyi.

W najnowszej powieści tego autora zatytułowanej: „Złoty Jasieńko” mamy do czynienia nie z namiętnością podbudzającą do gwałtownych czynów, ani z ową ubezwładniającą działanie rozumu i woli, ale z występkiem, ubranym w strojną szatę ambicyi światowej. Bohater nazwany „złotym Jasieńkiem” jest złym i zepsutym z natury, z usposobienia, z krwi czy jak tam kto tłumaczyć chce te wpływy. Każdy czyn jego, to zaparcie się uczuć, obowiązków najświętszych, jako: miłości synowskiej, wdzięczności, przyjaźni; każdy postępek jego to zimny, obłudny i wyrafinowany egoizm. Obrawszy sobie za godko: bogactwo i znaczenie, postępuje w tym kierunku konsekwentnie, niezblaganie, depcząc bez litości wszelkie przeszkody, choćby się nazywały własną matką. Logika zbrodni jego ściśła, tak jak logicznym jest jego charakter do pewnego punktu, to jest dotąd, dopóki nie żądamy wyjaśnienia przyczyn, jakie się złożyły na wytworzenie tyle zepsucia. Złe wychowanie nie może tu być przyczyną, gdyż matka jego, prosta kobieta, ale pełna cnót, i miłująca go całą duszą, a wreszcie brat, wychowany tak samo, na ulicy w biedzie i nędzy, jest przecieź dzielnym, pełnym szlachetności młodzieńcem. Cóż więc zrobiło go złym? Tego usprawiedliwienia autor nie dał wcale, a potrzebne ono niezbędnie tam, gdzie chodzi o główną osobę, o bohatera powieści. Nikt nie przychodzi na świat z gotowym i wyrobionym charakterem: tysiące okoliczności składa się na to.

W „Złotym Jasieńku” tych okoliczności wcale nie znamy; staje przed nami odrazu zły człowiek, z całą świadomością swęj złości, z całym planein dojścia do celu ambitnych widoków, z poświęceniem najdroższych krwi swojej osób.

Poznajemy go, jako wziętego i głośnego mecenasa w pewnym mieście, trzymającego w najlichszej izdebce swoich wspaniałych apartamentów starą matkę, której się wstydzi, a która kocha go bez pamięci, z szatę najwyższej macierzyńskiej miłości; dowiadujemy się zaraz na wstępie że tenże mecenas ma brata Wilmusia, który zszedł na ulicznego urwisa i to właśnie z jego winy: dowiadujemy się wreszcie że niejakiemu p. Simonowi, bankierowi żydowi zawdzięcza mecenas nagłe swe wzniesienie się i fortunę, za co mu się odwdzięcza najpodlej.

Jeżeli tak fenomenalnie źli ludzie istnieją rzeczywiscie w świecie (o co się nie sprzecamy), to w powieści, zwłaszcza od tak wy-

trawnego mistrza, wymagamy usprawiedliwienia psychicznego. Sumienie człowieka pragnie wytłumaczenia i zaspokojenia. Za tyle otrzymanych dobrodziejstw, za przejście z ostatecznej nędzy w bogactwo i poważanie, nie odpłaca się bez przyczyny krzywdą, zdradą i złością, inaczej potrzebaby wierzyć w ślepe i tajemnicze działanie krwi, w fatalizm przeznaczenia, wiszący nieubłaganie nad każdym, od urodzenia.

Zgodziwszy się jednak na gotowy już charakter, śledzimy go z zajęciem, które wytrawne pióro podtrzymać umie do ostatka. Przebieżmy pokrótce treść powieści,

„Złoty Jasiętko” jest mecenasem słynnym i wziętym w pewnym mieście. Zazdroszczą mu wszyscy dostatków, urządzenia eleganckiego domu i pańskiego przyjęcia. Zazdroszczą mu przyjaciele domu, ci którzy go znają z daleka, i ci którzy go znali dawniej, gdy jeszcze był ubogim kancelistą. Ale tych ostatnich nie wielu, jest nim zaledwie niejaki Tramiński, stary kancelista, zdolny i prawy człowiek, który nie umiał nigdy w życiu ani podskoczyć, ani podleźć. Złota młodzież grywa u mecenasa po nocach w karty, pije szampana, a i najpoważniejsi obywatele radzi bywają w domu gościnnym, gdzie gospodarz ma zawsze na ich przyjęcie otwarte ramiona, słodkie słowo i doskonałą piwnicę. Między innymi bywa u niego pan prezes, personat, świecący karmazynowem pochodzeniem i wielkimi dobrami. Na panu prezesie, spoczęły ambitne nadzieje mecenasa. Połączenie się z córką jego, dałoby mu odrazu fortunę i zatarłoby zarazem gminne pochodzenie, odkrycia którego boi się jak wiecznego potępienia. Nie dziw przeto, że gdy po orgii całonocnej, zaszedł do nędznej izdebki stariej matki, znieść nie może jej serdecznych uścisków, jęć łez sierocych, jęć pieszczot któremi obsypuje „swego złotego Jasiętko”. Pan mecenas drży ażęby się kto nie domyślił, iż ta stara sponiewierana klucznica jest jego matką, kochającą go bez pamięci, z szalem, z popełnieniem nawet krzywdy względem młodszego syna Wilmusia, którego syn starszy, wstydzający się prostego chłopaka, odpędzić jęć kazał. W miarę, jak plany mecenasa dojrzewają staje się on coraz okrutniejszy, bo nie pozwala staruszce mieszkać przy sobie, nie pozwala jęć jedynej radości i pociechy, jaką czerpie w krótkiej godzinie gdy się nań napatrzeć może. Po straszliwej scenie, w której nadaremnie błagała o pozostanie i nadal u niego, rozchodzą się na zawsze, stara matka w odległy kąt ubogi, gdzie wkrótce w rozpacz uniera, otoczona troskliwością i poświęceniem młodszego, pogardzonego Wilmusia, a wyniosły i twardego serca syn pędzi naprzód, knując co raz nowe plany i spekulacje, które go w końcu najhaniebniej zawiodą. Pan prezes albowiem, potrzebujący go chwilowo, siedzi w długach po uszy, a córkę wydaje za kogo innego; ciocia prezesówny, zalotna baronowa, ludząca mecenasa czas jakiś, gdy otrzymała znaczny spadek, poślubia dawną miłostkę, oficera od huzarów; dawny dobrodziej mecenas, bankier

Simon oburzony za jego niewdzięczność, wypowiada mu wierzytelności, tak, że nadchodzi czas, w którym trzeba jednym zamachem zwyciężyć lub zginąć. Żłoty Jasieńko, na którym śmierć matki niewielkie sprawiła wrażenie, wybrał drogę pośrednią. Sprosił wielką liczbę gości na Sardanapalową ucztę, podczas której nie spalił się wcale, lecz się tylko ulotnił wraz z gotowizną, jaką się zebrać dało, aż po kilku latach odnajduje go brat w Homburgu w domu gry, jako krupiera. W hierarchii społeczzeńskiej, nie wiemy jakie krupier zajmuje miejsce, ale pojmujemy doskonale, że w hierarchii moralnej, to jedynie miejsce taki człowiek mógł zająć.

Jakkolwiek „żłoty Jasieńko” główną jest w powieści figurą, z rozkoszą jednak odrywamy uwagę od niego, i przypatrujemy się takiemu panu Sebastyanowi, Tramińskiemu i młodszemu bratu Wilmusiowi. Wilmuś to dziecię ulicy, urwis i pozorne ładaco, ale przechowuje skarby nczucia w piersi, gdy je wydobyć trzeba dla bliźnich i dla rodziny. Z pijaczyny i włóczęgi, staje się dzielnym rzemieślnikiem, ośladzą ostatnie chwile matki, odwdzięcza za przyjaźń dobrodziejowi swemu Tramińskiemu, słowem składa żywy dowód, czém stać się może i najbiedniejszy człowiek, gdy ma nie zepsute serce, zdrowe ręce i energią. Malowany z natury farbami żywymi i dosadnymi. Z pana Sebastyana urobił autor typ małowieszczanina, starodawniej prostoty i prawości. Dom w którym mieszka, żona, otoczenie i sposób zatrudnienia, wszystko ze sobą zgodnie powiązane, i wielce charakterystyczne. Nie możemy tu wchodzić w szczegóły, w opis pojedynczych scen silnych i dramatycznych, np. sceny rozstania mecenasa z matką: dość powiedzieć, że po przeczytaniu, zostaje się na długo wrażenie, jakbyśmy co dopiero pożegnali dobrze znane nam osoby, a niektóre sercu naszemu drogie.

Z nazwiskiem autora powieści „Komety” p Henrykiem Lisieckim spotykamy się poraz pierwszy. Wielom służyłoby to mogło za uniewinnienie, p. Lisiecki tego bynajmniej nie potrzebuje. Wprawne pióro, głęboki dar spostrzegawczy, zdolność analizy cokolwiek nawet za subtelną: znamionują przymioty nietuzinkowego pisarza. Umie trzymać uwagę czytelnika w ciekawości naprężonej, czasami prawie gorączkowej, co mu się może jedynie w tym wypadku nie chwali. To bowiem oczekiwanie gorączkowe i niezdrawe, wypływa z obioru przedmiotu przedstawionego z talentem, ale jaskrawo i drażliwie. Łatwo zrozumieć że przedmiotem jest: kobieta i jej smutny a wielce oryginalny upadek. Kobieta zaś jedna z pośród tysięcy, wyjątkowa, dla tej właśnie przyczyny może słuszniej nazwaną byćby powinna: *Kometą*, które jak wiadomo rzadko się pojawiają. Niema powieści bez bohaterki, bez miłości, prawda to stara od czasu jak romans napisany poraz pierwszy: ale ta konieczność nakłada na autora pewne obowiązki, których się pomijać nie godzi. Miłość prawdziwa jest tylko jedna, ale sposób jej przedstawienia, zmienia się stosownie do indywidualności piszącego. Od tej też indywidualności zależy, miłość tę ubrać

w strojną a nadewszystko świeżą szatę. Francuzcy pisarze, siłą się na oryginalność w tym przedmiocie tak wyczerpująco wyzyskiwanym. stwarzali heroizmy przestraszające wyjątkową potwornością, niestety w niektórych szczegółach prawdziwą. Pani Sand była i jest mistrzynią w tym względzie. Lecz idąc w jej ślady stwarza się kobietę nie będącą typem, lecz raczej fenomenem, a dzieje takiej nie będą romansem obyczajowym, ale monografią ciekawego, i nie zaprzeczamy, możebnego egzemplarza. Będzie to niby mamut nowoczesny, z kości którego, wolno wnioskować o szczególnych i nadzwyczajnych własnościach.

Toż i Erasmus w sławnej swojej „Pochwale głupstwa” tak się wyraża o kobiecie: „Kobieta jest, przyznać trzeba, stworzeniem niezdatnym do niczego i szalonym, ale w każdym razie zabawnym i wdzięcznym, tak, że towarzystwo jej osładza to, co geniusz męczyzny mieści w sobie smutku. Platon, niewiedząc do jakiej zaliczyć klasy kobietę, czy do zwierząt rozsądnych, czy innych, chciał przez to zaznaczyć szaleństwo płci pięknej. Bo gdyby przypadkiem kobieta chciała udawać mądrą, uwydatniałyby jeszcze bardziej swój brak rozsądku.. Kobieta pozostanie zawsze kobietą, to jest szaloną, jaką bądź przywdziałyby maskę..”

Słowa te napisał myśliciel w ironicznej satyrze, a jakby ich rozwinięcie szerokie, znajdujemy dziś w bohaterce powieści „Komety” Jest nią hrabina Ida O. Niepodobna skreślić nam szczegółowo jej charakteru, na który składały się same awanturnicze przygody, właśnie go objaśniające. Urodzona i wychowana na szerokich drogach Europy, po których jej matka wiecznie goniła, wzrosła pod okiem guwernantek wszelkiej narodowości. Ojciec zajęty był wyłącznie fabrykami i spekulacyami. Edukacja sła kosztawo, dopełniała ją rozmaitość obrazów codziennie przesuwających się przed oczami. Mając lat 17, mogła się stać niebezpieczną rywalką księżnej matki; wydano ją więc za bogatego hr. O. zużytego życiem i wiekiem. Ida oczekując świetnej swobody, przystała chętnie na zmianę, ale się gorzko zawiodła. Starzec albowiem, trawiony ogniem niewczesnej namiętności, zamknął skarb swój na wsi, i udurzył go miłością, do której idealnie piękna kobieta, czuła wstręt nieprzewyciężony. Przytem hrabia był brudnym sknerą, obrzydliwym moralnie, i napół idiotą. Wynikłe ztąd sceny małżeńskie, doprowadzały ją do chęci odebrania sobie życia, aż po jednej scenie krwawej i skandalicznej, wyratował ją hrabia August, młodzieniec szlachetny, pupil hrabiego O. którego się tenże bał, bo go w prowadzeniu opieki oszukał.

Odtąd żyła w separacyi, mając sobie zapewnioną znaczną pensyę. Odtąd też zaczyna się właściwa powieść.

Pozbawiona temperamentu, jak się autor wyraża, oschłego serca, z niezastygłym wstrętem do męczyzn, wyniesionym z małżeńskiego pożycia, piękna niepospolicie i wyzywająca, rzucała się w najdelikatniejsze entreprzyzy, doprowadzała je do ostatnich granic, a wtedy... w chwili rozwiązania, odpychała z zimnym szyder-

stwem, posuwając do okrucieństwa kamienną nieczułość. Igrając z uczuciem czuła się w swoim żywiole, a w tej igraszcze znajdowała niewymowne rozkosze.

Oto krótka a dosadna charakterystyka bohaterki. Z niej wpływały rozliczne komedye któremi się bawiła, tragedye, służące jej za probierz doświadczenia, i ostatni smutny epilog, którego padła ofiarą. Sztukę uwodzenia posunąwszy do wymarzonego stopnia doskonałości, znajdowała w niej cel życia i jedyną przyjemność. Nie więc dziwnego, że jakiś Anglik literalnie dla niej umarł, że drugi się zastrzelił, i że nareszcie, trzeci... współbohater, prawdziwie, to jest na śmierć i życie w niej się zakochał. Na imię mu Zdzisław. Autor przedstawia go jako młodzieńca przystojnego, ukształconego, światowego, znającego kobiety, intrygi i szermierkę miłosną. Po dwakroć w życiu rozczarowany, okrył się pancerzem obojętności, którego nie myślał już zdjąć kiedykolwiek. Lecz przerachował swe siły. Hrabinę nęcił upór młodzieńca i jego wytrawność chłodna, opierająca się spokojnie, umiejętnie nastawionym nań siđłom. Po długiej, obustronnej walce, po wypróbowaniu wzajemnych sztucznych ogni, zaczęła się prawda, zaczęła szczerłość, rozgorzała w sercu Zdzisława wielka i potężna miłość, a i serce czy nerwy hrabiny zdręgnęły żywiej po raz pierwszy w życiu.

Świat, znający Idę jako kobietę przelotnych i tygrysiich kaprysów, odradzał zacnemu Zdzisławowi połączenia się z nią węzłem dozgonnym; odradzał też wierny jego przyjaciel hrabia August; ale zakochani nie widzą i nie słyszą, a hrabina na przekór światu, postanowiła oddać mu swą rękę.

Rozpoczęto kroki rozwodowe, wymagające wiele czasu i kosztów. Niecierpliwy Zdzisław nie szczędził ofiar, zabawiając tymczasem w najdziwaczniejszy sposób rozgrymaszoną śliczną zalotnicę, która wzorem Kleopatry gotowa była perły zjadać w potrawie, byle jeden dzień nie podobien był drugiemu, byle fantazyj swęj nie ocieplonej uczuciem, jakkolwiek uczynić zadość. Cały ten ustęp mający stanowić chwilę przedślubną, skreślony po mistrzowsku, z wielką znajomością jeśli nie kobiecego serca, to kobiecych nerwów i kaprysów.

W trakcie rokowań o rozwód i miłosnych rozmów, które naprężeniem poczęły niepokoić Zdzisława, otrzymuje hrabina list z Wenecyi, donoszący jej o śmiertelnej chorobie księżnej matki. Wyjeżdża, a z nią Zdzisław.

Zaledwie kilka dni pobyli na miejscu, gdy zakochany dostrzegł na czole Idy zadumą, nudę czy znużenie, a pewnego poranku prowadząc ją pod ramię, uczuł drgnięcie jej ręki w chwili gdy się odkłoniła księciu F. To go ubodło, ale nie było czasu do rozpamiętywań, bo go Ida pod pozorem jak najszybszego zakończenia sprawy rozwodowej, wysyła do kraju. Zdzisław tęskny, strapiiony odjeżdża, a po jego odjeździe zaczyna się część druga

powieści, będąca zarazem nowym zwrotem w życiu téj przez autora nazwanej „*kometry*.”

Opowiemy ją króciutko i najlepiej, gdy podamy życiorys księcia F. Należał on do rzadkich zjawisk w naszym społeczeństwie. Wychowany od dzieciństwa surowo w Niemczech i Anglii; matki nie znał nigdy. Wróciwszy do kraju, zastał majątek w trzech czwartych zrujnowany; pozycją podkopaną. Wziął się z energią do odbudowania fortuny. Począł od zaparcia się długów ojcowskich; zreformował administrację nieprzebierając w środkach. Po kilku latach oczyścił hypotekę, pozakładał fabryki i podniósł gospodarstwo. Zastanawiając się nad sobą, ułożył sobie systemat na przyszłość. Stał się egoistą z potrzeby i dumnym z doświadczenia. Pamiętał gdy z niego z początku drwiono, w miarę zaś wzrastającej liczby banknotów, zauważył niepospolite znaczenie i poważanie do jakiego nagle doszedł. Kłaniano mu się nisko i bano potężnie. Odtąd miał się za istotę wyższą, a ludzi za narzędzia; został materialistą z przekonania, gardząc wszystkim w co ludzie wierzyć przywykli; wyrobił sobie własną filozofią redukującą się do powierzchownych pojęć honoru. Ożenił się wczesnie, z rachuby; w domu był nieograniczonym despotą. Ogromnie już bogaty, rzucił się w spekulacje finansowe; w tym celu wyniósł się do Paryża. Nazwiska użył za paszport otwierający mu podwoje świata finansowego. Majątek rósł jak na drożdżach; zakupił dobra we Francji. W zimie otwierał salony, a każdy jego gość przedstawiał z pewnością jakiś kapitał rzeczywisty, znaczenia lub stosunków.

Księżę miał przytém namiętności zimne, a potężne i skoncentrowane. Żadna kobieta w życiu jego, miejsca ani na chwilę nie zajęła, ale téż mało która oprzec się potrafiła, tak umiał zapanować nad każdą. Każdy stosunek zrywał pierwszy w sposób wzbudzający najgłębszą nienawiść, wzbudzał téż strach nieopisany i pociąg nieprzeparty.

Spotkawszy Idę, przezuaczył ją sobie zawczasu za zdobycz. Odgadłszy młodą kobietę, podjął się jęj edukacji. Sztukę szatańską demoralizowania kobiety, posunął do wysokiej doskonałości, uprawiając ją z zamiłowaniem i wielkim talentem. Obchodził się z nią lekko i z ironią, drażniąc ją niezmiernie w próżności, której posiadała niemało. Idę upokarzała przygniatająca wyższość mężczyzny, magnetyzował szyderyczy jego uśmiech. Uczuwała do niego wstępl i atrakcyę.

Krótko mówiąc, hrabina Ida, dotychczas tryumfująca z wszystkimi, zwłaszcza z kochającymi prawdziwie, a więc dobrowolnie zrzekającymi się krwi zimnej i rozwagi, zmałała nagle i spokorzyła w obec silniejszej od nięj organizacyi, w obec zimnego wyrachowania widzącego w nięj piękne tylko cacko, mogące przytém posłużyć za narzędzie do pewnych celów. Księżę albowiem chciał otworzyć w Paryżu salon, w którymby królująca Ida ściągala wszystkie znakomitości francuzkiej stolicy. Jest dosyć prawdy psy-

ebicznej w tém zetknięciu się dwóch organizacyi, jednej słabszej, drugiej silniejszej, zwłaszcza w tych razach, gdy jak tutaj, niema żadnego moralnego gruntu. Pustkę serca Idy, mógł jedynie podlechać taki książę, obiecujący jój berło władzy niewieściej w najpierwszym salonie stolicy Europy. Ulega mu téż bezwładnie, jakby zaczarowana wzrokiem bazyliuszka; traci cześć swą niewieścią bez miłości, bez możności usprawiedliwienia jój jakąbądź okolicznością, i wyjeżdża wraz z księciem do Paryża, zrywając okrutnie, nielitościwie związki z zacnie kochającym ją Zdzisławem. Ale Zdzisław zjawia się nagle, w chwili przed wyjazdem, a gdy się sprawa wyjaśnia, wyzywa księcia na pojedynek. Ciężko raniony, złamany i zgnębiony moralnie, nie może zapomnieć kobiety, którą ukochał na wieki.

Lecz i hrabinę, bliska dosięga kara. Za poniewieranie uczuciem, za przyprawienie o rozpacz tych, którzy dla niej poświęcić się byli gotowi, odpłaca jój książę tyrańskim swém i zimnem obejściem. W ciężkiej chorobie traci zdrowie i piękność, a świat wielki Paryża, który nigdy nie wierzył w prawdziwość jój tytułu, wynioskował skandaliczny przebieg z jój choroby, i opasał ją niby sznurem, haniebną potwarzą. Sznur ten musiał ją prędkiej później zdusić. Rzeczywiście tak się stało. Ugodzona najdotkliwiej w miłości własnej, w dumie (gdyż ją książę porzucił) w jedynem drgnięciu serca jakie uczuła dla Zdzisława, słowem we wszelkich zasadach które budzą się w sercu kobiety w chwili uroczystej, zapada coraz bardziej na zdrowiu, i wtedy nie waha się zawezwać Zdzisława, jedynego w którego wierzy, iż jój i teraz przebaczy, iż jój do ostatka będzie aniołem stróżem.

Zdzisław przyleciał na skrzydłach niewygasłej miłości, kilka tygodni otaczał troskliwością macierzyńską, nawróconą Magdalenę, aż ta, w objęciach jego spokojnie skonała. Zdzisław przywdział sukienkę Missyonarza. Książę F. dowiedziawszy się o tém, mruknął pod nosem:

„Kto jój winien.. była stworzoną na uczciwą kobietę... jak wszystkie Polki”. W tém ostatniem orzeczeniu księcia, mieści się poniekąd myśl autora. „Była stworzoną na uczciwą kobietę” ale jój tego nie dozwoliła odrębna organizacya, wychowanie i inne postronne wpływy. Zakończenie expijacyjne powinnyby usprawiedliwić wiele zdrożności pióra autora, którym podlegać nie wolno. Nie chodzi nam tu już o sam przedmiot, tak powtarzający się w ostatnich czasach w naszej literaturze, ile o pewną zuchwałość szczegółów, o pewne wykończenie zamiłowanie drobiazgów, któreby nawet francuzkiego czytelnika zastanowiły. Nie nazywa się moralizowaniem, przestrzeganiem przed jaskrawością pewnych scen lub plastycznym wyrzeźbieniem pewnych szczegółów, które i w najsilniejszym gorącym namiętnością utworze, ominąć wybornie można. ominąć potrzeba. Nasza społeczność na zupełnie innych warunkach zbudowana, na zupełnie téż innych podtrzymać ją należy. Nikt nie radzi zakrywać oczu, ażeby nie widzieć niebezpie-

czeństwa, ale wcale niepotrzebnem jest posługiwać się lupą lub mikroskopem ażeby dojrzeć z całą dokładnością, wszelkie plamy i plamki. W życiu dzieje się wiele, co się dzieć nie powinno; w powieści przeciwnie, ma być przedewszystkiem to, co się dzieć *powinno*, byle przedstawienie oparte było na żywej prawdzie i na możebności natury. Często co jest rzeczywiste i istotne, co jest *względnie* prawdziwe, nie zawsze jeszcze ma warunki owéj *prawdy*, którą słusznie estetyka nazywa *pięknem* i *dobrem*. Piękno absolutne jest to, przed którem każdy zgina kolano, wierzący i niedowiarrek. W sztuce, piękno jest może najwyższą moralnością.

Między nowemi książkami ukazał się pierwszy tomik „Biblioteki utworów dramatycznych oryginalnych i tłómaczonych”, wydanie M. Glücksberga. Zawiera on „Drahomirę,” tragedję w 5 aktach Józefa Weilena, przełożoną z niemieckiego przez W. L. Anczyca.

Pochwalamy ze wszech miar i samo wydawnictwo tego rodzaju, i wybór początkowy. Rzecz sama zakreślona szeroko, obejmująca szczytnością dwa walczące ze sobą światy: stary rozsypany się w gruzy, i nowy rozkwitły bluszczem religii, miłości i nadziei. Przedmiot nie nowy, bo niejednokrotnie już przedstawiali poeci walący się pogański Rzym, ustępujący miejsca potężnej idei Chrystyanizmu, lub bałwochwalczą cześć pierwszych kształtujących się ludów, znikającą przed nowem światłem; ale dramatyczność w téj tragedji idąca w parze z pięknym i jedynym językiem, wyróżnia go z pośród wielu innych, jemu pokrewnych.

Starożytna Praga jest miejscem rozgrywającego się dramatu. Osoby rzucone na tło jego, to przedstawiciele, jakieśmy rzekli, dwóch idei: staréj, pogańsko-słowiańskiej, lękającej się wraz z religią utracić potęgę narodową, i nowéj: przynoszącej miłość, rozproszenie ponuréj nienawiści, odosobniającej od innych ludów, walącej barbarzyńskie przesady, krwawe ludzkie ofiary, ufność ślepą w siłę brutalną pięści i miecza. Pierwszy kierunek reprezentuje Ludmiła matka zmarłego właśnie co panującego księcia, wraz z współkrzewicielem misionarskim ojcem Pawłem; drugi Drahomira jéj synowa, zaślepiona w czci swych ojczystych bogów, nie dająca się nagiąć nowéj wierze, mimo że się usunął od niéj ukochany małżonek i że jedyne dziecko oddalono od zgubnego jéj wpływu.

W chwili śmierci księcia, wodzowie Łuzyc, ojczystego jéj kraju, wzywają Drahomirę, ażeby podźwignęła upadającą cześć bogów w Słowiańszczyźnie, ażeby objęła ster państwa należący jéj z prawa, a odpedziła precz mnichów i srogą dla niéj Ludmiłę. Tuman najgorętszy poganin, roznieca wojnę domową, którą dostojna i bogobojna Ludmiła zażegnuje przebaczeniem, i ofiarowaniem Drahomirze tronu, byle się wyrzekła dawnéj wiary. Nadarmo: Drahomira chce panować *pogańskiej* słowiańszczyźnie, odrzuca ofiarę,

domaga się tylko namiętnie, ażeby jęj powrócono syna Waclawa. Lecz Ludmiła obawia się złęgo jęj wpływu, obawia się, ażeby zaszcępięone w sercu młodzieńca ziarno chrystyanizmu, nie przydu-siła potęga kochającęj a trwającęj w zgubnęm bałwochwalstwie matki. Skłonięna jednak prosbą wnuka, zezwala, gdy wtęm Tuman kochającęj oddawna Drahomirę, skrytobójczo zabija Ludmiłę, a syna Waclawa wydać matce nie chce tak długo, aż ta zosta-nię jego towarzyszką. Nieszczęśliwa matka nadarmo wzywa po-mocy ludu; lud miłującęj Ludmiłę, jako swą najlepszą matkę i opie-kunkę, wre wściekłym gniewem, rzuca się na hałce Tumana, roz-braja go i prowadzi Waclawa w tryumfie.

W scenie ostatnięj, Waclaw przechodzi straszną walkę, między miłością dla długo oczekiwanej a teraz zbrodniczęj matki, a czcią i uwielbieniem dla świętęj i niewinnie zgładzonej Ludmiły. Z rozpaczą mówi do nięj:

„Syn nie może sędzią być swęj matki.
W niepamięci straszny czyn Twój grzebię.
Ale idź ztąd, opuść ziemię tę,
Bo ratunku nie masz tu dla Ciebie,
Gdzie lud zemsty za śmierć księżnęj chce”.

Biedna matka, u któręj miłość dla dziecka przygłusza wszy-
stkie uczucia, błaga:

„Wspomnij na me trudy i boleści!
Nie dość, że mnie dziecie nie popieści,
Lecz od matki swą odwraca twarz!...
Jam w cierpięniach srogich Cię powiła,
Jam do łona Ciebie nie tuliła,
I nie czułam co to pieszczot raj,
A dziś stracić na wieki Cię muszę.
Więc nim na te skażesz mnie katusze,
Choć raz nazwę słodką matki daj.

Waclaw rzuca się w jęj ramiona. Drahomira już dla niego wiarę swą poświęcić gotowa, gdy wtęm uderzenie piorunu zapala pogrzebowy stos księcia nieboszczyka. Poganka bierze to za Peruna grzmot i woła w uniesieniu:

„Ha rozumięm, to jest bogów głos:
Tym piorunem znak mi z nieba dano,
Abym strzegła wiarę mą zachwianą,
Mnie wołają nasze bogi stare.

Rzuca się na stos, wszyscy stoją w niemęm przerażeniu,
Waclaw kończy uroczyscie:

... Stwórcę jęj odpuści
Bo najczystsą miłością jest Bóg!”

Górującym żywiołem dramatycznym jest tu: miłość macierzyńska Drahomiry. Dla niej cierpi, roznieca wojnę domową, popełnia bezwiednie zabójstwo Ludmiły. Uczucie wielkie szczerne, zbliżające ją do skruchy i pojednania, bratające ducha jej z ideą odkupienia, i jeżeli pozornie wytrwała w błędzie, oddając się bogom, to już znać, że czyni to raczej z rozpacz, z wewnętrznego rozdwojenia, ze zwątpienia w doskonałość wiary wyssanej z mlekiem.

Efekt dramatyczny łączy się tu z efektem teatralnym, który powinien być niepośledni w wielu scenach.

Tém bardziej zyczyłoby wypadło przyswojenia téj tragedyi dla warszawskiej sceny, iż przekład p. Wł. Anczyca zaleca się pięknosciami niepospolitą. Takich przekładów, potrzeba ubogiej naszej literaturze dramatycznej jak najwięcej, bo wtedy przekład dorównywa wartości pracy oryginalnej. Pozwolił sobie przytoczyć tu jeszcze jeden ustęp. Wypowiada go Drahomira w chwili, gdy przybyli wodzowie z Łużyc, przypominają jej rodzinne strony:

„Obym mogła uciec z téj krainy,
O Łużyce! kraju mój jedyny!
Wciąż o tobie tęskne serce śni.
Odra z Łabą, rodne dwie siostrzyce
Srebrnym nurtem pieszczą me Łużyce,
W nie ja biedna puszczam moje łzy.
W gajach świętych płonie stos ofiarny,
Niw tych drogich muich nie skala czarny,
Co wyrывa mężów z łona żon.
I wydziera z rąk macierzy syna:
Niech zmarnieje matka i dziecina,
Byle on wzniośł Bogu swemu tron.
O tam jeszcze, w cieniach swéj dąbrowy,
Lśni bóg wojny, Harwit pięcio-głowy,
Lśni tarcz święta, co nam darzy bój:
Tam śród gromad pełnych silnej wiary,
Mój najmilszy, tęskni ojciec stary,
Srebrno-włosa gołąbeczek mój.
O jakbym dziś łzami złana, zbladła
Mój ojczędku do Twych nówek padła,
Szepcząc tkliwie: Przyjm dziecinę Twą!
Tak jak niegdyś, radość Twa jedyna,
Syn twój wracał w mury Budyszyna,
Z ciężkiej walki, wracał złany krwią.
I zmieniony przez śmiertelne rany,
Przy Twych nogach upadł syn kochany,
I zaledwie tyle zebrał tchu,
By rzec: „Bój ten ciężki a wróg skatą,
Syn Twój walczył, lecz gdy sił niestało,
Wierny bogom, przyszedł skonać tu!”

Z drukarni Kowalewskiego wyszła komedia trzechaktowa E. Augiera p. t. „Filiberta” przekładu Kazimierza Kaszewskiego wierszem. Jest to jedna z pierwszych tego autora, napisana w epoce gdy niepewny jeszcze stanowczo, kierunku swego satyryczno obyczajowego talentu, usiłował iść z gustem publiczności, z modą. Nie wybitna tendencją, niechłoszcząca wad społecznych, nie daje poznać późniejszego autora: „Bezczelnych” lub „Syna Giboyera; jest jednak mimoto wdzięcznym treścią i formą obrazkiem, wszczepionym w ramy jednęj ze świetnych epok królewskich francuzkiego dworu. Książęta i markizy migoczą się przed oczami, zachwycając galanteryjną rycerskością słowa, dowcipem dworskim i ponętym dyalogiem, który istotnie wzorem był naówczas dla innych europejskich towarzystw.

To odtworzenie wierne przeszłości, ten koloryt historyczno-obyczajowy, nie posiłkujący się bynajmniej historycznemi nazwiskami, udał się wybornie Augierowi, a nadto jest jeden oryginalny i wdzięczny moment, który komedią tę z pośród innych wyszczególnia. Młoda albowiem margrabianka Filiberta, wychowana surowo i ostro przez matkę, kochającą wyłącznie starszą jej siostrę Blankę, sądzi się brzydką i niepowabną. Nigdy jej nikt nie powiedział komplementu, wszystkie zwracano do piękności Blanki; matka wręcz miała ją za niezadną, nieładną i gąskę. Filiberta też uwierzyła w swoją brzydotę, i uczuwa głęboki smutek, bo jest przekonaną, że nie zazna nigdy wzajemności uczucia, do jakiego tęskni każde szlachetne dziewczę. Zdaje się jej najmocniej, że każdy któryby ją chciał poślubić, pragnąłby tylko jej milionów a nie serca. Mniemanie takie, każe jej być niesprawiedliwą względem zacnego, szczerze kochającego ją a ubogiego młodzieńca, względem p. Lucyana de Taulignan. Dopiero gdy kawaler Gaston de Talmay, elegancki rozpustnik i dworak, chcący ją uwieść, szczerze unosi się nad jej pięknnością, dopiero wtedy rozradowana, zachwycona, wierzy w siebie, wierzy w miłość Lucyana, w przyszłość i w szczęście. Przeistacza się nie do poznania; sama margrabina przyznaje jej dowcip którego się nie spodziewała, dziwić się liczbie trzech aże konkurentów: kawalera Gastona, stryja jego starego księcia i Lucyana. Lecz ten wynagrodzony za chwilową dojmującą boleść, bo piękna bohaterka te mówi do niego z ogniem słowa:

„W wieku, w którym nadzieja życie opróżnia,
 Obcą była mi radość, całą mą pociechą
 Było kilka serc czułych, sympatyczne echo.
 Ty jednak byłeś ciągłym myśli mych przedmiotem,
 Nie pytałam czy kochasz i wątpiłam o tém,
 Pewna że powierzchowność moja w żadnym z ludzi
 Prawdziwego uczucia ku mnie nie obudzi.

Boleść jaką sprawiłam serce me ocenia:
 Czy mam za nią na klęczkach błagać przebaczenia?

Prócz bohaterki nakreślonej pełno i skończenie, pysznemi są figurami księżę Grandchamps i synowiec jego kawaler Gaston de Talmay. Rozmowa obydwóch w scenie 7 i 8 aktu Igo, porywa i zachwyca wykwintnym dowcipem, delikatnym humorem i nieporównaną werwą.

Komedia ta, wybornie przełożona, gdybyśmy jej nawet nie ujrzeli na scenie, czego nie przypuszczamy, czyta się bardzo przyjemnie, wywołując wesoły uśmiech na usta.

Edward Lubowski.

Stary dwór, powieść przez Tadeusza Jerzego Steckiego. Warszawa. Nakładem Redakcyi Przeglądu tygodniowego. 1869. str. 284.

Powieść historyczna stała się u nas oniemał tradycją. Odkąd Rzewuski umarł, a p. Kaczkowski przestał pisać powieści, przynajmniej odtąd pozbawieni zostaliśmy wspomnień przeszłości w artystycznej podawanych formie. Wprawdzie p. Kraszewski dał nam *Ongi i Orbeke*, ś p. Skarbek *Olim*; pan Dzieduszycki: *Powieść z dawnych czasów*; ale są to utwory bardzo mało charakterystyczne, po większej części malujące takie wypadki, które i dzisiaj równie dobrze stać się mogły, lub też są to ramoty nie zasługujące nawet na nazwę historycznej powieści (jak np. praca p. Dzieduszyckiego). Bądź co bądź, dawny sposób artystycznego obrabiania dziejów już się przeżył, a nowego nie widać; gdyż i ta powieść, o której mówić chcemy, należy do tych, które oprócz nazwiska i wypadków historycznych, koniecznych a stereotypowych mieczników i podczasznych, nie wiele w sobie cech prawdziwej historycznej powieści zawiera.

P. Stecki, znany autor jeograficzno-historycznej pracy p. u. Wołyni i t. d. przedstawia w *Starym Dworze* historią, nieszczęść księżęcej niegdyś rodziny *Podbereskich*, w której fatalizm, jak powiada, nieustannie sprowadzał burze. Rzecz dzieje się na pograniczu Wołynia i Ukrainy we wsi *Mostyszczach*, gdzie starożytny zamek strachem okolicznych mieszkańców przejmował. Działy się tu bowiem niegodziwe a straszliwe wypadki. Już bowiem dziadowi bohatera powieści *Jerzego*, przypisywali stosunki ze złym duchem, albo lepiej, mówiąc językiem zrozumialszym dla dzisiejszych uszu, uważano go za niegodziwego człowieka, który mając sobie powierzony honor i majątek *Malińskich*, splamił pierwszy a ograbił drugi. Zniesławił bowiem wdowę pod opiekę sobie oddaną i zagarnął ogromne skarby, znajdujące się w pewnym zamku, niegdyś do *Maliskich* należącym.

Ojciec *Jerzego* pokochał cygankę *Martę*, a zmuszony do rozstania się z nią i ożenienia, w krótkim bardzo czasie nieszczęśliwy

życie zakończył. Jerzy wreszcie wysłany do Paryża na edukację, zakochał się tam w loretce Emmie. Śmierć matki Jerzego powołała go do Mastyszcz. Matka umierając zaprosiła Malińskiego i błagając go o przebaczenie dawnych krzywd, o opiekę nad Jerzym i oddanie mu za żonę córki Zofii modliła się. Dał się uprosić Maliński i nie wspominając nic o tém nikomu, chętnie Jerzego w swym domu przyjmował. Z początku Jerzy smakował w towarzystwie niewinnej Zosi, ale potem nuda go opanowała; nuda, która powoławszy kochającą go szczerze Emmę z Paryża, kazała żyć hucznie i wystawnie. Ta huczność i wystawność przyprowadziła majątek jego do ruiny, którą chciał podreperować skarbami Malińskich, dotąd w baszcie narożnej ukrytych. Ale gdy raz zaczął grubo grać temi pieniędzmi, spadła nań ręka jednego stróża tych skarbów, starego Grzegorza. Rozwścieczony Jerzy kazał go zepchnąć ze schodów. Grzegorz umarł nazajutrz. Jerzy nie był złym z gruntu, Emma była bardzo poczciwą loretką. Emma została zakonnicą, a Jerzy umarł w bitwie pod Belle-Alliance.

Czyż potrzebujemy dodawać komentarz do tej treści ogólnej? Jestto proste, i dość zręcznie prowadzone opowiadanie prawdziwych, jak się zdaje, zdarzeń minionej przeszłości, okraszone pięknymi rysami charakteru Malińskiego, przebaczonego zastarzałe urazy i szczerze pragnącego dobra Jerzego wnuka tego, który kiedyś przed laty strasznych nieszczęść jego rodziny był przyczyną. Kilka imion historycznych, jak ks. Mateusza Radziwiła, aktora Żmijowskiego i innych, stanowi historyczną przyprawę opowiadania, którego bohater jest najkompletniejszym zerem, wzorem tysiąca tych okrągłych a pustych zer, jakie przed laty sześćdziesięciu były w kraju naszym powszechnie. Ni dobry, ni zły, ni pobożny, ni ateusz, ni moralista, ni rozpustnik, ot stworzenie boże, w którym francuzkie wychowanie i francuzka mowa, tak głębokie pozostawiły ślady, że ich inaczej zmyć nie może, by wyszlachetnić, jak tylko krwią wydobytą draśnięciem pałasza lub kuli. Smutny obraz, jeszcze smutniejszy stan społeczeństwa, które takie indywidua z pośród siebie wydaje!

Jedną z najszlachetniejszych choć upadłych postaci jest istota paryzkiego półświata, to hucznie żyjąca, to modląca się cicho i pokornie, Emma. Nie znamy dostatecznie paryzkiego ówczesnego życia by orzec czy takie jak Emma były rzeczywiste; w każdym jednak razie musimy powiedzieć, że początek pochodzenia, który im pan Stecki naznacza, t. j. urodzenie biedne jest już daleko późniejszych, bo naszych czasów wyrobem.

Styl p. Steckiego jest potoczny i pełen elegancyi, ale nie odznacza się żadną oryginalnością. Język jest dość czysty, jeżeli wyjmiemy jeden główny błąd, t. j. użycie czwartego przypadku zamiast drugiego, przy słowach położonych z przeczeniem, co się dość często zdarza.

P. Ch.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

Listopad 1869. Kiedy u nas prof. Papłoński zajmuje się nowym wydaniem psalterza Małgorzaty, i w naszym piśmie pokazał zmiany wydane oryginału od ogłoszonego drukiem tego zabytku przez Stanisława hr. Borkowskiego; kiedy p. Konstanty Matkowski wykończył uczone i gruntowne studia nad najdawniejszemi pomnikami języka polskiego; p. Skrzydyłka zajmuje się odpisem przechowanego w Paryżu psalterza po polsku z XV wieku; w Pradze Czeskiej odkryto zabytki polskie z XV wieku, ustęp z Biblii wyjęty z oprawy stariej książki, i jest ułamek druku z XV wieku z *Credo* po polsku pisany. Bibliotekarz p. *Vrtatko*, polecił zrobienie fotografii tych drogocennych zabytków.

— Czytamy w *Kłosach*: od Redakcyi.

„Zwracano już nieraz uwagę na potrzebę utworzenia wsparcia literatów, na wzór *Towarzystwa wsparcia artystów muzycznych, ich wdów i sierot*, które od lat wielu już istnieje, rozwija się i oddaje nie małe usługi. — Pan J. Stańkowski, któremu społeczność nasza zawdzięcza zawiązanie *Stowarzyszeń spożywczych*, pierwszy poruszył myśl *Somopomocy dla literatów* i wyłożył ją obszernie w Nrze 188 „*Kłósów*”, z dnia 4 lutego r. b. W tym artykule szczegółowo rozwijając tak ważne zadanie, pragnął je połączyć z *Towarzystwem wsparcia artystów muzycznych*. Usiłowania jednak w takim kierunku spełzły na niczym, i szlachetny jego projekt, w pierwszym zawiązku uciekł.

Liczba jednak pracowników pióra, przy coraz większych potrzebach duchowego życia, powiększa się z dniem każdym, a bolesne przykłady biedy i nędzy nie tylko samych literatów, ale i po nich wdów i sierot pozostałych, coraz liczniejsze. Jeden z zamożnych obywateli, który niemało już łożył dla wzrostu piśmiennictwa naszego i nie szczędził na to hojnego grosza, znając dobrze smutne położenie literatów, ofiaruje na pierwszy początek funduszu na ten cel rsr. 10,000, które złożyć obowiązuje się, gdy Towarzystwo wsparcia literatów, ich wdów i sierot, zawiąże się ostatecznie.

„Niech to będzie na początek, aby zachęcić publiczność do dalszego udziału w powiększeniu zasilków na ten cel potrzebny” mówi sam w liście pisany do jednego z główniejszych naszych współpracowników.

Myśl takiej pomocy dla tych, którzy w kole społeczności naszej kradą przeważne zasługi, godna poparcia; spodziewamy się, że znajdzie niemałą liczbę ludzi dobrej woli, co zapragną wprowadzenia jej w życie.

Redakcyja „Kłosów” przedsięwzięła odpowiednie po temu starania i zajmuje się ułożeniem projektu, który następnie przedyskutowany przez grono kompetentnych, przygotowanym zostanie dla przedstawienia do właściwej władzy pod zatwierdzenie”.

— Wykryte obecnie zostały w Warszawie oryginalne listy nieznanego króla Sobieskiego w ilości sztuk dwadzieścia ośm; wszystkie zaś po większej części są pisane do Marcina Kątskiego, generała artylerji kor. z różnych miejsc. Wedle udzielonego nam wyszczególnienia przez p. Alexandra Wejnerta, daty tych listów są następujące:

1. Z Jaworowa dnia 17 września 1674 r.
2. W obozie pod Niemirowem 24 listopada 1674 r.
3. Z Warszawy dnia 9 marca 1677 r.
4. Z Żółkwi dnia 3 grudnia 1679 r.
5. Z Jaworowa dnia 22 paździe. 1680 r.
6. Z Jaworowa dnia 30 września 1682 r.
7. Z Żółkwi dnia 7 lutego 1686 r.
8. Z Stryja dnia 11 czerwca 1686 r.
9. Z Żółkwi dnia 5 maja 1687 r.
10. Z Jaworowa dnia 15 czerwca 1687 r.
11. Z Jaworowa dnia 9 lipca 1687 r.
12. Z Żółkwi dnia 19 lipca 1687 r.
13. Z Żółkwi dnia 7 sierpnia 1687 r.
14. Na noclegu w Lubicy d. 15 sierpnia 1688 r.
15. Z Żółkwi dnia 26 sierpnia 1688 r.
16. Z Żółkwi dnia 28 sierpnia 1688 r.
17. Z Żółkwi dnia 31 sierpnia 1688 r.
18. Z Żółkwi dnia 2 września 1688 r.
19. Z Złoczowa dnia 7 września 1688 r.
20. W obozie w Pomarzanach dnia 18 września 1688 r.
21. Z Złoczowa dnia 11 września 1689 r.
22. Z Warszawy dnia 16 lutego 1690 r.
23. Z Jaworowa dnia 7 sierpnia 1691 r.
24. Z Jaworowa dnia 18 kwiet. 1692 r.
25. Z Jaworowa dnia 24 kwiet. 1692 r.
26. Z Żółkwi dnia 21 sierpnia 1692 r.
27. Z Żółkwi dnia 21 sierpnia 1692 r. } drugi pod tąż
samą datą.
28. Z Żółkwi dnia 24 sierpnia 1692 r.

Wszystkie te szacowne zabytki nabyte zostały przez J. W. Augustową hrabinę Potocką, do zbiorów biblioteki Willanowskiej dla z bogacenia niemi pamiątek królewskich i rodzinnych. Wiemy bowiem, że Ignacy Potocki, którego ciało spoczywa w Willanowie, był spokrewniony przez swą matkę z słynną rodziną Kątskich.

— Z łona Towarzystwa Naukowego Krakowskiego wysadzona komisya bibliograficzna, o której już wspominaliśmy w naszym piśmie, rozpoczynszy działalność swoję od drukowania w wielkich rozmiarach

rach *Katalogu abecadłowego druków polskich*, poczynając od okresu XIX stulecia, opracowanego przez Karola Ięstrejchera bibliotekarza biblioteki Jagiellońskiej, teraz powzięła myśl i już wprowadza w wykonanie, przygotowania dokładnego spisu, ważniejszych przedmiotów drukowanych po wszystkich naszych pismach peryodycznych, książkach zbiorowych i noworocznikach. Oddawna poczuwano nagłą tego potrzebę, zajmowano się i u nas tём zadaniem po części, ale kończyło się wszystko na dobrych chęciach.

A jednak dla badacza dziejów i starożytności, nieocenionę wartość są tam materyały, zarówno jak i w dziale nauk ścisłych: każdy nabierze wyobrażenia, jaką drogą te się u nas rozwijały. Tymczasem, bezwiednie młodzi pracownicy tłumaczą dzieła dawniejsze, które już mamy lepiej i gruntowniej przełożone, podają nam wiele przedmiotów za nowe, co już bywały obszernie traktowane. Spis taki będzie dogodną wskazówką dla każdego, który w swoim dziale pracy widzieć może, co przed nim było zrobioném.

— W Poznaniu nakładem I. K. Żupańskiego wyszedł: „Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiejszym powiecie Krotoszyńskim, od najdawniejszych czasów aż po rok 1794, przez Józefa Łukaszewicza” (w 8ce, str. 470). O świetnym stanie w XV i XVI wieku, ani o okropnym upadku miast i całych powiatów w XVII stuleciu, mało wiemy, bo zakrywają nam rzeczywisty ich obraz archiwa krajowe. Odsłonić go nam mogą same tylko monografie miast i włości z tych właśnie archiwów wysnute. „Do kreślenia takich monografii (mówi autor we wstępie) nie zbywa nam bynajmniej na materyałach. Pomijając bowiem archiwum główne, archiwa katedr, grodów, ziemstw, klasztorów, najlichsza nawet miejscina posiada kilkowiekowe przywileje, księgi radzieckie i wójtowskie i inne luźne dokumenty, księgi i przywileje cechów rzemieślniczych. Każdy kościół parochialny, prócz wizyt i rozmaitej treści dokumentów, posiada kilkowiekowe księgi chrztów, ślubów i umarłych, zawierające nieraz szacowne notatki do dziejów krajowych. W wielu włościach znajdują się tu i owdzie kilkowiekowe opisy i rejestra gospodarze, tudzież inne piśmienne zabytki, rzucające niemałe światło na stosunki rozmaitych rodzin, odgrywających niegdyś znamienite role w sprawach krajowych. Na takich źródłach osnute monografie, przynajmniej wszystkich miast naszych, dostarczą dopiero mnóstwo danych nowych, piszącym dzieje ogólne narodu, dzieje handlu i przemysłu, rolnictwa, oświaty, zwyczajów i obyczajów, wzajemnych do siebie stosunków wszystkich warstw społeczności krajowej; jedném słowem, na takich źródłach oparte monografie, odzwierciedlą nam dopiero prawdziwy obraz przeszłości z każdej epoki.”

Autor przekonany o ważności tego rodzaju monografii, licząc już lat siedm dziesiąt kilka pracowitego żywota: w tak sędziwym wieku nie wypuszcza pióra z ręki, i wierny zawodowi swemu, z notat nieużytych do poprzednich, a tak licznych i mozolnych prac historycznych, daje nam nowy opis powiatu, w którym zamieszkuje.

Notaty te i wyciągi z akt rozmaitych grodów, kościołów i miast zgromadził już dawniej, gdy kosztem ś. p. Hr. Edwarda Raczyńskiego je zbierał i materiałami z nowszych czasów wzbogacił. Dopomógł do tej monografii uczonemu autorowi p. Józef Lekszycki kustosz archiwów grodzkich wielkopolskich w Poznaniu złożonych, licznymi z nich wyciągami.

X — Nakładem i drukiem S. Lewentala typografa i nakładcy, w r. 1865, wyszedł pierwszy tom dzieła p. n. *Historya powszechna* przez Wiktora Duruy, ministra oświecenia publicznego we Francyi, z francuzkiego przełożona przez Leona Rogalskiego. Tom ten obejmuje: *Dzieje starożytne*. W roku 1866 wydany został tom drugi: *Dzieje wieków średnich*. W r. b. wyszedł tom trzeci i ostatni z *Dziejami nowożytnymi*.

— *Biblioteki Rolniczej* wyszedł z pod prasy zeszyt piąty i zawiera następujące artykuły: 1) *Chemia rolnicza* przez I. B. Rogojskiego (ciąg dalszy). 2) *Konferencye rolnicze*. Nawozy chemiczne Jerzego Ville, tłumaczenie Polikarpa Szlązkiewicza (ciąg dalszy). 3) *Zasady płodozmianu*, oraz wskazówki organizacji gospodarstwa rolnego przez Zygmunta Jaroszewskiego (ciąg dalszy). 4) *Kronika Bibliograficzna* dzieł gospodarskich w języku polskim i francuzkim w r. 1869 wydanych

— W Wilnie księgarnia pod firmą dawną i zasłużoną Józefa Zawadzkiego, ogłasza wydawnictwo nowych dzieł treści religijnej następujących:

X 1. „*Wykład obrzędów i religijnych zwyczajów Rzymsko-Katolickiego Kościoła*,” zebrany i ułożony przez ks. Jana Łuczkiwicza pijara. Wydanie trzecie. Wilno. 1869. Cena rs. 1 kop. 20.

2. „*Ogień miłości Jezusa Chrystusa*,” czyli dowody gorącej ku nam miłości Zbawiciela w dziele odkupienia naszego, podług ks. Pinarta, przekład z francuzkiego, wydanie nowe poprawne. 1869.

3. *Manuale precum et spiritualium exercitiorum sacerdotibus et alumnis seminarii utilissimum*. Wilno. 1869. Cena kop. 75.

X — Oskar Kolberg, łącznie z B. Hoffem, wydają: *Lud polski*, opis zwyczajów, obyczajów, wraz ze zbiorem pieśni i podań ludu wielkopolskiego. P. Kolberg daje tekst, i to w szerokich rozmiarach, bo całość ma stanowić pięć tomów. P. Hoff w rycinach ma przedstawić kostiumy, chaty z wewnętrznym układem, sprzęty, narzędzia i t. p. Znając pracowitość i sumienność Oskara Kolberga wnosić możemy, że w tej nowej pracy przybędzie nam ważny materiał do etnografii słowiańskiej.

X — *Rys dziejów Ormiańskich* napisał ks. Sadok Barącz. Lwów 1859. Autor kresli pokrótce dzieje Królestwa Ormiańskiego w Azji; główną część dzieła poświęca Ormianom w Polsce. Wymienia miejscowości w których były główne ich osady, wlicza kościoły, instytucye naukowe, dobroczynne; wspomina o rodzinach znakomitszych ormiańskich, w których głównie był największy handel wschodni; w końcu podaje autor w treściwym wykładzie, zbiór praw, zwyczajów i ceremonii kościelnych Ormian. Dzieło to rzuca światło na stosunki handlowe nasze na Wschodzie.

— W Krakowie, w drukarni Kirchmajera z datą 1870 roku, wyszedł: „Herbarz Ignacego Kapicy Milewskiego. (Dopełnienie Niesieckiego) wydanie z rękopisu”. (w 8ce str. XIX, 504). Wstęp do tego dzieła napisał Zygmunt Gloger, znany badacz na polu etnograficzném. Dzieło to, jak dobrze wyraża Z. Gloger wprowadza nas w świat inny, aniżeli znane dotąd dzieła heraldyczne, bo w świat licznój, drobnój szlachty mazowieckiej i podlaskiej, osiadłej przed wiekami w ziemiach Drohickiej, Bielskiej, Wizkiej, Łomżyńskiej i innych. Praca Kapicy, jakkolwiek zwana herbarzem nie ma wcale za zadanie historyi herbów lub wywodzenia ich starożytności i początku na wzór dawnych heraldyków. Ta strona jest zupełnie usunięta, bo autor przytacza same dokumenta i przywileje każdej rodziny, poprzestając tylko na wzmiance, jakim się ta herbem pieczętuje. Sam będąc archiwistą wielkiego i starożytnego archiwum, wypracował właściwie wielce ciekawy dyplomatarysz przywilejów i dokumentów głównie z XV i XVI wieku, a nawet XIV wieku, dotyczących się wszystkich rodzin szlacheckich, jakie zamieszkiwały ziemie powyżej wskazane. Znajdujemy tu najprzód ciekawy materyał do historyi, szczególnie pod względem osiedlin mieszkańców, w różnych ziemiach, i jak się one zaludniały. Ważny to na polu dziejów nabytek, bo mało mamy w tym kierunku badań i niewiele źródeł. Etnografia znajdzie tu także nowe dla siebie rzeczy, a nawet zyskujemy nowe szczegóły pod względem fundacyi kościołów. Z przytoczonych przez Kapicę dokumentów, wyjaśniają się także niektóre stosunki prawne i rodzinne u pewnych warstw narodu, a nawet znajdujemy tu, może najliczniejszy zbiór imion swojskich i starożytnych używanych u nas w XIV i XV stuleciu.

— *Wycieczka w Pioniny przez Paulina Stachurskiego.* Lwów 1869. Autor w tém dziełku podaje nam wrażenia swoje na widok Pionin i niejedną ciekawą legendę i podania miejscowe charakteryzujące pojęcia i stan obyczajowy Górali.

— Nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu wyszły Cegielskiego: „*Nauka Poezyi*”, czwarte wydanie pomnożone i uzupełnione przez Nehringa; tegoż: „*Teorya poezyi i rodzajów jej*”.

— *Wskazówka do utrzymywania kościołów, cerkwi, i przechowywanych tamże zabytków przeszłości, opracowana przez profesora Wł. Łuszczkiewicza pod kierunkiem oddziału sztuk i archeologii w Towarzystwie Naukowym Krakowskim.* W Krakowie 1869 r. W celu zachowania od zniszczenia zabytków, podał autor w sposób nauczający wskazówki, jakie przedmioty mają zwracać uwagę, i w jaki sposób ratować je od zatury. Rozprawę swoją objaśnił licznymi drzeworytami, przedstawiającemi bardzo rzadkie zabytki sztuki w architekturze kościelnej i zewnętrznych ozdobach, jak drzwi, okna, okucia, również jak wewnętrzne urządzenia, kazalnice, chrzcielnice, ławki i przedmioty do odprawiania służby Bożej niezbędnie potrzebne.

— W Kaliszu p. Wilhelm Hindemith wydawać będzie od nowego roku 1870 pismo peryodyczne pod tytułem: „*Kaliszanin, gazeta miasta Kalisza i jego okolic.*” Wychodzić będzie dwa razy na tydzień we wtorki i piątki.

— P. Adam Bełcikowski napisał i wydał oddzielnie komedię w pięciu aktach pod tytułem: *Król don Zuan*. Intryga wzięta z czasów Augusta II.

— We Lwowie wyszły w tym czasie trzy małe broszurki: I. W sprawach szkolnych napisał Dr. Wojciech Urbański: Uwagi nad projektem do ustawy o urządzeniu szkół technicznych (średnich). II. Projekt reorganizacji uniwersytetów we Lwowie i Krakowie, ze względu na techniczne akademie, przez tegoż autora. III. Broszura bezimienna pod napisem: Krytyczny pogląd na sprawę teatru polskiego we Lwowie. W ostatniej tej rozprawie pomijając stanowisko estetyczne autora, zapatrywanie się jego na publiczność i objawy jej uczuć i myśli jako przedmioty wartości tylko miejscowej, napotykaemy wiadomość że p. Adam Miłaszewski dyrektor tamecznego teatru, w przeciągu lat pięciu wprowadził na scenę sztuk nowych 167, tłumaczonych 335, sztuk oryginalnych 233, a z tych znaczną ilość napisanych wyłącznie prawie dla teatru lwowskiego. Nowych artystów wystąpiło w tym czasie na scenie 64; w rolach gościnnych artystów dramatycznych 14. Autor podaje że p. Miłaszewski stał się twórcą operetki polskiej.

— Wyszła u nas na widok publiczny rozprawa prawna pod napisem: „Stanowisko dzieci nieprawych podług obowiązującego prawodawstwa, przez Józefa Skupiewskiego mag. pr. i adm. Autor prace swoją podjął dla następującej myśli, którą powtórzył z motywów do kodexu cywilnego polskiego i jako dewizę na wstępie położył: „Byłoby przeciwko ludzkości opuszczać tych, którzy do żadnej nie należą rodziny, lecz ogólnie do narodu, a którym przeto towarzystwo winno opiekę jako wszelkiej innej podpory pozbawionym.” Rozprawa ta teraz oddzielnie wydrukowana, ogłoszona jest w Przeglądzie Sądowym.

— We Lwowie wyszły *poezye* El-y czyli Stożka autora dwóch komedii: *Galazka Heliotropu* i *Walka stronictw*. Tamże wyszły: *Trzaski poezye* Alfa (Alfreda Szczepańskiego) *Próby rymotwórcze* Chamca *Niby prawdy niby żarty*: poezye Ajo (Rogosz).

— W Toruniu, nakładem księgarni F. T. Rakowicza wychodzi *Zbiór powieści* po większej części w przekładach.

— P. Witold Jaroszyński wydał studium pod tytułem: *Kobieta*, a p. Piórkowski broszurkę: „*O łowiectwie i ochronie dzikich zwierząt, jako też ptastwa.*”

— W Berlinie p. Pisemski wydał dwu tomowy romans pod tytułem: *Tysiąc dusz*.

— W Frejburgu Brisgovii wyszła rozprawa zasługująca na uwagę p. n. „*In decreta concilii Ruthenorum Zamosciensis animadversiones*” przez ks. Dr. Hugona Laemmer'a, profesora tamecznego uniwersytetu. Synod ten Zamojski odbył się w 1720, w którym

przyjęło udział 143 osób duchowieństwa tak najwyższego jako i niższego stopnia.

— Teofila Lenartowicza wyszły „*Nowe poezye*” w 2 tomach. X Pierwszy obejmuje dawne z pierwszych wieków wspomnienia, drugi zatytułowany, *Album Włoskie*, zawiera poezyc erotyczne, wspomnienia własne poety. Jest w tym zbiorze wiersz rymem białym pisany odznaczający się, p. n. Dante.

— W Paryżu zawiązała się spółka bezimienna z kapitałem 800,000 franków dla wydawania: *Biblioteki powszechnej między-narodowej*, obejmować mającej w przekładzie francuzkim wszystkie celniejsze utwory myśli ludzkiej zjawiające się od najdawniejszych czasów u rozmaitych narodów aż do obecnej chwili. Podzielona na 7 okresów: Wschodni, Grecki, Rzymski, Aleksandryjski, Chrześcijański, Arabski i Zachodni, mieścić w sobie będzie: theogonię, kosmogonię i księgi święte, zaczawszy od ksiąg Weda aż do Koranu, systemata filozoficzne różnych narodów zaczawszy od Chińczyków, Egipcyan i t. d. aż do potężnych tworców Descarta, Leibniza, Newtona i Hegla: prawa konstytucyjne wszystkich państw które pozostawiły ślady w dziejach. Kodeksa praw, systemata polityczne, teorye ekonomiczne a nawet teorye wojskowe. Literatura, sztuki i nauki również będą w niej jak najdogodniej i najobszerniej reprezentowane. Biblioteka powyższa będzie jedynie wernym odbiciem pielgrzymki myśli przez wszystkie wieki, pomiędzy wszystkimi narodami i we wszystkich gałęziach wiedzy. Składać się będzie z 200 tomów in 8-vo po 500 stronnice. Cena każdego tomu w Paryżu 6 fr. Zapisujący się na całe wydawnictwo, otrzymywać będą po dwa tomy miesięcznie a nawet i więcej na ich żądanie, opłacając należność w miarę odbioru dzieł. Za dwa pierwsze tomy opłata pobraną będzie dopiero przy końcu wydawnictwa, a to dla dania rękojmi zapisującym się, co do wypełnienia zobowiązań przez spółkę zaciągniętych. Podpisywać się można na Bibliotekę powszechną międzynarodową w Warszawie w Redakcyi Merkuriego (ulica Nowy świat N. 40), gdzie znajduje się do przejrzenia szczegółowy program wydawnictwa. Z pism naszych peryodycznych, Merkurcy pierwszy doniósł o tém tak wielkiem i tak ważnym przedsięwzięciu.

Sprostowanie.—Do nekrologu ś. p. *Januarego Filipowicza* (w zeszycie październikowym Biblioteki Warszawskiej na rok 1869) wcisnął się błąd, przez przypisanie mu autorstwa broszurki p. n. *Pomięszanie Jarosza Bejły*.

Autorem téj broszury wydanej pod pseudonimem *Atanazego Filipowicza* był hr. Gustaw Olizar (*Syn Filipa*), zmarły w Dreźnie 2 stycznia 1865 r. Wiadomość o tém już podana była w Bibliotece Warszawskiej, w zeszycie marcowym na rok 1865 (Tom II, p. 184).

Od redakcyi

BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie w roku następnym 1870, w którym pismo to zacznie trzydziesty rok życia. Literatura, nauki, umiejętności jak dotąd będą na przyszłość jedynym przedmiotem Biblioteki. Cena dotychczasowa utrzymana. W Warszawie rs. 9. Na prowincyi rs. 10. *Kto pragnie regularnie i w należytem porządku odbierać z poczty wychodzące zeszyty Biblioteki, niech wprost od siebie do księgarni Gebethnera i Wolffa (Krakowskie-Przedmieście Nr. 415) prześle prenumeratę rs. 10 i zarazem zawiadomi księgarnię, z której stacyi pocztowej zeszyty odbierać sobie życzy, a żadnego w przesyłce nie dozna zawodu.*

W r. 1869 wszystkie egzemplarze Biblioteki Warszawskiej z pierwszego półrocza wyczerpane zostały; dla uniknienia więc takiego braku w r. 1870, zechcą prenumeratorowie wczesnie zaraz po 4-m grudnia r. b. przysyłać prenumeratę, Drukarnia bowiem odbija ilość egzemplarzy stosownie do ilości zgłaszających się prenumeratorów.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Październik. 1869.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25",5

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",
na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Umiary księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		751.55	751.84	750.27	751.18	751.210	+12°.8	+17°.9	+22°.8	+15°.8	+17°.33
2		752.43	753.57	752.68	752.09	752.693	11.7	15.6	18.6	13.7	14.90
3		749.64	748.94	748.30	750.02	749.225	10.8	15.6	16.5	13.8	14.16
4		750.74	751.24	750.04	749.62	750.410	12.3	14.2	16.1	13.1	13.93
5	☉	747.59	747.82	746.59	747.15	747.288	11.6	12.1	14.2	10.6	12.13
6	☉	747.83	749.17	749.44	751.34	749.445	11.0	10.6	11.4	8.7	10.43
7		754.02	755.67	757.54	759.72	756.738	5.6	6.1	6.5	5.0	5.80
8		760.94	761.70	761.16	761.44	761.310	4.8	5.7	6.3	4.4	5.30
9		761.37	761.72	761.52	761.58	761.543	4.3	6.9	7.7	0.8	5.08
10		760.36	760.39	759.41	760.00	760.010	- 0.9	5.8	11.0	5.8	5.43
11		761.10	761.86	761.89	762.13	761.743	+ 6.9	10.9	14.0	11.7	10.88
12	☾	761.77	761.77	759.51	758.73	760.445	10.8	13.0	15.7	8.9	12.10
13		757.08	756.24	752.47	749.83	753.900	5.0	11.3	15.2	8.7	10.05
14		745.96	746.22	746.41	747.09	746.420	12.3	12.8	9.7	5.8	10.15
15		747.87	748.51	747.98	746.51	747.713	3.2	6.3	7.5	7.1	6.03
16		745.58	746.79	747.02	746.40	746.448	7.7	10.2	12.5	7.1	9.38
17		740.77	739.44	738.94	739.40	739.138	7.7	14.5	16.4	7.9	11.63
18	☉	745.21	747.25	748.62	749.65	747.683	3.8	6.0	6.5	3.5	4.95
19		748.51	748.25	746.03	744.25	746.760	- 0.9	4.2	6.5	6.3	4.03
20	☉	741.26	743.75	746.87	749.48	745.340	+ 7.5	7.9	10.2	5.4	7.75
21		749.79	749.54	747.64	747.20	748.543	2.3	6.5	7.1	5.4	5.33
22		749.88	751.65	753.84	756.80	753.043	2.1	1.9	3.9	3.3	2.80
23		758.75	759.56	759.01	758.59	758.978	- 0.9	1.5	3.5	- 1.3	0.70
24		756.27	755.22	751.90	750.20	753.398	2.7	2.2	5.3	0.0	1.18
25		748.86	749.34	749.57	749.77	749.385	+ 1.7	4.5	6.1	+ 2.0	3.58
26		748.72	747.92	744.93	743.95	746.380	1.9	5.0	6.1	4.2	4.30
27		741.03	741.87	742.24	739.40	741.135	3.8	5.4	5.6	4.4	4.80
28		743.61	746.01	748.68	749.48	746.945	0.4	3.6	3.2	- 1.3	1.48
29	☉	741.52	741.80	749.16	753.86	746.585	0.4	3.1	0.8	+ 1.0	1.33
30		757.19	758.01	755.04	754.05	756.073	- 0.9	0.8	2.7	1.0	0.90
31		756.88	757.31	756.48	755.60	756.568	+ 0.4	1.7	1.0	0.2	0.83
Śr.		751.100	751.625	751.283	751.500	751.372	+5°.07	+7°.86	+9°.37	+5°.90	+ 7°.05

Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody do wysokości w milim.	Wysok wody na Widze.
	6	10	4	10	6	10	4	10		
	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.		
74.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdZ1.		3 1
74.3	pogodny	pogodny	pogodny	pochm.	Z1.	Z1.	Pn1.	PnW1.		3 6
85.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	W1.		3 7
90.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	2.9	3 3
90.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	Z1.	PdZ1.	Z1.		3 0
83.0	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PnZ1.	Pn2.	PnZ2.	PnZ2.		2 9
73.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn2.	Pn2.	Pn2.	Pn1.	1.5	2 7
80.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	Pn1.	Pn1.	PnW1.		2 5
83.0	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PdW1.	PdW1.	Pd1.	Pd1.	0.3	2 4
78.0	pochm.	pochm.	pogodny	pogodny	Pd1.	Pd1.	Z1.	Z1.		2 2
85.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	PnZ1.	Z1.		2 2
75.8	pochm.	pogodny	napół pog.	pog. z ob.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.		2 1
67.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ1.	PdZ1.	PdZ2.	PdZ1.		2 11
75.3	pochm.	pochm.	pochm.	pog. z ch.	PdZ2.	PdZ1.	Z1.	Z2.	0.6	4 0
80.3	pogodny	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z2.	Z2.	PdZ2.		3 10
77.5	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	PdZ2.	PdZ2.	PdZ1.	Pd1.	2.5	3 5
77.5	napół pog.	napół pog.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd2.	PdZ1.	PdZ2.	5.0	3 2
74.0	pochm.	napół pog.	pochm.	pochm.	Z3.	Z3.	PdZ1.	Pd1.		2 11
84.8	pogodny	pogodny	pochm.	pochm.	Pd1.	PdW1.	Pd1.	PdW2.	2.4	2 8
82.5	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	Z2.	Z1.	PdW1.	Pd1.	5.3	2 7
84.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	0.6	2 6
82.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	PnZ1.	PnZ1.	Z1.		2 7
84.0	pogodny	pogodny	pogodny	pog. z ch.	Z1.	Z1.	Z1.	PdZ1.		2 8
78.5	pogodny	pogodny	pog. z ch.	pogodny	Pd1.	Pd1.	PdZ1.	Pd1.		3 2
92.3	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	Z1.	Z1.	Z1.	Z1.	2.1	2 11
83.3	pochm. mgła	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Pd1.	Pd1.	Pd2.		4 0
80.3	pochm.	pochm.	pochm.	poc. desz.	Pd1.	Pd2.	Pd1.	PdW2.	1.9	4 2
77.8	pog. z ch.	pochm.	pogodny	napół pog.	Pd1.	PdZ2.	Pd1.	PdW1.	1.6	4 3
88.8	poc. śnieg	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	Pd2.	PdZ1.	PdZ2.	1.7	2.0 4 4
82.3	pochm.	pochm.	pochm.	poc. śn. d	Pd1.	Pd1.	PnW1.	PdW1.	1.5	2.3 3 11
91.5	poc. mgła	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	Z1.	PdZ1.	PdZ1.		3 7
Śr.									27.7	4.3 3 1.8

	m.	o.	
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.372	27	9.080
Najwyższy barometr dochodził d. 11 o g. 10 w.	762.13	28	1.849
Najniższy — — d. 17 o g. 4 po poł.	736.94	27	2.683
Średnia dzienna zmiana barometru	3.992		1.770
Największa dzienna zmiana barometru d. 29—30 o godz. 10 rano	16.21		7.186
Średnia wysokość barometru jest większa o od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	0.298 751.084	27	0.128 8.952
Średnia temperatura października wynosi	+ 7 ^o .05 C.	+	5 ^o .64 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.52	"	2.02 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 17—18 o godz. 4 po poł.	9.9	"	7.9 "
Średnia temperatura października jest niższą o od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	1.16 + 8.21	" +	0.93 6.57 "

Termometrograf wskazał: Maximum: +23^o.8 C. = +19^o.0 R d. 1 po poł.

Minimum: — 3.6 " = — 2.9 " d. 24 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 81,3 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 6,5 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejszą o 4,1 setnych od normalnej (85,4).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 27.7 mil. czyli 12.88 lin. par. ze śniegu 4.3 mil. czyli 1,91 lin. par., razem wody z deszczu i śniegu 32:0 mil. czyli 14,19 lin. par., mniej o 16.1 mil. czyli 7,14 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w październiku spada (49.1 mil. czyli 21.33 lin. par.).

Dni pogodnych 5, napółpogodnych 4, pochmurnych 22.

— deszczu 14: (d. 4, 6, 8, 14, 16, 17, 19, 20, 21, 25 do 27 do 30).

— śniegu 2: (d. 29 i 30).

— mgły 2: (d. 2 i 30).

— wichrów 1: (d. 29).

Wiatr panujący zachodni i południowo-zachodni.

Październik b. r. był niepogodny, dość dżdżysty i chłodny. Średnia jego temperatura jest 5,6 stop. R. o 1,0 stop. R. niższa jak w stanie normalnym (6,6 stop. R. a o 1,3 stop. R. jak w r. z. Z początku miesiąca przez kilka dni powietrze było ciepłe lecz wilgotne, od d. 6 nagle się ochłodziło tak, że d. 10 rano termometr opadł poniżej zera pierwszy raz tej jesieni, potem znowu temperatura dość znacznie się podniosła. W drugiej połowie miesiąca, z wyjątkiem d. 17, dni były chłodne i dżdżyste. Największe ciepło było 19.0 stop. R. d. 1, największe zimna 2.9 stop. R. d. 24; największa zmiana dzienna temperatury 7.9 stop. R. przypadła z d. 17 na 19 gdy księżyc przechodził przez równik niebieski i znajdował się najdalej od ziemi. Stan barometru przez cały miesiąc był bardzo zmienny i w ogóle wyższy jak zwykle; największa jego zmiana dzienna 7.19 lin. par. przypadła z d. 29 na 30 po ostatniej kwadrze księżyca. Deszcze padały często lecz nieobficie, w końcu zaś miesiąca t. j. d. 29 i 30 dwa razy padał śnieg pierwszy raz tej jesieni. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był niepogodny, stosunek bowiem dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych jest w stanie normalnym jak: 5:5:9,3:16,2, gdy w b. m. tenże stosunek jest jak: 5:3:22. Wiatr panujący był południowo-zachodni.

W d. 10 i 12 koło białe otaczało słońce, a d. 18 i 20 księżyc, przyczem w ostatnim z tych dni koło było tęczoowo zabarwione.

W d. 1, 2, 12 i 13 widziano plamy na tarczy słonecznej.

W nocy z d. 2 na 3 dało się uczuć trzykrotne trzęsienie ziemi w wielu miejscach prowincyi nadreńskiej w Prussach.

D. 4 nastąpił wybuch Etny.

D. 17 w uradcu i całej Stryri padał przez pół dnia śnieg. Nazajurz Alfy pokryły się śniegiem około Salzburga.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stop 3 cali 1,8 n. m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 29..... stop 4 " 4 " "

" " najmniejsza " od d. 10—12.. stop 2 " 2 " "

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1869.

Ekonomia polityczna.

	Stron.
Macleod i Banki angielskie, przez Felixa Zielińskiego.....	50

Historya.

Charakterystyka XIX wieku. (Podług R. Gottschalla). Skreślił Artur Sulimierski.....	360
---	-----

Nauki przyrodnicze.

O Darwinie, przez B. S.....	260
-----------------------------	-----

Literatura powszechna.

Kilka słów o satyrykach rzymskich i w przekładzie czternasta satyra Juwenalisa „O wychowaniu”, napisał J. Wolfram.....	189
Dziesięć pieśni ludowej niemieckiej, przez Jaskólkę.....	234

Literatura polska.

Stron.

Wykład literatury i estetyki, przez Kazimierza Brodzińskiego, czytany w b. Uniwersytecie Warszawskim od r. 1823 do 1830, przez <i>F. S. D.</i>	108
Estetyka <i>K. Brodzińskiego</i> . (Wstęp podług notat p. <i>W. M.</i>). Przez <i>F. S. D.</i>	345

Poezya.

Historya o pani co pana zabiła, ofiarowana Kazimierzowi Władysławowi Wójcickiemu, przez <i>Teofila Lenartowicza</i>	49
Moja kochanka, do <i>J. B.</i> , przez <i>T. Lenartowicza</i>	56
Ramajana poemat indyjski. Wyjątki przekładu <i>Teofila Lenartowicza</i>	426

Zyciorysy.

Jan Ernest Smoler, przez <i>Bronisława Grabowskiego</i>	417
---	-----

Powieści.

Dzieje ideału. Powieść <i>Jana Zacharyasiewicza</i> (dokończenie).....	1
Marina. Wspomnienia z życia artysty w Rzymie przez <i>Emila de Laveley</i> , przez <i>Edwarda L.</i>	215
Odrodzenie. (Z <i>Heyse'go</i>).....	384

Bibliografia polska.

O dawnych Kuryerach i Gazetach, przez <i>F. S. D.</i>	298
---	-----

Korrespondencya.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna:

Dzieło hrabiego Paryża pod tytułem: „ <i>Les Associations ouvrières en Angleterre.</i> ” — Wystawa sztuk pięknych zastosowanych do przemysłu: wystawa historyi sztycharstwa. — Marmurowe rzeźby na gmachu Wielkiej opery. — Hachett'a wydanie klasyków starożytnych z komentarzami. — „ <i>Dzieła Wirgiliusza</i> ” text łaciński z objaśnieniami pana <i>Benoist</i> . — „ <i>Hesioda, Hymnes Orphiques, Theocrite, Tyrteę, Odes Anacréontiques</i> ” przekład nowy pana <i>Leconte de Lisle</i> . — Zbiór fragmentów historycznych z dziejów <i>Walezjuszów</i> , wydał professor <i>Gord</i> . — Wiadomości literackie.....	131
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Piotra Burzyńskiego</i>	320
„ <i>Notre-Dame de Loudres</i> ” przez <i>Henryka Lasserre</i> . — Autografy <i>Michała Chasles</i> . — ś. p. <i>Henryk Leys</i> . — <i>Kronika Tabari</i> , przekład z perskiego pana <i>Zotenberg</i> . — „ <i>Science de la Morale</i> ” przez p. <i>Renouvier</i> . — <i>Historya charakteru i ducha francuzkiego</i> ” przez p. <i>Cenac-Moncaut</i> .	279

- Ś. p. Sainte Beuve.— Obecny stan Irlandyi: „Rzeczywistości z życia Irlandzkiego” (Realities of Irish Life) przez pana Stenart Trench.— (Londynu i Paryż 1869). — Wiadomości literackie..... 448

Pismienictwo krajowe i zagraniczne.

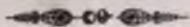
- Powieści Zbigniewa. Podróż naokoło świata. 1859.— Pamiętniki muchy. 1861.— Historia kamienia przy drodze. 1866.— Oksana. 1868.
Przez *Piotra Chmielowskiego*..... 150
- Miasto Kazimierz i budowle akademickie w tém mieście, przez Eustachego Ekielskiego. Kraków. 1869. Przez *F.*..... 163
- Dra M. Meiringa Gramatyka łacińska dla średnich i wyższych klas gimnazyalnych na podstawie języka polskiego opracowana przez Ignacego Znamirowskiego. Lwów. 1869. Przez *Dr. Antoniego Mierzynskiego*..... 164
- Astronomia ludowa przez Juliana Fontań. Poznań. 1869. Przez *Kowalczyka*..... 168
- Birze, rzut oka na przeszłość miasta, zamku i ordynacyi. Skreślił Eustachy Tyszkiewicz. St. Petersburg. 1864. Przez *K. Wł. Wójcickiego*..... 302
- Wiktorya Regina. Ze wspomnień narzeczonej przez Jana Zacharyasiewicza. Warszawa. 1869. Przez *S. K.*..... 307
- Kłosa i kwiaty, książka zbiorowa. Kraków. 1869. Przez *A. R.*..... 316
- Szkice ekonomiczne przez Konstantego Wzdulskiego. Warszawa. 1869... 317
- Caro, Dr. Jacob: Geschichte Polens, 3-er Theil. 1386—1430, w Gotha. 1869. 318
- Schleisische Fürstenbilder des Mittelalters Herausgegeben von Dr. Herm. Luchs. Wrocław. 1868..... 319
- Prowe, Dr. Leop. Westpreussen in seiner geschichtlichen Stellung zu Deutschland und Polen. Toruń..... 319
- Das älteste geschriebene polnische Rechtsdenkmal. Herausgegeben von Dr. E. Volckmann w Elblągu i Szczecinie..... 319
- Bracia Władysława Jagielly Olgierdowicza, króla polskiego, Wielkiego księcia Litwy. Jako dalszy ciąg „Synów Gedymina” z tablicami genealogicznymi, przez Kazimierza Stadnickiego. Lwów. Przez *Juliana Bartoszewicza*..... 468
- Xopoimania (Choroimauja). Historyczne poszukiwania o tańcach, tak starożytnych pogańskich, jak również społecznych i obyczajowych we względnie symbolicznego znaczenia. Napisał Maryan Gorzkowski. Warszawa. 1869. Przez *Oskara Kolberga*..... 483
- „Somatologie de la femme études physiologiques. Przez *J. M.*..... 488
- „Złoty Jasieńko” powieść przez J. I. Kr. — „Kometa” powieść Henryka Lisieckiego.— „Drahomira” tragedia w 5ciu aktach W. Weilena, przekładu W. Anczyca. — „Filiberta” komedia w 3ch aktach E. Augiera, przekładu K. Kaszewskiego. Przez *Edwarda Lubowskiego*..... 494
- Stary dwór, powieść przez Tadeusza Jerzego Steckiego. Warszawa. 1869. Przez *P. Ch.*..... 507

Przegląd muzyczny.

Koncerta Bilse'go w Warszawie. Przez <i>Bolesława Wilczyńskiego</i>	172
---	-----

Przegląd teatralny.

„Przyjaciół kobiet” komedia w 5-ciu aktach A. Dumasa syna. Przez <i>Nemo</i> .	324
Wiadomości bieżące i rozmaitości.....	178, 329, 509
Od redakcyi Biblioteki Warszawskiej.....	340, 516
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiém :	
za miesiąc sierpień r. b.....	185
— — wrzesień r. b.....	341
— — październik r. b.....	517



ed. D.